

**ALISTAIR MACLEAN
ALASTAIR MACNEILL**

SZPIEGOWSKIE RENDEZ-VOUS

**TYTUŁ ORYGINAŁU: ALISTAIR MACLEAN'S RENDEZVOUS
TLUMACZYŁ ZBIGNIEW A. KRÓLICKI**

Glasgow, 1995

— Z prochu powstałeś i w proch się obrócisz; oczekując na przyszłe wskrzeszenie do życia wiecznego, przez Pana Naszego Jezusa Chrystusa. Amen.

Po modlitwie pastora rozległo się chóralne „amen”, wymruczane w ten zimny, posępny szkocki ranek przez niewielki tłumek żałobników, skulonych pod baldachimami czarnych parasoli wokół otwartego grobu. James McIndoe wyszedł spod opiekuńczego okapu parasola i poczuł, jak krople deszczu spływają mu po twarzy, gdy się pochylił, żeby podnieść garść ziemi i rzucić ją na trumnę ojca. Stał bez ruchu nad otwartym grobem, z głową lekko pochyloną w cichej zadumie, nie odrywając oczu od nazwiska wytłoczonego na mosiężnej tabliczce przymocowanej do wieka: Samuel Donald McIndoe, 1914–1995.

Cofnął się i wziął parasol z rąk żony, Heather, która wsunęła swoją dłoń w dłoń męża i uściśliła ją lekko. Patrzył, jak dwójka ich dzieci kolejno rzuca garść ziemi na trumnę dziadka. Dziewiętnastoletnia Isobel, która odziedziczyła urodę po matce, była na pierwszym roku dziennikarstwa na Glasgow University. Już trzecie pokolenie McIndoe uczęszczało na ten prestiżowy uniwersytet. Piętnastoletni James — a raczej Jamie, jak zwano go od dziecka — też zamierzał pójść w ślady ojca i po ukończeniu szkoły zostać nauczycielem matematyki. James McIndoe był bardzo dumny ze swoich dzieci. I wiedział, że ich dziadek również.

Czyjaś ręka dotknęła jego ramienia, wyrывая go z zadumy. Obejrzał się i zobaczył stojącego tuż za nim jednego z przyjaciół ojca. Mężczyzna mocno uściślił mu dłoń, wymamrotał kondolencje i ruszył w kierunku rzędu samochodów zaparkowanych za bramą cmentarza. Potem przed Jamesem i Heather McIndoe powoli przeszli kolejni żałobnicy, składając wyrazy współczucia.

— Co to za człowiek? — zapytał Jamie, kiedy odszedł ostatni uczestnik konduktu, wskazując na starszego pana w płaszczu przeciwdeszczowym i kapeluszu, stojącego wśród drzew na skraju cmentarza — Stoi tam od dwudziestu minut. Wiesz, kto to jest!?

James McIndoe potrząsnął głową.

— Nie mam pojęcia. Może to jakiś znajomy waszego dziadka z dawnych czasów.

— Nie poznaję go — powiedziała Heather, spoglądając na nieznajomego.

— Pójdę i dowiem się, czego chce — rzekł McIndoe.

Heather chwyciła za ramię odwracającego się męża.

— Zostaw go. Nie robi nic złego. Jeżeli zechce z nami porozmawiać, sam podejdzie.

— Zobaczymy.

Z tymi słowami James McIndoe podszedł do mężczyzny i przedstawił się.

— Wyrazy współczucia dla pana i pańskiej rodziny z powodu bolesnej straty — powiedział z wyraźnym niemieckim akcentem nieznajomy.

— Dziękuję. Znał pan mojego ojca?

— Nie, nie osobiście — padła odpowiedź — Samuel, tak miał na imię?

— Sam. Nikt nie nazywał go Samuelem — odparł McIndoe.

— Rozmawiałem z pańskim ojcem przez telefon w ubiegłym tygodniu. Mieliśmy się spotkać dzisiaj w jego domu, ale kiedy tam przyszedłem, sąsiadka powiedziała mi, że zmarł w czasie weekendu.

— Po co właściwie chciał się pan widzieć z moim ojcem? — spytał McIndoe, zdejmując zalane deszczem okulary i wycierając je chusteczką — Może ja mógłbym w czymś pomóc?

— Nie tyle ja chciałem się zobaczyć z pańskim ojcem, ile on ze mną — odparł Niemiec. — Na pewno opowiadał panu, co robił podczas ostatniej wojny dla brytyjskiego SOE?

— Tak, wiele razy — odrzekł McIndoe ze smutnym uśmiechem. — Jako dziecko siadałem mu

na kolanach i słuchałem tych opowieści. Nigdy mnie nie znudziły.

— A zatem na pewno słyszał pan o tajnej operacji na Sycylii, w lutym czterdziestego drugiego roku.

— O tej akcji ojciec opowiadał najczęściej — rzekł zdziwiony McIndoe. — Słyszałem tę opowieść tyle razy, że czułem się prawie uczestnikiem tamtych zdarzeń.

— A więc wie pan, że ojcu zawsze brakowało jednego elementu tej układanki, który pozwoliłby mu spojrzeć na tę operację z właściwej perspektywy i co ważniejsze, zapewniłby mu spokój ducha. Z tego, co mi powiedział przez telefon, znalezienie tego brakującego kawałka było przez te powojenne lata czymś w rodzaju jego obsesji.

James McIndoe dobrze wiedział, o czym mówi Niemiec. Wciąż żywo pamiętał zażarte kłótnie rodziców, które czasem dobiegały do uszu małego chłopca, zanim sukces ojca jako poważanego autora książek z dziedziny historii rzymskiej wojskowości umożliwił mu finansowanie tego, co przerodziło się w trwającą pięćdziesiąt lat obsesję. Owe kłótnie zawsze obracały się wokół tego samego tematu: ojciec chcący naruszyć skromne rodzinne fundusze na opłacenie jakiegoś podejrzanego osobnika, utrzymującego, że ma tę tak ważną, poszukiwaną przez ojca informację, matka krzycząca na mego, żeby zaczął postępować jak rozważny rodzic i przestał uganiać się za duchami przeszłości. Jej argumenty jakkolwiek rozsądne, nigdy do ojca nie przemawiały. W końcu zabrał swoją obsesję do grobu.

— I pan ma ten brakujący kawałek układanki? — zapytał podejrzliwie James McIndoe, pomny na rozliczne spotkania ojca z różnymi oszustami. Żaden nie przybliżył go nawet o krok do prawdy.

Niemiec skinął głową.

— Czy obiecał zapłacić panu za tę informację?

Oczy Niemca zwęziły się ze złości.

— Jak pan śmie sugerować, że jestem tym materialnie zainteresowany? Przez ponad trzydzieści siedem lat byłem szanowanym oficerem zachodniemieckiego wywiadu. Pana ojciec nalegał, że pokryje koszt biletu lotniczego i mojego pobytu w Glasgow. Jednak jeśli chodzi o zapłatę za informację. — Przerwał, żeby otrzeć usta dłonią. — Uważam to za zniewagę.

James McIndoe pojął, że trafił w czuły punkt, i szybko postarał się naprawić swój błąd.

— Bardzo przepraszam, nie chciałem niczego sugerować. Po prostu przez te wszystkie lata wielu próbowało, często z powodzeniem, naciągać ojca, udzielając mu fałszywych i wprowadzających w błąd informacji.

— Ja nie jestem z tych — padła ostra odpowiedź.

— Nie, oczywiście, że nie.

McIndoe spojrział z rozpaczą na zachmurzone niebo.

— Przemokniemy tutaj. Może zechciałby pan wrócić z nami do domu? Tam moglibyśmy wszystko dokładnie omówić.

— Dziękuję. Niedaleko zaparkowałem wynajęty samochód — powiedział Niemiec. — Pojadę za panem.

McIndoe wskazał ręką na główną bramę.

— A zatem umowa stoi. Możemy iść?

Włochy, 1942

Załatwił niemieckiego żołnierza jednym pchnięciem w gardło dobrze naostrzonego stalowego ostrza. To było jego pierwsze zabójstwo; wiedział, że nie ostatnie. Wepchnął bagnet z powrotem do pochwy przy pasie, a potem przeciągnął trupa w gęste krzaki przy opuszczonych torach kolejowych. Księżyc przeświecał zza niskich chmur. Kiedy cicho kładł ciało na ziemi, po raz pierwszy ujrzał twarz zabitego: chłopiec mający najwyżej dwadzieścia lat. Nie przejął się tym. A raczej nie pozwolił sobie na przejmowanie się tym. Właśnie ten zdyscyplinowany profesjonalizm czynił porucznika Sama McIndoe jednym z najbardziej poważanych agentów brytyjskiego SOE — Special Operations Executive — tajnej organizacji, utworzonej w 1938 roku, której celem było przeciwdziałanie groźbie niemieckiej inwazji na Zjednoczone Królestwo przez organizowanie dywersyjnych operacji na terenach okupowanych przez wroga. Gdy w dwa lata później premierem został Winston Churchill, jej głównym zadaniem stała się ścisła współpraca z ruchem oporu w okupowanej Europie.

Wysoki, atletycznie zbudowany Szkot po dwudziestce, Sam McIndoe, był jednym z pierwszych zwerbowanych agentów.

Terenem jego działań były Włochy. Płynnie mówił po włosku, znał tamtejsze zwyczaje, a w terenie orientował się lepiej od przeciętnego Włocha. Miał za sobą kilkanaście zakończonych sukcesem akcji sabotażowych przeciw niemieckim jednostkom wojskowym stacjonującym we Włoszech. Głównodowodzący siłami Osi w rejonie Morza Śródziemnego, marszałek polowy Albert Kesselring, podwyższył nagrodę, wyznaczoną za ujęcie jakiegokolwiek agenta SOE działającego na tym terenie. Możliwość zdrady nie odwróciła McIndoe od dotychczasowej działalności, ponieważ wiedział, że im wyższą cenę wyznaczano za ich głowy, tym cięższe ciosy agenci SOE — wraz z partyzantami — zadawali siłom Osi we Włoszech. A świadomość, że jest się kłującym cierniem w boku Kesselringa, tylko zwiększała wywołaną tymi sukcesami satysfakcję.

Cicho podkraść się z powrotem do torów kolejowych i przez nocną lometkę spenetrował okolicę. Nikogo. Przyłożył dłonie do ust i dmuchnął, naśladując krzyk sowy. Nigdy się tego nie nauczę, pomyślał z niesmakiem, gdy z zarośli po drugiej stronie torów wyłoniły się dwie postacie. Podobnie jak McIndoe, były ubrane na czarno, a ich twarze skrywały czarne chusty. Zwinnie przemknęły przez tory i przykucnęły obok niego. Ci ludzie zostali specjalnie wybrani do tego zadania przez dowódcę partyzantki w Neapolu.

McIndoe spojrzął na zegarek. Dwudziesta trzecia siedemnaście. Pociąg towarowy powinien był opuścić Neapol o dwudziestej trzeciej. A jeśli jego obliczenia były ścisłe, przejedzie po tym odcinku torów za niecałe dwadzieścia minut. Wskazał gestem plecak niesiony przez jednego z mężczyzn. Partyzant podał mu go. McIndoe rozpiął paski i wyjął „sygnał mgłowy” — małe urządzenie złożone z płytki przyciskającej umocowanej nad trzema spłonkami i ładunkiem prochu strzelniczego, które przyczepiało się do szyny dwoma taśmami umieszczonymi po obu jego stronach. McIndoe przymocował minę do szyny i ostrożnie połączył zapalnik ze sprężyną wystającą z boku urządzenia. Potem przywiązał lont do detonatora, wyjął z plecaka materiał wybuchowy i umieścił go w małej dziurze wykopanej obok toru przez jednego z partyzantów. Połączył drugi koniec lontu z ładunkiem, a następnie pospiesznie zasypał otwór. Płytką naciskowa uaktywni się, kiedy wjedzie na nią pierwsze koło lokomotywy. Wtedy wybuchną spłonki i zapalą proch, który z kolei włączy zapalnik i zdetonuje zakopany materiał wybuchowy.

Ładunek był dostatecznie silny, aby wykoleić pierwszą lokomotywę i zapoczątkować śmiercionośną reakcję łańcuchową, która — miał nadzieję — zniszczy cały łatwo palny transport amunicji dla licznych baz Osi na południu kraju.

— Wynośmy się stąd — powiedział, prostując się i otrzepując ręce — Nie chcę być w pobliżu, kiedy to wybuchnie.

Poszli do dziapa ukrytego na zwirowej dróżce, pięćdziesiąt metrów od torów. McIndoe usiadł obok kierowcy, a drugi mężczyzna wskoczył na tył. Szofer uruchomił silnik. Krętą drogą dotarli do brzegu morza, gdzie miał czekać ponton umożliwiający im ucieczkę.

McIndoe pierwszy wysiadł z dziapa. Ostrożnie zszedł na ustronną plażę. Zadrzał w podmuchu zimnego, przesywającego wiatru znad morza. Okolica wyglądała na bezpieczną, ruszył więc do skalnej zatoczki. Nie dostrzegł pontonu i już sięgał po nocną lornetkę, kiedy nagle wpadły mu w oczy oklapłe strzępy częściowo zanurzone w wodzie. Nie ulegało wątpliwości, że ponton został celowo zniszczony. Pojął, że wpadli w zasadzkę, odwrócił się, żeby ostrzec towarzyszy, i stwierdził, że już stoją na skałach tuż za nim, z wycelowanymi w niego pistoletami maszynowymi. Zdjęli chusty z twarzy. To nie byli ci sami mężczyźni, z którymi wyruszył z Neapolu. Jak zdołali niepostrzeżenie unieszkodliwić jego dwóch towarzyszy i zająć ich miejsce? Odłączył się od partyzantów tylko na chwilę, kiedy trzeba było zlikwidować niemieckiego żołnierza stojącego na warcie przy torach kolejowych. Na pewno zrobili to wtedy. Wydawało się to jedynym logicznym wyjaśnieniem. A on wlaź prosto w pułapkę.

— Rzuć broń i kopnij ją — rozkazał po niemiecku jeden z tych dwóch.

McIndoe niechętnie upuścił półautomatyczną berettę z tłumikiem na skały u swych stop i kopnął ją na bok.

Co stało się z ludźmi, którzy byli ze mną? — zapytał.

— Nie żyją — padła obojętna odpowiedź — Oni nie byli ważni. W przeciwieństwie do ciebie. Wiemy, że jesteś agentem brytyjskiego SOE. Nasi koledzy z głównej kwatery gestapo w Neapolu z niecierpliwością czekają na spotkanie z tobą.

Gestapo, pomyślał z pogardą McIndoe. Powinien był się domyślić. Przez cały czas jego umysł gorączkowo szukał wyjścia z sytuacji, która wyglądała na beznadziejną. Wiedział, że nie zdąży sięgnąć po swój pistolet. I nie mógł rzucić się na żadnego z Niemców — trzymali się w bezpiecznej odległości. W tym momencie wydawało się, że nie ma żadnego sposobu.

— Kto mnie zdradził? — spytał, usiłując zyskać na czasie.

Niemiec wzruszył ramionami.

— My tylko wykonujemy rozkazy. No już, połóż ręce na głowie i zbliż się do nas.

McIndoe powoli splótł dłonie na głowie i już miał zrobić krok naprzód, kiedy tamten jakby potknął się i zachwiał na nogach. Przez chwilę patrzył na McIndoe osłupiałym spojrzeniem, a potem strużka krwi spłynęła mu z kącika ust i upadł martwy na głazy. Drugi Niemiec, widząc ślad kuli na plecach kolegi, obrócił się i strzelił na oślep w gęste krzaki porastające zbocze nad plażą. McIndoe skorzystał z okazji i rozpaczliwym skokiem rzucił się do swojej broni. Niemiec zauważył ten ruch i już odwracał się z powrotem do McIndoe, zaciskając palec na spuście, kiedy kolejna kula trafiła go w tył głowy. Pośliznął się na mokrych głazach i runął w wodę.

McIndoe podniósł broń i ostrożnie podszedł do miejsca, gdzie zniknął Niemiec. Cofnął się, gdy fala uderzyła o podnóże skał, spryskując go deszczem drobnych kropel. Bez specjalnego zdziwienia skonstatował, że w czarnej, skotłowanej toni nie widać śladu tamtego.

— Porucznik McIndoe?

McIndoe drgnął. Mocniej ścisnął rękojeść beretty i obrócił się do dwóch mężczyzn, którzy cicho wyłonili się z zarośli. Obaj nosili granatowe swetry z golfem, takie same spodnie i czarne gumki. Jeden niedbale trzymał w ręku zaopatrzonego w tłumik winchester.

— Kim jesteście? — zapytał podejrzliwie

— Pańską babunią — odparł nie uzbrojony mężczyzna, szczerząc zęby w uśmiechu. Był mniej więcej w tym samym wieku co McIndoe i mówił z wyraźnym akcentem absolwenta dobrej angielskiej szkoły. — Ja jestem komandor porucznik Reginald Stockton–Jones, kapitan łodzi podwodnej „Unbeaten”, z Królewskiej Marynarki Wojennej. Stoimy parę mil od brzegu — dodał, szerokim machnięciem ręki pokazując na morze. — Wchodzimy w skład Dziesiątej Flotyli Okrętów Podwodnych stacjonującej na Malcie.

Wskazał na towarzysza.

— To jest starszy mat Saunders. Najlepszy strzelec, jakiego mamy na pokładzie. Rzeczywiście cholernie dobry, nie uważa pan?

— Tak, rzeczywiście — odparł z roztargnieniem McIndoe, zerkając na martwego Niemca Zerwał z twarzy chustę i nagle zarzucił podwodniaka gradem pytań — Co się dzieje? Kto was przysłał? Skąd wiedzieliście, że tu będę? Jak dowiedzieliście się o Niemcach?

Stockton–Jones uniósł ręce w obronnym geście.

— Spokojnie, stary. Najwidoczniej miejscowi partyzanci dopiero po twoim wyjeździe z Neapolu dowiedzieli się, że szkopy zamierzają cię schwytać. A ponieważ nie mieli sposobu, żeby cię ostrzec w porę, połączyli się z twoim zwierzchnikiem na Malcie, wiceadmirałem Starrem, który niezwłocznie wezwał na pomoc marynarke. Byliśmy jedyną brytyjską łodzią podwodną w tym rejonie, więc dostałem instrukcje, żeby wysłać na brzeg desant i wyciągnąć cię z opresji. Wylądowaliśmy zaledwie pięć minut temu. W pontonie ukrytym w jednej z grot na końcu plaży.

— Dlaczego Niemcy nie zgarnęli mnie, kiedy podkładałem ładunek wybuchowy na torach kolejowych? Czemu czekali, aż dotrę tutaj? — zapytał McIndoe

— Z tego, co zrozumiałem, ci dwaj mieli tu na plaży umówione rendez–vous ze swoimi kolegami szkopami — Stockton–Jones zauważył niepokój w oczach McIndoe. — Nie martw się, stary, miejscowi partyzanci zajmą się resztą komitetu powitalnego. Zdaje się, że zastawili na nich małą zasadzkę w pobliżu Neapolu.

McIndoe zdobył się na wąty uśmiech, nie spuszczając z oka obu marynarzy.

— Zawdzięczam wam życie — wykrztusił wreszcie, objawianie uczuć w jakiegokolwiek formie zawsze przychodziło mu z trudem. — Dzięki.

— Cieszę się, że mogliśmy pomóc — odparł Stockton–Jones.

— No cóż, musicie mi wybaczyć — rzekł McIndoe po chwili milczenia. — Muszę wracać do Neapolu. Najwyraźniej jest wiele pytań, na które trzeba znaleźć odpowiedź.

— To niemożliwe, stary — powiedział Stockton–Jones. — Masz wrócić z nami na Malte. Rozkazy wiceadmirała Starra. Masz się stawić w jego biurze jutro, punktualnie o dziewiątej rano.

— Nie do wiary! — rzucił ze złością McIndoe. — Mam tu jeszcze tyle do zrobienia. Partyzanci liczą na moją pomoc.

Stockton–Jones odpowiedział bezradnym wzruszeniem ramion

— Przykro mi, ale te rozkazy przyszły bezpośrednio od wiceadmirała Starra. Bardzo nalegał, żebyś je otrzymał. Wprawdzie nigdy go nie spotkałem, ale, zdaje się, to facet, którego nie można lekceważyć.

— Trafiłeś w sedno — odrzekł McIndoe, wzdychając z rezygnacją.

— No cóż, wiesz, gdzie zostawiliśmy ponton. Prowadź, stary.

„Unbeaten” dotarł do bezpiecznej przystani bazy okrętów podwodnych na Manoel Island we wczesnych godzinach rannych. Tak jak inne łodzie podwodne stacjonujące w bazie, pozostał w zanurzeniu, aby zmniejszyć ryzyko zatopienia podczas któregoś z nieustannych nalotów, jakie codziennie nękały obleżoną Malte.

McIndoe spędził kilka godzin, wierząc się i obracając na koi i rozpaczliwie usiłując złapać odrobinę snu. Wyczerpany w końcu zdołał zasnąć około szóstej, a w godzinę później zbudzono go na rozkaz Stockton–Jonesa. Z wdzięcznością przyjął dzbanek nie słodzonej herbaty, którą przyniósł marynarz, i usiadł, zaspany, na skraju koi, w zadumie popijając gorący płyn. Po goleniu i szybkim myciu włożył użyzione mu flanelowe spodnie i granatowy golf. Stockton–Jones skontaktował się z dyżurnym oficerem bazy na HMS „Talbot” i upewnił się, że może bezpiecznie wynurzyć łódź obok zaopatrzonego w silnik pontonu, który już czekał, żeby przewieźć McIndoe na ląd. McIndoe przesiadł się do łódki, a „Unbeaten” natychmiast zanurzył się ponownie.

— Nie musi pan martwić się o szkopów, panie poruczniku, byli już rano i odlecieli — oznajmił młody kadet, zauważywszy, że McIndoe nerwowo spogląda na niebo. — Z tego, co wiem, tym razem nie zrobili większych szkód w porcie tą swoją kapustą. Ale za kilka godzin wrócą, jak tylko uzupełnią paliwo i załadują bomby.

— Jestem pewien — odparł ponuro McIndoe.

— To pańska pierwsza wizyta na Malcie, panie poruczniku?

— Tak — uciał McIndoe Kadet, wyczuwając, że oficer nie jest w nastroju do rozmów, pozostawił go jego własnym myślom.

McIndoe powoli rozejrzał się wokół, gdy przyczepny silniczek popychał ponton od Manoel Island i przez port Marsamxett, ku wejściu do Grand Harbour. W Anglii wprawdzie czytał w *Timesie* o nieustannych nalotach Luftwaffe i widział na kronikach migawki z takiego bombardowania, ale nie byłby w stanie wyobrazić sobie potwornych zniszczeń, które siały niemieckie bombowce, gdyby nie ujrzał ich na własne oczy. Wokół Marsamxett i Grand Harbour nie było budynku, który by nie ucierpiał od nalotów. Tu i ówdzie całe kwartały budynków legły w gruzach, niektóre zniszczyła w ciągu kilku sekund pięćsetkilogramowa bomba zrzucona precyzyjnie ze stukasa lub heinkla pilotowanego przez słynnych lotników z elitarnego Luftwaffe *Fhegerkorps X*.

Ponton wpłynął do Grand Harbour. Przed nimi leżały strzaskane resztki falochronu, który został częściowo zniszczony w ubiegłym roku, podczas śmiałego nocnego ataku włoskiej floty. McIndoe pamiętał artykuły poświęcone temu wydarzeniu. Włosi mieli przeniknąć do Grand Harbour i zniszczyć kotwiczący tam właśnie aliancki konwój, ale zostali wcześniej wykryci przez radiolokatory obrony. Jeden z dwóch ścigaczy — przenoszący na pokładzie żywe torpedy — uderzył w most, niszcząc jedno jego przesłó. Artyleria obrony portu otworzyła ogień do nieprzyjaciela, gdy tylko znalazł się w polu rażenia i w ciągu sześciu minut zatopiła większość atakujących jednostek, włącznie z drugim ścigaczem, pędzącym z maksymalną szybkością w kierunku drugiego wiaduktu. Później z morza wyłowiono piętnaście ciał, a osiemnastu Włochów wzięto do niewoli.

Liczne forty, nie używane od czasu poprzedniej wojny, teraz były obsadzone załogami i najeżone lufami dział — od boforsów, przez dziewięcio- i sześciocalowe działka, aż po szybkostrzelne sześciu- i dwunastofuntowki — sterczącymi groźnie z ambrazur. Na zachód od Grand Harbour leżały forty Tigne i Campbell, na wschodzie St Rocco i Dehmara, a po obu stronach wejścia do portu czały się St Elmo oraz Ricasoh.

McIndoe z podziwem patrzył na wyniosłe mury fortu St Elmo, obok którego przepływała dinghy. Wzniesiono go w 1488 roku i obsadzono stosunków o nieliczną załogą, której opór Turcy bez trudu przełamali podczas wielkiego oblężenia w 1565 roku, zadając ciężkie straty joannitom. Później został rozbudowany i wzmocniony, a teraz stanowił jedną z pierwszych linii obrony przed falami niemieckich myśliwców, regularnie spadającymi na wyspę. McIndoe widział jedno z potężnych dział Boforsa oraz dwie szybkostrzelne, sprzężone sześciofuntówki skierowane lufami na bezkresny ocean.

Dinghy przemknęła pod ocalałym wiaduktem i kadet zmniejszył szybkość, gdy zbliżali się do pierwszego z wielu wraków, którymi usiane były te wody — brytyjskiego niszczyciela „Jersey”. W ubiegłym roku wpadł na minę i osiadł przy wejściu do portu. Nieco dalej leżał statek handlowy; tylko jego dziób sterczał groteskowo nad tłustą powierzchnią, jakby w daremnej próbie wyrwania się z grubej warstwy oleju pokrywającej wody w porcie i wokół niego. Na prawo spoczywały resztki brytyjskiego trałowca „Fermoy”. Dowlókl się do Grand Harbour w jednym z tak potrzebnych konwojów i zatopiły go niemieckie bombowce, zanim zdążono go naprawić. Sto metrów dalej leżał na burcie, częściowo zanurzony w wodzie, statek pasażerski; fale pozostawiane przez przepływający blisko niego ponton łagodnie omywały posiekany kulami kadłub. Po obu stronach portu piętrzyły się sterty uszkodzonych i zniszczonych instalacji, co jednak najwidoczniej nie przeszkadzało setkom brytyjskich żołnierzy i miejscowych ochotników, uwijających się w dokach. W tym pozornym rozgardiaszu McIndoe wyłowił uchem chóralny śpiew. Stwierdził, że dobiega z jednego z suchych doków, i uśmiechnął się pod nosem na widok wesołego brytyjskiego inżyniera, który — rozebrany do pasa — używając kawałka drewna z zatopionego statku jako batuty — dyrygował chórem marynarzy. Zanim ponton przepłynął kolejne pięćdziesiąt metrów, znowu usłyszał śpiew, tym razem w wykonaniu grupy miejscowych, wyładowujących tak potrzebne dostawy z transportowca, któremu udało się wymknąć stadom U-bootów przyczajonych w śródziemnomorskich głębinach. Te dwa chóry zdawały się wesoło współzawodniczyć ze sobą: kto kogo zagłuszy. Taka pogoda ducha w tak trudnej sytuacji tylko zwiększyła podziw, jaki McIndoe zawsze żywił dla tej maleńkiej wysepki i jej mieszkańców. Nic dziwnego, że niemiecka Luftwaffe, mimo niekwestionowanej przewagi w powietrzu, nie zdołała zmusić ich do kapitulacji nieustannymi nalotami; nie mogła, mając przeciw sobie taki hart ducha i determinację. Dinghy dopłynęła do rozbitego bombami mola i została zacumowana do zardzewiałej metalowej drabinki. McIndoe wspiał się po niej na molo, gdzie powitał go wyprężony podoficer w mundurze khaki.

— Sierżant Pearson, panie poruczniku. Wiceadmirał Starr przysłał mnie po pana.

— Z którego jesteś regimentu, Pearson? — spytał McIndoe, gdy szli w kierunku bedforda MWG, z zamocowanym z tyłu standardowym karabinem maszynowym Polstena kaliber dwanaście.

— *Intelligence Corps*, panie poruczniku. Sześćdziesiąta Dziewiąta Sekcja Polowa — odparł Pearson.

— Od dawna stacjonujesz na Malcie? — McIndoe siadł obok kierowcy.

— Cztery miesiące, panie poruczniku — rzekł podoficer, uruchamiając silnik. — I każdy dzień był piekłem. — Zerknął z ukosa na McIndoe. — Niech mnie pan źle nie zrozumie. Za żadne skarby nie zamieniłbym swojego przydziału. Prędzej czy później wygramy bitwę o Morze Śródziemne i chcę być przy tym, kiedy to nastąpi. To będzie punkt zwrotny tej wojny, wspomni pan moje słowa, panie poruczniku.

— Może i masz rację, Pearson — przytaknął w zadumie McIndoe. — I jak tu jest? Czy aż tak źle, jak na to wygląda?

— Obecnie żyjemy dosłownie z dnia na dzień, panie poruczniku. — Pearson skierował pojazd w jedną z wielu wąskich uliczek przecinających zniszczone bombardowaniami miasto. — Już od czterech miesięcy obowiązuje ścisłe racjonowanie żywności. Cholernie potrzebujemy kolejnych konwojów, i to nie tylko z dostawami żywności. Chronicznie brakuje amunicji, tak że — nie licząc artylerii broniącej statków w porcie i trzech baz RAF-u — używamy tylko połowy naszych dział Boforsa. Wszystkie inne ciężkie działa dostają po trzy pociski na każdy szkopski nalot. A jeśli naloty będą tak częste jak dotychczas, to niebawem tym wielkim działom wokół portu i lotnisk również zaczną wydzielać amunicję. Sytuacja jest krytyczna, panie poruczniku.

Wiem, że wielu naszych naprawdę przygnębiają te ograniczenia. Jednak to nie im współczuję. My prowadzimy wojnę ze szkopami. Nasi żołnierze muszą nauczyć się znosić wojenne trudy. Żal mi miejscowych. To nie jest ich wojna, prawda? A to oni najbardziej obrywają podczas nalotów. Dzień za dniem. Bez przerwy. Tymczasem oni nie narzekają. Po prostu usiłują żyć najlepiej, jak mogą. Szczerze ich podziwiam. Wszyscy powinni dostać medale. Co do jednego.

— Palisz, Pearson? — zapytał McIndoe, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów.

— Jest pan prawdziwym dżentelmenem, panie poruczniku. — Pearson z wdzięcznością wyjął papierosa z paczki. — Racjonują nam po czterdzieści tygodniowo. A przy tych wszystkich nalotach większość z nas wypala swój przydział przez pierwsze dwa dni. To jedyny sposób, żeby opanować nerwy, co oznacza, że pod koniec tygodnia wszyscy jesteście rozdygotani.

Pokazał papierosa.

— Nie ma pan nic przeciwko temu, że zachowam go na później, panie poruczniku?

— Nie, oczywiście.

Pearson schował papierosa do kieszeni munduru.

— Czy jest pan żonaty, panie poruczniku, jeśli można zapytać?

— Nie, nie jestem żonaty.

— Tak jest lepiej, szczególnie w takich czasach — zauważył filozoficznie Pearson, gdy przed nimi wyrosły majestatyczne mury fortu St Elmo. Szarpnął kierownicą, omijając kilka cegieł, które osypały się ze sterty gruzu na poboczu drogi, a potem ostro skręcił w bramę fortu i zahamował przed szlabanem.

Z małej budki wyszedł żołnierz i sprawdził papiery Pearsona, zanim podniósł szlaban i pozwolił im przejechać. Pearson skierował wóz na brukowany dziedziniec, ostrożnie omijając rozbebeszony lej po bombie, i zatrzymał się przed drewnianymi drzwiami. Wyłączył silnik, zręcznie wyskoczył z wozu i ponownie został zatrzymany przez uzbrojonego wartownika. Obejrzawszy dokumenty Pearsona, żołnierz odsunął się i przepuścił ich. Schody za drzwiami wiodły do podziemnego labiryntu korytarzy. Tutaj mieściła się centralna kwatera wywiadu na wyspie, monitorująca transmisje radiowe między różnymi jednostkami Luftwaffe i Kriegsmarine a ich bazami na kontynencie. Tu zdobywano bezcenne informacje, które, przekazywane do Ministerstwa Wojny w Londynie, decydowały o strategii działań lądowych i morskich przeciw państwu Osi. Pearson mocno zastukał do jednych z wielu zamkniętych drzwi, a potem otworzył je i weszli do środka. Wrenka w mundurze uśmiechnęła się do McIndoe. Podniosła się zza biurka i zaszalutowała, nie przestając się uśmiechać.

— Miło znów pana widzieć, poruczniku McIndoe.

— Mnie ciebie też, Janet — odparł McIndoe. Znał sierżant Janet Cross od tak dawna, jak znał Starra. Była jego osobistą sekretarką i podróżowała z nim wszędzie. W SOE krążyły złośliwe, acz zupełnie bezpodstawne plotki, że tych dwoje łączy coś więcej niż sprawy zawodowe. McIndoe ani przez chwilę nie wierzył w nie. Plotki gwałtownie ustały, gdy Janet pod koniec 1941 roku poślubiła kanadyjskiego lotnika. Jej rodzice zginęli podczas niemieckiego nalotu na Coventry w 1940 roku, tak więc było zarówno właściwe, jak i nieuniknione, że to Starr poprowadził ją do ołtarza.

— Zostawię tu pana, panie poruczniku — rzekł Pearson, prężąc się na baczność i salutując. — A gdyby pan potrzebował czegoś podczas pobytu na wyspie, wie pan, gdzie mnie szukać

— Dzięki, Pearson. Zapamiętam. — McIndoe zaczekał, aż podoficer opuści pokój, po czym zwrócił się do Janet. — Doskonale wyglądasz. Co u Richarda?

— Wciąż stacjonuje w Surrey — powiedziała. — Zeszłej nocy rozmawiałam z nim. Powiedział, że wczoraj zestrzelił nad kanałem messerschmitta 109. To jego siódme „potwierdzone zestrzelenie”.

— Wspaniale — rzekł szczerze McIndoe. Po raz pierwszy spotkał porucznika Richarda Crossa na ślubie i natychmiast poczuli do siebie sympatię.

— Dam znać Jego Lordowskiej Mości, że już jesteś — powiedziała, wskazując gestem na drzwi wiodące do kolejnego pomieszczenia.

McIndoe uśmiechnął się w duchu. Zawsze mówiła o Starrze jako o „Jego Lordowskiej Mości”, wypowiadała jednak te słowa z uczuciem. Domyślał się, że Starr wie o swoim przydomku, ale nigdy nie zdradzał się z tym przed swoimi ludźmi. I nikt nigdy nie nazwał go tak w jego obecności. Większość obawiała się, niektórzy nawet bardzo, jego porywczego usposobienia. McIndoe zawsze miał z mm dobry kontakt. Cały sekret polegał na tym, żeby mówić mu to, co się myśli. Nie zawsze się z tym zgadzał, co prowadziło nieraz do wybuchów gniewu z których admirał słyszał, ale zawsze doceniał odwagę. McIndoe wspominał słowa jednego z kolegów, który miał nieszczęście poczuć na sobie siłę gniewu admirała. „Ma twarz i minę prostaczka, umysł jak lancet i głęboko zakorzoną niechęć do wszystkich, którzy marnują jego czas”. Sam nie wyraziłby tego lepiej.

— Może pan już wejść, poruczniku — Janet wskazała na otwarte drzwi.

— Ach, McIndoe, wejdź — mruknął Starr, kiwając na niego ręką. — Herbaty?

— Chętnie, panie admirale.

— Dwie herbaty, Janet — rzekł Starr i zaczekał, aż sekretarka wyjdzie, po czym wskazał krzesło przed swoim biurkiem — Siadaj, człowieku. Siadaj.

McIndoe usiadł. Powoli wodził wzrokiem po mapach i wykresach Morza Śródziemnego pokrywających kamienne ściany gabinetu, podczas gdy gospodarz zbierał papiery z blatu biurka i wkładał je do segregatora. Wiceadmirał Starr był pulchnym, korpulentnym mężczyzną po sześćdziesiątce, o zdrowej cerze i gęstej siwej czuprynie. Rzadko widywano go bez fajki.

— Niewiele brakowało we Włoszech, McIndoe — rzekł Starr, wyjmując szczyptę tytoniu ze skózanego kapciucha i starannie nabijając ulubioną fajkę z wrzośca. — Na szczęście nasza marynarka była w pobliżu.

— Tak, panie admirale, istotnie — przyznał McIndoe. — Jednak nadal nie mam pojęcia, w jaki sposób gestapo dopadło mnie tak szybko. Mogę tylko podejrzewać, że wydał mnie ktoś z ruchu oporu.

— Rzeczywiście — odparł Starr. — Wygląda na to, że nagroda wyznaczona za schwytanie agenta SOE okazała się zbyt wielką pokusą dla jakiegoś partyzanckiego oficera z Neapolu. Na szczęście jego zdrada wyszła na jaw dostatecznie wcześniej i zdążyliśmy opracować nasz własny plan uratowania twojej skóry.

— Doceniam to, panie admirale. Tylko dlaczego zostałem odwołany? Miałem jeszcze... — McIndoe umilkł, bo Starr pogroził mu fajką.

— Nie powinieneś kwestionować moich rozkazów — ofuknął go. — A zresztą nadużyłeś już gościnności gospodarzy w Neapolu. Wyślę tam kogoś innego, żeby kontynuował twoje dzieło.

— A co z bombą, którą podłożyłem na torach, panie admirale? Wybuchła?

— Niestety, Niemcy wiedzieli o niej od początku. Nie tylko ją rozbroili, ale zabrali nietkniętą do Berlina, żeby zbadać zasadę działania „sygnału mgłowego”.

Starr wygodnie wyciągnął się w fotelu, a jego okrągłą twarz rozpromienił rzadko goszczący na niej uśmiech.

— Oczywiście, nie wiedzieli, że partyzanci wcześniej zaminowali tory w innym miejscu. Pociąg wypadł z szyn, a duży transport ich amunicji wyleciał w powietrze.

— Przynajmniej jest jakaś korzyść z tego wszystkiego — stwierdził McIndoe z wyraźną satysfakcją.

Zapukano do drzwi i weszła Janet Cross z herbatą. Postawiła tacę na biurku i wyszła.

— Kiedy przybył pan na Malte, panie admirale? — zapytał McIndoe, dolewając sobie mleka do herbaty.

— Wczoraj. Przydzielili mi te pomieszczenia. Myślę, że są wystarczające.

McIndoe rozejrzał się po przestronnym gabinecie. Wydał mu się więcej niż wystarczający, ale wiedział, że lepiej tego nie mówić, nawet żartem. Wiceadmirał Edmund Starr nie był człowiekiem znanym z poczucia humoru.

— Co zmusiło pana do takiego pośpiechu, panie admirale? — spytał.

— Pan — odparł po prostu Starr.

McIndoe zastygł z filiżanką uniesioną w pół drogi do ust, a potem ostrożnie opuścił ją i postawił na spodeczku.

— Ja, panie admirale?

— I tak zamierzałem odwołać cię z Neapolu przed upływem kolejnych dwudziestu czterech godzin. Wydarzenia minionej nocy tylko przyspieszyły tę decyzję. Mam dla ciebie inne zadanie. Na Sycylii.

— Przecież Sycylia to nie mój teren, panie admirale — zaprotestował McIndoe.

— Myślisz, że o tym nie wiem! — fuknął z urazą Starr. — Ściągnąłem ciebie, ponieważ w tej chwili nie mam nikogo innego.

— A co z Percym Dankworthem? To pański najlepszy człowiek na Sycylii.

— Dankworth został ranny podczas wykonywania zadania w zeszłym tygodniu. Przez kilka miesięcy będzie wyłączony z akcji. — Starr przerwał, zawzięcie pykając fajkę. — Jesteś naszym najbardziej doświadczonym agentem we Włoszech. A to zadanie wymaga doświadczenia. Dlatego cię wezwałem.

— A co dokładnie mam zrobić, panie admirale?

— W tej chwili nie mogę wyjawić szczegółów. Wystarczy, jeśli powiem, że w ciągu kilku ostatnich dni Ministerstwo Wojny w Londynie otrzymało parę bardzo niepokojących informacji, które mogą całkowicie zmienić wynik wojny w rejonie Morza Śródziemnego. — Starr w zadumie posadził fajkę, jakby usiłując dobrać odpowiednie słowa, zanim odezwał się znowu. — Wywiad Stanów Zjednoczonych również jest w to wmieszany i zdecydowano, że podczas tej akcji powinniśmy połączyć nasze siły. Tutaj, na Malcie, czeka na pana major Nick Ravallo. Nasi amerykańscy kuzyni zdają się bardzo go cenić. Przydzielono panu również grupę agentów SOE. Pracował pan już z nimi, więc z tym nie powinno być problemów. Są już w drodze na wyspę. Kiedy nawiąże pan kontakt z majorem Ravallem i pańską grupą, porozmawiamy ponownie. Pearson czeka, żeby odwieźć pana do bazy lotniczej w Luqa. To jakieś dziesięć kilometrów stąd. Znajdzie pan tam majora Ravalla. Przyleciał tu dzisiaj, wczesnym rankiem. Na razie to wszystko, McIndoe.

McIndoe wstał.

— To musi być niezwykle ważne zadanie, skoro przybył pan tutaj, żeby przedstawić mi je osobiście, panie admirale.

— Jest ważne — odparł Starr, trzymając fajkę kilka centymetrów od ust — Wierz mi, naprawdę ważne.

Trzy główne bazy RAF-u na Malcie znajdowały się w Ta'Qali, w centralnej części wyspy, oraz na południu, w Hal Far i Luqa. Pasy startowe Ta'Qali i Hal Far były trawiaste, co w deszczowe dni często sprawiało kłopoty lekkim myśliwcom. Luqa, leżąca najbliżej stolicy — Valletty, była jedyną, która miała utwardzoną nawierzchnię. Budowę tego lotniska zakończono w kwietniu 1940 roku, a miesiąc później oddano je do użytku.

Jadąc z Pearsonem do bazy w Luqa, McIndoe wszędzie widział ślady porannego nalotu. Personel naziemny gorączkowo zasypywał żwirem i gruzem leje po bombach, znaczące płytę lotniska, a stary, rozklekotany walec parowy statecznie toczył się śladem ludzi, wyrównując teren, aby powracające myśliwce mogły lądować i uzupełniać zapasy paliwa przed następnym starciem z wrogiem. Ten cykl powtarzał się po każdym kolejnym nalocie. Dla stacjonujących tu żołnierzy stał się celem życia.

McIndoe zauważył obsadzone działa Boforsa, rozmieszczone w strategicznych punktach wokół lotniska, oraz kilka hangarów, w których znajdowały się myśliwce. Niektóre hangary były zbudowane z kamieni pozbieranych z gruzów okolicznych budynków. Inne z czterogalonowych beczek po benzynie, wypełnionych ziemią i piaskiem. Kilka ziało pustką — ich stalowi mieszkańcy właśnie patrolowali niebo nad wyspą. A każdy hangar, także te puste, był nakryty siatką maskującą, która miała sugerować pilotom niemieckich bombowców nurkujących, że stacjonuje tu więcej myśliwców, niż było ich naprawdę. Odwieczna sztuka stwarzania pozorów.

Pearson zatrzymał MWG przed drzwiami baraku dowódcy. McIndoe wysiadł, zaczekał, aż podoficer odjedzie, i dopiero wtedy zapukał do drzwi.

— Wejść — huknął głos z wnętrza.

McIndoe wszedł do małego obskurnego pomieszczenia, którego jedynym umeblowaniem było biurko i drewniane krzesła. Pod ścianą naprzeciw stała duża tablica; na niej wypisano nazwiska pilotów stacjonujących obecnie w bazie. Człowiek za biurkiem oderwał wzrok od papierów i zmarszczył brwi na widok McIndoe.

— Tak, w czym mogę pomóc?

— Jestem porucznik McIndoe, panie pułkowniku. Wiceadmirał Starr dzwonił, żeby uprzedzić o moim przybyciu.

— Stateczna Stara Anglia, tak? — rzekł mężczyzna z uśmiechem, robiąc aluzję do przezwiska, które SOE zawdzięczał skłonności do obierania okazałych wiejskich dworów na ośrodki szkolenia swoich agentów. Wstał i wyciągnął rękę do McIndoe. — Podpułkownik lotnictwa Winstanley. Witamy w Luqa.

Wskazał na krzesło pod ścianą.

— Dziękuję, panie pułkowniku — odparł McIndoe, przysunął krzesło i siadł.

Winstanley również usiadł, oparł się wygodnie i położył nogi na biurku. Przez chwilę przyglądał się gościowi, a potem pstryknął palcami.

— Oczywiście. Sam McIndoe. Jak tylko pan wszedł, pańska twarz wydała mi się znajoma. Jest pan graczem, prawda? Szkockiego pochodzenia.

— Tak, panie pułkowniku, miałem zaszczyt grać w reprezentacji mojego kraju — odrzekł McIndoe z cichą dumą.

— Widziałem, jak pan grał na Twickenham w trzydziestym ósmym. W ostatniej minucie zdobył pan punkty, które zapewniły Szkocji puchar, prawda?

McIndoe tylko uśmiechnął się — tej wspaniałej chwili nie zapomniał do końca życia.

— Powiniennem pana teraz oddać pod sąd polowy — zażartował Winstanley. — Do licha, McIndoe, złamał pan wtedy serca wszystkim Anglikom obecnym na stadionie. Jednak powiem panu coś: to była cudowna akcja. Sposób, w jaki ominął pan naszego skrzydłowego i zdobył punkt w rogu, zapierał dech w piersi. Nikt nie przypuszczał, że zdoła go pan wyprzedzić. Nie ze środka boiska.

— Zawsze byłem szybki. Właściwie dopóki nie skończyłem piętnastu lat, grałem jako skrzydłowy. Dopiero kiedy powołano mnie do drużyny, zawodowy trener zasugerował, że bardziej nadaję się na środkowego pomocnika. Często się zastanawiam, czy udałoby mi się to, gdybym nadal grał na skrzydle. Chyba nigdy się tego nie dowiem.

— Co za szkoda, że urodził się pan po niewłaściwej stronie granicy — rzekł Winstanley po chwili zadumy.

— Powiedziałbym, że wszystko zależy od tego, z której strony na to patrzeć — odparł McIndoe z krzywym uśmiechem.

Winstanley przez moment zastanawiał się nad tą ripostą, a potem też się uśmiechnął.

— Papierosa? — spytał, wyciągając z kieszeni paczkę i podsuwając ją gościowi.

— Dziękuję, panie pułkowniku. — McIndoe wziął papierosa.

— Myślę, że przybył pan zobaczyć się z majorem Ravallem?

— Tak, panie pułkowniku. Wie pan, gdzie go znajdzie?

— W mesie — odparł Winstanley. — Siedzi tam, od kiedy przyleciał, racząc ludzi barwnymi opowieściami o swoim dzieciństwie w Brooklynie. Ciekawy facet z tego majora Ravalla. Ocalił nam życie. Przywiózł z Ameryki trzy butelki Jacka Danielsa. Nas obowiązuje tu ściśle racjonowanie żywności, więc taki płyn to dla nas czyste złoto. Dał mi butelkę, a dwie pozostałe oddał personelowi baru. To najlepszy sposób, żeby zjednać sobie ludzi.

Zadzwoił telefon. Winstanley odebrał i zasłonił dłonią słuchawkę.

— Musi mi pan wybaczyć. Mesa jest niedaleko stąd. Zaraz za barakiem odpraw. Nie można jej nie zauważyć. Parę dni temu szkopska bomba zerwała z niej kawałek dachu.

McIndoe pozostawił Winstanleya zajętego rozmową i pomaszerował obok baraku odpraw — dyżurni piloci oczekiwali tam w pełnej gotowości na pierwszy sygnał o następnej fali nadlatujących bombowców — do uszkodzonej mesy. Niemiecka bomba upadła opodal budynku, pozostawiając spory krater w ziemi, ale podmuch eksplozji zerwał fragment poszycia dachu. Dziurę prowizorycznie zasłonięto plastikową plandeką, chroniącą przed deszczem. Połamane dachówki nadal leżały w trawie, gdzie rzucił je wybuch. McIndoe zdeptał niedopałek i wszedł do budynku.

Usłyszał śmiech dochodzący zza zamkniętych drzwi na końcu korytarza. Pchnął je, zajrzał do środka i zobaczył grupkę ludzi stłoczonych pod przeciwległą ścianą. Zza kręgu ciał dobiegał czyjś głos mówiący z wyraźnym amerykańskim akcentem. McIndoe podszedł tam i po raz pierwszy ujrzał majora Nicka Ravalla. Wiedział już, że Ravallo ma dwadzieścia siedem lat — jest o rok młodszy od mego — a z tą śniadą urodą i bujnymi kręconymi włosami łatwo można go było wziąć za zuchwałego bohatera jednego z tych niezmiennie banalnych, propagandowych filmów, jakie Hollywood posłusznie pichciło co miesiąc. Nawet jego strój miał w sobie coś teatralnego. Wytarta lotnicza kurtka z postawionym kołnierzem, kremowa apaszka z monogramem luźno owijająca szyję i zarzucona niedbale na ramię, para wypchanych flanelowych spodni z nogawkami wepchniętymi do wyczyszczonych brązowych buciorów.

— Jest pan żonaty, majorze Ravallo? — spytał głos zdradzający mieszkańca Yorkshire.

— A czy wyglądam na żonatego? — odparł Ravallo z uśmiechem rozbawienia.

— Po czym można poznać, czy ktoś jest żonaty, czy me? — zdziwił się ktoś.

— Tylko żonkoś mógłby zadać takie pytanie — odkrzyknął Ravallo i pilot z Yorkshire musiał

oganiać się od żartobliwych szturchańców, którymi obdarzyli go stojący wokół koledzy. W tym momencie Ravallo dostrzegł McIndoe i rozpoznał w nim człowieka z fotografii załączonej do akt, które zwierzchnicy dali mu do przeczytania podczas lotu na Maltę. Skinął mu głową, a potem klasnął w dłonie. — Panowie, obawiam się, że muszę was teraz opuścić. Miło się z wami rozmawiało. Mam nadzieję, że kiedyś to powtórzymy. Najlepiej w Berlinie, kiedy flagi zwycięskich aliantów załopoczą na Reichstagu.

Tłum wydał chóralny okrzyk aprobaty, a potem rozstał się, przepuszczając Ravalla, który podszedł do McIndoe.

— Miło mi pana poznać — oznajmił, gdy uścisnęli sobie ręce. — Moi zwierzchnicy z MI wyrażają się o panu z najwyższym uznaniem.

— Mam nadzieję, że ich nie rozczaruję, panie majorze — odparł McIndoe.

Ravallo wziął go pod rękę i odprowadził na bok.

— Na początek daj spokój z tym „panie majorze” Mów mi Nicky.

Westchnął głęboko na widok niepewnej miny McIndoe.

— Wy, Brytyjczycy, wszyscy jesteście tacy sami. Zawsze musicie trzymać się regulaminu prawda? Jesteście takimi zaciekłymi formalistami. Jezu, rozluźnij się trochę. To rozkaz, poruczniku.

— My, Brytyjczycy, przywykliśmy wykonywać rozkazy — rzekł McIndoe z uśmiechem.

Ravallo usiadł przy stole stojącym najdalej od drzwi.

— A więc, jak na ciebie wołają? Samuel? Sam? Mac?

— Sam lub Mac — odparł McIndoe, siadając na drewnianej ławce po drugiej stronie stołu — Byle nie Sammy. Wydawałoby mi się, że jestem jakąś cholerną papugą.

Ravallo roześmiał się oparł plecami o ścianę i położył jedną nogę na ławce.

— Szkockie pochodzenie, co?

— Jestem Szkotem — padła łagodna, ale stanowcza odpowiedź. — Szkocka jest whisky.

Ravallo wyczuł napięcie w jego głosie

— Przepraszam, jeśli cię uraziłem. Zapewniam, że zrobiłem to nieumyślnie.

— Teoretycznie masz rację, mówiąc w ten sposób. Tyle że mieszkańcy Szkocji są na ogół przeczuleni na tym punkcie. Ale nie mogłeś o tym wiedzieć no nie?

— Teraz już wiem — zapewnił Ravallo. — A więc, gdzie nauczyłeś się mówić po włosku?

— Na uniwersytecie w Glasgow. Ukończyłem filologię klasyczną i italianistykę. — A widząc, że Ravallo lekko uniósł brwi, McIndoe dodał: — Na amerykańskim uniwersytecie byłyby to filologia klasyczna jako główny przedmiot, a italianistyka jako dodatkowy.

Ravallo cichutko zagwizdał z podziwu.

— Widać, że z ciebie kawał bystrego sukinsyna.

— No, nie wiem — odparł skromnie McIndoe — A ty co? Chodziłeś na uniwersytet?

— Raczej nie byłem typem naukowca — rzekł Ravallo. — Nie mogłem doczekać się końca szkoły. Ukończyłem ją tylko dlatego, że rodzice harowali ciężko, żeby mi zapewnić dobre wykształcenie. Byliśmy typową ubogą rodziną mieszkającą w Brooklynie. Moi rodzice byli emigrantami, ale ja się urodziłem i wychowałem w Nowym Jorku. Ojciec przez całe życie był szewcem. Matka — urwał i wzruszył ramionami. — Do licha, matka zajmowała się wszystkim, żeby przynieść do domu parę dodatkowych groszy. Teraz przynajmniej, kiedy są tylko we dwoje, jest im trochę łatwiej.

— Chyba włoskiemu chłopcu nie było łatwo dorastać w środowisku zdominowanym przez Irlandczyków.

— Nie było. Regularnie obrywałem od irlandzkich chłopaków z mojej dzielnicy. — Ravallo odruchowo dotknął nosa. — W przypiływie rozpaczy zapisałem się do klubu bokserskiego na

Coney Island. Właścicielem był eks-zawodowiec, który po przeszło pięćdziesięciu stoczonych walkach mógł poszczycić się jedynie tym, że kiedyś wytrzymał trzy rundy z Jackiem Sharkeyem na stadionie „Jankesow”. Nauczył mnie, jak dbać o siebie. Kto wie, gdyby mnie nie powołano, może przeszedłbym na zawodowstwo. Armia zaproponowała mi nowe życie. I tak wylądowałem w wywiadzie wojskowym.

McIndoe od pierwszej chwili polubił Ravalla. Często potrafił ocenić charakter człowieka po sposobie, w jaki ktoś podawał rękę. Uścisk dłoni Ravalla był silny, lecz nie miażdżący, a chociaż Amerykanin wyglądał jak gwiazdor filmowy, nie miał w sobie nic z pozera. Nikogo nie udawał. McIndoe zorientował się szybko, że Ravallo należy do ludzi łatwo zjednujących sobie innych przyjaznym i swobodnym sposobem bycia, który udziela się otoczeniu.

Mieli krańcowo przeciwstawne charaktery. McIndoe był cichy i spokojny, wolał zatrzymywać swoje myśli dla siebie. Niektórzy uważali, że jest zbyt zamknięty w sobie, i kilku wybitnych komentatorów sportowych już rozważało w swoich artykułach, czy jego zdecydowana niechęć do uchodzenia za „jednego z chłopaków” nie pozbawi go szans na zostanie kapitanem narodowej reprezentacji w rugby. Takie krytyczne komentarze zawsze go bolały, zwłaszcza że w głębi duszy uważał, że zapewne są słuszne. Jednak inni podziwiali jego styl spokojnego, zdyscyplinowanego dowodzenia — szczególnie zwierzchnicy w głównej kwaterze SOE przy londyńskiej Baker Street.

Nagle rozległ się zawodzący jęk syreny przeciwlotniczej, obaj mężczyźni zerwali się na nogi i wybiegli na zewnątrz. Ludzie z personelu naziemnego bazy — niektórzy ubrani tylko w zielone szorty i buty — pędzili na swoje stanowiska. Dyżurni piloci wypadali z baraku odpraw i w biegu dopinali skórzane pilotki, gnając do hangarów, w których stały ich hurricane’y i gloucestery. Postronny obserwator mógłby uznać, że zapanowało kompletne zamieszanie. Jednak tylko postronny obserwator. Zarówno McIndoe, jak i Ravallo pojęli szybko, że każdy członek załogi bazy miał jakieś określone zadanie do wykonania podczas nalotu i dokładnie wiedział, co ma robić. I chociaż chcieli jakoś pomóc, wiedzieli, że tylko by im przeszkadzali.

— A co wy panowie, do jasnej cholery, tu wyrabiacie? — spytał ktoś za ich plecami z typowym londyńskim akcentem. — Czekacie w kolejce na bilety? Jeśli chcecie zachować głowy na karkach, to lepiej prędziutko założcie te garnki.

Odwrócili się i zobaczyli niskiego mężczyznę o okrągłej twarzy. Na naramiennikach munduru nosił paski kaprała. Podał im dwa stalowe hełmy.

— Z pozdrowieniami od podpułkownika Winstanleya. Prosił mnie, żebym panów pilnował. Powiedział, że pewnie będziecie kręcić się tutaj jak para półgłówków. Wygląda na to, że miał rację. A teraz, panowie, jeśli będziecie łaskawi pójść za mną, wskażę wam najlepsze miejsca na widowni. Obiecuję że nie przegapicie żadnych momentów.

Zanim McIndoe i Ravallo nałożyli stalowe hełmy i pospieszyli za kapralem w bezpieczne schronienie okopu niedaleko mesy, po niebie już niosło się złowrogie buczenie nadlatujących niemieckich bombowców, a na usianym obłoczkami horyzoncie rosły ich ciemne sylwetki. Dał się słyszeć odległy basowy huk, gdy pierwsze boforsy ochrony wybrzeża otworzyły ogień do nieprzyjaciela. Ciemny błękit nieba wokół nadlatujących samolotów upstrzyły kłęby czarnego dymu, jak plamy farby chlapiące na płótno z pędzla artysty. McIndoe jak urzeczoną patrzył na niemieckie maszyny nadlatujące nad Grand Harbour w szyku zwanym „rójem”. „Rój” był podstawowym powietrznym szykiem bojowym szybkie i zwinne myśliwce tworzyły pierścień obronny wokół bombowców, które starannie namierzały cele, pozwalając innym odpierać atakującego je nieprzyjaciela. W razie potrzeby „rój” mógł łatwo zmienić szyk, a myśliwce mogły porzucić bombowiec, tworząc własną formację.

Tym razem stukasy i hemkle były osłaniane przez messerschmitty 109.

— Oni nie znają strachu, ci szkopsy piloci — rzekł kapral, gdy pierwsze hurricane’y RAF-u pognały pasem startowym, żeby oderwać się od ziemi. — Będą lecieli w szyku, a dotrą nad cel. Obojętnie ilu z nich zestrzelimy, nie rozproszą się. Z makaroniarzami było inaczej. Nie mieli serca do walki. Brali ogon pod siebie, jak tylko nasze pukawki otwierały ogień. Prawie cała ta kapusta, którą rzucali, lądowała w morzu. Pewnie dlatego zastąpili ich ci szkopsy dranie. Jak powiedziałem, ci nie znają strachu. W końcu śmierć za ten ich parszywy *Fatherland* ma być wielkim zaszczytem, no nie?

— Brzmi to prawie tak, jakby ich pan podziwiał — rzekł Ravallo, obserwując kolejnego hurricane’a startującego z pobliskiego pasa.

— Podziwiam ich odwagę, panie poruczniku — padła ostra odpowiedź — ale nic więcej.

Dwa boforsy na skraju lotniska ożyły nagle, gdy pierwsze smukłe messerschmitty znalazły się w zasięgu ognia. Nagle, bez ostrzeżenia jeden stukas oderwał się od szyku i zanurkował w kierunku lotniska. Startujący właśnie hurricane ostro skręcił w prawo, rozpaczliwie usiłując przechwycić bombowiec, zanim zrzuci śmiertcionośny ładunek na bazę. Jeden messerschmitt odłączył się od formacji, aby związać hurricane’a. Niemiecki pilot otworzył ogień z działek zamocowanych na skrzydłach, lecz hurricane wykręcił beczkę i wszedł mu na ogon. Wykonując jednak ten manewr, pilot stracił z oczu stukasa. Dwudziestomilimetrowe działka hurricane’a plunęły ogniem i po kilku sekundach z kadłuba messerschmitta trysnęła smuga dymu. Trafiony, runął korkociągiem na ziemię i eksplodował ogromną kulą ognia na polu opodal lotniska.

Pilot stukasa dostrzegł swoją szansę i zanurkował w kierunku pasa startowego jak straszliwy drapieżny ptak, spadający na bezbronną ofiarę. Lufa dwunastofuntowki okopanej w pobliżu pasa startowego skierowała się w jego stronę, ale zanim zdążyła wystrzelić, samotny messerschmitt przeleciał lotem koszącym tuż nad lotniskiem, zasypując obrońców gradem pocisków. Cała czteroosobowa obsługa działka została skoszona serią, a celowniczy osunął się na przyrządy. Messerschmitt poderwał się w niebo, aby stawić czoło nadlatującemu hurricane’owi. Stukas zrzucił swój ładunek bomb, które dosięgły samego środka pasa startowego. Kiedy pierwszy stukas odleciał i zaczął piąć się z powrotem pod ochronny parasol „roju”, drugi wyłamał się z szyku i zanurkował ku lotnisku, zamierzając podwoić szkody wyrządzone przez poprzednika. Ponieważ wszystkie hurricane’y i gloucestery toczyły zawzięty bój z messerschmittami, a działko Boforsa zostało wyłączone z akcji, samotny stukas mógł praktycznie bezkarnie nurkować w kierunku lotniska.

McIndoe spojrział na Ravalla. Zrozumieli się w mig i zanim kapral zdążył ich powstrzymać, wygramolili się z okopu i pobiegli do działka. Ten sam Me 109, który wcześniej zaatakował stanowisko przeciwlotnicze, znów osłaniał stukasa, odpędziwszy dzielnego, lecz wyraźnie ustępującego mu hurricane’a. Messerschmitt przeleciał nisko nad lotniskiem i otworzył ogień do obu biegnących mężczyzn. Kule zryły ziemię wokół nich i Ravallo spostrzegł z przerażeniem, że McIndoe potyka się i pada.

— Nic mi nie jes! — zawołał Szkot, przekrzykując łoskot strzałów, które zdawały się padać ze wszystkich stron. — Musimy załatwić tego przekłętą stukasa.

Ravallo pędem rzucił się ku osłonie z worków z piaskiem otaczających stanowisko ogniowe i zwinnie wskoczył do środka. Odepchnąwszy na bok ciało celowniczego, skierował lufę na stukasa i przygotował się do strzału...

McIndoe wgramolił się za nim do okopu. Pochylił się, widział głębokie skupienie na twarzy Ravalla, który starannie mierzył do bombowca. Dostrzegł również błysk obawy w jego oczach, ale wiedział, że lepiej tego nie komentować. Otarł pot z czoła i zmrużył oczy wpatrując się w stukasa, który z wyciem nurkował ku płycie lotniska. Niespokojnie przełknął ślinę czekając, aż Ravallo zacznie ostrzelać. Stukas był już w polu rażenia — dlaczego Amerykanin nie strzela?

Ravallo wciąż zwlekał. McIndoe wodził spojrzeniem od bombowca do Ravalla, modląc się, żeby ten otworzył ogień, zanim samolot zrzuci swoje bomby na lotnisko.

Nagle Ravallo cofnął się, rękami ściskając głowę, oczy miał błędne. McIndoe odepchnął go od działka, biorąc stukasa na cel z przerażeniem zauważył, że messerschmitt zawrócił i ponownie leci na nich. Zamrugał oczami, bo zalewał je pot, i wystrzelił kilka pocisków, które nieszkodliwie eksplodowały po prawej stronie czarnego kadłuba stukasa. Bombowiec nadlatywał. Był coraz bliżej.

Gdy stukas wyrównał, wychodząc z niemal pionowego lotu nurkującego, McIndoe pojął, że pilot zaraz zrzuci swój śmiercionośny ładunek. Jednak tamten nie spieszył się. McIndoe przez chwilę był zdziwiony, lecz natychmiast zrozumiał, że Niemiec nie chce, aby jego pospiesznie zrzucone bomby zniszczyły messerschmitta, który leciał tuż nad ziemią w kierunku ich stanowiska. Musiał wykorzystać te bezcenne sekundy. Wiedział, że nie będzie miał drugiej szansy. Nagle zagrzecotały dwudziestomilimetrowe działka messerschmitta i strumienie pocisków wryły dwie równe bruzdy w płycie lotniska. McIndoe musiał zmobilizować całą siłę woli, żeby skoncentrować się na stukasie, podczas gdy instynkt nakazywał mu wziąć na cel atakującego ich messerschmitta. Gdyby popełnił błąd i spróbował wycelować w myśliwiec, nigdy nie zdołałby ponownie chwycić w celownik stukasa, zanim ten zbombarduje pas startowy. Raz po raz strzelał do bombowca, jednak bez widocznego rezultatu, a przez cały czas słyszał coraz głośniejszy huk działek atakującego Me 109.

Nagle stukas gwałtownie skręcił i znalazł się za messerschmittem, tak że przez moment w celowniku zamajaczyło ogromne, czarne podwozie i mewie skrzydła. McIndoe wypuścił kolejną serię pocisków. Jeden trafił w cel, odcinając koniec lewego skrzydła, jakby było zrobione z tektury. Uszkodzony bombowiec bezwładnie runął w dół.

McIndoe rzucił się na ziemię i nakrył głowę rękami, seria kul z działek messerschmitta szarpała osłonę z worków z piaskiem. Potem myśliwiec wyrwał w górę i zniknął. McIndoe właśnie gramolił się z ziemi, gdy usłyszał ogłuszającą eksplozję — to stukas uderzył w jeden z hangarów i stanął w płomieniach. Ostrożnie wyjrzał z okopu. Messerschmitt już kierował się z powrotem do bazy na Sycylii. Nalot się skończył.

McIndoe odprowadzał spojrzeniem odlatujące samoloty, aż wycie strażackiej syreny przywróciło go do rzeczywistości. Wóz pędził do poskręcanych szczątków stukasa, który płonął jasnym płomieniem w kamiennym hangarze.

— Wszystko w porządku, panie poruczniku?

McIndoe obejrzał się. To kapral niespokojnie wyglądał zza krawędzi okopu.

— Tak — odparł i wskazał na artylerzystów. — Sprowadźcie natychmiast sanitariuszy, kapralu. Mamy tu rannych.

— Tak jest, panie poruczniku. — Kapral pospiesznie się oddalił.

Dopiero wtedy McIndoe dostrzegł Ravalla. Siedział pod ścianą okopu i przyciskał lewą rękę do brzucha. Spojrzawszy uważniej, McIndoe dostrzegł, że jego koszula nasiąka krwią.

— Nicky? — spytał niespokojnie, klękając przy nim. — Trafili cię.

Ravallo powoli podniósł głowę.

— To tylko powierzchowna rana — rzekł ledwie słyszalnym głosem — To nic.

— Niech zobaczę.

— Daj spokój — odparł z irytacją Ravallo, po czym wskazał na młodego żołnierza leżącego obok. Zdjął swoją apaszkę i usiłował nią zatamować krew ciekącą z rany na piersi żołnierza. Chustka już nasiąkła krwią. — Mac, ten facet potrzebuje lekarza. I to szybko.

— Już nie — stwierdził cicho McIndoe, zamykając powieki zabitemu.

— O Jezu, nie! — Ravallo z rozpaczą patrzył na martwego żołnierza. — Przecież to jeszcze

dzieciak. Tylko dzieciak.

Nadbiegli dwaj sanitariusze i zajęli się pozostałymi przy życiu artylerzystami. McIndoe wygramolił się z okopu, a potem wyciągnął rękę i pomógł wydostać się Amerykaninowi. Widział, jak krew powoli kapie z palców Ravalla.

— Cholernie krwawisz, Nicky — powiedział, wskazując na jego rękę.

Ravallo uniósł dłoń i McIndoe skrzywił się na widok głębokiej rany u nasady kciuka.

— Drasnęła mnie kula, nic więcej. Jak powiedziałem, to zwykle draśnięcie.

— Mimo to powinni ci to opatrzyć, inaczej może wdać się zakażenie — stwierdził stanowczo McIndoe.

— Inni o wiele bardziej potrzebują pomocy — Ravallo otarł zakrwawione palce o koszulę. — Musimy porozmawiać, Mac. O tym, co zaszło.

— Pogadamy, jak tylko opatrzą ci ranę — obiecał McIndoe, gdy kolejny wóz strażacki przejechał obok, zmierzając do płonącego wraka messerschmitta opodal lotniska.

Ravallo dostrzegł determinację w oczach Szkota i uświadomił sobie, że ten spór jest jałowy.

— No dobrze, pójdę i niech mi to zabandażują, jeśli w ten sposób zdołam cię zmusić do wysłuchania tego, co mam do powiedzenia.

— Tak, zrób to.

Ravallo już miał coś powiedzieć, ale po krótkim namyśle odwrócił się i powoli poszedł w kierunku szpitala polowego.

— Słyszałem, że dzisiaj został pan bohaterem.

— Nie większym od innych żołnierzy w tej bazie, panie poruczniku. — McIndoe wstał na widok wchodzącego Wmstanleya.

— Słyszałem coś innego — rzekł Winstanley, podchodząc do swego biurka i siadając przy nim. Machnięciem ręki kazał Szkotowi usiąść. — Naprawdę mamy u pana dług wdzięczności, McIndoe. Gdyby ten stukas zdołał zrzucić bomby na lotnisko, wyłączyłby nas z akcji na resztę dnia. Może wyda się to panu nieistotne lecz oznaczałoby to, że nasze myśliwce nie mogłyby lądować i musielibyśmy kierować je do baz w Ta'Qali lub Hal Far. A w ten sposób zostalibyśmy bez osłony podczas następnego nalotu.

Sądzi pan, że wrócą jeszcze dzisiaj panie pułkowniku?

— Może pan być tego pewny — odparł Winstanley — A następnym razem my będziemy ich głównym celem. O ile wiem ten nalot był skierowany głównie na Grand Harbour, a szczególnie na bazę okrętów podwodnych na Manoel Island. Mieliśmy sporo szczęścia.

— Czy miał pan jakieś wieści o moich ludziach? — zapytał McIndoe.

— Tak jakiś czas temu dostaliśmy wiadomość z Gibraltaru, że ich samolot odleciał o czasie — Winstanley zerknął na zegarek — już od dziewięciu godzin są w powietrzu. Jeśli wszystko dobrze pójdzie, powinni tu być za parę godzin. Moi ludzie właśnie zasypują leje po bombach na jednym pasie startowym. Nie ma obawy, zdążą to zrobić, zanim pańscy przylecą.

— Ani przez chwilę w to nie wątpiłem — odparł McIndoe. Winstanley wyłowił z szuflady biurka butelkę bourbona i dwa kieliszki.

— Czy zdołam pana namówić na „kusztyczek”, jak powiadacie tam, na północy?

— Wolałbym prawdziwy trunek, ale w tych okolicznościach chyba będziemy musieli zadowolić się amerykańską imitacją — powiedział z uśmiechem McIndoe.

— Doskonale — Winstanley napełnił dwa kieliszki i podsunął jeden McIndoe. Usłyszeli pukanie do drzwi. — Wejść! — zawołał.

Drzwi uchyliły się i do pokoju zajrzał Ravallo.

— Powiedziano mi, że was tu znajdę.

— Proszę wejść, majorze. — Pułkownik zaprosił go gestem do środka. — Właśnie mamy zamiar napocząć pańską butelkę. Przyłączy się pan do nas?

— Z pewnością dam się namówić na kielicha. Rzecz jasna, wyłącznie w celach zdrowotnych — odpowiedział Ravallo, pokazując zabandażowaną lewą rękę.

Winstanley wyjął z szuflady kubek.

— Mam nadzieję, że to panu nie przeszkadza?

— Jestem pewny, że będzie smakowała tak samo. — Ravallo wziął kubek z rąk Winstanleya.

— Wasze zdrowie, panowie — rzekł podpułkownik, unosząc kieliszek.

McIndoe pociągnął łyk bourbona, a potem spojrział na Amerykanina, który stanął pod oknem. Niecałe pół godziny wcześniej widział rozkojarzonego, przestraszonego Nicka Ravalla, rozpaczliwie usiłującego zrozumieć swój brak zdecydowania w okopie, kiedy to zwlekał ze straceniem stukasa Tymczasem teraz łagodny głos i łobuzerski błysk w oku Ravalla świadczył o tym, że znów był tym pewnym siebie, zuchwałym Nickiem, który skupiał uwagę kręgu słuchaczy w mesie. Wydawało się, że przełączył swoją osobowość z powrotem na miłego łobuza, który doskonale bawi się tą sytuacją

— Jesteś tu jeszcze, Mac?

Łagodny sarkazm Ravalla wyrwał McIndoe z zadumy. Uśmiechnął się przelotnie.

— Przepraszam, byłem daleko stąd. Jak ręka?

— Dziesięć szwów — odparł Ravallo z obojętnym wzruszeniem ramion, jakby to nie było nic ważnego. — Jakoś przeżyję.

— Utrzyma pan kubek? — zapytał Winstanley.

— Jasne — wyszczerzył zęby w uśmiechu

— Diabeł dba o swoje dusze, Nicky — powiedział łagodnie McIndoe.

Ravallo roześmiał się.

— Tak, to mu trzeba przyznać.

Zadzwoił telefon i Winstanley podniósł słuchawkę. Zacisnął szczęki słuchając głosu na drugim końcu linii.

— Dzięki za wiadomość, Billy. Zaraz będę. — Powoli odłożył słuchawkę na widełki — Musicie mi wybaczyć, panowie. Nasze samoloty wracają do bazy. Zawsze witam załogi po wylądowaniu. Uważam, że chłopcy powinni wiedzieć, że wykonują cholemlnie dobrą robotę.

— Lepiej niech pan zabierze bourbona — rzekł Ravallo, wskazując stojącą na stole butelkę. — Po takim pokazie chyba zasługują na uroczysty toast.

— Straciliśmy dwa hurricane'y. Obaj piloci zginęli. Nie sądzę, żeby ktoś miał ochotę wznosić toasty. Nie tym razem.

— Ty to wiesz, kiedy co powiedzieć, Nicky — mruknął McIndoe, przerywając krępującą ciszę.

— Wciąż mi to mówią. — Ravallo dopił bourbona i postawił pusty kubek na biurku. Zaczął chodzić po pokoju ze wzrokiem wbitym w deski podłogi. W końcu zatrzymał się tuż przed McIndoe. W jego spojrzeniu czaiła się niepewność. — To, co dziś zrobiłem, było niewybaczalne — powiedział wreszcie. — Mój brak zdecydowania mógł zabić nas obu.

— Jednak nie zabił, a tylko to się liczy — odparł uspokajająco McIndoe.

— Nie baw się w ojca, Mac!

— Nie bawię się — rzucił ostro McIndoe, odsuwając krzesło i wstając. Podeszedł do drzwi, po czym odwrócił się i spojrział na Ravalla. Kiedy znów odezwał się, jego głos był spokojny. — Księżę Wellington powiedział: „Wszyscy żołnierze uciekają. Ci dobrzy wracają”. Tak więc nie myśl, że jesteś pierwszym, którego poniosły nerwy w ogniu walki. Chryste, to przydarza się większości żołnierzy, wcześniej czy później. To leży w ludzkiej naturze, Nicky. Mnie również się

przytrafiło. Nie zawsze możesz przewidzieć, jak zareagujesz w określonej sytuacji, dopóki się w niej nie znajdziesz. Obaj wiemy, że równie dobrze mogło to spotkać mnie, gdybym pierwszy wpadł do okopu.

— Słyszę, co mówisz, Mac, jest w tym jednak coś więcej. — Ravallo oparł się o biurko i założył ręce na piersi. — Co tak naprawdę o mnie wiesz?

— Zasadniczo nic. — McIndoe wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Ravalla.

— Próbuję rzucić to cholerstwo — mruknął Amerykanin, ale szybko wyjął jednego. — Nie jestem doświadczonym żołnierzem, tak jak ty — ciągnął, kiedy McIndoe podał mu ogień. — Wzięli mnie do wywiadu zza biurka. Przez kilka pierwszych miesięcy pracowałem w naszej ambasadzie w Gibraltarze, analizując działania wywiadowcze nazistów w rejonie Morza Śródziemnego. Przed Gibraltarem stacjonowałem w Pearl Harbour. Byłem tam, kiedy Japończycy zaatakowali. Byłem oficerem dyżurnym w kwaterze głównej MI na Ford Island i rano właśnie zdawałem służbę Garry'emu Mitchellowi, mojemu najlepszemu przyjacielowi, gdy nastąpił atak. Baza była słabo przygotowana do odparcia nalotu. Po dziesięciu minutach „Arizona” poszła na dno, zatopiona jedną torpedą. Wraz z nią zginęło tysiąc dwustu marynarzy. Potem zatonęła „West Virginia”. Potem „Kalifornia”. Nie widziałeś czubka własnego nosa, tak gęsty dym zalegał nad wyspą. Było słycać tylko nieustanne wybuchy japońskich bomb i nie kończący się grzechot karabinów maszynowych myśliwców Zero, które strzelały do wszystkich i wszystkiego, co ruszało się w płonącej wodzie.

Zostaliśmy odcięci w kwaterze głównej. Chyba byliśmy tam jakieś dwadzieścia minut, leżąc na brzuchach, kiedy dym uniósł się na tyle, że zdołaliśmy dostrzec spoczywających na ziemi żołnierzy z obsady działka przeciwlotniczego ustawionego przed budynkiem. Nie mieliśmy pojęcia, czy żyją, czy nie, ale było jasne, że musimy coś zrobić. Usiłowaliśmy wykorzystać dym jako osłonę, jednak i tak dostrzegł nas i zaatakował pilot ich myśliwca Zero. W ramach podstawowego przeszkolenia wojskowego obaj nauczyliśmy się obsługiwać działko przeciwlotnicze, więc zająłem się działkiem, a Garry sprawdzał rannych.

Ravallo powoli przesunął ręką po twarzy.

— Nie mogłem otworzyć ognia, Mac. Do dziś nie wiem, czy działko się zacięło, czy też zostało uszkodzone podczas ataku. Wiem tylko, że nie działało. Miałem zero dokładnie na celowniku i nic nie mogłem zrobić. Myśliwiec był już niecałe pięćdziesiąt metrów od nas i zaczął strzelać z działek. Schowałem się za osłonę, przekonany, że zaraz zginę. Może miałeś rację przed chwilą, mówiąc, że diabeł dba o swoje dusze. Ktoś musiał czuwać nade mną tamtego dnia, ponieważ wyszedłem z tego bez najmniejszego draśnięcia. Garry zginął na miejscu. Gdyby to on zajął się działkiem... kto wie, może to on opowiadałby ci dziś tę historię, tylko ze swojego punktu widzenia.

— I dzisiaj, na widok tego stukasa na celowniku, nagle wróciło to wszystko?

— Tak — odparł Ravallo, zaciskając usta. Wyprostował się, znów podszedł do okna. — Wiem, że to żadna wymówka, Mac, ale teraz przynajmniej wiesz, dlaczego dziś zamarłem. Pearl Harbour będzie prześladować mnie do końca życia.

— Tylko wtedy, jeśli na to pozwolisz — stwierdził McIndoe. — Musisz nauczyć się z tym żyć, Nicky, a jedyny sposób, aby tego dokonać, to stawić czoło lękowi. W przeciwnym razie strach zeżre cię od środka, jak rak. Wiem. Widziałem, jak przydarzało się to mojemu koledze z firmy, którą my nazywamy SOE. Był jednym z naszych najlepszych agentów we Francji. Widział, jak hitlerowcy rozstrzelali wszystkich mieszkańców wioski. Nie ulegało wątpliwości, że bardzo nim to wstrząsnęło, nie chciał jednak przyznać, że coś jest nie tak. Powinni byli wycofać go z akcji, tymczasem z jakiegoś niewiadomego powodu jego oficer prowadzący postanowił wysłać go jeszcze raz. On zaś tak obsesyjnie rozmyślał o tym, co się wydarzyło w tamtej wiosce,

że nie był już w stanie skoncentrować się na swojej pracy. Gestapo śledziło go od chwili, gdy wylądował we Francji. Bezwiednie doprowadził ich do czterech ważnych przedstawicieli tamtejszej *Resistance*. Wszyscy czterej zostali aresztowani i rozstrzelani. On sam wkrótce potem zniknął, a następnego dnia jego ciało znaleziono na bocznej uliczce Paryża. Gestapo na pewno nie miało powodu go zabijać. *Resistance* wyparła się jakiegokolwiek związku z jego śmiercią, ale podejrzewam, że zabili go, żeby już nikogo więcej nie zdradził. I czy można ich winić? Jego oficer prowadzący został zwolniony i dopiero po długotrwałych negocjacjach nasi zwierzchnicy zdołali nakłonić przywódców francuskiego ruchu oporu do dalszej współpracy z firmą.

— Czy w ten zawołowany sposób chcesz mi dać do zrozumienia, że powinienem odwiedzić psychiatrę? — spytał Ravallo.

— Jesteś wystarczająco silny, żeby samemu się z tym uporać, Nicky — rzekł McIndoe, gasząc papierosa w popielniczce na biurku Winstanleya. — W końcu już zrobiłeś pierwszy krok, siadając dzisiaj za celownikiem działka. — Dopił drinka. — Chętnie rozprostuję nogi. Masz ochotę na spacer? Może przydamy się tam do czegoś.

— Pewnie, czemu nie? — odparł Ravallo, otwierając drzwi. — O której spodziewasz się swoich kolegów z Gibraltaru?

— Winstanley przewiduje, że powinni tu być za parę godzin.

— O ile nasi niemieccy przyjaciele nie złożą nam kolejnej wizyty i nie popsują czulego powitania — powiedział Ravallo wychodząc z baraku.

McIndoe obrzucił zrezygnowanym spojrzeniem jasnoniebieskie niebo, po czym zamknął za sobą drzwi.

Przez następne dziewięćdziesiąt minut nie było żadnych nalotów, co pozwoliło personelowi naziemnemu załatać dziury w pasie startowym i przygotować go na przyjęcie spodziewanego bristol blenheima Mk V z bazy RAF-u na Gibraltarze.

McIndoe z Ravallem stali przed barakiem Winstanleya i osłaniając dłońmi oczy patrzyli, jak przerobiony bombowiec siada na odległym krańcu pasa. Pilot ostrożnie prowadził po nierównym gruncie samolot — zaopatrzony w dwa dodatkowe zbiorniki paliwa umożliwiające długodystansowy przelot. W końcu zatrzymał go sto metrów od baraku.

— Mówisz, że już pracowałeś z tymi facetami? — zapytał Ravallo, gdy personel naziemny zaczął się krzątać wokół znieruchomiałej maszyny.

— Kilkakrotnie. Ci czterej to najlepsi ludzie, jakich mamy w firmie. Przecież Starr mówił, że ta operacja jest ważna.

— Bo jest — odparł Ravallo. McIndoe obrzucił go kosym spojrzeniem.

— Wiesz, o co w tym chodzi?

— Pewnie. Nasi zwierzchnicy w MI oraz SOE ściśle współpracowali od samego początku.

Ravallo zauważył wyczekujący wyraz twarzy Szkota, który czekał na dalsze wyjaśnienia. Potrząsnął głową.

— Zapomnij o tym, Mac. Niech twoi poinformują cię o wszystkim. Ja nie mam ochoty nadstawiać karku. Nie tylko oberwałoby mi się od zwierzchników, ale w dodatku wezwałby mnie na dywanik wiceadmirał Starr. A z tego, co słyszę, lepiej z nim nie zadzierać.

— Warczy głośno, ale nie gryzie.

— No cóż, wolę, żeby na mnie nie warczał — odparował Ravallo. — Wierz mi, wkrótce dowiesz się wszystkiego. Musisz, jeśli ta operacja ma się powieść. Najważniejsze jest dobre zgranie w czasie. Tylko tyle mogę ci teraz powiedzieć.

— W porządku — ustąpił McIndoe.

— A więc, co to za faceci? — spytał Amerykanin, gdy pierwszy z agentów SOE pojawił się w otwartych drzwiach kabiny.

McIndoe uśmiechnął się pod nosem na widok mężczyzny, który rzucił plecak żołnierzowi z obsługi naziemnej, zanim zeskoczył na ziemię. Był to krępy, niski trzydziestolatek o gęstych, czarnych włosach wybrylantynowanych i zaczesanych do tyłu.

— To sierżant Cliff Evans, ale wszyscy nazywają go po prostu „Taffy”. On trzyma ludzi w ryzach. Jest także najlepszym specem od materiałów wybuchowych, jakiego mamy w firmie. Prowadzi własny interes w Swansea. Z dużym powodzeniem, pod każdym względem, chociaż nie uwierzyłbyś w to widząc, jak w barze wszystkim stawia kolejkę. A powiadają, że my, Szkoci, jesteście skąpi.

W drzwiach pojawił się następny mężczyzna i zwinnie zeskoczył na ziemię. Był wyższy od Evansa, miał pociągłą twarz, cienki wąsik i kręcone czarne włosy.

— Bruce Hillyard — oznajmił McIndoe. — Jest zawodowym akrobatą.

— Chcesz powiedzieć, że występuje w cyrku? — zdziwił się Ravallo.

— Zgadza się. Znany jako „Pająk”. Jeśli potrzebujesz kogoś, kto umie wspiąć się na wieżę wartowniczą i bezszelestnie zdjąć strażnika, Bruce jest odpowiednim człowiekiem. Idealny cichy zabójca.

Z samolotu wyłoniła się trzecia postać: wysoki, tyczkowaty mężczyzna o ponurej twarzy i rzadziejących ciemnoblonde włosach. Liczący sobie trzydzieści osiem lat Johnson był najstarszym członkiem grupy. — A to Neville Johnson — rzekł McIndoe. — Nauczyciel z Nottingham. Jest tak skwaśniały, jak na to wygląda.

— Czy on też ma jakieś specjalne zdolności?

— Bardzo specjalne: fotograficzna pamięć. Jak się pracuje z Neville’em za linią frontu, nie trzeba nosić przy sobie żadnych obciążających dokumentów. Neville ma je wszystkie w pamięci. Najbardziej szczegółowa mapa, jaką jesteś sobie w stanie wyobrazić. Szczegółowy wykaz nieprzyjacielskich jednostek i wyposażenia — dla niego to bez różnicy. Ma wszystko poukładane tutaj — McIndoe dotknął głowy. — Możesz spać spokojnie wiedząc, że jego pamięć nigdy nie zawodzi.

— Wydaje się, że to nieoceniony gość — przyznał Ravallo.

— Jeden z najbardziej rozchwytywanych agentów firmy. Wszyscy chcą z nim pracować.

McIndoe ponownie spojrzął w otwarte luk i jego wargi powoli rozciągnęły się w uśmiechu. Z samolotu wyłonił się ostatni członek zespołu: mężczyzna około trzydziestki, o śniadej, nieogolonej twarzy, z grzywą niesfornych włosów.

— A to jest *monsieur* Georges Passiere. Bardziej leniwego sukinsyna jeszcze nie miałeś szczęścia spotkać — rzekł z dobrodusznym chichotem.

— Francuz?

— Dwa lata temu został zwerbowany od Wolnych Francuzów. Znam Georges’a dłużej niż pozostali. Kilka razy byliśmy w niezłych opałach. Jak już powiedziałem, jest nieprawdopodobnie leniwy. Jeśli nie możesz znaleźć Georges’a, pierwszym miejscem, gdzie powinieneś go szukać, jest najbliższe łóżko. W życiu nie znałem nikogo, kto by tyle spał. Jest niewiarygodny.

— Wygląda na to, że będzie bardzo użyteczny. — Ravallo skrzywił się pogardliwie.

— Jest kawalerem *Croix de Guerre* i najlepszym radiooperatorem, jakiego mamy w firmie — odparował McIndoe. — Tego, czego on nie wie o alianckich, niemieckich czy włoskich radiostacjach, nie warto wiedzieć. Pewnie, przeważnie śpi, ale swoje obowiązki pełni równie profesjonalnie, jak każdy członek zespołu. Tak więc nie lekceważ go, Nicky. Przynajmniej nie w mojej obecności.

— Już będę grzeczny.

— *Comment vas-tu, patron?* — zawołał wesoło Passiere do McIndoe, gdy cała czwórka podeszła do oczekujących.

— *Bien, bien* — odrzyknął McIndoe, ściskając wyciągniętą rękę Passiere'a.

Ten uśmiechnął się złośliwie, zerkając na Ravalla.

— Jego włoski może i jest doskonały, ale francuski... No, nad tym musi jeszcze sporo popracować.

McIndoe uściskał dłonie pozostałych, po czym przedstawił ich Ravallowi.

— A więc skąd pan pochodzi, majorze? — spytał Hillyard.

— Z Nowego Jorku. I mówcie mi Nicky.

— Masz to jak w banku, Nicky — odparł Hillyard z uśmiechem.

McIndoe przeklął w duchu Ravalla, bo Hillyard spoglądał na niego, jakby oczekiwał, że pójdzie za przykładem Ravalla i każe mówić do siebie „Sam” lub „Mac”. Prędzej szlag go trafi. A jeśli im się nie podoba, to ich pech...

— A więc, co tutaj robimy, szefie? — spytał Evans ze swoim miękkim, walijskim akcentem.

— Nie wiem — odrzekł McIndoe. — Wiceadmirał Starr jeszcze mi nie powiedział.

— Starr jest tutaj? — zdziwił się Hillyard. — To musi być coś naprawdę ważnego, skoro zmusiło go do opuszczenia Baker Street.

— Czy pan wie, dlaczego tu jesteśmy, majorze? — zapytał Johnson.

— Nie, nie wie — uciał McIndoe, zerkając z ukosa na Amerykanina. — Nie ma pojęcia, tak samo jak ja.

— Taa, zgadza się — przytaknął Ravallo. — I mówcie mi Nicky.

— Tak jest, panie majorze — mruknął Johnson. McIndoe wiedział, że Johnson jest jedynym członkiem grupy, który nigdy nie zwróci się do Ravalla po imieniu. Jemu także zawsze „porucznikował”. Będzie czuł respekt dla starszych stopniem. Johnson, pobożny człowiek, znany z rygorystycznego stosunku do uczniów, bez trudu dostosował się do hierarchicznej struktury obowiązującej w wojsku. Evans i Hillyard nazywali swego dowódcę „szefem”, a Passiere w obecności innych mówił do niego *patron*, chociaż gdy byli sami, czasem nazywał go „Sam”.

— Jak minął lot z Gibraltaru? — zapytał McIndoe.

— No, nie licząc nieustannego gładzenia Hillyarda, całkiem przyjemnie — odparł Evans.

— Ktoś musiał podtrzymywać was na duchu — rzekł wesoło Hillyard.

— Szef sztabu powinien wykorzystać cię jako tajną broń i wpuścić między Niemców — stwierdził Johnson, potrząsając głową. — Woleliby poddać się, niż słuchać twojej gadaniny.

— Chyba powinien wysłać raczej ciebie — prychnął Hillyard. — Szkopy błagałyby o litość, gdyby musiały przez cały boży dzień oglądać twoją paskudną facjatę.

— No cóż, lepiej zadzwonię i dam znać wiceadmirałowi Starrowi, że już jesteście — powiedział McIndoe. — Jestem pewien, że zabawicie majora Ravalla podczas mojej nieobecności.

— Zostawimy to zadanie tej parze wesołków. — Evans wskazał kciukiem na Hillyarda i Johnsona. — Ja chętnie łyknąłbym kielicha. Zaschło mi w gardle.

— Stawiasz? — zapytał Ravallo z jowialnym uśmiechem.

— W firmie jest taki zwyczaj, że nowy stawia pierwszą kolejkę — szybko skontrolował Evans.

— A gdyby to zależało od Taffy'ego, to również wszystkie następne — dodał sucho Hillyard.

McIndoe uśmiechnął się do swoich myśli, patrząc, jak idą w kierunku mesy, a potem żwawo pomaszerował do Winstanleya złożyć telefoniczny raport Starrowi.

3

— Jego Lordowska Mość chce cię widzieć — powiedziała Janet Cross do McIndoe, kiedy przedstawił jej Ravalla. — Samego.

— To brzmi groźnie — rzekł McIndoe.

— Muszę cię ostrzec, że w tej chwili nie jest w swoim najlepszym humorze — dodała. — Wpadł w zły nastrój po telefonie od podpułkownika Winstanleya.

— Lepiej powiedz mu, że już tu jestem.

Kiedy Janet zapukała do drzwi gabinetu wiceadmirala, Ravallo położył rękę na ramieniu McIndoe.

— Pamiętaj, Mac, on głośno warczy, ale nie gryzie.

— Widocznie nigdy nie słyszałeś jego warczenia — odparł McIndoe, po czym wszedł za Janet do gabinetu.

— Dziękuję, Janet, to wszystko — burknął Starr i zaczekał, aż zamknęła drzwi za sobą, zanim zwrócił się do McIndoe: — Odebrałem wcześniej telefon od podpułkownika Winstanleya z bazy lotniczej w Luqa. Wyraźnie uważa cię za kogoś w rodzaju bohatera po twoich dzisiejszych wyczynach. Prawdę mówiąc, nawet chce, żebym przedstawił cię do odznaczenia.

— Nie przeceniałbym tego...

— Ja też nie! — zagrzmiał Starr, przerywając mu w pół słowa. — Chętnie zawiesiłbym cię w obowiązkach, gdybyś nie był potrzebny do przeprowadzenia tej akcji. A gdyby ci się coś stało, kiedy odgrywałeś bohatera? To by zagroziło całej operacji. Jesteś najstarszym stopniem agentem, jakiego mamy w rejonie Morza Śródziemnego. Dlatego ściągnąłem cię z Włoch. Nie zrobiłem tego, żebyś biegał po jakimś lotnisku i strzelał sobie do nieprzyjacielskich samolotów.

— Panie admirale, z całym szacunkiem, ale obsługa działa padła i gdybyśmy nie zrobili tego, co zrobiliśmy, stukas wyłączyłby pas startowy z użytku do końca dnia — bronił się McIndoe.

— Rozumiem, że to może cię zaszokować, McIndoe, ale personel naziemny Ta'Qali potrafił bronić się przed tymi nalotami Luftwaffe przez ostatnie dwa lata bez twojej pomocy. I mógłbym dodać, że bardzo skutecznie. — Starr przerwał, a potem podjął już bardziej umiarkowanym tonem: — Twoje szkolenie kosztowało mnóstwo czasu i pieniędzy. Jesteś teraz członkiem doborowego zespołu, a nie artylerzystą z bazy lotniczej. Pamiętaj o tym, kiedy następnym razem przyjdzie ci ochota zostać bohaterem.

— Tak jest, panie admirale — odparł McIndoe, zaciskając wargi. Starr nie doczeka się innych przeprosin. A zresztą, za co miałby przepraszać? Chociaż wcale nie zaskoczyła go reakcja wiceadmirala, bo w firmie dobrze wiadano, że Starr lubił oszczędzać swoich doświadczonych agentów, chyba że chodziło o jakieś paskudne zadanie, którego nikt inny nie mógł się podjąć.

— Co myślisz o majorze Ravallu? — zapytał Starr, otwierając szufladę biurka i wyjmując skórzany kapciuch z tytoniem.

— Czy mogę mówić szczerze, panie admirale? Starr spojrział na niego i skinął głową.

— Wiesz, że to zostanie między nami. O co chodzi? Nie możecie się dogadać?

— Nie, panie admirale — szybko zapewnił McIndoe. — Prawdę mówiąc, nieźle dogadałem się z Nickym.

— Nicky? — powtórzył Starr, krzywiąc się, jakby właśnie ugryzł plasterek szczególnie kwaśnej cytryny. — Tak kazał się nazywać?

— Powiedział wszystkim, żeby mówili mu Nicky, panie admirale.

— Ci Amerykanie są całkowicie pozbawieni poczucia hierarchii — prychnął pogardliwie Starr. — Wielki Boże, przecież on jest oficerem. Czy to nie ma dla niego żadnego znaczenia?

— Musiałby pan sam go o to zapytać, panie admirale — odparł McIndoe, ubawiony tym, że obojętność Ravalla wobec wojskowego regulaminu tak ubodła Starra.

— Nie mam zamiaru! — warknął urażony wiceadmiral. — Zaraz, chciałeś powiedzieć coś o tym... majorze Ravallu?

— To urzędnik, panie admirale. To będzie jego pierwsze zadanie. Jeśli ta operacja jest tak ważna, czy nie powinniśmy nalegać, żeby Amerykanie przysłali nam kogoś, kto ma doświadczenie?

— Ty masz doświadczenie, McIndoe — rzekł Starr, ubijając tytoń w cybuchu.

— Innymi słowy, mam go taszczyć, tak? — padła gniewna odpowiedź.

Starr uniósł brwi na ten ton, lecz milczał, dopóki nie zapalił fajki.

— Czy major Ravallo ci powiedział, że był w Pearl Harbour, kiedy Japończycy w grudniu ubiegłego roku zaatakowali bazę?

— Tak, panie admirale.

— Czy powiedział ci też, że został odznaczony Orderem Kongresu za wyciągnięcie dwóch rannych artylerzystów pod ostrzałem japońskich myśliwców?

— Nie, panie admirale — odparł zdziwiony McIndoe.

— Może nie ma doświadczenia w terenie, z tego jednak, co słyszałem, możesz być pewny, że zrobi swoje. — Starr podniósł słuchawkę i zadzwonił do sekretariatu. — Janet, poproś majora Ravalla, żeby tu przyszedł, dobrze?

Słuchał przez chwilę, a potem rozsiadł się w fotelu.

— Ach, on też przyszedł? Wspaniale. Niech wejdą obaj.

Kiedy otworzyły się drzwi, McIndoe obejrzał się i uśmiechnął na widok człowieka idącego za Ravallem. Podporucznik Charles Higgins był dwa lata starszy od McIndoe, miał grzywę jasnoblonde włosów i chłopięcą urodę, która nieodmiennie ściągała pełne podziwu spojrzenia kobiet, gdziekolwiek się ruszył. Tyle że jego niewiele to obchodziło; był szczęśliwie żonaty od dziesięciu lat i miał córkę, która była jego oczkiem w głowie. Higgins oficjalnie służył w Special Boat Squadron — SBS — ale został „wypożyczony” SOE na jedną akcję. Od tej pory minęło już dziesięć miesięcy, a on nadal pozostawał w szeregach SOE. Nikt nie wiedział, jak Starr zdołał zatrzymać go tak długo, nikt jednak się na to nie skarżył — niewielu ludzi potrafiło pilotować łódź torpedową ze zręcznością i wprawą Charliego Higginsa. McIndoe mógł to poświadczyć, ponieważ już kilkakrotnie brali wspólnie udział w tajnych operacjach.

— Znasz porucznika McIndoe, prawda? — zwrócił się Starr do Higginsa.

— Tak jest, panie admirale — odparł Higgins, mocno ściskając rękę Szkota. — Miło mi znów cię widzieć, Mac.

— Mnie również. Jak rodzina?

— Świetnie, dziękuję. Mała Emma ma już siedem lat. — Higgins się uśmiechnął. — Robi się po prostu nieznośna.

— Mogę w to uwierzyć — powiedział McIndoe, a potem odwrócił się z powrotem do Starra i wskazał na Ravalla. — To jest major Ravallo, panie admirale.

— Dziękuję, poruczniku, ale zdążyłem już się tego domyślić — Starr groźnie zmarszczył brwi. Krótkim skinieniem głowy powitał Amerykanina. — Witamy na pokładzie, majorze.

— Miło mi. Dopóki pamiętam: jeden z moich zwierzchników, generał Harry Liebowitz, prosił, żebym panu przypomniał, że nadal ma pański weksel na dwadzieścia dolarów, które przegrał pan w pokera, kiedy ostatnio był pan w Waszyngtonie.

— A, tak — mruknął Starr. Poruszył się niespokojnie w fotelu i odchrząknął. — Przysuńcie sobie krzesła i siadajcie — burknął, machnięciem ręki wskazując w kierunku krzeseł pod ścianą.

— W pokera? — szepnął ze zdumieniem Higgins do McIndoe, gdy brali krzesła. — W brydża, mogę uwierzyć. Ale w pokera?

McIndoe zasłonił usta dłonią, tłumiąc śmiech, zrobił głęboki wdech, postawił krzesło przed Starrem i usiadł, unikając spojrzenia Higginsa.

— Papierosa, Nicky? — zapytał Higgins, podsuwając paczkę Ravallovi.

— Próbuję rzucić to cholerstwo — odparł Ravallo, ale szybko powstrzymał częstującego, zanim ten zdążył schować paczkę do kieszeni. Uśmiechnął się i wziął jednego. McIndoe też się poczęstował.

Starr zaczął, aż wszyscy zapalą.

— No cóż — powiedział wreszcie — skoro już wszyscy usadowiliście się wygodnie, może wysłuchalibyśmy pańskiego raportu, Higgins?

— Tak jest, panie admirale — Higgins wyjął jakiś skoroszyt z podniszczonej teczki, którą przyniósł ze sobą. Położył akta na kolanach i przeczuciwszy kilka zapisanych na maszynie kartek, wyłowił jakąś kopię, którą podał McIndoe. — Poznajesz, Mac? — zapytał, kiedy Szkot rozwinął rysunek.

— Pewnie, to schemat MTB.

— MTB? — zainteresował się Ravallo, zerkając na kserokopię w rękach McIndoe.

— Ścigacz torpedowy — wyjaśnił mu Higgins. — W Stanach nazywacie je kutrami patrolowymi.

— Teraz rozumiem — powiedział Ravallo. — A co jest takiego szczególnego w tym... MTB?

— Nic szczególnego. To nasz standardowy sześćdziesięciostopowy Vosper — rzekł Higgins, po czym wyjął z teczki drugą odbitkę i podał Szkotowi. — Ta sama łódź po kilku zasadniczych przeróbkach.

— Pozostał z niej prawie sam kadłub — stwierdził McIndoe, porównując odbitki.

— Dla nie wtajemniczonych: tak. Jednak to, co tu widzimy, to MTB pozbawiona wszystkiego oprócz najważniejszego wyposażenia. Kuchnia i kabina nawigatora zostały całkowicie opróżnione, a w sterówce pozostawiono tylko minimum przyrządów nawigacyjnych. W kabynie radiooperatora zainstalowano radiostacje krótkiego i dalekiego zasięgu, a maszynownia została zmodyfikowana tak, aby ograniczyć do minimum obsługę. Jak wiesz, jedyną poważną wadą MTB jest jej ograniczony zasięg, ze względu na wysokie zużycie paliwa. Wyeliminowano i ten mankament. Trzy amerykańskie silniki Packarda zastąpiono dwoma mniejszymi, lekkimi silnikami Rolls-Royce'a, specjalnie przygotowanymi dla tej łodzi przez ten sam zespół, który zaprojektował silnik Hurricane'a. Zużywają mniej paliwa zarówno od Packardów, jak i od brytyjskich Hall-Scottów, instalowanych na pierwszych MTB. Trzy główne zbiorniki paliwa pozostawiono nietknięte, ale dwa rezerwowe wymontowano. No i, jak widzisz, karabiny maszynowe Vickersa nadal są na dziobie i sterburcie, a jedno z dwóch dwudziestomilimetrowych działek przeciwlotniczych znajdziesz na rufie. Wszystkie pozostałe elementy uzbrojenia usunięto. Włącznie z torpedami, oczywiście.

— Innymi słowy, ma rozwijać jak największą szybkość.

— O to chodzi, Nicky. Szybkość — potwierdził Higgins. — Normalna MTB może na otwartym morzu rozwijać prędkość około czterdziestu węzłów. Ta ślicznotka już na kanale wyciągnęła pięćdziesiąt. A niemiecka *Schnellboote*, odpowiednik naszej MTB, osiąga do trzydziestu sześciu węzłów. No cóż, może tu mniej uzbrojenia jak na *Schnellboote*, ale z piętnastu węzłów przewagi na morzu może być tyle samo pożytku. A ponieważ MTB jest lżejsza, manewrowanie nią w przypadku ataku torpedowego również będzie o wiele łatwiejsze.

— Czy te silniki będą teraz standardowym wyposażeniem waszych MTB? — zapytał Ravallo.

— Niestety, nie — odparł Higgins. — Te silniki Rolls–Royce’a zostały skonstruowane specjalnie dla takiej lekkiej, zwrotnej jednostki. Mają zbyt małą moc dla w pełni wyposażonej MTB. Jednak nie można powiedzieć, że nie próbowaliśmy.

— My? — spytał podejrzliwie McIndoe.

— A jak myślisz, kto by wyciągnął na niej pięćdziesiąt węzłów, nie zacierając silnika? — odrzekł Higgins z krzywym uśmiechem.

— Powiniennem się domyślić — mruknął McIndoe, a potem popatrzył na Starra. — Czy to prototyp SOE, panie admirale?

— Nie, ściśle rzecz biorąc, należy do SBS. My, że tak powiem, pożyczaliśmy ją od nich na kilka dni. SBS był bardzo życzliwie usposobiony do naszego planu.

— Jak się to panu udało, panie admirale? — dociekał zdumiony McIndoe. — SBS zawsze bardzo dba o swój sprzęt, szczególnie prototypowy.

Starr pykał chwilę fajeczkę, zanim odpowiedział:

— W tym przypadku nie tyle chodziło o to, kogo tam znam, lecz co o nim wiem. Poprzestaśmy na tym, dobrze?

— Chce pan powiedzieć, że ich pan zaszantażował? — zachichotał Ravallo.

— Wolę myśleć, że doszliśmy do rozsądnego porozumienia, majorze — odparł Starr. — Zapewniłem ich, że podporucznik Higgins złoży szczegółowy raport o wadach i zaletach tej jednostki, żeby mogły go sobie przestudiować te ich gryziopórki w Londynie. Tylko na tym skorzystają. Reasumując, powiedziałbym, że to dla nich bardzo korzystna umowa.

— Gdzie jest teraz ta MTB? — spytał McIndoe.

— Przycumowana w jednym z hangarów w bazie łodzi podwodnych na Manoel Island — powiedział Higgins. — Nie mogliśmy ryzykować i zostawić ją pod gołym niebem w porcie, który zbiera takie cięgi od szkopskich bombowców.

— Panie admirale, jeszcze nie powiedział nam pan nic o tej operacji — stwierdził McIndoe, oddając odbitkę Higginsowi, a w jego głosie było slychać nutę irytacji.

Starr otworzył leżącą przed nim teczkę.

— Amerykanie mają obecnie na Sycylii agenta, który zbiera informacje o fortyfikacjach, które Niemcy od kilku miesięcy budują na wyspie. Waszym pierwszym zadaniem będzie popłynąć dziś w nocy na Sycylię i sprowadzić tego agenta na Malte, żeby złożył wyczerpujący raport. Dopiero wtedy będę wiedział, jak przeprowadzić następną fazę operacji.

— Zakładam, że znasz tego faceta? — zapytał McIndoe, zerkając na Ravalla.

— Facetkę — poprawił go major. — No tak, znam ją całkiem dobrze.

— Kobieta? — zdziwił się McIndoe.

— Porucznik Stella di Mauro. Jest naszą najlepszą agentką na Sycylii.

— Włoszka? — prychnął pogardliwie McIndoe. — Mogłem zgadnąć. Mam nadzieję, że dobrze jej płacicie za te informacje?

— A co to, do diabła, ma znaczyć?! — zawołał Ravallo, zrywając się na równe nogi.

— Majorze Ravallo, proszę usiąść! — rozkazał Starr.

— Nie przybyłem tu słuchać, jak pańscy ludzie obrażają moich towarzyszy — warknął Ravallo odwracając się do Starra. — Stella ryzykuje życie, żeby zdobyć potrzebne wam informacje. Chyba zasługuje na odrobinę szacunku, prawda?

— Przykro mi, Nicky. Niepotrzebnie to powiedziałem — rzekł McIndoe i położył dłoń na ramieniu Ravalla.

Ten wyszarpnął rękę, mierząc go wściekłym spojrzeniem.

— Stella może i urodziła się na Sycylii, ale teraz jest obywatelką Stanów Zjednoczonych, tak samo jak ja. I jest cenioną agentką MI, a żołd otrzymuje taki sam jak wszyscy. Jesteś zadowolony?

— Zeszłej nocy porucznik McIndoe został zdradzony przez jakiegoś partyzanckiego dowódcę — powiedział Starr. — Gdyby Royal Navy nie interweniowała w porę, nie siedziałby tu teraz, przepraszając za swoją nietaktowną uwagę. Nie zdarzyło mu się to po raz pierwszy i pewnie nie ostatni. Wiem, że ogromna większość partyzantów oddałaby życie za wolność ojczyzny, ale kiedy człowiek raz się sparzy, zaczyna być trochę cyniczny. To niebezpieczeństwo związane z pracą w terenie, majorze.

Mitygujące słowa Starra dotarły do Ravalla. Gestem uniesionej dłoni pokazał Szkotowi, że go rozumie.

— Chyba masz prawo być podejrzliwy. Chodzi o to, że Stella... — zamilkł i wzruszył ramionami.

McIndoe był wściekły na siebie, że dał głośno wyraz swoim uczuciom. To nie leżało w jego naturze. Starr miał rację, wszystko przez tę niedawną potyczkę z gestapowcami. Nadal boleśnie odczuwał gorycz zdrady. Profesjonalista jednak tak się nie zachowuje. Wiedział, że Starr powie mu później na ten temat kilka ostrych słów, ale odsuwając od siebie tę myśl, już zaczął się zastanawiać, czy gorąca obrona Ravalla była spowodowana czymś więcej niż zawodowym szacunkiem dla koleżanki. „Chodzi o to, że Stella...” Czyżby Ravallo miał zamiar wyjawic im jakieś prywatne sprawy, a potem zmienił zdanie? Chociaż zaintrygowany, McIndoe wołał więcej nie poruszać tej sprawy.

— Opuście Manoel Island dzisiaj o dwudziestej drugiej i spotkacie porucznik di Mauro na sycylijskim brzegu jutro, o dziesiątej rano — powiedział Starr. — Higgins ma współrzędne miejsca spotkania. Majorze, pan i porucznik McIndoe zameldujecie się u mnie po powrocie z porucznik di Mauro. Proponuję, żebyście teraz poinformowali o zadaniu resztę grupy i przespali się kilka godzin.

Zamknął teczkę.

— Dziękuję, panowie, to na razie wszystko. Powodzenia.

— Dziękuję, panie admirale. — McIndoe wstał i odstawił krzesło pod ścianę.

— McIndoe, zostań jeszcze na słówko — zawołał Starr, gdy trzech oficerowie zmierzali do drzwi.

McIndoe zamknął je za Ravallem i Higginsem. Odwracając się do Starra, nagle poczuł się jak niegrzeczny uczeń, oczekujący kary w gabinecie dyrektora.

— Wiem, że ta uwaga była niepotrzebna, panie admirale. To się już nie powtórzy — powiedział.

— Może zbyt szorstka, ale w tych okolicznościach to zupełnie zrozumiałe — odparł Starr ku jego zdumieniu. — Mówiłeś to, co myślisz, a wiesz, że ja to lubię. Prawdę mówiąc, nigdy nie spotkałem porucznik di Mauro, ale o ile wiem, kierownictwo MI uważa ją za doskonałą agentkę. Nie, nie o tym chcę z tobą porozmawiać. Uznałem, że powinieneś wiedzieć, że już spełniłem żądanie podpułkownika Winstanleya i przekazałem twoje dane do Ministerstwa Wojny, na listę przedstawionych do odznaczeń.

— Dziękuję, panie admirale — wykrztusił McIndoe, niebotycznie zdumiony niespodziewaną woltą Starra, który dopiero co objeżdżał go za udział w obronie lotniska.

— Nie zrozum mnie źle, McIndoe, to wcale nie oznacza, że pochwalam twoje postępowanie — szybko zapewnił go Starr. — To było z twojej strony cholernie głupie i nieodpowiedzialne. Dalej tak myślę. Nie mam jednak zamiaru pozwolić, aby moje osobiste uczucia zmniejszyły

twoje szansę na medal za odwagę, szczególnie po pochwałach, jakich nie szczędził ci pułkownik Winstanley.

— Doceniam to, panie admirale. I dziękuję.

— To wszystko, McIndoe — powiedział Starr, a potem zajął się aktami na swoim biurku.

— A oto i ona — oznajmił Higgins, teatralnym machnięciem ręki wskazując na łódź. — Oficjalnie znana jako Prototyp sto czterdzieści dziewięć.

Smukły, opływowy, sześćdziesięciostopowy okręt kołysał się lekko na oleistej wodzie oświetlonej podziemnej groty, a drobne fale łagodnie pieściły jego kadłub. Nadbudówka, pokład, antena radiowa, broń, niewielki opancerzony mostek umieszczony przed masztem radiowym — wszystko było tu pomalowane matową, czarną farbą, zdającą się pochłaniać blask lamp. Nad jedynym maleńkim oknem umieszczono osłonę. Idealny kamuflaż do nocnych rejsów.

— Ilu członków liczy załoga maszynowni? — spytał Passiere.

— Dwóch. Główny mechanik i jego pomocnik, pełniący również funkcję palacza — odparł Higgins. — Im mniej ludzi, tym większa szybkość.

— To niezłe. Gdyby to była standardowa MTB, potrzebowalibyśmy dwóch maszynistów więcej — zauważył Passiere.

— Ale to nie jest standardowa MTB, Frenchy! — przypomniał mu Higgins. Passiere'a nazywano „Frenchy”, od kiedy znalazł się w szeregach SOE. Dopiero po kilku miesiącach odkrył, ku swemu przerażeniu, że jego pseudonim w angielskim slangu oznacza prezerwatywę! Jednak im zacieklej walczył z tym przezwiskiem, tym mocniej do niego przywierało. Teraz miał za sobą już osiemnaście miesięcy służby i chociaż nie lubił swojego przydomka, nauczył się z nim żyć.

McIndoe patrzył, jak Higgins wchodzi na pokład MTB, a potem sam wspinał się po metalowych szczeblach do sterówki. Tak jak wszyscy, miał na sobie czarny golf i czarne flanelowe spodnie, a pod jeden naramiennik wetknął zwiniętą czarną chustę. Spojrzał nad dachem sterówki na wieżyczkę łodzi podwodnej Royal Navy, „Unique”, przycumowanej w głębi ogromnej podwodnej groty. Drugi okręt podwodny, „Ursula”, stał na kotwicy tuż za nią. „Ursuli”, zaskoczony na powierzchni i ostrzelanej, niemiecki U-boot lekko uszkodził wieżyczki i teraz kilkunastu mechaników Royal Navy uwijało się gorączkowo, próbując usunąć uszkodzenia przed świtem, żeby jednostka mogła wziąć udział w ataku na mały niemiecki konwój, który płynął do Afryki z paliwem i amunicją dla oddziałów Rommla. McIndoe zastanawiał się, gdzie był teraz okręt podwodny „Unbeaten”. Czy przeczekiwał noc w zanurzeniu opodal Manoel Island, czy też patrolował głębiny Morza Śródziemnego, próbując dodać coś do dwudziestu pięciu tysięcy ton niemieckiego tonażu, który dotychczas posłał na dno?

— Zamierzasz stać tutaj całą noc, Mac? — zawołał dobrodusznie Higgins z drzwi sterówki.

Dopiero wtedy McIndoe zauważył, że inni są już na pokładzie. Uśmiechnął się ze skruchą do Higginsa i wszedł na statek.

— Cumy rzuć! — zawołał Higgins, a potem spojrzał na Evansa, który już zajął miejsce za obrotowym reflektorem umocowanym na dziobie. — Znasz zasady, Taffy. Uważaj na miny.

— Możesz na mnie liczyć, Charlie — zapewnił go Evans. Higgins wezwał Hillyarda i Johnsona i pokazał im dwa reflektory przymocowane do pokładu po obu stronach sterówki.

— Macie je obsadzić i wypatrywać min, aż wypłyniemy z Grand Harbour. Nie obchodzi mnie, jak bardzo wydadzą się wam oddalone; jeśli jakąś zobaczycie w świetle reflektora, to już będzie zbyt blisko.

Ravallo zaczekał, aż Johnson i Hillyard odeszli na swoje stanowiska, i wdrapał się po drabince do sterówki.

— Jak poważne jest tu niebezpieczeństwo wpadnięcia na minę?

— Dość poważne — rzekł Hillyard, uruchamiając silnik. — Szkopy przy każdym nalocie zrzucają miny magnetyczne. I po każdym nalocie jednostki obrony wybrzeża wypływają i wysadzają wszystkie miny, które zdołają znaleźć, ale i tak zawsze kilka prześlizgnie się przez sieć. Dlatego musimy czuwać. Jeśli dostrzegą minę odpowiednio wcześniej, można ją będzie zdetonować, zanim wyrządzi większe szkody.

— A kto jest naszym strzelcem wyborowym? — zapytał Ravallo.

— Mac — odparł Higgins, wskazując na Szkota, który cicho stanął w drzwiach sterówki za plecami Ravalla.

— Mogłem zgadnąć. — Amerykanin odwrócił głowę.

McIndoe był uzbrojony w karabin Lee Enfielda, pobrany z małego, ale dobrze zaopatrzonego arsenału, który mieścił się pod pokładem w dawnej kuchni. Już rozejrzał się po okręcie. Po południu, kiedy inni odpoczywali, namówił Higginsa, żeby go po nim oprowadził.

— No cóż, lepiej zejść na dół na wypadek, gdybym był tam potrzebny — rzekł McIndoe, zamykając za sobą drzwi sterówki i schodząc po stopniach na pokład. Przeszedł na dziób. Evans skierował potężny reflektor na mętną wodę, chociaż okręt jeszcze nie opuścił bezpiecznego schronienia jaskini. McIndoe zerknął na sterówkę, ale z miejsca, gdzie stał, nie mógł dostrzec Ravalla. Ledwie rozmawiali ze sobą po incydencie w gabinecie Starra. A jednak nie wyczuwał żadnej wrogości w Ravallu, kiedy grupa płynęła łodzią z wyspy do podziemnej groty na Manoel Island. Oczywiście nie siedzieli w łodzi obok siebie — Ravallo sprytnie wybrał miejsce między Evansem a Passiere'em, podczas gdy on musiał wysłuchiwać smętnych narzekań Johnsona, który tego popołudnia, obudzony przez kolejny niemiecki nalot na Vallettę, nie zdołał ponownie zasnąć. McIndoe odetchnął z ulgą, gdy dobili do Manoel Island — zapomniał, jak irytujące mogą być narzekania Johnsona, a tu nie można było przed nimi umknąć.

Czy Ravallo wciąż złościł się na niego za krytyczną uwagę o Stelli di Mauro? Trudno powiedzieć. Wydawał się tym samym wesołym kompanem, gdy śmiał się i żartował z Evansem i Passiere'em. Jednak wcześniej, na lotnisku McIndoe widział, z jaką łatwością Amerykanin potrafi zmieniać swoją osobowość, i nie był już pewny, co tamten czuje i myśli. Przesadzasz, powiedział sobie szybko, ale nie mógł pozbyć się wrażenia, że beztronski sposób bycia Ravalla służy do ukrycia czegoś. Czy chodziło o Stellę di Mauro? Czy miało jakieś znaczenie? A nawet jeśli coś między nimi było? To nie jego interes... chyba że zagroziłoby całej operacji.

MTB powoli wypłynął z jaskini na spokojne wody Grand Harbour. McIndoe obserwował z podziwem zapierający dech w piersi widok: tysiące smug reflektorów przeszywały mrok nad wyspą, włączniewnie oślepiającego światła nieustannie krzyżowały się ze sobą. Istny taniec duchów, strzegących nocnego nieba przed złem. Zabłąkane smugi krzepiąco omiały od czasu do czasu okręt, który ostrożnie płynął w kierunku falochronu, po wodzie tak jasno oświetlonej odbłaskiem reflektorów, że światła szperaczy stały się na razie zupełnie zbędne.

— Mina przed nami! — zawołał Evans do Higginsa w sterówce. McIndoe skłął się w duchu za to, że niezwykle gobelin utkany ze światła nad wyspą pochłonął jego uwagę. Szybko powiódł wzrokiem w kierunku wskazywanym przez Evansa. Niecałe pięćdziesiąt jardów przed dziobem groźnie podskakiwała na falach mina. Podniósł karabin do ramienia.

— Mina! — rozległ się nagle ostrzegawczy okrzyk Hillyarda na sterburcie.

McIndoe usłyszał niepokój w jego głosie i natychmiast pobiegł ku niemu. Hillyard drewnianym drągiem delikatnie odpychał drugą minę od burty statku.

— Dlaczego, do diabła, nie wypatrzyłeś jej wcześniej? — ofuknął go. — Jeszcze kilka sekund i byłoby po nas.

— Pływała w środku tej plamy smaru — tłumaczył się Hillyard, przytrzymując minę, podczas gdy Higgins ostrożnie manewrował okrętem.

— Szefie, to wygląda tak, jakby ten mały drań płynął za nami! — wrzasnął Evans. — Będzie pan musiał skrócić mu męki, zanim się zbliży.

— Popilnuję jej, Mac. Ty zajmij się tą.

McIndoe obejrzał się i zobaczył Ravalla, który uzbrojony w lee enfielda, biegł na dziób. Hillyard skrzywił się i nerwowo otarł pot z czoła, gdy drewniany drąg ześlizgnął się po obłym pancerzu miny; wiedział aż za dobrze, że te miny potrafią eksplodować przy najlżejszym wstrząsie. Nie odrywał oczu od niej i pilnował aż do rufy, przez cały czas ją odpychając. Wreszcie, zacisnąwszy zęby, oparł koniec drąga o korpus miny i odchylił głowę, jakby to mogło mu coś pomóc w razie eksplozji.

— Nieźle ci idzie, Bruce. Jeszcze kilka sekund i będę ją mógł ustrzelić — powiedział McIndoe, ocierając strużkę potu z kącika prawego oka.

Po porcie przetoczył się huk karabinowego strzału, a w sekundę później potężna eksplozja miny trafionej celnym strzałem Ravalla. Evans wydał radosny okrzyk, a Hillyard wściekle zaklął pod nosem, bo rozkołysana woda odepchnęła jego minę poza zasięg drąga. McIndoe szybko go uspokoił, kładąc mu rękę na ramieniu.

— Już ją minęliśmy. Możesz już ją puścić.

— Wcale nie zamierzam się o to spierać, szefie — powiedział Hillyard z wyraźną ulgą.

McIndoe zaczekał, aż łódź znajdzie się w bezpiecznej odległości od miny, przyłożył karabin do ramienia, wziął cel na muszkę i nacisnął spust. Mina eksplodowała, wzbijając gejzer wody, i obaj mężczyźni odruchowo cofnęli się o krok, gdy rozpylone krople wody smagneły ich po twarzach. Wtedy McIndoe zauważył, że Ravallo patrzy na niego.

— Dzięki za pomoc, Nicky — rzekł po prostu.

— Głupstwo — odparł Ravallo.

— Gdzie urzędnik może nauczyć się tak strzelać? — spytał McIndoe.

— W ramach podstawowego przeszkolenia.

McIndoe podszedł do metalowych schodów przy sterówce i usiadł na ostatnim stopniu.

— Nicky, przepraszam za to, co powiedziałem podczas odprawy.

— Zapomnij o tym — odrzekł Ravallo. — Wszyscy mówimy różne rzeczy pod wpływem emocji. Wiele przeszedłeś zeszłej nocy i miałeś prawo podejrzewać Stellę.

— Mimo to nie powinienem tak rozpuszczać gęby. Po tym jak stanąłeś w jej obronie, jest dla mnie jasne, że ty i Stella... — McIndoe umilkł, zmieszany. Już i tak za dużo powiedział.

— Co właściwie usiłujesz powiedzieć, Mac? — zapytał Ravallo, a na jego twarzy wykwił słaby uśmiech. — Myślisz, że stanąłem w obronie Stelli, bo to moja dziewczyna? Powiem ci, dlaczego bronilem jej dziś po południu: ponieważ mam dla niej najwyższy szacunek jako dla agentki. Jest prawdziwą profesjonalistką. Moim zdaniem, najlepszą, jaką mamy. A jestem jej oficerem prowadzącym na Gibraltarze.

— Chcesz powiedzieć, że kierujesz nią w MI?

— Kieruję, prowadzę... to jedno i to samo. Jeszcze małe ostrzeżenie, Mac. Ona nie oczekuje żadnych ulg z tytułu tego, że jest kobietą. Nie popełnij błędu i nie traktuj jej w białych rękawiczkach. Na pewno ci za to nie podziękuje. Pamiętaj o tym.

— Dobrze — zapewnił go McIndoe, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów i wkładając jednego w usta. Ravallo poczęstował się również. — Wiesz co, jeszcze nie widziałem, żebyś miał swoje — mruknął Szkot, podając mu ogień.

— A po co miałbym nosić przy sobie papierosy, skoro usiłuję rzucić palenie? — Ravallo pytająco uniósł brwi.

— Na to pytanie chyba nie ma odpowiedzi — rzekł McIndoe. Wstał i poszedł po schodkach do drzwi sterówki. Okręt już pozostawił za sobą port i zagrożenie minami zmalało. Mimo to reflektory nadal przeczesywały fale. Nie było sensu niepotrzebnie ryzykować. — Jak leci, Charlie? — spytał, wchodząc do środka.

— Dobrze — odparł Higgins, nie patrząc na niego. — Daliście ładny pokaz strzelania. Obaj.

McIndoe obejrzał się i ujrzał Ravalla stojącego w drzwiach sterówki. Przez moment zdumiał się, skąd Higgins nie odrywając oczu od wody wiedział, że Ravallo tu jest. Dopiero kiedy podszedł do steru, zobaczył odbicie Amerykanina w szybie.

— Mac, myślę, że jest coś, o czym powinieneś wiedzieć — przerwał milczenie Higgins. — To będzie mój ostatni rejs dla firmy. Jeśli doczekam do końca tej operacji, w przyszłym miesiącu wysyłają mnie do Afryki Północnej jako dowódcę tajnego oddziału SBS.

— Czy z tym wiąże się awans? — zapytał McIndoe z domyślnym uśmiechem.

— Dostanę porucznika — odrzekł Higgins.

W Royal Navy porucznik był odpowiednikiem kapitana armii.

— A więc będziesz ode mnie starszy stopniem, ty sukinsynu. Będę musiał ci salutować — roześmiał się McIndoe.

— Będę na to nalegał — Higgins też wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Ale powiem ci, że przeżyłem wspaniałe chwile, służąc w SOE. Na pewno będzie mi tego brakowało.

— Kiedy przyszedł rozkaz przeniesienia?

— Kiedy testowałem tę ślicznotkę w Anglii. Moi zwierzchnicy chcieli, żebym natychmiast objął obowiązki, ale Starr miał, oczywiście, inny pomysł. Tak więc uzgodnili, że dopiero po tej operacji przeniosą mnie do Afryki.

— Zasługujesz na to, Charlie. Prawdę mówiąc, to twój awans jest i tak mocno spóźniony.

— Ironia losu polega na tym, że moi nowi zwierzchnicy pomachali mi na zachętę awansem tylko po to, żeby ściągnąć mnie z firmy.

— Nie przejmuj się, koleś — wtrącił się Ravallo. — W dzisiejszych czasach zbyt wielu tych ważniaków z góry spędza całe dnie w schronach przeciwlotniczych, podczas gdy miliony niewinnych cywilów pozostaje na łasce nieprzyjacielskich bombowców. Nie, trzeba brać od nich, co się da.

— Daj spokój, chyba trochę przesadzasz — mitygował go McIndoe.

— Tak? — odrzekł Ravallo. — Szanuję każdego oficera, niezależnie od jego stopnia i stanowiska, który wydaje rozkazy na polu bitwy i jest gotów walczyć i w razie potrzeby umrzeć ze swymi ludźmi. Ale gardzę tymi, którzy zabawiają się w śmiercionośne gry wojenne z bezpiecznego miejsca w jakimś podziemnym bunkrze tysiące kilometrów od linii frontu. Przykro mi, jeśli to cię ubodło, Mac, ale zawsze nazywam rzeczy po imieniu.

— Na to wygląda.

— Mina za burtą! — krzyknął Evans.

— Ja się nią zajmę — Ravallo już ruszył do drzwi. Przystanął w progu i wyszczerzył zęby w uśmiechu. — Jezu, jak dobrze w końcu wyrwać się z tego przeklętego biura.

Higgins zwolnił obroty śruby i ostrożnie opłynął szerokim łukiem oświetloną reflektorami minę, która unosiła się i opadała na falach. Obserwowali, jak Ravallo zajął pozycję obok reflektora i podniósł karabin do ramienia. Wypalił zbyt szybko i kula padła daleko od celu. Przeładował broń i ponownie wziął na cel minę, która w tym momencie skryła się w falach, tak że jego drugi strzał również chybił. Smuga reflektora nie odnalazła miny w kipieli i Evans zaczął pospiesznie przeszukiwać powierzchnię morza, rozpaczliwie usiłując zlokalizować obły kształt.

— Mac! — syknął niespokojnie Higgins, kierując okręt w ślad za promieniem reflektora. — Zrób coś!

— Nicky da sobie radę — zapewnił go spokojnie McIndoe. Ravallo dostrzegł sylwetkę miny na prawej burcie i szybko wypalił w mrok. W chwilę później potworna eksplozja gwałtownie zakołysała okrętem i kaskada wody runęła na pokład.

— Chryste, tak blisko? — wykrztusił przerażony Higgins.

— Wystarczająco blisko, żeby posłać nas na dno, gdyby chybił — stwierdził ponuro McIndoe.

Wymienili zdumione spojrzenia, bo Evans zaśmiał się, pokazując coś na sterburcie. McIndoe podszedł do drzwi i zobaczył Johnsona mokrego od stóp do głów.

— Niech pan popatrzy, poruczniku — rozżalił się Johnson, gdy McIndoe zszedł po schodkach. — Jestem kompletnie przemoczony. Będę miał szczęście, jeśli nie dostanę zapalenia płuc.

— Idź się przebrać — polecił mu McIndoe. — Pod pokładem są suche rzeczy. Przez ten czas ja popilnuję reflektora.

Johnson zniknął w luku, nadal cicho narzekając na swojego pecha. Ravallo powoli potrząsnął głową.

— Jak on, do licha, w ogóle znalazł się w SOE?

— Nie wszyscy nasi ludzie są wyszkolonymi zabójcami. Każdy ma wykonywać określone zadania. Już ci mówiłem, że Neville ma fotograficzną pamięć. Co nie znaczy, że nie potrafi dbać o siebie w walce czy użyć broni w razie potrzeby. Tak więc nie pomiataj nim, Nicky. To niezwykle przydatny facet.

— Bardzo wysoko cenisz sobie tych ludzi, prawda?

— Są najlepsi — odparł rzeczowo McIndoe.

— Kto jest najlepszy, *patroni* — zapytał Passiere, wyłaniając się z luku.

— Na pewno nie ty — odparł z uśmiechem Szkot. — No i co myślisz o swojej kabynie radiooperatora?

— Robi wrażenie — rzekł Passiere.

— I powinna. Obejrzałem ją wcześniej. Masz tam najlepsze brytyjskie radiostacje, Georges.

McIndoe zawsze unikał nazywania Passiere'a „Frenchy”. Wprawdzie Passiere nigdy tego nie mówił, ale doceniał uprzejmość Szkota.

— Co cię sprowadza na górę?

— Mam rozkaz zachować ciszę radiową do czasu, gdy przejmie porucznik di Mauro. Oczywiście, będę podsłuchiwał wszystkie niemieckie rozmowy, kiedy znajdziemy się w zasięgu radiostacji na wyspie, ale teraz niewiele mam tam do roboty.

— Przecież zawsze możesz się przespać — podsunął Ravallo z powagą na twarzy.

— Na tej łodzi nie ma koi — prychnął z obrzydzeniem Passiere. — A zresztą, dziś po południu uciąłem sobie dłuższą drzemkę.

— Dobrze, możesz więc zmienić mnie przy reflektorze i wypatrywać min do czasu powrotu Johnsona.

— Sam się o to prosiłem — mruknął Passiere.

McIndoe i Ravallo wrócili do sterówki.

— Jeszcze dziesięć minut i będziemy musieli wyłączyć reflektory — oznajmił Higgins. — Niemieckie samoloty w dzień i w nocy odbywają loty patrolowe wzdłuż wybrzeża. Rzucalibyśmy się w oczy jak choinka na Boże Narodzenie.

— A co z minami? — zapytał niespokojnie Ravallo.

— Wkrótce wpłyniemy na główny szlak żeglugowy. Już wszedłem na kurs czyszczony przez trałowiec Royal Navy „Abingdon” dla małego konwoju z dostawami, który dotarł do Valletty trzy dni temu. To najnowsze mapy, jakimi dysponujemy. Oczywiście, od tamtej pory jakieś miny mogły zdryfować w ten rejon, ale ryzyko wpadnięcia na którąś jest naprawdę niewielkie. I będzie

malą w miarę zbliżania się do Sycylii. Niemcy regularnie posyłają łodzie, żeby wysadzały zabłąkane miny, które mogły przydryfować do wyspy z głównego kanału żeglugi.

— Naprzód, na Sycylię — rzekł Ravallo, kładąc karabin na drewnianej półce przyśrubowanej do ściany naprzeciw okna.

Uchyliły się drzwi i do sterówki zajrzał Passiere.

— Johnson już wrócił, *patron*. Czy mam jeszcze coś zrobić, dopóki tu jestem?

— Tak — powiedział Higgins, zerkając przez ramię na Passiere'a. — Wkrótce zacnie się zabawa, więc dopilnuj, żeby wszystkie światła były wyłączone. Nie chcemy się afiszować, prawda?

Passiere zamknął za sobą drzwi i McIndoe widział, jak podchodzi do Evansa, wciąż wpatrującego się w wodę w poszukiwaniu pływających min. Evans wysłuchał Passiere'a, a potem spojrzał pytająco na sterówkę. Higgins kiwnął głową i gwałtownie przeciągnął palcem po gardle, aby podkreślić, że chce mieć światła zgaszone. Evans jeszcze raz popatrzył w morze, po czym niechętnie wyłączył reflektor i obaj mężczyźni zeszli z dziobu i znikli za narożnikiem sterówki. Wkrótce potem Passiere wrócił do sterówki powiedzieć Higginsowi, że jego rozkaz został wykonany.

— A więc w końcu zobaczymy, co ta łódź naprawdę potrafi? — zapytał Ravallo.

— Włączę pełną moc, ale tylko na krótkim odcinku — zapowiedział Higgins. — Te silniki może i są potężne, ale także bardzo delikatne. Przy pełnej prędkości zachowują się wspaniale, ale tylko na krótkich dystansach. To jedyna wada, jaką stwierdziliśmy podczas prób. Nie zapominajcie, że to prototyp. Gryzpiórki w Portsmouth chciały jeszcze przez kilka tygodni popracować nad silnikami, ale wiecie, jaki Starr potrafi być uparty, kiedy czegoś chce.

— Nam to mówisz! — westchnął Ravallo.

— Mógłbym utrzymać stałą prędkość czterdziestu pięciu węzłów stąd aż do Sycylii, Nicky — szybko powiedział Higgins. — To by wystarczyło, żeby zniknąć z oczu każdej ścigającej nas *Schnellboote*. Jeszcze kilka drobnych przeróbek, a te silniki będą gnać z najwyższą prędkością przez dowolnie długi czas. Może pójdziecie na dziób, a ja wam pokażę, co ona potrafi?

— Jasne, czemu nie? — Ravallo już szedł do drzwi. — Idziesz, Mac?

McIndoe poszedł za nim, zawołał wszystkich i wyjaśnił, co Higgins zamierza zrobić. Przeszli na dziób. McIndoe spojrzał w kierunku sterówki i dał Higginsowi znak uniesionym kciukiem.

— Złapcie się relingu, chłopcy — poradził. — Mam przecucie, że to będzie niezapomniana przejażdżka.

Nie mylił się. Przez następne trzydzieści sekund hipnotyczny efekt pędzącej wody i wielkich fal dziobowych, połączony z fizycznym szokiem, wywołanym przeszywającą do szpiku kości wibracją pokładu, zapierał im dech w piersiach. Okręt gnał lekko przez ciemności, rozcinając fale niczym jakiś wszechmocny bóg. Pęd działał jak narkotyk; McIndoe miał wrażenie, że unosi go w górę, poza śmiertelną powłokę. Potem nagle wszystko się skończyło; szybkość spadła i pokaz się skończył.

McIndoe spojrzał na twarze otaczających go mężczyzn i stwierdził, że prędkość miała na nich taki sam wpływ. Nawet Neville Johnson miał nieobecne spojrzenie i rozmarzony uśmiech na ustach.

— No i co o tym sądzicie? — spytał McIndoe.

— Wiem tylko, że ziemia poruszyła się pode mną — odparł Ravallo z uśmiechem zadowolenia. — Czy ktoś ma papierosa?

Roześmiali się, a Evans wyjął z kieszeni na piersi paczkę, którą podał Ravallovi.

— I prawie nie było słyhać silników, nawet przy największej szybkości! — powiedział Ravallo. — Tylko cichy pomruk. Jak udało im się tak skutecznie je wytłumić?

McIndoe też zapalił.

— Wieczorem dokładnie przestudiowałem plany. Z tego, co widzę, te silniki były bardzo ciche, zanim jeszcze je zamontowano. Nie są przytwierdzone do kadłuba; zawieszono je na sprężynowych i gumowych mocowaniach i izolowano warstwami korka i grubej wełny. Rura wydechowa ma tłumik, a dwie śruby zostały specjalnie zaprojektowane tak, aby dawały minimalną turbulencję w wodzie.

— Przecież musi tam być jakiś system wentylacyjny, żeby silnik miał czym oddychać — powiedział Johnson. — A to oznacza, że jakiś procent hałasu wydostanie się na zewnątrz, obojętnie jak dobrze wyciszy się obudowę.

— Dwie wąskie rury biegną od silników na dziób. Pewnie tuż pod nami. — McIndoe tupnął nogą o pokład. — Tymi rurami maszyny wciągają i wydychają powietrze. I, jak słyszę, robią to bardzo skutecznie.

— Teraz rozumiem, dlaczego SBS chciało trzymać tę łajbę pod kluczem — stwierdził Hillyard. — Przy niskiej prędkości jest niemal tak cicha, jak kieszonkowa łódź podwodna.

— No cóż, koniec pokazu — McIndoe klasnął w dłoń. — Georges już rozejrzał się pod pokładem, więc zabawi się teraz w przewodnika.

— *Merci, patron* — powiedział żartobliwie Passiere.

— A potem Bruce może zrobić jeden ze swoich słynnych grzańców — oznajmił McIndoe. Obrócił się do Ravalla. — Robi najlepszą herbatę w całej jednostce.

— Herbatę? — powtórzył Ravallo, krzywiąc się lekko. — Czy na tej łajbie nie ma kawy?

— Przykro mi, Nicky, ani śladu. Racje wojenne, rozumiesz.

— Niech będzie herbata — przystał niechętnie Ravallo. — Bez mleka, bez cukru. Byle gorąca.

— Załatwmy tę inspekcję jak najszybciej, żebyśmy mogli zasiąść do partyjki pokera. Dziś po południu kupiłem w Valletcie dwie talie kart — rzekł Evans, klepiąc Passiere'a w plecy, gdy szli za Hillyardem i Johnsonem po schodkach.

— Poker? — podchwycił Ravallo, a jego twarz rozpromienił szeroki uśmiech.

— Jestem pewien, że się ucieszą, jeżeli zagrasz z nimi — powiedział mu McIndoe. — Naprawdę cię polubili.

— A co z tobą, Mac? Masz ochotę na kilka rozdań?

— Chyba zostanę na górze i dotrzymam Charliemu towarzystwa w sterówce. Nigdy nie miałem szczęścia w kartach. I w miłości też nie, wbrew przysłowiu.

— Daj spokój, ranisz mi serce — rzekł Ravallo, szczerząc zęby w uśmiechu, gdy doszli do schodków wiodących do sterówki. — W razie czego, wiesz, gdzie mnie szukać.

— Miejmy nadzieję, że nie będziesz mi potrzebny, dopóki nie dotrzemy na miejsce spotkania.

— To na razie — Ravallo już stąpił ostrożnie po mokrym i śliskim pokładzie w kierunku luku.

— Życzę szczęścia! — zawołał za nim McIndoe. Ravallo przystanął i obejrzał się.

— Szczęście jest dla amatorów, ale na pewno przekażę twoje życzenia partnerom. Może im się przydać.

— Jesteś pewny, że stoimy w dobrym miejscu?

— Już ci mówiłem, Nicky. Takie współrzędne dał mi Starr — odparł Higgins. — To nie moja wina, że twoi ludzie nie dotrzymują umowy.

McIndoe przez moment myślał, że Ravallo rzuci się na Higginsa, ale Amerykanin tylko głęboko westchnął, opadł na drewnianą ławkę i przygładził ręką włosy.

— Co, do diabła, ją zatrzymało?

McIndoe nie odpowiedział. Już od dwudziestu pięciu minut MTB stała na kotwicy przy zachodnim brzegu Sycylii. Tę słabo zaludnioną okolicę, według raportów wywiadu, przemierzały tylko piesze patrole. Najbliższym miastem był niewielki port Gela. Z miejsca, gdzie stał, McIndoe dostrzegał kilka plamek światła rozsianych na horyzoncie. Jednak w tej chwili nie myślał o miasteczku ani o światłach. Chociaż jeszcze nikt nie napomknął, że coś mogło się stać Stelli di Mauro, Szkot wiedział, że z pewnością biorą już taką ewentualność pod uwagę.

Wyczuwało się napięcie między Higginsem a Ravallem. Higgins słusznie martwił się, że im dłużej łódź tkwi na otwartym morzu, tym bardziej rośnie ryzyko ataku ze strony jednego z licznych U-bootów, które patrolowały nocami przybrzeżne wody. Ravallo jednak od początku nalegał, żeby stanąć na kotwicy, i chociaż Higgins był kapitanem statku, całą operacją kierował Ravallo. Higgins rozsądnie postanowił stłumić gniew, nie chcąc kwestionować rozkazu starszego stopniem oficera. Dotychczas McIndoe panował nad sytuacją, lecz czuł, jak z każdą minutą rośnie to napięcie. I wcale nie miał ochoty znaleźć się w pobliżu, kiedy dojdzie do wybuchu.

Podszedł do drzwi sterówki i spojrzał na Evansa, który stał nieruchomo na dziobie, że stenem w dłoniach i oczyma wbitymi w ciemną toń. Johnson, podobnie uzbrojony, trzymał wartę na sterburcie. McIndoe nie widział Hillyarda, który zajął pozycję pod drugiej stronie sterówki. Wszyscy na pewno świetnie zdawali sobie sprawę z niebezpieczeństwa i to, że żaden z nich nie pytał, dlaczego postój się przedłuża, świadczyło tylko o ich profesjonalizmie. W tej chwili McIndoe był piekielnie dumny ze swoich ludzi.

Higgins jednak był niezadowolony.

— Jak długo mamy tu jeszcze stać? — zapytał.

— Aż dotrze do nas porucznik di Mauro — odparł Ravallo.

— Może dowodzisz tą operacją, ale ja odpowiadam za ludzi na tej łodzi. Jeśli coś im się stanie przez...

— Jak powiedziałeś, ja tu dowodzę — uciął ostro Ravallo. — Pamiętaj o tym.

— Mam tylko nadzieję, że jest tego warta — rzucił ze złością Higgins, odwracając się z powrotem do steru.

McIndoe chwycił za ramię zrywającego się z ławki Ravalla.

— Siadaj, Nicky.

— Nie będę...

— Siadaj! — powtórzył McIndoe bardziej stanowczo. Ravallo wyrwał rękę z jego uścisku i usiadł. McIndoe pogroził palcem Higginsowi, który chciał coś powiedzieć. — Ani słowa więcej, Charlie. Ani słowa.

Zauważył, że Evans ogląda się w kierunku sterówki, zaniepokojony ich podniesionymi głosami. Szybko wyciągnął rękę, sygnalizując, że wszystko w porządku. Znow odwrócił się do Ravalla i Higginsa.

— Tamci trzej stoją na swoich stanowiskach, od kiedy rzuciliśmy kotwicę. Możecie być

pewni, że tak samo jak my obawiają się ataku. Czy słyszeliście, żeby narzekali? Słyszeliście, żeby kłócili się ze sobą?

— O co ci chodzi, Mac? — spytał Higgins.

— Podobno obaj jesteście oficerami, ale jakoś tego nie widzę. Przez ostatnie dwadzieścia minut spieracie się jak małe dzieci. Nie podnosicie na duchu swoich ludzi, prawda? A chyba właśnie od tego są oficerowie?

McIndoe wiedział, że narusza dyscyplinę, karcąc w ten sposób starszego stopniem oficera. Nie miał jednak wyrzutów sumienia. Należało to powiedzieć, żeby oczyścić atmosferę, nawet jeśli po powrocie do Valletty Ravallo miałby go oskarżyć o niesubordynację.

Przez dłuższą chwilę nikt nic nie mówił, potem Ravallo powoli wstał z ławki.

— Chyba nie jestem przyzwyczajony do takich napięć, na jakie jesteście narażeni podczas działań w terenie. Dotychczas zawsze rozwiązywałem problemy w zaciszu mojego biura. Może to i znacznie łatwiejsze, ale o wiele nudniejsze, cholera.

— Mogę zrozumieć twoją troskę o porucznik di Mauro. Na twoim miejscu czułbym dokładnie to samo, ale rzeczywiście nie możemy tu na nią czekać w nieskończoność — powiedział Higgins. — W takich sytuacjach należy dobrze rozważyć szansę. A to oznacza, że należy brać pod uwagę bezpieczeństwo tej łodzi i całej załogi.

— Słyszę. — Ravallo spojrział na zegarek. — Damy jej jeszcze dziesięć minut.

Higgins zerknął na McIndoe, który skinął głową.

— Dobrze, jeszcze dziesięć minut — ustąpił Higgins. — Jeśli nie pojawi się przez ten czas, wracamy na Maltę.

McIndoe patrzył, jak Ravallo opuszcza sterówkę i schodzi na pokład. Trudno było dociec, co się kryje pod nieruchomą maską twarzy Amerykanina. Zawsze uważał, że sam jest dobry w skrywaniu uczuć, lecz Ravallo był w tym mistrzem. On zamykał się czasem w sobie, ale wtedy wszyscy wiedzieli, że coś go trapi. Tymczasem Ravallo umiał ukryć wszystko za zasłoną jowialnego, otwartego sposobu bycia. Niczym kłown, skrywający emocje pod namalowanym uśmiechem. Od kiedy opuścili Vallettę, McIndoe usiłował zajrzeć za tę fasadę, daremnie próbując zrozumieć prawdziwe uczucia Ravalla do Stelli di Mauro. Ravallo zdawał się być raczej zły na nią niż zaniepokojony, lecz ta maska drwiąco uśmiechniętego, cyrkowego kłowna... Może wszystko się wyjaśni, kiedy agentka wejdzie na pokład statku. Jeśli w ogóle wejdzie na pokład...

— Nie powinienem tak na niego napadać — rzekł Higgins. — To całkiem naturalne, że się o nią niepokoi. Gdyby to był jeden z moich chłopców, też martwiłbym się o niego. A tu w dodatku chodzi o kobietę, no nie?

— Nigdy nie sądziłem, że jesteś szowinistą, Charlie — odparł McIndoe.

— To całkiem naturalne, że martwi się o kobietę w takiej sytuacji — bronił się Higgins.

— Co chcesz powiedzieć? Że między nimi coś jest?

— I kto tu jest szowinistą? — mruknął Higgins. — Dlaczego kobieta i mężczyzna nie mogą razem pracować, nie idąc do łóżka? Przecież to się zdarza na całym świecie, Mac. Dlaczego uważasz, że tu musi być inaczej?

— Nie uważam. Ale przyszło mi coś takiego do głowy.

— Jakoś nie mogę sobie tego wyobrazić — rozmyślał na głos Higgins. — Z niego chyba za dobry żołnierz, żeby się wiązać ze swoją agentką.

— Tak mówi.

— A więc o to chodzi — rzekł Higgins z triumfalnym uśmiechem. — Kiedy jest się zonatym tak długo jak ja, wie się takie rzeczy. To chyba jakiś szósty zmysł.

— Pewnie, Charlie — powiedział bez przekonania McIndoe.

— Ma już pół godziny spóźnienia — stwierdził Higgins, a jego twarz spowazniała, gdy zerknął na zegarek. — A jeśli wpadła? Jak długo wytrzyma na przesłuchaniu? Może już podaje Niemcom, gdzie mieliśmy się spotkać. Nie podoba mi się to, Mac. Już dawno powinniśmy być w drodze. Tu jesteśmy jak tarcza strzelnicza dla jakiegoś cholernego U-boota.

— Sądzisz, że nie martwię się tak samo jak ty? — odparł McIndoe. — Jednak Nicky tu dowodzi i musimy słuchać jego rozkazów.

— To też mnie irytuje. Że musimy wykonywać rozkazy jakiegoś urzędnika — rzucił kwaśno Higgins. — My przeprowadziliśmy co najmniej dwadzieścia różnych operacji. Dla niego to pierwsze takie zadanie. To wydaje się nie w porządku, no nie?

— Jeśli tak uważasz, złóż oficjalne zażalenie na biurku Starra, kiedy wrócimy do Valletty. Kto wie, może nawet szybciej przeniosą cię na to nowe stanowisko w Afryce Północnej.

— To cios poniżej pasa, Mac — warknął Higgins.

— Tak samo jak twoje uwagi o Ravallu.

— Patrz! — ożywił się Higgins i złapał Szkota za ramię, wskazując na brzeg.

McIndoe już to dostrzegł. Światelko błyskało miarowo alfabetem Morse'a.

— Tu... Starling... — odszyfrował na głos. — Widzicie... mnie?

Ravallo odpowiedział, używając kieszonkowej latarki.

— Tu baza. Widzę cię.

— Już... idę... — czytał dalej McIndoe.

— To Stella! — zawołał do nich Ravallo.

— Albo pułapka — rzekł Higgins.

— Zejdę na pokład, żeby pokierować ludźmi. Ty się martw o to, żeby nas stąd zabrać, jak tylko dam ci znak.

— Możesz na to liczyć — powiedział Higgins. McIndoe zszedł po schodkach i zwołał swój zespół.

— To może być pułapka. Pozostańcie na stanowiskach, ale nie włączajcie reflektorów bez mojego rozkazu.

— Jeśli to pułapka, to czy z otwarciem ognia też mamy czekać na pański rozkaz? — zapytał Hillyard.

— Nie, jeśli zaczną do was strzelać — odparł McIndoe. — Jednak z tego, co wiemy, porucznik di Mauro może być przebrana w niemiecki mundur. Po prostu postępujcie zgodnie ze zdrowym rozsądkiem, to wszystko.

— To nie jest pułapka — upierał się Ravallo, kiedy McIndoe podszedł do niego. — Jeszcze w głównej kwaterze na Gibraltarze postaraliśmy się, żeby nasza lista sygnałów wpadła w ręce wroga. Niby miały być używane przez agentów we Włoszech, na Sycylii i w Grecji. Wszystkie były fałszywe. Jednak Niemcy nie wiedzą o tym, więc gdyby Stella wpadła, podałyby im jedno z haseł znajdujących się na liście. I użyłyby niewłaściwego sygnału, podejmując próbę kontaktu. Nie, Mac, to Stella.

— Uwierzę, kiedy ona znajdzie się na pokładzie, a my w drodze powrotnej na Maltę.

— Już zaczynałem obawiać się najgorszego, naprawdę. Musiałbym wiele wyjaśniać moim zwierzchnikom, gdyby jej się coś stało.

— Tylko o to się martwiłeś? Że będziesz musiał tłumaczyć się przed dowództwem?

— Oczywiście, obchodzi mnie to, co się dzieje z moimi agentami, ale trzeba nauczyć się podchodzić do tego z dystansem — stwierdził Ravallo. — Jak już mówiłem, nie można pozwolić, żeby uczucia zakłócały robotę. Może wyda ci się to bezduszne, ale to jedyny sposób.

McIndoe nie odpowiedział. Doskonale pojmował, o czym mówi Amerykanin. Sam nigdy się zbytnio nie zaprzyjaźnił z żadnym z kolegów z firmy. Byli raczej współpracownikami niż przyjaciółmi. W tej robocie nie było miejsca na przyjaźń...

— Słyszę silnik za burzą, panie poruczniku! — zawołał do niego Johnson.

Chwilę później zobaczyli dwunastostopowy skif zbliżający się do kutra. W łódce siedziały dwie postacie, lecz mrok nie pozwalał dostrzec rysów ich twarzy. McIndoe zrzucił za burzę drabinę sznurową, ale dopiero kiedy skif podpłynął bliżej, zdołał zauważyć, że obaj pasażerowie mają na sobie luźne swetry i flanelowe spodnie. Siedząca na dziobie postać w wełnianej czapce nasuniętej na czoło chwyciła drabinę, kiedy łódka podpłynęła do burty. Johnson już trzymał przybyłą na muszce stena. Ravallo pomógł jej wejść na pokład.

— Spóźniłaś się! — rzekł ze złością. — Kto jak kto, ale ty powinnaś wiedzieć, że łódź nie może czekać na wrogich wodach.

— Przepraszam, Nicky — zabrzmiał łagodny i niski głos kobiecy. — W baku zabrakło benzyny w drodze na plażę. Ostatnie kilka mil musieliśmy przejść pieszo.

— Zabrakło benzyny? — powtórzył Ravallo ze zjadliwym sarkazmem. — To ciekawe.

— Ale to prawda — odparła, przechodząc do ataku. — Ciężarówka miała nieszczelny zbiornik. Takie rzeczy się zdarzają, Nicky. Może w twoim idealnym świecie nie, ale na pewno zdarzają się w rzeczywistości.

McIndoe zdumiał ten ton. Niewielu ludzi ośmieliłoby się mówić tak do oficera starszego stopniem, tymczasem ona była gotowa kłócić się z Ravallem. Trudno jednak było dopatrzeć się niesubordynacji w jej postępowaniu. Po prostu mówiła, jak się rzeczy mają.

— Szefie, tam coś jest! — zawołał Evans z dziobu, niespokojnie wpatrując się w ciemność. — Słyszę coś... jakby skrzypienie drewna.

— Włączyc światła! — krzyknął McIndoe.

Reflektory na dziobie i sterburcie oświetliły czarne wody wokół statku, ukazując trzy płaskodenne łódki. W każdej siedziało trzech uzbrojonych Niemców w kamizelkach ratunkowych na mundurach. Siedzący na dziobie najbliższej łodzi sierżant wyszczał rozkaz. Grad kul spadł na burzę MTB. Jeden z pocisków rozbił reflektor na sterburcie. McIndoe zobaczył, że lufa niemieckiego MP .38 kieruje się na Stellę i Ravalla. Miał tylko ułamek sekundy, żeby zareagować. Rzucił się na stojącą plecami do niego Stellę i uderzył ją barkiem pod kolana. Straciła równowagę, upadła ciężko na Ravalla i w trójkę runęli na pokład, a jednocześnie seria kul przeszła powietrze nad ich głowami. Evans i Johnson otworzyli ogień ze swoich stenów. Hillyard skierował lufę obrotowego karabinu maszynowego Vickersa na pierwszą łódkę. Niemiecki sierżant zginął od razu — jego martwe ciało przeleciało przez burzę, do morza. Pozostali dwaj, kilkakrotnie trafieni, osunęli się na dno łódki, która już zaczęła nabierać wody.

Higgins zapuścił silniki, a ponieważ podniósł kotwicę, ledwie Stella stanęła na pokładzie, teraz położył MTB w ostry skręt, kierując ją na dwie pozostałe łodzie, pochwycone w strumień reflektora dziobowego niby bezradne króliki w światło nadjeżdżającego samochodu. Leżący płasko na pokładzie Evans strzelał do nieszczęsnych Niemców, którzy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Walczyć czy też uciekać, zanim staranuje ich pędząca MTB? Dwaj Niemcy w pierwszej łodzi uznali, że rozsądek jest cenniejszy od odwagi, i skoczyli do wody na moment przed tym, zanim najechała na nich MTB. Rozległ się przeraźliwy krzyk, gdy stalowy dziób kutra miażdżył ciało trzeciego żołnierza. Higgins błyskawicznie skręcił ster, przepływając tuż obok ostatniej płaskodenki, z taką siłą uderzając w małą łódeczkę, że jeden z wiosłarzy stracił równowagę i wpadł do wody. Trudno osądzić, czy w porywie odwagi, czy próbując wykonać rozkazy, dwaj pozostali otworzyli ogień do sterówki. Pociski bezsilnie odbiły się od kuloodpornej szyby, a Evans odpowiedział ogniem i zabił obu strzelców.

Na krótką chwilę zapanowała upiorna cisza; potem McIndoe uklęknął na jednym kolanie i ostrożnie wyjrzał za burtę. Pięciu zabitych żołnierzy pływało w jasno oświetlonej wodzie; fale łagodnie kołysały ich martwymi ciałami. Dwaj jeszcze trzymali się wywróconej do góry dnem łódki. Żaden nie miał więcej jak osiemnaście lat. Jednemu krew ściekała po policzku. McIndoe nigdzie nie dostrzegł pozostałych dwóch — zapewne utonęli.

— Charlie, możesz podejść do tych dwóch w wodzie?

Higgins potwierdził machnięciem ręki. McIndoe przywołał Evansa.

— Wyciągniemy ich na pokład. Trzymaj ich na muszce. Jeśli spróbują jakichś sztuczek, zastrzel ich.

— Z przyjemnością — odparł Evans.

— Mac? — odezwał się Ravallo za plecami McIndoe. — Stella mówi, że Niemcy mają przynajmniej jedną *Schnellboote* zacumowaną w porcie w Gela. Nie powinniśmy pozostawać tu zbyt długo.

— Nie będziemy — powiedział mu McIndoe. — Zabierzemy tych dwóch, żeby ich przesłuchać, a potem wynosimy się stąd.

Higgins podprowadził ścigacz do wywróconej łódki, a McIndoe krzyknął po niemiecku do rozbitków, żeby weszli na pokład po drabince sznurowej. Wymienili niespokojne spojrzenia, ale żaden nie chwycił się drabinki.

Ravallo zaklął pod nosem, a potem wyrwał Johnsonowi stena i puścił serię w fale tuż obok łodzi.

— Albo wejdziecie na pokład, albo zastrzele was w wodzie — warknął po niemiecku. — Wybór należy do was.

Żołnierz bliższy MTB złapał drabinkę i wspiął się na pokład. Evans wciągnął go przez burtę, a Johnson szybko zrewidował w poszukiwaniu ukrytej broni. Potem po drabince wdrapał się drugi Niemiec i Hillyard przeciągnął go przez reling, bezceremonialnie rzucając na pokład. Johnson przeszukał i tego jeńca. Obaj nie mieli broni.

— Zabierzcie ich na dół — polecił McIndoe. — I zabandażujcie go — wskazał na zakrwawionego Niemca.

Patrzył, jak Evans i Hillyard prowadzą obu młodzików w kierunku luku, a potem uniesionym kciukiem dał Higginsowi znak, żeby ruszał z powrotem na Malte.

— To był niezły blef — powiedział do Ravalla. — Muszę to zapamiętać i wykorzystać następnym razem.

— A kto powiedział, że blefowałem? — odparł Ravallo, a potem zwrócił się do Stelli. — Musimy porozmawiać.

— Kabina nawigatora jest wolna — podsunął McIndoe.

— Zostaw nas samych na kilka minut, Mac. Muszę wyjaśnić kilka spraw. Potem zejdź do nas. Masz takie samo prawo wiedzieć, co, do licha, poszło dziś nie tak.

Ravallo złapał Stellę za ramię urazem zniknęli w luku. McIndoe wszedł po schodkach do sterówki.

— Jakież uszkodzenia w maszynowni?

— Żadnych — odparł Higgins. — Czy mamy jakichś rannych?

— Nie. Może jeńcy rzucą trochę światła na to, skąd wiedzieli o naszym dzisiejszym spotkaniu.

— Co sugerujesz, Mac? Uważasz, że ktoś ich poinformował?

— Na razie niczego nie sugeruję. Wiem tylko, że wiedzieli dokładnie, gdzie i kiedy spotkamy się ze Stella. Może ją śledzili. Kto wie? Teraz jest z nią Nicky. Mam nadzieję, że zdoła dowiedzieć się czegoś.

— I jaka ona jest? — spytał Higgins.

— Szczerze mówiąc, jeszcze nie widziałem jej twarzy. Wiem tylko, że wydaje się co najmniej bardzo dzielna.

— No cóż, najważniejsze, że wyszliśmy z tego cała i przy minimalnych uszkodzeniach statku.

— Jeszcze nie jesteśmy na Malcie.

— Żadna *Schnellboote* nie zdoła przechwycić nas na otwartym morzu. Nawet U-boot nie mógłby nas dogonić. Na tym polega cały urok tej łodzi. Kiedy płynie, jest klasą sama dla siebie. Tylko na kotwicy jest wrażliwa na atak, jak każdy inny statek.

McIndoe kiwnął głową.

— Lepiej zejdę i sprawdzę, co z jeńcami — powiedział do Higginsa. — Zobaczymy się później.

Zszedł pod pokład. Drzwi znajdujące się najbliżej schodów były zamknięte. Tam byli Stella i Ravallo. McIndoe poszedł do kajuty na końcu korytarza, gdzie pod ścianą siedzieli Niemcy, z rękami solidnie związanymi na plecach liną, którą Evans znalazł w maszynowni. Szeroko otwartymi oczami patrzyli niespokojnie na zwycięzców.

— Co z nim? — zapytał McIndoe, wskazując na rannego, który teraz miał głowę mocno owiniętą bandażem.

— Przeżyje — odparł Evans, zamykając apteczkę i prostując się. — Ale ma paskudne rozcięcie. Kiedy wrócimy do Valletty, powinien go obejrzeć lekarz.

— Próbowaliście ich przesłuchiwać?

— Nazwisko, stopień i numer — prychnął Hillyard. — Tylko tyle nam powiedzieli.

— Nie powiem, żeby mnie to dziwiło. Spójrzcie na nich. Są śmiertelnie przerażeni. Możecie być pewni, że do dzisiaj nigdy do nikogo nie strzelali.

— Niezły chrzest ogniowy — odparł Hillyard. — Chce pan, żebyśmy ich dalej przesłuchiwali?

— Nie zawadzi, chociaż wątpię, czy mogą powiedzieć nam coś interesującego. Wykonywali tylko rozkazy.

— Jeżeli coś wiedzą, wyciągnę to z nich — rzekł Hillyard i uśmiechnął się zimno do jeńców.

— Po dzisiejszym wieczorze kilka sińców więcej nie zrobi im większej różnicy.

McIndoe wziął Hillyarda pod ramię i odprowadził na bok.

— Nie wolno ci tknąć ich nawet palcem. Zrozumiano?

— Może trzeba będzie trochę ich zachęcić, żeby zaczęli gadać.

— Słyszałeś, co powiedziałem? — syknął McIndoe.

— Ale inni oficerowie...

— Nie obchodzą mnie inni oficerowie — uciął gniewnie McIndoe. — Słyszałem już o twoich metodach przesłuchiwania i szczerze mówiąc, czuję do nich wstręt. Jestem naprawdę zdziwiony, że inni oficerowie zezwalali na to w przeszłości, ale nie o to teraz chodzi. Co do mnie, nie będę tolerował żadnych aktów przemocy wobec jeńców, a jeśli usłyszę, że zignorowałeś moje rozkazy, znajdziesz się na pokładzie pierwszego samolotu do Blighty, gdzie staniesz przed sądem wojskowym pod zarzutem niesubordynacji. Czy to jasne?

— Zupełnie jasne — odparł pokornie Hillyard.

Wracając korytarzem McIndoe przystanął przed zamkniętymi drzwiami i przez chwilę nasłuchiwał. Z kabiny nie dobiegały żadne odgłosy. Mocno zastukał do drzwi.

— Kto tam? — usłyszał głos Ravalla.

— McIndoe. Czy u was wszystko w porządku?

Nie było odpowiedzi; po chwili rozległ się dźwięk obracanego w zamku klucza. Drzwi otwały się i Ravallo gestem zaprosił go do środka. Stella siedziała za stołem, kryjąc twarz w

dłoniach; z popielniczki przed nią snuł się dym z na pół wypalonego papierosa. Na stole obok paczki papierosów leżała włoska beretta.

— Stella, to porucznik Sam McIndoe — rzekł Ravallo. — Jest dowódcą brytyjskiego oddziału SOE, z którym mamy tu współpracować.

Stella opuściła ręce i spojrzała na McIndoe. Po raz pierwszy ujrzał jej twarz. Nawet mętne światło słabej żarówki nie zdołało zakłócić jej oszałamiającej urody: gładka, oliwkowa cera, klasyczne, wysokie kości policzkowe, patrycjuszowski nosek i lśniące, jedwabiste włosy luźno rozpuszczone na ramiona.

Stella przez kilka sekund wpatrywała się w niego, a potem sięgnęła po papierosa i usiadła wygodniej na krześle.

— Przepraszam za dzisiejszy wieczór — powiedziała swym łagodnym, zmysłowym głosem, zaciągawszy się mocno.

— Czy to była pani wina? — McIndoe uważnie wpatrywał się w jej twarz, szukając śladów poczucia winy. Nie znalazł.

— Nicky najwidoczniej tak uważa — powiedziała po chwili. — A to jemu uwierzą ci na Gibraltarze. Zawsze mu wierzą. Prawda, Nicky?

— Ktoś się wygadał — powiedział zwięźle Ravallo.

— Nie ja — odparła Stella i w jej głosie po raz pierwszy dała się słyszeć gniewna nuta. Kilkakrotnie zaciągnęła się dymem, a potem zgmiotła niedopałek w popielniczce. — Nie wiem, jak Niemcy dowiedzieli się o tym spotkaniu, ale na pewno nie przez brak ostrożności z mojej strony. Mam czyste sumienie.

Ravallo przez kilka sekund stał w zadumie ze wzrokiem wbitym w podłogę, a potem spojrzał na McIndoe.

— Jeszcze ci nie podziękowaliśmy za uratowanie nam życia, Mac. Gdybyś nas nie przewrócił, zginęlibyśmy oboje.

— To pan? — Stella przeszła McIndoe spojrzeniem.

— Instynktowny odruch, nic więcej. Mam nadzieję, że nie zrobiłem pani krzywdy. — Obdarzył ją łagodnym uśmiechem. — Przepraszam. To musiało zabrzmieć bardzo protekcyjnie.

Nagle chwyciła pistolet i skierowała na niego. Zastygł z wytrzeszczonymi ze zdumienia oczami i otwartymi ustami. Chciał dać nura pod stół, lecz nogi miał jak z ołowiu. Huknął strzał. Odruchowo skrzywił się, oczekując na ból i uderzenie kuli. Nic. Pocisk ominął go.

— Co do diabła...?

Jak przez mgłę słyszał dobiegający zza drzwi krzyk Evansa. Miał wrażenie, że śni; jego umysł jeszcze nie otrząsnął się z szoku.

— Nie żyje.

Głos Ravalla wyrwał go z transu; odwrócił się i ujrzał niemieckiego żołnierza. Leżał na korytarzu za progiem, nadal zaciskając w martwej dłoni długi bagnet. Krew sączyła się z jego piersi. Mundur Niemca był do cna przemoczony i wokół zwłok już zbierała się kałuża wody. Hillyard, Johnson i Passiere, zaalarmowani wystrzałem, cisnęli się za Ravallem i Evansem, którzy przykucnęli nad trupem.

— Przepraszam, Sam. — Stella trzymała pistolet w luźno opuszczonej ręce. — Tak nagle wyrósł tuż za tobą. Zobaczyłam nóż w jego ręce i po prostu nie miałam czasu cię ostrzec. Musiałam strzelać, inaczej na pewno by cię zabił.

— Cieszę się, że to zrobiłaś — rzekł McIndoe, a w jego głosie było słychać wyraźną ulgę. — Uratowałaś mi życie.

— *Touche* — powiedziała z uśmiechem.

— Skąd on się wziął? — zapytał Evans.

— Czy to nie jeden z więźniów? — spytał Ravallo.

— Na pewno nie — odparł Evans. — Obaj są związani w tamtej kabynie.

— To najwidoczniej jeden z tych dwóch, których nie mogliśmy się doliczyć po rendez-vous — wydedukował Hillyard. — Musiał wspiąć się na burtę, zanim odpłynęliśmy.

— Bruce, chcę, żebyś razem z Neville'em dokładnie przeszukał pokład, na wypadek gdyby ten drugi również zdołał wejść — powiedział McIndoe do Hillyarda, mierząc swoich ludzi oskarżycielskim spojrzeniem. Był jednak zły bardziej na siebie niż na nich.

— Już się robi, szefie. — Obaj mężczyźni weszli na schody i zniknęli mu z oczu.

— Georges, ty sprawdzisz dół — polecił McIndoe Passiere'owi, który natychmiast ruszył wykonać rozkaz. — Taffy, miej oko na więźniów. Jeśli ten drugi Niemiec jest na statku, może próbować ich uwolnić.

Ravallo wyjął bagnet z dłoni zabitego, wszedł do kajuty i cisnął go na stół.

— Niewiele brakowało, Mac.

— Niewiele — przytaknął Szkot. — To moja wina. Powinienem przeszukać pokład, zanim opuściliśmy miejsce spotkania.

— Nie mogłeś tego przewidzieć.

— Stella ma rację. Jesteś zbyt surowy dla siebie. — Ravallo wyjął papierosa z paczki leżącej na stole i zapalił go, przysunął sobie krzesło i usiadł. — Nadal uważam, że do przecieku doszło po waszej stronie, Stello. Co z facetem, który przywiózł cię dzisiaj na kuter?

— Angelo jest jednym z najbardziej godnych zaufania partyzantów w całej organizacji — odparła. — Dlatego został wybrany do tego zadania.

— Jeden z najbardziej godnych zaufania partyzantów w całej organizacji — powtórzył sarkastycznie Ravallo. — Czy to nie jest eufemistyczne określenie szpiega?

— Przykro mi cię rozczarować, Nicky, ale on nic nie wiedział o tym rendez-vous, dopóki nie opuściliśmy Gela — odparła Stella. — Powiedziałam mu dopiero w drodze. I zanim zaczniesz oskarżać innych partyzantów: żaden z nich nie miał pojęcia o naszym spotkaniu. Nawet dowódca. Tylko ja o tym wiedziałam.

W progu stanął Hillyard.

— Na górze nic, szefie. A sądząc po kałuży wody na rufie, musiał kryć się tam, czekając, aż zejdziemy pod pokład.

— Przecież Johnson był tam cały czas — rzekł Ravallo. — A tylko jeden luk prowadzi pod pokład. Jak to się stało, że niczego nie zauważył?

— Przy wyłączonych światłach na rufie jest bardzo ciemno — wyjaśnił Hillyard. — Musimy używać latarek, żeby coś zobaczyć. Niemiec mógł bez trudu prześlizgnąć się niepostrzeżenie obok Neville'a.

— Dobrze — uciał McIndoe. — To wszystko. — Odprawił Hillyarda krótkim machnięciem ręki.

— Jest jeszcze inna możliwość — powiedziała Stella po jego wyjściu. — A co, jeśli pański człowiek wiedział, że Niemiec jest na pokładzie i pozwolił mu przejść?

— Co pani sugeruje? — spytał urażony McIndoe. — Że Johnson kolaboruje z wrogiem?

— Oprócz mnie tylko obecni na pokładzie tego kutra znali wcześniej dokładną lokalizację miejsca spotkania. — Stella wytrzymała jego spojrzenie. — Nawet moi zwierzchnicy nie znali współrzędnych. Nadałam je Nicky'emu w chwili, gdy opuszczał Gibraltar. Użyłam nowego szyfru, niedawno opracowanego i znanego tylko małej grupce agentów, którą kieruje. Tak więc, nawet jeśli Niemcy zdołali przechwycić transmisję, nie zdołaliby złamać szyfru.

McIndoe podeszedł do drzwi i zawołał:

— Taffy!

— Tak, szefie? — zapytał Evans, wyłaniając się z kabiny na końcu korytarza.

— Gdzie jest Neville?

— Pewnie na górze.

— Powiedz mu, że ma tu zaraz przyjść! — rozkazał McIndoe.

Po chwili pojawił się zaniepokojony Johnson.

— Chciał mnie pan widzieć, poruczniku?

McIndoe stanął tuż przed nim.

— Dlaczego zostałeś na pokładzie, kiedy pozostali zeszli na dół?

— Właściwie, ja... no...

— Wykrztuś to, człowieku — zażądał McIndoe.

— Byłem na mostku z podporucznikiem Higginsem — wyznał pokornie Johnson. —

Przepraszam, że niczego nie zauważyłem, panie poruczniku.

— To nie twoja wina — odparł McIndoe, a potem spróbował się uśmiechnąć. — To wszystko, Neville. Możesz odejść.

Johnson niepewnie powiódł wzrokiem po obecnych, zanim wyszedł.

— Mógł tam pójść, żeby odwrócić uwagę Higginsa, prawda? — powiedziała Stella.

— A Charlie Higgins jest pewnie współnikiem? — rzucił wzgardliwie McIndoe. — A czemu nie Georges Passiere? W końcu miał dostęp do radiostacji. Mógł uprzedzić przez radio Niemców i powiedzieć im, gdzie się mamy spotkać. Dlaczego nie oskarży pani nas wszystkich? Kto wie, może nawet Nicky jest z nimi w zмовie. — Popatrzył na Ravalla. — No i jak, Nicky? Ty też jesteś nazistowskim szpiegiem?

Ravallo zacisnął szczęki, ale milczał.

— Wiem, że to nie ja! — broniła się Stella.

— Potrzebuję trochę powietrza — rzucił krótko McIndoe i energicznym krokiem wymaszerował z kajuty.

Ravallo obrzucił Stellę gniewnym wzrokiem, wstał i poszedł za Szkotem. Znalazł go na pokładzie, zaciskającego dłoń na relingu.

— Ona potrafi zaleźć za skórę, Mac. Pewnie dlatego jest...

— Taka dobra? — dokończył McIndoe.

— Taa, to chciałem powiedzieć.

— A jeśli ona ma rację? — mruknął McIndoe, nie odrywając oczu od wody. — Co, jeśli naprawdę mamy hitlerowskiego szpiega na pokładzie?

— Podejrzewasz kogoś?

— Każdemu z tych ludzi powierzyłbym własne życie — padła szybka odpowiedź. — Przeprowadziłem z nimi już kilka poważnych operacji i nigdy nie miałem powodu kwestionować ich lojalności. Nie wierzę, aby któryś z nich mógł pracować dla wroga.

— No cóż, fakt, że ktoś powiedział Niemcom o dzisiejszym spotkaniu, pozostaje faktem — stwierdził spokojnie Ravallo. — Pytanie tylko, kto?

McIndoe wyjął z kieszeni paczkę papierosów i nie odwracając głowy, podsunął ją Ravallovi. Ten nie sięgnął do paczki. Szkot zerknął w bok i stwierdził, że Amerykanin zniknął równie cicho, jak przybył. Wetknął papierosa w usta, zapalił. Nagle został sam na sam ze swymi myślami. A miał wiele do przemyślenia...

— To bardzo poważne oskarżenie, poruczniku di Mauro — powiedział wiceadmirał Starr do Stelli, kiedy wysłuchał niepokojącej relacji z wydarzeń ubiegłej nocy. — Zwłaszcza że nie ma pani dowodów na poparcie tego oskarżenia.

— Wiem tylko, że nie naruszyłam wymogów bezpieczeństwa — odparła Stella, wodząc oczami od McIndoe do Ravalla, którzy siedzieli obok niej w gabinecie Starra. — A oprócz mnie o spotkaniu wiedzieli tylko porucznik McIndoe i jego oddział.

— I major Ravallo — dodał Starr.

— Gdyby pan znał Nicky’ego tak dobrze jak ja...

— Och, proszę oszczędzić mi tego sentymentalizmu, poruczniku — przerwał jej ostro Starr.

— Panie admirale, ja tylko...

— Wystarczy, Stello! — wtrącił rozwścieczony Ravallo. — Dopóki nie wyjaśnimy tej sprawy, wszyscy jesteście podejrzani.

Stella przełknęła gniew i założyła ręce na piersi.

— Mogę to zrozumieć. Trudno pani uwierzyć, iż major Ravallo mógłby być zamieszany w coś tak godnego pogardy jak zdrada, poruczniku di Mauro, ale ja czuję dokładnie to samo w stosunku do moich agentów — rzekł Starr, wskazując na McIndoe. — Poznałem ich wszystkich osobiście i uważam, że to wspaniali faceci. Jednak to oczywiste, że mamy przeciek, który musimy znaleźć i zatamować, zanim zagrozi krachem całej operacji jeszcze przed jej rozpoczęciem.

— Zostaniemy wycofani, panie admirale? — spytał McIndoe.

— Jeszcze zobaczymy — mruknął Starr. — Co z tymi dwoma Niemcami, których wyłowiliście z morza?

— Po powrocie do Valletty oddaliśmy ich zandarmom, panie admirale.

— Wyciągnęliście z nich coś?

— Podali nam tylko nazwiska, stopnie i numery, panie admirale — odrzekł McIndoe. — A zresztą, nie sądzę, żeby coś wiedzieli.

— Jestem pewny, że to się wyjaśni, kiedy przesłuchają ich fachowcy z Korpusu Bezpieczeństwa. — Starr zerknął na zegarek. — Cóż, już czwarta trzydzieści. Prześpijcie się trochę. Na zewnątrz czeka dżip, który zawiezie was na kwaterę przydzieloną na czas pobytu na Malcie. Później uważnie przestudiuję raport porucznik di Mauro i zdecyduję, co robić dalej. Dziękuję, to wszystko.

Kiedy wszyscy troje podnieśli się z krzeseł, wiceadmiral wskazał ustnikiem fajki na McIndoe.

— Zostań jeszcze na słówko.

— Zaczekamy na ciebie w dżipie — powiedział Ravallo, wychodząc za Stella.

— I co sądzisz o tym wszystkim, McIndoe? — zapytał Starr, kiedy drzwi się za nimi zamknęły. — Uważasz, że porucznik di Mauro jest z nami szczerą?

— Jeśli nie, to doskonale odgrywa rolę pokrzywdzonej. — McIndoe potrząsnął głową. — Nie. Sądzę, że mówi prawdę.

— Jestem skłonny przyznać ci rację. To bardzo bezpośrednia, otwarta młoda kobieta, prawda? A jeśli mówi szczerze, to przeciek nastąpił albo z winy majora Ravalla, albo kogoś z waszego oddziału.

— Na to wygląda — przyznał niechętnie McIndoe.

— Zamierzam wszcząć dochodzenie w tej sprawie. Jeśli jednak nie znajdę źródła przecieku, wszyscy zostaniecie zawieszani w czynnościach do czasu zakończenia śledztwa. Co oznaczałoby, że musiałbym zebrać inną grupę, która przejęłaby wasze zadanie. Mam nadzieję, że do tego nie dojdzie, McIndoe. Osobiście wybrałem waszą grupę wierząc, że jest najlepsza do tej operacji.

Starr odłożył fajkę i ze znużeniem przetarł oczy.

— Idź już, prześpij się trochę.

— Panu też chyba przydałoby się trochę snu, panie admirale — zauważył McIndoe.

— Na pewno, ale po tym, co wydarzyło się dzisiejszej nocy, mam zbyt wiele na głowie.

— O której mam zameldować się tu ponownie?

— Przyślę po ciebie — odparł Starr. — Do czasu wyjaśnienia tej sprawy macie zakaz opuszczania kwater. Tamtym już przekazali ten rozkaz żandarmi. Pilnują domu i nie pozwolą nikomu wyjść bez mojego wyraźnego pozwolenia.

— Rozumiem, panie admirale.

— To wszystko, McIndoe — rzekł Starr, sięgając po teczkę zawierającą rozszyfrowane dane o niemieckich fortyfikacjach na Sycylii, zebrane przez Stellę.

—— Dobranoc, panie admirale. — McIndoe wyszedł z pokoju. Starr zdjął okulary i kciukiem i palcem wskazującym rozmasował nasadę nosa.

— Nie, jak dotąd niedobra — mruknął cicho do siebie, patrząc na zamknięte drzwi, a potem nałożył okulary, otworzył leżącą przed nim teczkę i zaczął czytać.

Jesienią 1941 roku Hitler doszedł do wniosku, że wojna w rejonie Morza Śródziemnego jest poważnym obciążeniem dla sił Osi, które mogłyby wykorzystać lepiej, szczególnie przeciw Rosjanom na froncie wschodnim. Był jednak wystarczająco bystry, aby pojąć, że byłoby lekkomyślnością — jeśli nie samobójstwem — oddać przyczółki zdobyte we Włoszech i Grecji, zwłaszcza dyktatorowi Mussoliniemu, którego armię uważał za leniwą zbieraninę maruderów, a flotę za tak tchórzliwą, że lękała się nawet wyjść w morze. Jedynym rozwiązaniem było wyznaczenie doświadczonego, całkowicie oddanego mu generała na koordynatora wszystkich działań Osi w rozległym rejonie Morza Śródziemnego. Człowiekiem, którego Hitler wybrał, był pięćdziesięciosześcioletni marszałek polowy Albert Kesselring.

Kesselring objął swoje obowiązki pod koniec listopada 1941 roku. Jego oficjalny tytuł brzmiał *Oberbewehlshaber Süd* — głównodowodzący wojsk grupy południowej. Był zawodowym żołnierzem i zdołał zjednać początkowo nieprzyjaźnie nastawione włoskie siły zbrojne. Pomogły mu w tym zręczna dyplomacja i głębokie zrozumienie ich urażonej dumy po niezliczonych sromotnych klęskach, poniesionych w starciach z aliantami od chwili przystąpienia do wojny. Kesselring był przyjacielski, przystępny i naprawdę leżało mu na sercu dobro żołnierzy. Tej ujmującej osobowości zawdzięczał swój przydomek — „Uśmiechnięty Albert”.

Teraz był luty 1942 roku i marszałek polowy Albert Kesselring wcale nie uśmiechał się, siedząc za swoim biurkiem w przestronnym gabinecie głównej kwatery Wehrmachtu w Rzymie. Z twarzą czerwoną ze złości, z rosnącym gniewem słuchał majora Gustava Rembolda, który nerwowo relacjonował nieudaną próbę przechwycenia brytyjskiego ścigacza i jego załogi.

— A więc z dziewięciu ludzi, których wysłał pan na tę akcję, jeden przeżył, dwaj zaginęli bez wieści, dwóch wzięto do niewoli, a pozostali czterej zostali zabici — podsumował zjadliwie marszałek, unosząc głos przy każdej wymienionej liczbie.

— Tak jest — odparł zgnębiony Rembold, nie odrywając oczu od czubków swoich wypastowanych butów.

— Nie mogę uwierzyć w podobną niekompetencję! — zagrział Kesselring, waląc pięścią w biurko. — Miał pan dostatecznie dużo czasu na opracowanie właściwej strategii po tym, jak zeszłej nocy otrzymaliśmy wiadomość. Słyszałem o panu dużo dobrego i dlatego przydzieliłem panu to zadanie. Strasznie mnie pan zawiódł, Rembold, a powinien pan już wiedzieć, że ja nie toleruję takich porażek.

Rembold niespokojnie przełknął ślinę.

— To się już nie powtórzy.

— Ma pan całkowitą rację.

Kesselring pochylił się w fotelu i splótł dłonie na biurku, wpatrując się w stojącego przed nim oficera.

— Niech mi pan powie, Rembold, co pan wie o sytuacji na froncie wschodnim?

— Ja... czytałem raporty — wyjąkał pytany.

— Ja też. I wcale nie są zachęcające — rzekł marszałek. — Mówią, że w Rosji panuje długa i mroźna zima. Ale wkrótce sam pan to sprawdzi. Pańskie dokumenty z rozkazem przeniesienia na front wschodni będą gotowe pod koniec tygodnia. Radzę, żeby przygotował się pan lepiej niż do ostatniej operacji.

— Tal' jest — odparł przerażony Rembold.

— A teraz niech się pan wynosi!

Rembold sztywno zasalutował i opuścił gabinet. . Zadzwoił telefon. Kesselring szybko podniósł słuchawkę.

— Tak? — warknął do telefonu.

— *Generalleutnant* Student do pana, panie marszałku — zameldował adiutant z sekretariatu.

— Ach, świetnie — rzekł Kesselring. — Wprowadź go, dobrze? Odłożył słuchawkę i uniósł głowę, słysząc mocne stukanie do drzwi.

— Wejść.

Drzwi się otwały i do pokoju wmaszerował wysoki mężczyzna o kanciastej twarzy. Adiutant zamknął za nim drzwi. Generał-porucznik Kurt Student stanął na baczność i Kesselring oddał mu honory. Żaden nie wyciągnął ręki w hitlerowskim pozdrowieniu. Obaj byli zawodowymi żołnierzami, którzy unikali jakiegokolwiek angażowania się w politykę, od kiedy Hitler doszedł do władzy w 1933 roku. Nie należeli wprawdzie do partii nazistowskiej, ale byli zaprzysięgłymi faszystami, zażarcie nienawidzącymi komunizmu.

— Dobrze znów cię widzieć, Kurt. — Kesselring podniósł się z krzesła i wyciągnął rękę do Studenta.

— I pana, panie marszałku — odparł Student, ściskając rękę Kesselringa.

— Kiedy przyleciał pan z Krety? — Marszałek usiadł.

— Przed godziną. Przybyłem tu prosto z lotniska.

Student mówił z wahaniem — pozostałość po poważnej ranie głowy, odniesionej w 1940 roku w Holandii. Kula strzelca wyborowego prawie go zabiła; przeleżał sześć miesięcy w niemieckim szpitalu, nim wrócił do zdrowia. Niektórzy uważali tę wadę wymowy za upośledzenie. Kurt Student był powszechnie szanowany jako wspaniały taktyk. Jego zasługą było zastosowanie wojsk desantowych i szybowców transportowych do działań wojennych i to on opracował plan desantu na Kretę w maju 1941 roku, przeprowadzonego przez *Sturmgruppe* elitarniej Dywizji Spadochronowej, która opanowała jedyną bazę lotniczą na wyspie i mimo przytłaczającej przewagi liczebnej wroga utrzymała się do czasu przybycia posiłków. Tydzień później alianci byli zmuszeni w nieładzie wycofać się z wyspy. Było to jednak pyrusowe zwycięstwo dla oddziałów spadochronowych, które w tej kampanii poniosły ciężkie straty, sięgające połowy stanu. Hitler uznał te straty za niewybaczalnie wysokie i powiedział Studentowi, że nigdy nie wyrazi zgody na następną taką operację. Kreta okazała się ostatnią wielką ofensywą oddziałów spadochronowych podczas tej wojny.

— Oficer, który właśnie stąd wychodził, wyglądał, jakby miał stanąć przed plutonem egzekucyjnym — powiedział Student siadając.

— Niewiele się pan pomylił. Do niedzieli będzie brnął po kolana w błocie na froncie wschodnim. *Führer* zawsze mówi, że potrzebuje więcej ludzi w Rosji, więc z przyjemnością spełniam jego życzenie, kiedy tylko mogę.

Kesselring zapalił papierosa, a potem zaczął opisywać fiasko akcji podjętej poprzedniej nocy.

— Nie chodzi tylko o to, że zawiódł, lecz o sposób, w jaki to zrobił. Nie przemyślał tej operacji. Wysłał grupkę młodych, niedoświadczonych żołnierzy przeciwko doborowemu oddziałowi nieprzyjacielskich agentów. Tylko sierżant miał jakieś doświadczenie bojowe. Czy to miało sens? Major Rembold był przez wielu uważany za jednego z najbardziej obiecujących młodych oficerów stacjonujących we Włoszech. Dlatego go wybrałem. Może dobrze się stało, że poznałem jego wady już teraz.

— Wschodni front albo go stworzy, albo złamie — rzekł Student.

— Jeśli tam wytnie taki numer, nie pożyje dostatecznie długo, żeby tego pożałować. I nie zginie z ręki wroga — stwierdził Kesselring, strzepując popiół z papierosa. — Na froncie wschodnim jest pełno twardych, bezkompromisowych żołnierzy. Weteranów, którzy walczyli w

całej Europie. Jeśli oficer umie zdobyć ich szacunek, zrobią dla niego wszystko. Jeśli nie, nie kiwną dla niego palcem. I tacy oficerowie kończą z kulą w plecach, wystrzeloną przez jednego z własnych żołnierzy.

— Mówi pan tak, jakby sympatyzował pan z tymi żołnierzami — powiedział Student.

— Nie ma nic niebezpieczniejszego na polu bitwy niż oficer nadużywający władzy, aby ukryć swój brak umiejętności strategicznych. Doświadczeni żołnierze bardzo szybko go zdemaskują.

Kesselring mocno zaciągnął się papierosem i potrząsnął głową.

— Niech mnie pan źle nie zrozumie, nie popieram takich odruchów buntu, ale to nie oznacza, że nie potrafię zrozumieć, dlaczego się zdarzają.

— To byłby nie lada sukces, gdyby udało się panu schwytać cały oddział brytyjskiego SOE — myślał głośno Student.

— Przynajmniej byłoby to coś, czego marszałek polowy Rommel nie mógłby przypisać swoim działaniom w Afryce Północnej — odparł Kesselring. Uśmiechnął się przelotnie do Studenta i zgasił papierosa. — No, ale operacja nie powiodła się i nie ma o czym mówić.

Student wiedział, że od czasu przybycia Kesselringa do Włoch trwała zażarta rywalizacja między nim a Rommlem. Rommel, ze swoim błyskotliwym stylem dowodzenia i licznymi sukcesami przeciw Ósmej Armii w Afryce Północnej, szybko stał się ulubieńcem sztabu w Berlinie. *Führer* niezmiennie stawał po jego stronie, szczególnie w bolesnej sprawie niedostatecznych dostaw dla *Afrika Korps*. Dostawy szły przez Morze Śródziemne i Student słyszał plotki, że zarówno Kesselring, jak dowódca niemieckiej floty na Morzu Śródziemnym, wiceadmirał Weichold, zbierali ciężki za straty, zadawane tym konwojom przez łodzie podwodne aliantów. Jednocześnie Kesselringowi odmawiano uznania za nieustanne sukcesy niemieckich U-bootów w tym akwenie. Coraz mniej konwojów alianckich przedostawało się na Malte; na te, które zdołały się wymknąć wilczym stadom U-bootów do Grand Harbour, nieuchronnie spadał grad bomb zrzuconych przez Luftwaffe.

— Marszałek polowy Rommel i ja nie zawsze zgadzamy się ze sobą, Kurt, ale on niezaprzeczalnie jest jednym z najlepszych strategów wojskowych, jakich znał świat. — Kesselring jakby czytał w myślach gościa. — Wciąż pozostaje jedynym człowiekiem, który może pokonać Ósmą Armię w Afryce Północnej.

— Jeśli jednak jego oddziały mają otrzymywać większe dostawy, musimy uzyskać całkowitą kontrolę na Morzu Śródziemnym — odparł Student. — A to oznacza okupację Malty.

— To właśnie powiedziałem szefom sztabów na spotkaniu w Berlinie, w zeszłym tygodniu. W zasadzie zgodzili się ze mną. Nawet marszałek polowy Rommel i ja jesteśmy w tej kwestii zgodni — dodał Kesselring z krzywym uśmiechem. — Jednak Hitler i Goering są innego zdania. Hitler też chce zneutralizować Malte, ale mamy odmienne poglądy na to, jak osiągnąć ten cel. Moim zdaniem, można tego dokonać jedynie okupując wyspę — w ten sposób uzyskalibyśmy przewagę na morzu i w powietrzu w rejonie Morza Śródziemnego. Jednak *Führer* nie chce ściągać wojsk z innych frontów, żeby utworzyć armię inwazyjną. Po ciężkich stratach, jakie ponieśliśmy w zeszłym roku na Krecie, ma zastrzeżenia do inwazji na Malte. Wciąż wierzy, że bombardowaniami zmusi ją do kapitulacji.

— Wie pan, jaki on jest, panie marszałku. Kiedy raz coś postanowi, za nic nie zmieni zdania.

— Tak myślałem — odparł Kesselring. — Jednak tuż przed moim odlotem z Berlina zostałem wezwany do kwatery Hitlera na dodatkową odprawę. Wygląda na to, że nasz ceniony dowódca floty, admirał Raeder, wygłosił przed nim bardzo przekonujący pean na cześć inwazji na Malte. Podczas spotkania szefów sztabu poprzedniego dnia. Tak więc, skoro i admirał Raeder, i marszałek polowy Rommel, i ja opowiedzieliśmy się za inwazją, *Führer* udzielił warunkowej

zgody na przeprowadzenie tej operacji pod koniec roku. Już otrzymała kryptonim: „Operacja Herkules”.

— Gratuluję, panie marszałku — powiedział Student z szerokim uśmiechem.

— Nie tak szybko, Kurt — Kesselring uniósł rękę. — *Führer* poprosił mnie o sporządzenie szacunkowych planów inwazji. Mam je w przyszłym tygodniu przedstawić w Berlinie jemu i szefom sztabu. Jeśli je zaaprobuje, „Operacja Herkules” rozpocznie się zgodnie z planem. Jeśli nie, zostanie skreślona. Dlatego wezwałem cię tutaj tak nagle. Na pewno w grę wchodziłby atak powietrzny. A to twoja domena, Kurt. Ściągnę kilku moich doradców. To ma być sensowny plan, taki, który mógłbym przedłożyć *Führerowi*.

— Kiedy odbędzie się odprawa? — zapytał Student, nie potrafiąc ukryć podniecenia. Nigdy nie przypuszczał, że będzie uczestniczył w planowaniu kolejnej operacji desantowej. Nie po ataku na Kretę.

— Za kilka dni. Postanowiłem, że odbędzie się w Grand Hotelu w Palermo. Będę potrzebował oddziału, który zabezpieczy teren wokół budynku podczas tego spotkania.

— Mógłby pan użyć gestapo — zaproponował Student. — Mają batalion stacjonujący w Palermo. Byliby idealni do tej roboty.

— Nie, nie chcę tam gestapo — rzekł stanowczo Kesselring. Uważał gestapo za zło konieczne na okupowanych terytoriach, lecz nigdy nie ukrywał, że czuje wstręt do metod, jakimi posługiwało się tłumiąc lokalny ruch oporu. — Gdybym skorzystał z ich usług, ich dowództwo chciałoby wziąć udział w spotkaniu, może pan być pewien. Nic nie sprawia im większej przyjemności niż wtykanie nosa w nie swoje sprawy. Chcę ludzi z zewnątrz, a panu jest znany mój głęboki szacunek do Dywizji Spadochronowej. W ciągu kilku minionych miesięcy wielokrotnie słyszałem od innych dowódców, że wielu spadochroniarzy zakamuflowało się jako doborowe oddziały piechoty, kiedy ich regimenty rozwiązano po inwazji na Kretę. Chcę, żeby zajął się tym nasz najlepszy człowiek, Kurt. Może sam dobrać sobie grupę. Nie obchodzi mnie, gdzie oni teraz są, chcę, żeby jak najszybciej zjawili się na Sycylii. Czy ktoś przychodzi ci na myśl?

— Znam człowieka odpowiedniego do tej roboty, panie marszałku — rzekł Student, kiwając głową. — Major Hans Riedler.

— Słyszałem o tym Riedlerze. Był jednym z pańskich protegowanych, tak?

— Tak jest. Otrzymał Krzyż Rycerski z Dębowymi Liśćmi, Mieczami i Diamentami za swój udział w zdobyciu Krety. To jeden z najlepszych żołnierzy, jakich znam.

— Wie pan, gdzie obecnie jest Riedler? — zapytał Kesselring.

— Ostatnio podobno został przeniesiony na front wschodni. Jednak nie wiem dokładnie gdzie.

— Niech pan zostawi to mnie. Nie powinienem mieć kłopotów z załatwieniem jego przeniesienia u generała Paulusa. — Kesselring uśmiechnął się pod nosem. — Friedrich Paulus i tak jest mi winien kilka przysług.

— Będzie pan musiał załatwić przeniesienie także dla jego ludzi — rzekł Student. — Od razu mogę panu powiedzieć, że Riedler nie ruszy się bez nich. Jest wobec nich bardzo lojalny.

— Doskonale. Im prędzej dotrą do Palermo i zabezpieczą hotel, tym prędzej będziemy mogli przeprowadzić odprawę.

— Generał Paulus nie będzie zachwycony stratą kogoś w rodzaju Riedlera, panie marszałku.

— Przecież posyłam mu godnego zastępcę w osobie majora Rembolda.

— Nie sądzę, żeby generał Paulus patrzył na to w ten sposób, szczególnie po fiasku, jakim zakończyła się ubiegłej nocy operacja Rembolda — prychnął Student.

— A kto mu o tym powie? — odparł Kesselring z nikłym uśmiechem i sięgnął po stojący na biurku telefon.

Major Hans Riedler nawet nie mrugnął, gdy kolejny pocisk spadł niebezpiecznie blisko. Wybuch wstrząsnął ścianami ziemianki i grad kamyków osypał się spomiędzy mokrych i wygiętych desek, ze złowrogim trzeszczeniem utrzymujących warstwę rozmokłej ziemi.

Był sam w swej ciasnej kwaterze, małym, wilgotnym pokoiku oświetlonym płomykiem lampy naftowej. W jedynym suchym kącie leżał siennik i koc. Riedler siedział nieruchomo na drewnianym stołku obok wyjścia, oddzielonego od reszty schronu brudnym prześcieradłem. Mundur miał podarty i pochlapany zaschniętym teraz błotem, a stalowy hełm mocno nasunięty na głowę — po tym, jak jeden z jego ludzi został zabity w głównym pomieszczeniu bunkra przez spadającą ze sklepienia deskę, noszenie hełmów stało się obowiązkowe. Kolejna ofiara. Siedemnaście dni wcześniej Riedler przybył na front wschodni z czterdziestoma siedmioma spadochroniarzami z Trzeciego Regimentu, uważanego za jeden z najbardziej elitarnych oddziałów powietrzno-desantowych. Teraz dwudziestu z nich nie żyło, a dziewięciu było ciężko rannych. Sześciu rannych odtransportowano do szpitala polowego. Ale to było pięć dni temu. Tego samego dnia zabłąkany pocisk zerwał linię telefoniczną. Byli całkowicie odizolowani. Zziębnięci i przygnębieni ludzie nie mieli szans w starciu z uzbrojonymi po zęby Rosjanami. Jak długo wytrzymają?

Riedler powoli wstał i podniósł z podłogi wystrzępioną mapę. Rzucił ją tam w porywie gniewu — a może to był przypływ bezradnej frustracji? Ich pozycja była kilkakrotnie zakreślona czarnym ołówkiem. Według mapy znajdowali się trzydzieści kilometrów na zachód od Saratowa. Na front wschodni wysłano ich jako oddział zwiadowczy, który miał rozpoznawać teren przed postępującą Szóstą Armią. Wielu z jego ludzi szybko rozczarowało to niewdzięczne zadanie. Uważali się za elitarny oddział spadochroniarzy, jeden z nielicznych w Europie; tymczasem używano ich jako mięso armatnie. Riedler musiał uruchomić wszystkie swoje zdolności przywódcze, aby utrzymać dyscyplinę w tych wyjątkowo ciężkich warunkach.

Odsunął prześcieradło u wejścia i wyszedł na korytarz. Trzej mężczyźni siedzieli na odwróconych do góry dnem wiadrach, grając w pokera. Usiłowali wstać i zaszutować, lecz Riedler gestem nakazał im, żeby siedzieli. Na drugim końcu była również zasłona z brudnego prześcieradła. Odsunął ją na bok i wszedł do środka. W nozdrza uderzył go potworny smród środka antyseptycznego, którym zdawało się być przesiąknięte całe pomieszczenie. Na zakrwawionym płótnie pokrywającym drewniany stół leżały narzędzia chirurgiczne. Pod ścianą ułożono równo sienniki. Trzy z nich były zajęte. Riedler zawsze starał się znaleźć chwilę czasu, żeby odwiedzić rannych. Morale, nawet tych, którzy byli niezdolni do walki, było niezwykle ważne.

— Dzień dobry, majorze — powiedział sanitariusz, odkładając gazetę sprzed tygodnia, którą patrol znalazł parę dni wcześniej w jakimś opuszczonym domu.

— Dzień dobry — odparł Riedler. — Jak oni się dziś czują?

— Buchwaldowi i Heymannowi nie pogarsza się, ale stan Webera jest krytyczny. Rozpaczliwie potrzebuje odpowiedniej opieki lekarskiej. Ma silne bóle. Podaję mu morfinę, ale wystarczy mi jej tylko na czterdzieści osiem godzin. I tylko jeśli będę ją podawał wyłącznie Weberowi. Jeżeli będą kolejne ofiary, nie wiem, co zrobię. Moje zapasy kurczą się szybko.

— Tak samo jak racje żywnościowe — rzekł Riedler. — Dwaj nasi znaleźli martwego konia w pobliżu okopów. Chcieli go poćwiartować, ale nie było jak sprawdzić, czy mięso nadaje się do spożycia. A jeśli bolszewicy celowo otruli konia? Kazałem zakopać ścierwo, żeby się nikt nie skusił. Jest już kilka przypadków dezynтерии. Nie potrzeba nam jeszcze zatrutej żywności.

— Cały oddział dostanie dezynтерии, to tylko kwestia czasu — powiedział sanitariusz. — I nic nie mogę na to poradzić. Za mało lekarstw.

— I tak robisz, co możesz — Riedler poklepał go w plecy.

— Chyba do tej pory ktoś w dowództwie powinien się zorientować, że zostaliśmy odcięci od reszty dywizji. Przecież powinni wysłać patrol na poszukiwania. To już pięć dni. Czy chcą nas tu zostawić, żebyśmy wyginęli?

— Zamienię słowo z Weberem — rzekł Riedler, celowo unikając odpowiedzi. Podeszedł do sienników pod ścianą. Buchwald i Heymann zdawali się spać. Pochylił się nad trzecim mężczyzną. Chociaż bardzo młody, Stefan Weber był już weteranem walk powietrznych w Grecji i na Krecie. Żelazny Krzyż Pierwszej Klasy otrzymał po udanym ataku na ciężko ufortyfikowaną aliancką fortecę Eban Emael w Belgii, w 1940 roku.

Trzy dni temu prowadząc patrol nadepnął na minę przeciwpiechotną. Aby uratować życie, sanitariusz musiał amputować mu lewą nogę nad kolaniem. Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny Weber raz po raz zapadał w gorączkowy sen i chociaż dzisiaj w końcu temperatura spadła, był słaby i podatny na wtórne zakażenie. Już zwalczył zapalenie płuc, a Riedler wiedział, że łąda chwila dopadnie go dezynteria, której przypadki były coraz częstsze w obozie. I wątpił, czy chłopakowi starczy sił, aby zwalczyć i ją...

— Miło mi pana widzieć, panie majorze — rzekł Weber z nikłym uśmiechem, ocierając dłonią zimny pot z czoła. — Lepiej niech się pan zbyt nie zbliża...

— A od kiedy to wydaje mi pan rozkazy, poruczniku Weber? — odparł Riedler łagodnie. — Jak pan się dziś czuje?

— Nie jestem pewien, czy jestem zdolny do skoku, panie majorze — zachichotał Weber.

— A zadałem sobie tyle trudu, żeby ci przygotować spadochron — podjął z humorem Riedler.

— To były dobre czasy, prawda? Belgia. Grecja. Kreta. Szczególnie Kreta. Nadal nie rozumiem, dlaczego Hitler kazał rozwiązać oddziały spadochronowe po zdobyciu Krety. Może i straciliśmy wielu ludzi, ale przynajmniej osiągnęliśmy cel i zdobyliśmy wyspę. Myślałem, że cel uświęca środki.

— Nie nasza rzecz rozważać dlaczego.

— Nie, my mamy tylko ślepo słuchać i ginąć — odparł Weber. Gwałtownie się rozkaszał, ale jakoś zdołał opanować atak. Otarł ślinę z ust. — Śmierć mnie nie przeraża, panie majorze. Jednak umierać w taki sposób? W takich warunkach. W takich okolicznościach. To nie w porządku. To po prostu nie w porządku.

— Jakoś nigdy nie uważałem cię za defetystę — powiedział Riedler. — Jeszcze nie umarłeś, Stefan.

— Nie mam złudzeń, panie majorze. Wiem, że straciłem mnóstwo krwi podczas amputacji nogi. Nie mam siły, aby zwalczać wtórne infekcje. A może po prostu nie mam na to ochoty. Oddziały spadochronowe były całym moim życiem.

— Masz żonę, która czeka na ciebie w Niemczech. Czy Anna nic dla ciebie nie znaczy?

— Należy raczej zapytać, panie majorze, czy ja coś dla niej będę znaczył w tym stanie — padła gorzka odpowiedź.

— Pamiętam wasze przyjęcie weselne. A wiesz, co pamiętam najlepiej? Sposób, w jaki Anna zerkała na ciebie ukradkiem, kiedy odszedłeś od niej choćby o krok. I nie patrzyła na twój mundur ani na medale. Spoglądała na ciebie. Czy naprawdę myślisz, że przestanie cię kochać dlatego, że zostałeś ranny? Jeśli tak sądzisz, to nie zasługujesz na taką kobietę jak ona.

— Ja po prostu... — Weber urwał z bezradnym wzruszeniem ramion, a potem spojrzął na postać wchodzącą do pomieszczenia. — Mamy towarzystwo, panie majorze.

Riedler nie odwracając się wiedział kto to. Ilekroć patrzył na swojego zastępcę, *Hauptmanna* Jurgena Frankego, przychodziły mu na myśl plakaty werbunkowe, ukazujące idealnego rekruta jako przystojnego jasnowłosego, niebieskookiego aryjskiego młodzieńca. Franke był

uosobieniem hitlerowskiej wizji *Herrenvolk*. Jedyną skazą jego chłopięcej urody była ledwie widoczna blizna na prawym policzku, odniesiona w pojedynku podczas studiów na akademii wojskowej w Bawarii, gdzie wykazał się jako świetny szermierz i student.

Franke był zagorzałym nazistą. Zaledwie przed miesiącem został przeniesiony z elitarnego oddziału — jednej ze specjalnych niemieckich jednostek znanych po nazwą Dywizji „Brandenburg”, które tak dobrze zasłużyły się w Afryce Północnej. Zajął miejsce nieodżałowanego porucznika Karla Mullera, szwagra i zastępcy Riedlera, zabitego podczas desantu na Krecie. Franke był bezsprzecznie najbardziej nieustraszoną i oddanym oficerem, jakiego Riedler kiedykolwiek znał, co wcale nie znaczyło, że go lubił. Kryło się za tym coś więcej niż zwykła niechęć do osoby Frankego i jego mętnej ideologii. Riedler parę razy wyraził się nie najlepiej o polityce rządzącej partii nazistowskiej i wiedział, że Franke został przysłany, żeby go szpiegować. Paranoja dręcząca SS była teraz wszechobecna. Franke nie zdawał sobie sprawy, jakie uczucia budzi w Riedlerze. Ten dla utrzymania dobrej atmosfery wśród swych ludzi nie zdradzał się ze swą niechęcią do Frankego. I do tej pory udawało mu się to...

— Jest pan ranny, kapitanie — powiedział sanitariusz, zauważywszy krew sączącą się z rany pod okapem hełmu Frankego. Strumyk już wyżłobił nierówną bruzdę w brudzie pokrywającym prawą stronę jego twarzy i zabarwił kołnierz zabłoconego munduru polowego.

— To nic. — Franke odprawił go machnięciem ręki.

— Znów chodził pan po okopach, bawiąc się w chowanego z pociskami, prawda? — rzekł Riedler, uśmiechając się krzywo.

Franke odpowiedział uśmiechem.

— Tam jest piekło, panie majorze, ale ja to uwielbiam. Podeszedł do siennika i spojrzał na Webera.

— Wyglądasz dziś znacznie lepiej, Stefan.

— Pozory mylą, panie kapitanie — odparł ranny.

— Wiesz, że zazdroścę ci, Stefan — stwierdził Franke. — Wrócisz do domu jako bohater.

— Tylko że wrócę do domu bez lewej nogi — odrzekł Weber, usiłując opanować narastający gniew. Podobnie jak Riedler, nie lubił Frankego. Jednak w przeciwieństwie do majora, nigdy nie próbował ukrywać tych uczuć.

— Złożyłeś wielką ofiarę dla *Führera* i ojczyzny — ciągnął Franke. — Nie ma większego zaszczytu.

Riedler przeszył Webera surowym spojrzeniem, zanim ranny zdążył coś powiedzieć. Weber głęboko odetchnął, ale nie odezwał się. Riedler odprowadził Frankego do drzwi.

— Nie sądzę, żeby Weber był w tej chwili w odpowiednim nastroju do wysłuchiwanie pańskich przemówień propagandowych. Czy przyszedł pan tu tylko po to, żeby podtrzymać go na duchu, czy też miał pan jakiś szczególny powód?

— Możemy porozmawiać na zewnątrz, panie majorze?

Riedler wyszedł na korytarz i zauważył, że trzech grających przedtem w pokera żołnierze zniknęli. Pozostały po nich tylko odwrócone wiadra.

— No, o co chodzi?

— Właśnie otrzymałem meldunek, że zbliża się jakaś ciężarówka, panie majorze — odparł Franke. — Wygląda na naszą.

— To może być pułapka.

— Już ogłosiłem alarm. Chociaż i tak nie wytrzymałibyśmy zmasowanego ataku Rosjan z takimi skromnymi zapasami amunicji, jakie nam zostały.

— Zdaję sobie sprawę z niedostatecznej ilości amunicji, kapitanie — rzekł Riedler. Wskazał ręką na korytarz. — Chodźmy i zobaczmy, co się dzieje, dobrze?

Franke ruszył podziemnym przejściem do wyjścia, które wiodło do ponurej rzeczywistości otwartych okopów. Riedler szedł za nim w siąpiącym deszczu. Zmacerowane błoto natychmiast oblepiło mu buty, brnął przez nie ciężko. Żołnierz stojący na warcie przed wejściem odruchowo zasalutował oficerom. Jego twarz nie wyrażała niczego, prócz goryczy wywołanej zdradą. Dywizja Spadochronowa została zdradzona przez swoich dowódców, bezpiecznie ukrytych w ciepłych schronach pod zbombardowanymi ulicami Berlina. Tę zdradę niewielu z nich zapomni, a jeszcze mniej wybaczy...

— Zatrzymała się gdzieś tam, panie majorze — zameldował żołnierz Riedlerowi, wskazując na przerzedzony lasek o kilkaset metrów od okopu. To jedyne osłonięte miejsce w okolicy.

— I od chwili przyjazdu nikt nie wyszedł spośród tych drzew? — zapytał Riedler.

— Nie, panie majorze — odparł wartownik.

— Jakiej marki była ta ciężarówka?

— Wyglądała jak Opel Blitz — odrzekł żołnierz. — Myśli pan, że przysłano ją po nas?

— To możliwe — powiedział w zadumie Riedler, nie odrywając oczu od drzew. — Pytanie tylko: dlaczego?

— Nie rozumiem — powiedział Franke.

— Dlaczego nie wysłano jej pod zwykłą eskortą czołgów? Chyba że dowództwo chce nas stąd zabrać, i to chce zabrać szybko. Przynajmniej część z nas. W takich warunkach ta ciężarówka może przewieźć najwyżej dwunastu, piętnastu ludzi. Z większą liczbą pasażerów ugrzęźnie w błocie. Dlaczego więc nie przysłali dwóch ciężarówek? Nie, za tym kryje się coś więcej. I bardzo chętnie dowiem się co.

— Panie majorze, proszę spojrzeć — powiedział żołnierz, pokazując na postać, która wyłoniła się spośród drzew i stanęła niepewnie na skraju. Mężczyzna miał na sobie niemiecki mundur i białą flagę w dłoni.

— Nie strzelać! — krzyknął Riedler do ludzi w okopie, którzy już wzięli tamtego na cel. Wszyscy byli uzbrojeni w karabiny FG 42, produkowane w niewielkich ilościach wyłącznie na potrzeby oddziałów powietrzno-desantowych. Odwrócił się do stojącego najbliżej żołnierza. — Idź i sprowadź go tutaj.

Żołnierz wygramolił się po drewnianej drabince ustawionej pod ścianą okopu i zygżakiem pobiegł przez polanę do czekającego na skraju lasu oficera. Obaj pochylili się, gdy niedaleko eksplodował pocisk, a potem pobiegli w kierunku transzei. Nowo przybyły, młodzieniec o rumianej twarzy, noszący gwiazdki porucznika na nieskazitelnie czystym mundurze, pierwszy zszedł po drabince. Na widok epoletów Riedlera trzasnął obcasami i wyciągnął ramię w hitlerowskim pozdrowieniu. Riedler odpowiedział, dotykając skroni czubkami dwóch palców.

— Major Riedler? — zapytał porucznik.

Riedler skinął głową.

— Skąd wiedzieliście, gdzie mnie znaleźć?

— Posłano samolot zwiadowczy, aby zlokalizował pańską pozycję, panie majorze.

— Kiedy?

— Dziś rano, panie majorze. Znając pańską poprzednią pozycję, szybko ustalili obecne położenie.

— Jesteśmy tu już od pięciu dni! — rzucił ze złością Riedler. — Przez ten czas straciłem czterech ludzi, a trzech jest rannych. W tym jeden ciężko. Musieliśmy racjonować żywność i prawie skończyła nam się amunicja, a pan powiada, że w każdej chwili można nas było stąd wycofać.

— Ja... ja nic nie wiem, panie majorze — wyjąkał nerwowo porucznik. — Ja... ja tylko wykonuję rozkazy.

— To znaczy? — spytał Franke.

Porucznik odpiął guzik kieszeni na piersi i wyjął zapieczętowaną kopertę, którą podał Riedlerowi.

— Kazano mi doręczyć to panu osobiście, panie majorze.

— Na czyj rozkaz? — zapytał Riedler, wyjmując kopertę z ręki porucznika.

— Generała Paulusa, panie majorze.

Riedler rozdarł kopertę i wyjął urzędowe pismo. Powiódł wzrokiem do podpisów na dole kartki. Marszałek polowy Albert Kesselring i generał Friedrich Paulus. W milczeniu przeczytał pismo, a potem podał je Frankemu.

— Zna pan treść tego listu? — zapytał porucznika.

— Nie, panie majorze. Otrzymałem je w zalakowanej kopercie. Mam rozkaz zabrać piętnastu pańskich ludzi, w tym pana i kapitana Frankego, do bazy powietrznej w Charkowie. Tam czeka na was samolot transportowy, nie znam jednak jego miejsca przeznaczenia. Kazano mi przekazać panu, że do transportu przeznaczeni są tylko ludzie zdolni do walki. Pozostali pańscy żołnierze, z rannymi włącznie, zostaną wycofani stąd w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin.

— Tak głosi to pismo — odparł Riedler, gdy Franke oddał mu papier. — Weber też pojedzie z nami.

— Kto to jest Weber? — spytał porucznik.

— Porucznik Stefan Weber został ciężko ranny dwa dni temu. Wymaga natychmiastowej opieki medycznej.

— Przykro mi, panie majorze, ale mam rozkaz nie zabierać żadnych rannych — zaoponował porucznik. — Generał Paulus mocno to podkreślał.

— Porucznik Weber może nie przeżyć następnych czterdziestu ośmiu godzin — powiedział Riedler. — Jedzie z nami.

— Generał Paulus...

— Jestem gotowy wziąć pełną odpowiedzialność za porucznika Webera — uciął ostro major. — I w razie potrzeby odpowiem za to osobiście przed generałem Paulusem.

— Mam rozkazy — upierał się porucznik.

Franke wyjął walthera P-38 i przycisnął lufę do brody młodego oficera.

— Tutaj dowodzi major Riedler. Jeśli wydaje panu rozkaz, usłucha pan bez zadawania pytań. Jeśli nie, zostanie pan rozstrzelany za niesubordynację.

— Nikt tu nie zostanie rozstrzelany za niesubordynację — szybko zainterweniował Riedler, odsuwając pistolet od twarzy porucznika. — Kapitanie Franke, proszę sporządzić listę ludzi, których zabieramy ze sobą. Proszę mi ją przynieść, kiedy pan skończy.

Franke schował pistolet do kabury, zasalutował i zniknął w drzwiach schronu.

— Panie majorze, rozumiem pańską troskę o porucznika Webera — rzekł oficer — i chętnie wziąłbym go ze sobą, i to razem z innymi rannymi, ale na ciężarówce po prostu nie ma dla nich miejsca. Przy piętnastu pasażerach i tak będzie ciasno. Czas ma tu zasadnicze znaczenie. Musimy zostawić rannych.

— Ilu was jest w ciężarówce?

— Tylko ja i kierowca, panie majorze.

— A zatem jeśli martwi się pan o miejsce, może pan tu zostać do czasu przybycia posiłków — oznajmił mu Riedler. — W ten sposób będziemy mogli zabrać Webera.

— Ja nie...

Porucznik zamilkł, słysząc świst nadlatującego pocisku, i przypadł do ziemi, mocno przytrzymując stalowy hełm. Kilka sekund później pocisk wybuchł dostatecznie blisko, żeby obryzgać ich obu fontanną błota.

— Tak było przez ostatnie dwa dni — powiedział Riedler do spoglądającego nań niespokojnie porucznika. — Nieustanny ostrzał, dwadzieścia cztery godziny na dobę. Jesteśmy na ziemi niczyjej, między Rosjanami a naszymi. Łatwo to stwierdzić, pociski padają ze wszystkich stron. Tylko że my nie wiemy, kto jest kim. Linia frontu codziennie się zmienia. Dlatego musieliśmy tu pozostać. Nie mogliśmy podejmować próby przedarcia się, żeby nie wmaszerować prosto do obozu bolszewików. Słyszę, że lubią odzierać jeńców żywcem ze skóry. Osobiście wolę już ostrzał artyleryjski. Ale ponieważ pan będzie tu najstarszy stopniem, kiedy ja i kapitan Franke opuścimy te pozycje, sam podejmie pan decyzję, czy pozostać tu do czasu przybycia posiłków, czy też podjąć ryzyko dotarcia do naszych oddziałów. Powiedziałbym, że mielibyście pięćdziesiąt procent szans.

— Ja... jestem pewien, że jakoś znajdziemy miejsce dla porucznika Webera, panie majorze — wykrztusił przerażony oficer.

— Jestem tego pewien, ale im dłużej o tym myślę, tym bardziej wydaje mi się to niesłuszne — powiedział Riedler. — Po prostu nie mogę pozostawić tu moich ludzi, nie wiedząc, czy zostaną wycofani po moim wyjeździe.

— Generał Paulus dał słowo, panie majorze — zapewnił go porucznik.

— Żeby uspokoić tych w kwaterze głównej, a obaj wiemy, jak kiepska bywa tu łączność. Nie, muszę mieć pewność, że reszta moich ludzi również zostanie stąd zabrana. A będę ją miał tylko wtedy, gdy pozostanie pan tu razem z nimi. Kiedy dowiozą nas na lotnisko, ciężarówka uzupełni paliwo i wróci po was. Jestem przekonany, że nakłoni pan do tego kierowcę, prawda?

Zanim pobladły porucznik zdołał wykrztusić odpowiedź, Franke wyłonił się ze schronu i podał Riedlerowi kartkę papieru.

— Skonsultowałem tę listę z sanitariuszem, panie majorze. Żaden z nich nie korzystał przez ostatnie pięć dni z jego pomocy. To niekoniecznie oznacza, że są w stu procentach sprawni, ale nie ma czasu na drobiazgi.

Riedler przesunął palcem po liście, potem kiwnął głową i zwrócił ją Frankemu.

— Za dziesięć minut mają być gotowi do wyjazdu.

— Zaraz się tym zajmę, panie majorze — powiedział Franke. — A co z porucznikiem Weberem?

— Pan porucznik bardzo wielkodusznie postanowił pozostać z resztą naszych ludzi, dopóki nie wróci po nich ciężarówka. W ten sposób znalazło się miejsce i dla Webera.

— To istotnie bardzo wielkodusznie z jego strony, panie majorze — przyznał Franke z porozumiewawczym uśmiechem.

Młody porucznik nerwowo przypadł do ziemi, gdy kolejny pocisk upadł niedaleko okopów. Franke mocno chwycił go za ramię, postawił na nogi i bezceremonialnie zaprowadził do schronu. Przystanął u wejścia i spojrzał na ciemne, zachmurzone niebo. Riedler ujrzał smutek w jego oczach, jakby Franke niechętnie opuszczał tę piekielną dziurę, która przez ostatnie pięć dni służyła im za schronienie. Jednak znając jego fanatyczne oddanie dla *Führera* i ojczyzny, wcale nie był zdziwiony...

6

— Dzień dobry.

— Dzień dobry, szefie — odpowiedzieli chórem Evans i Hillyard, gdy McIndoe wszedł do jadalni. Johnson tylko skinął głową na powitanie, jak to miał w zwyczaju.

— Dobrze spałeś, Mac? — zapytał Ravallo.

— Nieszczególnie — odparł zwięźle Szkot. Podeszedł do okna i zerknął przez szparę w zasłonie. Przed bramą stał dżip żandarmerii polowej z dwoma MP w środku. — Widzę, że nadal mamy areszt domowy.

— Jak długo to potrwa? — spytał Evans.

— Skąd, do diabła, mam wiedzieć? — odparł ostro McIndoe, a potem lekko dotknął ramienia Evansa i usiadł obok niego przy stole. — Przepraszam, Taffy, nie chciałem tak na ciebie warknąć. Po prostu tak samo mnie to denerwuje jak ciebie.

— Rozumiem, szefie — rzekł uspokajająco Evans.

— A więc, co dobrego mamy na śniadanie? — McIndoe sięgnął po dzbanek z herbatą stojący na środku stołu.

Hillyard podniósł dzwonek i zadzwonił, patrząc w kierunku otwartych drzwi.

— Mamy tu nawet własną kucharkę. Starr myśli o wszystkim. Kobieta w średnim wieku weszła do pokoju, podeszła do stołu i postawiła talerz przed McIndoe. Dwie łyżki jajecznicy, dwa plasterki boczku, parówka i pół smażonego pomidora. Zaczekał, aż kobieta wyjdzie, po czym odsunął od siebie talerz.

— Powinniśmy być na racjach żywnościowych, tak samo jak reszta personelu stacjonującego na wyspie. Oni tego nie mają. To źle, że mamy specjalne przywileje, kiedy miejscowi przymierają głodem.

— Korzystaj, póki możesz. Zawsze to mówię, Mac — stwierdził Ravallo.

— To ty tak mówisz, Nicky — powiedziała Stella, stając w progu. Miała na sobie zwykły polowy mundur, jej twarz nie nosiła śladu makijażu, a kruczoczarne włosy luźno opadały na ramiona. Wyglądała oszalamiająco. Podeszła do stołu i usiadła.

— Sam ma rację. Dlaczego mamy cieszyć się specjalnymi przywilejami, kiedy tysiące miejscowych, zwłaszcza dzieci, cierpi na okropne przypadłości wskutek niewłaściwego odżywiania? Uważasz, że to w porządku jeść królewskie posiłki, podczas gdy oni muszą głodować?

— To i tak niczego nie zmieni, prawda? — odparł Ravallo, wskazując na talerz McIndoe.

— Tu chodzi o zasadę, Nicky — powiedziała. — Po ubogim dzieciństwie w Brooklynie ty powinieneś rozumieć to najlepiej.

— Pierwszą rzeczą, jakiej nauczyłem się w dzieciństwie, było to, żeby nigdy nie marnować jedzenia — powiedział jej Ravallo. — Jednak nie martw się, następnym razem na pewno wrzucę wszystko do śmieci. Tak dla zasady, oczywiście. Czy to cię uszczęśliwi?

Evans pochwycił spojrzenie Hillyarda i nieznacznym ruchem głowy wskazał na drzwi. Hillyard trącił Johnsona i wstał.

— Wybaczcie nam? — zapytał z uśmiechem. — Mamy kilka spraw do załatwienia.

— Idę z wami — oznajmił Ravallo, odsuwając krzesło i podnosząc się. Spojrzał na McIndoe. — Gdyby Starr mnie szukał, jestem w pobliżu. Raczej nie zamierzam wychodzić z domu.

Stella zaczęła, aż cała czwórka opuścił pokój, po czym przetarła rękami twarz.

— Nie powinnam przypominać Nicky'emu jego dzieciństwa. Uświadomiłam to sobie w tej

samej chwili, gdy o tym wspomniałam. Zawsze wtedy przyjmuje zaczepną postawę. A w dodatku większość jego kolegów z MI pochodzi z dobrze sytuowanych rodzin, które było stać na posyłanie synów do liceów i na wyższe uczelnie. To zapewniło im przewagę na Nickym już na starcie w MI. On musiał zaczynać od zera. Nie było mu łatwo. Jednak to, kim jest teraz, najlepiej dowodzi, jaki z niego człowiek. Niektórzy zwierzchnicy też mu nie pomagali. Znasz takich ludzi. Typowy Amerykanin, co to w liceum był kapitanem drużyny piłkarskiej, umawiał się z najładniejszą klakierką, ukończył prawo i Poślubił córkę jakiegoś senatora.

Naląła sobie filiżankę herbaty, spojrzała nad stołem na McIndoe i obdarzyła go triumfalnym uśmiechem.

— Jednak Nicky będzie miał ostatnie słowo. Już się szykują, żeby zrobić go najmłodszym dyrektorem w historii MI. A wtedy zobaczymy, jak ci typowi Amerykanie będą się skrecać z zazdrości.

— On wiele dla ciebie znaczy, prawda? — rzekł McIndoe, wytrzymując jej spojrzenie.

— Mam najwyższy szacunek dla jego osiągnięć, jeśli o to ci chodzi — odparła. Zachichotała i potrząsnęła głową, widząc niepewną minę Szkota. — Nie wyciągaj błędnych wniosków, Sam. Nicky'ego i mnie łączą jedynie sprawy służbowe. I tak już zostanie.

— Charakter związku między tobą a Nickym to nie moja sprawa — rzekł McIndoe. Wstał, znów podszedł do okna i spojrzał na ulicę. Żandarmi nadal tam tkwili.

— Wciąż jesteś na mnie zły za to, co powiedziałam ubiegłej nocy, prawda? Przykro mi, jeśli cię to zabolowało, Sam, ale nadal uważam, że masz zdrajcę w swojej grupie. I niech mnie diabli, jeśli mam zamiar przez niego wpaść.

— Dziwne, że nigdy nie mieliśmy żadnych problemów, póki wy nie pojawiliście się na scenie. — McIndoe odwrócił się od okna. — Kto wie, może to Nicky zawiadomił Niemców.

— Wiem, że to nie Nicky.

— A ja wiem, że to nikt z mojej grupy.

Stella już miała coś powiedzieć, ale rozmyśliła się i wymaszerowała z pokoju.

McIndoe powoli usiadł za stołem i ukrył twarz w dłoniach. Czy mógł mieć pewność, że zdrajcą nie był ktoś z jego grupy? Wiedział, że nie, i to go naprawdę gnębiło. Nie zmrużył oka minionej nocy — godzinami wiercił się i przewracał w łóżku, niezdolny myśleć o niczym innym. Jednak za każdym razem gdy w myślach przywoływał kolejne nazwiska — a Bóg wie, ile razy robił to do rana — po prostu nie mógł uwierzyć, że pod którymś z nich może się kryć niemiecki szpieg. To wydawało się niemożliwe. Wszyscy jego ludzie byli doświadczonymi agentami, ich zasługi dla firmy były nie do przecenienia. Evans i Passiere zostali nawet odznaczeni za odwagę na polu bitwy. Co z tego. Jeśli Starr nie zdemaskuje zdrajcy, wszyscy będą traktowani ze zrozumiałą podejrzliwością, co położy kres ich ewentualnej dalszej pracy w firmie. Już nie będą cieszyć się zaufaniem. To dotyczyło także jego...

— Mac?

McIndoe podniósł głowę. Ravallo stał po drugiej stronie stołu.

— Przepraszam, Nick. Nie słyszałem, jak wszedłeś.

— Nic ci nie jest?

— Nie — odparł stanowczo McIndoe. — Przez całą noc nie zmrużyłem oka. Nie mogłem przestać myśleć o tym, że jeden z moich ludzi może być zdrajcą.

— To jest nas dwóch, koleś — rzekł Amerykanin.

— Jeżeli szukasz Stelli, to obawiam się, że wyszła stąd mocno wkurzona — powiedział McIndoe. — Trochę posprzeczałyśmy się o to.

— Nie przejmuj się Stellą. — Ravallo niedbale machnął ręką. — Jak już słyszałeś, nie przebiera w słowach. Jednak właśnie to mi się w niej podoba. Lubię takie dziewczyny. Właściwie

przyszedłem do ciebie. Dopiero co wpadłem w kuchni na sierżanta Pearsona. Pojawił się, żeby zabrać nas dwóch do kwatery głównej na rozmowę ze Starrem.

— Myślisz, że Starr odkrył, kim jest zdrajca? — McIndoe szybko podniósł się z krzesła.

— Chyba jest tylko jeden sposób, żeby to sprawdzić, no nie?

— Tak, znalazłem waszego zdrajcę — oświadczył Starr w odpowiedzi na pytanie McIndoe. Wskazał ustnikiem fajki na dwa krzesła stojące przed jego biurkiem. — Siadajcie. Obaj.

McIndoe niespokojnie usiadł na brzeжку krzesła, nie odrywając oczu od twarzy admirała.

— A zatem, panie admirale, kto nim jest?

— Partyzant, który odwoził porucznik di Mauro na miejsce spotkania — odparł Starr, zerkając na raport leżący na biurku. — Angelo Sciarro.

— Przecież Stella wyjawiała mu lokalizację punktu kontaktowego dopiero wtedy, gdy byli już w drodze — przypomniał mu Ravallo. — Jak mógł porozumieć się z Niemcami, jeśli miała go na oku, dopóki nie dotarli do statku?

— Podejrzewam, że zostawił wiadomość w ciężarówce — odrzekł Starr. — Niemcy mogli jechać w bezpiecznej odległości za ciężarówką, nie zauważeni przez porucznik di Mauro. W odpowiedniej chwili zabrakło paliwa i di Mauro oraz Sciarro musieli przejść ostatnie kilometry pieszo. To nie tylko pozwoliło Niemcom odebrać wiadomość, ale także przygotować atak na MTB.

— To tylko domysły, panie admirale — rzekł Ravallo.

— Możemy jedynie domyślać się tego, skąd Niemcy znali lokalizację punktu kontaktowego — przyznał Starr — ale pół godziny temu dostałem wiadomość od Giancarla Massima, dowódcy partyzantów na Sycylii, że ciało Angela Sciarra zostało znalezione w pokoju hotelowym w Gela. Strzał w głowę. W jego kieszeni był kawałek papieru, a na nim nazwisko i numer telefonu. Nazwisko pułkownika Ernsta Brauscha, szefa gestapo na Sycylii. Jeden z naszych berlińskich agentów potwierdził, że to osobisty numer Brauscha w siedzibie gestapo w Palermo. Jeśli o mnie chodzi, to wystarczający dowód.

— Dzięki Bogu! — zawołał McIndoe i wyciągnął rękę do Starra. — Nie to chciałem powiedzieć, panie admirale, ale...

— Wiem, co chciałeś powiedzieć, McIndoe, i wierz mi, ja czuję dokładnie to samo. — Starr podał mu teczkę. — Tutaj jest wszystko. Dowiedziałem się także, że on lubił wypić, i w swoim rodzinnym miasteczku, Gela, przestawał ze znanym kolaborantem. Bóg wie, dlaczego ruch oporu w ogóle korzystał z jego usług, ale Massimo najwyraźniej wysoko go cenił.

Ravallo wstał i wsadził rękę do kieszeni. Powoli podszedł do drzwi, przystanął i odwrócił się do Starra.

— A więc jednak miałem rację. Przeciek powstał z winy Stelli. Mogę tylko przeprosić za to, że wątpiłem w lojalność pańskich ludzi, panie admirale. Zrozumiem, jeśli postanowi pan wycofać ją z tej operacji.

— Uważam, że jest pan dla niej zbyt surowy, majorze — rzekł Starr. — Naprawdę trudno ją winić za to, co zaszło. Nie mogła wiedzieć o zdradzie Sciarra, inaczej na pewno podjęłaby odpowiednie kroki. Zrobiła na mnie wrażenie bardzo inteligentnej i upartej młodej kobiety. Nie mam powodu odbierać jej tego zadania. Jak pan uważa, McIndoe?

— Zgadzam się z panem, panie admirale. Nie tylko jest inteligentna i uparta, ale jej znajomość Sycylii i miejscowej partyzantki będzie dla nas nieoceniona, kiedy dotrzemy na wyspę. — McIndoe usiadł wygodniej i założył ręce na piersi. — Oczywiście, kiedy już dowiemy się, co dokładnie mamy robić, gdy tam dotrzemy.

Starr pytająco uniósł krzaczaste brwi, słysząc ten ton, i przez chwilę pykał swoją fajkę, zanim

w końcu powiedział:

— Bardzo dobrze. Teraz, kiedy już jestem pewny, że nikt z was nie był zamieszany w wydarzenia minionej nocy, mogę wyjawić wam szczegóły operacji.

Spojrzał na Ravalla, który wciąż stał przy drzwiach.

— Może zechce pan usiąść, majorze.

Ravallo wrócił na swoje miejsce. Zawahał się, kiedy Szkot podsunął mu paczkę papierosów, ale wyjął jednego. Starr zaczekał, aż obaj zapalą, a potem otworzył leżące przed nim akta.

— Ministerstwo Wojny w Londynie otrzymało w ostatnich dniach bardzo niepokojące informacje, że państwa Osi opracowują właśnie plany szeroko zaplanowanej inwazji na Malte. Nie muszę wam mówić, jakie znaczenie strategiczne ma ta wyspa w bitwie o Morze Śródziemne. Gdyby naziści opanowali Malte, uzyskaliby całkowitą przewagę na morzu i w powietrzu. A gdyby kontrolowali całe Morze Śródziemne, nasze konwoje nie mogłyby już tędy płynąć i nasze oddziały w Afryce Północnej pozostałyby na łasce losu. Linie zaopatrzenia zostałyby odcięte. Nie byłoby ani paliwa, ani amunicji, ani żywności dla żołnierzy. Jak długo wytrzymałyby w tych warunkach przeciw wzmocnionej Szóstej Armii? A upadek Afryki Północnej byłby druzgocącym ciosem dla aliantów. Kto wie, do czego mogłoby to doprowadzić.

— Innymi słowy, upadek Malty mógłby oznaczać przegraną wojnę — podsumował Ravallo.

— Niekoniecznie, jednak w sytuacji, w jakiej obecnie znajdują się alianci, zwłaszcza w Afryce Północnej i na froncie wschodnim... No cóż, wystarczy, jeśli powiem, że nie jestem w stanie przewidzieć skutków.

— Skąd Ministerstwo Wojny zna plany inwazji? — spytał McIndoe.

— To ściśle tajna informacja — zbył go szorstko Starr. — Jednak zapewniam, że nasze źródło jest całkowicie wiarygodne.

(Dopiero po wojnie McIndoe miał się dowiedzieć, że ta cenna informacja oraz niezliczone niemieckie transmisje radiowe zostały przechwycone przez ściśle tajny ośrodek w Bletchley Park w Londynie i rozszyfrowane przez grypiórków używających „Kolosa” — wysoko wydajnego komputera, który od 1941 roku łamał liczbowe kody szyfrowe niemieckiej „Enigmy”. Tej operacji nadano najwyższy stopień utajnienia i kryptonim „Ultra”).

— Marszałek Kesselring zwołał spotkanie najwyższych oficerów sztabowych na jutro, w stolicy Sycylii, żeby sfinalizować plany inwazji, która ma nosić kryptonim „Operacja Herkules”. Potem na kilka dni poleci do Berlina i przedstawi szczegóły Hitlerowi. A jeśli ten ją zatwierdzi, koła pójdą w ruch. Prawdę mówiąc, już zaobserwowano stały wzrost niemieckiego potencjału wojennego na Sycylii. Raport porucznik di Mauro ukazuje to aż nazbyt jasno. Co sugeruje, że Kesselring jest przekonany, że jego plan zostanie zatwierdzony przez Berlin. Po cóż ściągałby dodatkowe wyposażenie, jeśli nie po to, aby je wykorzystać podczas inwazji?

Starr przerwał i pyknął fajeczkę.

— Nie wiem, na ile znacie sytuację tu, na Malcie, ale w tej chwili nasza obrona jest tak słaba, że nie zdołalibyśmy odeprzeć niemieckiej inwazji. Gdyby Kesselring wysłał tu swoje wojska jutro, Malta w ciągu kilku dni wpadłaby w ręce Niemców.

— Widocznie Niemcy o tym nie wiedzą, inaczej już zaatakowałiby wyspę — zauważył Ravallo.

— Najwidoczniej. I tylko to nas ratuje.

Starr podniósł zaszyfrowany komunikat, który otrzymał tego ranka z londyńskiej siedziby SOE. Przyglądał mu się przez chwilę, a potem odłożył z powrotem na biurko.

— To, co wam powiem, musi pozostać ścisłą tajemnicą. Nie może wyjść poza ten pokój.

Obaj skinęli głowami. Starr przygryzał ustnik fajki, jakby wciąż wahając się, czy im powiedzieć. Wreszcie odłożył fajkę do popielniczki.

— W przyszłym miesiącu włądą obronę wyspy ma wzmocnić piętnaście nowiutkich spitfire'ów, które przypląną tu na pokładzie lotniskowca „Eagle”. Jakałkolwiek inwazję państw Osi niemal na pewno poprzedzą intensywne naloty bombowe. Tyle że obecność spitfire'ów znacznie utrudni Luftwaffe jej paskudną robotę. Te dodatkowe myśliwce mogą przechylić szalę na naszą korzyść.

— A więc czego dokładnie pan od nas oczekuje, panie admirale? — zapytał McIndoe.

— Macie opóźnić plany Kesselringa, przynajmniej do czasu przybycia tu spitfire'ów — odparł Starr. — To nasza jedyna szansa.

— A jak mamy tego dokonać?

Starr wyjął z teczki fotografię i podał mu ją.

— Człowiek stojący po prawej ręce Himmlera to major Otto Schenk. Albo, jeśli użyć stopnia, jaki ma w gestapo, *Sturmbannführer* Otto Schenk. Wiem, że to nie jest zbyt dobre zdjęcie, ale tylko to Amerykanie mieli w swoich aktach. My nie mieliśmy żadnego. Schenk nie szuka popularności. Zrozumiecie dlaczego, kiedy powiem, że jest jednym z pięciu oficerów w kwaterze głównej gestapo w Berlinie, których zadaniem jest kontrola placówek gestapo na okupowanych terytoriach. Odpowiada jedynie przed Himmlerem i ma *carte blanche*, która otwiera mu wszystkie drzwi: może udać się dokądkolwiek i oglądać wszystko, co zechce. Na podstawie jego raportu mogą zostać zdegradowani najwyżsi stopniem oficerowie gestapo. Tak więc trudno się dziwić, że nawet koledzy—gestapowcy boją się i nienawidzą tych ludzi.

— A jaka jest rola Schenka w naszej operacji? — zapytał McIndoe, stukając palcem w zdjęcie.

— Dzisiaj po południu ma przylecieć na Sycylię. Już mniej więcej wiemy, dokąd uda się po przybyciu. Wiemy to od naszego wysoko postawionego informatora w berlińskiej kwaterze gestapo. Tylko tyle mogę powiedzieć. Jednak nasze źródło jest bardzo wiarygodne. — Starr pyknął fajkę, po czym podjął wątek: — Jutro rano Schenk zostanie porwany przez ruch oporu, a potem wywieziony z kraju i dostarczony do Londynu, na przesłuchanie. Ale to was nie dotyczy.

— Nie potrwa długo, a podniosą alarm, panie admirale — zauważył McIndoe. — A wtedy na całej wyspie zaroi się od poszukujących go żołnierzy.

— Nie sądzę — odparł Starr. — Wszyscy będą przekonani, że Schenk nadal jest na wyspie. Jego miejsce zajmie major Ravallo. Płynnie mówi po niemiecku i dostatecznie zgłębił metody działania gestapo, żeby odegrać jego rolę.

McIndoe spojrział na fotografię, a potem zerknął na Ravalla. Potrząsnął głową. — To się nie uda. Wcale nie są do siebie podobni.

— Major Ravallo jest przekonany, że się uda — rzekł Starr. Popatrzył na siedzącego obok McIndoe Amerykanina. — Może powinniśmy pozwolić mu wszystko wyjaśnić. W końcu ta część operacji to jego pomysł. A jego zwierzchnicy byli na tyle pod Wrażeniem, że wyrazili zgodę. Majorze?

Ravallo zgasił papierosa, zanim zwrócił się do McIndoe.

— Jutro, wcześniej rano, Schenk ma opuścić Palermo, żeby przeprowadzić wizytację kilku placówek gestapo na wybrzeżu. Przez kilka następnych dni nie będą oczekiwać jego powrotu. Nikt na wyspie nie wie dokładnie, dokąd się udaje. Nawet my tego nie wiemy. I ten fakt działa na naszą korzyść. Może pojawić się gdziekolwiek i w każdej chwili. To jego zadanie: utrzymywać placówki w stałej gotowości. Poza tym, oprócz wyższych oficerów gestapo, którzy spotkają go na lotnisku, nikt na wyspie nie wie, jak on wygląda. Dlaczego ktoś miałby podejrzewać, że nie jestem Schenkiem? Będę również miał wystawiony przez samego Himmlera „list polecający”. Ci ich oficerowie do zadań specjalnych zawsze noszą je przy sobie. Ten glejt daje mi wstęp do każdego wybranego budynku. Do każdego.

— Włącznie z tym, w którym odbędzie się odprawa zwołana przez Kesselringa? — domyślił się McIndoe.

— Spotkanie ma się odbyć w Grand Hotelu — rzekł Starr. — Tam Kesselring zawsze zatrzymuje się, kiedy jest w Palermo.

— I co pan proponuje, panie admirale? Mamy ukraść plany inwazji? — pytał zdumiony Szkot.

— Nic równie szalonego. Sfotografujemy je. Jednak teraz nie mam zamiaru zagłębiać się w szczegóły. Wszystko jest obszernie wyjaśnione w dokumentach, które dostajecie do przejrzenia. — Starr wskazał na dwie duże koperty leżące na biurku. — Wasze zadanie polega na tym, aby Kesselring doszedł do wniosku, że znamy jego plany. A będzie musiał do niego dojść, jeśli ręcznie pisane stenogramy zostaną znalezione po odprawie w koszu na śmieci przed hotelem, podczas gdy on otrzyma już ich przepisane na maszynie kopie. To go postawi przed poważnym dylematem. Czy zaryzykować i przedstawić Hitlerowi plany, które mogły oglądać niepowołane oczy, czy też opracować zupełnie nową strategię? Wyobraźcie sobie, co by się stało, gdyby w trakcie inwazji odkryli, że znamy ich plany i jesteśmy gotowi odeprzeć każdy ich ruch. Niemcy ponieśliby ciężkie straty i Kesselring niemal na pewno straciłby swoje stanowisko. Dlatego sądzę, że zrezygnuje z tych planów i opracuje nowe.

— A to oznacza ponowną pracę sztabową — rzekł McIndoe. — Niezwykle czasochłonną.

— Właśnie — przytaknął Starr. — Co da Londynowi czas potrzebny na przysłanie tych piętnastu spitfire'ów na Malte.

— Zakładając, że Kesselring wybierze bezpieczny wariant, panie admirale.

— Wybierze — rzekł z przekonaniem Starr.

— Dlaczego po prostu nie ukraść tych planów i nie ujawnić Niemcom, że je mamy? — zapytał McIndoe. — Wtedy nie mieliby innego wyjścia, jak odwołać inwazję.

— To nie takie proste, McIndoe... — Wiceadmirał zamilkł.

Wiedział, że tylko garstka wyższych niemieckich oficerów wiedziała wcześniej o planowanym spotkaniu i kradzież kopii świadczyłaby o tym, że alianci działali w oparciu o informacje z wewnątrz. Wszczęto by śledztwo i kiedy objęci nim oficerowie zostaliby oczyszczeni z wszelkich zarzutów, objęto by nim inne przypuszczalne źródła przecieku. A gdyby kiedykolwiek domyślili się, że ich zaszyfrowane przez „Enigmę” depesze są przechwytywane i odczytywane przez aliantów, natychmiast zmieniliby cały system łączności. Nowy system i nowe szyfry uczyniłyby program „Ultra” bezużytecznym...

— Co chce pan przez to powiedzieć, panie admirale? — zapytał McIndoe.

— Nie mogę wdawać się w szczegóły, McIndoe. Wystarczy, jeśli powiem, że to byłoby nieopłacalne. Nasz sposób pozostawia margines niepewności, który powinien zadziałać równie skutecznie.

— A na czym polega nasza rola?

— Twoja grupa będzie ubezpieczała majora Ravalla. Higgins dowiezie was na umówione miejsce spotkania, a potem ukryje MTB do waszego powrotu.

— Czy będziemy współpracować z partyzantami?

— Tak. — Wiceadmirał uniósł rękę, zanim McIndoe zdążył zaprotestować. — Wiem, że po ostatniej nocy to może okazać się ryzykowne, ale koła już poszły w ruch. Musimy skorzystać z pomocy ruchu oporu, jeśli akcja ma mieć jakąkolwiek szansę powodzenia. Zrozumiecie to, gdy przestudiujecie dokumenty.

— Czy Sciarro wiedział o tej operacji? — zapytał Ravallo.

— Nie. Niedawno rozmawiałem z Massimem i zapewniał mnie, że ludzi, którzy wezmą udział w operacji, podzieli na komórki. Każda komórka będzie działać niezależnie od innych i znać jedynie swoją rolę w tej akcji. To zapewni maksimum bezpieczeństwa. Wszyscy będą wiedzieć

tylko tyle, ile muszą.

— Oprócz Massima — rzekł McIndoe.

— Giancarlo Massimo jest absolwentem Oxbridge — odparł Starr, jakby to stawiało Włocha poza wszelkimi podejrzeniami. — Mogę osobiście ręczyć za niego.

— Stella też ręczyła za Sciarra — mruknął McIndoe, gasząc papierosa. Wyjął z paczki drugiego i zapalił. — Tu chodzi o nasze karki, panie admirale. Jeśli Sciarro pracował dla Niemców, to kto wie, czy nie zwerbował i innych partyzantów? Możemy wpaść w pułapkę.

— To nie będzie wycieczka skautów, McIndoe — powiedział ze złością Starr. — W tej robocie nigdy nie można wykluczyć pewnego ryzyka. Jeśli uważasz, że sobie nie poradzisz, zwolnię cię z dowodzenia i ściągnę kogoś, kto da sobie radę. W tej organizacji nie ma ludzi niezastąpionych. Pamiętaj o tym.

— To nie będzie konieczne — odparł McIndoe zaciskając usta.

— Miło mi to słyszeć — rzekł Starr. Po blacie biurka przesunął ku nim dwie duże koperty. — Jak już mówiłem, są tu wszystkie szczegóły. Oczywiście, obowiązują standardowe przepisy. — Spojrzał na Ravalla. — To oznacza, że papiery należy zapamiętać i spalić. Tuż przed wypłynięciem na Sycylię otrzymacie wszystkie mapy i plany niezbędne do przeprowadzenia operacji.

— Kiedy wypływamy, panie admirale? — zapytał McIndoe, biorąc koperty i podając jedną Ravallowi.

— O północy — rzekł Starr. — To wszystko, panowie. Dziękuję.

Kiedy szli do drzwi, Szkot mruknął do Ravalla:

— Ciekawe, jak Stella zareaguje na wiadomość o zdradzie Sciarra.

— Rzeczywiście, ciekawe — przyznał Ravallo, zanim zamknął za sobą drzwi.

— Nie wierzę — oznajmiła głośno Stella.

— Wydaje mi się to dość przekonujące, Stello — rzekł Ravallo.

— Dobrze wymyślane, owszem — odparowała.

McIndoe i Ravallo wymienili nad stołem niepewne spojrzenia. W pokoju było tylko ich troje. Pozostali, poinformowani przez żandarmów, że mogą już opuszczać budynek, złapali okazję do Valletty.

— Przez ostatnie kilka miesięcy blisko współpracowałam z Angelem — stwierdziła Stella. — Nie był niemiecką wtyczką. Był lojalnym partyzantem.

— A więc jak wyjaśnisz, że znaleziono go martwego w pokoju hotelowym z obciążającymi dowodami w kieszeni? — zapytał.

Wrobiono go — odparła. — Niemcy najwidoczniej oczekiwali, że schwytają nas tamtej nocy. Kiedy sprawy potoczyły się nie po ich myśli, musieli szybko działać, żeby osłonić prawdziwego zdrajcę. To jedyne logiczne wyjaśnienie.

— Nie kupuję tego. — McIndoe wstał i podszedł do okna.

— Wiem, jak to brzmi, Sam — upierała się Stella, obracając krzesło tak, żeby na niego patrzeć. — Jednak musicie mi uwierzyć. Angelo nie był informatorem.

— Nie przedstawiłaś nawet cienia dowodu na poparcie swojej teorii — przypomniał jej McIndoe.

— Wiesz, że nie mam żadnego dowodu. To intuicja. — Spojrzała na Ravalla. — Nicky wie, że rzadko mnie zawodzi. Proszę, Sam, musisz mi uwierzyć. To nie Angelo nas zdradził.

McIndoe spojrzał na Ravalla, który wzruszył ramionami.

— Taa... ona jest całkiem niezła jeśli chodzi o intuicję. Pomimo to sądzę, że tym razem się myli.

— Co mam zrobić, żeby was przekonać? — prawie błagała.

— Na początek przedstawić jakiś dowód — powiedział McIndoe.

— Czy musisz dziś wieczorem poinformować o wszystkim swoich ludzi? Zanim wyruszymy?

— To standardowe postępowanie. Dlaczego pytasz?

— Czy nie mógłbyś powiedzieć im tylko tyle, ile muszą wiedzieć? W ten sposób, jeśli jeden z nich jest szpiegiem, nie będzie mógł uprzedzić Niemców o celu tej operacji. Wiem, że dużo żądam, Sam, ale co będzie, jeśli mam rację? Złapią nas, ledwie zejdziemy na brzeg. I mogę się założyć, że Niemcy będą znacznie lepiej przygotowani na nasze przyjęcie niż poprzednim razem.

— Zaczynam mieć dość tych nieustannych oskarżeń pod adresem moich ludzi! — zawołał McIndoe. — Po prostu nie chcesz przyznać, że mogłaś się mylić, prawda? Są niezbite dowody wskazujące na to, że Sciarro był zdrajcą i, jeśli o mnie chodzi, uważam sprawę za zamkniętą.

— A jeśli mam rację? — zapytała, przerywając napiętą ciszę, która zapadła w pokoju. — Poprowadzisz nas wszystkich prosto w niemiecką zasadzkę. A wiesz tak samo dobrze jak ja, co nas czeka, gdy wpadniemy w łapy gestapo. Czy naprawdę jesteś taki Pewny winy Angela? Naprawdę?

Zanim zdążył odpowiedzieć, do pokoju weszli Evans, Hillyard i Johnson.

— Gdzie Georges? — zapytał McIndoe, nie widząc wśród nich Passiere'a.

— W łóżku, a gdzieżby? — odparł Hillyard. — Pytaliśmy, czy chce jechać z nami do Valletty, lecz tylko odwrócił się na drugi bok i znów zasnął.

— Idź go zbudzić — polecił McIndoe.

— A masz pod ręką tysiącfuntową bombę, szefie? — dowcipkował Hillyard.

— Rób, co mówię!

Hillyard obronnym gestem rozłożył ręce i pospiesznie wyszedł z pokoju.

— Siadajcie. — McIndoe pokazał stojące za nim krzesła Evansowi i Johnsonowi.

— Sądząc po tym, że zakończono oblężenie, Starr zdołał zdemaskować szpiega? — powiedział Evans siadając obok Ravalla.

— Tak — odparł zwięźle McIndoe. Spojrzał na drzwi, w których stanęli Hillyard z rozspanym Passiere'em. — Mam nadzieję, że nie przerwałem ci poobiedniej drzemki, Georges?

— Chyba jakoś...

— Siadaj! — uciął zirytowany McIndoe, zczekał, aż Hillyard z Passiere'em zajmą miejsca, po czym streścił im to, co Starr powiedział o Sciarrze.

— Wygląda na to, że sprawa jest oczywista — powiedział Hillyard z wyraźną ulgą w głosie.

— Istotnie na to wygląda — odrzekł McIndoe.

— Na czym ma polegać ta operacja, szefie? — spytał Evans. — Czy Starr poinformował pana i o tym?

— Tak.

— Nareszcie — mruknął Hillyard. — A więc, o co tu chodzi?

Przez krótką chwilę McIndoe patrzył na czubki swoich butów. Potem spojrzał na Stellę.

— Dowiedcie się tylko tyle, ile musicie wiedzieć.

— Przecież zawsze...

— To rozkaz wiceadmirala Starra — uciął McIndoe, wiedząc, że żaden z obecnych nie ośmieli się kwestionować poleceń admirała.

— Widzę, że wciąż traktuje nas jak dzieci — mruknął pogardliwie Hillyard.

— Jestem pewna, że ma swoje powody — wtrąciła Stella, nie odrywając oczu od twarzy McIndoe.

— Z pewnością — przytaknął Szkot, ale bez przekonania. Unikając jej spojrzenia, pochylił się nad stołem i zgasił papierosa — No dobrze, zaczynamy odprawę.

Wybudowany w 1855 roku *Grand Albergo* — Grand Hotel — przez długie lata był uważany za hotel bogatych i sławnych. Stał w sercu stolicy Sycylii. Ściany budynku miały delikatny kremowy odcień, drewniane okiennice i stalowe balustradki na balkonikach sypialni pomalowano jadowicie zieloną farbą. Włoskie i niemieckie flagi zwisały z drzewc sterczących nad samym wejściem — parą obrotowych drzwi, wiodących do przestronnego, wyłożonego marmurem foyer. Hol zdobiły cztery doryckie kolumny i kilka marmurowych posągów naturalnej wielkości, stojących niby mlecznobiałe duchy minionej epoki u stóp wyłożonych czerwonym chodnikiem schodów, które majestatycznie wznosiły się ku niewidocznym rozkoszom wyższych pięt. Nic dziwnego, że niemiecka armia zarekwirowała hotel do wyłącznego użytku wyższych oficerów stacjonujących na Sycylii.

Kapitan Jürgen Franke wszedł do środka przez obrotowe drzwi i podszedł do majora Hansa Riedlera, który stał w opustoszałym foyer, tuż pod olśniewającym kryształowym żyrandolem, zwisającym z bogato rzeźbionego sufitu.

— Nie powinno być żadnych kłopotów z zabezpieczeniem terenu wokół hotelu, panie majorze — powiedział Franke. — Miejscowy oddział, który pilnował hotelu przed naszym przybyciem, trzymał wszystko w garści. Tylko w kilku miejscach trzeba było wzmocnić ochronę.

— Zakładam, że już przekazano nam wartość? — zapytał Riedler.

— Tak, panie majorze. W hotelu i wokół niego są teraz nasi ludzie. Nikt nie upoważniony nie wejdzie i nie wyjdzie. Czy personel hotelu został sprawdzony?

— Tak. Zeszłej nocy zwolniono do domów wszystkich, prócz najniezbędniejszych członków obsługi. Zostało tylko kilka osób. Zaraz po przybyciu posłałem ich listę do miejscowej kwatery gestapo na Piazza Bologna. Niedawno miałem telefon, że wszyscy ludzie z tej listy zostali dokładnie sprawdzeni przez gestapo, zanim dostali Pozwolenie na pracę. A jeśli sprawdziło ich gestapo, to mi wystarczy.

Riedler spojrział na kartkę papieru, którą trzymał w dłoni.

— Do wnętrza prowadzą cztery drogi. Te obrotowe drzwi, tylne wejście przez kuchnię oraz dwa wyjścia awaryjne po bokach budynku. Chcę, żeby ich pilnowano przez cały czas.

— Nie mamy zbyt wielu ludzi, panie majorze. Chyba żeby zarządzić dwunastogodzinne zmiany.

— Mogą mieć nawet dwudziestoczerogodzinne, ale te drzwi mają być pilnowane bez przerwy — powiedział Riedler.

— Zaraz się tym zajmę — Franke z wawo przemaszerował przez foyer i wyszedł z hotelu.

Riedler usiadł w najbliższym fotelu i dostrzegł swoje odbicie w jednym z kilku luster umieszczonych na ścianach holu. Siedział tu, gładko ogolony, w nienagannie odprasowanym mundurze spadochroniarza. Ogromna różnica w porównaniu z błotnistymi okopami frontu wschodniego. Uśmiechnął się do siebie z ulgą. Rosja była daleko stąd. Riedler myślami wrócił do poprzedniego popołudnia...

Chociaż nie wiedział dokładnie, jak daleko podróżowali ciężarówką, ocenił, że przejechali około sześćdziesięciu kilometrów. Dwukrotnie znaleźli się pod ostrzałem, wśród wybuchających opodal pocisków, bezradni i odsłonięci.

Kanciasty junkers 52, pieśczośliwie nazywany *Tante Ju*, skutecznie wykorzystany przez spadochroniarzy podczas desantu na Krete, czekał w bazie lotniczej pod Charkowem, żeby przewieźć ich do Włoch. Wylądowali na niemieckim lotnisku opodal Palermo i tam przesiedli się na dwie ciężarówki, które przewiozły ich do koszar Piętnastej Dywizji Pancerniej Grenadierów, gdzie on i jego ludzie skorzystali z dobrodziejstwa ciepłej kąpieli i czterodaniowego posiłku, co w cudowny sposób wpłynęło na ich podupadłe morale. Jednak dopiero widok piętnastu

spadochroniarskich mundurów, równo ułożonych w ich tymczasowej kwaterze, pomógł im odzyskać wiarę w siebie, utraconą podczas służby w piechocie na froncie wschodnim...

Odgłos nadjeżdżającego samochodu wyrwał Riedlera z zadumy. Przez szklane drzwi zobaczył podjeżdżającą pod hotel służbową limuzynę z odsuwającym dachem. Kierowca zgasił silnik, wyskoczył i otworzył tylne drzwi. Riedler ze zdumieniem rozpoznał w postaci, która niespodziewanie stanęła na brukowanej uliczce, generała Kurta Studenta. Skoczył na równe nogi, strzepnął wymaginowany pyłek z kłapy munduru i poprawił czapkę przed lustrem, zanim przeszedł przez foyer na spotkanie wchodzącego do hotelu generała. Staął na baczność. Student oddał mu honory, po czym przyjaźnie wyciągnął do niego rękę.

— Spodziewałem się pana jutro rano, panie generale. — Riedler mocno ścisnął podaną dłoń.

— Marszałek Kesselring prosił, żebym zajrzał tu dzisiaj i sprawdził zabezpieczenie budynku. Widzę, że panuje pan nad sytuacją, sądząc po blokadach wokół hotelu.

W tym momencie przez obrotowe drzwi wszedł Franke. Stał na baczność, trzasnął obcasami i wyciągnął rękę w hitlerowskim pozdrowieniu. Student odpowiedział salutując.

— To mój zastępca, panie generale, *Hauptmann* Jürgen Franke — powiedział Riedler. — Zanim został przydzielony do nas, służył w jednej z jednostek Dywizji „Brandenburg”.

— W której? — zapytał Student.

— Koenen, panie generale. W Afryce Północnej — odparł Franke, nadal wyprężony na baczność.

— Z tego, co wiem, to jedna z najlepszych — powiedział Student, kiwając głową. — Major Riedler miał szczęście, dostając takie uzupełnienie.

— To ja jestem zaszczycony, panie generale — rzekł Franke, nie odrywając oczu od Studenta.

— Miło było pana poznać, Franke — ciągnął Student. — Jestem pewien, że przez kilka następnych dni będziemy widywać się częściej. Teraz jednak chciałbym porozmawiać z majorem Riedlerem w cztery oczy. Wybacz mi pan?

— Tak jest. — Franke zasalutował, wykonał w tył zwrot i wymaszerował z foyer.

— Wygląda na człowieka, którego dobrze mieć po swojej stronie — zauważył Student, patrząc za nim.

— To się okaże — odparł chłodno Riedler.

— Co pan chce przez to powiedzieć? — zapytał Student.

— Chyba wie pan, co chcę powiedzieć, panie generale.

Student przez chwilę wytrzymał spojrzenie Riedlera, po czym wskazał na zamknięte drzwi, prowadzące do obszernej sali konferencyjnej. Tam nazajutrz miała odbyć się odprawa zwołana przez Kesselringa.

— Wejdźmy tam. Jak już mówiłem, musimy porozmawiać.

Riedler wszedł za Studentem do sali i zamknął za sobą drzwi. Na środku stał podłużny dębowy stół, wokół niego pół tuzina krzeseł. Student rzucił czapkę na blat, a potem obrócił się do Riedlera.

— Może zechce mi pan wyjaśnić, dlaczego zuchwale zignorował pan rozkaz podpisany przez dwóch najwyższych oficerów?

— Tylko w ten sposób mogłem mieć pewność, że porucznik Weber otrzyma odpowiednią pomoc lekarską — odparł Riedler. — A z tego, co mi powiedziano, nie przeżyłby nawet dnia, gdybym nie należał, aby odwieziono go do najbliższego szpitala.

— I sądzi pan, że to usprawiedliwia naruszenie rozkazu? — rzucił gniewnie Student.

— Panie generale, wiem, że gdybym postąpił inaczej, Weber byłby już martwy.

— Jak pan otrzymuje rozkaz od starszego oficera, ma go pan wykonać! — wrzasnął Student.

— A nie interpretować według własnego uznania. Zrozumiano, majorze Riedler?

— Zrozumiano, panie generale — odparł łagodnie Riedler.

— Marszałek Kesselring musiał długo przekonywać generała Paulusa, zanim ten zgodził się, aczkolwiek niechętnie, na przeniesienie pana i pańskich ludzi z frontu wschodniego tutaj. Tak więc trudno się dziwić, że dziś rano generał Paulus osobiście zadzwonił do marszałka Kesselringa, aby wyrazić swoje najwyższe zaniepokojenie sposobem, w jaki naruszył pan jego rozkazy. Marszałek Kesselring jest zwykle bardzo uprzejmy. Chyba że ktoś podważa jego autorytet. Pan narobił mu wstydu przed generałem Paulusem, więc on z kolei skierował swój gniew na mnie, ponieważ to ja podsunąłem mu pańskie nazwisko jako odpowiedniego człowieka do tej operacji. Jakoś to przeżyję. Natomiast nie mogę zaakceptować tego, że pańskie postępowanie rzuciło cień na dobre imię Oddziałów Spadochronowych. Tego nie będę tolerował!

— Szósta Armia pozostawiła nas na ziemi niczyjej, panie generale — rzekł Riedler, z trudem powściągając gniew. Nie na Studenta, lecz na to, że gania go za stawanie w obronie swoich ludzi. — Przez pięć dni byliśmy ostrzeliwani przez obie walczące strony, żeby dowiedzieć się później, że w każdej chwili można nas było stamtąd wycofać, gdyby się pofatygowano i wysłano samolot zwiadowczy.

— Nawet gdyby ostrzeliwano was przez pięć miesięcy, pańskie postępowanie było niewybaczalne. Jeśli to się powtórzy, stanie pan przed sądem wojennym za celowe złamanie rozkazu. Generał Paulus chciał wyciągnąć wobec pana konsekwencje i tylko w rezultacie zręcznych zabiegów dyplomatycznych marszałka Kesselringa nie podjęto wobec pana odpowiednich kroków. Zanim dziś rano opuściłem Rzym, zapewniłem marszałka Kesselringa, że porozmawiam z panem o tym niewybaczalnym postępku. Tak więc, o ile o niego chodzi, sprawa jest teraz zamknięta. Co oznacza, na pana szczęście, że nie wspomni o tym, kiedy przybędzie tu jutro rano. Już i tak wiele mu pan zawdzięcza, ponieważ gdyby nie on, nie znajdowałby się pan tutaj, lecz w drodze do Berlina, gdzie stanąłby pan przed sądem wojennym. Proszę o tym pamiętać.

Student przysunął sobie krzesło i usiadł. Sprawa była zamknięta.

— Niech mi pan powie, jak się ma pański brat? Na imię mu Andreas, prawda? Ostatni raz go widziałem, kiedy był drużbą na pańskim ślubie. O ile pamiętam, strasznie się upił, zresztą tak samo jak reszta gości.

Riedler nie zdziwił się, że Student tak nagle zmienił temat. Znał Kurta Studenta i wiedział, że generał nigdy nie chował długo urazy. Powiedział to, co musiał, i koniec. Taki już był i Riedler szanował go i podziwiał.

— Andreas zginął w zeszłym roku pod Tobrukiem, panie generale.

— Nie miałem pojęcia. Bardzo mi przykro — rzekł łagodnie Student.

— Dwie tragedie w odstępnie kilku miesięcy. Najpierw Andreas w Afryce Północnej, potem Karl Müller na Krecie.

— Pańska żona bardzo przeżyła śmierć Karla, prawda? Zawsze byli sobie bardzo bliscy. Jak się teraz czuje?

— Charlotta ma się znacznie lepiej, panie generale. Za kilka miesięcy oczekujemy naszego pierwszego dziecka. Cięża na pewno pomogła jej oswoić się ze śmiercią brata.

Nagle z foyer dobiegły jakieś podniesione głosy. Riedler otworzył podwójne drzwi i podszedł do sierżanta Manfreda Kuhna. Kuhn, twardy, nieugięty żołnierz, jeden z najczęściej odznaczanych spadochroniarzy w historii regimentu, spierał się z człowiekiem, którego Riedler widział po raz pierwszy w życiu. Ale charakterystyczny czarny mundur oficera gestapo Riedler widział nieraz. Oceniał wiek mężczyzny na niewiele więcej niż czterdzieści lat. Ostre rysy twarzy i lodowate niebieskie oczy nadawały mu dziwnie niesamowity wygląd. Miał stopień pułkownika. Riedler zasalutował mu.

Oficer trzasnął obcasami i wyciągnął ramię w nazistowskim pozdrowieniu.

— Dzień dobry, majorze — powiedział, podchodząc do Riedlera. — Jestem *Standartenführer* Ernst Brausch, komendant tajnej policji na Sycylii. Pański sierżant bardzo nalegał, żebym poczekał przy drzwiach na przepustkę. Próbowałem mu wyjaśnić, że gestapo nie potrzebuje przepustki do żadnego budynku na okupowanych terenach, ale się upierał. Muszę powiedzieć, majorze, że nie lubię, kiedy tak mnie traktują.

— Dziękuję, sierżancie, możecie odejść — powiedział Riedler do Kuhna, który zaszalutował i wrócił na swój posterunek przy obrotowych drzwiach. — On tylko wykonywał rozkazy — zwrócił się do Brauscha. — Rozkazy, które nadeszły bezpośrednio z Rzymu od marszałka Kesselringa.

— Mam nadzieję, że nie będzie pan stwarzał problemów, pułkowniku — rzekł Student, wchodząc do foyer. — Bardzo wątpię, czy marszałek Kesselring będzie zadowolony z tego, że gestapo kwestionuje jego rozkazy.

Brausch szybko stanął na baczność i zaszalutował Studentowi.

— Nie kwestionowałbym ich, panie generale, gdybym wiedział, że wydał je marszałek polowy Kesselring.

— Najwidoczniej zaszło małe nieporozumienie — rzekł Student z nikłym uśmiechem. — A więc, pułkowniku? Co sprowadza tutaj gestapo? Ten teren chyba nie jest pod waszą jurysdykcją.

— Jestem zdziwiony, że marszałek polowy Kesselring nie zechciał skontaktować się ze mną w sprawie zabezpieczenia jutrzejszej narady. Mógłbym oddać do jego dyspozycji jedną z naszych jednostek specjalnych.

— Marszałek mnie poprosił o zabezpieczenie miejsca spotkania — powiedział Student. — Jestem pewien, że jedna z waszych jednostek specjalnych zapewniłaby doskonałą ochronę obiektu, ja jednak wybrałem spośród tych, którzy służyli pod moją komendą. Spadochroniarze zaś należą do najlepszych jednostek bojowych. Jestem przekonany, że zgodzi się pan z tą opinią...

Wargi Brauscha skrzywiły się w wymuszonym uśmiechu.

— Oczywiście, panie generale.

— Czy to jedyny powód pańskiej wizyty, pułkowniku? Kontrola stanu bezpieczeństwa?

Brausch niespokojnie przestąpił z nogi na nogę.

— Panie generale, nigdy nie zamierzałem...

— Czy jest jakiś inny powód pańskiego przybycia? — Student uciał jego nieśmiałe protesty.

— Panie generale, uważam, że jako wyższy oficer gestapo na Sycylii powinienem być zaproszony do udziału w jutrzejszej naradzie.

— To spotkanie nie ma nic wspólnego z gestapo.

— Z całym szacunkiem, panie generale, wszystko co dotyczy bezpieczeństwa wyspy ma znaczenie dla gestapo.

— To wojskowa narada, pułkowniku, nie mająca żadnego związku z wewnętrznym bezpieczeństwem wyspy. W spotkaniu weźmie udział jedynie kilku najbliższych doradców marszałka Kesselringa. To nie dotyczy gestapo. Koniec dyskusji.

— Rozumiem, panie generale. — Brausch zacisnął usta, urażony odprawą, ale nie mógł kwestionować poleceń wyższego rangą oficera.

— Dziwię się, że nie trapi się pan bardziej sytuacją na swoim własnym podwórku — rzekł Student. — Słyszałem, że niebawem ma tu przybyć na inspekcję jeden z osobistych inspektorów *Reichsführera* Himmlera. Wewnętrzny mechanizm kontroli mający sprawdzać usterki systemu, który go stworzył. Naprawdę interesujący pomysł.

— Nie mam nic do ukrycia — odparł szorstko Brausch, a potem uśmiechnął się, jakby chcąc

pokryć ten wybuch. — Całkowicie popieram te wewnętrzne kontrole, panie generale. Pomagają utrzymać wysoką sprawność, a tego *Reichsführer* Himmler oczekuje od ludzi, którzy postanowili wstąpić do jego organizacji.

— Jestem pewien — odrzekł Student. — No cóż, pułkowniku, jeśli mi pan wybaczy... Mam dziś jeszcze sporo pracy.

— Panie generale, jest jeszcze jedna sprawa, na którą chciałbym zwrócić pańską uwagę — powiedział Brausch, gdy Student odwrócił się zamierzając odejść.

— Tak?

— Jestem pewien, że słyszał pan o nieudanej próbie pochycenia brytyjskich agentów SOE, którzy dwa dni temu zabrali z Sycylii amerykańskiego oficera wywiadu — ciągnął Brausch.

— I co z tego?

— To nasz agent zawiadomił nas o tym spotkaniu. Gdyby pozwolono przeprowadzić tę akcję gestapo...

— Do czego pan zmierza, Brausch? — przerwał mu zirytowany Student.

— To samo źródło przekazało nam, że w ciągu następnych czterdziestu ośmiu godzin możemy się spodziewać kolejnego wypadu aliantów. Jakaś wspólna operacja brytyjskiego SOE i amerykańskiego MI. Mają przeprowadzić ta sama grupa, która była tu dwa dni temu. Nie wiemy jeszcze tylko gdzie i kiedy.

— Riedler, niech pan tu pozwoli — warknął Student, skinąwszy na majora. — Chyba powinien pan to usłyszeć.

Brausch powtórzył wszystko Riedlerowi.

— Jeszcze nie wiemy, po co wracają, ale byłby to chyba przedziwny zbieg okoliczności, gdyby nie wiązało się to jakoś z odprawą, która ma odbyć się tutaj jutro.

— To rzeczywiście bardzo niepokojąca wiadomość — powiedział poważnie Student, widząc niespokojne spojrzenie Riedlera. — Czy potrzeba panu więcej ludzi do ochrony budynku?

— Mamy tu ludzi... — zaczął Brausch.

— Nie — przerwał ostro Riedler. — Nie, dziękuję, panie pułkowniku — dodał bardziej pojednawczym tonem. — Moi ludzie są całkowicie zdolni poradzić sobie w każdej sytuacji.

— Jak pan sobie życzy — rzekł Brausch. Student zwrócił się do Brauscha:

— Powiedział pan, że jeszcze nie wiecie, dlaczego oni wracają na Sycylię. A zatem niebawem spodziewacie się tego dowiedzieć?

— Właśnie, panie generale — odrzekł Brausch z uśmiechem. — Może pan być pewny, że się dowiemy.

Czy był na bakier ze zdrowym rozsądkiem, przekazując na odprawie tylko to, co musieli wiedzieć, czy też naprawdę sądził, że wśród jego ludzi jest zdrajca? To pytanie prześladowało Sama McIndoe, od kiedy MTB opuściła Grand Harbour, zmierzając na umówione spotkanie z partyzantami na zachodnim brzegu Sycylii. Może po prostu wyolbrzymia tę sprawę? Przecież wszystkie dowody wskazywały, że szpiegiem był dawny kontakt Stelli na Sycylii, Angelo Sciarro. Dlaczego więc w jego umyśle wciąż czaił się cień wątpliwości?

— Puk, puk.

McIndoe drgnął. W otwartych drzwiach kajuty stała Stella. Tak ja i on, była ubrana w czarne spodnie i workowaty czarny sweter.

— Jak długo tu stoisz? — zapytał.

— Niedługo — odparła. — Mogę wejść?

— Oczywiście. — Zaprosił ją gestem do środka.

Podeszła do drewnianego stołu, przystawiła sobie krzesło i usiadła naprzeciw niego. Wyjęła z kieszeni paczkę papierosów, wyciągnęła ku niemu. Potrząsnął głową. Zapaliła i rzuciła paczkę na stół.

— Od czasu odprawy w kwaterze nie miałam okazji z tobą porozmawiać. Dziękuję, że mi uwierzyłeś, Sam.

— Już nie wiem, w co mam wierzyć — odrzekł McIndoe, potrząsając z rezygnacją głową.

— Rozumiem, że dowody przeciw Angelowi są przytłaczające, lecz w głębi duszy wiem, że on nie zdradziłby partyzantów. Nie potrafię tego wyjaśnić, ale jestem pewna, że się nie mylę.

— Mam nadzieję — odparł McIndoe, a w jego głosie nie było złości.

— Co powiedział wiceadmirał Starr, kiedy rozmawialiście z nim tego wieczora?

— Dał mi wolną rękę, pozwalając przeprowadzić tę operację według własnego uznania, czego się spodziewałem. Ale chyba tak samo jak ja uważa, że zdrajcą był Sciarro. Ty jednak znałaś Sciarra. Pracowałaś z nim przez kilka ostatnich miesięcy. My nie znaleźmy go. Chyba to wpłynęło na moją decyzję.

— Czy to odpowiednia chwila, żebym zaproponowała rozejm? — spytała z uśmiechem.

McIndoe skinął głową.

— Rozejm. Zgoda.

— Wiem, że w znacznej mierze ja ponoszę winę za tarcia, jakie miały miejsce między nami w ostatnich dniach. Chodzi o to, że w takiej zdominowanej przez mężczyzn profesji, jaką jest wywiad wojskowy—, zawsze spotyka się neandertalczyków, którzy nie mogą pogodzić się z faktem, że kobieta może odnieść większe sukcesy w dziedzinie, którą uważają za swoją. Tacy faceci chętnie zobaczyliby, jak padam na nos, żeby móc wytykać mnie palcami i mówić: „A ostrzegałem”. Nauczyłam się oddawać wet za wet. W tym biznesie nie mogę sobie pozwolić na słabość. Wiem, że to brzmi bardzo cynicznie, ale to jedyny sposób, żeby przeżyć.

— Wiem, co chcesz powiedzieć. Wśród najlepszych agentów SOE jest wiele kobiet. I przez jakiś czas niektórym z mężczyzn nie podobało się to, że muszą z nimi pracować. Ale wiceadmirał Starr szybko to ukrócił. Nie zamierza tego tolerować.

— Masz dla niego wiele uznania, prawda?

— To twardy stary diabeł z umysłem jak lancet i takim samym językiem. Jeżeli jednak ciągniesz swój wózek, nie ma rzeczy, której by dla ciebie nie zrobił. A właśnie kogoś takiego chcę mieć po swojej stronie, kiedy sprawy przybierają kiepski obrót. Chyba w pewnym sensie

jest jakby moją najbliższą rodziną. — McIndoe gwizdnął cicho pod nosem i dodał: — To przerażające.

— Czy twoi rodzice nie żyją?

— Ojciec nie żyje. Został zagazowany podczas poprzedniej wojny i zdemobilizowany jako inwalida. Umarł dziesięć lat później, nigdy nie wróciwszy do zdrowia. Był mi bardzo bliski. Co do mojej matki... No cóż, nie traciła czasu i wyszukała sobie nowego męża. Kanadyjczyka, który miał sieć nocnych klubów w Glasgow. Spotykali się w tajemnicy jeszcze przed śmiercią ojca. Dał jej to, czego mój ojciec nigdy dać nie mógł. Coś w rodzaju towarzyskiej nobilitacji, tak często związanej z bogactwem. Tylko dlatego go poślubiła. Nie miałem od niej żadnej wiadomości od dnia pogrzebu ojca.

— Przykro mi — powiedziała cicho.

— Dlaczego? Mnie nie. Nikt z rodziny nie utrzymuje z nią kontaktów. — McIndoe poczęstował się jednak papierosem z paczki leżącej na stole. — No dobrze, tyle o moich rodzicach. A co z twoimi?

— Oboje nie żyją. Matka była Amerykanką. Ojciec Sycylijczykiem. Był archeologiem morskim.

Zamilkła i zaciągnęła się dymem.

— No, przynajmniej tak lubił się nazywać. W rzeczywistości plądrował wraki u wybrzeży Grecji i Włoch, po czym sprzedawał łupy na czarnym rynku prywatnym kolekcjonerom. Wiem, to brzmi tak, jakby był ostatnim draniem i pewnie nim był, ale uwielbiałam go. Jako dziecko wypływałam z nim, gdy tylko miałam czas. Zazwyczaj w weekendy i podczas wakacji. Jego załoga była zbieraniną łajdaków, ale zawsze traktowano mnie jak księżniczkę. Zginął nurkując koło Sardynii. Władze uznały to za wypadek. Jednak ja zawsze w to wątpiłam. Był wspaniałym nurkiem, a w tym czasie był winien sporo pieniędzy kilku paskudnym typom we Włoszech.

Po jego śmierci matka zabrała mnie do Ameryki. Miała brata, wojskowego w Waszyngtonie. Tam zamieszkałyśmy. Umarła trzy lata temu. Miała dopiero czterdzieści lat. Lekarz powiedział, że to był atak serca. Było w tym trochę racji. Umarła, bo miała złamane serce. Nigdy nie pogodziła się ze śmiercią ojca. Pojechałam na Sycylię, żeby pochować ją obok niego, bo zawsze tego chciała. Ale kiedy wróciłam, było za późno, żeby wstąpić na uniwersytet, i wuj zaproponował mi pracę sekretarki w bazie wojskowej, żebym mogła zarobić, zanim za rok podejmę studia. To on przedstawił mnie pewnemu oficerowi z MI. No, krótko mówiąc, w ten sposób znalazłam się w tym interesie.

— Krótko mówiąc? To niepodobne do ciebie — powiedział Ravallo stając w drzwiach, i mrugnął do McIndoe. — Jak to się stało, że mnie nigdy nie przedstawiłaś takiej skróconej wersji swojego życiorysu? Do licha, zaoszczędzone w ten sposób godziny mógłbym wykorzystać na kurs gry w golfa.

Uchylił się przed jej kuksańcem, obrócił krzesło i usiadł na nim okrakiem.

— Miło widzieć, że wy dwoje w końcu zdołaliście nawiązać cywilizowaną rozmowę, nie szczerząc na siebie klów.

— Ogłosiliśmy rozejm — powiedziała Stella, spoglądając na McIndoe.

— Chwilowy... — dodał Szkot. Rzucił spojrzenie Ravallovi. — Nie wiedziałem, że grasz w golfa.

— Gdyby mój styl dorównywał chęciom, byłbym już mistrzem — odparł Ravallo z krzywym uśmiechem. — Jednak z każdą partyjką jestem lepszy. A ty grasz?

— Kiedy tylko mogę. Musimy kiedyś zagrać razem.

— Umowa stoi.

— Gdzie pozostali? — zapytała Stella, zmieniając temat. Sport jej nie interesował.

— Kiedy ostatni raz tam zaglądałem, Hillyard siedział w kabinie łączności, snując wspomnienia o życiu cyrkowca, a Johnson, który też tam był, narzekał, że już to słyszał. Passiere chyba zrezygnował z prób wykopania ich. Evans jest na górze. Teraz jego kolej stać na oku. Właśnie rozmawiałem z Higginsem. Powiedział, że za dziesięć minut dotrzemy do wybrzeża Sycylii.

— W takim razie lepiej wyjdźmy na pokład. Zbiorę resztę i spotkamy się na górze.

McIndoe zgasił papierosa, wstał i poszedł do kabiny łączności, gdzie przekazał wiadomość od Higginsa.

— I co dalej? — zapytał Passiere.

— Wiesz, że w trakcie tej operacji każdy wie tylko tyle, ile musi wiedzieć, Georges — odparł McIndoe. — I już ci mówiłem, że zostaniesz tu z podporucznikiem Higginsem, kiedy my zejdziemy na brzeg. To, co wydarzy się na lądzie, nic cię nie obchodzi.

— Nadal nie rozumiem, dlaczego mam tu zostać — warknął Passiere i w jego oczach błysnął gniew. — Łódź ma być ukryta w jakiejś jaskini do czasu waszego powrotu. Nie będę mógł używać radia. Za silne zakłócenia. Wicie, że jestem najlepszym radiooperatorem w firmie, więc po co mnie wzięliście, jeżeli jestem niepotrzebny?

McIndoe spojrział na Hillyarda i Johnsona i wskazał kciukiem za siebie.

— Zabierzcie swoje graty i zameldujcie się na pokładzie, u majora Ravalla.

Zaczekał, aż wyjdą, a potem usiadł na jednym z opuszczonych krzesel.

— Nigdy więcej nie kwestionuj moich poleceń w obecności osób trzecich.

— Chciałem wiedzieć...

— Nigdy więcej!

— Przepraszam, *patron*, to się już nie powtórzy — zapewnił go Passiere.

— Wbrew temu, co może ci się wydawać, Georges, odgrywasz bardzo ważną rolę w tej operacji — wyjaśniał McIndoe. — Utrzymujesz kontakt ze Starrem. To, żeby był na bieżąco informowany o sytuacji, jest niezwykle istotne. Co sześć godzin będę cię zawiadamiał o przebiegu akcji. Ty będziesz przekazywał moje meldunki Starrowi.

— Już mówiłem, *patron*, że radiostacja nie będzie działała w jaskini — rzekł Passiere z lekkim zniecierpliwieniem.

— Podporucznik Higgins co sześć godzin będzie wypływał z jaskini. A ponieważ słusznie martwi się, że łódź może zostać zauważona przez samolot zwiadowczy, szczególnie w dzień, będziesz miał tylko dziesięć minut, zanim wycofa ją z powrotem do grotu.

— Dziesięć minut? — parsknął Passiere.

— Moje meldunki będą jak najkrótsze. Maksymalnie trzyminutowe.

McIndoe dostrzegł cień wahania na twarzy Passiere'a.

— Dopiero co powiedziałaś, że jesteś najlepszym radiooperatorem w firmie. Teraz masz szansę tego dowieść. Dziesięć minut, Georges. Tylko tyle będziesz miał.

Passiere skinął głową, a McIndoe ciągnął:

— Nawiażemy kontakt w zwykły sposób, używając naszych własnych kryptonimów. Jeśli nie użyję kryptonimu lub jeśli nie nawiażę łączności o wyznaczonym czasie, podporucznik Higgins ma rozkaz przerwać operację i wrócić na Malte.

— A jeżeli ja nie podam kryptonimu, będziecie wiedzieli, że coś złego dzieje się tutaj — stwierdził Passiere.

— Zgadza się. — McIndoe wyjął z kieszeni kartkę papieru i wręczył ją Francuzowi. — To kopia szyfru używanego ostatnio przez Wehrmacht na Sycylii. Wszystkie nasze transmisje będą w języku niemieckim i szyfrowane tym kodem. To zmniejszy ryzyko wzbudzenia podejrzeń, gdyby Niemcy coś przechwycili. Ten sposób nie jest doskonały, ale miejmy nadzieję, że uznają

nas za normalną radiostację wojskową. Musimy zaryzykować.

— Skąd to macie? — zapytał ze zdumieniem Passiere.

— Partyzanci dali to Stelli. Nie wiem, jak go zdobyli ani jak złamali, ale nasi jajogłowi potwierdzili jego autentyczność.

— Tak więc, nie tylko będziemy mogli oszukać Niemców udając, że jesteśmy jedną z ich radiostacji, ale będę mógł słuchać i rozszyfrowywać ich transmisje — podsumował Passiere.

— Właśnie. Chcę, żebyś zapamiętał szyfr i zniszczył tę kartkę.

McIndoe wskazał szereg urządzeń radiowych ustawionych pod ścianami kabiny.

— Podczas przeszkolenia wszyscy poznaliśmy podstawy obsługi radiostacji, ale to jest bardzo wyrafinowany sprzęt, i tylko ty sobie dobrze z nim radzisz. Dlatego chcę, żebyś został na łodzi.

— Rozumiem, *patron* — rzekł Passiere. — Szkoda, że nie powiedziałeś mi tego wcześniej.

— Zasada „wiedzieć tylko tyle, ile trzeba” — przypomniał mu McIndoe. — A jeśli to cię pocieszy, inni dowiedzą się szczegółów, dopiero kiedy będziemy na lądzie. — Podeszedł do drzwi. — To, żebyś ściśle współpracował z podporucznikiem Higginsem, jest niezwykle ważne, Georges. Nie muszę ci mówić, co się stanie, jeżeli wpadniemy w łapy gestapo. Widziałeś skutki ich brutalnych działań dwa lata temu, kiedy Niemcy napadli na Francję.

— I nie zapomnę tego do końca życia — powiedział cicho Passiere. Wstał, podeszedł do McIndoe i uściskał go. — Bóg z tobą, *mon ami*.

— Zadowolę się bożą pomocą i odrobiną szczęścia — odparł Szkot z przelotnym uśmiechem, po czym opuściłabinę i wyszedł na pokład. Warunki do nocnych działań nie były idealne, ale mogły być znacznie gorsze. Księżyc, raz po raz znikający za nisko wiszącymi chmurami, leniwie sunącymi po usianym gwiazdami niebie, rzucał słaby blask na spokojne morze. Zbliżali się do brzegu Sycylii, wyłączono więc wszystkie światła na okręcie, tak że nawet sterówka była teraz pogrążona w ciemności. Mocno przytrzymując się jedną ręką relingu, McIndoe ostrożnie przeszedł po lekko rozkołysanym pokładzie na dziób, gdzie czekały trzy ledwie widoczne postacie. Evans, Hillyard i Johnson. Wszyscy byli ubrani na czarno; u stóp każdego leżał plecak ze sprzętem.

— Gdzie Nicky i Stella? — szepnął, kucając obok nich.

— Na górze; rozmawiają z Charliem — Evans wskazał na sterówkę.

— Wkrótce dotrzemy na miejsce spotkania — rzekł McIndoe. — Rozumiem, że jesteście spakowani i gotowi?

— Na co? — syknął Hillyard. — Jeszcze nie wiemy, co mamy tam robić.

— Zostaniecie poinformowani we właściwym czasie — zapewnił go McIndoe.

— A jankesi zostali poinformowani? — zapytał Hillyard.

— Tak.

— Niektórym to dobrze — mruknął Hillyard.

— Już to omawialiśmy — powiedział ze znużeniem McIndoe, głęboko wciągnął powietrze, żeby opanować gniew, i podjął spokojnym tonem: — Ta sytuacja nie podoba mi się tak samo jak wam, ale takie są reguły i oczekuję, że będziecie ich przestrzegać. To będzie jedna z najniebezpieczniejszych operacji, jakie kiedykolwiek przeprowadzaliśmy. A zatem jeżeli mamy wyjść z tego cało, musimy działać razem, jak zgrany zespół. Nie ma tu miejsca dla niezadowolonych. A jeśli ktoś się z tym nie zgadza, niech powie to teraz, do diabła, i zostanie na łodzi.

Nikt się nie odezwał. McIndoe patrzył na ciemne wody, szukając daremnie jakichś krzepiących słów. Wiedział, że cokolwiek powie, zabrzmi płytko i protekcyjnie. Mieli prawo być rozgoryczeni i urażeni sposobem, w jaki kierował tą akcją. Pracował już z nimi nieraz, często na tyłach wroga, i zawsze sprawdzali się jako zawodowcy. Podczas ostatniego spotkania z

wiceadmirałem Starrem miał ochotę zaproponować, aby w tych okolicznościach sprowadzono z Anglii nowy zespół, który współdziałałby z Ravallem, wiedział jednak, że to niewykonalne, skoro spotkanie Kesselringa z doradcami miało odbyć się nazajutrz. Nie było czasu na takie zmiany.

— Szefie, patrz! — Evans chwycił go za ramię i wskazał w kierunku brzegu.

McIndoe zobaczył w oddali regularne błyski ręcznej latarki. Światełko zapalało się w jednej z grot, którymi było usiane to skaliste, mroczne i opuszczone wybrzeże Sycylii. Błysków nie można było dostrzec z łądu, zawsze jednak istniała groźba, że zauważą je z nieprzyjacielskiego okrętu. Nie nadawano alfabetem Morse'a. Tylko pięć błysków, w trzysekundowych odstępach, powtórzone dwukrotnie — sygnał, że można bezpiecznie wprowadzić okręt do jaskini, w której oczekiwali na nich dwaj partyzanci. Trzy błyski sygnalizowałyby, że nie powinni podchodzić do grot. Przez moment McIndoe poczuł ściskanie w żołądku, bo naliczył tylko trzy rozbłyski światła, ale zaraz uświadomił sobie, że nie widział całej transmisji. Z zapartym tchem czekał na powtórzenie sygnału: jeden... dwa... trzy... cztery... pięć.

Higgins gwałtownie skręcił MTB na sterburtę i ruszył w kierunku światła, znając dokładne położenie groty ze szczegółowych map, które miał w sterówce. Ravallo cicho zszedł po metalowych schodkach i zbliżył się do mężczyzn przyczajonych na dziobie.

— Widzicie to? — zapytał.

Evans kiwnął głową.

— Pięć błysków. Na brzegu czysto.

— Chcę, żeby vickersy na prawej i lewej burcie były obsadzone, dopóki bezpiecznie nie wylądujemy w grocie — powiedział McIndoe, wskazując na Johnsona i Hillyarda.

— Sądysz, że to może być pułapka? — spytał podejrzliwie Johnson.

— Jesteśmy na wodach wroga. Nie możemy ryzykować — odparł McIndoe. — Taffy, ty stań przy oerlikonie na rufie. I pamiętajcie, żadnych świateł bez pozwolenia majora Ravalla lub mojego. A teraz dalej, na stanowiska.

— No cóż, Mac — powiedział Ravallo, gdy zostali sami na dziobie. — Zejdę w dolinę śmierci i tak dalej, co?

— Wolałbym nie — odpowiedział Szkot z półśmiechem. — Wystarczy mi sukces tej operacji i szybki powrót na Malte.

— Masz skromne wymagania, jeśli zważyć, co mamy tu zrobić — w głosie Ravalla była odrobina sarkazmu. Zerknął z ukosa na McIndoe. — Boisz się, Mac?

— W dniu, kiedy przestanę bać się na tyłach wroga, złożę podanie o przeniesienie do pracy za biurkiem. Zanim zabije mnie nadmierna pewność siebie — odrzekł McIndoe. — A co z tobą? Boisz się?

— Cholerna racja. — Amerykanin obdarzył go szerokim uśmiechem. — Czyż jednak nie o to chodzi? Już czuję, jak adrenalina zaczyna mi krążyć w żyłach. Wspaniałe uczucie. Jak narkotyk, prawda? Dopiero teraz widzę, co traciłem, przesiadując za biurkiem. Nie chcę wracać do takiego życia. Nie, dopiero tu żyję, Mac. Naprawdę żyję.

— Widzę, jak rodzi się nałogowy poszukiwacz przygód.

— Uważasz, że jestem szalony, prawda?

— W tej robocie trzeba być trochę szalonym, Nicky — odparł McIndoe. — Spójrzmy prawdzie w oczy. Kto zdrowy na umyśle dobrowolnie przeszedłby na tyły wroga wiedząc, co się z nim stanie, jeśli go złapią? Tylko tam, w domu, myślą, że w pracy tajnego agenta za linią frontu jest coś niezwykle romantycznego. Gdyby ci ludzie mogli zobaczyć, co gestapo zrobiło z moimi kolegami we Francji czy Holandii! Może pojęliby, że jesteśmy zwyczajnymi ludźmi, a nie bandą komiksowych bohaterów poszukujących chwały.

— Zniszcz te złudzenia, a pozbawisz ich marzeń — rzekł Ravallo — To smutne, ale często tylko marzenia podtrzymują ducha. Na tym polega dobra propaganda, Mac. I czyż nie jest to najlepsze ze złudzeń?

McIndoe wyczuł kogoś za plecami, a kiedy się odwrócił, zobaczył Stellę. Stała u stóp schodów i patrzyła na Ravalla z dziwnym uśmiechem na ustach, jakby pod wpływem uczuć, których nie można wyrazić słowami. Potem jej oczy napotkały spojrzenie McIndoe i uśmiech się poszerzył. Chwyciła się relingu i ruszyła ku nim. W milczeniu stali na dziobie, gdy MTB wpływała do pieczary. Nie można było niczego dojrzeć w ciemnościach, które gęstniały, w miarę jak okręt wpływał w głąb jaskini. McIndoe niemal pozbył się już podejrzeń, że płyną prosto w pułapkę, ale w jego podświadomości nadal pozostał cień wątpliwości. Jaskinia z jej jedynym wylotem była idealnym miejscem na zasadzkę.

Szybko otrząsnął się z tych ponurych myśli. Higgins w końcu wyłączył cicho szumiące silniki, otworzył drzwi sterówki i zawołał po niemiecku do Evansa, żeby rzucił kotwicę. Przed opuszczeniem Malty uzgodniono, że na Sycylii nikt nie będzie mówił po angielsku. Zachowanie pozorów było sprawą zasadniczą, gdyż nawet najmniejsze potknięcie mogło zagrozić całej operacji. W zależności od sytuacji mieli mówić po włosku lub niemiecku, ale nigdy po angielsku.

Oczy McIndoe zaczęły już przyzwyczajać się do mroku, kiedy od prawej burty usłyszał skrzypienie drewna. Odwróciwszy się zobaczył, że Hillyard już wymierzył w tym kierunku vickersa i trzyma palec na spuście. Podeszedł do niego i wyjrzał za burtę. Przez chwilę nie mógł nic dojrzeć w ciemnościach, chociaż teraz już wyraźnie słyszał plusk wioseł rytmicznie uderzających o wodę. Potem z wąskiej odnogi jaskini wyłoniła się łódź i ruszyła w ich kierunku. Chwilę później z głównej części groty wypłynęła druga. McIndoe zaczekał, aż obie dobiją do prawej burty, a potem skinął na Stellę, żeby poszła za nim.

Dowódca partyzantów, Giancarlo Massimo, podał wcześniej Starrowi nazwiska dwóch ludzi, którzy wyjdą na spotkanie grupy. Ludzi znanych Stelli. Starr zapisał te nazwiska, a McIndoe miał je teraz w kieszeni w zapieczętowanej kopercie. Otworzył kopertę, wyjął kartkę papieru i podał ją Stelli. Dała znak Evansowi, który oświetlił reflektorem postać siedzącą w bliższej z dwóch łodek. Stella skinęła głową. Rozpoznała łącznika. Teraz Evans skierował strumień światła na drugiego mężczyznę, który instynktownie zasłonił ręką twarz, chroniąc oczy przed oślepiającym blaskiem. Przez chwilę Stella nie mogła dojrzeć jego rysów, ale kiedy Ravallo kazał mu opuścić rękę, znów kiwnęła głową potakująco. To nazwiska tych ludzi podano w kopercie. Ravallo zapalił zapałkę i Stella przyłożyła papier do płomyka. W ciągu kilku sekund spłonął w ogniu, a zwęglone resztki uniósł lekki wiatr.

— Nicky, ty i Stella popłyniecie z Evansem pierwszą łodzią — powiedział McIndoe. — Ja popłynę za wami z Johnsonem i Hillyardem.

— Jasne — zgodził się Ravallo, złapał dwa plecaki leżące u stóp schodków do sterówki i podał jeden z nich Stelli. Wyjęła z kieszonki wełnianą czapkę i zwinawszy włosy w prowizoryczny kok, wciągnęła ją na głowę. Evans zarzucił swój plecak na ramiona i spuścił za burtę drabinę sznurową. Ravallo gestem ręki nakazał, żeby zszedł pierwszy.

Higgins wyłonił się ze sterówki i wyciągnął dłoń do McIndoe.

— Uważaj, Mac.

— Ty też, Charlie — McIndoe serdecznie ścisnął jego dłoń.

— I staraj się przy tym uważać na naszych amerykańskich przyjaciół — dodał Higgins, gdy Ravallo w ślad za Stella zniknął za burtą. — Oni są w porządku. Szczególnie Stella. Jest niezwykła, co? Muszę przyznać, że nieczęsto...

— Lepiej nie przyznawaj, dobrze? — przerwał szybko McIndoe i pogroził mu palcem. — A zresztą, jesteś żonaty. Nie powinienesz nawet patrzeć.

— Przecież mogę oglądać wystawy, jeśli nie chcę zaraz kupować? — odparł Higgins, odprowadzając McIndoe na bok, gdzie nikt ich nie mógł usłyszeć. — W przeciwieństwie do ciebie, co, Mac?

— Co chcesz powiedzieć? — McIndoe podejrzliwie zmarszczył brwi.

— Jesteśmy gotowi! — zawołał Hillyard od relingu.

— Ruszajcie, ja zaraz zejść — odkrzyknął McIndoe i znów odwrócił się do Higginsa. — Co usiłujesz powiedzieć. Charlie?

— Mówiąc między nami, ona cię lubi. I to nawet bardzo.

Powiedziała mi to, kiedy byliśmy razem na mostku.

— Tak jak ta wrenka w Portsmouth, co to też bardzo mnie lubiła, ale okazała się męczatką.

— Daj spokój, Mac, to była zwyczajna pomyłka, ale...

— Ale nic — przerwał mu McIndoe i szturchnął go palcem w pierś. — Pogadamy, kiedy wrócę.

— Tym razem mam rację — zawołał za nim Higgins.

McIndoe rzucił mu udęczone spojrzenie przez ramię, założył plecak i zszedł po drabince sznurowej do oczekującej łódki. Skinieniem głowy powitał człowieka, który podniósł z dna łódki pistolet maszynowy Beretta i podał mu go. Hillyard i Johnson byli już uzbrojeni w tę samą broń. Mężczyzna odepchnął łódź od MTB, a potem zaczął miarowo wiosłować, goniąc pierwszą łódkę, która już dotarła do wylotu jaskini. Po paru minutach wypłynęli z tunelu na otwarte morze i McIndoe nagle poczuł się zupełnie odsłonięty. Każdy niemiecki patrol przybrzeżny mógł ich spostrzec bez trudu. A jaką szansę obrony mieliby w takiej ciasnej, wolno płynącej łódeczce? Wiedział, że w gęstych zaroślach porastających większą część wzgórz byli ukryci partyzanci strzelcy wyborowi, lecz mimo to czuł wyraźny niepokój; uczucie, które — jak wiedział z doświadczenia — minie, gdy tylko bezpiecznie wylądują na brzegu...

— Poruczniku, słyszy pan to? — syknął Johnson, łapiąc go za rękę.

— No, co...? — Szkot zamilkł, słysząc odgłos przypominający odległy grzmot. Ale to nie była burza. To był niski pomruk lotniczych silników. Najprawdopodobniej niemieckie nocne bombowce. Pomruk narastał z sekundy na sekundę. Spojrzał na pierwszą łódkę, a kiedy gwałtownie gestykułując pokazywał na niebo, księżyc wyłonił się zza chmur, oświetlając obie łodzie jak gigantyczny reflektor. Ravallo wskazał palcem w kierunku najbliższej groty i McIndoe z niepokojem patrzył, jak dwaj partyzanci porozumiewają się ze sobą, używając języka migowego, z jakim jeszcze nigdy się nie zetknął. Widocznie doszli do porozumienia, bo obie łodzie skierowały się ku jaskini.

McIndoe czuł wzrastające ściskanie w żołądku, w miarę jak złowrogi dźwięk się nasilał. Wiedział, że jeśli w porę nie schronią się w grocie, zostaną bez trudu wykryci z powietrza, a ich pozycja przekazana drogą radiową najbliższym niemieckim posterunkom. Daleko nie uciekną, jeśli cała okolica zaroi się od szukających ich żołnierzy wroga. Zerknął na Hillyarda i Johnsona. Ich oświetlone przez księżyc twarze były niespokojne. Każde silne pociągnięcie wiosła przybliżało łódkę do wylotu jaskini, lecz czy dotrą do niej na czas? McIndoe spojrział w niebo, ale było zbyt ciemno, żeby dostrzec nadlatujące samoloty. I dobrze, pomyślał, bo kiedy je zobaczą, będzie już za późno, by umknąć. Widział ponurą determinację na twarzy wioslarza, który miarowo zanurzając wiosła w wodzie i zaciskając zęby z wysiłku, długimi pociągnięciami popychał łódź do celu. McIndoe wiedział, że wioslarz robi wszystko, żeby jak najszybciej znaleźć się w jaskini, lecz mimo to miał ochotę wyrwać mu wiosła i powiosłować samemu. Pojmował jednak, że w ten sposób wcale nie dopłynęliby tam szybciej. Może i był silniejszy i zręczniejszy od wioslarza, ale pewnie nie umiałby złapać odpowiedniego rytmu. W tym wioslarz miał nad nim przewagę. Doświadczenie zawsze triumfuje nad entuzjazmem.

Wprowadziwszy łódkę w bezpieczne zacisze jaskini, wyczerpany wiosłarz osunął się bezwładnie. Druga łódź dotarła do groty przed nimi. McIndoe pochylił się i poklepał partyzanta po ramieniu. Z ulgi? Wdzięczności? Zapewne jedno i drugie.

Mężczyzna spojrział na niego, jeszcze spazmatycznie łapiąc powietrze, i zdołał się uśmiechnąć, jednocześnie ocierając przedramieniem spocone czoło. McIndoe instynktownie się pochylił, gdy pierwszy samolot przeleciał nisko opodal jaskini. Za nim, w ciasnym szyku, przemknęła reszta. Od razu rozpoznał smukłe kadłuby. Stado nocnych bombowców Junkers 88A-I, eskortowanych przez kilkanaście groźnych messerschmittów.

— Skąd oni się wzięli? — zapytał Hillyard, patrząc za odlatującymi samolotami, które kierowały się nad pełne morze, do swego celu: Malty.

— Więcej niż prawdopodobne, że z lotniska Gerbini w Katanii — odparł partyzant. — To główna baza Luftwaffe na Sycylii. Kilkakrotnie próbowaliśmy je unieszkodliwić, ale na razie się nam nie udało. Na razie.

McIndoe przyłapał się na tym, że kiwa głową. W głosie tego mężczyzny nie było śladu arogancji, tylko cicha wiara w siebie i ruch oporu.

— Wygląda pan na zmęczonego — rzekł, sięgając po wiosło. — Ja powiosłuję do brzegu.

— Nie — odparł stanowczo tamten i odebrał mu wiosło. — Każdy z nas ma swoje zadanie. To moja robota.

McIndoe zrozumiał, że mimowolnie obraził go propozycją pomocy, ale przeprosiny tylko pogorszyłyby sprawę. Wiosłarz włożył pióra obu wiosł do wody, a potem starannie odmierzonymi ruchami skierował łódkę w ślad za pierwszą, która już wypłynęła z groty. Reszta drogi upłynęła w milczeniu, a kiedy dotarli na płyciznę, zza skał wypadły cztery czarne cienie i przebiegły przez plażę do miejsca, gdzie łodzie wiosłowe podskakiwały na falach. Rozdzielili się po dwóch do każdej łodzi. McIndoe nieznacznie ostrzegł Hillyarda, żeby siedział i nie próbował pomagać. Kiedy podciągnięto łodzie ku plaży, poproszono ich, żeby wysiedli. McIndoe pierwszy wskoczył do sięgającej kolan wody i zaczął brnąć do brzegu. Inni szybko poszli w jego ślady. Łodzie zepchnięto z powrotem na głębinę i dwaj wiosłarze pospiesznie odpłynęli.

— Mało brakowało z tymi bombowcami — powiedział Ravallo.

— Bardzo mało — McIndoe instynktownie spojrział w niebo.

— I co teraz? — zapytał Amerykanin, rozglądając się wokół.

— Chyba jesteśmy w ich rękach — rzekł McIndoe, pokazując na czterech partyzantów wychodzących z wody.

Jeden z nich dał znak, żeby szli za nim, więc ruszyli jego śladem po mokrym piasku. Trzej koledzy przewodnika wyjęli spod kolan swoje karabiny i zajęli pozycję jako tylna straż. Dobrnęli do wąskiej ścieżki biegnącej wśród gęstych zarośli nad plażą. Szli gęsiego. Wszyscy zdawali sobie sprawę, że to idealne miejsce na zasadzkę, toteż nieustannie wodzili wzrokiem po splątanych chaszczach po obu stronach ścieżki. W otaczającej ich ciszy każdy chrzęszczący krok wydawał się ogłuszającym trzaskiem.

McIndoe, który szedł tuż za przewodnikiem, poczuł ogromną ulgę, gdy ścieżka w końcu wyprowadziła ich na drogę. Opodal stała ośmiotonowa ciężarówka Alfa-Romeo. Z szoferki wyskoczył zwinnie jakiś człowiek. Klasnął w dłonie i wyciągnął ręce w geście ojcowskiego powitania. McIndoe, który przez moment myślał, że mężczyzna ma zamiar go uściskać, poczuł niezmierną ulgę, gdy Stella przecisnęła się obok i wpadła w jego otwarte ramiona. Mężczyzna ucałował ją w oba policzki i rozpromienił się. Powiedział do niej coś, czego McIndoe nie dosłyszał, a ona zaczerwieniła się i pogroziła mu palcem. Objął ją i poprowadził do innych. Dopiero wtedy McIndoe zobaczył jego twarz. Mężczyzna około pięćdziesiątki, wydatny rzymski nos, twarz kanciasta, pobrużdżona przez długie lata ciągłego wystawiania na skwar sycylijskiego

słońca. Stella wskazała Ravalla.

— To major Nicky Ravallo, dowodzi tą operacją. Nicky, to Giancarlo Massimo, przywódca partyzantów na Sycylii.

— Nicky Ravallo — powiedział Massimo, serdecznie ściskając jego dłoń. — Stella wiele mi o panu opowiadała.

— Same dobre rzeczy, mam nadzieję? — uśmiechnął się Ravallo i wskazał na stojącego obok Szkota.

— To porucznik Sam McIndoe z brytyjskiego SOE.

— O panu również wiele słyszałem, mój przyjacielu — rzekł Massimo, ściskając dłoń McIndoe. — Wiceadmirał Starr bardzo pana ceni. Ale niech mu pan nie mówi, że to powiedziałem. Nigdy by mi tego nie wybaczył.

McIndoe natychmiast polubił Massima, jego basowy głos i wesołe usposobienie. Nic dziwnego, że taki człowiek zdobył zaufanie i szacunek; to cechy niezbędne, gdy się kieruje ruchem oporu. Przedstawił pozostałych członków grupy, a Massimo każdemu skinął głową na powitanie, notując w myślach nazwisko. Zapamiętał wszystkie.

— Około piętnastu kilometrów stąd jest farma, możecie tam odpocząć do świtu — powiedział Massimo. — Tam też czeka na was gorący posiłek.

— No to na co tu czekamy? — Hillyard klepnął się po brzuchu. — Umieram z głodu.

— Czy krążą tutaj jakieś niemieckie patrole? — zainteresował się Ravallo.

— Nie w najbliższej okolicy. Przez kilka ostatnich godzin dostarczyliśmy im trochę zajęcia. Nie martwcie się, dziś w nocy nie będzie z nimi kłopotów.

— Pan poprowadzi samochód na farmę? — zapytał McIndoe idąc z Massimem do czekającego pojazdu.

— Nie, wziąłem ze sobą kierowcę — odparł Massimo. — Dlaczego pan pyta?

— Miałem nadzieję porozmawiać z panem w cztery oczy, zanim dotrzemy na miejsce.

— A zatem, przyjacielu, sam poprowadzę i pogadamy — odparł Massimo. Zamienił kilka słów z kierowcą, który wysiadł i podszedł do innych, gramolących się od tyłu na ciężarówkę.

Zbliżył się do nich Ravallo.

— Rozumiem, że wy, chłopcy, jedziecie z przodu?

— Jest kilka spraw, które chciałbym omówić z *signor* Massimem, zanim dotrzemy na farmę — wyjaśnił McIndoe.

— Dlaczego Brytyjczycy zawsze są tacy formalni? — Massimo z rozpaczą rozłożył ręce. — Myślę, że boicie się kogoś obrazić. Mam rację?

— Pewnie trafił pan w sedno — odrzekł McIndoe ze skruszonym uśmiechem.

— Proszę, przyjaciele mówią mi Giani — powiedział Massimo. Zwrócił się do Ravalla. — Pojedzie pan z przodu, z nami? Jest mnóstwo miejsca.

— Nie, myślę, że Mac chce porozmawiać z panem sam na sam — odparł Amerykanin, spoglądając na Szkota. — Pojadę na pacy, z innymi.

— Jest dokładnie taki, jak opisywała go Stella — rzekł Massimo, gdy Ravallo odszedł. — Wygląda na dobrego człowieka. Podoba mi się.

— To jest nas dwóch — przytaknął McIndoe.

Massimo sprawdził, czy wszyscy wsiedli i czy plandeka jest szczelnie zamknięta, po czym wdrapał się do kabiny, w której już siedział McIndoe. Uruchomił silnik, wrzucił bieg, zapalił światła i zjechał z pobocza drogi.

— Nazywają cię Mac?

Pytanie zaskoczyło McIndoe.

— Tak, to mój przydomek.

— A więc będę cię nazywał Mac — zdecydował Massimo, wrzucając kolejny bieg i wciskając pedał gazu. — Chcesz porozmawiać o Angelu Sciarrze, prawda?

— Tak — odrzekł McIndoe. — Wiceadmiral Starr wierzy, że Sciarro powiadomił Niemców o naszej akcji parę nocy temu. I spójrzmy prawdzie w oczy: dowody przeciw niemu są bardzo przekonujące, prawda?

— A w co ty wierzysz? — zapytał Massimo, nie odrywając oczu od drogi.

— Sam chciałbym wiedzieć — odrzekł Szkot. — W tej chwili siedzę okrakiem na płocie. Dlatego chciałem z tobą porozmawiać. Z tego, co powiedziała mi Stella, wynika, że znałeś Sciarra lepiej niż inni.

— To prawda. Przebyliśmy razem długą drogę.

— Miał problemy z piciem, tak? — McIndoe zerknął z ukosa na Massima, żeby sprawdzić jego reakcję. Nie był specjalnie zdziwiony, kiedy nie dostrzegł żadnej.

— Tak, pił — przyznał wreszcie Massimo. — Pił próbując zapomnieć, że gestapo zamordowało jego rodziców, a potem porzuciło ich nagie ciała na ulicy, jako ostrzeżenie dla wszystkich mieszkańców wyspy, usiłujących stawiać opór okupantom. Nie sądzę, żeby człowiek, który w ten sposób utracił rodziców, dobrowolnie współpracował z tymi, którzy ich zabili.

— A jednak jego kumpel od kieliszka był znanym kolaborantem — nie ustępował McIndoe.

— Wydaje się, że jesteś już przekonany o jego winie, więc dlaczego się fatygujesz i wypytyujesz mnie o moje zdanie?

— Po prostu wyliczam dowody, które mi przedstawiono.

— A więc nie zapomnij o znalezionym w jego kieszeni kawałku papieru z prywatnym numerem telefonu komendanta gestapo na Sycylii. Zgoda, te dowody są bardzo przekonujące dla każdego, kto nie znał Angela. Wiem, że wielu naszych, nawet kilka osób z dowództwa, już uznało go za zdrajcę.

— A dlaczego jesteś pewien, że nim nie był?

— Ponieważ znałem go lepiej niż inni. Może dla ciebie to nie jest dowód, ale dla mnie jest to bardziej przekonujące od tak zwanych dowodów, które spreparowało przeciw niemu gestapo. I nie zmienię zdania, nawet gdyby pojawiły się nowe, bardziej obciążające go dowody. Angelo miał swoje problemy, zgoda, lecz nie był zdrajcą. Chciałeś usłyszeć moją opinię, więc ją masz.

— A zatem sądzisz, że go wrobiono, żeby osłonić prawdziwego zdrajcę?

— Wiem tylko, że Angelo nie był niemieckim szpiegiem.

McIndoe wiedział, że znów obraził potencjalnego sojusznika. Zaczynało mu to wchodzić w nawyk. Tylko że tym razem sojusznik był naprawdę potężny. Co jednak miał robić? Chciał usłyszeć, co Massimo sądzi o sprawie Sciarra. Teraz już wiedział — i nadal siedział okrakiem na płocie. Komu wierzyć? Co robić? Jak poprowadzić kolejną fazę operacji? Ile ma czasu, zanim będzie musiał wyjawiać ludziom, po co zostali przysłani na Sycylię? Wiedział, że im dłużej będzie milczał, tym mniej będą mu ufać. A brak zaufania może prowadzić do zrozumiałego niezadowolenia. A to nie posłuży operacji. Nie może na to pozwolić. Stawka jest za wysoka.

Nagle pożałował, że nie znajduje się gdzie indziej, na przykład na boisku rugby w typowe dla Glasgow, chłodne, mokre i wietrzne sobotnie popołudnie, w przemoczonej koszulce przylepionej do piersi, rozpaczliwie przebierając butami po mokrej murawie, usiłując lepiej chwycić i przytrzymać chwiejący się blok, dopingując krzykiem napastników przedzierających się przez linie przeciwnika. Nagły wyłom w obronie — mokra, śliska piłka pod pachą, zwód, ominięcie skrzydłowego tamtej drużyny, unik przed szarżą ich obrońcy i w końcu to wszechogarniające uczucie euforii, która zawsze przychodzi wraz z dotknięciem piłką bazy. Tyle dobrych wspomnień...

— Przed nami farma.

Głos Massima wyrwał McIndoe z marzeń. Dopiero teraz zauważył, że jadą wąską zwirową dróżką, między ścianami gęstego listowia. Samochód podskakiwał i podejrzenie kiwał się na boki w głębokich koleinach. Droga była skąpana w kremowym świetle księżyca. McIndoe widział tylko zarysy budynku, częściowo zasłoniętego przez pnie wysokich sosen. Gdy ciężarówka pokonała ostatni zakręt, ujrzał dom w całej okazałości. Ściany z solidnych bali i zadaszony ganek przypominały mu jedno z tych rancz na Dzikim Zachodzie, które zawsze były atakowane przez bandy Indian na hollywoodzkich westernach.

Massimo przejechał drogą na tyły domu i zaparkował ciężarówkę w pustym garażu. Wyłączył silnik, otworzył drzwi, zeskoczył na ziemię i opuścił klapę z tyłu ciężarówki. Kiedy wszyscy stanęli na podwórku, drzwi garażu zamknięto i zaryglowano. Ciężarówka spełniła swoją rolę.

— Kto tu mieszka? — zapytał Evans, wskazując na jedyne oświetlone okno wychodzące na dziedziniec.

— Małżeństwo, które pomagało nam już nieraz — powiedział Massimo. — Ich syn był partyzantem. W ubiegłym roku został zabity w potyczce z miejscowymi faszystami. Człowiek, który pociągnął za spust, był kiedyś jego najlepszym przyjacielem. Oto, co zrobiła z nami niemiecka okupacja. Rodzina zwraca się przeciwko rodzinie, przyjaciel przeciw przyjacielowi. Nie ma już nic świętego.

— Chodźcie, wejdźmy do domu — powiedziała Stella, przerywając milczenie.

— Gdzie są mundury? — spytał Ravallo.

— Tam, w stodole — Massimo wskazał budynek nie opodal zabudowań. — Jest zamknięta. Chcecie tam wejść?

— Tak, chciałbym się upewnić, że są takie, jakich potrzebujemy — rzekł Ravallo, wyciągając z plecaka latarkę. Massimo podał mu klucz.

— Co za mundury? — zapytał Hillyard, kiedy Ravallo poszedł w kierunku stodoły.

— Wykorzystamy je w następnej fazie operacji — powiedział mu McIndoe. — Wszystko wyjaśnię, kiedy coś zjemy.

— To zaczyna przypominać jedną z tych okropnych dziecięcych układanek, w której trzeba dopasować wszystkie kawałki, żeby zobaczyć cały obrazek — rzucił ze złością Hillyard. — Tylko że dzieci przynajmniej od początku widzą wszystkie kawałki. Mamy prawo wiedzieć, w co nas pakujesz, szefie.

— Ostatni raz tak do mnie mówisz — rzekł McIndoe cichym, groźnym głosem, ostrzegawczo kiwając palcem. — Jeżeli nie chcesz wrócić do okopów, lepiej zatrzymaj swoje komentarze dla siebie.

Evans chwycił Hillyarda za ramię i odciągnął go.

— On doskonale wszystko rozumie — zapewnił, nie rozluźniając mocnego uścisku na ramieniu Hillyarda.

— Chyba wam mówiłem, zanim opuściliśmy okręt, żebyście po zejściu na ląd nie mówili do mnie „szefie” — ciągnął McIndoe. — Inni jakoś to zapamiętali. Będę wdzięczny, jeśli i ty spróbujesz o tym pamiętać.

— To się już nie powtórzy — zapewnił Evans, szarpiąc Hillyarda za ramię. — Prawda?

— Tak — mruknął ponuro Hillyard. Spojrzał na Massima. — Czy jest tu jakaś toaleta? Lepiej pójde i ochłodzę się, zanim powiem coś, przez co miałbym wrócić do okopów.

— Tam — powiedział Massimo, wskazując na drewnianą budkę na końcu podwórka.

Hillyard wyrwał rękę z uścisku Evansa i pomaszerował do wygodki. Evans popatrzył za nim i potrząsnął głową.

— Przepraszam za to — rzekł do McIndoe. — Wiem, że powinienem go utemperować. Chyba wszyscy jesteśmy podenerwowani.

— Jakbym tego nie wiedział — odparł Szkot. — Jestem tak samo zdenerwowany jak wy. Ale mam rozkazy i muszę ich słuchać. Gdybym złamał rozkaz Starra, sam wylądowałbym w okopach.

— On wyraził tylko to, co wszyscy czujemy, panie poruczniku — rzekł Johnson, idąc za McIndoe do tylnych drzwi. — Jedyna różnica polega na tym, że on zawsze mówi na głos, to co myśli. Ale zawsze był taki, prawda? Dlatego jest tym, kim jest. Gdyby go zmienić, na pewno utraciłby to coś, co czyni go takim dobrym żołnierzem.

— Ma szczęście, mając takich przyjaciół jak ty i Taffy — powiedział McIndoe, kiedy weszli do kuchni.

— Myślę, że to za dużo powiedziane, panie poruczniku — stwierdził Johnson, podnosząc palec, jakby wrócił do szkolnej klasy i przestrzegał jednego ze swoich uczniów. — Mam dla niego wiele szacunku, ale nie powiedziałbym, że jesteśmy prawdziwymi przyjaciółmi. Na pewno nie w zwyczajnym znaczeniu tego słowa.

— W tej pracy nie ma nic zwyczajnego, nie uważasz? — powiedział McIndoe. Rzucił Johnsonowi jeszcze jedno zakłopotane spojrzenie, a potem podszedł do Massima, który czekał, żeby przedstawić go właścicielom farmy. Nazywali się Andoni. Nazwisk McIndoe ani pozostałych członków grupy Massimo nie wymienił. Małżeństwo najwyraźniej zaakceptowało ich bez żadnych pytań, jakby nie po raz pierwszy znaleźli się w takiej sytuacji.

— Giani mówi, że jesteś Anglikiem? — *signor* Andoni potrząsnął ręką McIndoe.

— Ściśle mówiąc, Brytyjczykiem — odparł przyjaźnie McIndoe.

— Czy to nie to samo? — dociekał gospodarz.

— Nie, nie całkiem — odpowiedział McIndoe. Ostatnią rzeczą, na jaką miał teraz ochotę, to wyjaśniać geografie Wysp Brytyjskich tej parze, która zapewne nigdy nie słyszała o trzech krajach wchodzących w skład Wielkiej Brytanii. — Przez całe życie mieszkaliście na Sycylii? — Wolał delikatnie zmienić temat, zanim zmuszą go do wykładu.

— Tak, istotnie — powiedziała pani Andoni. — Mój mąż urodził się w tym właśnie pokoju. Mieszkał tu przez całe życie.

— To niezwykle — stwierdził McIndoe.

— Jesteśmy małżeństwem już od czterdziestu siedmiu lat — oznajmiła dumnie. — I nigdy nie usłyszałam od niego złego słowa.

McIndoe uśmiechnął się uprzejmie, a potem zauważył, że Stella spod oka obserwuje go z drugiego końca pokoju. Rzucił jej spojrzenie mówiące „ratunku!”, gdy pani Andoni zaczęła wspominać, jak przed laty poznała swojego obecnego męża.

Stella stanęła przy McIndoe.

— Cokolwiek pani ma w tym piecyku, *signora* Andoni, pachnie naprawdę smakowicie. Co to takiego?

— Obawiam się, że nic wyszukanego. Tylko półmisek lazanii — odpowiedziała, wskazując na kilka krzeseł ustawionych wokół sfatygowanego stołu na środku pomieszczenia. — Może siądziecie, a ja podam do stołu?

— Dziękujemy, to byłoby wspaniale — rzekł McIndoe, a inni już zajmowali miejsca.

— Nie racjonują nam tu żywności tak jak wam, na Malcie — powiedziała pani Andoni, otwierając piekarnik. — To pewnie jedyna dobra rzecz w tej całej okupacji.

— A jednak każdego ranka żona i ja z zazdrością spoglądamy na morze, bo wiemy, że mimo wszystkich nieszczęść, jakie spadają na mieszkańców Malty, nie zostali oni pobici i zmuszeni żyć jak więźniowie w swoim własnym kraju. Chętnie zamieniłbym się z nimi. — Głos Andoniego nagle załamał się. Szybko otarł dłonią zwilgotniałe oczy. — Przepraszam. Uznacie mnie za głupiego starego człowieka.

— Wprost przeciwnie — powiedziała Stella, prowadząc go delikatnie do najbliższego krzesła. Usiadła przy nim. — Jest pan niezwykle dzielny i odważnym człowiekiem, *signore* Andoni, i gdyby więcej Sycylijczyków pomagało sprawie tak jak pan i pańska rodzina, to może pański kraj nie byłby teraz w takiej opłakanej sytuacji. Najwygodniej mówić, że nic się nie da zrobić, lecz jeśli się naprawdę nie bierze aktywnego udziału w walce z niemieckim okupantem, to się nie jest lepszym od kolaborantów.

— Polubiłaby pani naszego syna. Miał takie same poglądy — powiedział Andoni. — Oboje jesteśmy z niego bardzo dumni.

— I jestem pewna, że on też był z was dumny — odparła Stella.

Pani Andoni nałożyła wszystkim porcję lasanii.

— Doskonale — oznajmił Evans, zjadając z apetytem.

— Jest jeszcze dużo, jeśli chcecie — zachęcała gospodyni, kładąc na środku stołu świeżo upieczony bochenek chleba.

— Będę pierwszy w kolejce — zapewnił Evans i już miał sięgnąć no chleb, kiedy spostrzegł w drzwiach Hillyarda. Po jego niepewnej minie poznał, że coś jest nie tak. — Co jest? — zapytał, sięgając po pistolet maszynowy oparty o ścianę obok krzesła.

— Nie ruszaj tego! — warknął groźnie czyjś głos po niemiecku zza pleców Hillyarda. Zanim ktokolwiek zdążył zareagować, czterej uzbrojeni Niemcy żołnierze wpadli do izby i wycelowali karabiny w zgromadzonych. Hillyard został wepchnięty do środka i dopiero wtedy zobaczyli niemieckiego oficera, który wbijał mu lufę lugera w kark. — Zabierz im broń! — syknął do najbliższego żołnierza.

— Jak śmiecie wdzierać się do mojego domu! — wybuchnął Andoni, podnosząc się z krzesła.

— Siadać! — wrzasnął na niego Niemiec.

Stella wyciągnęła rękę i lekko dotknęła ramienia Włocha. Kiedy na nią popatrzył, gestem kazała mu usiąść. Obrzucił Niemców gniewnym spojrzeniem i powoli opadł na krzesło. Dwaj żołnierze pozbierali wszystkie pistolety, a oficer polecił im przeszukać resztę pomieszczeń.

— Połóżcie ręce na stole — rozkazał, popychając Hillyarda do krzesła i samemu zajmując miejsce przy stole.

— Dranie czekali na mnie, kiedy wyszedłem z toalety — powiedział Hillyard. — Nic nie mogłem zrobić.

— Cisza! — krzyknął oficer.

McIndoe desperacko usiłował znaleźć jakieś wyjście z sytuacji, która wydawała się beznadziejna. Pomyślał o Ravallu. Jednak co mógł zrobić Ravallo przeciw pięciu uzbrojonym żołnierzom? A nie wiadomo, czy na dziedzińcu nie było ich więcej. Zakładając, oczywiście, że Niemcy jeszcze nie znaleźli go w stodole. A jeśli znaleźli, co z nim zrobili? Nagle poczuł na sobie wzrok Stelli. Ich niespokojne spojrzenia spotkały się. Zrozumiał, że ona myśli o tym samym. Nicky Ravallo wydawał się teraz ich jedyną nadzieją. Nie wyglądało to dobrze...

Żołnierze wrócili do kuchni.

— Reszta domu jest pusta — oznajmił jeden z nich.

— A zatem jednego brakuje — odparł oficer.

— Nie — rozległ się stanowczy głos. — Moi ludzie znaleźli go w stodole. Już został unieszkodliwiony.

Oficer obrócił się i wyprężył na baczność. Przed nim stał wyższy oficer gestapo. McIndoe zerknął na Stellę, lecz w jej oczach nie dostrzegł błysku rozpoznania. Tak jak inni siedzący wokół stołu, ani drgnęła na widok Nicky'ego Ravalla przebranego w gestapowski mundur. Ravallo zignorował salutującego oficera i z rękami założonymi na plecach wszedł do kuchni. O przybyciu Niemców ostrzegło go kilku uzbrojonych partyzantów, którzy bezszelestnie wychynęli

spośród okolicznych drzew, gdy opuszczał stodołę. Pomysł ataku na dom został zarzucony na rzecz znacznie bezpieczniejszego planu: Ravallo wcielił się w oficera gestapo. W ten sposób nie tylko mógł dostać się do środka, ale i dowiedzieć, co Niemcy wiedzą o ich operacji. Partyzanci schowali się na podwórku, tuż przy drzwiach, czekając na jego znak. Teraz musiał dobrze odegrać swoją rolę, a jedynym na to sposobem było przejść do ataku. Powoli omiótł spojrzeniem siedzących przy stole, a potem odwrócił się do oficera.

— Pańskie nazwisko?

— *Hauptmann Rohmer, Herr Sturmbannführer* — padła natychmiastowa odpowiedź.

— Dobrze się pan spisał, Rohmer — powiedział Ravallo, a potem powiódł wzrokiem po Niemcach pilnujących jego kolegów. Jeden z żołnierzy popełnił błąd, nerwowo zerkając ku niemu. — Pilnuj więźniów! — wrzasnął na niego Ravallo i znów obrócił się do Rohmera z błyskiem wściekłości w oczach. — Wie pan, kim są pańscy więźniowie?

— Od razu poznałem Massima — rzekł Rohmer z wyraźną dumą. — Pozostali są chyba agentami wroga, którzy, jak nas uprzedzono, mieli przeniknąć w głąb wyspy. Jednak wkrótce dowiemy się prawdy. Zmuszę ich do mówienia.

— Jak pan zdołał ich schwytać?

— Szczęśliwym zbiegiem okoliczności, *Sturmbannführer* — powiedział Rohmer. — Oddzieliliśmy się od naszego oddziału podczas zasadzki zorganizowanej przez miejscowy ruch oporu. Próbowaliśmy znaleźć krótszą drogę do koszar, kiedy zobaczyliśmy dwie łodzie dobijające do brzegu. Jest nas tylko pięciu i nie sądziłem, że uda nam się pochwycić ich na plaży, więc postanowiłem dyskretnie śledzić ich i uderzyć, kiedy najmniej będą się tego spodziewali.

— Bardzo rozsądnie — odparł Ravallo. — Czy widzieliście, skąd przyplłynęły te łodzie?

— Nie, *Sturmbannführer* — powiedział Rohmer. — Zobaczyliśmy je dopiero wtedy, gdy przybijały do brzegu.

— Wezwaliście przez radio posiłki?

— Nie mamy radiostacji.

— Nic nie szkodzi. Mam na zewnątrz dość ludzi, żeby sobie z nimi poradzić. Więźniowie trafią do aresztu. Oczywiście zadbam o to, żeby pańska rola w ich ujęciu stała się znana moim zwierzchnikom. Może nawet otrzyma pan awans.

— Dziękuję, *Sturmbannführer*.

Ravallo dostrzegł wahanie w oczach Rohmera, który jakby chciał coś powiedzieć, lecz nie wiedział jak, żeby nie wzbudzić gniewu gestapowca.

— Jeśli coś leży panu na sercu, Rohmer, niech mi pan powie. Nie umiem czytać w pańskich myślach.

— Ja... chciałem powiedzieć...my... mój oddział... nie mieliśmy pojęcia, że w pobliżu działa gestapo — wykrztusił Rohmer. — Nikt nam o tym nie powiedział.

— A dlaczego ktoś miałby wam o tym mówić? — odparł urażony Ravallo. — Gestapo nie podlega ani pańskiej, ani jakiegokolwiek jednostce Wehrmachtu. Odpowiadamy wyłącznie przed *Reichsführerem* Himmlerem w Berlinie.

— Przepraszam, *Sturmbannführer*, nie chciałem niczego insynuować.

Ravallo zmierzył go chłodnym spojrzeniem, a potem rozplótł dłonie. Sięgając do czapki, żeby ją poprawić, zauważył spojrzenie Rohmera biegnące ku jego obandażowanej lewej dłoni. Rohmer szybko odwrócił wzrok. Upewniwszy się z ulgą, że garstka Niemców nie stanowi prawdziwego zagrożenia dla operacji, Ravallo uznał, że czas na kolejny ruch. Obrócił się do drzwi, odpiął kaburę na biodrze i wyjął swojego walthera P-38. Dla partyzantów był to sygnał, żeby ruszyć do akcji.

Ravallo odwrócił się i wepchnął lufę pistoletu w kark Rohmera. Zanim ten zdążył się

poruszyć, był już rozbrojony. Ravallo mocno ścisnął go ramieniem za szyję i wbił mu lufę pod brodę. Czterej zdeorientowani żołnierze niemieccy spoglądali niepewnie na Rohmera i więźniów. Wreszcie, pojmując, że to podstęp, jeden z nich skierował karabin na Ravalla i rozkazał kolegom trzymać więźniów na muszce.

— Powiedz im, żeby złożyli broń — powiedział Ravallo do Rohmera, mocniej wbijając mu lufę w gardło.

— Zabijesz mnie, a oni zabiją ciebie — usłyszał pogardliwą odpowiedź.

— Możliwe, ale za drzwiami stoją partyzanci z bronią wymierzoną w twoich ludzi — poinformował go Ravallo. — Może zostaną zabity, ale ty i twoi ludzie także, gdy tylko padnie pierwszy strzał. Wybór należy do ciebie, Rohmer.

Żołnierz trzymający Ravalla na muszce zobaczył lufy trzech karabinów mierzących do niego zza drzwi. Były skierowane prosto w jego głowę. Wiedział, że zginie, jeśli spróbuje pociągnąć za spust. Nie było sensu przeciągać tej sceny. Powoli opuścił broń, pozwalając jej upaść na podłogę.

— Nie poddawać się! — rozkazał Rohmer. — Oni was zabiją!

Drugi żołnierz rzucił broń. Pozostali dwaj wymienili niespokojne spojrzenia, a potem poszli w jego ślady. Zostali szybko rozbrojeni i obszukani. Ravallo odepchnął Rohmera od siebie. Hillyard brutalnie złapał Niemca, pchnął twarzą na ścianę i zrewidował. Żaden z Niemców nie miał ukrytej broni.

— Zabierzcie ich stąd — rozkazał Ravallo.

— Powinienem był wiedzieć — rzekł Rohmer, gdy Hillyard prowadził go do drzwi.

— Co powinieneś wiedzieć? — zapytał Ravallo.

— Jesteś Amerykaninem, tak?

— Rzeczywiście? — mruknął Ravallo, walcząc z nieprzyjemnym skurczem ściskającym wnętrzości. Skąd Rohmer mógł o tym wiedzieć? Czyżby zgadł? A może było w tym coś więcej? Nagle ogarnął go niepokój.

— Twoja dłoń — rzekł Rohmer, pokazując ruchem głowy na obandażowaną rękę Ravalla. — Dziś rano wszyscy oficerowie Wehrmachtu otrzymali komunikat z kwatery głównej gestapo w Palermo, że jeden z agentów wroga ma obandażowaną lewą rękę. Amerykanin, major Nick Ravallo. Powinienem był zorientować się od razu. Powinienem był wiedzieć.

— Zabierzcie go — powiedział Ravallo do Hillyarda ledwie słyszalnym głosem, a potem podszedł do stołu i usiadł obok McIndoe. Zanim zdążył coś powiedzieć, na podwórku huknął pojedynczy strzał.

Obaj zerwali się na równe nogi i wypadli na dziedziniec. Rohmer leżał martwy na ziemi, krew płynęła z rany postrzałowej na jego brzuchu. Hillyard stał nad nim, wciąż ściskając w rękę opuszczony karabin.

— Co się stało, do diabła? — zagrział McIndoe.

— Próbowałem wyrwać mi broń — rzekł Hillyard. — Szarpaliśmy się i karabin wystrzelił. Nie chciałem go zabić. Po prostu przypadek.

— Tak było — potwierdził jeden z partyzantów za plecami Hillyarda, a pozostali przytaknęli zgodnym chórem. — To nie jego wina. Chciał powstrzymać Niemca.

— Wyprowadźcie ciężarówkę z garażu — polecił Massimo, rzucając najbliższemu stojącemu klucze. — Włóżcie ciało na pakę. Trzeba je obciążyć kamieniami i wrzucić do morza.

— A co z nimi? — spytał McIndoe, wskazując gestem w kierunku Evansa i Johnsona, którzy wraz z garstką partyzantów pilnowali pozostałych czterech Niemców. Kulili się ze strachu na środku podwórka, z przerażeniem spoglądając na martwego oficera leżącego u stóp Hillyarda.

— Nie martw się, moi ludzie zajmą się nimi — odparł Massimo.

— Innymi słowy, zostaną straceni — wtrącił Ravallo.

— A masz jakiś lepszy pomysł, Nicky? — zapytał Massimo z lekkim sarkazmem w głosie. — Bo jeśli tak, to chętnie się z nim zapoznam.

— On ma rację, Nicky, nie ma wyboru — stwierdził posepnie McIndoe. — Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale widzieli cię w mundurze gestapowca. Wiedzą za dużo.

— Nie możemy brać jeńców — rzekł Massimo. — Brak nam ludzi, żeby ich pilnować, i co by było, gdyby któryś uciekł i podniósł alarm? To mogłoby zagrozić całej operacji.

— Oto rzeczywistość linii frontu, Nicky — powiedział pogardliwie do siebie Ravallo, a potem odwrócił się do McIndoe i Stelli. — Chcę widzieć was oboje w kuchni. Zaraz.

Kiedy McIndoe i Stella weszli do kuchni, stwierdzili, że Ravallo widać poprosił Andonich, żeby opuścili pomieszczenie. Siedział sam za stołem.

— O co chodzi? — zapytała Stella, przysuwając sobie krzesło i siadając.

— Słyszeliście, co Rohmer powiedział o mojej ręce? — zapytał Ravallo.

Potrząsnęły głowami. Kiedy im powiedział, na ich twarzach pojawiło się przerażenie. Okropna prawda uderzyła w nich z siłą młota parowego.

— Zgadza się — rzekł Ravallo. — Angelo Sciarro nie mógł wiedzieć, że jestem ranny w rękę, prawda? Tak więc, wygląda na to, że Stella od początku miała co do niego rację. Gestapo zadało sobie wiele trudu, żeby ukryć tożsamość prawdziwego szpiega. Ilu ludzi wiedziało i o mojej dłoni, i o tej operacji?

— Teraz nie mam już wątpliwości, że jest pośród nas niemiecki szpieg — McIndoe z rozpaczą ukrył twarz w dłoniach.

— Musimy natychmiast przerwać operację — powiedziała Stella do Ravalla.

— Nie możemy — rzekł McIndoe, podnosząc głowę i patrząc na dziewczynę. — Jeśli teraz ją przerwiemy, Kesselring i jego sztabowcy nie tylko będą mogli zaplanować, ale i przeprowadzić inwazję Malty. A wiesz równie dobrze jak ja, że obrona wyspy jest chronicznie słaba. Nie zdołają odeprzeć ofensywy. Wyspa padnie w ciągu tygodnia, co da nazistom całkowitą kontrolę na Morzu Śródziemnym. I co wtedy się stanie z naszymi siłami w Afryce Północnej? Nie mamy wyboru, Stello. Musimy doprowadzić to do końca.

— Mac ma rację, stawka jest zbyt wysoka, żeby teraz się wycofać.

Ravallo spojrzął na zegarek, odsunął krzesło i wstał.

— Musimy zmienić plany. Nie możemy tu zostać po tym, co zaszło tej nocy. Niemcy mogą wysłać patrole, żeby sprawdzić, co się stało z ich zaginionymi kolegami.

— Co proponujesz?

— Ty i twoi ludzie przebierzecie się w niemieckie mundury — odparł Ravallo. — Potem wyniesiemy się stąd.

— Muszę przedstawić im szczegóły operacji, Nicky. Nie mogę tego dłużej odkładać.

— I co powstrzyma tego szpiega przed przekazaniem wszystkiego jego niemieckim panom? — ostrzegła Stella.

— A kto mówi, że szpieg musi być jednym z nich? — rzekł McIndoe. — To może być Charlie Higgins. Albo George Passiere. To może być jedno z nas. Nie wiadomo, przynajmniej dopóki nie popełni błędu i nie odsłoni się.

Ravallo uniósł dłoń, powstrzymując Stellę, która chciała coś powiedzieć.

— Ta sprawa wyraźnie działa wszystkim na nerwy. Zgadza się z Makiem. Trzeba powiedzieć innym. Nie możemy oczekiwać, że pójdą za nami w ciemno.

— Zatem powiedz im dopiero wtedy, gdy będziemy tuż przed Palermo — zaproponowała.

— I znowu insynuujesz, że...

— Mac, proszę — przerwał im Ravallo. Spojrzął na Stellę. — Rozumiem twój niepokój. Wierz mi, w pełni go podzielam. Jednak Mac może poinformować swoich ludzi już w drodze. W

ten sposób szpieg nie będzie mógł powiadomić Niemców, nie oddalając się pod jakimś pretekstem od reszty. A jeśli do tego dojdzie, jedno z nas pójdzie za nim i pokrzyżuje mu plany.

— Zakładając, że szpiegiem nie jest jedno z nas trojga — dodał zjadliwie McIndoe.

— Rozumiem, że i nas to dotyczy, to całkiem naturalne. Ale musimy trzymać się razem jako zespół — rzekł Ravallo. — Nie możemy dopuścić, aby inni zorientowali się, że zdrajca jest wśród nas. Nie tylko ostrzeżelibyśmy prawdziwego szpiega, ale wytworzylibyśmy między nimi atmosferę nieufności i podejrzeń, co skłóciłoby ich ze sobą. To ostatnia rzecz, jakiej nam teraz trzeba.

— To ma sens — przyznał McIndoe. — W końcu my troje znamy wszystkie szczegóły operacji. I jeśli jedno z nas jest niemieckim szpiegiem, to być może już zmierzamy prosto w pułapkę.

— Myślę też, że byłoby rozsądne, gdybyś ograniczał informacje przekazywane Passiere'owi — stwierdził Ravallo. — Nie ma potrzeby, aby znał wszystkie szczegóły akcji. W końcu nie bierze w niej bezpośredniego udziału.

— Zgoda — odparł McIndoe. Wyjął z kieszeni paczkę papierosów i poczęstował Stellę. Wzięła jednego, a on podał jej ogień. Potem sam zapalił.

— A ja? — zapytał Ravallo.

— Myślałem, że próbujesz rzucić — powiedział McIndoe, rzucając mu paczkę.

— Pewnego dnia to zrobię — odparł Ravallo, wyjmując papierosa z paczki i wkładając do ust. — Jednak to pewne jak cholera, że nie dziś.

Od północy stał na warcie przy głównej bramie. Teraz była szósta. Dopiero za dwie godziny będzie mógł runąć na łóżko i przespać się trochę. W nocy walczył z sennością i tylko spryskując twarz zimną wodą ze strumyka przy drodze, zdołał odpędzić sen. Stłumił ziewnięcie i sięgnął do kieszeni bluzy po papierosa, kiedy usłyszał jakiś szelest w zaroślach za plecami. Instynktownie zacisnął dłonie na pistolecie maszynowym i już miał się odwrócić, żeby zlokalizować źródło hałasu, kiedy czyjaś ręka zacisnęła się na jego ustach. Ktoś mocno przegiął jego głowę w tył. Dziko szarpnął się w uścisku, gdy ujrzał błysk stalowego ostrza. Ostra klinga wbiła się głęboko w ciało tuż pod jego lewym uchem i ześlizgnęła w dół, po odsłoniętym gardle...

Lino Venucci przytrzymał dłoń na ustach wartownika, czekając, aż żołnierz przestanie dygotać w ostatnich skurczach agonii, i wciągnął ciało w gęste zarośla na poboczu drogi. Wepchnął nóż o kościanej rękojeści do pochwy u pasa, a potem przetrząsał kieszenie zabitego, aż znalazł klucz do bramy. Wyprostował się i spojrzał na ciało u swych stóp. Nie miał wyrzutów sumienia z powodu tego, co uczynił. Nigdy nie miał. To był jego siedemnasty niemiecki żołnierz. Zapamiętywał szczegóły każdego zabójstwa od początku okupacji, chował je głęboko w jakimś zakamarku pamięci. Będzie ich likwidował, aż Sycylia znów stanie się wolnym krajem.

Usłyszał odgłos kroków w gęstych zaroślach i jednym płynnym ruchem złapał swój pistolet maszynowy, celując z biodra. Napiął mięśnie w oczekiwaniu, gdy kroki się zbliżały, a potem odetchnął z ulgą, widząc znajomą postać Maura Contego. Opuścił broń.

Tak jak on, Conte miał na sobie mundur niemieckiego żołnierza. Conte był jego partnerem w sycylijskim ruchu oporu. Zawsze pracowali razem, chociaż niewiele mieli ze sobą wspólnego.

— Gotowe — powiedział Conte.

Venucci wiedział, że Conte mówi o wartowniku, którego unieszkodliwił na tyłach posesji. Conte nigdy nie używał takich słów jak „zabić” czy „zlikwidować” ani nie mówił w pierwszej osobie o tym, co robił dla ruchu oporu. Taki już był. Głęboko przeżywał niektóre sprawy, związane z konspiracją przeciw Niemcom. Jednak nigdy nie wspominał o swoich problemach. Był zamkniętym w sobie samotnikiem, a Venucci był jedynym człowiekiem, który potrafił przejrzeć tę osłonę. Dlatego tak dobrze pracowało im się razem...

Venucci wyszedł z chaszczy i przystanął, aby spojrzeć na kontury okazałej dwupiętrowej willi, dumnie wznoszącej się na łagodnych zboczach zielonego pagórka nad drogą. Posiadłość należała do bogatej hrabiny, szczodrej zwolenniczki Włoskiej Partii Socjalistycznej, i została zarekwirowana przez gestapo na początku niemieckiej okupacji wyspy. Obecnie była wykorzystywana wyłącznie jako kwatera dla przyjezdnych wyższych oficerów gestapo. Jednym z nich był *Sturmbannführer* Otto Schenk, który przyleciał z Berlina poprzedniego wieczora i spędzał tutaj noc.

Venucci otworzył bramę i przyłożywszy dłonie do ust, zahukał jak sowa. Kilka chwil później pięć czarnych postaci wyłoniło się z krzaków po drugiej stronie drogi i przemknęło za ogrodzenie. Tak jak Venucci i Conte, byli partyzantami z Palermo. Ubrani na czarno, mieli twarze wysmarowane farbą maskującą. Cała piątka zniknęła cicho w krzakach, zmierzając do kwater ochrony — budynek w kształcie litery „L”, znajdującego się na tyłach — gdzie stacjonowali czterej pozostali wartownicy i służba. Wprawdzie cały personel został dokładnie dobrany i sprawdzony przez gestapo, ale ruch oporu i tak zdołał umieścić w domu swojego człowieka. Wielu partyzantów sądziło, że osiemnastoletnia Gina Roetta jest za młoda, aby podjąć tak odpowiedzialne zadanie, jednak jej szczegółowe raporty o przyjeżdżających i wyjeżdżających

gestapowcach okazały się wprost bezcenne.

Teraz Venucci i Conte musieli czekać, aż da im sygnał, że pięcioosobowy oddziałek wtargnął do kwatery i unieszkodliwił śpiących Niemców. Na odprawie przed kilkoma dniami uzgodniono, że jeńcy zostaną zabrani na przesłuchanie, kiedy Venucci i Conte wykonają swoją część zadania. Zakładając, że wszystko pójdzie zgodnie z planem. Wiedzieli, że muszą zaskoczyć Schenka, żeby wziąć go żywcem, tymczasem wystarczyło, aby jeden wartownik podniósł alarm, a cała operacja stałaby pod znakiem zapytania. Venucci spojrzął na Contego, który w zadumie spoglądał na dom. Jego twarz była pozbawiona wyrazu. To nie zdziwiło Venucciego. Wiedział jednak, że — za tą nieruchomą maską — Conte jest równie niespokojny jak on.

— Patrz! — syknął Conte, mocno chwytając go za ramię. Venucci powiódł wzrokiem za jego wyciągniętym palcem i ujrzał drobną postać, która wyłaniała się zza rogu posesji. To była Gina Roetta. Niecierpliwie czekali na uzgodniony sygnał. Nic. Przez jedną okropną chwilę podejrzewali, że w pomieszczeniach ochrony coś poszło nie tak, chociaż nie słyszeli odgłosu strażaków. Potem dziewczyna spokojnie wyjęła zza fartucha białą ściereczkę, otrzepała ją z kurzu, przerzuciła przez ramię i znów zniknęła za rogiem. Zupełnie niewinny gest dla postronnego obserwatora. Ale to był sygnał, na który czekali. Teraz mogli spokojnie podejść do domu.

Venucci poszedł za Contem ścieżką wzdłuż kwiatowych klombów do kamiennych schodów, które wiodły na przestronny, wysypany żwirem dziedziniec przed posesją. Na podwórzu stał czarny gestapowski samochód — trzylitrowy adler dyplomata. Dwa proporczyki ze swastykami zwisały po obu stronach maski. Włosi spojrzeli po sobie z niesmakiem, mijając samochód. Gdy dochodzili do narożnika budynku, Venucci podniósł rękę. Przywarł do ściany i ostrożnie wyjrzał zza węgła. Widział stąd budynek ochrony. W oknach wisiały zasłony. Żadna się nie poruszyła. Skinął na Contego, prześlizgnął się za róg, pchnął drewnianą furtkę i przeszedł przez podwórze do otwartych drzwi z boku domu.

Gina Roetta siedziała sama w kuchni, paląc papierosa. Gwałtownie podniosła głowę, kiedy Venucci stanął w drzwiach i uśmiechnął się do niej. Odpowiedziała mu przelotnym uśmiechem, a potem wstała i wyszła do niego, na podwórze.

— Gdzie Schenk? — zapytał Venucci.

— Na górze, w swojej sypialni. — Zauważyła stojącego za Venuccim Contego i kiwnęła mu głową na powitanie. — Właśnie zaniósłam mu śniadanie. Był już ubrany w mundur, więc pewnie niedługo wyjeżdża. Jego kierowca też tam jest. Ten drań kręci się tam już od pół godziny, czekając, aż jego pan go wezwie.

— Jakies kłopoty? — zapytał Venucci, wskazując na kwatery wartowników.

— Żadnych. Wczoraj wyspałam strażnikom do jedzenia dobrze sproszkowane tabletki na sen. Dziś rano nie byli w formie do walki. Ich budynek zajęto bez trudu.

— A więc wszystko przebiega zgodnie z planem — rzekł Conte.

Giną obejrzała się. Z holu dobiegało niemelodyjne gwizdanie. Zerknęła przez uchylone drzwi kuchni i cicho zaklęła na widok postaci stojącej w foyer.

— To Kraewel. Szofer Schenka.

— Dobrze. Załatwimy go teraz. Możesz wywabić go na podwórze?

— Możesz na mnie liczyć.

— Hej, chodź tutaj! — zawołała z kuchni do Kraewela, celowo zaniepokojonym głosem.

Kierowca przybiegł do kuchni.

— Co się stało? — zapytał.

— Tam ktoś jest — powiedziała, udając zdenerwowanie. — Stałam przy zlewku, a tu jakiś ruch za oknem. Widziałam wyraźnie. To był mężczyzna ubrany na czarno. Kiedy mnie zobaczył, uciekł w krzaki na zapleczu stróżówki. — Chwyciła Kraewela za ramię. — Boję się. On miał

broń.

— Zaczekaj tu — Kraewel wyjął pistolet z kabury przy pasie, wyrwał się dziewczynie i wyszedł na dziedziniec. Wyczuł czyjaś obecność za plecami, lecz zanim zdążył zareagować, Venucci mocno rąbnął go w tył głowy kolbą pistoletu maszynowego. Kraewel stracił przytomność i osunął się na ziemię.

Gina wyszła i popatrzyła pogardliwie na nieprzytomnego, a potem gwałtownie kopnęła go w zębra. Venucci odciągnął ją, bo chciała wymierzyć Niemcowi drugiego kopniaka. Zmierzyła go chłodnym spojrzeniem.

— Ten drań już od rana nie potrafił utrzymać rąk przy sobie.

Venucci przytrzymał ją, bo próbowała się wyrwać. Pochwycił spojrzenie Contego i ruchem głowy wskazał na Kraewela.

— Zanieś go do stróżówki. Spotkamy się przed frontowymi drzwiami.

Conte zarzucił sobie nieprzytomnego na ramię i ruszył we wskazanym kierunku. Dopiero wtedy Venucci puścił ramię Giny. Zniknęła z powrotem w kuchni.

Venucci wrócił na dziedziniec i zapalił papierosa. Znał plany domu i wiedział, że okna wszystkich sypialni na drugim piętrze wychodzą na pofałdowaną dolinkę na tyłach domu. A nawet gdyby ktoś go zauważył z góry, krył go niemiecki mundur. Powoli obejrzał fasadę budynku i z zadowoleniem uśmiechnął się do siebie. Sieć wokół *Sturmbannführera* Ottona Schenka zaciskała się...

Otto Schenk spojrział na swoje odbicie w wiszącym lustrze. Wiedział, że jest przystojny. Nie musiały mu o tym mówić te wszystkie piękne kobiety, które regularnie podrywał w luksusowych nocnych klubach Berlina. Nie dbał, co o nim myślą — miały tylko zaspokoić jego seksualne upodobania. Zdawał sobie sprawę, że niektórzy nazwaliby te upodobania sadystycznymi i perwersyjnymi, jednak żadna z tych kobiet nigdy nie poskarżyła się, że została wychłostana w jego luksusowym berlińskim mieszkaniu. Oczywiście, wiedziały, że lepiej nie oskarżać publicznie wyższego oficera gestapo. Reperkusje byłyby natychmiastowe i groźne. Podobnie jak jego koledzy, Schenk pławił się we władzy, jaką zapewniała mu zaszczytna służba pod inspirującym przywództwem *Reichsführera* Himmlera. On jednak, jako jeden z nielicznych, został wybrany osobiście przez *Reichsführera*, aby utrzymywać w stanie najwyższej gotowości placówki gestapo na terenach okupowanych. Miał wręcz nieograniczone możliwości. Ile razy widział strach w oczach nawet najpotężniejszego *Gauleitera*, kiedy niespodziewanie przybywał, żeby przeprowadzić wewnętrzną kontrolę? Może przewyższali go rangą, ale on miał dostęp do *Reichsführera* i w ciągu ośmiu miesięcy, które upłynęły od kiedy Schenk objął to stanowisko, *Reichsführer* nigdy nie zakwestionował żadnego z jego odkryć...

Podszedł do nocnego stolika i nalał sobie kawy z masywnego srebrnego dzbanka, stojącego na tacy, którą przyniosła Gina parę minut wcześniej. Dziewczyna była bezsprzecznie śliczna. Może kiedy wróci z objazdu wyspy, zabawi się, chłószcząc ją tak samo, jak te pseudoarystokratyczne dziwki w Berlinie. Miał ze sobą potrzebne akcesoria. Nigdy nie podróżował bez nich. Ignorując gorący posiłek, zjadł jednego tosta z masłem i popił go czarną kawą, po czym poszedł do przyległej łazienki umyć ręce. Włożył czarne skórzane rękawiczki, podniósł walizkę stojącą obok łóżka i opuścił pokój. Zszedł po spiralnych schodach do holu i z irytacją rozejrzał się wokół, szukając szofera.

— Kraewel! — wrzasnął. Żadnej odpowiedzi. Zaklął wściekle, po czym żwawo pomaszzerował do kuchni, gdzie Giną zerwała się na równe nogi, chowając za plecami papierosa.
— Widziałas Kraewela?

— Kraewela, panie? — powtórzyła, marszcząc czoło w udanym namyśle. Od chwili podjęcia

pracy w tej posiadłości odgrywała naiwną wiejską dziewczynę.

— Mojego kierowcę, sierżanta Kraewela! — zagrzymiał Schenk. — Widziałas go?

— Tak, panie — wyjąkała, kiwając głową. — Był tu kilka minut temu... Pewnie... pewnie czeka na pana w samochodzie.

— Kazałem mu czekać w holu. A zresztą, po co ci to mówię? Przekłeta wieśniaczka.

Schenk wyszedł bocznymi drzwiami i pomaszerował przez podwórze do drewnianej furtki wiodącej na podjazd. Zastygł z dłonią na klamce, patrząc na żelazną bramę po drugiej stronie rozległego trawnika. Powiedziano mu, że brama będzie pilnowana przez całą dobę. A więc, gdzie jest wartownik? Z rosnącym niepokojem wyjął walthera z kabury i pchnął drewnianą furtkę. Postawił skórzaną walizkę pod ścianą i przyciskając się do muru, skoczył za narożnik, z pistoletem w wyciągniętej ręce. Jego niepokój natychmiast zmienił się we wściekłość, gdy ujrzał wartownika. Siedział na kamiennych schodach obok limuzyny i palił papierosa.

— Co tu robisz? — wrzasnął wściekle, dopadając Venucciego. — Postaram się, żebyś stanął przed sądem polowym za zaniechanie obowiązków. Wracaj na posterunek!

Venucci starannie zgasił niedopałek na plincie najbliższego, pięknie wyrzeźbionego kamiennego lwa, stojącego u stóp schodów. Wstał i zaczekał, aż Schenk podejdzie bliżej, po czym nagłym ruchem wbił mu w brzuch kolbę pistoletu maszynowego. Schenk jęknął z bólu i wypuścił broń z ręki, zataczając się w tył. Musiał złapać się maski samochodu, żeby nie stracić równowagi i nie upaść. Venucci chwycił jego pistolet i wsunął go sobie za pas. Conte wyłonił się ze swojej kryjówki za schodami i podszedł do Schenka, który przyklęknął, przyciskając dłonie do brzucha i usiłując zaczerpnąć powietrza.

— Wstawaj, draniu! — warknął Venucci po niemiecku. Złapał Schenka za kołnierz i poderwał go z ziemi. Brutalnie pchnął Niemca na samochód i przyciskając mu lufę pistoletu maszynowego do potylicy, szybko go zrewidował, szukając ukrytej broni. Nie znalazł nic.

— Coście za jedni? — syknął Schenk przez zaciśnięte zęby, poznawszy już po akcencie Venucciego, że nie są Niemcami.

— Partyzanci — odparł Venucci i uśmiechnął się triumfalnie, widząc grymas strachu na twarzy Schenka. Ponownie uderzył go kolbą w żołądek i byłby to zrobił jeszcze raz, gdyby nie odciągnął go Conte.

— Wystarczy — warknął Conte. — Chcesz go bić, nie mam nic przeciwko temu. Tylko później. Teraz musimy się stąd wydostać. No już, zabierajmy go do samochodu.

Venucci wyciągnął rękę, żeby postawić Schenka na nogi. Niemiec nagle zamachnął się i uderzył go pięścią w szczękę. Venucci zatoczył się i stracił równowagę. Upadł ciężko na ziemię, a walter wysunął mu się zza pasa i wylądował w zasięgu ręki Schenka. Schenk złapał pistolet, błyskawicznie uskoczył za najbliższy kamienny posąg, bo Conte właśnie zaczął strzelać. Seria kul trafiła w bok posągu, Schenk gwałtownie schował głowę i tylko kamienny odprysk rozciął mu policzek. Otarł strużkę krwi i wymierzył w Contego, który wychylał się zza limuzyny, podnosząc broń do strzału. Schenk oddał dwa strzały, jeden po drugim; obie kule trafiły w pierś Contego, który bez jęku upadł na ziemię. Schenk powoli wyprostował się i wymierzył w leżącego na żwirze podjazdu i usiłującego oprzytomnieć Venucciego. Niemiec uśmiechnął się drwiąco, widząc desperację na twarzy Włocha. Venucci gorączkowo rozglądał się za swoim pistoletem maszynowym, nigdzie nie mogąc go dostrzec. Schenk patrzył. Zabawił się z nim osobiście, przesłuchując go w głównej kwaterze gestapo w Palermo. Potem, kiedy już otrzymał odpowiedzi na wszystkie pytania, zabije go. Bardzo powoli. Bardzo boleśnie.

W ostatniej chwili kątem oka dostrzegł jakiś ruch, lecz zanim zdążył zareagować, seria kul nierównym ściegiem przeszła mu pierś. Impet rzucił go plecami o posąg, a chociaż nagle stracił czucie w palcach, usłyszał szczęk własnej broni padającej na kamienne stopnie. Powoli obrócił

głowę i spojrzal na swego zabójcę. Gina Roetta odpowiedziała mu wzgardliwym spojrzeniem. W rękach trzymała pistolet maszynowy Contego. Schenk przez chwilę patrzył na nią z niedowierzaniem w zachodzących mgłą oczach, a potem jego zakrwawione wargi wykrzywił ironiczny półuśmiezek. Przez całe dorosłe życie gardził kobietami, wykorzystując je jedynie do zaspokajania swoich zachcianek. Tymczasem los rozdał mu ostatnie karty, pozostawiając z szyderczo uśmiechniętym dzokerem w ręku. Osunął się po zbryzganym krwią posągu.

Venucci dźwignął się z ziemi, pospiesznie podniósł walthera i przycisnął go do karku Niemca, drugą ręką szukając tętnicy szyjnej. Popatrzył na Ginę i pokręcił głową. Wypuściwszy pistolet, dziewczyna zaczęła szlochać. Patrzyła z przerażeniem na ciało Schenka, nie mogąc oswoić się z tym, co właśnie zrobiła.

Venucci podbiegł do Contego. Wykonując próżny gest sprawdzania pulsu wiedział, że jego towarzysz nie żyje. Delikatnie zamknął mu niewidzące oczy, a potem obejrzał się na dwóch partyzantów, którzy wybiegali ze stróżówki na dziedziniec, ściągnięci odgłosem strzałów. Widząc, że niebezpieczeństwo minęło, opuścili broń i podeszli do Venucciego.

Wyjaśnił im, co się stało. Jeden z mężczyzn podszedł do zapłakanej Giny, pocieszająco objął ją ramieniem i odprowadził na bok.

— Co z nim zrobimy? — zapytał drugi, Luigi. Tracił trupa czubkiem buta.

— Nie możemy go tu zostawić — odparł Venucci.

— Za dwadzieścia minut ma przyjechać furgonetka po jeńców — rzekł Luigi. — Możemy załadować na nią ciało i pozbyć się go później.

— Nie, nie można pozwolić, aby niemieccy żołnierze wiedzieli, że Schenk nie żyje — odrzekł Venucci. — Gdyby któryś z nich uciekł...

— Nie ma mowy — obraził się Luigi.

— ...zawaliłby całą operację — dokończył Venucci. — Nie możemy ryzykować. Nie, załaduję ciało do limuzyny i pozbędę się go później. No już, pomóż mi wepchnąć go do bagażnika.

Venucci obszukał Contego i znalazł kluczyki, które ten wcześniej wyjął z kieszeni munduru Kraewela. Otworzył bagażnik. Luigi pomógł mu przenieść ciało Schenka. Bezceremonialnie rzucili je do środka.

— Zabiorę Ginę — rzekł Venucci.

— Ona nie jest teraz w stanie jechać z tobą — zaprotestował Luigi. — Ja pojadę. Sytuacja w stróżówce jest pod kontrolą. Nic tu po mnie, a wkrótce przyjedzie furgonetka.

— Jeżeli będziemy się nad nią rozczulać, nigdy nie dojdzie do siebie — powiedział Venucci.

— Zabiorę ją ze sobą. Musi sama się z tym uporać, Luigi. Uwierz mi, to jedyny sposób.

— To jej pierwsze zabójstwo, Lino. Jest duża różnica między strzelaniem do słomianych manekinów na strzelnicy a zastrzeleniem człowieka. Trzeba z nią porozmawiać.

— Ona musi stawić czoło swoim lękom, Luigi — odrzekł Venucci. — I musi zrobić to sama.

— Jest o wiele za młoda na to wszystko — syknął z dezaprobatą Luigi. — To jeszcze dziecko.

— To nie ma nic wspólnego z wiekiem. Widziałem, jak dziewczęta młodsze od niej zabijały Niemców bez chwili wahania. Wszystko zależy od tego, co jest tu — Venucci uderzył się zaciśniętą pięścią w pierś. — A ona ma serce do naszej sprawy. Już to udowodniła.

— Nie, Lino, zostaw ją w spokoju.

— Chcę jechać z tobą — odezwała się cicho Gina za ich plecami.

Luigi obrócił się do niej. — Nie jesteś w stanie...

— Ale chcę — przerwała mu stanowczo. Teraz jej oczy były suche, zimne i obojętne.

Venucci otworzył przed nią drzwi samochodu, obszedł wóz i rzucił pistolet maszynowy na tylne siedzenie. Zanim usiadł za kierownicą, spojrzal nad dachem samochodu na Luigiego.

— Możesz uważać się za szczęściarza, że tu zostajesz. Ja będę musiał tłumaczyć się z tego trupa Brytyjczykom, którzy przybędą do Palermo.

— Chcieli go żywego, tak?

— Mieli go zabrać do Londynu, na przesłuchanie.

— Nie było innego wyjścia — rzekł Luigi. — Przecież wiesz.

— Spróbuj wytłumaczyć to im — rzekł Venucci, wsiadł do limuzyny, uruchomił silnik i odjechał.

Siedząc w milczeniu przy kuchennym stole w domu w Kasrze, arabskiej dzielnicy miasta, McIndoe słuchał relacji z porannych wydarzeń, których kulminacyjnym momentem była śmierć Ottona Schenka. Tylko raz zerknął na Ginę Roettę, która stała obok drzwi, kiedy Venucci tłumaczył, w jaki sposób zginął Schenk.

Spuściła oczy, nie mogąc wytrzymać jego spojrzenia. Venucci skończył mówić i przygotował się do wysłuchania zarzutów, niespokojnie zerkając na cztery postacie siedzące razem z nim przy stole. Przez chwilę nikt się nie odzywał, potem Giancarlo Massimo wstał, uspokajająco położył dłoń na ramieniu Venucciego i podszedł do Giny. Powiedział jej coś po cichu, a ona wyszła z pokoju, zamykając za sobą drzwi. McIndoe popatrzył najpierw na Stellę, a potem na Ravalla. Żadne nie odpowiedziało mu spojrzeniem; wbijali wzrok w stojące przed nimi kubki po kawie. Potem McIndoe spojrział na Venucciego, ale w jego spojrzeniu nie było gniewu czy niechęci, tylko zrezygnowana akceptacja. Stało się.

— Przykro mi, *signore* — mruknął przepaszająco Venucci.

— Mnie też — odparł Szkot.

— Próbowaliśmy złapać go żywcem, ale okoliczności... — Venucci zamilkł, wiedząc jak puste wydadzą się jego wymówki. Lepiej siedzieć cicho.

— Co zrobiliście z ciałem Schenka? — spytał Ravallo.

— Zakopaliśmy je w lasku na przedmieściach miasta, *signore*.

— Zakładam, że usunęliście wszystkie znaki identyfikacyjne?

— *Si, signore* — pospiesznie zapewnił go Venucci. — Przedsięwzięliśmy też dodatkowe środki ostrożności. Zdjęliśmy z niego mundur.

— Dobry pomysł — pochwalił Ravallo. — Czy macie jeszcze ten uniform?

— Został spalony, *signore* — odparł Venucci. — Przekazałem Massimowi wszystkie rzeczy osobiste znalezione przy zabitym.

— Włącznie z walizką? — spytał Ravallo.

— Ja ją mam — rzekł Massimo od drzwi.

— Chciałbym ją zobaczyć. — Ravallo wstał z krzesła. — Powinno być w niej pismo podpisane przez samego Himmlera, dające Schenkowi prawo wstępu do dowolnego miejsca na wyspie.

— Przyniosę ją — powiedział Massimo. Przystanął w drzwiach. — Czy macie jeszcze jakieś pytania do Venucciego?

— Na razie nie — odparł Ravallo, a Stella i McIndoe potrząsnęli głowami. Massimo skinął na Venucciego, który z ulgą wyszedł w ślad za nim z pokoju.

— Ta dziewczyna nie ma więcej jak siedemnaście lub osiemnaście lat — powiedział Ravallo, kręcąc głową. — Nie powinna stawiać czoła takim sytuacjom. Jest za młoda.

— To przykra prawda, ale wojna znosi wszystkie bariery wieku, Nicky — odrzekła Stella. — Ona ma takie samo prawo walczyć o swój kraj, jak każdy mieszkaniec tej wyspy.

— Zgadzam się, usiłuję tylko powiedzieć, że w tak młodym wieku nie powinna nosić na swych barkach aż takiego brzemienia. Powinno się ją wciągać stopniowo, a nie rzucać na głęboką

wodę. Widziałem, co gestapo robi z dziewczętami, które zostają przyłapane na współpracy z podziemiem. A większość z nich wpada przez swój brak doświadczenia.

— Założę się, że ona ma większe doświadczenie w terenie niż ty, Nicky. — McIndoe podniósł rękę, zanim Amerykanin otworzył usta. — Zgadzam się, daleko temu do ideału. Jednak często nie ma czasu, żeby je właściwie wyszkolić. Jeśli umieją wycelować broń i pociągnąć za spust, są gotowe do walki z Niemcami. I pamiętaj, Nicky, że nikt nie został przemocą wciągnięty do partyzantki. Wszyscy zgłosili się sami. Dobrowolnie.

Ravallo już miał coś powiedzieć, gdy zobaczył stojącego w drzwiach Massima z podniszczoną walizką w rękach. Nie miał pojęcia, jak długo Włoch przysłuchiwał się tej rozmowie. Massimo przeszedł przez pokój i położył walizkę na stole. Wyjął z kieszeni kopertę i podał ją Ravallovi.

— To znaleźli w jego kieszeniach. Nie wiem, czy na coś się wam przyda.

— Zaraz się okaże. — Ravallo wysypał zawartość koperty na blat.

Massimo podszedł do drzwi, tam przystanął i obejrzał się na Amerykanina.

— Zgadzam się z tobą, Nicky. Gina nie powinna nosić tak wielkiego brzemienia odpowiedzialności na swych barkach. Jednak, niestety, nie wszyscy byli gotowi powstać i walczyć, kiedy Niemcy zaczęli okupację wyspy. Mamy za mało ludzi. Giną może nie ma doświadczenia, ale aż za dobrze nadrabia je odwagą. Byłbym bardzo dumny, gdyby była moją córką. Może kiedyś zrozumiesz, co czuję.

Ravallo patrzył na drzwi, za którymi zniknął Massimo.

— Może zrozumie — rozmyślał głośno. Sięgnął po walizkę, ale okazało się, że jest zamknięta. Przeszukawszy zawartość koperty, znalazł trzy klucze; jednym z nich otworzył walizkę.

— Pozostawię to tobie, Nicky — rzekł McIndoe, wstając z krzesła. — Pójdę i zobaczę, co z innymi.

— Kiedy ich ostatnio widziałam, grali w karty w saloniku — powiedziała Stella.

— To do nich pasuje — rzekł McIndoe z krzywym uśmiechem. — Zobaczymy się później.

— Na razie, Mac — odparł z roztargnieniem Ravallo, szperając w walizce w poszukiwaniu listu.

McIndoe zszedł do holu i stanął w drzwiach do saloniku. Evans, Hillyard i Johnson siedzieli wokół małego stolika, grając w pokera. Już miał wejść do środka, lecz nagle postanowił im nie przeszkadzać. Wiedział, że po porannej odprawie nie cieszy się u nich popularnością. Musiał przecieżyć unikać odpowiedzi na bardziej szczegółowe pytania, a naciskany, żeby wyjaśnił wszystko dokładniej, znów się podparł autorytetem wiceadmirała i zasadą „wiedzieć tylko tyle, ile trzeba”. Nie przyjęli tego za dobrze, sądząc po uczuciach malujących się po odprawie na ich twarzach. Złość. Frustracja. Uraza. Najwięcej urazy. Jaki jednak miał wybór, skoro nie mógł wyjawić im całej prawdy?

Wyszedł na ganek. Partyzancki wartownik siedział na schodkach, trzymając na kolanach karabin. Skinął głową McIndoe na powitanie i po raz ostatni zaciągnął się papierosem, zanim starannie go zgasił i włożył z powrotem do paczki wyjętej z kieszeni na piersiach. Wstał, przewiesił karabin przez ramię, przeszedł przez niewielką polankę przed domem i zniknął wśród drzew zasłaniających dom od strony drogi.

McIndoe usiadł w jednym z dwóch wiklinowych foteli i położył nogi na niskiej drewnianej balustradzie. Już miał sięgnąć do kieszeni po papierosy, ale przypomniał sobie, że zostawił je w plecaku. Przez chwilę się zastanawiał, czyby ich nie przynieść, lecz dał spokój. I tak za dużo palił. Splótł dłonie za głową, zamknął oczy i pozwolił myślom wrócić do wydarzeń minionych kilku godzin.

Po odprawie opuścili dom Andonich ubrani w niemieckie mundury, które przygotowano przed

ich przybyciem na wyspę. Oprócz Ravalla, McIndoe był jedynym oficerem w oddziale: kapitanem Wehrmachtu. Stella dostała nieco za duży mundur; gdy usunęła wszystkie ślady makijażu i ukryła spięte w kok włosy pod czapką, mogła ująć za młodego niemieckiego żołnierza. I — wciśnięta między Evansa a Hillyarda na tylnym siedzeniu transportera Opel Blitz — doskonale dopasowała się do tej roli. Johnson, uważany za jednego z najlepiej mówiących po niemiecku ludzi w firmie, został kierowcą oficerskiej limuzyny. Oba pojazdy przechwycono kilka tygodni wcześniej, podczas zasadzki zastawionej przez członków ruchu oporu na południu kraju. Numery zmieniono tak, aby przypominały te, jakie nosiły podobne samochody i transportery jeżdżące na miejscu. Niczego nie pozostawiono przypadkowi.

Przy pechu, jaki prześladował ich od opuszczenia Malty, McIndoe spodziewał się kłopotów na drodze. To, że ich nie mieli, zawdzięczali wyłącznie Nicky'emu Ravallo. McIndoe zrozumiał teraz, dlaczego Ravallo został wybrany do tej operacji. Odgrywany przez niego zimny Otto Schenk był fascynujący i prawie przerażający. Wydawało się, że jechał razem z nim samochodem oficer gestapo, którego dane znał z akt MI. Podobnie jak Schenk, który, jak wynikało z tych akt, rzadko zniżał się do rozmów z innymi oficerami, Ravallo nie bawił ich rozmową. Kiedy kilkakrotnie był zmuszony przerwać to milczenie, zwykle przy kolejnej blokadzie na drodze, wystarczyło, żeby wymówił swoje nazwisko, aby żołnierze Wehrmachtu nerwowymi machnięciami rąk dawali znaki przejazdu. McIndoe wątpił, czy sam Schenk potrafiłby zrobić groźniejszą minę niż Ravallo.

Do tej kryjówki dotarli późnym popołudniem. Samochody zabrano gdzieś, żeby je oblać benzyną i spalić. Kolejne dwa spalone wraki nie powinny wzbudzić podejrzeń w mieście, na którego ulicach było ich sporo. Aby dodać wiarygodności przebraniu, Ravallo musiał tego wieczora do hotelu jechać służbowym adlerem dyplomat — limuzyną Schenka. Była teraz ukryta w zamkniętym garażu, gdzieś w mieście. McIndoe nie wiedział gdzie. Nawet Massimo nie znał miejsca ukrycia wozu. Miał zostać podstawiony, kiedy nadejdzie wiadomość, że spotkanie w hotelu dobiegło końca.

Dowiedzieli się już od Venucciego, że hotel był pilnowany przez całą dobę przez doborowy oddział spadochroniarzy, specjalnie ściągniętych w tym celu z frontu wschodniego. McIndoe zdawał sobie sprawę z tego, że to całkiem inny przeciwnik niż podenerwowani młodzi żołnierze, z którymi stykali się na drodze. Ci spadochroniarze byli klasą sami dla siebie. Zahartowani w bojach weterani. Nie obawiają się nikogo, nawet gestapo, i z pewnością zakwestionują uprawnienia Ravalla, kiedy pojawi się w hotelu. Będzie musiał doskonale odegrać swoją rolę, żeby ich przechytrzyć.

McIndoe otworzył oczy, gdy ta ostatnia myśl przemknęła mu przez głowę. Powinna go zaniepokoić. Jednak jakoś nie obawiał się. Nie po doświadczeniach tego popołudnia. Jeśli był ktoś, komu się mogło powieść to zadanie, to tym kimś był Nicky Ravallo.

— No, jeśli nikt nie ma nic do dodania, sądzę, że na tym możemy zakończyć nasze obrady — powiedział marszałek połowy Kesselring, omiatając wzrokiem twarze siedzących wokół stołu mężczyzn. Byli tu sami wyżsi oficerowie: jego szef sztabu, marszałek Deichmann; jego oficer łącznikowy na Sycylii, generał von Senger und Etterlin; dowódca Floty Śródziemnomorskiej, wiceadmirał Weichold, oraz siedzący po jego prawej ręce generał Kurt Student — wszyscy ze swoimi adiutantami. Nikt nie zgłosił żadnych uwag i Kesselring z wyraźną satysfakcją klasnął w dłonie. — Dobrze. To było niezwykle owocne spotkanie i jestem przekonany, że *Führer* podzieli moje zdanie, kiedy w przyszłym tygodniu zreferuję mu plan „Operacji Herkules”. A ponieważ przewiduję, że dostaniemy zezwolenie na tę operację, sądzę, że Malta padnie w ciągu kilku tygodni. Nie muszę panom mówić, jakie znaczenie strategiczne będzie miało panowanie nad

całym śródziemnomorskim teatrem działań. Naprawdę nie muszę, skoro właśnie o tym rozmawialiśmy przez ostatnie osiem godzin.

Rozległy się śmiechy. Kesselring zamknął leżącą przed nim teczkę i wygodnie wyciągnął się w fotelu.

— Niektórzy z was wprawdzie zamierzają wrócić dziś wieczorem do Rzymu, ale mam nadzieję, że przed odlotem zdążycie zjeść ze mną kolację w restauracji.

Żaden z obecnych w pokoju nie ośmieliłby się odrzucić zaproszenia Kesselringa, nawet gdyby miało to oznaczać opóźnienie wcześniej zaplanowanych lotów. Kesselring wiedział o tym aż za dobrze.

— Doskonale — rzekł z szerokim uśmiechem. — Oczekuję panów z niecierpliwością. Spotkamy się w barze, najpierw na aperitif, powiedzmy o siódmej, dobrze?

Rozległ się ogólny szmer aprobaty.

— Dziękuję, panowie. A więc do siódmej.

Kiedy zebrani zaczęli się rozchodzić, Kesselring lekko dotknął ramienia Studenta.

— Poproś tu Riedlera.

Podniósł głowę, gdy Student wrócił z Riedlerem. Odpowiedział na salut majora.

— Od czasu gdy przybyłem na Sycylię, nie miałem okazji, żeby z panem porozmawiać. Chciałem powiedzieć, że jestem pod wrażeniem, widząc środki bezpieczeństwa, jakie podjął pan dla ochrony tego hotelu. Wykonał pan wspaniałą robotę, choć było mało czasu. Zapewniam pana, że nie zapomnę o tym po powrocie do Rzymu. Jest pan o wiele za dobrym żołnierzem, żeby służyć jako zwiadowca dla jakiegoś batalionu piechoty na froncie wschodnim. Wiem, że marszałek Rommel nieustannie poszukuje doświadczonych żołnierzy do swoich sił specjalnych w Afryce Północnej. Czy to pana interesuje, Riedler?

— Tylko wtedy, jeśli razem ze mną zostaną przeniesieni moi żołnierze, panie marszałku.

— W wojsku są pewne granice tego rodzaju lojalności, Riedler — powiedział Kesselring. — Dobry oficer wie, kiedy czas podjąć nowe wyzwanie.

— Tak jest, panie marszałku — odparł z szacunkiem Riedler.

Kesselring wyczuł brak przekonania w jego głosie, lecz zdecydował nie drażnić dalej tej kwestii. Zamiast tego wskazał kobietę w średnim wieku, siedzącą w kącie pokoju.

— To jest sierżant Schmidt, moja stenografka. Sprowadziłem ją z mojej kwatery głównej w Rzymie, żeby notowała przebieg dzisiejszego spotkania. Kiedy stąd wyjdziemy, zaczniesz przepisywać notatki na maszynie. Chcę, żeby pan na ten czas postawił dwóch swoich najlepszych ludzi przed drzwiami tego pokoju. Nikogo nie wpuszczać bez mojego zezwolenia. Nikogo — nawet moich wyższych oficerów czy ich adiutantów. W razie jakichś problemów ma pan niezwłocznie skontaktować się ze mną. Zrozumiano, Riedler?

— Tak jest, panie marszałku. — Riedler spojrział na kobietę. — Jak długo, według pańskich przewidywań, potrwa jej pobyt tutaj?

— Najwyżej kilka godzin — odparł Kesselring. — Ma przepisać na maszynie raport, który w przyszłym tygodniu przedstawię *Führerowi* w Berlinie. To, żeby wcześniej nie widział go nikt niepowołany, jest sprawą najwyższej wagi.

— Oczywiście, panie marszałku. Czy to ona ma go panu przynieść po przepisaniu?

— Nie — odparł Kesselring. — Mamy tu w hotelu oficera łącznikowego. Nazywa się Pizzoni. Odbierze od niej przepisany raport i przyniesie go prosto do mnie. Poza tym zniszczy jej notatki, jak również notatki sporządzone przeze mnie i moich oficerów podczas tego spotkania. To jednak pana nie dotyczy. Pańską jedyną troską jest bezpieczeństwo tego pokoju. Niech pan się tym zajmie, Riedler.

Riedler zaszalutował i wyszedł z pokoju.

— To dobry żołnierz, panie marszałku — powiedział Student, patrząc w ślad za odchodzącym majorem.

— Może trochę sentymentalny w kwestii lojalności wobec swoich żołnierzy, ale ogólnie rzecz biorąc, chyba pan dokonał właściwego wyboru, wyznaczając go do tego zadania — rzekł Kesselring wstając z fotela. — Chcę, żeby pan tu został, aż wartownicy zabezpieczą pokój. Zobaczymy się o siódmej, w barze.

— Tak jest, panie marszałku.

Kesselring podszedł do drzwi, przesunął dłonią po rzadziejących włosach, w zadumie kiwając głową.

— Zważywszy na wszystko, to był naprawdę niezwykle owocny dzień.

— Już osiągnęliśmy połowę sukcesu, panie marszałku — odrzekł Student. — Teraz tylko musi pan przekonać *Führera*, że „Operacja Herkules” zakończy się powodzeniem.

— Myślę, że może pan na mnie liczyć, Kurt — rzekł Kesselring ze znaczącym uśmiechem, zanim wyszedł do foyer.

Porucznik Bruno Pizzoni był szantażowany. I wiedział, że nic nie może na to poradzić, jeśli chce jeszcze zobaczyć swoją żonę i czteroletnią córeczkę żywe...

W ostatnich dniach, na pozór zupełnie bez powodu partyzanci porwali rodziny dwóch włoskich oficerów służących na Sycylii. Zażądali, żeby oficerowie pomogli im uszkodzić dwie instalacje kolejowe w zamian za uwolnienie ich rodzin. Obaj oficerowie służbiście powiadomili o tym swoich przełożonych i otrzymali rozkaz udania się na zaaranżowane spotkania. Partyzanci jednak mieli miejsca spotkania pod nieustanną obserwacją i dostrzegli gestapowców w cywilnych ubraniach, którzy próbowali wcześniej obstawić teren. Do spotkań nie doszło i w obu wypadkach nich oporu dokonał egzekucji zakładników. Gestapo w odwecie aresztowało kilkunastu sympatyków ruchu oporu i rozstrzelało ich publicznie.

Pizzoni wprawdzie słyszał o tych zdarzeniach, ale nie przejmował się nimi do poprzedniego wieczora, kiedy to po powrocie z pracy zastał w domu dwóch partyzantów. Żony i córki nie było. Dopiero kiedy mu wytłumaczono, w czym rzecz, te dwa poprzednie porwania nabrały sensu. Ruch oporu starannie wybrał tamtych oficerów, wiedząc, że jako zdeklarowani faszyci nigdy się nie zgodzą na postawione warunki. Ale chodziło o coś innego. Dwa poprzednie porwania miały przekonać Pizzoniego, że jego rodzina zginie, jeśli szepnie choć słowo Niemcom. Ponadto dowodziły, jak mało zainteresowani byli Niemcy odnalezieniem tamtych rodzin. I to było celne uderzenie. Pizzoni musiał wybierać, wobec kogo ma być lojalny — wobec Niemców czy swojej rodziny? W tych okolicznościach wybór nie był zbyt trudny...

Wykręcił numer, który kazano mu zapamiętać, po czym odczekał chwilę. Po czterech dzwonek odłożył słuchawkę. Teraz nie było już odwrotu. Już nie...

Nikt nie odebrał telefonu. Przestał dzwonić po czterech dzwonekach. To był sygnał, na który czekali — konferencja w hotelu skończyła się. Ravallo pierwszy wstał z krzesła.

— Pójdę się przebrać — oznajmił, bo zdjął gestapowski mundur zaraz po przybyciu do kryjówki.

— A ja pójdę powiedzieć innym — rzekł McIndoe do Stelli. Wyszedł na ganek. Samochód Schenka stał zaparkowany na polance przed domem. Venucci, który przyprowadził go cztery godziny wcześniej, teraz pomagał wyczyścić go Evansowi, Hillyardowi i Johnsonowi. Wszyscy byli w szortach, Evans i Hillyard rozebrani do pasa.

— Jak leci? — zawołał McIndoe, schodząc po schodkach.

— Prawie skończyliśmy — poinformował go Evans. Polerował dach. — Największy problem był z wyściółką bagażnika. Cała była we krwi Schenka. Bruce i Venucci ją wyczyścili. Prawie nie ma plam.

McIndoe obszedł limuzynę i zajrzał do otwartego bagażnika. Wyściółkę pokrywała warstwa mydlin.

— Musicie to zostawić. Właśnie otrzymaliśmy sygnał z hotelu. Narada się skończyła.

— No, to lepiej pójdziemy się przebrać. — Johnson rzucił ścierkę nad dachem samochodu do Evansa.

— Niektórym to dobrze — mruknął Evans, zręcznie łapiąc ją wolną ręką.

— Możesz zająć moje miejsce — powiedział mu Johnson.

— Nie chciałbym ci odbierać tej chwili chwały — rzekł Evans ze złośliwym uśmiechem.

Johnson mruknął coś pod nosem, wszedł na schody i zniknął w głębi domu.

— I co z tym zrobimy? — zapytał Venucci, zdrapując szczotką mydło z wyściółki. — Zostało jeszcze kilka plam, które nie chcą zejść.

— A co możemy zrobić? — McIndoe wzruszył ramionami. — Nie widzę żadnego problemu. Nie ma powodu, żeby ktoś tu zaglądał.

— A jeśli wartownicy przed hotelem zechcą sprawdzić bagażnik? Mają prawo.

— Wtedy Nicky będzie musiał wymyślić coś, żeby wyjaśnić, dlaczego dywanik jest mokry — rzekł McIndoe. — Może powiedzieć, że jego szofer rozlał dziś trochę oleju.

— Może powinniśmy pochłapać dywanik olejem, żeby lekko nim pachniał — zaproponował Venucci. — To uwiarygodniłoby tę historię.

— Dobry pomysł — rzekł McIndoe. — Macie tu jakiś olej?

— Pójdę sprawdzić — powiedział Venucci, wrzucając szczotkę do wiadra u stóp Hillyarda.

Ten zaklął pod nosem, gdy mydliny opryskały mu gołe nogi. Ocierając ręką pot z czoła, popatrzył za odchodzącym Venuccim.

— Facet jest w porządku.

— Na to wygląda — przytaknął McIndoe.

Hillyard popatrzył na niego spod zmrużonych powiek.

— Wiele rozmyślałem o tym, co pan powiedział zeszłej nocy na farmie, panie poruczniku. Głupio gadałem. Wiem, że mówiąc nam tylko to, co musimy wiedzieć, wykonuje pan rozkazy wiceadmirała Starra. Chyba dałem się ponieść emocjom.

— Nie brakło nam emocji, od kiedy opuściliśmy Malte — rzekł McIndoe. — To, co wtedy powiedziałeś, było nierozsądne, oczywiście, choć zupełnie zrozumiałe w tych okolicznościach. Ale niech ci to nie wejdzie w nawyk.

— Nie wejdzie, panie poruczniku — odparł z uśmiechem Hillyard.

— Skończ już tutaj. Za dwadzieścia minut chcę was wszystkich widzieć w mundurach, gotowych do drogi. — Wszedł po schodach na ganek.

Stella stała w otwartych drzwiach, z rękami założonymi na piersiach, ramieniem oparta o futrynę. Łagodnie uśmiechnęła się do niego.

— A więc Hillyard w końcu postanowił przełknąć dumę i przeprosić za swój poranny wybuch na farmie.

— Mam wrażenie, że Taffy ma z tym coś wspólnego — odparł McIndoe, spoglądając na Hillyarda. — Jednak Bruce nigdy nie umiał utrzymać języka za zębami. Zawsze mówi to, co myśli.

— No, to trochę jest podobny do ciebie — powiedziała wesoło Stella.

— Tyle że ja nauczyłem się hamować — rzekł McIndoe, wchodząc za nią do domu. — A Bruce nie. Zawsze mówiłem, że to dobry materiał na oficera, ale nigdy nie dostanie awansu przez swój negatywny stosunek do wszelkich autorytetów. Taki już jest. Nigdy się nie zmienia.

— Może jeszcze cię zadziwi.

— Mam nadzieję, że nie — odparł McIndoe i dostrzegł zdziwienie na jej twarzy. — To jego siła. Gdyby miał ją tłumić, utraciłby część swojej osobowości, co wpłynęłoby na jego przydatność na polu walki. Nie, to nie byłoby tego warte.

Stella opadła na fotel przy otwartym oknie.

— Przynajmniej koniec z czekaniem — powiedziała. — Przez ostatnie dwadzieścia cztery godziny byliśmy więźniami samych siebie. Skazani na swoje towarzystwo. Nikt nie mógł oddalić się bez przyzwoitki. To było piekło.

— Tak uzgodniliśmy z Nickym dziś rano — przypomniał jej.

— Jasne, lecz to nie oznacza, że mi się to podobało. Nigdy nie zaznałam takiej podejrzliwości i nieufności między trojgiem ludzi. Boże, to było okropne.

— To całkiem naturalne.

— Dziwię się, że nie udzieliło się innym.

— Jestem pewny, że się udzieliło, tylko głośno o tym nie mówią — rzekł McIndoe.

— Nawet Hillyard?

— On stąpa po kruchym lodzie. Już nie otworzy ust bez namysłu. Wisi nad nim groźba gniewu Starra. Może nie szanować autorytetów, ale nie jest głupi. Wie, że Starr nade wszystko nie znosi niesubordynacji. I nie pierwszy raz podpadłby Starrowi. Już dostał naganę na piśmie. Wątpię, czy przeżyłby kolejne starcie z wiceadmirałem. Dlatego bardzo nie chciałbym podawać go do raportu.

— Mój Boże, szczelina w pancerzu nieustraszonego Sama McIndoe — powiedziała z sarkazmem. — To coś, czego nie widuje się codziennie.

— Daruj sobie te uszczypliwe uwagi — warknął McIndoe, dotknięty. — Nie podoba mi się to tak samo jak tobie, ale dobrze wiesz, że to jedyny sposób bezpiecznego przeprowadzenia tej operacji. Pozwolimy komuś oddalić się od grupy, a zaraz otoczą nas Niemcy.

Kiedy skończył mówić, Stella uparcie spoglądała przez chwilę za okno, po czym podciągnęła kolana do piersi i mocno objęła je rękami. Dopiero teraz McIndoe dostrzegł bezbronny wyraz jej twarzy. Była niby dziecko, spoglądające na świat oczyma dorosłego. Bała się. I po raz pierwszy odsłoniła przed nim pancerz pewności siebie, za którym się kryła, aby przetrwać w świecie zdominowanym przez mężczyzn. Miał ochotę mocno przycisnąć ją do siebie i zapewnić, że wszystko będzie dobrze. Czyż jednak będzie? A potem sposobność minęła. Stella wstała i podeszła do okna.

— Tyle co do odwagi — powiedziała cicho, lekko drżącym głosem. — Jeszcze nigdy tak się

nie czułam. Dotychczas wróg zawsze był na zewnątrz. Wyprzedzanie go o krok nie było takie trudne. Tymczasem teraz wróg jest jednym z nas. I nic nie można na to poradzić. Nigdy w życiu nie czułam się taka bezradna.

Odwróciła się do niego, w oczach miała łzy.

— Ta niepewność doprowadza mnie do szału, Sam. Do szału.

McIndoe zrobił trzy szybkie kroki i stanął tuż przed nią. Zawahał się, nie wiedząc, czy powinien ją objąć. Jak zareaguje? Gdy tak patrzyła na niego, łza spłynęła jej po policzku. Przyciągnął ją i mocno przytulił do siebie. Nie próbowała się wyrwać. Zamiast tego lekko oparła głowę o jego pierś. Czuł subtelną woń jej ciała, gdy delikatnie gładził dłonią świeżo umyte włosy. Wtedy usłyszał odgłos kroków i na korytarzu pojawiła się wysoka postać Nicky'ego Ravalla.

Miał na sobie mundur oficera gestapo, a w obleczonej w rękawiczki z czarnej skóry dłoniach mocno ścisnął gestapowską czapkę. Zawahał się na widok McIndoe obejmującego Stellę. Jednak trwało to tylko moment; zaraz wszedł do pokoju, podszedł do ściennego lustra i starannie włożył czapkę na głowę. McIndoe wiedział, że Stella zauważyła Ravalla, ale nie próbowała się odsunąć. To on w końcu, acz niechętnie, odsunął się od niej.

— Co się z tobą dzieje? — rzucił krótko Ravallo, patrząc na odbicie Stelli w lustrze i poprawiając czapkę.

— Nic — odparła, szybko ocierając wilgotne oczy.

Ravallo odwrócił się od lustra.

— Na litość boską, tylko spójrz na siebie! Idź umyć twarz, zanim zobaczą cię inni.

Przeszła go gniewnym spojrzeniem i ocierając rękami oczy, wypadła z pokoju.

— Nie musiałeś tak do niej mówić — powiedział McIndoe.

— Już ci mówiłem: spróbuj ją traktować w białych rękawiczkach, a nie podziękuj ci za to.

— Nie zauważyłem, żeby się szamotała, kiedy próbowałem ją pocieszyć. Może nie znasz jej tak dobrze, jak sądzisz.

Ravallo powoli potrząsnął głową.

— Jezu, powinienem to przewidzieć!

— O czym ty mówisz? — spytał McIndoe.

— Zadurzyłeś się w niej, co?

— Jasne, że nie — odparł szybko Szkot. Zbyt szybko, pomyślał z przygnębieniem. Sam nie wiedział, jakie uczucia żywi do Stelli. Niewątpliwie spodobała mu się od pierwszego wejrzenia. Jednak miłość? Nigdy jeszcze nie był zakochany, nie miał wzorca, według którego mógłby zmierzyć to, co czuł teraz. W przeszłości miał dziewczyny, lecz im dłużej o tym myślał, tym wyraźniej zdawał sobie sprawę, że jego uczucie do Stelli było o wiele silniejsze. Czyżby się zakochał? W kobiecie, której prawie nie znał? Zmieszał się.

Ravallo usiadł na poręczy fotela pod oknem.

— Zakochałeś się w niej, prawda?

— Lubię ją, to wszystko.

— Nie jesteś pierwszym facetem, który zadurzył się w Stelli, od kiedy ją znam. Jednak tylko ciebie spośród nich uważam za przyjaciela. I dlatego nie chcę, żebyś cierpiał. Wiem, że ona bardzo cię lubi, ale tylko nie bierz tej przyjaźni za coś głębszego, Mac. To nie to. Spróbujesz, a ona cię odepchnie. A to mogłoby zagrozić waszej przyjaźni. Czy warto?

— Co chcesz mi powiedzieć, Nicky? Że ona ma kogoś w Stanach? Męża? Narzeczonego?

— Nie powinieneś pytać mnie o osobiste sprawy Stelli — odparł Ravallo. — To, co mamy w aktach, jest ściśle poufne.

— Innymi słowy, chcesz powiedzieć, że ona już kogoś ma?

— Powiedzmy, że mam powody, żeby cię przestrzec. Tylko tyle mogę ci powiedzieć. Możesz to rozumieć, jak chcesz.

— Albo ma jakiegoś faceta w Stanach, albo sam masz na nią oko i martwisz się, że próbuję ci wejść w paradę.

Ravallo wybuchnął śmiechem i klepnął McIndoe w plecy.

— Chyba oglądałeś za dużo filmów gangsterskich, Mac. Już ci mówiłem, że łączy nas tylko praca. Inaczej wyobraź sobie, co by było teraz, kiedy jestem jej prowadzącym na Gibraltarze? Zamartwiałbym się za każdym razem, gdy wyruszała z jakąś misją. I czy naprawdę myślisz, że pozwoliliby nam pracować razem, gdyby wiedzieli, że coś nas łączy? — Ravallo uśmiechnął się. — Nie, Mac, nie wchodzisz mi w paradę. Jednak przyjmij przyjacielską radę: daj spokój.

— Czy nie uważasz, że to powinna osądzić Stella?

— Co osądzić? — zapytała Stella od progu. Odświeżyła się i wyraz bezbronności, widoczny w jej oczach kilka minut wcześniej, znikł. Na jej ustach pojawił się nikły uśmieszek, gdy wodziła wzrokiem po obu mężczyznach. — Co osądzić? — powtórzyła, tym razem bardziej stanowczo.

Ravallo spojrział na McIndoe, który niespokojnie przestępował z nogi na nogę.

— No, Mac, co mówiłeś?

— Zapomnij o tym — odparł McIndoe rumieniąc się i wymaszerował z pokoju.

Stella patrzyła, jak odchodzi, a potem zwróciła się do Ravalla:

— O co chodziło?

— Zapomnij o tym — rzekł Ravallo i poszedł za McIndoe.

— Powiem wam coś, chłopcy. Może to wy o tym zapomnicie? — mruknęła do siebie. Podeszła do stołu i podniosła paczkę papierosów. Była pusta. — No jasne! — prychnęła z niesmakiem i zgmiotła opakowanie w dłoni. Rzuciła je z powrotem na stół i udała się na poszukiwanie papierosa.

McIndoe ledwie się odzywał, kiedy w ciężarówce Opel Blitz jechali do centrum Palermo. Siedział obok kierowcy, który kilkakrotnie usiłował nawiązać z nim rozmowę, lecz za każdym razem McIndoe odpowiadał monosylabami. Szofer zamilkł.

— Jesteśmy — oznajmił, zatrzymując wóz, gdy dotarli do celu. Silnik pozostał włączony.

McIndoe otworzył drzwi pasażera i wysiadł. W świeżo odprasowanym mundurze wyglądał w każdym calu na dumnego kapitana Wehrmachtu. Przeszedł na tył ciężarówki. Brezentowa plandeka, opuszczona i zasznurowana, zasłaniała siedzących w środku pasażerów. Rozwiązał i rozsunął brezent. Hillyard i Evans, obaj ubrani w niemieckie mundury i uzbrojeni w standardowe karabiny piechoty, wygramolili się z paki. Stella złapała go za rękę i zwinnie zeskoczyła na ziemię. Nawet w zbyt luźnej sukience, w rozczłapanych sandałach i bez śladu makijażu na twarzy była śliczna. Wyglądała jak miejscowa dziewczyna. To należało do planu.

— Damy ci dwadzieścia sekund przewagi — powiedział McIndoe. — Postaraj się dotrzeć na miejsce przed nami.

Pospiesznie przeszła przez ulicę i uskoczyła w wąski zaułek, gdzie natychmiast owionął ją potworny smród rozkładającego się mięsa. Zaciskając palcami nos, przyspieszyła kroku i była już w połowie alejki, kiedy zobaczyła ścierwo zdechłego psa, leżące obok zardzewiałych baniaków na śmieci, pełnych nadpsutych odpadków. Mijając je, miała wrażenie, że pies się poruszył. Z półotwartego pyska wypadł zбитy kłęb robaków i rozpadł się przy zetknięciu z brukiem. Odskoczyła przerażona, gdy kilka czerwi wylądowało tuż u jej stóp. Walcząc z podchodzącym do gardła żołądkiem, pobiegła na koniec uliczki. Przystanęła, żeby dojść do siebie.

Spojrzała na kościół po drugiej stronie. Powiodła wzrokiem po dzwonnicy, z której, według partyzantów, rozciągał się doskonały widok na hotel i okolicę. Na dzwonnicy stał samotny

niemiecki wartownik. Książ — wyproszony z kościoła poprzedniego popołudnia w ramach środków bezpieczeństwa podjętych przed spotkaniem Kesselringa z jego sztabowcami — powiedział partyzantom, że hotel zamieniono w prawdziwą fortecę, zamykając od wewnątrz wszystkie okna i drzwi. Trudno będzie dostać się do środka. Jednak trzeba było jakoś obserwować posunięcia Ravalla. Gdyby coś poszło źle, muszą przerwać operację i dyskretnie wycofać się, bez dalszych strat. Pamiętając o tym, Stella i McIndoe ułożyli plan, który powinien im zapewnić wstęp do kościoła.

Za plecami usłyszała tupot nóg. To Evans i Hillyard biegli w jej kierunku uliczką. Wypadła z zaułka, pobiegła do kościoła i zaczęła łomotać w dębowe drzwi, jakby szukając schronienia przed prześladowcami. Nie śmiała spojrzeć w górę, ale wiedziała, że łoskot musiał zaalarmować żołnierza na dzwonnicy. Obejrzała się, gdy Evans i Hillyard wypadli z zaułka. Odwróciła się, żeby pobiec dalej.

— Stać albo będę strzelać! — zawołał Evans, mierząc do niej z karabinu.

— Nie strzelaj — rozkazał Hillyard. — Słyszałeś, co powiedział kapitan. Mamy ja wziąć żywcem.

Stella skoczyła za róg kościoła. Biegąc do okna zakrystii słyszała, jak żołnierz na dzwonnicy woła do Hillyarda i Evansa:

— Co się dzieje?

Po chwili Hillyard odkrzyknął:

— Ona należy do miejscowego ruchu oporu. Mamy rozkaz zabrać ją na przesłuchanie.

Stella przystanęła przy oknie zakrystii i zerknęła na wieżę, lecz z miejsca, gdzie stała, dostrzegła tylko szczyt wieżyczki. Podniosła cegłę, szybko przeżegnała się i rzuciła nią w okno. Odwróciła twarz, gdy posypało się szkło, a potem sięgnęła ręką przez wybity otwór i otworzyła okno. Podciągnęła się i wskoczyła do zakrystii.

Przez moment rozglądała się wokół i już miała ruszyć do drzwi wiodących do nawy, kiedy nagle te drzwi otworzyły się, pchnięte tak silnie, że uderzyły o ścianę. Do zakrystii wpadł zasapany niemiecki żołnierz, mierząc do niej z karabinu. To był ten sam żołnierz, którego widziała na dzwonnicy. Zaalarmowany odgłosem rozbijanego szkła, zszedł na dół, żeby sprawdzić, co się dzieje. Wszystko przebiegało zgodnie z planem...

W otwartym oknie pojawili się Hillyard i Evans.

— Pilnuj jej — powiedział Hillyard. — Ja tam wejść.

— Nikt tu nie wejdzie — rzekł żołnierz, nie spuszczając Stelli z oka.

— Co ty gadasz? — obruszył się Hillyard. — Wejść przez okno, otworzę tylne drzwi, a potem zabierzemy ją i po kłopotach.

— Mam rozkaz nie wpuszczać tu nikogo bez rozkazu — padła odpowiedź. — A taki rozkaz może wydać mi tylko mój przełożony.

— Co was zatrzymało? — rzucił ktoś szorstko. Stella ujrzała w oknie twarz McIndoe. Hillyard zwięźle wyjaśnił, o co chodzi, a McIndoe spojrział na żołnierza. — Jestem kapitan Strauss. Siedemdziesiąta szósta dywizja piechoty. Kim ty jesteś?

— Kapral Neumann, trzeci regiment oddziałów spadochronowych, panie kapitanie — odparł z szacunkiem pytany.

— Neumann, ta kobieta jest poszukiwana w związku z serią zamachów bombowych na obiekty Wehrmachtu tutaj, w Palermo. Sądźmy również, że może wiedzieć coś o planowanym zamachu na życie marszałka polowego Kesselringa podczas jego pobytu na wyspie. A teraz albo wpuścisz nas, żebyśmy mogli zabrać ją na przesłuchanie, albo uczynię cię osobiście odpowiedzialnym, jeśli coś się stanie marszałkowi Kesselringowi.

Neumann nerwowo przełknął ślinę.

— Czy major Riedler wie, że ktoś może nastawać na życie marszałka?

— Sądzę, że dziś rano został o tym osobiście poinformowany przez *Standartenführera* Brauscha, komendanta gestapo na Sycylii — powiedział McIndoe.

— Wpuszczę was, panie kapitanie — mruknął niechętnie Neumann. Powoli cofnął się do drzwi wiodących na ulicę, ani na moment nie spuszczał Stelli z oka, odsunął rygiel i otworzył je.

McIndoe pierwszy wszedł do zakrystii. Pstryknął palcami na Hillyarda i Evansa.

— Zabierzcie ją.

Neumann nie patrzył na nich, dzięki czemu Hillyard mógł bezszelestnie zejść go od tyłu, zatkać mu ręką usta i zatopić w brzuchu ostrze sztyletu. Stella odwróciła głowę. Hillyard przekreślił ostrze, kierując je w klatkę piersiową, w serce. Neumann nie żył już, gdy Hillyard ostrożnie kładł go na podłodze. Otarł ostrze o mundur zabitego i pospieszył na dzwonnice podjąć jego obowiązki. Plan zakładał, że żołnierze przy blokadzie opodal zauważą incydent z uciekającą dziewczyną, żeby więc rozproszyć jakiegokolwiek podejrzenia, należało upozorować powrót Neumanna na jego posterunek na wieży. Chociaż nieco niższy od zabitego, Hillyard z daleka mógł za niego uchodzić, zwłaszcza że żołnierze przy posterunku drogowym nie spodziewali się takiego podstępu.

— Idź i sprowadź tu innych. My ukryjemy ciało — powiedział do Stelli McIndoe.

Podniosła karabin zabitego Niemca i wyszła na uliczkę na tyłach kościoła. Uniesionym kciukiem dała znak kierowcy ciężarówki zaparkowanej u wylotu zaułka. McIndoe i Evans zdążyli wynieść ciało do nawy, zanim wróciła.

Ciężarówka podjechała tyłem do drzwi zakrystii, plandekę odrzucono na boki i Venucci zeskoczył na ziemię. Miał na sobie taki sam mundur jak McIndoe i niósł plecak z radionadajnikiem SOE. Dwaj mężczyźni, którzy wysiedli za nim, byli ubrani podobnie jak Hillyard i Evans. Jako ostatnia wysiadła Gina Roetta. Miała na sobie identyczną workową sukienkę i rozczłapane sandały jak Stella. Nawet włosy związane w podobny koński ogon. Venucci popędził swoich towarzyszy do zakrystii i zarygłował za nimi drzwi.

— Szofer podprowadzi ciężarówkę przed kościół — zwrócił się do McIndoe.

— Wiesz, co robić — powiedział mu Szkot.

Gina uśmiechnęła się do Stelli jak psotna uczennica, a potem poszła za Venuccim do nawy. Za nimi przebrani w niemieckie mundury partyzanci. Venucci otworzył główne drzwi i zaprowadził ją pod lufę karabinu do czekającej ciężarówki. Partyzanci bezceremonialnie wepchnęli ją na pakę, a kiedy weszli do środka, Venucci opuścił plandekę. Zatrzasnął drzwi kościoła, spojrzął na mały tłumek gapiów obserwujący wypadki, a potem obszedł samochód i usiadł obok kierowcy. Ciężarówka odjechała w przeciwnym kierunku niż ten, w którym znajdował się hotel.

McIndoe starannie i cicho zasunął rygiel u drzwi kościoła, podszedł do ostatniej ławki i usiadł.

— Wygląda na to, że się udało — powiedział do Stelli.

— Mówiłam ci, że się uda — odparła z uśmiechem ulgi, siadając w ławce naprzeciw niego. — Co to było z tą próbą zamachu na życie Kesselringa?

— Improwizacja. Kiedy zobaczyłem, że nie wpuści nas bez rozkazu, musiałem coś wymyślić.

— Lepiej, że to pan niż ja — rzekł Evans z krzywym uśmiechem. — Nie wymyśliłbym czegoś takiego na poczekaniu. Pewnie dlatego to pan jest oficerem, a ja tylko kasiarzem.

— Kasiarzem? — powtórzyła Stella, marszcząc brwi.

— Włamywaczem — wyjaśnił Evans i zachichotał, widząc jej zdumioną minę. — Niech się pani nie obawia, odsiedziałem już swoje. Teraz działam legalnie. Mam własną firmę w Swansea.

— A widząc, że znów zmarszczyła brwi, dodał: — To w Walii, proszę pani.

— Nie miałam pojęcia, że był pan... — urwała niezręcznie.

— ...przestępcą — dokończył za nią Evans. — Jak się rzekło, zapłaciłem już za moją wątpliwą przeszłość. Teraz wysadzam tylko sejfy szkopów, nie licząc paru innych rzeczy.

— To najlepszy spec od materiałów wybuchowych, jakiego mamy w firmie — poinformował ją McIndoe.

— Zapamiętam to, na wypadek gdybym zapomniała kombinacji mojego domowego sejfu — powiedziała z uśmiechem.

McIndoe wstał, zdjął czapkę i przygładził palcami włosy.

— Coś pana dręczy, panie poruczniku? — zapytał Evans.

— Tak. Neumann powiedział, że dowodzi nimi major Riedler.

Oboje bez słowa skinęli głowami.

— To musi być Hans Riedler. Gdy ostatnio o nim słyszałem, podczas niemieckiej inwazji na Kretę, był kapitanem w trzecim regimencie spadochronowym: Nie wiem, co wiecie o tej operacji, ale jego spadochroniarze wylądowali w samym środku oddziału Australijczyków stacjonujących w Galatas. Ponieśli ciężkie straty, a mimo to zdołali odeprzeć wszystkie ataki do czasu nadejścia posiłków. Mówią, że Riedler objął dowodzenie nad resztkami oddziału, kiedy ich dowódca został zabity. Otrzymał później Żelazny Krzyż z Dębowymi Liśćmi, Mieczami i Diamentami, najwyższe odznaczenie, jakie może dostać niemiecki oficer.

— To brzmi niemal tak, jakby go pan podziwiał, panie poruczniku — zauważył Evans.

— A dlaczego nie? To najwidoczniej bardzo dobry żołnierz, nie stroniący od walki.

— Zapewne także nazista.

— Z tego, co wiem, to nie — rzekł McIndoe. — Zawodowy żołnierz, nie interesuje go polityka. Dziwię się, że nigdy o nim nie słyszeliście.

— Nicky pewnie słyszał — powiedziała Stella. — Zakładając, oczywiście, że to ten sam Riedler, który był na Krecie.

— Byłby to zbyt dziwny zbieg okoliczności, gdyby było inaczej. Dam głowę, że to on.

— Z tego, co nam pan o nim powiedział, panie poruczniku, łatwo może ją pan stracić — przestrzegł Evans.

— Tak jak my wszyscy. — McIndoe znacząco spojrział na Stellę. — Ale teraz możemy tylko czekać. Wszystko zależy od Nicky'ego.

Ravallo palił ostatniego papierosa z paczki znalezionej na kuchennym stole. Nie wiedział, kto je tam zostawił, lecz okazały się niezwykle pomocne w łagodzeniu napięcia, które rosło z każdą chwilą oczekiwania na telefon od ich człowieka w hotelu, Pizzoniego.

Stał przy oknie w przedpokoju bezpiecznego domu w starej arabskiej dzielnicy La Kalsa. Nic nie widział — zasłony były zaciągnięte. Opuścił kryjówkę w Kasrze niemiecką limuzyną, z Johnsonem za kierownicą, zaraz po tym, jak inni odjechali oplem blitzem, aby przeprowadzić swoją część planu. Limuzyna czekała teraz w zamkniętym garażu na tyłach domu, aby nie zauważył jej jakiś niemiecki patrol. La Kalsa szybko stała się siedliskiem buntu przeciw zniechwalanym Niemcom, którzy regularnie przeszukiwali dzielnicę, ścigając bojowników ruchu oporu lub ich sympatyków. Nie było to miejsce, które sam by wybrał, wiedząc, że roi się tu od niemieckich żołnierzy i kolaborantów, zdecydowała jednak bliskość hotelu i łatwy dojazd. Od kiedy przybyli do tego domu, nie widział Johnsona. Ravallo, chociaż zwykle towarzyski, cieszył się samotnością, pozwalającą zebrać myśli. Podejrzewał, że Johnson to wyczuł. Doceniał jego takt. Teraz był już gotowy podjąć wyzwanie, jakiemu mieli stawić czoło. I był przekonany, że mu się uda...

Zadzwoił telefon, przerywając kruchą ciszę. Jeden. Dwa. Nerwowo zaciągnął się dymem, nadal licząc dzwonki. Trzy. Cztery. Cisza. To sygnał. Podniósł czapkę ze stołu, podszedł do

drzwi i otworzył je na oścież. Johnson już był w holu, trzymał w ręce kluczyki od samochodu. Nie zamienili ani słowa. Nie było o czym mówić. Wiedzieli, co trzeba zrobić.

Porucznik Bruno Pizzoni drżącą ręką odłożył słuchawkę po czwartym dzwonku. Mocno zacisnął dłonie w pięści, rozpaczliwie usiłując opanować zdenerwowanie. Nie może pozwolić, żeby go ktoś zobaczył w takim stanie. Musi wziąć się w garść. Odetchnął głęboko parę razy, żeby rozluźnić mięśnie, podszedł do wiszącego na ścianie lustro i otarł dłonie o mundur. Wreszcie, włożywszy czapkę, opuścił swoją sypialnię na drugim piętrze. Ignorując windę, zbiegł na parter po wyłożonych czerwonym dywanem schodach. Przystanął i rozejrzał się wokół. Napotkał spojrzenie samotnego recepcjonisty za kontuarem. Nie odpowiedział na jego uśmiech. Spojrzał na żołnierza pilnującego obrotowych drzwi, a potem przez rozległe foyer na drzwi sali konferencyjnej. Przed nimi stało dwóch wartowników. Obaj byli uzbrojeni. Wiedział, że nie ma powodu obawiać się ich. Nie mogli wiedzieć, co się dzieje. Ale on wiedział. To tacy jak oni wpadną niespodziewanie w środku nocy i wywloką go z łóżka na przesłuchanie, jeśli kiedykolwiek wyjdzie na jaw jego zdrada. Na pewno zabiorą go na gestapo, przy Piazza Bologni. Zimny dreszcz przebiegł mu po plecach, jakby przeszła koło niego śmierć, kropla potu spłynęła spod czapki. Otarł ją, zanim zdążyła ściec na policzek. Nie mógł tego dłużej odkładać. Już upłynęło kilka minut od chwili, kiedy stenografka zadzwoniła do jego pokoju i powiedziała, że skończyła przepisywać na maszynie to, co miał zanieść marszałkowi Kesselringowi.

Przeszedł przez foyer do sali konferencyjnej, stukając butami o marmurową posadzkę.

— Porucznik Pizzoni — oznajmił wartownikom, wyjął z kieszeni legitymację i pokazał im. Przynajmniej jego głos brzmiał autorytatywnie. To przemawiało na jego korzyść. Obaj żołnierze oddali mu honory i usunęli się sprzed drzwi. Naciskając klamkę, poczuł ogarniającą go falę ulgi. Ręka przestała mu drżeć. Wszedł do pokoju, zamknął za sobą drzwi i z uprzejmym uśmiechem podszedł do stenografki.

— To maszynopis dla marszałka polowego Kesselringa — powiedziała, pokazując zalakowane akta obok maszyny do pisania. Pizzoni mówił płynnie kilkoma językami i między innymi dlatego przydzielono go do tego hotelu. — Marszałek Kesselring chce, aby dostarczono mu to do rąk własnych. Gdyby nie było go w pokoju, będzie w restauracji lub w barze.

Wstała.

— No cóż, zostawię pana samego, poruczniku. To był długi dzień i chętnie skorzystam z gorącej kąpieli. Dobranoc.

— Dobranoc — rzekł Pizzoni. Podniósł akta i powoli obrócił je w rękach. To, że teczka była zapieczętowana, nie miało większego znaczenia. Partyzanci dali mu identyczną pieczęć, aby zastąpił nią tę, którą złamie wyjmując maszynopis. Nie miał pojęcia, jak ją zdobyli. Jednak to nie było istotne. Polecono mu zabrać teczkę do pokoju na drugim piętrze i schować ją pod materacem, a potem spalić wszystkie notatki sporządzone przez oficerów podczas narady. Po każdej konferencji odbywającej się w tym hotelu zwykle doręczał przepisany na maszynie raport oficerowi dyżurnemu, a potem niszczył odręczne notatki. Jednak nie tym razem. A jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, po powrocie do sypialni stwierdzi, że teczka znowu znajduje się pod materacem. Pieczęć będzie złamana, lecz zawartość nietknięta. Pewnie ruch oporu zamierza sfotografować tę zawartość tak, żeby nie dowiedzieli się o tym Niemcy. Nie miał pojęcia, jak ominą ochronę hotelu. Jednak to nie jego zmartwienie.

Szybko pozbierał luźne kartki porzucane na stole, gdzie pozostawili je niemieccy oficerowie. Polecono mu je spalić, oprócz stenogramów, które później miały być znalezione w koszu na śmieci na tyłach hotelu. To z pewnością podważy sens dzisiejszych obrad. A Kesselring nie będzie ryzykował, jeśli dojdzie do wniosku, że ktoś niepowołany mógł widzieć te notatki. To

oznaczało konieczność rezygnacji z planu znajdującego się w teczce i nową konferencję. Pizzoni wiedział, że zapłaci za to utratą swojego stanowiska w tym hotelu. Zapłaci za to także degradacją. Straci stopień i szacunek innych oficerów, ale przynajmniej odzyska rodzinę. A tylko to miało dla niego znaczenie...

Kiedy samochód zbliżał się do blokady, Ravallo nie miał złudzeń. Po raz pierwszy miał się zetknąć z doborowym oddziałem spadochroniarzy, których ściągnięto tutaj do ochrony hotelu. Jednak jeśli ci żołnierze mieli jakąś słabą stronę, to polegała ona na tym, że byli najbardziej zdyscyplinowaną jednostką Wehrmachtu. Z tą dyscypliną wiązał się odpowiedni szacunek dla władzy. Ravallo zamierzał w pełni to wykorzystać, jeśli zajdzie potrzeba. A miał przecucie, że zajdzie.

Johnson nadepnął na hamulec, gdy żołnierz wyszedł na jezdnię i machnął ręką, zatrzymując samochód. Ravallo zauważył, że Niemiec był uzbrojony w rosyjską pepeszę, widać zdobytą na froncie wschodnim. Spadochroniarz podszedł do samochodu i spojrzał na Johnsona. Potem przeniósł wzrok na Ravalla i natychmiast stanął na baczność, trzaskając obcasami. Ravallo zasalutował w odpowiedzi, a potem opuścił szybę i pokazał mu swoją fałszywą legitymację gestapo.

— Czy mogę spytać, co pana tu sprowadza, *Herr Sturmbannführer!* — zapytał żołnierz sprawdzwszy legitymację.

— Nie, nie możesz — odparł wyniośle Ravallo. — A teraz mnie przepuść.

— Obawiam się, że nie mogę tego zrobić, *Herr Sturmbannführer*, dopóki nie otrzymam rozkazu — powiedział żołnierz stanowczo, lecz uprzejmie.

Ravallo wiedział, że żołnierz dostał rozkaz zatrzymywania wszystkich, nawet wyższych oficerów gestapo. Teraz nadszedł czas spełnić oczekiwania zwierzchników, którzy wyznaczyli go do tej operacji. Pstryknął palcami na Johnsona, który wyskoczył z samochodu i otworzył przed nim tylne drzwiczki. Ravallo wysiadł z limuzyny.

Widząc przed sobą wysoką groźną postać, żołnierz odruchowo cofnął się o krok. Przez moment Ravallowi zdawało się, że dostrzegł cień wahania w jego oczach. Niemiec jednak szybko odzyskał panowanie nad sobą. Drugi spadochroniarz podszedł do samochodu i stanął na baczność. Ravallo zmierzył go spojrzeniem i skinął mu głową.

— Zakładam, że wiecie, kim jestem?

— Tak jest, *Herr Sturmbannführer* — padła odpowiedź.

— A jednak chcecie kwestionować moje uprawnienia? — spytał zimno Ravallo. — Nie muszę tłumaczyć się przed wami ani przed nikim innym. Odpowiadam wyłącznie przed *Reichsführerem* Himmlerem. Czy i jego rozkazy zamierzacie kwestionować?

— Nie, *Herr Sturmbannführer* — odparł żołnierz i w jego głosie po raz pierwszy dał się słyszeć ton niepewności. — Ale mamy rozkaz od naszego dowódcy. Nie wolno nam nikogo przepuszczać bez odpowiedniego pozwolenia.

— Taki otrzymaliśmy rozkaz — dodał drugi.

— Stać na baczność, kiedy mówicie do oficera! — ryknął na niego Ravallo. — Kto wydał ten rozkaz?

— Nasz dowódca, major Riedler.

Ravallo wyczuwał, że zaczynają się wahać. Musiał nadal atakować, żeby utrzymać przewagę. Podszedł do wyprężonego na baczność drugiego spadochroniarza i stanął tuż przed nim.

— Kim jest ten Riedler? Ośmielacie się przedkładać jego polecenia nad rozkazy *Reichsführera*?

— Z całym szacunkiem...

— Milczeć! — zagrział Ravallo. Odwrócił się plecami do obu żołnierzy, jakby usiłując opanować wściekłość. Niech się trochę podenerwują. To mu może tylko pomóc. Przez kilka sekund stał nieruchomo, a potem obrócił się do nich, gotów rozegrać swoją atutową kartę. Sięgnąwszy do kieszeni munduru, wyjął pismo znalezione w walizce Schenka. Podpisane własnoręcznie przez Himmlera, upoważniało Schenka do poruszania się wszędzie i oglądania wszystkiego podczas pobytu na wyspie. Każdy, kto odważyłby się je kwestionować, musiałby odpowiedzieć przed samym Himmlerem. Nie była to miła perspektywa. Ravallo podsunął papier żołnierzowi. — Czytaj.

Niemiec z wahaniem ujął dokument. Niepewnie przestępując z nogi na nogę, przeczytał pismo, po czym oddał je Amerykaninowi. Zasalutował.

— Może pan jechać, *Hen Sturmbannführer*.

— Udało się — rzekł Johnson z rzadkim u niego uśmiechem, zerkając na odbicie Ravalla w lusterku, kiedy przejechali przez blokadę.

— Na razie. Jednak mogę się założyć, że skontaktują się z Riedlerem i powiedzą mu, co zaszło.

— Ma pan ten list, panie majorze — powiedział Johnson. — Nawet Kesselring nie może podważać jego autentyczności.

— Ale może podważać moją. Możesz być pewny, że on sporo wie o poczynaniach gestapo, chociaż nie jest zachwycony ich metodami. Ja mam o tym tylko ogólne pojęcie. Gdyby wciągnął mnie w rozmowę na temat ich działań, chodziłbym boso po tłuczonym szkłe. Wystarczy jedno potknięcie, żeby zawalić sprawę. Nie, im prędzej stąd znikniemy, tym lepiej dla nas.

— Racja, panie majorze — przytaknął Johnson, a potem wskazał na hotel. — Gdzie mam zaparkować?

— Od frontu. Schenk raczej nie zakradałby się kuchennymi drzwiami, no nie? Teraz, kiedy jesteście tak blisko celu, musimy trzymać się naszych ról.

Johnson zatrzymał limuzynę, zgasił silnik, wyskoczył i otworzył tylne drzwiczki. Ravallo wysiadł, obciągnął mundur, a potem wziął walizeczkę Schenka i zdecydowanym krokiem podszedł do obrotowych drzwi. W foyer zatrzymał go następny wartownik. Ponieważ czas zaczynał naglić, Ravallo od razu pokazał mu *carte blanche*. Żołnierz zasalutował i wrócił na posterunek.

Ravallo przystanął na środku foyer, rozejrzał się dokoła. Przystudiował wcześniej plan hotelu, dostarczony partyzantom przez ich sympatyka w ratuszu, tak że teraz wystarczyło porównać go z realiami. Podszedł do windy i z ulgą zobaczył, że stoi na parterze. To oznaczało kilka zaoszczędzonych sekund. Wszedł do środka i nacisnął przycisk drugiego piętra. Kiedy kabina się zatrzymała, odsunął kratę i wyszedł na korytarz. Nikogo. Szybko podszedł do drzwi naprzeciw schodów i wyjął z kieszeni klucz. Wkładając go do dziurki, trzymał w dłoni swojego walthera, ale wiedział, że gdyby Niemcy zastawili tu na niego pułapkę, na niewiele by mu się przydał. Do tej pory wszystko przebiegało zgodnie z planem, ale tylko w jeden sposób mógł sprawdzić, czy jego optymizm jest uzasadniony.

Otworzył drzwi, pchnął je i ostrożnie zajrzał do pokoju. Nikogo. Zamknął drzwi za sobą, przekręcił klucz, podszedł do łóżka i sięgnął pod materac. Jego palce natrafiły na teczkę. Wyjął ją, z trudem opanowując podniecenie, i kantem dłoni złamał pieczęć. Wyjął z wewnętrznej kieszeni miniaturowy aparat fotograficzny Minox, usiadł na łóżku i otworzył dokument. Obejrzał pierwsze strony maszynopisu, sprawdzając ich autentyczność. Upewniwszy się, że są prawdziwe, niezwłocznie wziął się do pracy.

Kapitan Jürgen Franke objął dowodzenie nad służbą wartowniczą tuż po siódmej wieczorem,

kiedy major Riedler dostał niespodziewane zaproszenie do baru na aperitif z Kesselringiem i jego sztabowcami. Franke siedział za biurkiem w gabinecie dyrektora hotelu, pogrążony w lekturze znalezionej w kącie, wczorajszej *Volkischer Beobachter*, organu partii nazistowskiej. Przerwało mu mocne pukanie do drzwi. Zaklął z irytacją pod nosem, a potem zawołał:

— Wejść!

Drzwi otworzyły się i stanął w nich jeden z żołnierzy pilnujących blokady przed hotelem. Ostrożnie wszedł do środka i zasalutował.

— Co tu robisz, Scherl? — zapytał Franke.

— Chcę o czymś zameldować, panie kapitanie — usłyszał w odpowiedzi.

— A dlaczego nie użyłeś telefonu polowego?

— Uznałem, że najlepiej zameldować o tym osobiście panu albo majorowi Schenkowi — odparł Scherl. — Goetz nadal strzeże blokady.

— Miło mi to słyszeć — odrzekł sarkastycznie Franke. — Teraz powiedz mi, co jest tak ważne, że nie chciałeś mówić o tym przez telefon.

— Jest tu *Sturmbannführer* Schenk, panie kapitanie.

Franke natychmiast się wyprostował.

— Tutaj, w hotelu? — zapytał z niedowierzaniem.

— Tak, panie kapitanie.

— Czy mówił, czego chce?

— Pytałem, panie kapitanie, ale odmówił wyjaśnień co do celu swojej wizyty. Miał list *Reichsführera* Himmlera, upoważniający...

— Tak, wiem, jakie listy mają ci oficerowie — uciął szybko Franke. — Na pewno przybył zobaczyć się z marszałkiem Kesselringiem.

— Ja również tak założyłem, panie kapitanie — powiedział z wahaniem Scherl.

— O co więc chodzi? — zapytał Franke, widząc niepewną minę żołnierza.

— Panie kapitanie, jeśli *Sturmbannführer* Schenk poskarży się na nasze postępowanie przy blokadzie, powie pan, że wypełnialiśmy tylko rozkazy?

Franke zachichotał.

— Dał się wam we znaki?

— Można tak powiedzieć, panie kapitanie — odparł Scherl, nerwowo kołysząc się na palcach. — Wrzeszczał jak wariat... Ja... wcale nie chcę powiedzieć, że jest szalony, panie kapitanie.

— Słyszałem, że ma taką reputację — powiedział z uśmiechem Franke. — Chyba jednak można tego oczekiwać po kimś, kto ma taką władzę?

— To brzmi tak, jakby mu pan zazdrościł, panie kapitanie.

— Zazdrość mu korzyści związanych z jego pracą. Nie samej pracy. Dostaje najlepsze miejsca i najlepszą obsługę w każdej restauracji w Berlinie. Gdziekolwiek pojedzie, wybiera sobie najpiękniejsze kobiety. Co noc inną, jeśli chce. Mieszkanie w najlepszej części miasta, zapewne z widokiem na Szprewę. Wspaniałe jedzenie i trunki, które nam racjonują. Nie wiem jak ty, Scherl, ale mnie na pewno nie przeszkadzałby taki styl życia.

— Tak jest, panie kapitanie.

— Jest także jednym z najlepszych szermierzy w kraju, wiedziałeś o tym?

— Nie, nie wiedziałem, panie kapitanie.

— A tak. Przez wielu był uważany za najlepszego szermierza, jaki kiedykolwiek uczęszczał do szkoły oficerskiej w Bawarii.

— Znał go pan, panie kapitanie?

— Nie, ukończył ją kilka lat przede mną, ale na korytarzu przed salą ćwiczeń wisiało jego zdjęcie, wśród fotografii innych czołowych szermierzy. Nasz instruktor chwalił się, że był

jedynym człowiekiem, który zdołał go drasnąć. Zaledwie lekkie cięcie pod lewym okiem, ale wystarczające, aby pozostawić bliznę.

— Ten nie miał blizny pod lewym okiem, panie kapitanie — rzekł Scherl, potrząsając głową.

— Jak powiedziałem, to bardzo mała blizna. Pewnie jej nie dostrzegłeś.

— On nie miał żadnej blizny — odparł stanowczo Scherl. — Zauważyłbym. Staliśmy twarzą w twarz, kiedy na mnie wrzeszczał. Zauważyłbym ją.

Franke powoli wstał i wyszedł zza biurka.

— Opisz mi *Sturmbannführera* Schenka.

— Wzrost...

— Twarz — przerwał mu Franke. — Tylko twarz. Nigdy go nie widziałem.

— Twarz kanciasta, oczy piwne. Chyba dość przystojny — Scherl wzruszył ramionami.

— To by się zgadzało, ale...

Franke umilkł i przygryzł wargę, wbijając wzrok w dywan. Stał przed dylematem. Blizna była niewielka, owszem, lecz Scherl twierdził, że jej nie ma. To bez sensu. Przynajmniej na pozór. Franke był poważnie zaniepokojony, zwłaszcza że gestapo ostrzegało przed możliwościami infiltracji wyspy przez agentów brytyjskiego SOE. Czy był lepszy sposób, aby dostać się do hotelu, niż udawać Schenka? A jeśli przesadza? Jeśli się myli, dostanie potężny ochrzan od Riedlera i Schenka. Ale jako dowódca warty ma obowiązek sprawdzić informacje Scherla. Poza tym jest chyba jedynym człowiekiem w tym hotelu, który może zidentyfikować Schenka. Wątpił, czy Kesselring wie, jak wygląda Schenk. Musi kierować się własnym instynktem i sprawdzić to, niezależnie od ewentualnych konsekwencji. Podniósł czapkę z biurka i ruszył do drzwi. Przystanął i obejrzał się na Scherla.

— Aż do odwołania zabezpieczyć wszystkie wyjścia z hotelu. *Sturmbannführer* Schenk nie może stąd wyjść, zanim ja lub major Riedler porozmawiamy z nim. Zrozumiano?

— Tak jest, panie kapitanie.

— Dopilnuj, żeby do odwołania podwojono warty przy wszystkich drzwiach. Idę porozmawiać z majorem Riedlerem.

Scherl zasalutował i wypadł z pokoju. Franke szybko podążył do baru i zaczął szukać Riedlera między oficerami gwarzącymi w kilkusobowych grupkach. Wreszcie wypatrzył go przy stole pod ścianą. Riedler, choć zatopiony w rozmowie z generałem Studentem i wiceadmirałem Weicholdem, zauważył niespokojnie krążącego przy drzwiach Frankego, który usiłował zwrócić jego uwagę, i niezwłocznie przeprosił swoich rozmówców.

— Czy jest tu *Sturmbannführer* Schenk, panie majorze? — zapytał Franke.

— Schenk? — zdumiał się Riedler. — Chcesz powiedzieć, że on jest w hotelu?

— Tak jest, panie majorze.

— O ile wiem, nie było go tu. Dlaczego pytasz?

Franke wyjaśnił, w czym rzecz.

— Rozumiem, że może wydać się to panu zbyt nikłą poszlaką, ale ja wiem na pewno, że *Sturmbannführer* Schenk ma bliznę pod lewym okiem. Może Scherl nie zauważył jej, chociaż twierdzi, że dobrze mu się przyjrzał, ale myślę, że po ostrzeżeniu o SOE lepiej nie ryzykować. To byłby dla nich doskonały sposób na ominięcie blokady.

— Zaczekaj tu — rzekł Riedler. Wrócił do stołu i szepnął coś do ucha Studentowi. Generał odstawił kieliszek i obaj podeszli do Frankego.

Franke powtórzył wszystko od początku.

— Na pewno go tu nie było — oświadczył Student. — I już samo to budzi moje podejrzenia. Zakładając, że to Schenk, jakiegokolwiek były powody jego przybycia do tego hotelu, należałoby oczekiwać, że kurtuazja nakaże mu przedstawić się marszałkowi Kesselringowi, zanim przystąpi

do pełnienia swoich obowiązków.

Położył dłoń na ramieniu Frankego.

— Dobrze pan zrobił, każąc zablokować wszystkie drzwi do czasu, aż zbadamy tę sprawę.

— Jeżeli się okaże, że to jednak *Sturmbannführer* Schenk, panie generale, to wątpię, aby podzielił pańskie zdanie — rzekł Franke.

— Powiemy, że to ja wydałem rozkaz, aby zatrzymano go w celu dokładniejszego sprawdzenia tożsamości — powiedział Student ku niezmiernej uldze Frankego. — Nie będzie kwestionował moich rozkazów.

Na końcu korytarza pojawił się Scherl, przystanął, aby zaczerpnąć powietrza i uspokoić się, po czym podszedł do trzech oficerów. Stał przed nimi na baczność.

— Spocznij — zakomenderował Riedler. — O co chodzi?

— *Sturmbannführer* Schenk jest w foyer, panie majorze — powiedział Scherl. — Robi piekło, że nie pozwalamy mu opuścić hotelu. Nie wiem, jak długo nasi ludzie zdołają go zatrzymać, nie uciekając się do przemocy fizycznej. A tego woleliby uniknąć wobec wyższego oficera gestapo.

— Ja się tym zajmę — zwrócił się Student do Riedlera. — Zaprowadzę go do gabinetu dyrektora. To tam macie swój punkt dowodzenia, tak?

Riedler skinął głową.

— Niech pan zostanie tu z Frankem, dopóki nie wprowadzę go do gabinetu. Wtedy Franke tam wejdzie i dokona identyfikacji. Jeśli to Schenk, wszystko w porządku. Nic się nie stanie, nie licząc jego lekko urażonej godności. Jeżeli jednak to oszust, osaczymy go w gabinecie. Nie zdoła uciec ani ostrzec swoich kolegów, którzy mogą być gdzieś w pobliżu.

Obrócił się do Scherla.

— Dobrze, żołnierzu, chodźmy spotkać się ze *Sturmbannführerem* Schenkiem.

Ravallo pojął, że coś jest nie tak, gdy tylko wyszedł z windy i podszedł do obrotowych drzwi. Przy głównym wyjściu podwojono wartę i żołnierze zastąpili mu drogę. Zwymyślał ich od ostatnich za to, że śmieją go zatrzymywać. Bezskutecznie; nawet list od samego Himmlera nie wywarł na nich wrażenia. Każda jego tyrada spotykała się z tą samą uprzejmą odpowiedzią: mają rozkaz zatrzymać go, aż jego dokumenty ujrzy dowódca. Czy coś się stało, kiedy był w sypialni i fotografował zawartość teczki? Nie popełnił przecież żadnego błędu. Czyżby Pizzoni przyznał się do wszystkiego? To dlaczego nie aresztowali go w pokoju na górze? Nie, to bez sensu. Skąd więc ta nagle zwłoka? A może przesadza? Cokolwiek to jest, będzie musiał się tłumaczyć, zanim pozwolą mu opuścić budynek. Johnson czekający w samochodzie widział, co się dzieje, ale umówili się, że jeśli powstaną jakieś problemy podczas jego pobytu w hotelu, nie zrobi niczego pochopnie. Pewnie, można by zastrzelić obu żołnierzy i uciec, ale jak daleko zajedzie tym służbowym wozem? A takie impulsywne działanie może narazić na niebezpieczeństwo resztę grupy. Kiedy w Gibraltarze wyrażał zgodę na udział w tej misji, zdawał sobie sprawę z ryzyka. Teraz musi jakoś wyjść cało z opresji. Łatwiej powiedzieć, niż zrobić, ale nic innego mu nie pozostało... — *Sturmbannführer* Schenk? — zapytał czyjś głos za jego plecami.

Na widok starszego oficera Ravallo wyciągnął ramię w nazistowskim pozdrowieniu.

Poznał Studenta, którego widział na fotografiach sztabowców Kesselringa, dostarczonych mu przez MI w Waszyngtonie. Student dotknął dwoma palcami daszka czapki, a potem wyciągnął do niego dłoń.

Ravallo mocno ją uściskał.

— To dla mnie zaszczyt spotkać żywą legendę, *Herr General* — powiedział, roztaczając cały urok, z jakiego słyszał Schenk w kontaktach z oficerami wyższymi stopniem.

— Nie mieliśmy pojęcia, że przybędzie pan tu dzisiaj, Schenk — rzekł Student.

— Usiłuję w miarę możliwości nie uprzedzać nikogo, dokąd się wybieram, *Herr General*— odparł Ravallo. — Na tym polega moja praca.

— Jestem tego pewien — powiedział Student z miłym uśmiechem. — Proszę, niech zajdzie pan do mojego biura. Tam możemy spokojnie porozmawiać.

Ravallo zerknął i zegarek.

— Z całym szacunkiem, *Herr General*, ale czas mnie nagli. Miałem wpaść tu tylko na chwilę, żeby sprawdzić ochronę hotelu.

— Wspaniale. Szczerze interesuje mnie opinia gestapo o naszych środkach bezpieczeństwa. Jestem zawsze otwarty na konstruktywną krytykę

— Oczywiście, *Herr General* — odrzekł Ravallo. Nie miał wyboru. Poszedł za Studentem do gabinetu dyrektora, gdzie wskazano mu fotel pod ścianą.

Student zasiadł za biurkiem i skinął na Scherla, a potem zwrócił się do gościa.

— Napije się pan czegoś?

— Nie, dziękuję *Herr General*.

— Przynieś mi aperitif, który zostawiłem w barze — rzekł Student do Scherla. Było to umówione hasło, żeby sprowadził tu Riedlera i Frankego i postawił przed gabinetem dwóch żołnierzy, z dala od drzwi. Wprawdzie Ravallo ze swojego miejsca i tak nie mógłby ich dostrzec, lecz Student nigdy nie lubił niepotrzebnego ryzyka. Zaczekał, aż Scherl wyjdzie, a potem spojrzął na Ravalla. — Niech mi pan powie, Schenk, co pan sądzi o naszych środkach bezpieczeństwa?

— Z tego, co widziałem, panie generale, nie mam im nic do zarzucenia. Zresztą wcale nie oczekiwałem, że znajdę tu jakieś zaniedbania. Nie, skoro to pan troszczy się o bezpieczeństwo tego hotelu.

— Och nie, nie' — szybko wyprowadził go z błędu Student. — Przybyłem tylko na naradę. Konferencję ubezpiecza trzeci regiment oddziałów spadochronowych pod dowództwem majora Riedlera. Może pan o nim słyszał. Wśród spadochroniarzy jest niemal legendą.

— Słyszałem o nim, lecz nigdy go nie spotkałem — rzekł Ravallo.

— O wilku mowa — powiedział Student. W drzwiach stał Riedler. Student gestem poprosił go do środka i przedstawił mu Ravalla. Potem spojrzął na wchodzącego Frankego. — A to zastępca majora Riedlera. Kapitan Jürgen Franke.

Franke zasalutował Ravallowi.

— Wiele o panu słyszałem. Byłem w szkole oficerskiej w Bawarii, w trzydziestym siódmym. Uważano tam pana za jednego z najlepszych szermierzy, jacy kiedykolwiek opuścili jej mury.

— To było dawno temu — odparł Ravallo. — Niestety, teraz rzadko mam okazję poćwiczyć.

— Pamiętam, że instruktor szermierki, Steffenberg, żywił dla pana wielki podziw — powiedział Franke.

— Steffenberg? — powtórzył Ravallo marszcząc brwi i szybko odtwarzając w pamięci część dossier Schenka dotyczącą jego pobytu w akademii. — To był wykładowca taktyki wojskowej. Chyba chodzi panu o Siegfrieda Preussa? On przez długie lata był starszym instruktorem szermierki.

— Rzeczywiście odrobił pan swoją pracę domową, przyznaję — rzekł Franke, a potem wyjął z kabury walthera i wycelował w Ravalla. — To nie jest Otto Schenk, panie generale.

— Jak śmiesz...

— Dość tego! — uciął ostro Student, a Riedler już odbierał Ravallowi pistolet. — Przeszukać go.

Franke pchnął Ravalla na ścianę, przycisnął lufę do jego karku, po czym starannie go obszukał. Znalazł sztylet przymocowany do przedramienia i miniaturowy aparat ukryty w

wewnętrznej kieszeni munduru. Przy bliższych oględzinach okazało się, że jeden guzik zawiera maleńki kompas, a drugi pastylkę cyjanku. Pozostałe guziki odrzucono, a te dwa, stanowiące obciążający dowód, umieszczono na biurku przed Studentem.

Ravallo ledwie zdążył złapać oddech, nie mówiąc już o próbie stawiania oporu, kiedy Franke fachowo go obszukiwał. Nagle, w ciągu kilku sekund, został całkowicie zdemaskowany. Skąd Franke wiedział, że on nie jest Schenkiem? Czyżby ci dwaj spotkali się kiedyś? Nazwiska Frankego nie było w dossier. Czy to miało coś wspólnego z akademią w Bawarii? Co prawda teraz, kiedy Franke rozszyfrował jego grę, nie miało to większego znaczenia. Nie było sensu dłużej udawać. Został pobity.

Student podrzucił w dłoni kapsułkę cyjanku, a potem spojrzał na Ravalla.

— Sądzę, że to trucizna. Dla kogo pan pracuje? Dla brytyjskiego wywiadu? Dla amerykańskiego MI?

Ravallo nie odpowiedział. Franke zacisnął w dłoni rękojeść pistoletu i mocno uderzył go w brzuch. Potem, gdy Ravallo zgiął się wpół, złapał go za włosy, zmuszając, by spojrzał na generała.

— Odpowiedz generałowi.

— Franke, wystarczy! — warknął Student. — Jego szofer siedzi w służbowym samochodzie przed hotelem. Zgarnijcie go, ale nie chcę, żebyście używali siły. Jeśli ich koledzy obserwują hotel, nie mogą podejrzewać, że dzieje się coś złego. Powiedźcie mu, że Schenk został zaproszony do baru przez marszałka Kesselringa. Zaproście i jego. Tylko bez użycia siły. Zrozumiano?

— Tak jest, panie generale. — Franke opuścił pokój.

Riedler popchnął jeńca na fotel i cofnął się, na wypadek gdyby podjął desperacką próbę odebrania mu pistoletu. Student włożył kapsułkę cyjanku z powrotem do guzika, a potem podniósł miniaturowy aparat fotograficzny i powoli obrócił go w rękach.

— Niech mi pan powie, co jest na filmie?

Milczenie.

Wzruszył ramionami.

— Wkrótce wywołamy ten film. Podejrzewam, że jest na nim zawartość teczki, którą miał otrzymać marszałek Kesselring.

— Jeśli to prawda, panie generale, to oznacza, że musiał być w to zamieszany ten włoski łącznik — odpowiedział Riedler.

— Sprowadźcie go tutaj — polecił Student.

Riedler wezwał do pokoju jednego ze spadochroniarzy i przekazał mu rozkaz Studenta. Zaczekał, aż żołnierz odejdzie, a potem wskazał na czarne rękawiczki Ravalla.

— Zdejmij je.

Ravallo wiedział, o czym myśli Riedler. Przez chwilę wahał się, czy usłuchać, ale pojął, że opór nie ma sensu. Zdejmą mu rękawiczki, z jego zgodą czy bez. Ściągnął je i rzucił na biurko. Riedler uśmiechnął się kącikiem ust na widok bandaża, ciasno owiniętego wokół jego lewej ręki.

— Co to takiego, Riedler? — spytał Student.

— Wiem, co to za jeden, panie generale. Major Nicholas Ravallo. Amerykański wywiad wojskowy.

— Skąd pan to wie? — zdziwił się Student.

— Gestapo otrzymało informację, że Ravallo kilka dni temu został ranny w rękę, podczas nalotu Luftwaffe na bazę lotniczą na Malcie. Przekazali nam tę informację, kiedy tu przybyliśmy. To musi być on, panie generale.

— Pan jest majorem Ravallem? — zapytał Student. Nie otrzymał odpowiedzi. — Gdzie jest

Otto Schenk? Nie żyje? — pytał dalej Student, pochylając się i opierając obiema rękami o biurko. Ravallo wciąż milczał. — Skąd wiedzieliście o dzisiejszej naradzie?

Milczenie.

— Majorze, w pańskim własnym interesie powinien pan ze mną współpracować. Inaczej będę zmuszony przekazać pana gestapo w celu dalszego przesłuchania. Tego pan chce?

Żadnej odpowiedzi. Student odetchnął głęboko i usiadł.

— Będzie pan mówił. Tak czy inaczej, będzie pan mówił. Mogę to panu obiecać.

W drzwiach pojawił się Neville Johnson, z rękami splecionymi na głowie. Franke szedł tuż za nim, wbijając mu w plecy lufę walthera. Rzucił na biurko guziki oderwane od munduru Johnsona, oraz jego broń i sztylet, po czym brutalnie pchnął go w kierunku siedzącego na krześle Ravalla.

— Nic nie mów — powiedział mu po włosku Ravallo.

— Co takiego, majorze? — zapytał Student. Oczywiście, znów nie otrzymał żadnej odpowiedzi. Spojrzał na Frankego. — Były jakieś kłopoty z kierownicą?

— Żadnych, panie generale. Zrewidowałem go w foyer.

— Będzie pan równie uparty jak major Ravallo? — zapytał Student Johnsona. Nie zobaczył w jego oczach nawet błysku zdziwienia, kiedy wymienił nazwisko Ravalla. Byli naprawdę dobrzy. Student wiedział jednak, jak ich złamać. Podniósł słuchawkę i poprosił, żeby połączono go z pułkownikiem Ernstem Brauschem z kwatery gestapo przy Piazza Bologna.

— Nie podoba mi się to — powiedział ostrożnie McIndoe.

— Nie wiemy na pewno, czy tam się stało coś złego — odparła Stella. Siedzieli oparci plecami o ścianę dzwonnicy, niewidoczni z ulicy.

— Nicky powinien już tu być dziesięć minut temu. I dlaczego Johnson wszedł do hotelu? Tego nie było w planie.

— Wszedł tam dobrowolnie — przypomniał Hillyard, spoglądając na pustą limuzynę, nadal zaparkowaną przed hotelem. — Gdyby były jakieś kłopoty, stawiałby opór. Choćby po to, żeby nas ostrzec.

— Niemcy chcieliby, żebyśmy właśnie tak myśleli, gdyby ich schwytali — ostudził go McIndoe. — Domyśliliby się, że obserwujemy budynek. Czy jest lepszy sposób, aby upewnić nas w poczuciu fałszywego bezpieczeństwa, niż zaprosić Neville'a niewinnie, żeby wszedł do środka? Teraz nie wiemy, co się tam dzieje, prawda?

— Jeżeli podejrzewają, że tu jesteśmy, dlaczego nie obstawili całego terenu, żeby nas złapać? — spytała Stella.

— Daj im trochę czasu.

— Myślę, że przesadzasz, Sam — stwierdziła Stella. — A zresztą, dlaczego coś miałyby źle pójść? Nikt nie podważy autentyczności listu, który ma przy sobie Nicky. Nie, myślę, że on właśnie w tej chwili popija z Kesselringiem. To w jego stylu.

— Nie jestem tego taki pewny — oznajmił Hillyard, wyciągając szyję, żeby spojrzeć na ulicę.

— Co się dzieje? — zapytał szybko McIndoe.

— Ciężarówki z żołnierzami, panie poruczniku. Dwie. Obie jadą w tym kierunku.

— Wiedziałem! — McIndoe skoczył ku schodom wiodącym do kaplicy i zbiegał po nich, dopóki nie zobaczył podłogi na dole. Z miejsca, gdzie stał, nie mógł dostrzec Evansa, ale wiedział, że Walińczyk pilnuje głównych drzwi.

— Taffy? — syknął, nie chcąc mówić głośno, żeby nie usłyszano go na zewnątrz. Wątpił, czy ktoś zdołałby go usłyszeć przez warkot nadjeżdżających ciężarówek, lecz nie było powodu ryzykować. Evans nie odpowiadał. — Taffy? — powtórzył, tym razem nieco głośniej. Usłyszał odgłos zbliżających się kroków i tuż pod nim pojawił się Evans. McIndoe gestem kazał mu iść za sobą, wrócił na dzwonicę i przykucnął obok Stelli. Skierował wzrok na Hillyarda. — Co się tam dzieje, Bruce?

— Jedna z ciężarówek stanęła, panie poruczniku. Zaparkowała po drugiej stronie drogi, około trzystu metrów od kościoła. Drugi wóz przejechał przez blokadę i teraz zbliża się do hotelu.

— Czy z pierwszego samochodu wysiadają żołnierze?

— Nie, jeszcze nie, panie poruczniku. Widzę tylko dwóch żołnierzy na przednich siedzeniach. Jednak nikt nie wysiada z tyłu.

Na schodach pojawił się zdyszany Evans. Przykucnął i z rosnącym niepokojem wysłuchał relacji o wypadkach na ulicy w dole.

— Wszyscy znacie przepisy — powiedział McIndoe na koniec. — Musimy przerwać operację, zanim cała okolica zarozi się od żołnierzy.

— Nigdzie nie idę — oświadczyła Stella.

— Co ty mówisz? — zeźlił się McIndoe. — Byłaś przy tym, jak Starr dał nam rozkaz przerwać...

— Do diabła ze Starrem i jego rozkazami — ucięła ostro Stella. — Dobrze wiesz, co się stanie

z Nickym i Johnsonem, jeśli przekażą ich gestapo. Będą torturowani przez wiele dni, a potem straceni. Sam najlepiej wiesz, jak gestapo nienawidzi alianckich szpiegów. Idźcie, jeśli chcecie, ale niech mnie diabli, jeżeli zostawię ich samych.

— Ja tu dowodzę, Stello — rzekł McIndoe, z trudem powściągając gniew. — Jeśli zignorujesz mój rozkaz, po powrocie na Maltę staniesz przed sądem polowym.

— Zaryzykuję — odparła, wytrzymując jego gniewny wzrok.

— Ja także — powiedział spokojnie Evans. — Jestem z panią, panienko. Trzeba ich wyciągnąć stamtąd, zanim wpadną w pazury gestapo.

McIndoe oparł się plecami o ścianę.

— To równoznaczne z buntem, czy zdajecie sobie z tego sprawę? Czy to nic dla was nie znaczy?

— Lepiej niech pan już idzie, jeśli chce pan dotrzeć do kryjówki, zanim Niemcy ściągną tu więcej żołnierzy, panie poruczniku — powiedział Evans, ignorując wybuch McIndoe.

Szkot z niedowierzaniem spojrział na Evansa. Mógłby zrozumieć, gdyby Hillyard nie usłuchał rozkazu. Ale Taffy? Nie do wiary. Miał zamęt w myślach. Nie było czasu, żeby ich przekonywać. Już podjęli decyzję. Teraz jego kolej. Albo postąpi zgodnie z przepisami i wróci sam na MTB, albo dołączy do nich i narazi się na gniew Starra po powrocie na Maltę. Wiedział, że jeżeli teraz odejdzie, a oni nie wrócą, nigdy sobie tego nie wybaczą. Jednak za zignorowanie rozkazu Starra może zapłacić oficerskimi gwiazdkami. A nawet karierą. Karierą już uznaną przez niektórych na Baker Street za niezwykle obiecującą. Czas podjąć decyzję, powiedział sobie. Jesteś z nimi, czy nie?

— Kłopoty — zawołał przez ramię Hillyard, przerywając mu te rozważania.

— Co jest? — zapytała Stella, jakby przejmując dowodzenie nad zbuntowaną grupką.

— Na końcu drogi właśnie pojawiły się dwa samochody gestapo. Jadą w stronę hotelu. Eskortuje je transporter opancerzony, uzbrojony w standardowe działo dwudziestomilimetrowe i karabin maszynowy.

— Widocznie jadą do hotelu zabrać Nicky'ego i Johnsona na przesłuchanie do siedziby gestapo — powiedziała ponuro.

— Doskonale — oznajmił McIndoe. Wszyscy spojrzeli na niego, oczekując, że się wytłumaczy z tych słów. Pytająco uniósł brwi na widok ich zdziwionych min. — Wolelibyście odbijać ich z hotelu?

— Czy to oznacza, że jest pan z nami, panie poruczniku? — Evans wyszczerzył zęby w uśmiechu.

— Nigdy nie udałoby się to wam beze mnie — odparł sucho McIndoe.

— Dzięki, Sam — powiedziała cicho Stella. — Jeszcze mi nie dziękujcie. Musimy ułożyć jakiś sensowny plan wyrwania ich z łap gestapowców. I musimy to zrobić, zanim dotrą do siedziby gestapo, bo jeśli znajdą się w budynku na Piazza Bologni, będzie za późno, żeby ich ratować.

— Już mamy taki plan — oznajmiła Stella. — Opracowałam go wcześniej z Gianim, to znaczy Giancarlem Massimem, na wszelki wypadek. Sam, wystarczy, jeśli skontaktujesz się z nim przez radio i powiesz: „Przyślijcie doktora”. To wszystko. On będzie wiedział, co robić.

McIndoe już miał nacisnąć, wydobyć z niej bliższe szczegóły tego planu, ale szybko zrezygnował. Później przyjdzie czas na wyjaśnienia.

— Taffy, gdzie radiostacja?

— Zostawiłem ją w zakrystii, panie poruczniku. Chce pan, żebym ją przyniósł?

— Nie, połączę się stamtąd. To nie potrwa długo.

— Idę z tobą — powiedziała Stella.

— Nie trzeba — zaczął McIndoe i umilkł, przypominając sobie o umowie, jaką zawarł z nią i Ravallem na farmie. Nikomu nie wolno używać radiostacji bez asysty przynajmniej jednego z nich trojga. Choć teraz znaleźli się w kryzysowej sytuacji, mogącej kosztować ich życie, nagle z niezwykłą jasnością uderzyła go myśl, jak bardzo byli podzieleni pod złudną fasadą „zespołu”.

— Taffy, zaczekaj tu z Bruce'em.

— Myślę, że byłoby lepiej, gdybym zszedł z wami, panie poruczniku — zaproponował Evans.

— Nie.

— Przecież jeśli Niemcy zobaczą Stellę ubraną tak jak...

— Rób, co mówię!

Evans machnął ręką; oparł się o ścianę i patrzył, jak McIndoe idzie za Stellą, która już zniknęła w dole schodów.

Standartenführer Ernst Brausch czekał, aż szofer otworzy mu drzwiczki, i wysiadł z samochodu. Omiótł spojrzeniem grupę żołnierzy, którzy wyskoczyli z ciężarówki i czekali przy niej na dalsze rozkazy, a potem na obsadzone przez spadochroniarzy posterunki drogowe, rozstawione tak, aby zamknąć wszystkie drogi ucieczki w promieniu stu metrów od hotelu. To już coś, pomyślał i pstryknął palcami na młodszego oficera, który kręcił się w pobliżu. Razem weszli do hotelu, oficer krok za nim. W foyer czekał Student.

— Czy więźniowie powiedzieli coś od czasu, gdy pan do mnie dzwonił, *Herr General*? — zapytał Brausch.

Student potrząsnął głową.

— Nie możemy z nich wydobyć ani słowa. Dlatego pana wezwałem.

— Zmusimy ich do mówienia — stwierdził z przekonaniem Brausch. — Przed przybyciem tutaj skontaktowałem się z *Reichsführerem* Himmlerem w Berlinie. *Reichsführer* polecił mi użyć wszelkich możliwych środków i odnaleźć *Sturmbannführera* Schenka. Być może już nie żyje, sądzę jednak, że żywy przedstawia większą wartość dla wroga.

— Aresztowaliśmy również łącznika przydzielonego do tego hotelu. To włoski oficer, Pizzoni. Był bardziej skłonny do współpracy niż oni. Według jego relacji, ruch oporu zeszłej nocy porwał jego rodzinę, żeby zmusić go do pozostawienia w pokoju hotelowym teczek z planami, które sfotografował Ravallo. Ale myślę, że tkwi w tym znacznie głębiej. Skąd mogliby wiedzieć o konferencji, jak nie od informatora ulokowanego wewnątrz?

— Dowiemy się tego, kiedy przekaże nam go pan w celu przesłuchania, *Herr General*.

— Biercie go sobie, nam nie jest potrzebny. Muszę już pana pożegnać i zaraz powiadomić marszałka Kesselringa o wypadkach, jakie miały tu miejsce. Więźniowie są pod strażą w gabinecie dyrektora. Tam czeka na pana major Riedler. Wszystkie sprawy załatwi pan z nim.

— Oczywiście.

— Chcę być dokładnie informowany o wszelkich nowych faktach — powiedział Student. — Zostanę na noc w hotelu. Obojętnie o której godzinie, macie mnie powiadomić. Zrozumiano?

— Doskonale — odparł Brausch. Chłodny uśmiech wykrzywił jego wąskie wargi. — Przy środkach, jakie mam do dyspozycji, jestem pewny, że wycisnę z nich prawdę, zanim uda się pan na spoczynek. Będzie pan mógł spać spokojnie.

— Bardzo w to wątpię, Brausch — rzekł Student, kierując się do restauracji, gdzie oczekiwał Kesselring ze sztabowcami.

Brausch wszedł do gabinetu dyrektora i z roztargnieniem kiwnął głową w odpowiedzi na honory oddane mu przez Riedlera i Frankego. Interesowali go tylko skuci więźniowie w kącie pokoju. Uważnie przyjrzał się obu, a potem usiadł i urękawiczoną dłonią rozrzucił zawartość ich kieszeni, ułożoną w dwie kupki na biurku. Podniósł dokumenty przygotowane dla Ravalla

przez amerykański wywiad wojskowy. Ich jakość zrobiła wrażenie nawet na nim. Potem otworzył list od Himmlera i rozpoznał dokument, który Schenk pokazał mu poprzedniego wieczora w siedzibie gestapo.

Wygodnie rozsiadł się w fotelu, oparł brodę na splecionych dłoniach i spojrzał na więźniów. W końcu wbił wzrok w Ravalla.

— Majorze Ravallo, jestem *Standartenführer* Ernst Brausch, komendant tajnej policji na Sycylii. Ale pewnie pan już o tym wie. Nie mam ochoty patrzeć, jak załamuje się pan podczas przesłuchania, lecz jeśli uparcie nie będzie pan odpowiadał na pytania, nie będę miał wyboru. A proszę mi wierzyć, wszystko, co kiedykolwiek słyszał pan o naszych metodach przesłuchań, jest prawdą. Wydobędziemy z was prawdę, tak czy inaczej. Osobiście mam nadzieję, że wyjdziemy z tego impasu w cywilizowany sposób. Jednak to nie zależy ode mnie, prawda?

Nie było odpowiedzi. Zerknął na Riedlera.

— Wyprowadźcie dwóch pozostałych więźniów. Chcę porozmawiać z Ravallem w cztery oczy.

Franke brutalnie postawił Johnsona na nogi i wyprowadził go z pokoju. Riedler wypchnął na korytarz Pizzoniego i zamknął za sobą drzwi. Dwaj spadochroniarze stojący na warcie przed gabinetem złapali Pizzoniego i postawili twarzą do ściany. Johnson, któremu kazano zrobić to samo, kątem oka obserwował, jak Franke podszedł do Riedlera. Rozmawiali tak, żeby wartownicy nie mogli ich usłyszeć.

— Jak pan myśli, dlaczego chciał zostać sam na sam z Ravallem? — zapytał Franke.

— Nie wiem i szczerze mówiąc nie obchodzi mnie to — odparł Riedler. — Im prędzej ten drań się stąd wyniesie, tym lepiej dla wszystkich.

— Ja też z przyjemnością zobaczę plecy odchodzącego Ravalla — przytaknął Franke.

— Nie mówiłem o Ravallu — sprostował Riedler. Uśmiech na twarzy Frankego ustąpił miejsca zgrozie. — Wiem, że jest pan lojalny wobec swojej partii i ma pan do tego prawo. Pan szanuje takich ludzi jak Brausch. Ja nie. I jako zawodowy żołnierz nigdy nie będę szanował. Ale chyba pańscy zwierzchnicy powiedzieli panu o moich poglądach, zanim przydzielono pana do mojego oddziału.

— Nie wiem, o czym pan mówi, panie majorze — rzekł ze zdumieniem Franke.

— Chce mi pan powiedzieć, że nigdy nie był pan w SS?

— Byłem w SS w Afryce Północnej, panie majorze. Wie pan o tym. Jeśli jednak imputuje pan, że jestem czymś w rodzaju nasłanego szpiega... — Franke urwał i potrząsnął głową. — Nie, panie majorze. Jestem pańskim zastępcą, lojalnym wobec pana i tego oddziału.

— Cieszę się — odparł Riedler bez przekonania.

Drzwi gabinetu otworzyły się i Brausch wyprowadził Ravalla na korytarz. Oddał go w ręce dwóch spadochroniarzy, a potem podszedł do Riedlera i Frankego.

— Przed opuszczeniem Malty koledzy Ravalla otrzymali wyraźny rozkaz przerwania operacji, gdyby któryś z nich został złapany. Sądzę, że już opuścili ten teren i z podkulonymi ogonami wracają na Malte.

— Czy powiedział panu o tym Ravallo, *Herr Standartenführer*? — zapytał Franke.

— To nie pańska sprawa — odparł stanowczo Brausch. — Już wydałem rozkaz wzmocnienia środków bezpieczeństwa na dworcach, drogach i w portach całego kraju. Nie uciekną daleko.

Pstryknął palcami na spadochroniarzy pilnujących więźniów.

— Zabrać ich. Major Ravallo pojedzie moim samochodem. Porozmawiamy sobie po drodze.

Zaczekał, aż odprowadzą więźniów, a potem zwrócił się do Riedlera.

— Może pan być pewny, że zostanie wszczęte śledztwo w sprawie tak poważnego naruszenia bezpieczeństwa.

— Dobrze wiedzieć — odparł Riedler. — Nie mam nic do ukrycia.

— Cieszę się, ponieważ zamierzam nakłonić marszałka Kesselringa, aby pozwolił je prowadzić naszym ludziom. Najlepiej z Berlina. Będzie pan mógł wytłumaczyć się przed nimi.

— Jak powiedziałem, nie mam nic do ukrycia. I naprawdę nie wiem, skąd moi ludzie mieli wiedzieć, że Ravallo był oszustem. Gdyby nie czujność Frankego, Ravallo byłby uciekł. Sądzę, że śledztwo skoncentruje się raczej na tym, jak ruch oporu wszedł w posiadanie listu napisanego własnoręcznie przez *Reichsführera* Himmlera, a zezwalającego posiadaczowi na nieograniczony dostęp do obiektów wojskowych na Sycylii. Można by sądzić, zważywszy na charakter dzisiejszego spotkania, że miejscowe gestapo powinno być na tyle przewidujące, aby dostarczyć nam fotografię Schenka, zwłaszcza w świetle pańskich wcześniejszych ostrzeżeń o możliwości operacji SOE gdzieś na wyspie.

— Wiele o panu słyszałem, Riedler — rzucił pogardliwie Brausch. — O pańskim braku szacunku do zwierzchników. O tym, jak omija pan lub zuchwale ignoruje rozkazy. Po ataku na Kretę w ubiegłym roku może pan w niektórych kręgach być uważany za bohatera wojennego, ale mnie to nie obchodzi. Dla mnie jest pan po prostu zwykłym żołnierzem i mówiąc szczerze, nie podoba mi się pańskie nastawienie.

— Proszę mi wierzyć, że to uczucie jest wzajemne — odparł Riedler, a jego spojrzenie spoczęło na Żelaznym Krzyżu na piersi Brauscha. — Wie pan co, ja jeszcze pamiętam czasy, kiedy trzeba było zasłużyć na medale, ryzykując życie w walce o kraj. Widzę, że wszystko się zmieniło. Ostatnio w Berlinie najwidoczniej nie przejmują się tym, kogo odznaczają.

— Otrzymałem go za pomoc w oczyszczaniu Warszawy z Żydów — odparł urażony Brausch.

— Tak, wiem wszystko o heroizmie i odwadze gestapo podczas kampanii w Polsce. O aresztowaniu bezbronnych cywilów i rozstrzeliwaniu ich na oczach rodzin. Musi pan być naprawdę dumny z siebie.

— Jak pan śmie tak do mnie mówić! — warknął Brausch, trzęsąc się z wściekłości. Usiłując opanować furję, wycelował palec w Riedlera. — Tym razem posunął się pan za daleko. Zadbam o to, żeby pan stanął do raportu za niesubordynację. Dostanę pańską głowę, Riedler. Przysięgam.

— Na pańskim miejscu bardziej niepokoiłbym się o własną. Niech mnie pan sprostuje, jeśli jestem w błędzie, ale odniosłem wrażenie, że to pańscy ludzie mieli chronić Schenka podczas jego pobytu na wyspie. Jeśli to prawda, to fatalnie zawiedli, co? A z tego, co słyszałem, *Reichsführer* nie lubi tego rodzaju niekompetencji. Być może następnym razem zobaczymy się na froncie wschodnim. Kto wie, może nawet będzie pan miał okazję zasłużyć na ten medal.

Brausch zmierzył Riedlera wściekłym spojrzeniem, a potem energicznie odszedł korytarzem i zniknął im z oczu. Jeszcze przez chwilę niósł się stukot jego butów o posadzkę; wreszcie zapadła cisza. Franke z wyraźnym zauważalnym zdumieniem powiedział do Riedlera:

— Panie majorze, jeśli *Standartenführer* Brausch złoży na pana raport, może pan zostać pozbawiony dowodzenia nad oddziałem. Żaden trybunał wojskowy nie będzie tolerował takiej niesubordynacji wobec starszego stopniem oficera.

— Brausch jest skończony i wie o tym. Przewidując wynik dochodzenia, będzie zbyt zajęty próbami ocalenia własnego karku, żeby fatygować się składaniem raportu na mnie. A nawet gdyby to zrobił, sąd uzna to jedynie za bezpodstawne oskarżenia małego człowieczka, rozpaczliwie usiłującego utrzymać resztki odebranej mu władzy. — Riedler spojrział Frankemu w twarz. — Chyba że postanowi pan świadczyć przeciwko mnie, zapominając o dotychczasowej lojalności wobec swego dowódcy.

Franke uśmiechnął się do siebie, a potem uniósł głowę, jakby mówiąc do kogoś siedzącego na podium:

— Byłem szczerze zdumiony, gdy się dowiedziałem, że *Standartenführer* Brausch postanowił

złożyć raport o rzekomej niesubordynacji majora Riedlera. Byłem przy tym spotkaniu i twierdzę, iż major Riedler nie powiedział ani nie uczynił wtedy nic, co usprawiedliwiłoby takie oskarżenie. Natomiast pamiętam, że *Standartenführer* Brausch powiedział, że nie lubi majora Riedlera. Z jakiegoś powodu zdawał się mieć mu za złe jego sukcesy na polu walki. Nie chciałbym snuć jałowych spekulacji, wysoki sędzie, czyż jednak nie mogła to być zwykła złośliwość rozgoryczonego człowieka, szczególnie w świetle przeprowadzonego przez gestapo dochodzenia, które wykazało oczywistą nieudolność jego ludzi, mających chronić *Sturmbannführera* Schenka podczas wizyty na Sycylii?

— W razie potrzeby będzie pan kluczowym świadkiem — rzekł Riedler. — No cóż, mamy dziś jeszcze sporo do zrobienia.

Uśmiech zgasł na twarzy Frankego, gdy patrzył za odchodzącym Riedlerem. A więc major wiedział, że został nasłany przez SS, żeby go szpiegować. Ale nie wiedział, że zastępcy kazano przysyłać do Berlina miesięczne sprawozdania o postępowaniu dowódcy. Pogarda Riedlera dla partyjnej hierarchii gestapo i SS była przez wielu uważana za niebezpieczną i zaraźliwą dla ludzi pod jego komendą. A teraz on, Franke, miał broń, którą mógł zestrzelić Riedlera. Osobiście widział jego niechlubny popis niesubordynacji, co w połączeniu z raportem Brauscha pozwoli odpowiednim organom w Berlinie energicznie zająć się tą sprawą i postawić Riedlera przed sądem polowym. Wtedy on, Franke, wystąpi jako świadek oskarżenia. Stawka była wysoka. Obiecano mu dowództwo trzeciego oddziału spadochronowego, jeśli dostarczy zwierzchnikom udokumentowanych dowodów, pozwalających podciąć Riedlerowi skrzydła. A teraz miał dowód w rękę...

— Rzeczywiście, pomyśleliście o wszystkim — przyznał niechętnie McIndoe, kiedy Stella zapoznała go z planem odbicia Ravalla i Johnsona z rąk gestapo.

— Plan nie jest idealny, ale na lepszy nie było czasu.

— Nie uważasz, że powinniście mi o tym powiedzieć? W końcu pod nieobecność Nicky'ego ja tu dowodzę.

— Wiedziałam, że zawsze trzymasz się przepisów... No, przynajmniej dotychczas. Dlatego nie mogłam ryzykować. Wiceadmirał Starr wydał wyraźny rozkaz, żeby przerwać operację w razie wpadki Nicky'ego.

— Ona ma rację, panie poruczniku — wtrącił Evans. — Spójrzmy prawdzie w oczy. Na początku nie zapalił się pan zbyt do tego pomysłu, no nie?

— Nadal mam zastrzeżenia — powiedział McIndoe. — Ale nie mam wielkiego wyboru. Niech mnie diabli, jeśli będę błąkać się w pojedynkę po Sycylii, próbując wrócić na okręt. Nigdy bym tam sam nie dotarł.

— Niech pan da spokój i przyzna, że po prostu nie chce pan stracić zabawy — wyszczerzył zęby Evans.

— Tak to nazywasz? — McIndoe spojrzał na Hillyarda. — Co się tam dzieje, Bruce?

— Na razie nic, panie poruczniku — padła odpowiedź. — Żołnierze wysiedli już z obu ciężarówek, ale wciąż tylko stoją przy nich.

— Myślę, że czekają, aż gestapo opuści hotel, żeby rozpocząć przeszukiwanie terenu — rozważała Stella. — Lepiej dla nas, że stoją wszyscy razem. Łatwiej wpadną w zasadzkę.

— A więc partyzanci są na stanowiskach? — zapytał McIndoe, jakby potwierdzając to, co już od niej usłyszał.

— Są na stanowiskach od kilku godzin, na wszelki wypadek — odrzekła. — I jak już powiedziałam, wiedzą, co robić, kiedy przyjdzie czas. My mamy zająć się tylko Niemcami w samochodach osobowych. Resztę możemy zostawić im. Zanim Niemcy zdążą ściągnąć posiłki,

dawno nas tu nie będzie.

— Widzę ich — zawołał Hillyard. — Brausch właśnie wyszedł z hotelu. Wsiada do drugiego wozu. Ruszają.

— Chodźmy. — Stella, McIndoe i Evans ruszyli na schody. Stella przystanęła i obejrzała się na Hillyarda. — Wiesz, co masz zrobić?

— Załatwić obu wartowników przy posterunku drogowym, kiedy partyzanci zaatakują, a potem osłaniać was z wieży. — Hillyard zmarszczył brwi. — Jest pani zupełnie pewna, że partyzanci nie wezmą mnie za Müllera... to znaczy, za szkopa? Nie chcę, żeby jakiś cholerny snajper wpakował mi kulę w plecy.

— Ile razy mam ci powtarzać, Bruce? Wiedzą, że jesteś jednym z nas.

— Boże, mam nadzieję, że ma pani rację.

Zbiegła po schodach i dogoniła McIndoe i Evansa przy głównych drzwiach. Dłoń McIndoe spoczywała już na ciężkiej zasuwie.

— Zaraz rozpęta się tu piekło — powiedziała, oblizując wyschnięte wargi, gdyż napięcie rosło z każdą sekundą.

— Przynajmniej w ten sposób nic nas nie ominie — rzekł McIndoe.

— Możesz być tego pewny — odparła. — Życzę wam szczęścia. Obu.

— Szczęście jest dla amatorów, jak mówi Nicky — powiedział z uśmiechem McIndoe, usiłując ukryć niepokój.

— Teraz przydałoby się go jak najwięcej — stwierdził Evans, niespokojnie zerkając w kierunku Stelli. — Mam wrażenie, że będzie nam potrzebne.

Ravallo dostrzegł błysk niepokoju na twarzy Brauscha, gdy jadący na czele małej kolumny specjalny transporter opancerzony gestapo ostro zahamował. Z bocznej uliczki koło kościoła wyłonił się koń z klapkami na oczach. Ciągnął rozklekotany wóz; lejce trzymał stary człowiek w czapce z daszkiem i wytartej kapocie. Starzec zdawał się wcale nie zauważać opancerzonego pojazdu, dopóki kłapa wjazdu nie odchyliła się, odsłaniając młodszego oficera, który wściekle ryknął na wieśniaka, żeby zjechał z drogi.

Ravallo stracił już nadzieję, że to zasadzka — grupa otrzymała rozkaz przerwania operacji, jeśli go złapią. Początkowe zaniepokojenie Brauscha minęło; widać, że nic nie zagraża konwojowi. Wciąż jednak mocno ścisnął walthera w urękawiczonej dłoni i nieustannie rozglądał się na boki, gdy młodszy oficer w opancerzonym pojeździe wrzeszczał na starca, który rozpaczliwie usiłował cofnąć wóz z powrotem w uliczkę. Nagle Ravallo zobaczył czterech niemieckich żołnierzy, którzy wybiegli zza rogu i rzucili się do starca, nadal szamoczącego się z koniem. Jeden z żołnierzy był oficerem, chyba kapitanem, lecz Ravallo nie widział jego twarzy osłoniętej daszkiem czapki.

Brausch opuścił szybę i krzyknął do oficera, żeby oczyścił drogę. Oficer odwrócił się do Brauscha, salutując mu, a Ravallo dopiero wtedy zobaczył jego twarz. Przez moment pomyślał, że wzrok go zawodzi. Przysiągłby, że to Venucci! Potem światło latami na ułamek sekundy oświetliło twarz tamtego. To był Venucci.

Myśli jak szalone przemykały przez głowę Ravalla, który poczuł nagły przypływ nadziei, lecz nie pozwolił, aby jego nieruchoma twarz zdradziła jakiegokolwiek emocje. Patrzył, jak Venucci gestem nakazuje starym zejść z kozła. Jeden z żołnierzy pomógł starcowi zsiąść z wozu, a gdy wieśniak poczłapał w kierunku bocznej uliczki, Venucci z pistoletem w dłoni błyskawicznie odwrócił się do transportera i zastrzelił młodszego oficera. Jakiś partyzant wskoczył na burtę wozu, wrzucił odbezpieczony granat przez otwarty luk, a potem zatrzasnął klapę i zeskoczył z powrotem na ulicę.

Brausch już wrzeszczał do kierowcy, żeby wycofał wóz z zasadzki, kiedy ziemia zatrzęsała się od wybuchu granatu w opancerzonym pojeździe. Siła eksplozji odrzuciła klapę wjazdu i ze zniszczonego transportera buchnął w niebo czarny kłęb dymu. W tym momencie partyzanci ukryci w oknach i na dachach okolicznych budynków otworzyli ogień.

Grad kul spadł na bezradnych niemieckich żołnierzy, zebranych wokół dwóch ciężarówek. W ciągu kilku sekund ulica zmieniła się w pobojuisko. Huk strzałów ogłuszającym echem odbijał się od murów. Ravallo obejrzał się, gdy szofer rozpaczliwie usiłował wrzucić wsteczny bieg, i zobaczył dwóch spadochroniarzy z posterunku drogowego. Biegli w stronę kościoła. Jeden potknął się i upadł na kolana, przyciskając ręce do piersi. Na jego twarzy malował się wyraz ogromnego zdumienia, gdy runął na bruk. Jego towarzysz skierował lufę pistoletu maszynowego ku dzwonnicy, lecz zanim zdążył strzelić, on również został trafiony. Zatoczył się w tył, a kolejna kula przeszła mu pierś. Ravallo nie miał pojęcia, kto strzelał, lecz strzelec robił to naprawdę dobrze.

Kierowca zdołał wreszcie wrzucić wsteczny bieg i opony zaprotestowały piskiem, gdy dodał gazu, zamierzając cofnąć się i odblokować pierwszy samochód. Ten również warknął silnikiem, czekając na swoją kolej. Ravallo zobaczył, jak drzwi kościoła otwierają się na oścież i wypadają z nich McIndoe, Evans i Stella. Evans unieruchomił pierwszy wóz, przestrzeliwując obie tylne opony.

— Wynoś się stąd! — wrzasnął Brausch do szofera, ale było już za późno; Ravallo poczuł, jak wóz osiada pod nimi. To McIndoe przestrzelił przednie koła. Stella podbiegła z tyłu i przedziurawiła również tylne opony.

Kierowca i oficer z drugiego wozu otworzyli drzwiczki i wyskoczyli na drogę, wykorzystując opancerzone drzwi jako osłonę. Evans i Stella byli zmuszeni wycofać się do kościoła, bo seria kul trzasnęła w schody, na których teraz stali. McIndoe uskoczył za róg, gdzie został skutecznie zablokowany ogniem prowadzonym przez kierowcę. Nagle szofer krzyknął i wychylił się zza drzwiczek. Kula snajpera trafiła go w ramię. McIndoe przetoczył się po ziemi i ściął go krótką serią.

Ravallo zauważył, że oficer z przerażeniem spogląda na dzwonnice. Właśnie kierował ku niej broń, gdy pocisk trafił go w czoło. Pizzoni wygramolił się z tylnego siedzenia. Ravallo widział, jak Włoch z przerażeniem rozgląda się wokół, a potem ucieka w boczną uliczkę, poruszając się niezdarne. Miał skute ręce. Z cienia przed nim wyłoniła się jakaś postać. Stella? Amerykanin spojrzął na drzwi kościoła, gdzie stała przed chwilą. Kimkolwiek była ta kobieta, była ubrana tak samo jak Stella. Usłyszał, jak ostrzegawczo krzyczy do biegnącego ku niej Pizzoniego. W tym momencie Ravallo rozpoznał ją. Gina Roetta. Pizzoni zignorował ostrzeżenie, mocno uderzył ją barkiem w pierś i przewrócił na ziemię. Prawie stracił równowagę, ale jakoś zdołał utrzymać się na nogach. Biegł dalej uliczką. Dziewczyna złapała upuszczony pistolet maszynowy i skierowała lufę na uciekającego. Tym razem bez ostrzeżenia wpackowała mu kulę w plecy.

— Zamknij drzwi — rozkazał Brausch kierowcy, wbijając pistolet w żebra Ravalla. — Nie dostaną się do środka. Możemy utrzymać się do czasu przybycia posiłków.

— Lepiej módl się o to, żeby przybyły szybko — powiedział Ravallo z szyderczym uśmiechem.

— Samochód jest opancerzony i ma kuloodporne szyby — odparł Brausch. — A jeśli twoi przyjaciele próbują jakichś sztuczek, ty umrzesz pierwszy.

— Patrzcie! — wrzasnął przerażony szofer. To Evans i McIndoe podeszli do jego drzwi, trzymając peemy wycelowane w szyby.

Ravallo rozpoznał czarne pudełeczko, które Evans wyjął z zarzuconego na ramię plecaka. Tak zwany małż — mina magnetyczna używana przez siły specjalne do niszczenia samochodów,

lekkich czołgów i małych łodzi. Nie miał pojęcia, jak podziała na pancerną karoserię limuzyny, ale wątpił również, czy Niemcy to wiedzą. Evans przyczepił urządzenie do drzwi kierowcy i starannie umieścił dwie cienkie żółte fiolki zapalnika czasowego w otworach na wierzchu miny. Potem ścisnął miedziane końcówki rurek, zgniatając fiolki i aktywując ładunek. Mina zaraz wybuchnie. Evans odszedł od drzwi i podniesionym palcem wskazującym dał znak McIndoe. Obaj cofnęli się na bezpieczną odległość, nisko pochyleni, gdyż wokół wciąż trwała strzelanina. Ravallo wiedział, że rurki oznaczano sześcioma różnymi kolorami, w zależności od opóźnienia eksplozji. Żółte były sześciogodzinne. Uniesiony palec Evansa sugerujący jednonminutową zwłokę był blefem obliczonym na zmylenie Niemców. Czy podziała?

— Panie pułkowniku, jeśli to wybuchnie...

— Nie odważą się tego zdetonować — uciał ze złością Brausch, ocierając pot z czoła urękawiczoną dłonią. — Wiedzą, że mogliby zabić Ravalla, zamiast go uwolnić. Nie zadaliby sobie tyle trudu tylko po to, żeby go wykończyć.

— Na pewno wolą mnie zabić, niż pozwolić, aby przesłuchiwali mnie twoi rzeźnicy — odparł Ravallo.

— Milcz! — krzyknął gestapowiec, mocniej wbijając mu lufę w żebra.

— Panie pułkowniku, nie możemy tak siedzieć. Musimy wysiąść, zanim bomba wybuchnie — błagał kierowca.

— Nie ruszaj się z miejsca. To rozkaz!

Oczy szofera nerwowo spoglądały na ponurą twarz Brauscha widoczną we wstecznym lusterku.

— Panie pułkowniku, musimy...

— Ani słowa więcej! — ryknął wściekle Brausch, ciężko dysząc. — Czy oni nie widzą, że to pancerne drzwi? Nie uda im się ich rozbić.

— No to czym się martwisz? — zakpił Ravallo.

— Jeśli zdetonują ten ładunek, zabiję cię. Przysięgam, że cię zabiję — groził Brausch.

— A ja myślałem, że jestem jedyną gwarancją waszego bezpieczeństwa. Wygląda na to, że myliłem się.

— Nie mogę tak tu siedzieć! Nie mogę! — wrzasnął kierowca i złapał za klamkę.

Brausch wycelował i strzelił mu w plecy. Szofer osunął się na drzwi, które jednak zdążył odblokować; jego ciało wypadło na ulicę. Ravallo wykorzystał szansę i z całej siły uderzył Brauscha bykiem w twarz. Rozległ się ohydny chrzęst i gestapowiec wrzasnął z bólu — czoło Amerykanina zmiażdżyło mu nos. Zalany krwią, wypuścił z ręki walthera. Rozpaczliwie usiłował podnieść pistolet z podłogi, lecz Ravallo mocno przydepnął mu dłoń. Brausch znów krzyknął z bólu i rąbnął wolną ręką Amerykanina w policzek, ale gdy chciał znowu sięgnąć po broń, zobaczył, że Stella i McIndoe już stoją w otwartych drzwiach, trzymając go na muszce. Powoli usiadł, podnosząc ręce do góry. Ravallo zerknął na niego kątem oka i pozwolił sobie na uśmiech satysfakcji. Brausch obrzucił go wściekłym spojrzeniem, arogancki do końca. Jednak stracił już chęć do walki.

Stella otworzyła tylne drzwiczki. Pomogła Ravallowi wysiąść z samochodu, a potem gestem kazała Brauschowi pójść w jego ślady. Gestapowiec przesunął się po siedzeniu i ostrożnie wyszedł na ulicę. Znalazłszy się na zewnątrz, sięgnął do kieszeni.

— Nawet nie próbuj! — McIndoe wbił mu w żołądek lufę pistoletu maszynowego. — Obie ręce na głowę!

— Chciałem wyjąć chusteczkę — odparł Brausch, któremu krew płynęła z nosa.

— Powiedziałem, ręce na głowę! — powtórzył McIndoe. Brausch usłuchał. — Gdzie klucze

od kajdanków?

— W kieszeni mojego munduru — rzekł chłodno Brausch. Stella rozpięła kieszonkę na jego piersiach i wyjęła z niej klucze.

Otworzyła kajdanki Ravalla, a potem rzuciła kluczyki Evansowi, żeby uwolnił z nich Johnsona, który już schronił się w kościele. Ravallo podniósł broń z podłogi samochodu.

— Jestem *Standartenführer* Ernst Brausch i jako wasz jeniec domagam się traktowania zgodnie z postanowieniami konwencji genewskiej.

— Pewnie, ty draniu — warknął Ravallo i przystawił mu pistolet do skroni.

— Nie, Nicky, nie... — zawołał rozpaczliwie McIndoe wyciągając rękę, żeby go powstrzymać, ale Ravallo już nacisnął spust. Instynktownie osłonił twarz ręką przed bryzgami krwi i z niemą zgrozą patrzył, jak impet kuli odrzuca gestapowca w bok. Runął na samochód, a potem bezwładnie osunął się na bruk. Ramiona i nogi zadrgały konwulsyjnie, krew utworzyła sporą plamę wokół potylicy. Potem ciało Brauscha znieruchomiało, a głowa opadła na bok, w kałużę krwi.

— Jezu Chryste, zastrzeleś go z zimną krwią — powiedział z niedowierzaniem McIndoe, patrząc na zabitego. Nie zdawał sobie sprawy z tego, że użył ojczyzkiego języka. Kiedy odezwał się znowu, mówił głośniej. Ze złością. Po niemiecku. — Mogliśmy wykorzystać go jako zakładnika, żeby się stąd wydostać. Spójrz na niego. W tym stanie na nic nam się nie przyda. Co, do diabła, w ciebie wstąpiło, Nicky? Nie jesteś wcale lepszy od nich, wiesz?

— Wystarczy, Sam. — Stella chwyciła go za ramię. — Potem sobie pogadacie. Teraz musimy zniknąć stąd, zanim przybędą niemieckie posiłki. Chodźcie już, obaj.

Ravallo obszukał Brauscha, choć bez większej nadziei na odzyskanie miniaturowej kamery. Wcale się nie zdziwił, kiedy jej nie znalazł. Wiedząc, jak ważny materiał znajduje się na filmie, Student nie mógł pozwolić, aby wpadła w ręce Brauscha. Ravallo wepchnął broń do pustej kabury u pasa i pospieszył za Stellą, która już zniknęła w zaułku. Evans dał znak Hillyardowi na dzwonnicy, że się wycofują. Wyjął z plecaka granat, odbezpieczył, wrzucił do baku wozu Brauscha i szybko schronił się za najbliższym rogiem. Przywarł do muru; sekundę później usłyszał eksplozję. Zaczekał, aż huk ucichnie, a potem ostrożnie wyjrzał. Skręcony wrak samochodu, płonący żywym ogniem, skutecznie tarasował jezdnię. Rozbity transporter opancerzony blokował przejazd w przeciwnym kierunku. To powinno dać trochę czasu na ucieczkę partyzantom, którzy mieli wiązać Niemców ogniem, dopóki oni nie opuszczą tego terenu. Evans popędził uliczką i niemal wpadł na wybiegającego z drzwi zakrystii Hillyarda, który w jednej ręce trzymał karabin, a w drugiej plecak z radiostacją. Triumfalnie uśmiechnęli się do siebie i wpadli w przyległą uliczkę, gdzie czekała na nich ciężarówka z włączonym silnikiem. McIndoe, klęczący najbliżej opuszczonej klapy, wyciągnął rękę i pomógł Evansowi wejść na pakę. Hillyard podał mu radionadajnik, a potem sam wskoczył na górę. Stella uderzyła dłonią w szklaną szybę w tylnej ścianie szoferki. Kierowca, taksówkarz doskonale znający miasto i okolice, pomachał jej ręką i wóz z warkotem pomknął bocznymi uliczkami. Taksiarz znalazł najszybszą i najbezpieczniejszą drogę do kryjówki w kwartale Capo, nędznej dzielnicy byle jakich bud, nieustannie osiadających z powodu gęstej sieci biegnących pod ziemią kanałów i rzek.

McIndoe spojrział na Ravalla, który z pochyloną głową siedział na ławce naprzeciw niego. Już miał do niego podejść, gdy Stella uprzedziła go i odciągnęła w kąt, gdzie Ravallo nie mógł ich słyszeć. Usiedli obok siebie. Położyła mu dłoń na ramieniu.

— Zostaw go, Sam. Ja też nie wiem, co w niego wstąpiło. To zupełnie do niego niepodobne. Jeszcze dziś rano sprzeciwiał się egzekucji tych niemieckich żołnierzy. Ale teraz nie czas na oskarżenia. Trzeba go zostawić jego własnym myślom, niech się zastanowi nad tym, co zrobił. —

Zauważyła, że McIndoe spogląda ponad jej ramieniem na Ravalla. — Proszę, Sam. Daj mi spokój, przynajmniej dopóki nie dojedziemy do kryjówki.

McIndoe oparł się o metalowy wspornik.

— Jeśli już o to chodzi, nie mam odpowiednich uprawnień, żeby kwestionować jego motyw. Jest moim dowódcą. Ale jak zacznę podejrzewać, że się załamuje pod presją, mam prawo odebrać mu dowodzenie.

— Chyba do tego nie dojdzie? — spytała Stella niespokojnie.

— Jeszcze nie wiem, ale gdyby musiało dojść, mam nadzieję, że mogę liczyć na twoją pomoc. Wiem, że moi ludzie staną po mojej stronie.

Wbiła wzrok w podłogę, a potem niechętnie skinęła głową.

— Tak — powiedziała ledwie słyszalnym szeptem. — Poprę cię.

— Wejść! — zawołał Kesselring w odpowiedzi na mocne pukanie do drzwi.

Riedler wszedł do gabinetu i wyprężył się na baczność. Marszałek siedział za biurkiem dyrektora hotelu. Student przysiadł na skraju fotela pod ścianą, trzymając dłonie na kolanach.

— Spocznij, Riedler — powiedział Kesselring.

— Co pan dla nas ma? — zapytał Student, opierając się wygodnie w fotelu i zakładając ręce na piersi.

— Wstępne zestawienie strat, panie generale — odparł Riedler, pokazując kartkę papieru. — Oczywiście, na razie nie można ustalić dokładnej liczby...

— Niech pan mówi, co pan wie! — przerwał mu zwięźle Kesselring.

— Tak jest, panie marszałku. Wstępne dane są następujące: dwudziestu dziewięciu zabitych, w tym *Standartenführer* Brausch i jego siedmioosobowa eskorta. Osiemnastu rannych. Znalezione trzech zabitych partyzantów, a dwóch dalszych schwytano. Oczywiście, spodziewamy się znaleźć więcej ciał, kiedy posiłki wezwane z miejscowych koszar przeczeszą okoliczne budynki.

— Trochę na to za późno, prawda? — rzekł ze złością Kesselring. — Dwudziestu jeden żołnierzy zabitych! Gdyby wcześniej nakazano przetrząsnąć okolicę, partyzanci snajperzy zostaliby odkryci i nie doszłoby do tej masakry. Po tym fiasku potoczą się głowy, Riedler. Zapamiętaj moje słowa.

— Tak jest, panie marszałku — odparł Riedler, niespokojnie przestępując z nogi na nogę.

Kesselring, który to zauważył, potrząsnął głową.

— To nie pańska wina, Riedler. Pańscy ludzie wykazali niezwykłą odwagę w obliczu tak przytłaczającej przewagi ogniowej wroga. Fakt, że żaden z moich sztabowców ani ich doradców nie został ranny, najlepiej świadczy o sprawności pana i pańskich ludzi, którzy bronili hotelu.

— Dziękuję, panie marszałku.

— A ilu ludzi pan stracił w tej zasadzce? — zapytał Student.

— Trzech, panie generale. Goetza i Scherla na posterunku drogowym i Neumanna na dzwonnicy. Dwóch zostało rannych w hotelu, ale niezbyt ciężko.

— Coś pana dręczy, Riedler? — spytał Kesselring, czując, że major chce coś powiedzieć, lecz krępuje się mówić w jego obecności. — Wie pan, że może pan mówić z nami otwarcie.

— Chodzi o to, że jeszcze nigdy w życiu nie czułem się taki bezradny — wyjaśnił Riedler. — Mój oddział był osłonięty w hotelu, kiedy snajperzy otworzyli ogień. Ci żołnierze na zewnątrz zostali po prostu skoszeni. Niektórzy ledwie skończyli szkołę. Jakie mieli szansę? Gdybyśmy mogli wyjść i jakoś im pomóc...

— Pański oddział został tu ściągnięty w ściśle określonym celu. Dla ochrony wyższych oficerów obecnych w hotelu — rzekł Student. — Dlatego dostał pan wyraźny rozkaz, żeby hotelu

nie opuszczać, kiedy wybuchła strzelanina. A nawet gdyby pańscy żołnierze wyszli na ulicę pomóc tamtym, niemal na pewno zostaliby też wystrzelani. Najważniejszą sprawą była obrona hotelu. Boleję nad śmiercią tych młodych ludzi tak samo jak pan, ale pozostaje faktem, że nie mogliśmy ryzykować i narażać naszych wyższych oficerów.

— Innymi słowy, poświęciliśmy tych żołnierzy? — rzucił gniewnie Riedler.

— Jeśli w ten sposób zapewniłoby bezpieczeństwo marszałkowi Kesselringowi i jego sztabowcom, to tak, owszem — rzekł prosto z mostu Student.

— Rozumiem, panie generale. — Riedler zacisnął zęby.

— Najlepszym sposobem, żeby pomścić ich śmierć, Riedler, jest znaleźć odpowiedzialnych za tę masakrę. I niech mi pan wierzy, zrobimy to — powiedział Kesselring. — Ale najpierw trzeba odnaleźć majora Ravalla i jego kolegów. Już poleciłem rozstawić posterunki kontrolne na wszystkich drogach wyjazdowych z miasta. Wzmocniłem również środki bezpieczeństwa na dworcach i w portach. Nie zdołają opuścić wyspy. A teraz pańskie zadanie: chcę, żeby pokierował pan poszukiwaniami.

— Ja, panie marszałku? — zdziwił się Riedler.

— Czy ma pan jakieś wątpliwości? — zapytał Kesselring.

— Nie, panie marszałku — szybko zapewnił go Riedler. — Po prostu sądziłem, że wyznaczysz pan kogoś wyższego stopniem do koordynowania poszukiwań.

— Czytałem pańskie akta, Riedler — rzekł Kesselring. — Ma pan doświadczenie, którego brakuje wielu moim oficerom na Sycylii. Może potrafią lepiej od pana zaplanować taktykę działań, ale pan ma nad nimi przewagę, ponieważ realizował je pan na polu bitwy. To może okazać się nieocenione w takiej sytuacji. Może pan zażądać tylu ludzi, ilu panu trzeba. Dopilnuję, żeby ich pan dostał.

— Wolę użyć tylko mojego oddziału — odparł Riedler. — Znam swoich ludzi.

— Jak pan uważa — powiedział Kesselring. — Już ustaliłem z generałem Studentem, że będzie pan miał kwaterę główną w koszarach Dziewiętnastej Dywizji Pancерnej w Palermo. Raporty ma pan składać bezpośrednio jemu. Wszystkie jednostki na wyspie zostały już postawione w stan gotowości. Jeżeli któraś z nich natknie się na nieprzyjaciela, generał Student natychmiast zostanie o tym zawiadomiony. Wtedy pan i pańscy ludzie zostaniecie przerzuceni, żeby opanować sytuację. Jakies pytania?

— Tylko jedno, panie marszałku. Chodzi o nieprzyjaciół. Mają być pojmani czy zlikwidowani?

— Żywi, jeśli to możliwe. Jestem pewny, że okażą się kopalnią informacji o brytyjskich i amerykańskich tajnych działaniach w rejonie Morza Śródziemnego. Jednak jeśli będą stawiać opór, zabijcie ich. Najważniejsze jest to, żeby nie opuścili wyspy. Wprawdzie mamy aparat fotograficzny Ravalla, ale najbardziej niepokoi mnie to, co mógł zapamiętać — powiedział Kesselring, postukując palcem w skroń. — Ta teczka zawierała fakty i dane, które mogą być bezcenne dla wroga. Podejrzewam, że nie miał czasu, żeby wiele zapamiętać, ale nie możemy ryzykować. Czy takie wyjaśnienie w pełni pana zadowala?

— Tak jest, panie marszałku.

— Może pan odejść.

Riedler zasalutował, wyszedł i zamknął za sobą drzwi. Kesselring wstał i w zadumie zaczął przechadzać się po pokoju, przyciskając dłońmi usta i nos.

— Czy coś pana niepokoi, panie marszałku? — zapytał Student. Kesselring przystanął przy drzwiach i spojrzał na niego.

— Od kiedy usłyszałem, że pochwycono tu tego Ravalla, mam jakieś dziwne przeczucie. Wiem, wy uważacie, że ten łącznik, Pizzoni, był zaplątany w to głębiej, niż przyznawał. Nie

jestem o tym przekonany. A jeśli mówił prawdę? Jeżeli nie on doniósł partyzantce o konferencji? A jeśli Brytyjczycy lub Amerykanie dowiedzieli się o niej z innego źródła?

— Podejrzewa pan któregoś z pańskich sztabowców, panie marszałku? — spytał ze zdumieniem Student. — Nie mogę w to uwierzyć. Ich lojalność jest niepodważalna.

— Tylko oni wiedzieli o dzisiejszym spotkaniu. Nawet ich doradcy zostali poinformowani dopiero wczoraj po południu. Osobiście, wierzę w ich niewinność.

— A zatem skąd wróg mógł dowiedzieć się o spotkaniu, jeśli nie od Pizzoniego i nie któregoś ze sztabowców?

— Dokładna data, czas i miejsce spotkania zostały przekazane członkom sztabu za pomocą maszyny szyfrującej — przypomniał Kesselring.

— Mój Boże, panie marszałku, czy sugeruje pan, że brytyjski lub amerykański wywiad odczytuje nasze depesze zaszyfrowane „Enigmą”? — zawołał przerażony Student.

— Wiem, że to wydaje się nieprawdopodobne, Kurt — rzekł Kesselring, podchodząc do biurka i siadając. — I zapewne słusznie. Jednak dla spokoju ducha muszę to sprawdzić. Wyślę zaszyfrowaną depeszę do mojego adiutanta w Rzymie. Będzie oznaczona jako ściśle tajna.

— A co będzie zawierała, panie marszałku?

— Muszę wykonać kilka telefonów, żeby zebrać potrzebne informacje. Później wyjaśnię panu szczegóły.

— Jeżeli ma pan rację, panie marszałku, skąd może pan mieć pewność, że połkną przynętę?

— Ponieważ postaram się, żeby nie mogli jej zignorować — odparł Kesselring. — Jednak na razie niech nasza rozmowa nie wyjdzie poza ten pokój. Jeśli się mylę, nic na tym nie stracimy.

— A jeśli nie?

— Najpierw założmy przynętę, dobrze?

Wiceadmirał Starr sięgnął po fajkę i tytoń. Właśnie skończył czytać rozkodowaną depeszę, informującą o ostatnich wydarzeniach w Palermo, a przekazaną kilka minut temu przez Georges'a Passiere'a z pokładu MTB. Nie była to przyjemna lektura. Pociuszające było jedynie to, że na razie oddział SOE nie poniósł żadnych strat, lecz Starr wiedział, że Niemcy już rozpoczęli polowanie. Teraz McIndoe będzie się musiał dobrze napocić, żeby doprowadzić swoją grupę z powrotem na Malte. McIndoe jednak był przypuszczalnie jedynym człowiekiem w SOE, który mógł przechytryć Niemców w tej grze w kotka i myszkę.

Nadal nie wiedział, jak Niemcom udało się zdemaskować Ravalla w hotelu, ale to nie było ważne. Starr trapił się tylko tym, że wyszli z hotelu z pustymi rękami. Plan zakładał wywołanie filmu w kryjówce, żeby Johnson mógł zapamiętać fotografie, na wypadek gdyby coś stało się z nimi lub negatywami, zanim dotrą na Malte. Teraz nie mieli nic. Podczas jednego z wcześniejszych spotkań proponowano, żeby — ze względu na swoją fotograficzną pamięć — Johnson wszedł do hotelu z Ravallem, sam Johnson jednak szybko storpedował ten pomysł: czas odgrywał tu zasadniczą rolę, a po wejściu do hotelu znalazłby się pod ogromną presją, usiłując zapamiętać jak najwięcej w tak krótkim czasie. Miał fotograficzną pamięć, lecz nie czytał szybko. Starr zgodził się z nim. Teraz żałował, że odstąpił od pierwotnej wersji planu. Johnson może nie zapamiętałby dużo, ale zawsze coś. Gdyby plan się powiódł, miałby dość czasu na utrwalenie w pamięci najważniejszych fragmentów dossier. Trzeba było zaryzykować.

Z fiaska będzie musiał tłumaczyć się w Ministerstwie Wojny. Starr nadal wierzył, że robił dość, aby inwazja na Malte odbyła się przynajmniej kilka miesięcy później. Może nigdy...

Dalekopis na jego biurku ożył i zastukał. Wiceadmirał nabił fajkę, zapalił ją i mocno wydmuchnął dym pod sufit, czekając na koniec depeszy, żeby odedrzeć papier. Od razu wyczuł, że to coś ważnego. Została wysłana osobiście przez dyrektora SOE z jego zacisznego gabinetu na

Baker Street w sercu Londynu i była zaszyfrowana specjalnym kodem, znanym tylko im dwóm. Starr otworzył szufladę biurka i wyjął odpowiedni klucz do szyfru. Przez następne dwadzieścia minut starannie wpisywał nowe litery nad starymi, a gdy skończył, otrzymał na kartce rozkodowane pismo:

Poufne: Do wyłącznej wiadomości wiceadmirała Starra — Valletta, Malta. Otrzymano z Bletchley Park informację, że grupa „Ultra” przechwyciła komunikat „Enigmy” od marszałka Kesselringa na Sycylii do jego kwatery głównej w Rzymie. Nakazał atak stada U-bootów na aliancki konwój, który ma w ramach operacji „Męstwo” wypłynąć dziś wieczorem z Gibraltaru na Malte. Wilcze stado ma rozkaz oczekiwać na konwój w pobliżu wysepki Cani, przy północnym wybrzeżu Algierii. Admiralicja otrzymała już dokładne współrzędne. Przewidywany czas ataku: jutro rano, 6.00. Wilcze stado zostanie związane walka przez alianckie łodzie podwodne, zanim konwój dotrze do Cani.

Koniec transmisji.

Starr spalił obie kartki i wrzucił resztki do metalowego kosza obok biurka. Aż za dobrze wiedział, jakie znaczenie ma operacja „Męstwo” dla przyszłości wyspy. Konwój składał się z ośmiu statków wiozących świeżą żywność i wodę, paliwo i amunicję, pod eskortą jednego lotniskowca, dwóch pancerników, czterech krążowników i dwunastu niszczycieli. Na wyspie szalała cholera i dezynteria i te dostawy miały żywotne znaczenie dla setek mieszkańców — szczególnie dzieci i starców, którzy byli najbardziej zagrożeni; a ponieważ niektórym bateriom dział przeciwlotniczych ograniczono zużycie do pół tuzina pocisków podczas jednego nalotu, amunicja była rozpaczliwie potrzebna dla utrzymania obrony powietrznej wyspy.

Jednak — w świetle wydarzeń w Grand Hotelu w Palermo — Starr podejrzewał, że komunikat Kesselringa to pułapka. Zupełnie naturalne, że marszałek polowy będzie szukał źródła przecieku.

Dodatkowy plan zakładał obciążenie włoskiego łącznika, Pizzoniego, przez podrzucenie w jego domu niezbitych dowodów świadczących o tym, że to on ostrzegł aliantów o planowanej naradzie. Tyle że Niemcy muszą znaleźć te dowody bez niczyjej pomocy, inaczej z pewnością uznają rzecz za ukartowaną. Zanim to nastąpi, wszystkie depesze szyfrowane przy użyciu „Enigmy” należało traktować z niezwykłą ostrożnością, zwłaszcza te nadawane w rejonie Morza Śródziemnego.

Wiedział, że mogła to być prawdziwa wiadomość od Kesselringa do jego sztabu, lecz instynkt podpowiadał mu, że w ten sposób marszałek próbuje sprawdzić, czy alianci przechwytyują jego depesze. Starr miał szacunek dla Kesselringa, uważał go za znakomitego taktyka, a to by było bardzo sprytne posunięcie. Gdyby wilcze stado zostało zaatakowane przez łodzie podwodne aliantów, a konwój opóźniony lub skierowany na inną trasę, potwierdziłoby to podejrzenia Kesselringa, że alianci złamali kod „Enigmy”. „Ultra” była zbyt ważna dla aliantów, żeby na to pozwolić. Pozostawało więc tylko jedno wyjście. Nawet nie chciał o nim myśleć, ale wiedział, że nie ma innego. W razie konieczności konwój trzeba będzie poświęcić dla ochrony realizowanego w Bletchley Park programu „Ultra”.

Świadomość konsekwencji tego, co rozważał, uderzyła go jak metalowa pięść, bezlitośnie wbita w żołądek. Ilu alianckich marynarzy zginie, jeżeli on przekaze swoje podejrzenia do kwatery SOE? Setki? Raczej tysiące. A ilu Maltańczyków umrze, jeśli cenne dostawy pójdą na dno? Będzie to oznaczało jeszcze większe braki świeżej żywności i wody dla udęczonej ludności. Mniej cennej amunicji do zwalczania nieustannych nalotów Luftwaffe. Nie kończące się, nieludzkie męki. Ile jeszcze niewinnej krwi będzie miał na sumieniu przez następne dwadzieścia cztery godziny? A później? Jaka będzie ostateczna cena „Ultry”? A zwycięstwa?

W nagłym przypiływie wściekłości i bezsilności Starr gwałtownie zamachnął się i filiżanka z trzaskiem rozbiła się o ścianę. Janet Cross weszła do gabinetu, zaalarmowana odgłosem tłukącej się porcelany.

— Wynoś się! — ryknął na nią Starr.

Wycofała się pospiesznie, zamykając za sobą drzwi. Starr popatrzył na ciemne strużki herbaty, ściekające po kamiennej ścianie, a potem powoli otworzył swoją książeczkę kodową. Drżącą dłonią zaczął starannie układać komunikat, który wyśle do swojego zwierzchnika w głównej siedzibie SOE na Baker Street.

Godzinę później dostał odpowiedź. Wiedział, jaka będzie, jeszcze zanim zaczął ją odszyfrowywać.

Poufne: Do wyłącznej wiadomości wiceadmirała Starra — Valletta, Malta. Pański raport dotyczący konwoju został doręczony Gabinetowi, Ministerstwu Wojny oraz Admiralicji. Właśnie otrzymałem wiadomość od Lorda Admiralicji w Whitehall. Brzmi następująco: „W świetle niepokojących uwag wiceadmirała Starra, dotyczących ewentualnego zagrożenia przyszłości programu »Ultra«, na najwyższym szczeblu rządowym zdecydowano, że program ten należy chronić za wszelką cenę”. Tak więc postanowiono, w oparciu o ten raport, nie wysyłać alianckich okrętów podwodnych z bazy na Manoel Island na Malcie w celu związania U-bootów ani nie ostrzegać konwoju, że przy wyspie Cani czeka na nich wilcze stado.

Niech im Bóg dopomoże.

Koniec transmisji.

— Czy myślałeś kiedyś o śmierci?

Pytanie zaskoczyło McIndoe. Sięgnął po paczkę leżących na stole papierosów.

— Jasne, rozmyślałam o niej czasami, lecz nie obsesyjnie. Wiesz, co powiadają o kuli, która ma cię zabić? To przeznaczenie. Nic go nie zmieni. Po co więc się zadreć? Dlaczego pytasz?

Stella głęboko zaciągnęła się dymem, a potem pochyliła się i strząsnęła popiół do szklanej popielniczki.

— Do dziś tylko dwukrotnie myślałam o śmierci. Mówię o takim prawdziwym namyśle. Po raz pierwszy, kiedy utonął mój ojciec. Drugi raz po śmierci matki. Oboje umarli tak młodo. Dzisiaj dopadło mnie to po raz trzeci. Ta akcja piekielnie mnie wystraszyła, Sam. Nigdy w życiu tak się nie bałam. Kiedy wokół kościoła wybuchła głośna strzelanina, nie miałam ochoty wyjść na zewnątrz. Chciałam po prostu zostać tam, gdzie byłam. Wiedziałam, że tam będę bezpieczna. Musiałam zebrać całą odwagę, żeby wyskoczyć z tobą na schody, kiedy otworzyłeś drzwi. A przecież, gdy siedzieliśmy na dzwonnicy, rwałam się do walki. Patrząc na to z dystansu sędzę, że byłam po prostu naiwna. Następnym razem będę wiedziała, czego się spodziewać.

— Przecież brałaś już udział w takiej akcji? — McIndoe podniósł brwi ze zdziwienia. — W twoich aktach napisano, że uczestniczyłaś w kilkunastu operacjach na terenie Sycylii. Chyba musiałaś walczyć z wrogiem?

— Pewnie. Jednak to zawsze były drobne utarczki. Zabicie wartownika przy magazynie lub przejeździe kolejowym. Nic na tak wielką skalę. Chyba stąd taki efekt — powiedziała, wpatrując się w rozżarzony koniuszek papierosa.

— Nie miałem pojęcia — rzekł McIndoe, kiedy umilkła. — Po prostu założyłem, że... nieraz zaglądałaś już w lufy niemieckich pistoletów.

— Zawsze była zbyt sprytna, żeby dać im podejść tak blisko — powiedział Ravallo od progu.

— Nicky? — jęknęła z przerażeniem na jego widok. — Mój Boże, co ci się stało?

Ravallo, przebrany teraz w mundur majora włoskiej armii, miał czoło mocno owinięte bandażem, który zasłaniał mu lewe oko. Uśmiechnął się do Stelli i poklepał opatrunek, wchodząc do pokoju.

— Dobre, nie?

— Dobre? — powtórzyła ze zdumieniem.

— O Chryste, przecież to nie jest prawdziwa rana — powiedział zniecierpliwiony. — To pomysł Massima. Niemcy na pewno mają mój rysopis, który już rozsyłają po wszystkich portach i dworcach. Miejmy nadzieję, że to ich zmyli.

— A co z Johnsonem? — spytał McIndoe. — Mają również jego rysopis.

— Poszukał inspiracji wyżej — odparł z uśmiechem Ravallo, a potem wyrzwał na korytarz i zawołał Johnsona. Ten pojawił się w chwilę później i niechętnie pokazał swoje przebranie, z niezadowoleniem mamrocząc coś pod nosem. McIndoe ubawiło wyraźne przygnębienie Johnsona. Nie dość, że miał na sobie strój katolickiego księdza, co już samo w sobie było zabawne, jako że McIndoe znał go jako żarliwego anglikanina, ale w dodatku czarna koszula i spodnie były o wiele za duże na tego chudzielca. Spodnie o podwiniętych nogawkach utrzymywał na miejscu nie tylko gruby skórzany pasek, lecz i jedna koścista dłoń Johnsona, kurczowo przyciśnięta do talii. Wprawdzie koszulę włożył do spodni, ale wydęte wokół mankietów rękawy nadawały mu pozałowania godny wygląd drugorzędnego wodewilisty, mającego już za sobą swoje najlepsze dni.

— Jezu, tylko spójrzcie na mnie — syknął Johnson, mocniej przytrzymując spodnie w pasie.
— Wyglądam jak jakiś cholerny kłown.

— Bacz na swój język, ojcze — napomniął go Ravallo, grożąc mu palcem.

— Ma rację. — McIndoe wstał. — Nie może pokazać się w tym przebraniu. Zwracałby na siebie uwagę.

— Wszystko będzie dobrze — zapewnił go Ravallo. — Spodnie zwężymy, a koszulę schowa pod marynarką.

— Zakładam, że to też był wspaniały pomysł Gianiego? — wtrąciła Stella.

Ravallo kiwnął głową.

— Cieszę się, że ci się spodobał, ponieważ dla ciebie też coś wymyślił. Będiesz podróżowała z Johnsonem. Jako zakonnica.

— Chyba żartujesz!

— Musimy się rozdzielić — rzekł Ravallo. — Skoro Niemcy zostali uprzedzeni o naszym przybyciu, to będą szukali grupki pięciu mężczyzn i kobiety. Musimy zrobić wszystko, co możliwe, żeby ich zmylić. A w ten sposób mamy większe szansę uniknąć zdemaskowania, jeśli natkniemy się na niemiecki patrol.

— Nicky ma rację — poparł go McIndoe. Podszedł do Johnsona. — Ile czasu zajmą te przeróbki?

— Nie powinny potrwać długo — odparł Ravallo. — Ta dziewczyna, Giną Roetta, przed wojną uczyła się na krawcową. Zwęzi mu te spodnie.

— A co z nowymi dokumentami dla Stelli i Johnsona? — pytał Szkot. — Plan zakładał, że wszyscy przeberzemy się za włoskich żołnierzy. Te legitymacje będą teraz bezużyteczne.

— Kiedy tu rozmawiamy, w piwnicy przygotowują dla nich nowe dokumenty — rzekł Ravallo. — W ramach dodatkowego zabezpieczenia ja również poprosiłem o nowe papiery. Niemcy już wiedzą, jak wyglądam.

— Przecież nadal nosisz mundur majora, chociaż tym razem włoskiego.

— To nie mundur może mnie zdradzić, Mac, lecz twarz. Zrobiłem już sobie nowe zdjęcie do papierów. To powinno wystarczyć, żeby ich zmylić. A szczególnie ten bandaż na oku.

Ravallo odwrócił się do Johnsona i poklepał go po ramieniu.

— Idź, niech ci je zwężą. I zabierz ze sobą Stellę. Ona też musi się przebrać.

— Tak jest, panie majorze. — Johnson spojrzał na Stellę. — Chodźmy, pani porucznik, zaprowadzę panią do przebieralni.

— Zakonnica! — prychnęła, wychodząc za nim z pokoju.

McIndoe usiadł w fotelu opuszczonym przez Stellę. Ravallo znów go zadziwił. Nie widział go, od kiedy, pół godziny wcześniej, dotarli do kryjówki. Ravallo zaczekał, aż pozostali wysiądą, zanim sam opuścił ciężarówkę, milcząc tak samo jak podczas całej podróży spod kościoła. Powlókł się do domu z opuszczoną głową i wyraźnym przygnębieniem na twarzy, jakby wiedział, że morderstwo popełnione z zimną krwią na Brauschu było zarówno barbarzyńskie, jak i niewybaczalne. McIndoe zastanawiał się, czy nie odebrać mu dowodzenia. Patrząc na niego teraz, trudno było uwierzyć, że to ten sam Nicky Ravallo. Znów chodził sprężystym krokiem. Znowu miał w oku łobuzerski błysk. Całkowicie odzyskał pewność siebie. To był Nicky Ravallo, którego poznał w bazie lotniczej pod Luqą. Prawdziwy? Czy też była to kolejna z jego ról? Trudno powiedzieć.

— Chcesz porozmawiać o Brauschu? — zapytał.

— Ja nie, ale ty najwyraźniej tak — odparł Ravallo. Postawił filiżankę z kawą na stole, a potem położył na nim nogi.

— Brausch mógł być dla nas cennym zakładnikiem.

— Chyba nie przemyślałeś tego, Mac. Pozwalasz, aby kierowały tobą emocje. Jesteśmy przyciśnięci do muru. Prawdę mówiąc, przyparli nas do muru, kiedy złapali nas w hotelu. Co oznacza, że musimy improwizować. Na przykład rozdzielać się, przebierać Johnsona za księdza, a Stellę za zakonnice. Mogę się założyć, że Niemcy już porozstawiali posterunki drogowe na całej wyspie. Jak myślisz, jak daleko uszlibyśmy, ciągnąc ze sobą Brauscha? Myślisz, że poszedłby z nami potulnie jak baranek? Przy pierwszej okazji podniósłby alarm. Dobrze o tym wiesz.

— Wiem tylko, że zastrzeliłeś go z zimną krwią.

— Chyba wyznajesz podwójną moralność, Mac — powiedział Ravallo, zdejmując nogi ze stołu i odwracając się do Szkota. — A co z tymi niemieckimi żołnierzami dziś rano, na farmie? Przecież to ty poparłeś decyzję Massima, żeby ich rozstrzelać. O ile pamiętasz, to ja kwestionowałem moralny aspekt tej decyzji.

— Zostali zabici, ponieważ widzieli cię w mundurze oficera gestapo — przypomniał mu McIndoe. — A gdyby któryś uciekł i powiadomił o tym swojego zwierzchnika? Zacieśniono by kordon bezpieczeństwa wokół hotelu i nie dostałbyś się do środka.

— Chcesz powiedzieć, że gdyby mnie nie widzieli, nie trzeba by było ich zabijać? Innymi słowy, to moja wina, że zostali rozstrzelani. Dzięki, Mac, teraz czuję się o wiele lepiej.

— Cholera, dobrze wiesz, co chcę powiedzieć. Zostali rozstrzelani, bo trzeba im było zamknąć usta. Nie możesz w ten sposób wytłumaczyć śmierci Brauscha.

— Nie żałuję tego, co zrobiłem. Wcale. I zrobiłbym to jeszcze raz. Moim zdaniem jest piekielna różnica między garstką wystraszonych niemieckich rekrutów a gestapowskim rzeźnikiem, takim jak Brausch. Możesz się z tym nie zgodzić, Mac, ale zastanów się chwilę. Tylko od ciebie zależy, czy zechcesz zrobić z tego użytek po powrocie na Maltę. — Ravallo wstał i wyrzucił niedopałek papierosa przez otwarte okno. — Nie jestem specjalnie dumny z tego, co zrobiłem, ale i nie żałuję tego. Takie rzeczy zdarzają się pod wpływem nagłego impulsu. Dlaczego to zrobiłem? Ze złości. Gniewu. Obrzydzenia. Może nawet ze strachu. Nie wiem. Stało się. To już przeszłość. Czas spojrzeć przed siebie i spróbować dostać się na łódź. Wiem, że ja mam zamiar tam dotrzeć. Mam nadzieję, że mogę liczyć na twoją pomoc. Chyba że uznasz za konieczne odebrać mi dowodzenie, bo twoim zdaniem ja nie wytrzymuję nerwowo.

— Czy Stella powtarza ci wszystko, co jej mówię? — zapytał zjadliwie McIndoe.

— Stella nic mi nie mówiła. Słyszałem, jak rozmawialiście w ciężarówce. Zdziwiłbyś się, jak dobrze rozchodzą się głosy w takiej ciasnej przestrzeni. No więc, czy nadal mogę liczyć na twoje poparcie, Mac?

— Nie rozmawialibyśmy teraz, gdyby było inaczej — odparł McIndoe.

W drzwiach stanął Massimo. Wesoły uśmiech zamarł mu na ustach, kiedy spojrzał na twarze dwóch mężczyzn.

— Przepraszam, nie chciałem przeszkadzać — rzekł z przeproszającym gestem.

— Nie przeszkadzasz. — Ravallo wstał. — Właśnie wychodziłem. Muszę zobaczyć Stellę i sprawdzić, czy poczuła już powołanie. Na razie, Mac.

Massimo popatrzył za odchodzącym Ravallem, a potem obrócił się do McIndoe.

— Jakież problemy?

— Nie — uciał szorstko Szkot.

— To dobrze — rzekł bez przekonania Massimo.

— Powiedz, co stanie się teraz z żoną i córką Pizzonego, kiedy on nie żyje?

— Jeśli wszystko poszło zgodnie z planem, już uciekły z domu, w którym były przetrzymywane. Zapewne w tej chwili są przesłuchiwane przez Niemców.

— Jakim planem? — zapytał zaskoczony McIndoe. — Chodziło o to, żeby stworzyć pozory,

że Pizzoni pracował dla partyzantów przez ostatnie kilka miesięcy. Nasi jajogłowi w SOE zadali sobie wiele trudu, aby spreparować potrzebne dowody, które wasi ludzie podrzucili zeszłej nocy w jego domu. Jak jego żona powie, że zostali porwani przez partyzantów, te dowody będą bezużyteczne.

— Powie im, że ona i jej córka zostały porwane przez trzech niemieckich żołnierzy — odparł Massimo.

— Dlaczego miałyby tak powiedzieć? Przecież to nieprawda.

— Tak, ale ona o tym nie wie. Trzej nasi ludzie, którzy je uprowadzili, nosili niemieckie mundury. Rozmawiali po niemiecku, tylko z zakładniczkami porozumiewali się łamanym włoskim językiem. Dziwię się, że wiceadmirał Starr nie powiedział ci o tym. W końcu, sam to wymyślił!

— Nie, nie mówił mi o tym — rzekł ze znużeniem McIndoe.

— Celowo pozwoliliśmy im uciec po śmierci Pizzoniego. Naturalnie postaraliśmy się, żeby wyglądało na to, że jego żonie udało się przechytryć porywaczy. Dlatego, kiedy zaprowadzi Niemców do domu, w którym były przetrzymywane, wszystkie dowody będą świadczyć, że ich własni żołnierze byli zamieszani w porwanie.

— Przecież to nie ma sensu.

— Właśnie — powiedział z nikłym uśmiechem Massimo. — Możesz być pewny, że Niemcy też będą tym wszystkim zdumieni. Mogą podejrzewać, że to podstęp partyzantów, dopóki nie odkryją dowodów w domu Pizzoniego. Te na pewno skierują ich na fałszywy trop. W rezultacie będą kręcić się za własnym ogonem.

— Sprytnie — przyznał McIndoe i przypomniał sobie, że Starr nie chciał mu powiedzieć, jak firma dowiedziała się o planowanym spotkaniu Kesselringa ze sztabowcami. W ten sposób starał się ukryć przed Niemcami prawdziwe źródło informacji. McIndoe był zaintrygowany. Kto naprawdę dostarczył aliantom tę wiadomość? Mógł to zrobić tylko ktoś z niewielkiej grupki ludzi. Któryś z szefów sztabów? Któryś z ich adiutantów? Wiedział, że to jałowe rozważania, bo Starr nie zechce wyjawić mu źródła.

— Przepraszam. Muszę wykonać kilka telefonów. Im prędzej wszyscy znajdziecie się poza miastem i w drodze na waszą łódź, tym lepiej dla wszystkich zainteresowanych — powiedział Massimo wychodząc.

McIndoe sięgnął po leżące na stole papierosy i zapalił. Na korytarzu rozległy się kroki i do pokoju weszła Stella. Miała na sobie habit zakonnicy, a kruczoczarne włosy ukryte pod kornetem.

— No, i co o tym myślisz? — spytała.

— Niewątpliwie jesteś najładniejszą zakonnica, jaką kiedykolwiek widziałem — odparł, kiwając z aprobatą głową.

— Nie o to mi chodziło, ale dzięki za komplement — powiedziała, wznosząc oczy ku niebu. — Chciałam wiedzieć, czy pasuję do tej roli?

— Tak, myślę, że tak. Tylko niepokoję się o Neville'a. Nie sądzę, żeby mógł uchodzić za księdza. Nie w tym stroju.

— To budzi mój głęboki sprzeciw, panie poruczniku — oświadczył Johnson, wchodząc do pokoju z Giną Roetta.

McIndoe był zdumiony przemianą Johnsona. Koszulę z komicznie bufiastymi rękawami zastąpiła lekka sutanna włożona na czarne spodnie. Te, widoczne tylko od połowy łydki, zostały skrócone i zaopatrzone w mankiety. Teraz pasowały idealnie. Na piersi Johnsona wisiał spory krzyż, a rzędzące włosy zostały zaczesane do tyłu i nasmarowane brylantyną. Nowe uczesanie podkreślało kanciaste rysy twarzy oraz przenikliwe spojrzenie głęboko osadzonych oczu;

nadawało mu uduchowiony, chociaż nieco groźny wygląd.

— I co? — zapytała Gina.

— Wygląda raczej jak jeden z czterech jeźdźców Apokalipsy niż duchowny — odparł McIndoe, a potem zwrócił się do Johnsona: — Jednak co ważniejsze, wyglądasz zupełnie inaczej niż wtedy, kiedy byłeś przebrany za niemieckiego żołnierza. A tylko to się liczy. Skąd wzięliście tę sutannę? Jest znacznie lepsza od koszuli.

— Znaleźliśmy ją wśród ubrań, panie poruczniku — odrzekł Johnson. — Doskonale na mnie pasowała. Luźna. Bardzo wygodna.

— Wiesz co, myślę, że w tej fryzurze jest ci naprawdę dobrze — powiedziała Stella. — Nadaje twojej twarzy więcej charakteru. No i wyrazu. Wyglądasz trochę groźnie.

— Naprawdę? — Johnson pozwolił sobie na uśmiech i lekko przygładził wybrylantynowane włosy. — Trochę groźnie. Podoba mi się to.

— Oto nasz Lon Chaney, człowiek o tysiącu twarzach — oznajmił wkraczający z Evansem do pokoju Hillyard, który na korytarzu usłyszał słowa Stelli. Obaj byli przebrani za włoskich żołnierzy.

— Nie, mnie wygląda raczej na Belę Lugosiego — stwierdził Evans, który gładził szczeciniastą brodę kciukiem i palcem wskazującym, udając, że krytycznie przygląda się Johnsonowi. — Zdecydowanie Bela Lugosi. Jak pan uważa, panie poruczniku?

— Uważam, że powinniście być gotowi do drogi — odparł ponuro McIndoe. — Massimo usiłuje ustalić, którędy najbezpieczniej wydostaniemy się z miasta. Kiedy to ustali, będziemy musieli szybko wyruszyć w drogę.

— Jesteśmy gotowi, panie poruczniku — zapewnił go Hillyard.

— Gdzie twój plecak? A karabin?

— Gotowe przy frontowych drzwiach, panie poruczniku.

— Papiery?

Obaj pokleпали się po kieszeniach mundurów.

— Legitymacje oraz trzydniowe przepustki, gdyby zatrzymał nas jakiś patrol — powiedział Evans.

— Neville, a twoje papiery w porządku?

Johnson wyjął wyglądający na autentyczny dokument, spreparowany dla niego w piwnicy przez jednego z najlepszych fałszerzy w tym kraju. Podał go porucznikowi. Legitymacja była doskonale podrobiona. McIndoe przekartkował ją, a potem zwrócił Johnsonowi.

— Dobrze. A więc jesteśmy gotowi do drogi.

— Gdzie Nicky? — zapytał Evans.

— Kiedy go ostatnio widziałam, był na ganku — powiedziała Stella.

W otwartych drzwiach stanął Massimo i mocno zapukał, żeby zwrócić ich uwagę.

— Za trzydzieści pięć minut odjeżdża pociąg do Katanii.

— Do Katanii? — zdziwiła się Stella. — Przecież to na wschodnim wybrzeżu. Nasza łódź czeka na południowo—zachodnim brzegu wyspy.

— Teraz bardziej powinniście martwić się tym, żeby opuścić Palermo, zanim Niemcy otoczą je stalowym pierścieniem — rzekł Massimo. — Są i inne pociągi, odjeżdżające z dworca w regularnych odstępach czasu aż do północy, ale tylko lokalne. Musicie czym prędzej znaleźć się jak najdalej od Palermo. Pociąg do Katanii wydaje się najlepszy dla was. Poza tym starszy konduktor to nasz sympatyk, nieraz nam pomagał. W razie jakichś kłopotów przyda się sprzymierzeniec. W Katanii zorganizuję pojazd, który będzie czekać, żeby was zawieźć na waszą łódź.

— Jakie byłyby szansę na drogach?

— Z tego, co wiem, niemieckie posterunki kontrolne już powodują kolejki na niemal wszystkich drogach wyjazdowych z Palermo. Za kilka godzin korki będą jeszcze większe. A jak już mówiłem, musicie wynieść się stąd jak najszybciej. Im dłużej będziecie zwlekać z opuszczeniem Palermo, tym większe prawdopodobieństwo, że was złapią.

— Zgoda — powiedział McIndoe, gasząc papierosa i wstając z krzesła. — Tafty, idź i powiedz majorowi Ravallowi, że musimy zdążyć na pociąg.

Pożegnali się z Massimem i kryjówką. Włoch nie mógł towarzyszyć im w podróży, gdyż jego twarz widniała na listach gończych, którymi Niemcy wytapetowali miasto, obiecując wysoką nagrodę za jakiegokolwiek informacje prowadzące do jego ujęcia. W mieście rojło się od kolaborantów, a wszystkie posterunki kontrolne z pewnością otrzymały kopie tego plakatu. Massimo musiał bardzo ostrożnie planować każdy swój ruch, żeby uniknąć wpadki. Nie wiedzieli, gdzie się udaje.

Oni skierowali się na dworzec główny, na końcu Via Roma. Jak na złość Grand Hotel znajdował się zaledwie kilometr dalej i im bardziej zbliżali się do stacji, tym częściej napotykali posterunki. Jechali dwoma samochodami: Johnson, Stella i Giną w rozklekotanym antycznym fiacie pasującym do skromnych dochodów duchownego; pozostali w bezpiecznej odległości we włoskim wojskowym TL 37, zarekwizowanym poprzedniego dnia przez partyzantów dwóm apatycznym żołnierzom włoskiej armii i prowadzonym teraz przez Venucciego. Tablice rejestracyjne i numer namalowany na boku pojazdu zmieniono na oznaczenia odpowiadające identycznemu samochodowi, jeżdżącemu obecnie gdzieś na południu wyspy. Miał być użyty tylko podczas tej operacji — później zostanie wybebeszony, zanim Niemcy odkryją podstęp.

Przy każdym posterunku przechodzili przez taką samą rutynową kontrolę: ich lewe papiery dokładnie sprawdzali kolejni ponuro spoglądający żołnierze, były jednak tak dobrej jakości, że nie budziły żadnych podejrzeń, i oba pojazdy przepuszczano. Wydawało się, że spóźnią się na pociąg, ale w końcu dotarli na stację — zaledwie pięć minut przed odjazdem.

Johnson dojechał pierwszy. Nieprzepisowo zaparkował fiata naprzeciw jasno oświetlonego dworca, nie wyłączając silnika wrzucił jałowy bieg, a potem wziął z tylnego siedzenia odrapaną walizkę i wygramolił się z wozu. Stella i Giną również wysiadły. Uściskały się, Giną ucałowała Stellę w oba policzki i siadła za kierownicą. Wrzuciła bieg i pomachała im ręką, a potem włączyła się w strumień pojazdów i zniknęła w mroku. Johnson złapał za ramię Stellę, która chciała przejść przez ulicę, i napomniął ją, że powinna najpierw rozejrzeć się na boki; wydawało się, że traktuje ją jak jedną ze swych uczennic na szkolnej wycieczce. Posłusznie rozejrzała się na prawo i lewo, po czym popatrzyła na Johnsona, który z aprobatą skinął głową. Zasłoniła usta dłonią, żeby ukryć uśmiech, kiedy wziął ją pod rękę i bezpiecznie przeprowadził na drugą stronę.

Venucci stanął przy samym znaku „nie parkować”, naprzeciw dworca, w tej samej chwili, gdy Johnson i Stella zniknęli w drzwiach budynku. Evans, Hillyard i siedzący z tyłu McIndoe wyskoczyli z wozu i sięgnęli po wojskowe worki, którymi zastąpiono ich plecaki. McIndoe klepnął Venucciego w ramię.

— Życzę szczęścia — powiedział Venucci, wyciągając rękę do Ravalla.

Ten uścisnął ją mocno.

— Ja tobie też, przyjacielu. I dzięki za wszystko.

— To my powinniśmy wam dziękować — rzekł Venucci, wziął ostatni worek i podał go Ravallowi. Amerykanin już miał ruszyć za innymi, gdy zauważył, że Venucci patrzy na coś za jego plecami. Nagle zdał sobie sprawę z tego, że ktoś za nim stoi.

— Tu całkiem wyraźnie napisano: „nie parkować” — warknął ktoś po włosku. — Jesteś ślepy?

Ravallo odwrócił się i stanął oko w oko z młodym policjantem.

— Czy to ma być żart? — zapytał groźnie.

Policjantowi zaparło dech na widok zabandażowanego oka Ravalla.

— Ja... przepraszam, panie majorze. Nie wiedziałem... Nie chciałem niczego... To... to tylko taki zwrot.

— Straciłem oko w zeszłym miesiącu, kiedy odbijaliśmy Benghazi — poinformował Ravallo zdenerwowanego policjanta. — Dopiero trzy dni temu wyszedłem ze szpitala. To moja pierwsza noc na Sycylii od ponad pół roku. To ja kazałem adiutantowi, żeby mnie tu wysadził. Jeżeli chce pan z tego zrobić jakiś problem, chętnie porozmawiam z pańskim zwierzchnikiem.

— Nie, panie majorze, to... nie będzie konieczne — zapewnił go policjant.

— A zatem, jeśli to wszystko, spieszy mi się na pociąg. Żona pozwoliła dwójce naszych dzieci później położyć się spać, żeby mogły mnie jeszcze dziś zobaczyć. Nie chciałybym ich rozczarować, spóźniając się na pociąg. I pan również nie chciałby tego. Proszę mi wierzyć, nie chciałby pan.

Policjant zasalutował służbiście i pospiesznie się oddalił. Ravallo uśmiechnął się do Venucciego i ruszył do wejścia.

— Majorze? — zawołał za nim Venucci. — Proszę nie zapomnieć pozdrowić ode mnie pańską żonę i dzieci.

Ravallo uśmiechnął się pod nosem, wszedł na schody i do poczekalni. Była pełna włoskich żołnierzy; wielu kuliło się na drewnianych ławkach lub na zimnej, cementowej podłodze. Ravallo mijając ich, kilkakrotnie, raz za razem, przyłożył palce do głowy. Rozumiał niepewność malującą się na tych młodych twarzach. Ilu z nich nigdy nie wróci do domu?

Drgnął, gdy ktoś złapał go za ramię. Odwrócił się i zobaczył przed sobą McIndoe. Odetchnął z ulgą.

— Co się stało? — spytał Szkot. — Już miałem wysłać ludzi na poszukiwania.

— Mała utarczka z przedstawicielem prawa — odparł Ravallo, wyswobodzając rękę z lekkiego uścisku. — Nie martw się. To nie było nic poważnego. Drobne nieporozumienie, to wszystko. Uciekł z podkulonym ogonem. Masz już bilety?

McIndoe wyjął z kieszeni munduru dwa bilety i podał mu jeden.

— Posłałem Bruce'a i Taffy'ego, żeby zarezerwowali miejsce.

— A co ze Stellą i Johnsonem?

— O ile wiem, już wsiadli do pociągu — powiedział mu McIndoe. — No, chodźmy. Poczuję się znacznie lepiej, kiedy i my wsiądziemy.

Ravallo rozejrzał się wokół, gdy podchodzili do kontroli biletów, gdzie czterej niemieccy żołnierze sprawdzali dokumenty i przepustki pasażerów. Naliczył jeszcze co najmniej kilkunastu Niemców patrolujących poczekalnię — przeważnie parami; czterej pilnowali głównego wejścia; dwaj inni stali przy toaletach; jeden nawet przy jedynej czynnej o tej porze kasie. Najwyraźniej był to pokaz siły. Bardzo skuteczny. Podchodząc do barierki, Ravallo wyjął odpowiednie dokumenty z kieszeni munduru i podał je najbliższemu żołnierzowi.

— Dokąd pan się udaje, panie majorze? — zapytał żołnierz po włosku, kartkując jego legitymację.

— Katania.

Ravallo z rosnącym niepokojem patrzył, jak Niemiec ponownie dokładnie ogląda zdjęcie, porównując je z jego twarzą. Wiedział, że jedyny sposób postępowania w takich sytuacjach to przejść do ofensywy.

— W czym problem? — zapytał.

— To tylko rutynowa kontrola — wymamrotał żołnierz.

— Słuchajcie, żołnierzu, przez ostatnie trzy miesiące byłem przykuty do szpitalnego łóżka w Benghazi. Było gorąco, śmierdząco i bardzo niewygodnie. Przez ostatnie trzy dni czekałem na samolot na Sycylię, a kiedy wreszcie doczekałem się, w połowie drogi nad Morzem Śródziemnym zaatakowała nas eskadra brytyjskich hurricane'ów. Trzy z eskortujących myśliwców i drugi samolot transportowy zostały zestrzelone. To cud, że w ogóle udało mi się tu wrócić. Teraz chcę tylko dojechać do domu i znów zobaczyć moją rodzinę. Czy wymagam zbyt wiele?

Żołnierz niespokojnie kręcił się pod jego groźnym spojrzeniem, a potem oddał mu dokumenty.

— Pańskie dokumenty są w porządku, majorze.

Ravallo wepchnął papiery z powrotem do kieszeni munduru i podszedł do oczekującego nań McIndoe.

— Czy to rozsądne tak zwracać na siebie uwagę? — zapytał Szkot, kiedy żołnierze nie mogli ich już usłyszeć.

— Nie miałem w tej kwestii większego wyboru. Widząc, jak przygląda się mojej fotografii, byłem pewny, że mnie rozpoznał. Musiałem zepchnąć go do obrony. To był jedyny sposób.

McIndoe lustrował okna czterech wagonów, aż ujrzał znajomą twarz wśród tuzinów żołnierzy wychylających się z okien i żegnających z najbliższymi zebranymi na peronie.

— Taffy jest tam. Trzeci wagon. Wynośmy się stąd.

— Popieram — odparł Ravallo.

Używając worka jako bufora, przepchnął się przez tłum i z wdzięcznością przyjął dłoń McIndoe, którą ten wyciągnął do niego z otwartych drzwi wagonu. Młody włoski żołnierz usiłował przepchnąć się obok nich, żeby ostatni raz zerknąć na swoją dziewczynę na peronie, lecz widząc ich epolety stanął na baczność i zaszalutował.

Ravallo odpowiedział salutem, a potem uśmiechnął się do młodego żołnierza i gestem kazał mu przejść.

— Idź, pewnie długo jej nie zobaczysz.

Żołnierz rozpromienił się i przecisnął obok. McIndoe podniósł bagaż Ravalla i wepchnął mu go w ramiona.

— Bardziej prawdopodobne jest, że nigdy jej nie zobaczy.

— Uroczy z ciebie facet, wiesz? — mruknął Ravallo. Poszedł za Szkotem do przedziału, w którym czekali na nich Evans i Hillyard.

— Jak udało wam się zająć cały przedział? — spytał McIndoe, kładąc bagaż na półce. — Pociąg jest zapchany.

— Okazało się, że Massimo załatwił to z konduktorem — odparł Evans, gdy McIndoe sadowił się naprzeciw niego. — Przynajmniej tak powiedział nam konduktor, kiedy wsiedliśmy do pociągu. Ma jakieś powiązania z partyzantami.

— Tak, tak mówił nam Massimo.

— Oto i on — powiedział Hillyard i jednocześnie rozsunęły się drzwi i jakiś kolejarz wszedł do środka.

— Chyba powinniśmy podziękować panu za to — rzekł McIndoe, wskazując ręką przedział.

— Giani Massimo prosił, żebym go dla was zarezerwował — odparł konduktor. Podał McIndoe dwie gazety. — Pomyślałem, że przyda wam się coś do czytania dla zabicia czasu. To czterogodzinna podróż. Niestety, po drodze stajemy prawie na każdej stacji. To bardzo męczące.

— Dziękuję — McIndoe położył gazety obok siebie, na ławce.

— Muszę wam coś powiedzieć... — konduktor przerwał, czekając, aż dwaj żołnierze przejdą korytarzem, a potem szybko przymknął drzwi. — Gestapo ma w tym pociągu swojego człowieka.

— Myśli pan, że nas śledził? — spytał Evans, patrząc z niepokojem na McIndoe.

— Gdyby śledził, nie siedzielibyśmy tutaj, lecz w gmachu gestapo — odparł McIndoe — gdzie robiliby nam bardzo nieprzyjemny manikiur za pomocą obcęgów.

Konduktor uśmiechnął się z przymusem i pokiwał głową.

— Gestapo na Sycylii ma specjalną grupę agentów działających w pociągach. Niestety, przerzucają ich na coraz inne trasy, więc niełatwo ich rozpoznać. Ale tego znam, widziałem go już. Oni starają się wmieszać między pasażerów, zazwyczaj w wagonach restauracyjnych, próbując zdobyć jakieś informacje o partyzantach. Czasem podróżują parami, lecz najczęściej jedzie tylko jeden człowiek. Zazwyczaj rezerwują cały przedział w wagonie pierwszej klasy, skąd mogą swobodnie przekazywać do swej kwatery głównej wiadomości przez radionadajnik.

— I można się założyć, że mają mój bardzo dokładny rysopis — powiedział Ravallo.

— Skoro wiemy, gdzie jest, dlaczego go nie unieszkodliwić i nie wyrzucić trupa z pociągu? — zaproponował Hillyard.

— To może po prostu wyjdiesz i powiesz mu, że tu jesteśmy; to zaoszczędzi wszystkim mnóstwa kłopotów — rzekł sarkastycznie McIndoe. — Nie myślisz logicznie. Jeśli nie nada meldunku o wyznaczonej porze, w pociągu zaroi się od gestapowców. Nie, nawet go nie tkniemy.

— Mamy radiostację ukrytą w przedziale służbowym — powiedział konduktor. — To jedna z tych, jakie Brytyjczycy dostarczyli partyzantom, żeby mogli podsłuchiwać rozmowy gestapo na Sycylii. Oczywiście, gestapo nie ma o tym pojęcia. Mogę więc teraz kontrolować wszystkie jego dzisiejsze rozmowy, jeśli nie przeszli znowu na inną częstotliwość. Zazwyczaj zmieniają ją co dwa lub trzy dni. Zmieniali ją wczoraj, więc nie powinno być problemu. Jest tylko jeden szkopuł. Mogę ich podsłuchiwać tylko wtedy, kiedy jestem w przedziale służbowym.

— Chce pan, żeby jeden z nas panu pomógł? — zapytał McIndoe.

— Przydałoby się — odrzekł konduktor.

— Załatwione — powiedział Szkot i zwrócił się do pozostałych: — Podróż potrwa cztery godziny. Proponuję, żeby każdy z nas przez godzinę posiedział w przedziale służbowym.

— Zgoda — rzekł Ravallo.

— Ja wezmę pierwszą zmianę — zaproponował Hillyard. Nie było sprzeciwów.

Konduktor ruszył do drzwi.

— Będę zaglądał co jakiś czas i informował was, co się dzieje.

— Dzięki, bylibyśmy wdzięczni.

— Muszę już iść. — Konduktor spojrział na Hillyarda. — Wrócę za kilka minut, kiedy pociąg ruszy ze stacji, i zaprowadzę pana do wagonu służbowego.

McIndoe zamknął za nim drzwi i zaciągnął zasłonkę. Podniósł jedną z gazet. Ledwie zdążył przeczytać pierwszą kolumnę wstępniaka, pociąg ruszył w duszącej chmurze gęstego ciemnego dymu. Wiedział, że jeszcze nie znaleźli się w bezpiecznym miejscu, ale przynajmniej udało im się zrobić pierwszy krok w tym kierunku.

Dochodziła północ, gdy zmęczony Hans Riedler odebrał telefon od wyższego oficera gestapo z Piazza Bologni. Oficer przekazał mu informacje otrzymane od jednego z ich bardziej wiarygodnych konfidentów. W nadziei, że może to oznaczać przełom w ich poszukiwaniach nieuchwytnych brytyjskich agentów, Riedler obudził Frankego i posłał go wraz z pięcioma najbardziej doświadczonymi spadochroniarzami na spotkanie z informatorem. Zaaranżowano je w dzielnicy Capo.

Eskortował ich transporter, ale po tym, co poprzedniego dnia partyzanci zrobili przy kościele z transporterem opancerzonym gestapo, Franke nie był specjalnie zachwycony. Tyle że załoga

pojazdu dobrze znała wąskie, źle oświetlone uliczki Capo. Franke nie był człowiekiem, którego łatwo przestraszyć, lecz im głębiej ich kübelwagen zapuszczał się w zaułki dzielnicy, tym bardziej nieswojo się czuł. Nie zdradzał się jednak z tym przed innymi. Oficer musi świecić przykładem.

Jadący przodem transporter stanął, a kierowca kübelwagena łagodnie nadepnął hamulec i zatrzymał się za nim. Kłapa wjazdu się odchyliła, z wjazdu wychynał młody oficer, który wskazał na wylot ciemnej uliczki. Franke wysiadł, trzymając w dłoni swój ulubiony pistolet maszynowy MP 40. Wokół unosił się mdlący smród gnijących odpadków, ale on nie zwracał na to uwagi, spoglądając na ciemne bramy domów po obu stronach ulicy. Znacznie bardziej obawiał się zasadzki. Jeden snajper. Jedna kula. To wystarczy, żeby go zabić. Niezwykle przygnębiająca myśl.

Upewniwszy się, że teren jest czysty, Franke gestem nakazał dwom swoim ludziom zająć pozycje za kübelwagenem, a na dwóch pozostałych skinął, aby szli za nim. Kiedy ostrożnie brnął ku wylotowi uliczki, obaj szli po jego bokach, mocno przyciskając do piersi pistolety maszynowe. Gdy dotarli do zaułka, podniósł rękę. Jeden z żołnierzy wyjął latarkę, zapalił i przeszył ciemność silnym strumieniem światła. Zastygł, kiedy w smudze światła ujrzał nędznie odzianą postać stojącą pod murem.

— Kuhn, sprawdź uliczkę — rozkazał.

Sierżant Manfred Kuhn wyjął drugą latarkę i podszedł do sterty zardzewiałych kubłów stojących przed jedyną bramą w tym zaułku. Zajrzał za śmietniki. Nikogo. Mocno pchnął zamknięte drewniane drzwi, które nie ustąpiły, i odruchowo cofnął nogę, gdy z dziury tuż nad progiem wyskoczył szczur i zniknął za najbliższym śmietnikiem. Kuhn powoli podszedł do mężczyzny, który nerwowo tulił się do muru, drżącą dłonią osłaniając oczy przed światłem latarki.

— Ty jesteś Verga? — zapytał po włosku.

Mężczyzna kiwnął głową, a potem niespokojnie pokazał palcem na źródło światła.

— Powiedz mu, żeby zgasił latarkę. Jeżeli ktoś zobaczy, że z wami gadam, zabiją mnie.

— Światło nie zostanie wyłączone, więcej lepiej przyzwyczaj się do niego — poradził mu Kuhn. Odgłos kroków nadchodzącego Frankego niósł się głuchym echem po bruku. — To on, panie kapitanie — rzekł Kuhn, wracając do ojczystego języka. Riedler wysłał go jako tłumacza, bo był jednym z niewielu spadochroniarzy, którzy umieli skutecznie porozumieć się po włosku.

— Macie pieniądze? — zapytał Verga, pocierając palcem wskazującym o kciuk przed nosem Frankego.

— Powiedz mu, że otrzyma zapłatę dopiero wtedy, kiedy jego informacje okażą się przydatne.

Kuhn przełożył słowa Frankego na włoski, a potem złapał Vergę za kłapy i pchnął go na ścianę.

— Masz mówić do mnie. Jasne?

— Wszystko mi jedno, z kim mówię, bylebym dostał moje pieniądze.

Franke z pogardą spojrzął na Vergę. Brudne ubranie, brudne włosy, brudne paznokcie, pryszczki wokół ust. Ten człowiek budził w nim głęboką odrazę. Franke założył czarne skórzane rękawiczki, jakby one mogły jakoś ochronić go przed tym cuchnącym nocnym stworem. Wziął Kuhna na bok.

— Według słów majora Riedlera, Verga zadzwonił do swojego kontaktu na gestapo i powiedział, że widział Massima, jak opuszczał pewien dom w tej dzielnicy. Trochę wcześniej spod tego samego domu grupka włoskich żołnierzy odjechała samochodem prowadzonym chyba przez członka ruchu oporu. Mógł to być Ravallo i jego ludzie. Powiedz mu, że nie interesuje mnie Massimo, tylko żołnierze. Pokaż mu portret pamięciowy Ravalla oraz jego kolegi i

sprawdź, czy ich rozpozna. I dowiedz się o dokładne położenie tego domu.

Kuhn wyjął z kieszeni dwa rysunki, podał je Verdze, a potem podniósł latarkę, żeby dobrze je oświetlić.

— Czy któryś z tych dwóch mężczyzn był wśród żołnierzy, którzy dziś wieczorem opuszczali ten dom?

Verga w zadumie przygryzł brudny paznokieć, uważnie oglądając portrety, a potem postukał w zdjęcie Ravalla.

— Dwaj z nich nosili oficerskie mundury. Jeden miał bandaż na lewym oku. To mógł być ten człowiek, ale nie jestem pewny. Tamten był przystojny, tak samo jak ten.

— A więc rozpoznaje Ravalla — rzekł podekscytowany Franke, kiedy Kuhn przetłumaczył mu słowa informatora. — Dokąd pojechali?

— Nie wiem — zastrzegł się Verga. — Odjechali wojskowym samochodem. Nie mogłem ich śledzić.

— Jak to się stało, że byłeś tu akurat w odpowiedniej chwili?

— Wcześniej usłyszałem pogłoski, że w tym domu kryje się Giancarlo Massimo — odparł Verga.

— Czemu więc zaraz nie zawiadomiłeś gestapo?

— Musicie zrozumieć, że słyszę wiele plotek. A płacą mi tylko za wiarygodne informacje. Dlatego przyszedłem pod ten dom, żeby samemu to sprawdzić. Kiedy ustaliłem, że tam był, natychmiast zawiadomiłem gestapo.

— Jednak do tej pory on zdążył już zniknąć — rzekł Kuhn.

— Niestety — przyznał Verga, wzruszając ramionami.

— Czyżby? — odparł z pogardą Kuhn. — Gdzie jest ten dom?

— Niedaleko stąd.

— Pokaż nam go — rozkazał Kuhn.

W oczach Vergi pojawił się niepokój, szybko potrząsnął głową.

— Nie. Nie mogą mnie z wami zobaczyć. Wytłumaczę, jak...

— Pokaż nam go — powtórzył Kuhn, tym razem bardziej stanowczo.

— To zbyt niebezpieczne...

— Zamknij się! — warknął Kuhn i mocno uderzył Vergą o ścianę. Trzymając go jedną ręką za brudną koszulę, drugą wskazał na stojącego za nim Frankego. — To mój dowódca. Służył w Afryce. Wieść niesie, że dowodzony przez niego patrol złapał dwóch nurków, którzy chcieli zaminować niszczytel kotwiczący w Aleksandrii. Wydobył od nich wszelkie potrzebne informacje. A potem ich zabił. Gołymi rękami. Powiadają, że przez trzy dni umierali w nieopisanych męczarniach. A to byli zahartowani żołnierze. Wolę nie myśleć, co mógłby zrobić z takim małym szczurem jak ty, gdyby się zdenerwował. — Uśmiechnął się zimno na widok przerażenia na twarzy Vergi. — Ale to tylko plotki. A ty nie bardzo w nie wierzysz, co? Naprawdę chcesz, żebym powiedział kapitanowi, że odmawiasz współpracy z nami?

— Nie, błagam. Pokażę wam ten dom — odparł pospiesznie Verga. — Zaraz was tam zaprowadzę.

— Co się dzieje? — zapytał Franke.

— Małe nieporozumienie, panie kapitanie. Zaprowadzi nas do tego domu. Mówi, że to niedaleko stąd.

Kuhn złapał Vergę za ramię i poszedł za Frankem z powrotem do kübelwagena.

Franke zamienił kilka słów z oficerem w transporterze opancerzonym, a potem wsiadł do samochodu.

— Dowiedz się, gdzie to jest, a potem ruszamy — powiedział do Kuhna.

— A co z transporterem? — zapytał sierżant.

— Zostanie tu, przynajmniej przez jakiś czas — odparł Franke. — Jeżeli w tym domu ktoś jest, chcę go wziąć żywcem na przesłuchanie. Musimy podejść do domu najciszej, jak się da. Nie chcę ciągnąć ze sobą transportera. Jest zbyt hałaśliwy.

Kuhn przekazał uzyskane od Vergi informacje kierowcy, który wyprowadził samochód zza transportera i pojechał do końca ulicy. Tam skręcił w prawo i dotarł do kolejnego skrzyżowania. Według wskazówek Vergi, melina partyzantów znajdowała się w domu stojącym dwieście kroków dalej. Franke przeciągnął palcem po szyi, pokazując kierowcy, żeby zgasił silnik i wyłączył światła. Potem wysiadł, trzymając w rękach pistolet maszynowy MP 40 i przycisnął się, czujnie wsłuchany w obce, nocne dźwięki. Podniesiony głos w sąsiednim domu. Odległy warkot silnika. Potem inny, tym razem bliżej. Dwa psy nieustannie szczekające na sąsiedniej ulicy. Powoli popatrzył na kiepsko oświetloną uliczkę po prawej. Wyglądała na pustą. Nie było żadnego sposobu, aby sprawdzić, czy nie wpadli w starannie zaplanowaną zasadzkę, ale instynkt podpowiadał mu, że nie grozi im żadne bezpośrednie niebezpieczeństwo. Cokolwiek myśleć o Verdze, jego lojalność wobec gestapo była bezdyskusyjna. W końcu Franke skinął na spadochroniarzy, żeby wysiedli z samochodu. Kuhn pospiesznie podszedł do kapitana.

— A co z Vergą?

— Zostanie tu z Hoffmanem. — Franke wskazał kciukiem na kierowcę. — I powiedz Hoffmanowi, żeby go zabił, jeśli spróbuje sprawiać jakiegokolwiek kłopoty.

— Sądzi pan, że to może być pułapka?

— Nie, ale to nie oznacza, że nie musimy zachowywać czujności przy podchodzeniu do tego domu. Nie mam ochoty ryzykować bez potrzeby. A ty?

— Nie, panie kapitanie — rzekł Kuhn. Odwrócił się i przekazał kierowcy instrukcje Frankego.

Kapitan kazał dwóm swoim ludziom zająć pozycje na tyłach i czekać na dalsze rozkazy. Pozostali dwaj — Kuhn i Hausser, młody spadochroniarz niezwykle ceniony przez Riedlera — skoczyli za Frankem, który pobiegł, nisko pochylony, za osłonę ogrodowego muru ciągnącego się wzdłuż opustoszałej ulicy. W domu za murem nie paliły się żadne światła. Franke wskazał kryjówkę partyzantów, znajdującą się zaledwie dwadzieścia kroków dalej. Ten dom również był pogrążony w ciemnościach. Kapitan otarł rękawem pot z czoła, skinął na Haussera, żeby podbiegł do drewnianego ogrodzenia. Hausser przebiegł na drugą stronę drogi, po czym przyklęknął przy płocie, skąd uważnie obejrzał zarośnięty ogród i wychodzące na ulicę okna. Teren wyglądał na bezpieczny, skinął więc na Frankego, który dał znak Kuhnowi, żeby dołączył do nich. Szybko i bezgłośnie dobiegli do skulonego przy płocie Haussera. Franke popatrzył na pustą ulicę, a potem odpiął od pasa przenośny radiotelefon.

— Meisner, czy jesteście już z Brandtem na swoich pozycjach? — szepnął.

— Tak, panie kapitanie — zatrzeszczało w radiu.

— Ruszajcie. I pamiętajcie: chcę ich wziąć żywcem.

Franke z powrotem przyczepił nadajnik do pasa, a potem wstał i pobiegł ścieżką w kierunku budynku. Zajął pozycję obok frontowych drzwi i machnął do Kuhna i Haussera, żeby do niego dołączyli. Kuhn pierwszy pokonał podjazd. Przycisnął się do ceglanej ściany po drugiej stronie wejścia — z latarką w jednej, pistoletem maszynowym w drugiej ręce — gotowy wpaść do środka. Hausser z całej siły uderzył podeszwą buta w drzwi. Usłyszeli trzask pękającego pod uderzeniem drewna, ale drzwi wytrzymały. Hausser kopnął ponownie i tym razem puściły. Kuhn, doświadczony uczestnik wielu takich operacji, pierwszy skoczył do środka. Przypadł do podłogi i omiół łufą automatu przedsiónek. Nikogo. Franke i Hausser również weszli do domu. Potem, razem z Meisnerem i Brandtem, którzy wdarli się do środka przez okno w kuchni, zaczęli przeszukiwać budynek. Sprawdzano pokój za pokojem; szybko stało się jasne, że nikogo tu nie

ma. Franke czuł wprawdzie ulgę, że bez żadnych strat zdobyto budynek, ale przyćmiewało ją rozczarowanie. Czy to była kryjówka grupy Ravalla? Jeśli tak, to dokąd się wynieśli? I czy w ogóle byli w tym domu? Jego ludzie nie znaleźli niczego, co mogłoby to potwierdzić. Czyżby Riedler zbyt szybko wyciągnął błędne wnioski o pasażerach wozu? Może istniało jakieś zupełnie proste wyjaśnienie tego, co widział Verga? Nie było tajemnicą, że co tydzień jacyś rozczarowani włoscy żołnierze dezercerowali i przyłączali się do ruchu oporu. A Verga nie był pewny, czy rozpoznaje Ravalla na portretach pamięciowych. Kolejne przypuszczenie...

— Panie kapitanie, znaleźliśmy coś — powiedział Kuhn, stając w progu. — Chyba powinien pan to obejrzeć.

Franke poszedł za Kuhnem do pokoiku przylegającego do kuchni. Stojący obok łóżka Hausser obejrzał się, gdy weszli do środka.

— Znalazłem je w szafie, panie kapitanie. Były w walizce.

— Co? — zapytał Franke podchodząc do łóżka.

— Mundury Wehrmachtu, panie kapitanie — odparł Hausser, pokazując stertę odzieży na łóżku. — A także dwa mundury gestapo.

— Niech spojrzę — powiedział Franke. Odsunął Haussera i podniósł gestapowski uniform. Mundur oficera. Hausser poświecił latarką, żeby Franke mógł go dokładniej obejrzeć. Przy kurtce brakowało guzików. Franke miał teraz dowód pozwalający mu powiązać Ravalla z tą meliną i z włoskimi żołnierzami, których Verga widział w dziupie. Nagle wszystko nabrało sensu. Zamienili niepotrzebne niemieckie mundury na włoskie, żeby łatwiej wtopić się w otoczenie. Kto zwróci uwagę na grupkę włoskich żołnierzy? Ravallo z pewnością wiedział, że jego portret pamięciowy zostanie rozesłany do wszystkich posterunków drogowych, portów i dworców kolejowych na całej wyspie, a czyż było lepsze przebranie niż sfingowana rana głowy i bandaż pozwalający ukryć twarz? Który żołnierz ośmielił się wypytywać rannego oficera o jego rany?

— Wiemy, że tu byli, panie kapitanie — rzekł Kuhn. — Co teraz?

— Naprawcie frontowe drzwi — rozkazał Franke, rzucając mundur z powrotem na łóżko.

Kuhn i Hausser wymienili zdumione spojrzenia.

— Po co je naprawiać? — spytał Kuhn.

— Ponieważ, według Vergi, samochód prowadził członek ruchu oporu — odparł Franke. — A jeśli odwozi ich na stację albo do innej kryjówki w mieście, to istnieje szansa, że później wróci tutaj. A jeśli tak, to nie chcę, żeby zaczął coś podejrzewać. Dom musi wyglądać dokładnie tak samo, jak kiedy go opuszczał.

— A co z rozbitym oknem w kuchni? — zapytał Hausser.

— To nie jest istotne — odrzekł Franke. — Meisner i Brandt ukryją się w ogrodzie. Wystarczy, że wjedzie na podjazd i wyłączy silnik, a znajdzie się w pułapce.

— Przy założeniu, że wysadził ich gdzieś w mieście, panie kapitanie. A jeśli zawiózł ich na punkt kontaktowy gdzieś poza Palermo? Możemy tu czekać godzinami.

— Czy masz jakieś ważniejsze spotkanie, Hausser? — zapytał Franke żartobliwie.

— Nie, panie kapitanie — odpowiedział Hausser, wbijając wzrok w podłogę.

— Wobec tego idź i napraw drzwi, zanim wróci kierowca. Kuhn, pomóż mu. No już, ruszać się!

— Panie kapitanie, widzę światła nadjeżdżającego samochodu — oznajmił stojący przy oknie Kuhn. — Już widzę wóz. To włoski wóz terenowy. Jeden pasażer. Mężczyzna... zaraz... za nim widzę drugą parę świateł. Ten drugi też zwalnia.

— Jeden samochód czy dwa, to bez znaczenia — odparł Franke. — Niech nikt się nie rusza, dopóki oba nie zgaszą silników.

— Łazik skreślił na podjazd — powiedział Kuhn. — Staje na trawniku przed domem. Wyłączył silnik. Widzę również drugi samochód. Mały... to fiat. W środku też jedna osoba, kobieta. Staje za łazikiem. Wyłącza silnik. Wysiada i podchodzi do pierwszego samochodu. Mężczyzna nadal siedzi w środku... Meisner i Brandt wyskoczyli z ukrycia i biegną do nich, panie kapitanie.

— Chodźmy — rozkazał Franke. Podążając za Hausserem do frontowych drzwi, wyjął z kabury pistolet. Wcześniej Hausser i Kuhn umocowali drzwi z powrotem. Teraz okazało się, że nie można ich otworzyć. — Otwieraj! — wrzasnął rozeźlony Franke, a potem odepchnął Haussera na bok i wściekle szarpnął za klamkę. Drzwi otworzyły się, lecz jeden z zawiasów pękł i Franke musiał chwycić je oburącz, żeby odsunąć na bok. Wreszcie wyszedł na zewnątrz, celując z pistoletu do Venucciego i Giny, którzy stali z podniesionymi rękami przy łaziku. Oboje już zostali przeszukani, a karabin Venucciego zabrany z tylnego siedzenia. Meisner stał przed nimi, a Brandt za ich plecami, skutecznie udaremniając jakąkolwiek próbę ucieczki. Venucci powiedział coś do Frankego po włosku, a potem wskazał na Ginę. — Kuhn, chodź tutaj — rzucił przez ramię zirytowany Franke.

Venucci dostatecznie dobrze znał niemiecki, żeby móc porozumieć się z Niemcami w ich własnym języku. Ale musiał udawać włoskiego żołnierza. Tylko to im pozostało. Musiał być silny, choćby z powodu Giny. Dla niego była jeszcze dzieckiem i postanowił ją chronić, w razie potrzeby nawet za cenę własnego życia...

— Nazwisko? — warknął Kuhn do Venucciego.

— Tessoti, Lino Tessoti — odparł Venucci i sięgnął ręką do kieszeni munduru. Franke odtrącił jego dłoń lufą pistoletu. — Chciałem tylko pokazać panu dokumenty, panie kapitanie — zapewnił go Venucci, zasłaniając się rękami.

Kuhn odpiął mu kieszonkę kurtki i wyjął papiery. Przejrzał je i podał Frankemu.

— Na pewno podrobione — rzekł Franke, nawet na nie nie patrząc. — Wprowadźcie ich do środka.

— Panie kapitanie, to jakaś pomyłka. Jestem pewien, że...

— Zamknij się! — Kuhn złapał Venucciego za ramię i pchnął w kierunku domu.

Hausser zdjął drzwi z zawiasów; teraz stały oparte o ścianę korytarza. Venucciego i Ginę zaprowadzono do holu, gdzie po raz pierwszy od przybycia Niemców do domu zapalono światło. Brandt i Hausser zajęli pozycje po obu stronach okna. Meisner wszedł ostatni, zamknął za sobą drzwi i stanął przy nich na straży.

— Dokąd zabrałeś Ravalla? — zapytał Franke.

Venucci ze zdziwieniem potrząsnął głową, kiedy Kuhn przetłumaczył pytanie.

— Dziś wieczór umówiłem się z moją przyjaciółką — powiedział, wskazując na stojącą obok Ginę.

— Dwoma samochodami? — naciskał Kuhn.

— Musi jutro wcześniej wstać do pracy. Myśleliśmy...

— Dość tej zabawy — przerwał Kuhn. — Czy to twój dom?

— Tak, panie sierżancie.

— To może wyjaśnisz nam, skąd się tu wzięły niemieckie mundury wojskowe, które znaleźliśmy w sypialni. Dwa z nich zidentyfikowano jako te, których używali agenci wroga, usiłujący wczoraj po południu przerwać kordon bezpieczeństwa wokół Grand Hotelu.

— Mundury? — powtórzył Venucci ze szczerym zdziwieniem.

Gra był skończona. Massimo skontaktował się z nim przez radio, jak odjeżdżał spod dworca i zapewnił, że kazał natychmiast usunąć mundury. A więc dlaczego tego nie zrobiono? Czyżby łącznik przestraszył się na widok wkraczających do domu Niemców? To wydawało się jedynym

logicznym wyjaśnieniem. Jednak dlaczego nikt ich nie ostrzegł? Dlaczego pozwolono im wejść prosto w pułapkę? Czyżby naprawdę byli tak mało ważni? Wiedział, że mundury nie tylko łączyły ich z grupą Ravalla, ale i z partyzancką zasadzką z poprzedniego dnia. Pętla zacisnęła się. Nic nie mógł zrobić, żeby uratować ich oboje.

Nagle poczuł ogromne rozgoryczenie. Pozostawiono ich na łasce Niemców. Po tym wszystkim, co zrobił dla partyzantów od początku okupacji. Więc tak odpłacili mu za jego lojalność? A co z Giną? Osiemnaście lat. Powinna mieć przed sobą całe życie. Co ją teraz czeka?

— Zawrzyjmy umowę — powiedział im Kuhn. — Powiecie nam to, co chcemy wiedzieć, a daję wam słowo, że nie zostaniecie oddani w ręce gestapo na dalsze przesłuchanie.

— Idź do diabła — warknął Venucci.

Franke złapał Kuhna za ramię i odprowadził na bok.

— Co im powiedziałaś?

Kuhn powtórzył.

— Czy pozwoliłem ci zawierać jakieś umowy w moim imieniu? — zapytał ze złością Franke.

— Jesteś tu moim tłumaczem i jeżeli nie potrafisz wywiązać się ze swoich obowiązków, to zastąpi cię ktoś, kto potrafi. Czy to jasne, sierżancie?

— Tak, panie kapitanie — odrzekł krótko Kuhn.

— Brandt, idź i znajdź jakiś sznur — rozkazał Franke.

— Panie kapitanie, jeśli zdołam zdobyć ich zaufanie, możemy dowiedzieć się znacznie więcej niż tylko o miejscu pobytu agentów wroga — rzekł Kuhn, kiedy Brandt opuścił pokój.

— Nic innego mnie nie interesuje, Kuhn.

— A więc zamierza ich pan potem oddać w ręce gestapo?

— Zobaczymy.

Kiedy Brandt wrócił ze sznurem, Franke kazał więźniom klęknąć, a potem związał im ręce za plecami, przymocowując końce linki do kostek i skutecznie ich w ten sposób unieruchamiając. Franke przykucnął za drżącą Giną i przytknął lufę pistoletu do jej łokcia. Spojrzał na Venucciego, który patrzył na to z rosnącym niepokojem.

— Kuhn, zapytaj go, dokąd zabrał dziś Ravalla i jego kolegów. Jeśli odmówi odpowiedzi, wpakuję jej pierwszą kulę w łokieć. Drugą strzaskam jej kolano. Mam cały magazynek, żeby eksperymentować na różnych częściach jej ciała. Osiem kul. I dopiero ostatnia ją zabije. A kiedy będzie martwa, zabiorę się do niego. Powiedz mu to.

— Nie musi mi mówić, zrozumiałem, co powiedziałaś — odezwał się po niemiecku Venucci. — Co z ciebie za zwierzę! Przecież to jeszcze dziecko.

— Powinieneś pomyśleć o tym, zanim ją zwerbowałeś — odparł z pogardą Franke. — Ale przecież tak zwany ruch oporu zawsze postępuje tak samo, prawda? Obojętne, ile mają lat, byleby mogli wycelować i zabić niemieckiego żołnierza. Tylko o to wam chodzi, no nie? To nie ja mam ich krew na sumieniu. Ty ją masz. I tacy jak ty, co podejmują tę beznadziejną walkę. To twoja wina, nie moja.

Venucci popatrzył z rozpaczą na Ginę. Jej sarnie oczy były szeroko otwarte, wystraszone i pełne łez. Był pewny, że oboje umrą. Pytanie tylko, w jaki sposób. Powoli i w męce czy szybko i bezboleśnie... Jeśli wyjawi Niemcom to, co chcieli wiedzieć, Ravallo i jego grupa nigdy nie wydostaną się z wyspy. Zostaną aresztowani w pociągu. Na pewno któreś z nich załamię się na torturach, co doprowadzi do masowych aresztowań. Co robić? Zobaczył pierwszą łzę spływającą z kącika oka Giny, która dzielnie pokręciła głową, jakby czytała w jego myślach.

— Odpowiadaj! — ryknął Franke, a Giną krzyknęła z bólu, bo szarpnął ją za ramię i wbił lufę w ciało.

Venucci nawet nie usłyszał pytania. I tak nie miało to żadnego znaczenia.

— Idź do diabła! — warknął do Frankego.

Franke nacisnął spust i Giną wrzasnęła z bólu. Pocisk strzaskał jej łokieć, obryzgując ścianę za nią fontanną krwi i kości. Upadła bokiem na dywan i leżała jęcząc i przyciskając do ciała okaleczone ramię. Venucci odwrócił głowę, walcząc z żołądkiem podchodzącym mu do gardła. W końcu spojrzął na żołnierzy stojących koło drzwi. Spodziewał się, że w ich oczach zobaczy bezlitosny triumf. Dostrzegł tylko obrzydzenie. Giną krzyknęła, gdy Franke chwycił ją za strzaskane ramię i szarpnięciem podniósł na kolana. Venucci zauważył, jak Brandt — żołnierz, który przyniósł sznur — robi zdecydowany krok w kierunku Frankego, jakby chciał interweniować, ale drugi, zwany Kuhnem, położył mu rękę na ramieniu i potrząsnął głową.

— Drugi pocisk ją okalawi — oznajmił Franke, przyciskając lufę pistoletu do kolana Giny. — Naprawdę chcesz, żebym to zrobił? Naprawdę chcesz?

— On nic ci nie powie — syknęła przez zaciśnięte zęby Giną, a potem z pogardą splunęła Frankemu w twarz.

Franke zimno uśmiechnął się i otarł ślinę z policzka.

— No to jak będzie?

Venucci spuścił oczy i potrząsnął głową. Drgnął instynktownie, gdy huknął drugi strzał, a przeraźliwy krzyk Giny zdawał się przeszywać jego duszę. Venucci zobaczył, że dwaj żołnierze przytrzymują Brandta, który błaga Frankego, żeby przestał kaleczyć dziewczynę. Gina na szczęście straciła z bólu przytomność i leżała nieruchomo na podłodze, a jasny dywan wokół niej nasiąkał gęstym, czerwonym syropem krwi.

— Myślisz, że ja to lubię? — wrzeszczał Franke.

Kuhn otworzył drzwi i brutalnie wypchnął Brandta do holu. Franke spojrzął na leżącą u jego stóp Ginę Roettę.

— Ktoś musi skłonić ich do mówienia. Kuhn, chcesz to zrobić?

Kuhn opuścił wzrok, ale nie odpowiedział. Franke wyciągnął rękę z pistoletem do obu pozostałych.

— Meisner, weź broń. No już, bierz! Hausser, może ty?

Żaden się nie ruszył.

— Nie, zawsze na mnie spada najgorsza robota. — Zaśmiał się z goryczą, a potem trącił Ginę czubkiem zakrwawionego buta. — Kuhn, przynieś trochę wody. Musimy ocucić tę sukę. Zabawa dopiero się zaczyna.

W tej chwili usłyszeli warkot samochodu i przed domem zatrzymał się kübelwagen. — To Hoffman, panie kapitanie — powiedział Meisner spod okna.

Po chwili kierowca wszedł do domu i zasalutował Frankemu, który wyłonił się z saloniku.

— Właśnie rozmawiałem z majorem Riedlerem, panie kapitanie. Widziano Ravalla na dworcu kolejowym. Major Riedler już tam jedzie. Chce, żeby się pan tam zjawił najszybciej jak to możliwe.

— Gdzie jest Verga? — zapytał Franke.

— Wyrzuciłem go, zanim tu podjechałem. Narzekał, że nie zapłacono mu za informację, ale kazałem mu załatwić to z gestapo.

— Dobrze zrobiłeś — rzekł Franke wracając do saloniku. — Odjeżdżamy stąd.

— A co z nimi? — Kuhn wskazał na Ginę i Venucciego.

W odpowiedzi Franke strzelił Ginie w tył głowy. Jej ciało drgnęło i znieruchomiło. Venucci podniósł głowę i wyzywająco spojrzął Frankemu w twarz. Franke bez cienia emocji wycelował i nacisnął spust. Uderzenie kuli rzuciło Venucciego w tył; osunął się bezwładnie na martwe ciało Giny. Franke wpełchnął broń do kabury i ruszył do drzwi.

— Koniec przedstawienia, panowie. Idziemy.

— Gdzie reszta ludzi? — spytał Riedler, odpowiadając na salut Frankego.

— Kazałem im poczekać na zewnątrz, panie majorze. Mam ich wezwać?

— Nie, otrzymają zadania później, razem z resztą oddziału — odparł Riedler. Mruknął coś z irytacją pod nosem, bo właśnie potrąciła go gruba kobieta, która ciągnęła za sobą dwójkę rozgrymaszonych dzieciaków. Pociągnął Frankego w spokojniejszy kąt poczekalni, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. — Policjant mający tutaj służbę rozpoznał Ravalla na portrecie pamięciowym. Widział wóz terenowy, który zatrzymał się w niedozwolonym miejscu. Wysiedli z niego czterej mężczyźni. Wszyscy ubrani we włoskie mundury. Trzej weszli na dworzec, zanim zdążył do nich podejść, więc nie mógł nam podać żadnych rysopisów. Kiedy upomniał kierowcę za nieprzestrzeżenie znaku zakazu parkowania, Ravallo uraczył go historyjką o ranie odniesionej w Afryce Północnej i rodzinie czekającej na jego powrót. Policjant wycofał się, nie chcąc awantury, ale zauważył, że Ravallo wszedł na stację.

— Wie pan, którym pociągiem pojechali?

Riedler skinął głową.

— Żołnierz sprawdzający dokumenty przy barierce również pamięta Ravalla. Według niego pojechali do Katanii.

— Co wcale nie oznacza, że tam jadą.

— Racja. Powiedziałbym, że chcieli jak najszybciej opuścić Palermo, zanim zdążymy zablokować wszystkie drogi. Bilety nie zostały wykupione wcześniej, tyle wiemy. Może więc po prostu wybrali pierwszy lepszy pociąg wyjeżdżający z miasta, wszystko jedno dokąd. Mało prawdopodobne, aby wysiedli na którejs z stacyjek po drodze. To maleńkie wioski. W takich miejscach obcy łatwo rzucają się w oczy.

— A oni nie będą chcieli niepotrzebnie zwracać na siebie uwagi — przytaknął Franke. — Co robimy, panie majorze? Zatrzymujemy pociąg i aresztujemy ich?

— Trzeba działać szybko. Już postarałem się, żeby oddział żołnierzy czekał na pociąg w Valledolmo. To jedna z tych wiosek po drodze. Zaaresztują Ravalla i jego współników, a potem przywiozą ich do Palermo na przesłuchanie.

— Zakładając, że jeszcze nie opuścili pociągu.

— Wiemy, że jeszcze w nim są — odparł Riedler ku zaskoczeniu kapitana. — A przynajmniej byli, kiedy gestapo ostatni raz kontaktowało się ze swoim agentem, który jedzie tym pociągiem. Mają ludzi działających incognito i przekazują informacje za pomocą małych radionadajników, które noszą przy sobie.

— A więc nasza misja tutaj zakończy się jutro rano, kiedy marszałek Kesselring i jego sztabowcy opuszczą Sycylię. Nie wie pan, dokąd nas przerzuca? Czy wracamy na front wschodni?

— Nie otrzymałem żadnych rozkazów, mogę jedynie zakładać, że nas tam odeślą — rzekł Riedler. Upuścił papierosa i przydeptał go nogą. — Ale nasze zadanie nie jest zakończone. Ravallo i jego koledzy jeszcze nie znaleźli się za kratkami.

— Teraz to powinna być zwykła formalność.

— Niech pan nie popełnia błędu, nie doceniając ich. Wczoraj mało co nie udało im się bardzo zuchwała akcja w hotelu. Tylko uśmiech losu sprawił, że się nie powiodła.

Riedler ponownie wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zaklął odkrywając, że wypalił ostatniego. Zmiał opakowanie w kulkę i cisnął na podłogę.

— Jeszcze mi pan nie powiedział, co zaszło dziś wieczorem po spotkaniu z informatorem gestapo.

— Sądziłem, że Hoffman już panu powiedział, panie majorze.

— Powiedział mi to, co wiedział, zważywszy jednak na to, że siedział w wozie, kiedy pan i reszta weszliście do domu, nie było tego wiele.

Franke zrelacjonował krótko wydarzenia, nie wspominając, jak brutalnie potraktował Ginę Roette, zanim ją zabił. Wiedział, że Riedler nie zaaprobowałby takich metod.

— Zastrzelił ich pan? — powtórzył z niedowierzaniem Riedler. W jego oczach błysnął gniew.
— Dlaczego pan musi rozwiązywać wszystkie problemy za pomocą broni? Powinni zostać przekazani gestapo na przesłuchanie.

— Nie widziałem sensu, panie majorze. Nic by nie powiedzieli, nawet na torturach.

— Skąd może pan być tego taki pewny?

— Kiedy służy się w SS, zaczyna się wyczuwać takie rzeczy, panie majorze. W Afryce Północnej przesłuchiwałem wielu więźniów. Człowiek szybko uczy się rozróżniać tych, którzy załamują się pod presją, od tych, którzy zniosą każde tortury.

— Rany boskie, przecież mówimy o młodej dziewczynie. Chce mi pan powiedzieć, że mając do dyspozycji cały ten arsenał barbarzyńskich metod, gestapo nie zdołałoby jej złamać?

— Panie majorze, wiek nie zawsze odgrywa rolę; liczy się to, co jest tutaj — odparł Franke, przyciskając pięść do piersi.

— Chcę dostać pisemny raport o tym, co stało się dzisiejszej nocy — powiedział Riedler. — I chcę go mieć jutro rano.

— Otrzyma go pan, panie majorze — zapewnił go Franke. — Czy będę panu jeszcze dziś potrzebny?

— Nie, niech pan wraca do hotelu. I proszę zabrać naszych ludzi. Dołączę do was niebawem.

Franke zasalutował i zniknął w drzwiach. Riedler spojrział na zegarek. Pierwsza. Stłumił ziewnięcie, a potem powoli przetarł rękami twarz. Kiedy w końcu odjął dłonie od oczu, że zdziwieniem ujrzał stojącego przed nim Kuhna.

— Co tu robisz? Myślałem, że jesteś już w drodze do hotelu.

Kuhn zerknął niespokojnie na główne drzwi, a potem potrząsnął głową.

— Inni pojechali do hotelu z kapitanem Frankem, panie majorze. Ja zostałem. Muszę z panem porozmawiać. W cztery oczy.

Riedler zawsze uważał Kuhna za jednego z najbardziej zaufanych kolegów w oddziałach spadochronowych. Podobnie myślący liberał i zawodowy żołnierz nie interesujący się polityką, Kuhn dowodził honorową eskortą na ślubie Riedlera. Rok wcześniej z poświęceniem ryzykował życie, wynosząc ранego Riedlera spod nieprzyjacielskiego ognia podczas inwazji na Kretę. A jednak, choć znali się długo, Riedler nigdy nie widział, aby Kuhn był tak wzburzony.

— Co się stało? — zapytał, a kiedy próbował uspokajająco położyć Kuhnowi dłoń na ramieniu, ten uchylił się, wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił drżącymi palcami. — Chyba powinienes dać mi jednego — zauważył Riedler. Zapalił także i wyrzucił zużytą zapalniczkę.
— A teraz powiedz, o co chodzi.

— O kapitana Frankego, panie majorze.

— Dlaczego nie dziwi mnie, że to słyszę? Co zrobił tym razem?

Kuhn głęboko zaciągnął się papierosem, a potem powoli wypuścił dym.

— Nawet nie wiem, czy powinienem o tym panu mówić, panie majorze. Czuję się niewiele lepszy od Vergi. Jak tani donosiciel.

— Z tego, co słyszałem, nie taki znowu tani — odparł Riedler z krzywym uśmiechem. Kuhn nie zareagował na żart. — Nigdy nie widziałem cię w takim stanie. Widzę, że coś cię dręczy. Wiesz, że cokolwiek mi powiesz, pozostanie to między nami.

— Z całym szacunkiem, panie majorze, nie sądzę, aby kapitanowi Frankemu trudno było się domyślić, kto go zasypał. — Kuhn rzucił papierosa na podłogę i zdeptał go butem. — Do diabła

z nim. Muszę to panu powiedzieć, panie majorze. Po drodze tutaj słyszałem w radio komunikat. W dzielnicy Capo wybuchł pożar. Moją uwagę zwrócił fakt, że ogień wybuchł w domu, który opuściliśmy pół godziny wcześniej. Uważam, że stoi za tym kapitan Franke, panie majorze. Tylko w ten sposób mógł zatrzeć ślady.

— Zatrzeć ślady? — powtórzył Riedler, marszcząc brwi. — O czym ty mówisz?

— Czy opowiedział panu o tych dwojgu więźniach, których złapaliśmy w domu?

— Tak, mówił, że ich zastrzelił — odparł ponuro Riedler.

— A powiedział panu, że najpierw okaleczył dziewczynę? — zapytał Kuhn.

Riedler powoli odjął papierosa od ust.

— Mów, co zaszło.

Kuhn dokładnie zrelacjonował wydarzenia.

— Wszystkim nam zrobiło się niedobrze, panie majorze. A najgorsze było to, że jemu naprawdę chyba sprawiało to przyjemność. Jesteśmy spadochroniarzami, panie majorze, nie gestapowcami. To, co dziś zrobił, splamiło dobre imię regimentu.

— I uważasz, że postarał się spalić dom do fundamentów, żeby zniszczyć wszystkie dowody?

— Tak, panie majorze, tak uważam.

— Przecież Hausser, Brandt i Meisner mogą potwierdzić twoje słowa.

— Nie jestem tego pewien, panie majorze. W drodze powrotnej kapitan Franke wygłosił do nas długą przemowę, usiłując usprawiedliwić to, co zrobił w tamtym domu. Muszę przyznać, że to było doskonale przemówienie. Natchnione. Szowinistyczne. I zastrasząco przekonujące, szczególnie dla młodych, bezkrytycznych umysłów. Myślę, że przekonał ich wszystkich. Na pewno Brandta, którego najbardziej dotknęło to, co widział w tym domu. Nie sądzę, żeby zaświadczyli przeciw niemu. Tylko ja go przejrzałem. I myślę, że on o tym wie. Wie także, że gdybym próbował publicznie stawiać mu zarzuty, ucierpiałoby na tym dobre imię oddziału. A na to nie mogę pozwolić. Regiment to całe moje życie. Dlatego ośmieliłem się wywnętrzyć przed panem, panie majorze. Wiem, że podejmie pan odpowiednie kroki, żeby kapitan Franke odpowiedział za to, co zrobił, nie niszcząc przy tym wizerunku naszego oddziału.

— Bywają chwile, kiedy oficerskie gwiazdki są przekleństwem — rzekł Riedler po chwili namysłu. — Przebyliśmy długą drogę, Manfredzie. Tego, co ci teraz powiem, nikomu nie powtarzaj.

— Wie pan, że tego nie zrobię, panie majorze.

— Mój kontakt w dywizji „Brandenburg” przysłał mi kopię poufnych akt osobowych kapitana Frankego, jak tylko przydzielono go do naszego oddziału. Zwierzchnicy uważali go za jednego z najzdolniejszych rekrutów w historii jednostki. Inteligentny. Oddany. Nieustraszony. Błyskotliwy taktik, a także wspaniały mówca, jak przekonałeś się dziś wieczorem. Jednak ma jedną poważną wadę. To psychopata cierpiący na to, co psychiatrzy nazywają „osobowością autorytatywną”. Co oznacza, że darzy bezgranicznym szacunkiem wszelką władzę, a jednocześnie głęboko nienawidzi tych, których uważa za nonkonformistów. W tym przypadku oboje partyzantów. A jednak psychiatrzy w swej nieskończonej mądrości uznali, że skoro ataki psychozy zdarzają się w nieregularnych odstępach czasu, nie mogą być podstawą zwolnienia go ze służby. Zamiast tego został awansowany do stopnia kapitana i zwalony nam na kark wraz z ich najlepszymi życzeniami.

— Czy generał Student wie o tym, panie majorze?

— Zakładam, że tak. Nigdy o tym nie wspominał, a ja, oczywiście, nigdy nie poruszałem tego tematu. Szczerze mówiąc, nigdy nie byłem świadkiem żadnych objawów psychozy kapitana Frankego, a nie mogłem pójść do generała Studenta, nie dysponując konkretnymi faktami.

— Skoro generał Student wie o tym, dlaczego pozwolił, aby go nam zwalono na kark?

— Wiem tylko, że kapitan Franke ma wielu popleczników w Berlinie.

— Czy zamierza pan złożyć generałowi Studentowi raport o dzisiejszych wydarzeniach w tym domu, panie majorze?

— Nawet gdybym to zrobił i gdyby wszczęto przeciwko niemu śledztwo, gwarantuję, że wszelkie kroki dyscyplinarne zostałyby zablokowane przez Berlin. W końcu ci z gestapo i SS codziennie popełniają podobne potworności na okupowanych terenach. Nie. Walilibyśmy głową o mur, Manfredzie.

— A więc, innymi słowami, nie ma pan zamiaru nic zrobić? — rzekł ze złością Kuhn. — Przymykając oko na jego zachowanie, udziela mu pan pozwolenia, aby robił z tym oddziałem, co chce, panie majorze. Staniemy się nie lepsi od gestapo.

— Nigdy więcej nie podnoś tak na mnie głosu — ofuknął go gniewnie Riedler. — To, co on zrobił dziś wieczorem, budzi we mnie taki sam wstręt, jak w tobie. Jednak, jak już powiedziałem, kapitan Franke ma wielu popleczników w Berlinie. Słyszałem nawet, że niektórzy z nich chcą mnie usunąć i oddać mu dowodzenie nad regimentem. I gdybym teraz zaczął robić zamieszanie, mógłbym dostarczyć im pretekstu. Muszę działać bardzo ostrożnie. Ale też nie mam zamiaru pozwolić, aby kapitan Franke sprowadził cały oddział do swojego poziomu.

— Co pan zrobi? — Kuhn ponownie wyjął paczkę papierosów z kieszeni na piersi.

— To już moje zmartwienie — odparł Riedler. Wskazał na paczkę w dłoni Kuhna. — Dzięki, jeśli masz zamiar mnie poczęstować.

Kuhn otworzył pudełko.

— Został mi tylko jeden, panie majorze.

— Chcę tylko jednego — odparł Riedler, wyjmując papierosa z paczki.

Kuhn westchnął z rozpaczą, rzucił pudełko do kosza na śmieci i podążył za Riedlerem, który był już w połowie drogi do głównego wyjścia.

Hillyard szeroko otworzył drzwi przedziału i wpadł do środka.

— Niemcy są na naszym tropie — oznajmił bez tchu. — Wiedzą, że jesteśmy w tym pociągu.

Evans szybko zasunął za nim drzwi.

— Skąd? — zapytał. — Przecież od chwili wejścia do pociągu siedzieliśmy cicho. Zasłony były zaciągnięte przez cały czas, a oprócz ciebie nikt z nas nie opuszczał przedziału. Jak agent gestapo zdołał się dowiedzieć, że tu jesteśmy?

— To nie on. — Hillyard opadł na siedzenie obok Evansa, nadal usiłując złapać oddech po sprincie z wagonu służbowego. — Policjant i żołnierz na dworcu rozpoznali Nicky'ego na portrecie pamięciowym. Wygląda na to, że Niemcy wiedzą, iż podróżujemy we czwórkę. Nie mam pojęcia, skąd o tym wiedzą, ale właśnie to gestapo przekazało swojemu agentowi, kiedy skontaktowali się z nim przez radio. Kazano mu, aby miał nas na oku, dopóki pociąg nie dojedzie do Valledolmo.

— A co stanie się w Valledolmo? — zapytał McIndoe.

— Z garnizonu w pobliżu Valledolmo wysłano oddział żołnierzy, którzy czekają na stacji — odparł Hillyard. — Chcą aresztować nas na dworcu, a potem przewieźć z powrotem do Palermo i przekazać gestapo.

— Gdzie jest to Valledolmo?

— To następna stacja.

— Co takiego?! — wykrzyknął z niedowierzaniem Ravallo. — Dlaczego nie zawiadomiłeś nas wcześniej?

— Wszystko jest pod kontrolą — szybko zapewnił go Hillyard. — Rozmawiałem już z konduktorem i powiedział mi, że ma pomysł, jak wydostać się z pociągu przed Valledolmo.

— I cóż to za wspaniały pomysł? — dociekał Ravallo.

— Nie wyjawiał go — mruknął niechętnie Hillyard.

McIndoe podniósł rękę, uciszając Ravalla.

— To do niczego nie prowadzi. Bruce, powiedziałaś o tym Stelli i Neville'owi?

— Nie — odparł Hillyard. — Przyszedłem tu prosto z wagonu służbowego.

McIndoe zwrócił się do Evansa:

— Mówiłeś, że wiesz, w którym jadą przedziale. Idź i przyprowadź ich tu.

— Gestapo najwidoczniej nic nie wie o Neville'u i Stelli, inaczej wspomnieliby o tym przez radio — rzekł Hillyard, kiedy Evans opuścił przedział. — Mogliby we dwoje jechać dalej do Katanii. Tamtejszy ruch oporu zabrałby ich na łódź.

— Musimy jak najszybciej wydostać się z wyspy. Gdybyśmy się teraz rozdzielili, mielibyśmy dwie grupy usiłujące wrócić na okręt przez terytorium wroga. To obróciłoby się przeciwko nam. — McIndoe potrząsnął głową. — Nie, musimy trzymać się razem. Jeśli wyskoczymy z pociągu, to wszyscy.

— Skok z pociągu to ryzykowna rzecz, nawet przy tej ograniczonej szybkości — powiedział Ravallo, odchylając zasłonkę i zerkając w ciemność. — Wystarczy, że jedno z nas źle wyląduje i skreśli nogę w kostce albo, jeszcze gorzej, złamie ją. Ograniczy to znacznie nasze możliwości poruszania się. A mogę się założyć, że Niemcy zarządzają intensywne poszukiwania, kiedy stwierdzą, iż nie ma nas w pociągu.

— Nie widzę problemu — rzekł McIndoe. — Każdy niezdolny do marszu zostanie pozostawiony własnemu losowi. To proste.

— Nieco drastyczne, co?

— Tylko pragmatyczne — odparł McIndoe. — W innych okolicznościach zrobilibyśmy wszystko, żeby wydostać rannych, ale chodzi nie tylko o to, że mamy na karku Niemców. My także musimy dostać się na łódź, zanim oni ją odkryją. Wiecie tak samo jak ja, że bez łodzi zostaniemy odcięci na tej wyspie. A wtedy Niemcy nas znajdą, to tylko kwestia czasu. Szybkość i zdolność manewrowania są tu najistotniejsze. Przynajmniej tak bym uważał, gdybym to ja tu dowodził. Ale ty tu jesteś starszy stopniem, Nicky, i to ty w razie czego będziesz musiał podjąć decyzję, czy Poświęcić gracza, czy nie.

Ravallo pozwolił zasłonce opaść z powrotem na okno.

— Miejmy więc nadzieję, że do tego nie dojdzie.

Do przedziału weszła Stella z Evansem.

— Po drodze wpadliśmy na konduktora — oznajmił Evans, zamykając za sobą drzwi. — Zaraz tu przyjdzie.

— Czy Taffy powiedział wam, co się stało? — zapytał McIndoe.

— Tak.

— Nie jest dobrze, ale przynajmniej nas ostrzeżono. A to daje nam pewną przewagę.

— O ile konduktor wymyśli jakiś sensowny plan, jak mamy wydostać się z pociągu, zanim dojedzie do Valledolmo — uzupełnił Ravallo.

Zapukano do drzwi i Evans odchylił zasłonkę, żeby sprawdzić, kto stoi na korytarzu. Otworzył i skinął na konduktora, zapraszając go do zatłoczonego przedziału.

— No i? — zwrócił się Ravallo do kolejarza, kiedy Evans zasunął za nim drzwi.

— Dziesięć kilometrów stąd jest rzeka — powiedział mu konduktor. — To jedyna tafla wody przed Valledolmo. Tam powinniście spróbować wyskoczyć z pociągu. Rzeka jest dość głęboka, a prąd niezbyt silny. Bez trudu dopłyniecie na brzeg. Sam most jest wąski, ma tylko jedno pasmo torów. Do powierzchni wody będziecie mieli około dwóch metrów. Jeśli wyskoczący jeden po drugim, wszyscy bezpiecznie wylądujecie w wodzie.

— Skąd tyle wiesz o tej rzece? — zapytał McIndoe.

— Wychowałem się tam — odparł konduktor. — Dziesiątki razy skakałem z tego mostu jako dzieciak. Wierzcie mi, dobrze znam tę rzekę.

— Wydaje się, że to nasza jedyna szansa — Ravallo omiół wzrokiem otaczające go twarze. Usłyszał pomruk potwierdzenia. Ponownie spojrzął na konduktora. — Skąd najlepiej wyskoczyć?

— Z wagonu służbowego.

— Czy nasz przyjaciel z gestapo może nas zauważyć? — zapytał McIndoe.

— Nie, jeśli wyskoczący po przeciwnej stronie niż ta, po której on siedzi. Wagon ma drzwi po obu stronach. Pokażę wam, których użyć.

Konduktor zaczekał, aż pozbierali swoje bagaże, a potem zaprowadził ich do wagonu służbowego na samym końcu pociągu. Nacisnął klamkę drzwi po lewej stronie i mocno ją trzymając, otworzył je na oścież. Ostry, lodowaty powiew wdarł się do wagonu i stojący tuż za plecami kolejarza McIndoe szybko przytrzymał ręką czapkę. Konduktor rzucił swoją na worek z pocztą, łapał metalową poręcz przy drzwiach i wychylił się na zewnątrz, mrużąc oczy w podmuchach wiatru. Przez jedną okropną chwilę Szkotowi wydawało się, że naprawdę stracił równowagę, i odruchowo sięgnął, żeby go wciągnąć z powrotem, lecz zreflektował się w porę i cofnął rękę.

W końcu konduktor wdrapał się z powrotem do środka, podniósł czapkę i włożył ją na głowę.

— Wiem, gdzie teraz jesteśmy. Rzeka jest trzy kilometry stąd.

Noc jest stosunkowo bezchmurna, więc dojrzący ją bez trudu, zanim pociąg wjedzie na most.

No cóż, chyba czas, żebym odwiedził pewnego oficera gestapo i sprawdził, czy podczas przejazdu przez most nie zechce wyrzeć przez okno na korytarzu. — Rzucił im znaczący uśmiech. — Jestem pewien, że znajdę sposób, aby zająć go czymś, dopóki nie oddalimy się od rzeki.

Ravallo uścisnął mu dłoń.

— Dzięki za pomoc.

— Powodzenia — konduktor wyszedł. Po chwili usłyszeli szcęk przekręcanego w zamku klucza, kiedy zamykał za sobą drzwi wagonu.

Ravallo zdjął oficerską czapkę, zerwał z głowy bandaż i podszedł do otwartych drzwi, a kiedy spojrzął w noc, ogarnęło go przemożne uczucie przygnębienia. Oprócz pojedynczych światełek kilku samotnych zabudowań w oddali, nie było widać nic. Nawet księżyc zdawał się niechętnie wkraczać w to królestwo mroku, raz po raz kryjąc się za chmurami.

— Widzisz już rzekę? — zapytała stojąca za jego plecami Stella.

— Nie widzę ni cholery — odparł zirytowany Ravallo. — Ciemno jak w grobie.

— Nicky, most nie może być daleko. Jeśli go miniemy...

— Na pewno go miniemy, skoro ktoś wciąż odwraca moją uwagę wrzeszcząc mi do ucha.

Stella bezradnie rozłożyła ręce, a potem przysiadła na najbliższej skrzyni. Odpięła guzik kometu, zdjęła go i rzuciła na podłogę. Poruszyła głową z boku na bok i rozmasowała sobie kark, a potem rozplotła włosy i oparła się o ściankę wagonu, zamknawszy oczy.

— Wszyscy gotowi? — krzyknął nagle Ravallo, wytrącając ją z chwilowej zadumy.

Zerwała się i wpadła na McIndoe, który złapał ją za ramię.

— Przepraszam — mruknęła.

— Wszyscy gotowi? — ponownie zawołał Ravallo.

— Gotowi! — McIndoe przekrzyczył monotony łoskot kół. — Radiostację, kilka rac i lekarstwa włożyliśmy do jednego worka.

— Radiostacja może ulec zniszczeniu przy uderzeniu w wodę — przypomniał Ravallo.

— Musimy zaryzykować — odparł McIndoe. — Jest zamknięta w lekkim wodoszczelnym pojemniku, a dodatkowo owinęliśmy ją mundurami, żeby złagodzić impet uderzenia. Niewiele więcej możemy zrobić.

— A co z innymi workami? — zapytał Ravallo. — Jeśli zostawimy je w pociągu, Niemcy mogą je wykorzystać, żeby puścić naszym śladem psy.

— Zabierzemy ze sobą. Później obciążymy je kamieniami i zatopi w rzece.

Chociaż Ravallo nie mógł dostrzec rzeki, domyślał się, że już do niej dojeżdżają.

— Kto skacze pierwszy? Ty zdecyduj, Mac.

— Ty pierwszy, Nicky — powiedział McIndoe, lekko klepiąc go po ramieniu. Ravallo odwrócił się i spojrzął na niego ostro, jakby chciał zaprotestować, a potem wzruszył ramionami i przytaknął skinieniem głowy. McIndoe wskazał na Evansa. — Ty za Nickym. Bruce, ty będziesz trzeci. Stella czwarta. Ja skoczę ostatni.

Zauważył, że Stella nerwowo przesuwa dłonią po twarzy i położył jej rękę na ramieniu.

— Nie mów mi, że pierwszy raz skaczesz z pędzącego pociągu do zimnej rzeki w samym środku nocy.

— Oczywiście, że pierwszy... — zamilkła z krzywym uśmiechem, widząc kpinę w jego oczach.

— Jeśli to cię pocieszy, my jesteśmy tak samo zdenerwowani jak ty. Nawet Bruce nie jest zachwycony perspektywą skakania z pędzącego pociągu, a on jest doświadczonym akrobatą.

— Właśnie. Akrobatą, a nie kaskaderem — rzekł Hillyard, a jego surowa twarz złagodniała, gdy uśmiechnął się, dodając otuchy Stelli. — Musisz martwić się tylko o to, żeby nie zawadzić o

most. A z tym nie będzie kłopotu, jeśli mocno odbijesz się przy koku. I nie wahaj się. Jeśli się zawahasz, możesz popełnić błąd. Musisz być zdecydowana. Potem to jak zwykły skok ze spadochronem. Woda złagodzi impet uderzenia.

— Zbliżamy się do mostu — krzyknął do nich Ravallo. Wyraźnie widział upiornie blade odbicie księżycy w ciemnej toni. — Ustawcie się za mną.

McIndoe uklęknął przy czterech workach ułożonych obok otwartych drzwi. Miał je wyrzucić, kiedy inni wyskoczą z pociągu. Będzie musiał zrobić to szybko i precyzyjnie. Wystarczy, że jeden worek wyląduje na torach, a cały plan spali na panewce, bo psy będą mogły złapać trop. Worki muszą wylądować choćby na brzegu rzeki — później się je pozbiera i zatopi.

Ravallo cofnął się w głąb wagonu. Wjeżdżali na most. Tylko niska drewniana balustradka odgradzała tor od ziejącej za jego krawędzią pustki. Biegła na wysokości podłogi wagonu. Ravallo od dłuższej chwili szykował się psychicznie do skoku; teraz z głośnym okrzykiem rzucił się naprzód i zniknął za krawędzią mostu. McIndoe cisnął za nim pierwszy worek. Tobół spadł z mostu. To samo stało się z drugim. I z trzecim. Był tak zajęty tym, co robił, że dopiero chwyciwszy ostatni wór, zdał sobie sprawę, że Hillyard i Evans już wyskoczyli. Spojrzał na Stellę i dostrzegł wahanie w jej oczach. Stała w drzwiach, mocno ściskając poręcz, aż pobielaly jej palce. Wyrzucił przez otwarte drzwi ostatni worek i na ułamek sekundy serce zamarło mu w piersi. Tobół uderzył w balustradę i dopiero po długiej jak wieczność chwili w końcu spadł do rzeki. Teraz McIndoe musiał wyciągnąć z pociągu Stellę. Wstał i podszedł do niej.

— Nie mogę — szepnęła z lękiem, patrząc jak urzeczona na czarną wodę w dole.

McIndoe widział, że czoło pociągu już przejechało most i ocenił, że mają najwyżej pięć sekund, żeby skoczyć. Potem będzie za późno.

— Chwyć mnie za rękę.

— Sam, nie mogę...

— Chwyć mnie za rękę! — powtórzył bardziej stanowczo i złapał jej dłoń; była lepka od potu. Wiedział, że to będzie piekielnie ryzykowne, ale nie było innego sposobu. Jeżeli Stella nie puści poręczy, kiedy on skoczy, oboje runą na tory albo jeszcze gorzej: pod koła pędzącego pociągu. — Wyskoczmy razem — powiedział. — Zaufaj mi, Stello. Tylko zaufaj. Skacz...! Nie puszczając jej dłoni, rzucił się w otwarte drzwi. Nie poczuł nagłego szarpnięcia. Nie ściągnęło go z powrotem. Zaufała mu. Skoczyła razem z nim.

Poczuł jeszcze potężny cios w bok głowy, gdy uderzył w wodę. Przelotny moment przesywającego bólu, rykoszetującego wściekle pod czaszką, jakby rąbnęła w nią metalowa pięść. Później pochłoneła go litościwa ciemność.

— Sam?

Słyszał dobiegający z oddali głos. Daleki. Zniekształcony. Słaby.

— Sam?

Znów ten głos. Bliższy. Wyraźniejszy. Znajomy.

— Sam?

Kobięcy głos. Zaniepokojony. Zmysłowy. Głęboki.

— Stella? — wymamrotał niepewnie. Nagle zdał sobie sprawę z tępego, miarowego dudnienia, odbijającego się echem w jego mózgu. Powoli otworzył oczy, w ciemności jednak wszystko zdawało się mgliste i zniekształcone. Instynktownie uniósł dłoń do twarzy, jakby chciał zetrzeć z niej ten przezroczyisty welon, który zdawał się zasłaniać mu oczy. Poczuł to dopiero wtedy, gdy dotknął palcami czoła: jakby bandaż. Nagle przypomniał sobie wszystko. Most. Upadek. Wstrząs. Potem nic.

— Sam?

Otworzył oczy i ujrzał pochyloną nad nim Stellę. Leżał na brzegu rzeki, po głowę miał mokry żołnierski worek. Stella miała już na sobie włoski mundur. Zmrużył oczy czując potworne łomotanie pod czaszką i marzył tylko o tym, żeby ten ból ustał. Stella uśmiechnęła się łagodnie.

— Jak się czujesz?

— Lepiej nie pytaj — skrzywił się.

— Przepraszam, Sam — powiedziała miękko i czule. Lekko dotknęła dłonią jego policzka. — To wszystko moja wina. Gdybym nie ociągała się ze skokiem...

— Skoczyłaś, tylko to się liczy — rzekł McIndoe, pocieszająco dotykając jej ręki. — A właściwie co się stało? Pamiętam tylko, że uderzyłem o coś głową. Potem musiałem stracić przytomność.

— Uderzyłeś głową o podwodny pal.

— Co mi jest? — zapytał, ostrożnie dotykając zakrwawionego bandaża na lewej skroni.

— Masz głębokie rozcięcie, Sam. Opatrzyłam cię najlepiej jak mogłam, ale po powrocie na Maltę musi zbadać cię lekarz. Bandaż przynajmniej powstrzymał krwawienie. Kiedy wyciągnęliśmy cię z wody, bardzo mocno krwawiłeś. — Kto wyciągnął mnie z wody?

— Nicky.

— Ale to Stella uratowała ci życie — odezwał się głos za jej plecami. Pojawił się Ravallo. Tak samo jak Stella, przebrał się we włoski mundur; mieli je zapakowane w jednym z worków. — Unosiłeś się na wodzie, twarzą w dół. Obróciła cię na plecy i trzymała ci głowę nad wodą, aż dopłynąłem i odholowałem cię na brzeg. Gdyby nie zareagowała tak szybko, nie rozmawialibyśmy teraz. Jeszcze kilka sekund, a utonąłbyś.

— Co się mówi komuś, kto właśnie uratował ci życie? — McIndoe spojrzał na Stellę.

— Myślałam o tym samym — odparła cicho. — Gdyby nie ty, nigdy nie wyskoczyłabym z pociągu. Wierzyłeś we mnie, chociaż sama w siebie nie wierzyłam.

— Jednak nie uratowałem ci życia.

— Czy naprawdę myślisz, że pozwoliłabym Niemcom wziąć się żywcem w Valledolmo?

— No, to chyba mamy remis.

— Nic podobnego. To moja wina, że jesteś ranny.

— Przedyskutujecie to później — rzekł Ravallo, zanim McIndoe zdążył odpowiedzieć. — Pociąg chyba dojechał do Valledolmo, więc Niemcy już wiedzą, że nas w nim nie ma. Niedługo rozpoczną poszukiwania wzdłuż całej trasy przejazdu. Musimy zjeżdżać stąd. Mac, możesz iść?

— Poradzę sobie — McIndoe spróbował usiąść. Ból głowy się nasilił.

— Masz, zażyj to. — Stella podała mu tabletki.

— Co to takiego? — spytał podejrzliwie.

— Środki przeciwbólowe — odparła. — Były w apteczce.

— McIndoe wziął tabletki z jej dłoni, szybko połknął i pozwolił, aby Ravallo pomógł mu wstać z ziemi. Nagle zakręciło mu się w głowie, kolana ugięły się pod nim i byłby upadł, gdyby Amerykanin go nie podtrzymał.

— Może lepiej usiądź z powrotem, Mac.

— Będę wam tylko przeszkadzał — rzekł McIndoe, kiedy minął mu zawrót głowy. — Idźcie za pozostałymi. Zostawcie mi broń i kilka zapasowych magazynków.

— Nie potrzebujemy męczenników. Idziesz z nami, Mac, i koniec dyskusji — odparł stanowczo Ravallo.

— Pamiętaj, co powiedziałem wam w pociągu. Każdego niezdolnego do marszu należy pozostawić. Wiesz, że tak trzeba.

— Pamiętam, co powiedziałeś w pociągu. A o ile dobrze pamiętam, mówiłeś także, iż w takiej sytuacji jako najstarszy stopniem, ja decyduję, czy poświęcić gracza. No cóż, mamy taką sytuację

i nie jestem przygotowany na złożenie takiej ofiary. Idziesz z nami, nawet gdybym miał cię nieść na plecach. To rozkaz, poruczniku McIndoe.

Stella przytaknęła kiwnięciem głowy. McIndoe spojrzał nad jej ramieniem na nadchodzącego Evansa.

— Połączyłeś się z partyzantami? — zapytał Ravallo.

Evans potrząsnął głową.

— Nie, panie majorze. Radiostacja uszkodzona. Wygląda na to, że obie lampy wzmacniające spaliły się jednocześnie.

— No to włóż nowe z zestawu części zapasowych — rzekł Ravallo z lekkim zniecierpliwieniem w głosie.

— Nie ma części zapasowych — odparł łagodnie Evans.

— Nie ma? — powtórzył McIndoe, krzywiąc się, bo ostry ból przeszył mu głowę. — Przecież powinieneś sprawdzić zestaw przed opuszczeniem łodzi.

— Sprawdziłem, panie poruczniku. Zestaw był na swoim miejscu. Teraz pudełko jest puste. Ale na łodzi wszystko było na swoim miejscu. Jestem tego pewny.

— Po prostu nie sprawdziłeś, co? — warknął Ravallo.

— Nie, panie majorze, sprawdziłem.

— Jeśli Taffy mówi, że sprawdzał, ja mu wierzę. — McIndoe stanął w obronie Evansa.

Ravallo z trudem opanował gniew.

— Przynieś ją tutaj. Sam zobaczę.

McIndoe oparł głowę na złożonym worku i zaczął czekać, aż Evans znajdzie się poza zasięgiem głosu.

— Obie lampy spaliły się jednocześnie? To zbyt dziwny zbieg okoliczności. A na dodatek zapasowe lampy też znikają. Bardzo interesujące.

— Innymi słowy sabotaż — stwierdziła Stella.

— Oczywiście, że to sabotaż. — McIndoe zaklął pod nosem, znów czując przeszywające ukłucie bólu pod czaszką. — Niech szlag trafi ten ból głowy.

— A Higgins ma rozkaz przerwać operację, jeśli nie nawiążemy łączności o przewidzianej porze — przypomniał Ravallo. — Ile czasu pozostało nam do następnego kontaktu z Passiere'em?

— Następne połączenie ma nastąpić za trzy i pół godziny — McIndoe spojrzał na zegarek. Objął się rękami i roztarł ramiona — Chryste, chyba zamarzną.

— My zaraz po wyjściu z rzeki przebraliśmy się w suche rzeczy.

Twój mundur leży tam, pod drzewami.

— Porozmawiamy o tym, kiedy wrócę, a teraz idę się przebrać, zanim umrę na zapalenie płuc — rzekł Szkot. Podniósł się i ruszył w kierunku drzew.

— Bez radia. Bez transportu. Bez szans. Chyba każę to sobie wyryć na nagrobku — westchnął Ravallo.

— Jeszcze żyjemy, Nicky.

— Dobrze powiedziane, jak na kogoś, kto o mało nie zawałił całej operacji. Sama mówiłaś, że Sam musiał trzymać cię za rękę, żebyś wyskoczyła z pociągu. Jesteś doświadczoną agentką, a nie dzieckiem, które trzeba nieustannie niańczyć. Skoro nie radzisz sobie w takich sytuacjach, to może powinnaś poprosić o przeniesienie do pracy biurowej. Jeśli kiedykolwiek wrócimy do Waszyngtonu.

— Ja przynajmniej potrafię przyznać się do swoich błędów — odparła dotknięta. — Tylko po co ja ci to mówię? Ty jesteś major Nick Ravallo. Nie masz żadnych wad. Nigdy nie popełniasz błędów. Jesteś idealnym oficerem wywiadu wojskowego.

Zanim Ravallo zdążył odpowiedzieć, zbliżył się Evans z radiostacją.

— Daj mi ją — przywołał go skinieniem ręki.

Evans podał mu nadajnik, a potem pochylił się nad leżącym na ziemi workiem.

— Pozbędę się tego, dobrze? — powiedział, wyczuwając napięcie między Stellą a Ravallem. Nie chciał uczestniczyć w ich prywatnej kłótni.

— Dobrze — Ravallo zaczekał, aż Evans się oddali, postawił radiostację na ziemi i przykucnął przy niej. Spróbował przestawiać częstotliwości. Nic. Próbował wzmocnić sygnał. Bez rezultatu. — Zepsuta.

— Nie rozumiem tylko, jak sabotażysta zdołał uszkodzić ją w taki sposób, że wysiadła dopiero po kilku transmisjach — powiedziała Stella.

— Przychodzą mi do głowy co najmniej dwa sposoby — wtrącił McIndoe, który nadszedł dopinając ostatni guzik suchego oficerskiego munduru. — Jeśli on... — tu zerknął na Stellę — jeśli ta osoba wiedziała, jaką trwałość mają takie lampy, mogła zwiększyć napięcie zasilające, żeby spaliły się po pewnym czasie. Jednak to oznaczałoby konieczność przerobienia transformatora tak, żeby dawał wyższe napięcie. Zachodzi pytanie: kiedy sabotażysta znalazł czas na dokonanie takiej przeróbki, skoro dostaliśmy radiostację tuż przed opuszczeniem Malty? Grzebanie w radiostacji, kiedy byliśmy już na łodzi, byłoby zbyt ryzykowne, gdyż groziło wpadką. Jak by wytłumaczył to, co robi? Nie, jestem skłonny przypuszczać, że sabotażysta miał przy sobie dwie inne lampy, które podmienił po wejściu na pokład. Lampy o innej strukturze włókna żarowego. Mające znacznie niższą oporność. Wystarczyło otworzyć radiostację i zamienić lampy. To zajęło mu zaledwie kilka sekund.

— Wydajesz się niezwykle dobrze poinformowany — zauważył Ravallo.

— Znów zaczynamy się oskarżać, prawda? — rzucił pogardliwie McIndoe.

— Wszyscy zgadzamy się co do tego, że radiostacja została uszkodzona celowo — powiedział Amerykanin. — Pytanie tylko, przez kogo?

— Czy naprawdę myślisz, że powiedziałbym wam to, gdybym to ja był tym sabotażystą? — odpalił Szkot. — Nie uważaj mnie za matoła bez krzty inteligencji, Nicky.

— Och, wcale tak nie uważam. To idealny przykład skutecznego blefu, no nie? Sabotażystą dokładnie wyjaśnia, co i jak zostało zrobione, mając nadzieję, że w ten sposób odsunie od siebie podejrzenia.

— Jeśli uważasz, że to ja jestem tym sabotażystą, to dlaczego mnie nie zabijesz, zanim wyrządę większe szkody? — McIndoe wskazał na beretkę przypiętą do pasa Ravalla. — No już, zastrzel mnie, skoro jesteś taki pewny swego.

— Skończcie z tym, obaj — powiedziała Stella, stając między nimi. — Zostało nam trzy i pół godziny na znalezienie innego nadajnika albo na powrót na łódź. Inaczej na zawsze utkniemy na tej wyspie.

— Stella ma rację — rzekł McIndoe. — Musimy ruszać. Najlepiej zrobimy, jeśli spróbujemy znaleźć jakąś wioskę, w której moglibyśmy nawiązać kontakt z partyzantami. To teraz nasza jedyna szansa, aby dostać się na łódź. Na pewno nie dotrzemy do niej pieszo.

— Powiedz swoim ludziom, żeby szykowali się do wymarszu — polecił Ravallo.

— A co z tym? — McIndoe wskazał na radiostację leżącą na ziemi.

— Już nie będzie nam potrzebna. — Ravallo podniósł radionadajnik i zaniósł go na brzeg rzeki. Zawahał się, jakby wątpiąc w słuszność swojej decyzji, a potem wszedł po kostki do wody i cisnął radiostację jak mógł najdalej.

McIndoe podszedł do Evansa, Hillyarda i Johnsona, którzy stali opodal pod drzewami.

— Jak pan się czuje, panie poruczniku? — zapytał Evans, wskazując zakrwawiony bandaż na głowie McIndoe.

— Jakby Joe Louis walczył z cieniem w mojej głowie, ale mam nadzieję, że środki przeciwbólowe, które dała mi Stella, szybko zaczną działać.

— Ktoś uszkodził radiostację, prawda? — upewnił się Hillyard.

— Dwie lampy nadawcze przypadkiem spaliły się jednocześnie i nie ma zapasowych, żeby je wymienić — odparł McIndoe. — Co wy na to?

— To świadczy o tym, że jest wśród nas sabotażysta — stwierdził Johnson.

— Na to wygląda — przytaknął McIndoe, dobrze wiedząc, do czego zmierza ta rozmowa. Tym razem nie próbował jej uciąć. Dostatecznie długo ich oszukiwał. A jednak wierzył, że postępował słusznie. Musiał ich chronić, chociaż sądząc po ich minach, byli innego zdania.

— A zatem historyjka, którą uraczył nas Starr, że niemieckim szpiegiem był ten partyzant, Sciarro, to kupa bzdur — powiedział ze złością po angielsku Hillyard, kiedy McIndoe wyjaśnił w czym rzecz;

— Mów po włosku! — ofuknął go Evans.

— To prawda? — zapytał Hillyard, tym razem po włosku.

— Wtedy wiele poszlak świadczyło o tym, że zdrajcą jest Sciarro — odparł McIndoe. — Teraz wydaje się, że gestapo zadało sobie sporo trudu, żeby zrobić z niego zdrajcę i odsunąć podejrzenia od ich agenta... lub agentki.

— Myśli pan, że porucznik di Mauro może być niemieckim szpiegiem? — zapytał Johnson.

— Ja. Ty. Ona. Każdy z nas może być szpiegiem. Może nim być nawet Charles Higgins lub Georges Passiere. Ktokolwiek uszkodził radiostację, mógł zrobić to zarówno na łodzi, jak po zejściu na ląd. Nie sposób ustalić, kiedy to się stało.

— Od jak dawna wie pan, że Sciarro został wrobiony? — spytał Hillyard.

— Nie wiem na pewno, że go wrobiono. Stella od początku była przekonana, że jest niewinny. Nie miałem pewności, czy się nie myli. Dlatego postanowiliśmy przeprowadzić tę operację na zasadzie „wiedzieć tylko tyle, ile trzeba”, na wypadek gdyby zdrajcą był ktoś z nas. Starr nie miał z tym nic wspólnego. Posłużyłem się jego nazwiskiem, żebyście nie kwestionowali moich rozkazów.

— Powinniśmy byli znać prawdę, panie poruczniku — rzekł Johnson.

— I co dobrego by wam z tego przyszło? Czy potrafilibyście zgodnie współpracować jako zespół wiedząc, że może jeden z nas jest niemieckim szpiegiem? Nie, i dobrze o tym wiecie. Nieustannie podejrzewalibyście się wzajemnie. Brak zaufania zagroziłby całej operacji. Dlatego postanowiliśmy nic wam nie mówić.

— Dlaczego zakładać, że zdrajcą jest jeden z nas? Dlaczego nie może nim być któryś z oficerów? — zastanawiał się Hillyard. — Naprawdę jest pan przekonany, że nie jest nim któreś z jankesów?

— Mówiłem wam: to może być ktokolwiek z naszej grupy. Ale nasza trójka została poinformowana o celu operacji. Próbowałem tylko zmniejszyć niebezpieczeństwo, na wypadek gdyby obcym agentem był ktoś z was.

— Wygląda na to, że dał się pan omotać jankesom — rzekł Hillyard.

— Nikomu nie dałem się omotać. Zrobiłem tylko to, co uważałem za najlepsze dla was i dla dobra całej operacji. — McIndoe podniósł rękę, uciszając Hillyarda. — To nie czas ani miejsce na zgłaszanie pretensji, ale nie mam nic przeciwko temu, jeśli po powrocie na Maltę zechcecie złożyć skargę u wiceadmirała Starra.

— A po co? — prychnął Hillyard. — On stanie po pańskiej stronie. Zawsze we wszystkich sporach popiera oficerów.

— Starr nigdy nie staje po niczyjej stronie — zaprzeczył Evans. — Jeśli popiera w jakimś sporze oficera, to tylko wtedy, gdy uważa, że ten ma rację, a nie żeby chronić jego godność.

— Powiniennem wiedzieć, że weźmiesz stronę oficerów — rzucił z pogardą Hillyard. — Zawsze byłeś w tym dobry, no nie?

— Dość tego, Hillyard. — McIndoe zwrócił się do Evansa: — Ustal według kompasu kierunek południe-południowy zachód. W ten sposób przynajmniej będziemy podążać w kierunku łodzi.

— Co się dzieje? — zapytał Ravallo, podchodząc do nich ze Stellą.

— Prawda w końcu wyszła na jaw — powiedział Hillyard. — Wiemy, że wśród nas jest zdrajca.

— Wybrałeś kiepską chwilę, żeby rzucić tę bombę, Mac — rzekł zjadliwie Ravallo.

— I tak by się wydało, prędzej czy później — odparł McIndoe. — Jak miałem wytłumaczyć uszkodzenie nadajnika? Zbiegiem okoliczności? Moi ludzie są na to zbyt inteligentni.

— Teraz nie mamy radia, żeby skontaktować się z łodzią, ale przynajmniej on też nie może skorzystać z niego, żeby zawiadomić Niemców — zauważyła Stella, usiłując zmniejszyć narastające między nimi napięcie.

— „On”? — rzekł Hillyard, patrząc na nią. — To równie dobrze może być „ona”.

— Nie jestem szpiegiem — zapewniła go pospiesznie.

— Ale my tego nie wiemy, prawda?

— Ustaliłem kierunek przy użyciu kompasu — oznajmił Evans.

— A zatem chodźmy — Ravallo ruszył między drzewa.

Stella położyła rękę na ramieniu McIndoe.

— Jak głowa?

— Te środki przeciwbólowe chyba podziałały. Przestało mnie łupać w głowie, dzięki Bogu. Teraz czuję tylko ćmiący ból, ale chyba jakoś to przeżyję.

— Wy dwoje tam! Idziecie? — zawołał Ravallo.

— Tak, tak — mruknęła Stella i pospieszyli za nim.

— Nie było ich w pociągu, panie generale.

Student od progu spojrzął na Riedlera, a potem wszedł do gabinetu i usiadł w fotelu pod ścianą. Wyrwano go z głębokiego snu kilka minut wcześniej, kiedy Riedler zadzwonił do jego pokoju z najnowszymi wiadomościami, przekazanymi mu z Valledolmo. Po tonie głosu rozmówcy Student wyczuł, że nie są to dobre wieści. Teraz jego najgorsze obawy potwierdziły się.

— Gestapo miało w tym pociągu swojego człowieka, prawda?

— Tak jest, panie generale. Przysięga, że nie wysiedli na żadnej z wcześniejszych stacji.

— Co oznacza, że musieli wyskoczyć z pociągu — stwierdził Student.

— Na to wygląda, panie generale. Powstaje pytanie: gdzie wyskoczyli?

— I dlaczego? — dodał Student. — Ktoś musiał ich ostrzec o żołnierzach czekających w Valledolmo.

— W wagonie służbowym znaleziono ukryty radionadajnik. Mógł być użyty do podsłuchiwania komunikatów między gestapo a ich agentem w pociągu. Gestapo przesłuchuje już starszego konduktora.

— Powiedział coś?

— Jeszcze nie, panie generale. Oficer z Valledolmo, z którym rozmawiałem, mówił, że konduktor był szczerze zdumiony, kiedy odkryto radiostację w wagonie służbowym. Jeszcze nie wiemy, czy jest niewinny, czy tylko udawał.

— Jakie kroki podjęto w celu wytropienia agentów wroga, od kiedy wymknęli się z pociągu?

— Rozesłałem więcej żołnierzy w te miejsca, gdzie mogli wyskoczyć. Rzeki, jeziora,

mokradła i tym podobne. Wiem, że to strzał na oślep, panie generale, lecz tylko tyle mogę zrobić, dopóki nie uzyskam dokładniejszych informacji. Nie sądzę, że mieli to w planie, tak więc teraz będą musieli improwizować. A że niepodobna, żeby zbyt długo poruszali się pieszo wiedząc, że szukają ich nasze oddziały, spróbują chyba nawiązać kontakt z ruchem oporu, bo potrzebny im jakiś środek transportu. Już rozmawiałem o tym z gestapo, które powiadomi wszystkich swoich informatorów, żeby zwracali uwagę na wszelkie przejawy podejrzanej aktywności na ich terenie. O tej porze nocy obcy przybysze w wiosce łatwo zostaną zauważeni. Ci informatorzy są teraz naszą największą nadzieją.

— Wydaje się, że panuje pan nad sytuacją — rzekł Student, kiwając głową. — Chcę, żeby pańską nową bazą stał się garnizon w Valledolmo. Wystarczy, jeśli w hotelu pozostanie zaledwie paru pańskich ludzi. Dołączą do was, gdy tylko marszałek Kesselring i jego sztab odlecą rano do Rzymu.

— Cieszę się, że pan to mówi, panie generale — odparł Riedler — Już skontaktowałem się z bazą Luftwaffe, aby samolot transportowy był za godzinę gotowy do lotu do Valledolmo.

— Widzę, że nie jestem panu potrzebny, więc wracam do łóżka. — Student wstał z fotela. — Proszę informować mnie o wszelkich nowych wydarzeniach.

— To oczywiście, panie generale.

— Dlaczego mam wrażenie, że żaden z nas nie pośpi długo tej nocy? — powiedział Student.

— Widzę światło.

McIndoe pospieszył do skulonego na skraju polanki Evansa i przykucnął obok niego. Samotne gospodarstwo. Światło w jednym oknie, dyskretnie zaciągnięta zasłona. Podwórze zagracone zardzewiałym sprzętem gospodarskim oraz popękany kamienny mur otaczający posesję tylko pogłębiały ponury, zapuszczony wygląd domostwa.

— Co o tym myślisz? — zapytał McIndoe.

Stella przykucnęła obok i oparła rękę na jego ramieniu, uważnie obserwując budynek.

— To pierwszy ślad cywilizacji, od kiedy wyskoczyliśmy z pociągu. A to było czterdzieści minut temu.

— Racja. Jeśli właściciele są sympatykami partyzantów, w ciągu godziny będziemy w drodze na łódź.

— A jeśli nie, przed upływem godziny będziemy w drodze na gestapo — odezwał się za ich plecami Ravallo.

— Niekoniecznie, panie majorze — wtrącił się Johnson. — Jeśli nie są sympatykami ruchu oporu, możemy udawać grupkę włoskich żołnierzy, którzy odłączyli się od swojej jednostki.

— Tak czy owak warto spróbować — powiedziała Stella. — Możemy do rana nie napotkać żywej duszy.

— To może być pułapka — rzekł Hillyard. — Takie wiejskie okolice są ośrodkami ruchu oporu. Partyzanci wszędzie mają tu oczy i uszy. Skąd wiemy, czy nie śledzą nas już od pół godziny? Nie wiemy, kim jesteśmy. Wyglądamy na włoskich żołnierzy, a tych nienawidzą nawet bardziej niż Niemców.

— Jeśli to zasadzka, to jesteśmy tu zupełnie odsłonięci. — McIndoe zmarszczył brwi. — Najlepiej zrobilibyśmy zajmując stanowiska za tym kamiennym murem. Przyznaję, że nie jest zbyt wysoki, a także w nie najlepszym stanie, ale przynajmniej zapewni nam osłonę, gdyby wybuchła strzelanina.

— Kiedy dotrzemy do muru, zrobię rekonesans w zabudowaniach — zaproponował Hillyard.

McIndoe skinął głową. Hillyard najlepiej nadawał się do tego zadania. Cichy, zwinny i doskonale władający nożem. Oprócz Ravalla i Johnsona, którym zarekwirowano je w hotelu, wszyscy pozostali mieli sztylety w futerałach przymocowanych do przedramion.

— To brzmi tak, jakbyś spodziewał się kłopotów — powiedziała Stella.

— Staram się zachować ostrożność, to wszystko — odrzekł McIndoe, patrząc na budynek. — My, Szkoci, jesteśmy z tego znani.

Stelli wydało się, że zabrzmiała w tym nuta niepewności. Niepokój? Powiodła wzrokiem za jego spojrzeniem. Co tam zobaczył? Czyżby przesadzał? Spojrzała na innych. Najwidoczniej nie dosłyszeli lekkiego wahania w jego głosie. Musiało jej się wydawać. Otarła lepkie dłonie o przód munduru, zanim znów mocno chwyciła karabin.

McIndoe pierwszy wyszedł z ukrycia. Pociły mu się ręce, trudno mu było utrzymać pistolet. Przez cały czas wodził oczami na prawo i lewo, wypatrując, czy aby jakiś ruch nie potwierdzi jego najgorszych obaw. Coś było nie tak z tą farmą. Sam nie wiedział co. Jak wytłumaczyć kolegom ten niepokój, który ścisnął mu żołądek, jeśli nie mógł poprzeć swoich podejrzeń żadnym konkretem? Boże! Miał nadzieję, że się myli...

Wybuch był niespodziewany i ogłuszył go. McIndoe rzucił się na ziemię, aż zaparło mu dech, i z trudem łapiąc powietrze zdał sobie sprawę z otaczającej go ciszy. Jakby znalazł się w próżni.

Potem usłyszał jakiś dźwięk. Ledwie szept — a jednak jemu wydawał się ogłuszającym rykiem, który przedarł się przez ten kruchy kokon ciszy. Ponownie usłyszał ten dźwięk, lecz tym razem rozpoznał, że to ktoś woła go po nazwisku. Powoli, niemal niechętnie, odwrócił głowę i to, co ujrzał w bladym świetle księżyca miało do końca życia nawiedzać go we snach.

Evans wszedł na minę przeciwpiechotną. I wcale nie szeptał. Wrzeszczał. Straszny krzykiem ginącego w męczarniach człowieka. Leżał na boku, z lewą ręką żałośnie wyciągniętą w jego kierunku, jakby w rozpaczliwym błaganu o pomoc. A właściwie tym, co pozostało z jego lewej ręki. Kikut strzaskanych kości i poszarpanego ciała, urwany poniżej łokcia, pokryty grubą warstwą krwi tryskającej z rany. Groteskowe resztki nogi leżały obok poszarpanego torsu Evansa... McIndoe walczył z własnym żołądkiem pchającym mu się do ust. Brzuch rannego był rozdarty, jakby jednym okrutnym ciosem stalowego szpona.

Wtedy usłyszał inne głosy. Dobiegały zewsząd. Popatrzył na Ravalla, który leżał przyciśnięty do ziemi i krzychał coś do niego, lecz jego głos także nie był głośniejszy od szeptu. Cichego szeptu. Dopiero wtedy McIndoe pojął, że otaczająca go próżnia jest wytworem jego umysłu. Pozorną ciszą, będącą rezultatem ogłuszającej eksplozji miny, która wybuchła kilka kroków od niego. Znowu spojrzał na Evansa. Wciąż krzychał z bólu. W tym momencie McIndoe myślał tylko o tym, żeby podejść do rannego towarzysza. Objąć go i być z nim w tych ostatnich sekundach życia. Nie miał pojęcia, czy weszli na pole minowe, czy też była to tylko jedna jedyna mina, pozostawiona przez wycofującego się żołnierza. Schował pistolet do kabury i wyjął sztylet z pochwy przymocowanej do lewego przedramienia. Potem powoli, z trudem, zaczął delikatnie badać ostrzem ziemię, przez cały czas obawiając się, że natrafi na coś twardego. Wkrótce pot spływał mu po twarzy, a kiedy podniósł dłoń, żeby otrzeć go z oczu, mimowolnie dotknął obandażowanego czoła. Poczuł pod palcami lepka wilgoć. Rana znowu krwawiła.

W końcu dotarł do niego. Evans leżał na plecach. Miał zamknięte oczy. Żaden dźwięk nie wydobywał się z jego zakrwawionych warg. Czyżby już nie żył? Nagle Evans krzyknął przeraźliwie. McIndoe gwałtownie poderwał głowę. Odzyskał słuch. Delikatnie ujął dłoń rannego.

Evans poczuł uścisk, otworzył oczy.

— Wiedziałem... że... pan przyjdzie... szefie — rzekł przez zaciśnięte zęby, a potem zakaszlał gwałtownie, krew pociekła mu z kącika ust i spłynęła po policzku. — Szefie... obiecuj...

— Co tylko chcesz.

— Zabierzesz... zabierzesz ich... z tej wyspy. Obiecuj mi... szefie.

— Możesz na to liczyć, Taffy — powiedział łagodnie McIndoe.

Evans mocno wbił paznokcie w jego dłoń, potworny ból wstrząsnął całym jego ciałem. Szkot wyjął pistolet z kabury, wsunął wolną dłoń pod głowę rannego i delikatnie dotknął łufą jego skroni. Strzał odbił się echem w zalegającej ciszy. McIndoe zabrał dłoń spod głowy Evansa i dotknął tętnicy na jego szyi. Żadnych oznak życia. Na szczęście. Dopiero wtedy zauważył, że pozostali czołgali się ku niemu za Hillyardem, który za pomocą sztyletu powoli badał teren. Nikt nic nie mówił. Nie było nic do powiedzenia.

McIndoe zdjął bluzę i z szacunkiem zakrył nią twarz Evansa, po czym zaczął ostrożnie posuwać się w kierunku Hillyarda, wciąż badając grunt sztyletem. Mógł zaczekać, aż dotrą do niego, ale wołał, aby nie zobaczyli, jak okropnie okaleczony był Evans. Niech zapamiętają Taffy'ego Evansa takim, jakim był za życia.

Kula uderzyła w ziemię tuż przed nim. Odruchowo poderwał nogę, o mało nie tracąc równowagi, i mocno stanął na nie sprawdzonym miejscu przed sobą. Drugi pocisk uderzył za nim. Potem grad kul spadł na pole w pobliżu miejsca, gdzie leżeli pozostali. Ravallo złapał za

ramię Johnsona, który podniósł głowę, nie pozwalając mu wstać.

— Nie ruszać się! — krzyknął McIndoe, gdy kolejne pociski wbiły się w ziemię wokół nich. Zdażył się już zorientować, że zza kamiennego muru strzelał więcej niż jeden snajper. Od jak dawna tam byli? Teraz lepiej o tym nie myśleć. Później przyjdzie czas na szukanie odpowiedzi, zakładając, że ujdą z życiem z tego pola minowego. Nie miał wątpliwości, że strzelcy nie chcieli ich zabić. Przynajmniej nie od razu. Łatwo mogli trafić ich pierwszymi strzałami. Czyżby bawili się z nimi jak kot z myszą, zanim ją udusi? A może próbowali ich zmusić do panicznej ucieczki, podczas której rozerwałyby ich miny?

— Rzućcie broń! — usłyszeli głos zza muru. McIndoe nadal nikogo nie widział, ale poczuł ulgę słysząc, że rozkaz wydano po włosku. Miał nadzieję, że to partyzanci, a nie oddział gestapo z tłumaczem. — Nie będę powtarzał. Rzućcie broń!

McIndoe i Ravallo wymienili spojrzenia. Jeśli to partyzanci, to lepiej ich nie drażnić. A jeśli nie, to czyż mieli wybór? Ravallo dał rozkaz, aby rzucić broń. McIndoe niechętnie położył pistolet na ziemi, potem powoli wyprostował się, uważając, by nie ruszyć się z miejsca, i położył splecione dłonie na głowie. Pozostali zrobili to samo. Dopiero wtedy zza kamiennego muru wyłoniły się sylwetki obrońców. McIndoe naliczył sześciu, chociaż był pewny, że mi pozostali ukryci na strategicznych pozycjach wokół farmy. Wszyscy byli uzbrojeni w pistolety maszynowe, ale nosili cywilne ubrania. Jedni mieli na sobie kurtki. Inni koszule. Dwaj byli w czapkach. To musieli być partyzanci.

Jeden z nich wystąpił naprzód i zapalił papierosa. Płomyk na chwilę oświetlił jego twarz. Mężczyzna w średnim wieku, czarne włosy, wąsy opadające na kąciki ust. Zgasił zapalnik i pstryknął nią za mur.

— Niektórzy z moich kolegów chcieli się zakładać o to, ilu z was zdoła ująć z życiem z pola minowego — oznajmił, zaciągając się papierosem. — Ale bardziej przydadacie nam się żywi. Przynajmniej dopóki was nie przesłuchamy.

— Jesteście partyzantami? — zawołał McIndoe.

— Czy wyglądamy na niemieckich żołnierzy? — Wokół rozległy się ciche chichoty. — Jesteśmy partyzantami. A wy jesteście zdrajcami.

— Nie jesteśmy włoskimi żołnierzami — powiedział McIndoe.

— Możesz teraz zaprzeczać ile chcesz, zobaczymy, co powiesz na przesłuchaniu.

McIndoe nie miał wyjścia. Musiał pokazać karty — i nie było czasu na konsultowanie z Ravallem tego, co zamierzał powiedzieć.

— Trzej z nas należą do brytyjskiego SOE. Dwoje pozostałych jest z amerykańskiego wywiadu wojskowego. Dziwię się, że Giani Massimo nie uprzedził was o naszej obecności na Sycylii.

Mężczyzna podniósł rękę, uciszając kolegów, którzy zaczęli się śmiać.

— Czy jest wśród was kobieta? — zapytał.

— Tak! — krzyknęła Stella, wyglądając zza pleców Ravalla.

Mężczyzna skinął na stojącą obok postać.

— Oświetl ją.

Stella zasłoniła oczy dłonią, oślepią ostрым światłem latarki, a potem opuściła rękę i zacisnęła powieki, pokazując im twarz.

— Znam cię — oznajmił mężczyzna, celując w nią palcem. — Ty jesteś „Starling”.

Stella skinęła głową.

— Tak. Pracowaliśmy już razem?

— W Katanii, w porcie, trzy miesiące temu — powiedział mężczyzna. — Należałem do oddziału, który pomógł ci zatopić te dwa niemieckie torpedowce. Pamiętasz?

— Pamiętam — odparła Stella.

— Jestem Stefano — rzekł, stukając się palcem w pierś, a potem wziął latarkę od stojącego obok człowieka i skierował strumień światła na swoją twarz. — Poznajesz mnie, Starling?

Stella popatrzyła na niego, lecz mimo usilnych starań nie mogła przypomnieć sobie tych rysów. Nagle zrozumiała dlaczego.

— Teraz cię poznaję. Wtedy nie nosiłeś wąsów.

— Musiałem je zapuścić, kiedy moja twarz pojawiła się na listach gończych w całej Katanii.

— Przykro mi przerywać tak czułe powitanie, ale czy moglibyście wydostać nas stąd? — warknął Ravallo.

Stefano wskazał na jednego ze swoich ludzi, który włączył latarkę, a potem przeszedł na koniec muru, skąd starannie odmierzył dziesięć kroków. Staął, przeszedł przez mur, odmierzył kolejne pięć kroków, zmienił kierunek i znów zrobił pięć kroków, znów zmienił kierunek, odliczył kolejne osiem kroków, aż wreszcie jeszcze raz skreślił i zrobił siedem kroków. Zatrzymał się. Stał kilka metrów od McIndoe.

— Chodź do mnie — powiedział do Szkota. — Tylko nie idź prosto przed siebie. Tuż przede mną jest zakopana mina.

Spojrzał na Hillyarda i szybko coś obliczył w myślach, a potem kiwnął głową.

— Między nami nie ma min. Możesz podejść prosto do mnie.

McIndoe i Hillyard wymienili podejrzliwe spojrzenia. Mężczyzna wydawał się pewny swej znajomości rozmieszczenia min. A jeśli się mylił? Czy byli gotowi złożyć swoje życia w jego ręce?

— Chyba wybadam teren sztyletem, zanim do ciebie podejdem — zdecydował McIndoe.

Tamten uśmiechnął się.

— Jesteś bezpieczny, przyjacielu. Pokieruję tobą. Podszedłbym do ciebie, ale muszę zostać tutaj, żeby nie zgubić bezpiecznej drogi do muru.

McIndoe otarł pot z czoła.

— Mam tylko nadzieję, że znasz położenie tych min tak dobrze, jak twierdzisz.

— Powinienem. Pomagałem je rozmieszczać.

Skinął na Szkota.

— No, zrób krok w moją stronę. Tylko jeden.

McIndoe z wyraźną niechęcią zrobił jeden krok, zaciskając zęby, gdy stawiał nogę w nowym miejscu. Głęboko odetchnął podnosząc drugą nogę i ostrożnie dostawiając ją do pierwszej. Następnie, zgodnie ze wskazówkami tamtego, skreślił pod kątem czterdziestu pięciu stopni i zrobił kolejny ostrożny krok. Pot zalewał mu oczy, więc przystanął, żeby otrzeć go palcami. Wcale nie zdziwił się widząc, że ręka mu drży. Kolejny krok doprowadził go do mężczyzny, który nakreślił obcasem krzyż na ziemi i cofnął się. McIndoe nawet nie spojrzał na partyzanta. Stał na znaku, przykucnął z ulgą i przesunął dłońmi po spoconej twarzy. Mężczyzna pokierował Hillyardem, polecając pozostałym iść po jego śladach. Potem, gdy kolejni członkowie grupy dochodzili do znaku, wcześniej przybyli cofali się o krok, aż wszyscy znaleźli się w bezpiecznym przejściu. Karawana ruszyła po śladach przewodnika, jakby były odciskami stóp uwielbianego świętego.

Kiedy w końcu dotarli do kamiennego muru, chętne ręce pomogły im wydostać się z pola minowego. Ravallo i Hillyard z wyraźną ulgą opadli na trawę po drugiej stronie muru. Johnson oparł się o ścianę, trzymając dłonie na kolanach, jak zmęczony biegacz po szczególnie wyczerpującym biegu. McIndoe odszedł kawałek i stanął na wprost miejsca, gdzie na polu minowym leżał Evans. Nie wiedział, jak długo tam stał, kiedy zdał sobie sprawę z czyjejś obecności obok. To była Stella.

— Przykro mi z powodu Taffy’ego. Wiem, że bardzo go lubiłeś.

— Tak — odparł McIndoe. — Dobrze było mieć go po swojej stronie. Zawsze bronił tego, co uważał za słuszne, nawet jeśli musiał odprowadzić oficera na bok i po cichu zamienić z nim słowo, kiedy uznał, że jakiś plan akcji niepotrzebnie narazi życie ludzi. W dodatku zawsze miał rację, co zmuszało oficera do ponownych przemyśleń. Tak było ze mną, kiedy pierwszy raz pracowaliśmy razem. Nie wstydę się do tego przyznać. Będzie mi go brakowało. Naprawdę.

Milczeli, każde pogrążone w swoich myślach, aż podszedł do nich Stefano.

— Bardzo mi przykro z powodu waszego przyjaciela. Gdybym wiedział, kim jesteście... — Umilkł i bezradnie wzruszył ramionami. Żadne słowa nie mogły naprawić tego, co się stało.

— Trochę za późno na przeprosiny, nie uważasz? — warknął McIndoe, dając ujście złości i żalowi. — Pozwoliliście nam wejść na pole minowe, dobrze wiedząc, że przynajmniej jeden z nas zginie. A jakby tego było mało, otworzyliście ogień w nadziei, że rozbiegniemy się w panice i powpadamy na miny. Nawet jeśli wzięliście nas za włoskich żołnierzy, nic nie usprawiedliwia takiego postępowania.

— Gdyby musiał pan pod lufami karabinów patrzeć, jak włoscy żołnierze po kolei gwałcą pańską żonę i córkę, może zrozumiałby pan moje motywy — usłyszał gorzką odpowiedź. — Śledziliśmy was przez jakiś czas, zanim tu doszliście, i ani przez chwilę nie sprawialiście wrażenia, że nie jesteście włoskimi żołnierzami. Dlatego kazałem usunąć znak ostrzegawczy ze skraju pola minowego i zapalić światło w oknie. Wiedziałem, że nie oprzecie się pokusie odwiedzenia farmy, kiedy zobaczycie światło.

— Przykro mi z powodu tego, co przydarzyło się pańskiej żonie i córce, ale nie może pan winić wszystkich włoskich żołnierzy za to, co wyprawiała garstka ich kolegów—maruderów — powiedział McIndoe chłodnym, opanowanym tonem. — Największą siłą partyzantów była zawsze zdolność do kolektywnego działania. Taka osobista wendeta może tylko osłabić i w końcu zniszczyć tę siłę.

— Mówi pan jak polityk — rzekł z pogardą Stefano. — Ale nie oczekiwałem, że zrozumie pan płonąca we mnie żądza zemsty. Nie jest pan Sycylijczykiem.

— Ona jest Sycylijką — powiedział McIndoe, wskazując na Stellę. — Niech pan spróbuje ją przekonać, że pańska żądza zemsty jest usprawiedliwiona.

— Jeżeli jest prawdziwą Sycylijką, już ją rozumie.

McIndoe spojrział na Stellę, w nadziei że go poprze. Zamiast tego odeszła w kierunku farmy. Pospieszył za nią.

— Jezu, chyba nie zgadzasz się z nim? — rzekł ze zdumieniem, doganiając ją i łapiąc za ramię.

— Jak powiedziałaś, Sam, jestem Sycylijką — odparła zimno.

— Dlaczego nie pójdziesz i nie powiesz tego wdowie po Taffym?

— To nie ma nic wspólnego z Taffym! — usłyszał w odpowiedzi. — Nie rozumiesz? Daj temu spokój, Sam. — Wyrwała mu się. — Po prostu daj spokój.

— Co się dzieje? — zapytał Ravallo, zaniepokojony ich podniesionymi głosami.

— Nic, co musiałyby cię obchodzić — odpowiedziała Stella, znikając w budynku.

— Cokolwiek jej powiedziałaś, trafiłeś w czuły punkt — zauważył Ravallo.

— Wygląda na to, że muszę się jeszcze sporo nauczyć o Sycylijczykach.

Ravallo spojrział nad jego ramieniem.

— Idzie tu Stefano. Mam z nim porozmawiać?

— Nie. Już się uspokoilem.

— O pierwszym brzasku usuniemy ciało z pola minowego i osobiście dopilnuję, żeby za kilka dni wyprawiono mu godny pogrzeb — powiedział Stefano.

— Dziękuję — rzekł McIndoe.

Stefano wyjął z kieszeni paczkę papierosów.

— Czy któryś z was pali?

McIndoe wziął jednego.

— Zostało nam tylko kilka, kiedy opuszczaliśmy Palermo, a i te diabli wzięli, kiedy wyskoczyliśmy z pociągu. — Ravallo zręcznie wyjął paczkę z dłoni Stefana.

— Nie rozumiem. Wskoczyliście z pociągu? — Partyzant zmarszczył brwi ze zdumienia.

— Zapomnij o tym, to długa historia — westchnął Amerykanin, pokazując mu paczkę. — Nie masz nic przeciwko temu, że je zatrzymam? Bóg wie, kiedy zobaczymy następną.

— Weźcie je — rzekł Stefano. Podając Ravallovi pudełko zapalek, zauważył, że jeden z partyzantów kręci się w pobliżu, usiłując zwrócić na siebie uwagę. — Przepraszam.

Ravallo zapalił papierosa, schował kilka do kieszeni munduru, a potem rzucił resztę i zapalki Szkotowi.

— Czemu nie pójdziesz i nie poczęstujesz Stelli?

McIndoe wiedział, o co chodzi Ravallovi i przyznawał mu rację. Podeszedł do tylnych drzwi i ostrożnie zajrzał do kuchni. Stella siedziała przy stole, na którym leżał rozłożony egzemplarz *La Sicilia* z poprzedniego dnia. Zerknęła na niego, a potem wróciła do lektury.

— Przyszedłem przeprosić cię za to, co zaszło przed chwilą — powiedział z wyraźnym przymusem. Nigdy nie lubił przyznawać się do swoich błędów. W dodatku wcale nie uważał, że nie miał racji.

— Czy to papierosy? — zapytała nie patrząc.

— Tak. Dał je nam Stefano. Pomyślałem, że może chciałabyś jednego.

Otworzył paczkę. Poczęstowała się, a on podał jej ogień.

— Nie musisz przeproszać za to, co powiedziałaś, Sam. W końcu mówiłeś tylko to, co uważasz za słuszne. I miałbyś rację, gdybyśmy nie byli na Sycylii. Zgadzasz się z tym czy nie, wendeta jest integralną częścią sycylijskiego życia. Dobrze o tym wiem, bo tak wychował mnie ojciec. Kiedyś zabił człowieka, który próbował go oszukać w interesach. Chodziło o honor rodziny. Można to uznać za ekstremalne działanie, ale już nikt nie próbował go potem oszukać.

— Mogę w to uwierzyć — rzekł McIndoe, gwizdnąwszy cicho pod nosem. — A co na to policja?

— Pamiętam, że przyszli do naszego domu i zabrali ojca na przesłuchanie, kiedy tamten człowiek zniknął. Jego ciała nigdy nie znaleziono, więc musieli ojca wypuścić. Wiedzieli, że on go zabił, jestem pewna, ale nie mieli dowodów. Pomogło również to, że ten człowiek był drobnym kryminalistą. Niezbyt przykładali się do śledztwa.

— A co się stało z ciałem? — McIndoe wciągnęła jej opowieść.

— Jak wiesz, mój ojciec plądrował wraki i sprzedawał wszystko, co znalazł, a co miało jakąkolwiek wartość. Czasami konkurencja była ostra. Jeśli odkryto stary wrak, w którym mogły znajdować się jakieś skarby, ten, kto pierwszy dotarł do niego i oznaczył swoje terytorium, odchodził z łupem. Czasem jacht tygodniami kotwiczył nad miejscem zatopienia statku, zanim załoga była gotowa do nurkowania. W takich wypadkach inne jachty zawsze czekały w pobliżu i jedynym sposobem zniechęcenia ich załóg do posyłania nurków było wylewanie wiader krwi zwierzęcej, aby zwabić wszystkie rekiny w okolicy. W Morzu Śródziemnym rzadko się je spotyka, ale mój ojciec przysięgał, że przy brzegach Sycylii widywał wielkie żarłaczce. Czy jest lepszy sposób pozbycia się obciążającego dowodu niż nakarmić nim rekiny?

Starannie złożyła gazetę i położyła ją na środku stołu, po czym uśmiechnęła się na widok zgrozy widocznej na twarzy Szkota.

— Matka opowiadała mi o tym wiele lat później. Nie wiem, czy to prawda, czy też tylko

opowieść. Jednak kiedy się nad nią zastanowić, ta historyjka ma sens.

— Pewnie tak — odparł McIndoe z grymasem niesmaku. — Rzeczywiście pochodzisz z... interesującej rodziny.

Roześmiała się.

— Chyba można tak powiedzieć.

— To wspaniała historia, żeby przełamać pierwsze lody na przyjęciu — rzekł Ravallo od drzwi. — I podejrzewam, że w taki sposób powstała. Na jakimś przyjęciu, na którym ojciec chciał zrobić wrażenie na miejscowych dziewczynach.

— Widział wszystkie wycinki z gazet, które przechowywała moja matka, i nadal nie wierzy w ani jedno słowo. — Stella wstała i zwiniętą gazetą trzepnęła Ravalla w pierś. — Zawsze sceptyk, co, Nicky? — powiedziała i wyszła w noc.

Ravallo rzucił gazetę z powrotem na stół i usiadł naprzeciw McIndoe. Obejrzał się na drzwi, zanim otworzył usta.

— Nigdy nie mówiłem o tym Stelli, ale kiedy zostałem jej oficerem prowadzącym, kazałem dyskretnie zbadać przeszłość jej rodziców, szczególnie ojca. Na pewno nie był człowiekiem, za jakiego go uważała. Był drobnym kanciarzem z dużymi długami i skłonnością do nadużywania alkoholu. Miał własną łódź, którą trzymała w kupie tylko żywica i klej. Natomiast miał wspaniałą rodzinę. Żona szalała za nim. A Stella go uwielbiała. I trzeba mu przyznać, że dobrze je traktował. Zwłaszcza Stellę. Świata za nią nie widział. Zrobiłby dla niej wszystko.

— Sądziś, że wymyśliła go sobie takim, ponieważ nie mogła znieść prawdy? — spytał McIndoe.

— Nie, nie sądzę — odparł Ravallo. — Poznałeś już Stellę. Zawsze mówi to, co myśli. Ona chyba naprawdę wierzy, że był piratem przemierzającym morza w poszukiwaniu zatopionych skarbów. Sądzę, że taki swój wizerunek odmalował jej, kiedy była dzieckiem. Dlaczego miałyby weń wątpić? Kim jestem, żeby pozbawiać ją złudzeń?

— A co z tym człowiekiem, którego miał zabić jej ojciec?

— Drobnym kryminalista, który zniknął bez śladu. Jej ojciec był jednym z przesłuchiwanym w tej sprawie. To wynika z wycinków, które Stella ma w domu. Podejrzewam, że gość mógł zostać zamordowany. Nigdy nikogo nie oskarżono o jego morderstwo i sprawa nigdy nie została oficjalnie zamknięta. Może i zabił go ojciec Stelli.

— Nie wiem, czy opowiadałbym komuś, że mój ojciec załatwił jakiegoś faceta, a potem nakarmił nim ryby — mruknął McIndoe.

— Zrobiłbyś to, gdybyś był Sycylińczykiem — odparł kwaśno Ravallo.

Usłyszeli kroki na wąskiej ścieżce prowadzącej do kuchennych drzwi. Wszedł Stefano.

— Mam dla was wiadomości. — Przystawił sobie krzesło i usiadł. — Właśnie rozmawiałem z Gianim Massimem. Starling też z nim rozmawiała, powiedziała mu, co zaszło w pociągu. Polecił nam udzielić wam wszelkiej możliwej pomocy. Czego potrzebujecie?

— Na początek transportu na naszą łódź — rzekł McIndoe.

— Tak, mówiła mi o łodzi. Transport już załatwiłem. Jedyne problemy to niemieckie posterunki kontrolne. Niemcy wiedzą, że nie ma was w pociągu, i rzucą w tę okolicę większe siły, lecz jeśli podacie mi położenie waszej łodzi, skontaktuję się z innymi oddziałami partyzanckimi i dowiem się, gdzie dokładnie rozstawiono posterunki. W ten sposób zdołacie je ominąć.

— Wydaje się, że jesteś tego pewny — powiedział McIndoe.

— To nasz kraj. W każdej wiosce mamy ludzi znających wszystkie boczne drogi i skróty. Jak inaczej moglibyśmy z taką łatwością przerzucać broń w dowolne miejsca? Niemcy mają wielu szpiegów, ale nie zdołają nam dorównać w znajomości terenu.

— Kiedy możemy ruszyć? — zapytał Ravallo.

— Ciężarówka jest już w drodze. Powinna przyjechać za kilka minut. Postarałem się, żeby przywiozła wam cywilne ubrania. Najlepiej jeśli będziecie udawać wędrownych robotników. W ten sposób wzbudzicie mniej podejrzeń.

— Dobra robota — rzekł Ravallo. — Chcielibyśmy również skorzystać z waszej radiostacji. Jeśli w umówionym czasie nie połączymy się z łodzią, jej kapitan ma rozkaz przerwać operację i wrócić na Malte.

— Zabierzemy radiostację na ciężarówkę.

— A co z nowymi dokumentami? — zapytał McIndoe. — Mamy tylko podrobione włoskie legitymacje wojskowe. Na nic się nam nie przydadzą, jeśli mamy być wędrownymi robotnikami.

— Nie będziecie potrzebowali żadnych papierów — rzekł Stefano. — Mówiłem wam, pojedziemy trasą omijającą wszelkie posterunki drogowe.

Ravallo zauważył, że McIndoe zmarszczył brwi.

— Ty znowu swoje. Martwisz się. Więcej entuzjazmu! — powiedział.

— Zapamiętam sobie tę radę — odparł Szkot trochę sarkastycznie.

Stella wpadła do kuchni i wskazała kciukiem za siebie.

— Ciężarówka już jest. Stefano wstał.

— Ruszamy, jak tylko zdejmiecie z siebie te mundury.

— No to na co czekamy? — Ravallo odsunął krzesło i wyszedł za Stefanem z pokoju.

— Czy zdołaliście już zidentyfikować ciało? — zapytał Riedler, patrząc na zwłoki zza osłony kamiennego muru.

Franke zapalił latarkę i skierował silny strumień światła na trupa.

— Twarz jest zakryta kurtką munduru, ale nawet gdybyśmy ją widzieli, moglibyśmy jej nie rozpoznać. Natomiast interesuje mnie mundur, panie majorze. Ma naramienniki kapitana. Mężczyzna widziany wcześniej z Ravallem na dworcu nosił mundur włoskiego kapitana. Poza tym zwiadowcy, którzy natrafili na ciało, już ustalili, że w ciągu ostatnich trzech dni na tym terenie nie było żadnych włoskich oddziałów.

— Gdzie jest ich dowódca? Chcę go tu natychmiast widzieć!

— Zaraz po niego poślę, panie majorze.

Riedler wszedł do budynku. Usiadł w kuchni, a potem ściągnął czarne skórzane rękawiczki i rzucił je na stół. Stłumił ziewnięcie i ze znużeniem potarł oczy. Wiele by dał za kilka godzin snu. Wiedział, że większość jego ludzi czuje się tak samo i że z przyjemnością zdrzemnęli się w czasie czterogodzinnej podróży z Palermo do bazy lotniczej w Valledolmo. On nie mógł skorzystać z takiego luksusu. Tuż przed opuszczeniem Palermo dowiedział się, że w pożarze, który wieczorem wybuchł w dzielnicy Capo, zginęło osiemnastu cywilów. Dalszych trzydziestu zabrano do szpitala. Przez większą część lotu słuchał relacji Frankego z wydarzeń, które miały miejsce w kryjówce partyzantów.

Franke próbował umyć od wszystkiego ręce, wygłaszając propagandową przemowę, która okazała się tak skuteczna wobec młodych żołnierzy obecnych razem z nim w melinie. Tak samo jak Kuhn, Riedler pozostał kompletnie nieporuszony. Długo wypytywał go o pożar, lecz Franke uparcie twierdził, że nie miał z tym nic wspólnego. Riedler był zupełnie pewny, że to on podłożył ogień, ale wiedział, iż nigdy nie zdobędzie dowodu na poparcie tego oskarżenia. Co więcej, wiedział, że Franke również o tym wie. To tylko umocniło Riedlera w przeświadczeniu, że Trzeci Regiment Oddziałów Spadochronowych raz na zawsze powinien pozbyć się kapitana Frankego...

Zaledwie samolot transportowy Luftwaffe wylądował na lotnisku na przedmieściach Valledolmo, otrzymali wiadomość, że oddział zwiadowczy znalazł ciało jednego z wrogich

agentów na minowym około dwudziestu kilometrów na południowy wschód od bazy sił powietrznych. Natychmiast oddano im do użytku dwa samochody oraz ciężarówkę do przewozu żołnierzy. Lżejsze wozy pomknęły przodem przed ociężałym samochodem ciężarowym i po kilku minutach dojechali na farmę.

Ktoś zapukał do drzwi kuchni i wszedł Franke, a tuż za nim młody porucznik, który wyprężył się na baczność przed Riedlerem.

— To zaszczyt poznać pana, panie majorze — rzekł z szacunkiem. — Wiele o panu słyszałem...

— Jestem tego pewien — uciął Riedler. — Czy to pan dowodzi zwiadowcami?

— Tak jest, panie majorze.

— Co dokładnie pan odkrył, kiedy pan tu przybył?

— Farma była całkowicie opuszczona, panie majorze. Jednak nie ulegało wątpliwości, że ktokolwiek tu był, opuścił ją zaledwie kilka minut wcześniej.

— Skąd ta pewność?

— W pokoju znaleźliśmy dwa dzbanki z kawą. Oba były tylko w połowie opróżnione, a kawa jeszcze ciepła.

— Powiedz majorowi Riedlerowi o ciężarówce — ponaglił Franke zdenerwowanego oficera.

— Tak jest. Ciężarówka. My, to znaczy nasz radiooperator, wkrótce po przybyciu tutaj odebraliśmy meldunek z naszego garnizonu, że jakiś informator przekazał im przez telefon wiadomość o ciężarówce, która około drugiej trzydzieści w nocy wyjeżdżała z wioski. Jechała w tym kierunku.

— Czy podał jej numery rejestracyjne? — zapytał Riedler.

— Nie, panie majorze. Mówił, że wyglądała na lekką ciężarówkę SPA Dovunque.

— Co to za jeden? — pytał zirytowany Riedler.

— Powiedział, że zanim wstał z łóżka i podszedł do okna, samochód już był daleko od jego domu, panie majorze.

— Dlaczego więc nie pojechał za nią? Zdawało mi się, że wszystkim informatorom na tym terenie kazano zwracać uwagę na wszelkie podejrzanе fakty. Według mnie ciężarówka jadąca nocą przez uśpioną wioskę jest zdecydowanie podejrzana.

— Wiedział o tym, panie majorze — rzekł porucznik — ale nie ma prawa jazdy.

— Co za błaznów zatrudnacie tu jako informatorów? — syknął ze złością Riedler.

— Już rozesłano komunikat — powiedział Franke. — Może to była Dovunque. Z tego, co wiem, ruch oporu chętnie z nich korzysta, bo wspaniale spisują się podczas jazdy terenowej.

— Nie obchodzi mnie to! Nawet gdyby rozwinęła skrzydła i poleciała, mają ją znaleźć! — wrzasnął Riedler, a potem wskazał palcem na porucznika. — Niech pan wraca do radiostacji i zawiadomi oficerów na wszystkich posterunkach drogowych, że jeśli agentom wroga uda się uciec, osobiście dopilnuję, żeby odpowiedzialni polecili pierwszym samolotem na front wschodni. To dotyczy i pana. Odmaszerować!

Porucznikowi tak mocno trzęsły się ręce, że o mało nie stracił sobie czapki z głowy, kiedy zaszalutował. Wybiegł z kuchni, niemal wpadając na żołnierza, który właśnie wchodził. Żołnierz popatrzył za umykającym oficerem, a potem ostrożnie uchylił drzwi kuchni.

— Czego chcesz? — zapytał Franke.

Żołnierz zaszalutował.

— Znaleźliśmy coś, panie kapitanie. W lesie.

— Powiesz nam co, czy będziemy musieli zgadywać? — spytał sarkastycznie Franke.

— Ubrania, panie kapitanie. Znaleźliśmy ubrania. Zostały spalone.

— Prowadź. — Riedler wciągnął rękawiczki i włożył czapkę na głowę.

Żołnierz poprowadził ich do żarzącego się ogniska na skraju gęstego zagajnika opodal domu. Na trawie obok leżały kawałki nadpalonego materiału. Franke skierował latarkę na dymiące resztki, a Riedler rozgarnął je kijem.

— Tak, na pewno tu byli — powiedział, patrząc na ciemny las.

— Mają nad nami tylko czterdzieści minut przewagi — rzekł Franke, gdy wracali.

— Co pan proponuje? Mamy jechać za nimi?

— To lepsze, niż siedzieć tu i czekać, panie majorze.

— Nie wiemy, w jakim kierunku pojechali. Gonilibyśmy za cieniem. Nie, zostaniemy tutaj i poczekamy na konkretną wiadomość. Wtedy ruszymy.

— A jeśli zdołają ominąć posterunki? — spytał Franke, przystając w drzwiach. — Partyzanci znają teren o wiele lepiej niż my.

— Racja. Oni jednak mogą wydostać się z wyspy tylko jedną drogą. Morską. W powietrzu zostaliby zestrzeleni kilka minut po starcie. Jeszcze w Palermo podjąłem odpowiednie kroki... — Jakże? — naciskał Franke, kiedy Riedler zamilkł.

— Aby wszystkie zdolne do akcji *Schnellbooten* wysłano w morze z rozkazem patrolowania możliwie jak największego odcinka wybrzeża, a w każdej bazie powietrznej na wyspie czekały dwa messerschmitty, zatankowane i gotowe do lotu, gdybyśmy ich potrzebowali. Tak więc, gdziekolwiek się pojawią, nie zdołają uciec.

— Wie pan równie dobrze jak ja, panie majorze, że otoczeni nigdy nie pozwolą wziąć się żywcem — rzekł Franke. — To normalna procedura w tajnych operacjach.

— A zatem umrą — powiedział zimno Riedler. — To całkiem proste.

— Jak daleko jeszcze? — zapytał Ravallo.

Stefano zaśwycił latarkę i skierował ją na pogniecioną mapę, którą rozłożył na kolanach.

— Jesteśmy około dwudziestu kilometrów od brzegu. Tą drogą za pół godziny powinniśmy dotrzeć do jaskiń.

— Jak dobrze pójdzie — mruknął Johnson ze swego miejsca na drewnianej ławce naprzeciw.

— Uważam, że i tak zrobiliśmy kawał drogi, a przecież musieliśmy objeżdżać niemieckie posterunki — rzekł Ravallo. — Muszę przyznać, że macie tu doskonały system łączności.

— Musimy mieć, jeśli chcemy wyprzedzić Niemców — odparł Stefano.

McIndoe spojrział na obu mężczyzn, upuścił niedopałek papierosa na podłogę i przydeptał go butem. Oceniał, że przez dwie godziny przejechali mniej więcej pięćdziesiąt kilometrów. Ravallo miał rację. Przebyli spory dystans, jeśli wziąć pod uwagę liczne objazdy, które musieli pokonywać, aby ominąć szereg blokad rozstawionych na drogach w ciągu ostatnich kilku godzin. Nagle jego spojrzenie padło na radionadajnik stojący w kącie. Już pouczył się z Passiere'em o umówionej porze i dał mu znać, że są w powrotnej drodze na łódź. Teraz przynajmniej wiedział, że Charlie Higgins nie odpłynie bez nich. Jeden problem z głowy. Jednak pozostawał inny, znacznie poważniejszy. Tożsamość zdrajcy. Tylko o tym rozmyślał od czasu wyjazdu z farmy, przyglądając się po kolei każdej twarzy w ciężarówce i usiłując zdecydować, które z nich pod maską niewinności skrywa oblicze wroga. W końcu połączenie zwykłej logiki i odrobiny dedukcji pozwoliły mu wyłonić jedno nazwisko. Teraz był przekonany, że wie, kto jest zdrajcą...

— Przed nami posterunek!

Ostrzegawczy okrzyk kierowcy gwałtownie przywołał go do rzeczywistości. Szybko ukrył pistolet maszynowy pod drewnianą ławką. Pozostali zrobili to samo.

— Mówiłeś, że na tym odcinku nie ma żadnych posterunków — powiedział Hillyard do Stefana.

— Musieli ustawić go kilka minut temu — padła odpowiedź. — Przed półgodziną, kiedy moi

ludzie sprawdzali ten teren, nie było go tutaj.

— Teraz to nieistotne — rzekł McIndoe. — Działamy zgodnie z planem.

Spojrzał na siedzącego naprzeciw Hillyarda. Obaj zajmowali miejsca przy tylnej klapie ciężarówki.

— Wiesz, co robić?

— Jasne — zapewnił go Hillyard, zręcznie wyjmując sztylet z pochwy na przedramieniu. Swobodnie oparł rękę o kolano, kryjąc sztylet w dłoni, tak że ostrze spoczywało między środkowym i wskazującym palcem.

McIndoe też wyjął sztylet, a potem pochylił się i zerknął przez okienko, kiedy szofer zwolnił, podjeżdżając do zasieków z drutu kolczastego. Na poboczu stała zaparkowana ciężarówka Opel Blitz. W smugach reflektorów widzieli tylko dwóch niemieckich żołnierzy, ale w ciężarówce pewnie siedzieli inni. Dwaj żołnierze podeszli od strony kierowcy i nagle szoferkę zalało światło silnej latarki. Kierowca uniósł rękę, żeby osłonić oczy, lecz natychmiast kazano mu ją opuścić i pokazać dokumenty. Drugi żołnierz przeszedł na tył, gdzie po kolei zaświecił w twarz wszystkim pasażerom. Światło latarki padło na twarz Stelli, potem przesunęło się po innych, aż w końcu zatrzymało na Hillyardzie.

— Dokumenty! — warknął żołnierz po włosku.

— Mam je tutaj — powiedział Hillyard, a jego ramię szybko wystrzeliło do przodu. Sztylet przeszył gardło żołnierza. Hillyard zakrył mu drugą ręką usta i przesunął ostrze w bok, gładko przecinając krtań.

McIndoe bezszelestnie wyskoczył z ciężarówki, złapał osuwające się ciało i powoli położył je na ziemi. Ravallo podał mu pistolet maszynowy. McIndoe przycisnął się do opuszczonej klapy, jednym płynnym ruchem wyskoczył zza pojazdu i wymierzył do żołnierza sprawdzającego dokumenty kierowcy. Ten, przerażony, wypuścił z ręki papiery i usiłował wycelować w niego z MP-38, gdy ścięła go seria z beretty McIndoe. Martwe ciało uderzyło o ziemię.

Plandeka z tyłu opla podnosiła się właśnie. Pozostali ludzie McIndoe wyskakiwali już z wozu. Jakiś Niemiec zdążył wystrzelić w ich kierunku, zanim Hillyard i Johnson otworzyli ogień. Podskoczył groteskowo, gdy grad kul sięgnął celu, rzucając go z powrotem w głąb ciężarówki. Jednocześnie McIndoe i Ravallo wyskoczyli z drugiej strony i pociągnęli długimi seriami po boku plandeki. Uwięzieni w środku Niemcy, wzięci w krzyżowy ogień, nie mieli żadnych szans. Po kilku sekundach było po wszystkim.

McIndoe dostrzegł nagle lufę automatu wysuwającą się z okienka kierowcy. Błyskawicznie skierował berettę na szoferkę i zasypał kulami drzwi. Rozległ się przeraźliwy krzyk i z okienka wypadł pistolet maszynowy. Szkot podbiegł do kabiny, wyciągnął zawleczkę granatu i cisnął go przez rozbite okno. Przypadł do ziemi; po kilku sekundach potężna eksplozja wyrwała drzwiczki i rzuciła je na środek drogi. McIndoe zerwał się na równe nogi i podbiegł do szoferki. W środku zobaczył tylko ciało kierowcy. Strzelanina ustała. Ostrożnie obszedł ciężarówkę, wyskoczył zza niej i z bronią gotową do strzału przeszedł na tył, gdzie stali Ravallo i Hillyard z opuszczonymi pistoletami maszynowymi w rękach. Na pace naliczyli pięć ciał. Radiooperator, który najwidoczniej chciał wezwać pomoc, gdy wybuchła strzelanina, leżał na radiostacji, nadal zaciskając klucz w zakrwawionej martwej dłoni. Z głośnika wydobywał się zaniepokojony głos mówiący po niemiecku. Ravallo wskoczył na ciężarówkę i sprawdził, czy któryś z żołnierzy nie daje znaku życia. Wszyscy nie żyli. Nogą zepchnął radiooperatora z radiostacji, a potem wycelował pistolet w aparat i uciszył go jedną krótką serią.

McIndoe poszedł pomóc Johnsonowi i Stelli, którzy usiłowali ściągnąć z drogi zasieki. We trójkę zdołali je trochę rozsunać.

McIndoe podniósł dokumenty i podał je kierowcy przez otwarte okienko.

— Nic ci nie jest? — zapytał.

— Nie. Trzymałem głowę nisko, aż ucichły strzały.

— Będziesz musiał wycisnąć z tej ślicznotki wszystko — rzekł McIndoe, poklepując burte ciężarówki — bo niedługo zaroi się tu od Niemców. A wolałbym być gdzie indziej, kiedy tu przyjadą.

— Na szczęście to dość odludny odcinek wybrzeża. Zanim Niemcy stwierdzą, co się stało, będziemy daleko. Mam nadzieję, że pan i pańscy koledzy już na morzu, poza zasięgiem ich macek.

— Sam! — zawołała Stella.

— Zaraz ruszamy — powiedział McIndoe do kierowcy, a potem podszedł do Stelli, która stała z innymi z tyłu.

Ravallo pochylał się nad ciałem leżącym na drodze. To był Stefano. Koszula na jego piersi była czarna od krwi. Dostał jedną kulę w pierś.

— W plandece jest kilka przestrzelin — rzekł Ravallo. — Sądząc po ułożeniu ciała, musiała go trafić zabłąkana kula, kiedy zeskakiwał z ciężarówki.

— Połóżcie go na pace — polecił McIndoe. — Musimy stąd wiać, zanim Niemcy przyślą posiłki.

Johnson i Hillyard podnieśli zabitego i ułożyli na podłodze ciężarówki. Kierowca wyciągnął spod siedzenia stary koc i podał go Hillyardowi, żeby nakrył ciało. McIndoe wsiadał ostatni i łapiąc wyciągniętą rękę Ravalla, żeby wskoczyć na pakę, skinął głową kierowcy, który zapuścił silnik i ruszył.

— Przepraszam, panie majorze — powiedział od progu Kuhn. — Jest meldunek z garnizonu w Gela.

— Jaki? — zapytał Riedler.

— Otrzymali wezwanie pomocy od jednego z ich posterunków. Radiooperatorowi w Gela wydawało się, że w tle słyszał strzały. Połączenie przerwano i zaraz potem radiostacja umilkła.

— Czy znają dokładne położenie tego posterunku?

— Tak jest, panie majorze — odparł Kuhn.

— Pokaż — rzekł Riedler, rozkładając mapę na kuchennym stole. Franke przycisnął brzegi dzbankami z kawą. Kuhn wyjął z kieszeni munduru notes, otworzył go na odpowiedniej stronie i umieścił obok mapy. Szybko odnalazł właściwe miejsce. Bezludny odcinek wybrzeża na południe od Gela.

— Nie wiemy, czy to ci agenci, panie majorze — powiedział Kuhn. — To mógł być ruch oporu. Codziennie atakują samotne posterunki drogowe.

— To mógł być także podstęp, żeby odciągnąć nas od ich umówionego punktu spotkania — dodał Franke.

— Wątpię — Riedler wpatrywał się w mapę. — Na miejscu Ravalla ostatnią rzeczą, jakiej bym sobie życzył, byłoby niepotrzebnie ściągać na siebie uwagę. Nawet próbami działań osłaniających. Chciałbym wymknąć się jak najszybciej. Jeśli zostali wciągnięci w strzelaninę, to oznacza, że nie mieli innego wyjścia. Tak to widzę.

— I co teraz robimy, panie majorze?

— Kapitanie Franke, niech pan połączy się z bazą lotniczą w Gela i osobiście porozmawia z jej dowódcą. Niech wyśle czekające tam w pogotowiu dwa messerschmitty w to miejsce. — Riedler postukał palcem w notatnik. — Kuhn, chcę, żeby wszystkie będące w pobliżu *Schnellbooten* pilnowały brzegu wokół tego punktu.

— A więc myśli pan, że to oni, panie majorze? — zapytał Kuhn.

— Jestem tego pewny — odparł Riedler, odrzucając mu notes. Wstał, podszedł do okna i założył ręce na plecy. — Okazali się naprawdę godnym przeciwnikiem. Przez cały czas wyprzedzali nas o krok. Jednak mam przecucie, że teraz opuści ich szczęście.

— Nie mogę uwierzyć, że w końcu nam się udało — powiedziała Stella wysiadając z ciężarówki, która zatrzymała się na skraju nadmorskiego urwiska.

— Jeszcze nie — zmitygował ją McIndoe, spoglądając na czarne, groźne wody rozpościerające się przed nimi. Ostatnia przeszkoda dzieląca ich od wolności. A ze względu na trudne do przewidzenia kaprysy morskich wód, pod pewnymi względami najtrudniejsza ze wszystkich.

— Gdybym nie wiedział, że to nieprawda, przysięgłbym, że wy dwoje nie macie ochoty opuścić wyspy — powiedział Ravallo za ich plecami.

— Mógłbym tu stać do końca życia i nigdy nie znudziłby mi się ten widok — odrzekł McIndoe.

— Zostań tu, jeśli chcesz, koleś, ale my musimy wsiadać na łódź. — Ravallo poklepał McIndoe po ramieniu.

— Jesteś bez duszy, Nicky — odparł Szkot.

— Ty też będziesz, jeśli dopadną cię szkopy — przypomniał mu Amerykanin.

Poszli za partyzantem na plażę, gdzie na płyciźnie lekko kołysały się dwie łodzie, żeby ich zabrać z powrotem na czekającą MTB. McIndoe rozpoznał w siedzącym w najbliższej łódce wioślarzu tego samego człowieka, który przewoził ich na brzeg. Pozdrowił go, lecz tamten milczał. To nie uraziło McIndoe. Ten mężczyzna był dobrym wioślarzem i tylko to miało znaczenie. Hillyard i Johnson wsiedli do łódki razem z nim, a Stella i Ravallo wskoczyli do drugiej. Ochocze ręce odepchnęły ich od brzegu i dwaj wioślarze rozpoczęli powolną i żmudną pracę. Płynęli do kompleksu jaskiń, w których stała zakotwiczona MTB.

McIndoe, który miał jeszcze w pamięci niedawny incydent z bombowcami Luftwaffe oraz ich eskortą myśliwców, mimowolnie wypatrywał na niebie nadlatujących maszyn wroga. Ogarnęła go ogromna ulga, gdy dotarli wreszcie do jaskiń, które majaczyły niby upiorne paszcze w skalistym brzegu Sycylii. Ich łódka pierwsza wpłynęła w głąb jednej z nich. McIndoe dał rozkaz Johnsonowi, żeby zapalił latarkę i oświetlił drogę wioślarzom. Strumień światła ożywił przedziwne cienie na ścianach. Migotały i drgały wokół nich jak korowód widm. McIndoe złapał pistolet maszynowy leżący u jego stóp, gdy nagle samotny nietoperz, wystraszony zbliżającym się światłem, poderwał się ze swej grzędy wysoko pod łukowatym sklepieniem jaskini i zanurkował ku łódkom, zanim wyrównał lot i zniknął w ciemnościach za ich plecami. McIndoe zaklął pod nosem, że zawodzą go nerwy, a potem odłożył pistolet na poprzednie miejsce. Był potwornie zmęczony. Ta akcja wyczerpała go zarówno psychicznie, jak i fizycznie. Choć zwykle nie potrzebował wiele snu, teraz z przyjemnością myślał o ciepłym łóżku czekającym na niego po powrocie na Maltę. Przyłapał się na mimowolnym ziewnięciu i szybko odepchnął od siebie jakąkolwiek myśl o śnie. Później przyjdzie na to czas...

— Przed nami mina! — wrzasnął Hillyard, gdy łódka minęła kolejny załom tunelu.

McIndoe z przerażeniem ujrzał niemiecką minę, groźnie kołyszącą się na falach parę metrów dalej. Przyływ lekko pchnął minę w kierunku łódki. Wioślarz rozpaczliwie usiłował ominąć zbliżające się niebezpieczeństwo i jego ramiona zdrząły z wysiłku, gdy głęboko wbił wiosła w wodę. Nagle w ciemnościach w głębi tunelu rozległ się gromki śmiech. McIndoe, który w pierwszej chwili pomyślał, że Niemcy jakoś zdołali ominąć partyzanckie posterunki na nadbrzeżnych skałach i zająć jaskinię, błyskawicznie sięgnął po broń.

Znów śmiech. Potem głos dudniący echem w ciasnej przestrzeni tunelu. Znajomy głos.

Mówiący po angielsku z lekkim francuskim akcentem.

— Witamy z powrotem, *patron*. Nie przejmujcie się miną. Jest zupełnie nieszkodliwa.

— Passiere, czy to ty, skurczybyku? — odkrzyknął Hillyard.

— Ja też cię kocham, *mon ami* — odparł tamten z chichotem.

— Mac, tu Charlie Higgins — zawołał inny głos z mroku. — Włączę światło na dziobie, żebyście widzieli, gdzie stoi łódź. Nie przejmujcie się miną. To atrapa. Wszystko wyjaśnię, kiedy wejdziecie na pokład.

Niepokojąca myśl przemknęła przez głowę McIndoe. A jeśli to pułapka? Jeśli mylił się co do tego, kto jest zdrajcą? Nie miał żadnych konkretnych dowodów. A jeśli to Higgins? Albo Passiere? Albo, jeszcze gorzej, obaj? Nie, to bez sensu, powiedział sobie. Daleko użyteczniejsi byłiby dla Niemców żywi. Dlaczego mieliby ich zabijać teraz, kiedy wystarczyło zaczekać i schwytać ich, kiedy wejdą na MTB? Zganił się w duchu. Jacy Niemcy? Przesadza. Tylko skąd ten podświadomy niepokój?

Partyzant przestał wiosłować i niespokojnie spoglądał na kołyszącą się w oświetlonej wodzie minę. W głębi jaskini rozbłysło światło i wreszcie ujrzeli kontur dziobu MTB. Wioślarz wciąż siedział, nie próbując dotknąć wiosła i ruszyć w kierunku światła.

— To moi koledzy. Ufam im bezgranicznie — powiedział mu McIndoe, jakby sam siebie usiłował przekonać. — Jeśli mówią, że mina jest nieszkodliwa, to mi wystarczy. Jednak zrozumieć, jeśli nie zechcesz płynąć dalej. Możesz przesiąść się do drugiej łódki, a ja...

— Popłynę — przerwał mu wioślarz, unosząc palec, jakby tym gestem ucinął dalszą dyskusję na ten temat. Znów zanurzył wiosła w wodę i zdecydowanymi pociągnięciami skierował łódkę ku światłu. Ale najwidoczniej nie był do końca przekonany, że mina jest nieszkodliwa, bo opłynął ją z daleka, ocierając burtą łodzi o ścianę jaskini. Jego koledzy w drugiej łódce powtórzyli ten manewr.

Zanim łódka dopłynęła do celu, już rzucono im drabinę sznurową. Hillyard wyciągnął rękę i złapał za jeden szczebelek. Bez trudu wspiął się na górę, a Passiere pomógł mu przejść przez reling. Następny wszedł Johnson. Potem McIndoe. Z twarzą rozjaśnioną szerokim uśmiechem Passiere złapał Szkota za rękę i pomógł mu wejść na pokład.

— Miło znów pana widzieć, *patron*.

— Miło być z powrotem — odparł McIndoe.

— A gdzie Taffy? — zapytał Higgins.

— Nie udało mu się — odparł ponuro McIndoe. — Kiedy możemy wypłynąć?

— Jak tylko wszyscy wejdą na pokład — odparł machinalnie Higgins, oszołomiony wieścią o śmierci Evansa. — Spodziewasz się kłopotów?

— Można tak powiedzieć. Krótco przed przybyciem tutaj mieliśmy nieoczekiwane spotkanie z niemieckim patrolem. Udało nam się ich wystrzelać, ale radiooperator zdążył nadać sygnał alarmowy.

— Innymi słowy, niedługo możemy mieć towarzystwo — stwierdził Higgins, a potem wskazał na sterówkę. — Chodź. Porozmawiamy na mostku, kiedy odbijemy.

McIndoe wszedł za nim po metalowych schodkach do sterówki.

— Co to za historia z tą miną?

— Dziś wieczorem kręcił się tu jeden *Schnellboote*. Sprawdzali jaskinie. Na szczęście ruch oporu wcześniej przechwycił rozmowę między łodzią a portem w Gela. Stąd wiedzieliśmy, że tu płyną. Wtedy partyzanci wymyślili tę minę. Okazało się, że mają kilka takich atrap, których używają do ochrony kontrabandy chowanej w grotach i jaskiniach na brzegach Sycylii. Mina ma kotwicę, która nie pozwala jej odpłynąć dalej jak kilka metrów. Wiedzieli, że *Schnellboote* ma rozkaz sprawdzić każdą jaskinię w tej okolicy, nie umieścili więc miny u wylotu groty, jak to

zwykle robią, aby odstraszyć nieproszonych gości, ponieważ Niemcy mogliby ją wysadzić. Umieścili ją za pierwszym załomem korytarza, gdzie była niewidoczna z zewnątrz. W tej zamkniętej przestrzeni szkopy nie mogły ryzykować, wybuch groził zawaleniem całej skały. Kiedy podłożono minę, wycofałem MTB w głąb jaskini. — Higgins wskazał zalegającą za ich plecami ciemność. — Okazało się, że zareagowali dokładnie tak, jak przewidywaliśmy. Sądząc z tego, co słyszałem, na widok miny dali całą wstecz i z podkulonymi ogonami czmychnęli z grotu. Od tej pory w pobliżu nie pojawiła się żadna łódź patrolowa.

— Pomysłowe — stwierdził McIndoe. — Tylko dlaczego nas nie ostrzeżliście? Nawet wioślarze nie mieli o niczym pojęcia.

— Ze względów bezpieczeństwa postanowiłem trzymać karty przy orderach. Wiedzieli o tym tylko partyzanci, którzy umieścili tu atrapę.

Otworzyły się drzwi i do sterówki wszedł Ravallo. Uścisnął dłoń Higginsowi.

— Wszyscy na pokładzie. Czas wynosić się stąd w cholere, Charlie.

— Możesz na to liczyć — odparł Higgins. Zawołał do Hillyarda, żeby rwał kotwicę.

— Schodzę na dół zdjąć te cudze ciuchy. Zaraz wracam — rzekł Ravallo i opuścił mostek.

McIndoe patrzył, jak Johnson gasi reflektor na dziobie, pogrążając statek w ciemnościach. Hillyard zawołał, że kotwicę podniesiono, a Higgins uruchomił silniki i skierował łódź do wylotu jaskini.

Kuhn wpadł przez otwarte drzwi do kuchni.

— Mamy ich, panie majorze — oznajmił zdyszany.

— O czym ty mówisz? — zapytał Riedler.

— Panie majorze, otrzymaliśmy wiadomość z kwatery głównej gestapo w Palermo. Dokładne współrzędne miejsca, gdzie czeka nieprzyjacielska łódź. Powiadomiono wszystkie nasze jednostki w tym rejonie i już uzyskaliśmy potwierdzoną wiadomość, że dwa messerschmitty, które wystartowały z Gela, powinny ją przechwycić za kilka minut. Ponadto wysłano tam *Schnellboote*. Przewidywany czas dotarcia do celu: pięć minut.

— Skąd gestapo wzięło te współrzędne? — zapytał Riedler.

— To się panu nie spodoba, panie majorze.

— Mów!

— Współrzędne podano im z nieprzyjacielskiego statku.

— To nie ma sensu. — Riedler zmrużył oczy, a na jego twarzy pojawiło się niedowierzanie.

— Chyba że...

— Racja, panie majorze — powiedział Kuhn, kiedy Riedler zamilkł. — Mają swojego agenta na pokładzie tej łodzi.

— To my wychodzimy z siebie, żeby ich wytropić, a oni przez cały czas mają wśród nich swojego człowieka? W co oni do diabła grają, Kuhn?

— Nie wiem, panie majorze. Pytałem ich, kim jest ten agent, ale odmówili odpowiedzi.

— Zobaczymy.

Riedler z taką siłą odepchnął krzesło, że z trzaskiem upadło na podłogę.

— Czy mam połączyć pana z kwaterą główną gestapo, panie majorze?

— Nie. Chcę, żeby wszystkie kanały łączności pozostawały przez cały czas wolne. Jest niezwykle istotne, abym miał kontakt z tymi messerschmittami i łodziami, kiedy nawiążą kontakt z nieprzyjacielskim okrętem. — Riedler podniósł krzesło i postawił je za biurkiem. — Jednak kiedy będzie po wszystkim, ktoś z gestapo będzie musiał odpowiedzieć nam na kilka pytań. Mogę ci to obiecać.

McIndoe usłyszał niepewne kroki na metalowych schodkach, ale zanim zdążył wyrzeć, drzwi sterówki otworzyły się tak gwałtownie, że uderzyły o ścianę i Georges Passiere wtoczył się chwiejnie do oświetlonego wnętrza. Miał twarz wykrzywioną grymasem bólu i dłoń przyciśniętą do skroni.

— *Patron*, pomocy — wyjęczał, zatoczył się i upadł na kolana.

McIndoe szybko pomógł mu wstać i doprowadził do przymocowanej do ściany ławki. Passiere osunął się na nią; dopiero wtedy McIndoe dostrzegł krew sączącą się pomiędzy palców Francuza.

— Mój Boże, co się stało? — spytał niespokojnie.

— Byłem w kabinie radiowej i prowadziłem nasłuch niemieckich transmisji, kiedy poczułem mocne uderzenie w głowę. Siedziałem tyłem do drzwi, więc nie wiem, kto mnie uderzył. Musiałem stracić przytomność, bo następną rzeczą, którą zobaczyłem, była podłoga.

— I co się stało, kiedy odzyskałeś przytomność? — McIndoe już obawiał się najgorszego.

— Zauważyłem, że tarcza była ustawiona na inną częstotliwość. Taką, jakiej nigdy nie używałem. W eterze panowała cisza. Zrozumiałem, że uderzyła mnie zapewne ta sama osoba, która uszkodziła waszą radiostację. Przyszedłem tu najszybciej, jak mogłem. Musiałem cię ostrzec, *patron*.

— Dobrze się spisałeś, Georges — powiedział McIndoe. Nie miał wątpliwości, że ktokolwiek zaatakował Passiere'a, celowo czekał z nawiązaniem kontaktu z Niemcami, aż łódź wypłynie z jaskini, wiedząc, że zakłócenia w grocie są zbyt duże, aby nadać lub odebrać sygnał radiowy. Tylko tak można to było logicznie wyjaśnić. Jeśli Niemcy znają ich pozycję, przechwycają łódź, to tylko kwestia czasu. Musi działać szybko, jeśli nie chce zmarnować jedynej szansy ucieczki. — Czy mówiłeś o tym komuś? — zapytał Passiere'a.

— Nie, *patron*.

— Niech tak zostanie, dobrze?

— Nie widziałem nikogo, kiedy tu szedłem. — Na twarzy Passiere'a pojawiło się przerażenie. — A co, jeśli ten, kto mnie uderzył, już... — urwał, jakby szukając odpowiednich słów — ...załatwił innych?

McIndoe i Higgins wymienili zaniepokojone spojrzenia. Nie ulegało wątpliwości, że słowa Passiere'a obudziły w nich tę samą obawę. A jeśli miał rację? Niemcom byłoby znacznie łatwiej zdobyć łódź, gdyby sabotażysta unieszkodliwił większość załogi. McIndoe zarzucił na ramię stena, a potem wyjął zestaw pierwszej pomocy z szafki, w której Higgins trzymał mapy, i podał go Passiere'owi.

— Musisz sam się opatryć.

— Pozwól mi iść z tobą, *patron* — rzekł Passiere, usiłując wstać.

McIndoe położył mu dłoń na ramieniu i posadził go z powrotem na ławce.

— Nie jesteś w stanie nigdzie iść. Zostań tutaj.

— *Patron*, przydałby ci się ktoś do pomocy.

— To rozkaz, Georges.

Passiere oparł się plecami o ściankę. McIndoe otworzył drzwi i wymknął się na metalowe schodki. Rozejrzał się po pokładzie dziobowym. Pusty. To tylko zwiększyło dręczący go niepokój. Zszedł po schodkach i już miał ruszyć w kierunku rufy, kiedy usłyszał jakiś szmer na dole. Stał na szczycie schodów, omiatając pokład łufą stena. Nikogo. Powoli, stopień po

stopniu, zaczął schodzić, przyciskając plecy do ściany. Kiedy znalazł się na dole, otarł pot z czoła, a potem okręcił się na pięcie, celując z automatu w korytarz. Nadal nikogo. Wtedy znów usłyszał ten dźwięk. Dobiegał z kabiny łączności. Zaczął skradać się korytarzem, aż stanął obok otwartych drzwi. Zrobił półobrót i wycelował w postać stojącą na środku kabiny. To był Nicky Ravallo.

Amerikanin drgnął, a potem przyłożył dłoń do piersi i wydał głębokie westchnienie ulgi.

— Jezu, Mac, śmiertelnie mnie wystraszyłeś.

— Co tu robisz? — zapytał chłodno McIndoe, nie opuszczając stena.

Ravallo przesunął spojrzenie na broń w rękach Szkota.

— Szedłem do was, chłopcy, na mostek, kiedy zauważyłem tu krew na podłodze. Nigdzie nie było śladu Passiere'a, więc wszedłem zobaczyć, czy wszystko jest w porządku. Najwidoczniej nie jest, inaczej nie skradałbyś się po statku ze staniem. Mógłbyś być tak miły i nie celować nim we mnie?

— Gdzie inni?

— Stella przebiera się w kajucie. Tak jak ja, nie chciała chodzić w cudzych ciuchach. — Ravallo miał teraz na sobie swój czarny sweter polo i czarne spodnie. — Kiedy ostatnio widziałem Hillyarda i Johnsona, byli na pokładzie, sprawdzali łańcuch kotwiczny. Hillyardowi wydawało się, że się zacina, gdy go wybierał.

McIndoe usłyszał dźwięk otwieranych drzwi i skierował automat na postać, która wyszła z kajuty w głębi korytarza. Stella szeroko otworzyła oczy ze zdumienia i odruchowo podniosła rękę do góry. Szkot wypuścił z rąk pistolet, pozwalając mu swobodnie zawisnąć na pasie.

— Do diabła, Mac, co cię tak wkurzyło? — spytał Ravallo. McIndoe powiedział im o incydencie z Passiere'em.

— A więc ktokolwiek go uderzył, podał Niemcom nasze położenie — stwierdziła Stella.

— Tak mi się zdaje.

— A dlaczego pomyślałeś, że to ja? — zdziwił się Ravallo.

— Wiedziałem tylko, że to nie Charlie Higgins ani ja, ponieważ przez cały czas od chwili opuszczenia groty byliśmy razem.

— Chyba że obaj pracujecie dla Niemców — powiedział Ravallo, lecz bez przekonania.

Ich uwagę zwrócił odgłos splukiwanej toalety. Hillyard wyszedł z łazienki i zamarł w pół kroku, widząc ich podejrzliwe spojrzenia.

— Zrobiłem coś złego? — zapytał niepewnie.

— Nicky mówił, że ty i Neville jesteście na pokładzie i sprawdzacie łańcuch kotwiczny — powiedział McIndoe.

— Byliśmy, ale było tak cholernie ciemno, że nie mogliśmy stwierdzić, dlaczego się zacina — odparł Hillyard, wpychając koszulę do spodni. — Po kilku minutach zostawiliśmy tę parszywą robotę.

— A gdzie jest teraz Neville?

— Pewnie nadal tam siedzi. Przynajmniej siedział, kiedy go ostatnio widziałem. Hej, co się dzieje?

— Jak długo byłeś w przybytku? — zapytał Ravallo.

— Jezu, po co wam to wiedzieć?

— Odpowiadaj! — warknął McIndoe.

— Nie mierzyłem czasu — prychnął Hillyard. — Pięć minut. Może trochę dłużej. Nie wiem. Brzuch mnie boli, od kiedy wszedłem na pokład. To pewnie od tego żarcia na farmie. Niech ktoś wreszcie mi powie, o co chodzi...

— Słuchajcie! — przerwał McIndoe, podnosząc palec, aby uciszyć Hillyarda. — Słyszycie to?

Ravallo popatrzył uważnie na Stellę i Hillyarda, którzy — tak samo jak on — słyszeli tylko monotony szum silników MTB. Już miał to powiedzieć, kiedy wreszcie usłyszał: odległy warkot samolotu.

— Nadlatuje nieprzyjacielski samolot! — krzyknął ostrzegawczo Johnson na dziobie.

— Wszyscy na stanowiska! — rozkazał Ravallo. Pospieżyli na pokład, gdzie Johnson już siedział za tęponosym dwudziestodwumilimetrowym działkiem Oerlikona. Hillyard stanął przy vickersie na sterburcie. Ravallo i McIndoe wymienili spojrzenia; obaj pomyśleli o tym samym. Nie było Taffy'ego Evansa, który obsadziłby vickersa na lewej burcie. — Ja tam stanę — rzekł Ravallo.

— Nie — odparł McIndoe, łapiąc go za ramię. — Ja mam przeszkolenie. Znam się na tym o wiele lepiej niż ty. Idź na mostek i powiedz Passiere'owi, żeby połączył się z Vallettą i zapytał, czy mają w tym rejonie jakieś samoloty. Mam przecucie, że przyda nam się pomoc.

— Idę — rzekł Ravallo i popędził do sterówki.

Długa seria z działek zamontowanych na skrzydłach messerschmitta przeorała wodę niedaleko łodzi. Wszystkie trzy stanowiska otworzyły ogień do nisko lecącego samolotu. McIndoe i Hillyard obrócili swoje vickersy na obrotowych statywach, strzelając do odlatującego messerschmitta, ale bez powodzenia.

— Nadlatuje nieprzyjacielski samolot! — wrzasnął Johnson z prawej burty.

Otworzył ogień do drugiego messerschmitta, który niepostrzeżenie zbliżył się do statku, kiedy huk pierwszego samolotu zagłuszył warkot jego silników. Drugi również chybił. McIndoe obrócił swojego vickersa, lecz wróg był już poza jego zasięgiem. Passiere i Ravallo zaczęli, aż kanonada ucichnie, a potem zbiegli po schodkach. Passiere pospieszył do radiostacji, żeby połączyć się z dowództwem w Valletcie; Ravallo podbiegł do McIndoe, który obserwował, jak drugi messerschmitt powoli zawraca i szykuje się do kolejnego ataku na łódź. — Pochyl głowę, Nicky. Ten drań wraca.

— Mac, uważaj! — krzyknął Ravallo. Wskazał na pierwszy samolot, który szybko zbliżał się z innej strony.

— To problem Hillyarda — odkrzyknął McIndoe, a potem zaczął strzelać do groźnej sylwetki, nurkującej w kierunku MTB. Johnson trzymał myśliwca na celowniku oerlikona i posłał w niebo długą serię pocisków, ledwie wróg znalazł się w zasięgu strzału. Hillyard zajął się pierwszym, a oba myśliwce niemal równocześnie otworzyły ogień. McIndoe rzucił się na brzuch, bo samolot przeleciał tuż nad statkiem, zasypując kulami drewniany pokład. Johnson skierował lufę oerlikona na drugi, nadlatujący z prawej.

— Padnij! — wrzasnął McIndoe do Johnsona, gdy kolejna seria przeczesła pokład. Johnson dzielnie trwał na posterunku, odpowiadając ogniem, chociaż deski wokół niego dygotały od uderzeń kul. Nagle krzyknął z bólu, zatoczył się i opadł na kolana, przyciskając dłoń do brzucha.

Stella z Ravallem wypadli z osłony i podbiegli do zgiętego z bólu Johnsona. Dziewczyna delikatnie oderwała jego dłoń od brzucha, spodziewając się najgorszego na widok ciemnej plamy krwi na torsie rannego.

— Nic mi nie jest — wycedził Johnson przez zaciśnięte zęby i pokazał prawą rękę. Krew ciekła mu po przedramieniu z lekkiej rany w dłoni. — Kula przeszła na wylot. Pomóżcie mi wstać, dobrze? Muszę wracać na stanowisko. Messery zaraz wrócą i niech mnie diabli, jeśli pozwolę się wykończyć.

— Nie jesteś w stanie strzelać — rzekł Ravallo. Zwrócił się do Stelli. — Zabierz go pod pokład i opatrz.

— Nie mogę teraz opuścić posterunku, panie majorze — odparł Johnson.

— Ja go obejmę — powiedział Ravallo. — Ty idź ze Stellą. To rozkaz!

— Tak jest, panie majorze — niechętnie zgodził się Johnson. — Ale jak już opatrzy mi dłoń, zaraz tu wracam. Bez obrazy, panie majorze, ale kiedy wrócę, chcę mój karabin z powrotem. Jeszcze nie skończyłem z tymi Szwabami. Co to, to nie.

To był Johnson, jakiego Ravallo jeszcze nie widział. Zuchwały. Zdeterminowany. Dzielny. A co więcej, facet wykazał niewiarygodną odwagę, pozostając na posterunku, chociaż dobrze wiedział, że najprawdopodobniej zginie.

— Nadlatują dwa messery — wrzasnął Hillyard z lewej burty.

— Na sterburcie szybko zbliżająca się *Schnellboote!* — zawołał McIndoe, zanim Ravallo zdążył skierować działko ku nadlatującym samolotom.

Nikt jeszcze nie zareagował na jego ostrzeżenie, gdy oba myśliwce jednocześnie otworzyły ogień do MTB. Ravallo musiał ratować się rozpaczliwym odskokiem, bo grad kul zasypał pokład wokół. Otarł krew z brody skaleczonej odpryskującą drzazgą i właśnie wstawał, gdy łódź oblał strumień światła z silnego reflektora zamontowanego na dziobie niemieckiej *Schnellboote*. McIndoe próbował rozbić reflektor ogniem swojego vickersa, lecz musiał schować się za osłoną, bo Niemcy odpowiedzieli ogniem działek pokładowych.

— Macie dokładnie jedną minutę na wyłączenie silników i poddanie się — zagrzmiął wzmożony megafonem głos z pokładu *Schnellboote*. — W przeciwnym razie wasz okręt zostanie zatopiony.

— Nasza łódź jest szybsza — zawołał Ravallo do McIndoe. — Możemy uciec.

— Nie przed torpedą — odparł McIndoe. — A jeśli nawet zdołamy uniknąć torpedy, pozostaną jeszcze messerschmitty.

Ravallo niespokojnie spojrzał w niebo. Nie dostrzegł samolotów. Wiedział jednak, że ich powrót jest tylko kwestią czasu.

— I co robimy?

— Ty mi powiedz, ty tu dowodzisz — odkrzyknął McIndoe.

— W tej chwili jestem otwarty na wszelkie sugestie.

— Jeżeli poddamy się, zabiorą nas na brzeg i oddadzą w ręce gestapo — zawołała Stella, schowana wraz z Johnsonem w zejściówce. — Radzę zostać i walczyć. W ten sposób mamy większą szansę ująć z życiem, niż mielibyśmy w rękach gestapo.

— Zamienię słówko z Charliem — rzekł McIndoe.

— Idę z tobą — powiedział Ravallo i nisko skuleni pobiegli do metalowych schodków po prawej stronie sterówki. Teraz przynajmniej byli niewidoczni ze *Schnellboote*. Niewielka pociecha.

— Co robimy, szefie? — spytał Hillyard zza swego vickersa.

— Właśnie zamierzamy to ustalić — odparł McIndoe, wchodząc za Ravallem po schodkach i do sterówki.

Higgins obejrzał się na wchodzących; twarz miał lśniąca od potu.

— Dzięki Bogu, jesteście! — zawołał. — Mamy duże kłopoty.

— Myślisz, że nie zauważyliśmy? — rzucił krótko McIndoe.

— Nie mówię o szkopach. Messery musiały dostać rozkaz, żeby celować w maszynownię. Jeden z naszych silników został trafiony. Nadal pracuje, ale ma ograniczoną moc. Szczerze mówiąc, dziwię się, że jeszcze działa. W każdej chwili może wysiąść.

— Czy to nas unieruchomi? — spytał Ravallo.

— Nie, lecz znacznie zmniejszy naszą szybkość. Nie zdołamy uciec. Ale to nie wszystko. Straciliśmy Gravesa — głównego mechanika. Zginął przy pierwszym ataku. Na dole został tylko Baines. Teraz, kiedy maszyny są w tak kiepskim stanie, nie da sobie rady sam.

— Innymi słowy uważasz, że powinniśmy wyłączyć silniki i poddać się? — rzekł Szkot.

— Na szczęście decyzja nie należy do mnie — odparł Higgins, spoglądając na Ravalla. — Ja tylko stwierdzam fakty.

— Czas minął — wzmocniony głos przeleciał echem po wodzie. — To ostatnie ostrzeżenie. Wyłączcie silniki albo zostaniecie zatopieni.

McIndoe i Higgins spojrzeli na Ravalla, który rozważał sytuację, patrząc na morze przez posiekane kulami okno.

— Wyłączyć silniki — rzekł niechętnie.

Higgins natychmiast odciął moc i przekazał rozkaz Ravalla Bainesowi.

— I co teraz? — spytał McIndoe.

— Moim zdaniem powinniśmy walczyć — rzekł Higgins. — Jeśli się poddamy, przekażą nas gestapo. A wszyscy wiemy, co to znaczy.

— Stella też tak mówi. — Ravallo spojrzął na McIndoe. — A jak ty uważasz, Mac?

— Zgadza się z Charliem. A ty?

— Osobiście wolałbym zaryzykować uwięzienie — odrzekł Ravallo, gdy okręt się zatrzymał. — Musieliby przewieźć nas do Palermo. A po drodze może jeszcze wiele się zdarzyć, gdyby ruch oporu wiedział, że nas wzięli.

— Ty jesteś najstarszy stopniem na tym statku, Nicky — powiedział McIndoe. — Ostateczna decyzja należy do ciebie.

— Macie zebrać się na pokładzie dziobowym i czekać. Każdy, kto stawi opór, zostanie zastrzelony.

— Wiecie równie dobrze jak ja, że nikt z nas nie uszedłby z życiem, gdybyśmy próbowali walczyć. Mają przewagę — stwierdził Ravallo. — Jesteśmy słabiej uzbrojeni i mniej liczni, a na dodatek nie możemy uciekać, gdyż wobec uszkodzenia jednego silnika byłoby to równoznaczne z samobójstwem. Moim pierwszym obowiązkiem jest zapewnić bezpieczeństwo załodze. Twierdzą, że powinniśmy złożyć broń i poddać się. W ten sposób każdy z nas ma przynajmniej szansę wyjść z tego w jednym kawałku.

McIndoe położył swego stena na ławce, a potem skinął na Higginsa, który wyjął zza pasa webleya i rzucił go na podłogę, pod nogi Ravalla.

— Mam nadzieję, że przypomnisz sobie ten moment, kiedy gestapowcy będą ci wrywać kleszczami paznokcie — powiedział ze złością.

— Hej, wy, na mostku. Zejdźcie na pokład. Już!

— To może być moment, kiedy uratowałem ci życie — odparł kwaśno Ravallo. Podeszedł do drzwi i otworzył je na oścież. Zeszli po schodach na pokład.

— Co się dzieje? — spytał Hillyard, nadal stojący przy swoim vickersie.

— Odsuń się od karabinu i przejdź na dziób — polecił Ravallo. Hillyard szeroko otworzył oczy ze zdumienia.

— Chyba nie... — Zamilkł i ze zgrozą spojrzął na McIndoe. — Szefie, jeśli się poddamy...

— Słyszałeś, co powiedział oficer! — zgromił go McIndoe, wściekły nie tylko na Ravalla, lecz także na siebie. Ravallo miał rację: wszyscy zginą, jeśli spróbują podjąć walkę. Alternatywą było gestapo, które pomści śmierć Ernsta Brauscha. Długie dni powolnych, okropnych tortur, zanim litościwa śmierć wyzwoli ich od cierpień. Rachuby Ravalla, że jakaś partyzancka akcja uwolni ich po drodze do Palermo, były — zdaniem McIndoe — płonną nadzieją. Uważał, że Amerykanin podjął błędną decyzję i jako jego zastępca postanowił odebrać mu dowodzenie, nim upłynie kilka minut. Już kiedy byli na mostku, zastanawiał się, czy nie przejąć dowodzenia, lecz szybko zrezygnował z tego pomysłu. Niczego by nie osiągnął, przedwcześnie odkrywając swoje karty, a jeszcze nie miał dokładnego planu. Będzie starał się zyskać na czasie i pozwoli, aby sami Niemcy nieświadomie wybrali odpowiednią chwilę. Nie wątpił, że cała załoga zginie, walcząc do

końca z wrogiem, ale przynajmniej w ten sposób umrą z honorem... Zaczekał, aż Ravallo zniknie za rogiem sterówki, a potem obrócił się do Higginsa i Hillyarda, którzy szli za nim.

— Mam zamiar zaatakować Niemców — szepnął pospiesznie. — Jeszcze nie wiem jak, ale zobaczycie, kiedy to nastąpi. Jak zacznę, skoczycie do karabinów i dacie im popalić. To nasza jedyna szansa. Może nie ujdziemy z życiem, ale przynajmniej będziemy mieli satysfakcję, że zabraliśmy ze sobą tylu tych drani, ile się dało.

— Tak jest, panie poruczniku — odparł Hillyard z szerokim uśmiechem.

Seria kul trzasnęła w dach sterówki.

— Kazano wam wyjść z rękami na głowach. Zróbcie to.

McIndoe poszedł pierwszy na pokład dziobowy. Stella i Johnson stali obok Ravalla. Nigdzie nie było śladu Passiere'a. Oba messerschmitty powoli krążyły w oddali, jak gigantyczne ptaki drapieżne, patrzące z chłodną wzdrgą na łup w dole. McIndoe zmrużył oczy w rażącym blasku reflektora i spojrzął na *Schnellboote*, która łagodnie kołysała się na fałach z prawej burty. Jeden reflektor oświetlał dziób MTB, a drugi nieustannie omiatał pozostałą część statku w poszukiwaniu jakiegokolwiek ruchu.

— *Patron*, tu Georges. Słyszysz mnie? — rozległ się głos za nimi.

— Nie oglądać się! — syknął McIndoe, kiedy Johnson zaczął odwracać głowę do Passiere'a.

— Słyszę cię, Georges. Gdzie jesteś?

— Na schodach, *patron*. Nie mogą mnie zobaczyć z ich statku.

— Udało ci się połączyć z Vallettą?

— *Oui, patron*. Przekazali nasz Mayday do wszystkich alianckich jednostek w tej okolicy, ale na razie nie dostali żadnej odpowiedzi. Mam wyjść czy wrócić do radiostacji?

— Wychodź, Georges — powiedział Ravallo. — Im dłużej tam siedzisz, tym mocniej oberwiesz, kiedy Niemcy wejdą na pokład.

— Nie słuchaj, Georges — rzekł McIndoe. — Zostań tam, gdzie jesteś. Przydasz nam się bardziej jako wolny strzelec.

— Co się dzieje, do diabła? — zapytał Ravallo, mierząc Szkota wściekłym wzrokiem. — Jak śmiesz ignorować moje rozkazy?

— Moim zdaniem nie jesteś w stanie nadal dowodzić tym okrętem. Dlatego, jako twój zastępca, oficjalnie odbieram ci dowództwo — oświadczył McIndoe. — Wiem, że Charlie i moi chłopcy staną po mojej stronie.

— To równoznaczne z buntem! — rzucił gniewnie Ravallo.

— Możesz oddać mnie pod sąd polowy, jeśli wyjdziemy z tego cało — odparł McIndoe. Popatrzył na Stellę. — Jesteś z nami?

— Oczywiście, że nie — powiedział z urazą Ravallo.

— Co chcecie zrobić? — zapytała.

— Walczyć — odparł McIndoe. — Wiesz równie dobrze jak ja, że jeśli się poddamy, wpadniemy w ręce gestapo. Wolę zginąć tu i teraz niż z rąk tych rzeźników.

— Już wam mówiłem, Stella nie...

— Zamknij się, Nicky! — przerwała mu gniewnie. — Nie jestem kukłą, którą możesz nieustannie manipulować, jak ci wygodnie. Umiem mówić. Ty nigdy nie widziałeś, jak działa gestapo, prawda? A ja tak. Za często. Nie, Nicky. Tym razem jestem z Samem. Wolę umrzeć teraz, niż oddać się w ich łapy.

Ravallo zdołał ukryć urażoną godność pod kurtyną milczenia. Co miał powiedzieć? Nie tylko stracił szacunek McIndoe i jego kolegów z SOE, ale nawet Stella zwróciła się przeciwko niemu. Jedyna osoba, która — jak sądził — stanie po jego stronie w takich okolicznościach. Jednak najbardziej ubodło go to, że naprawdę uważał, iż podejmując decyzję o poddaniu się Niemcom

działa w najlepszym interesie załogi. W ten sposób po zejściu na ląd mieliby chociaż nikłą szansę przeżycia. A teraz?

— Opuszczają szalupę — rzekł Hillyard, przerywając ciszę.

— Zaczekamy, aż odpłynię od *Schnellboote*. W ten sposób stanie się łatwym celem — powiedział McIndoe. — Czekajcie na mój znak, a potem skaczcie na swoje stanowiska. Musimy zakładać, że już mają torpedę w wyrzutni, więc ja ostrzelam ich maszynownię z drugiego vickersa. Neville, ty i Bruce skupicie ogień na messerschmittach.

— Charlie, wiem, że ten uszkodzony silnik może wysiąć w każdej chwili, ale gdy wybuchnie strzelanina, chcę, żebyś wrócił na mostek. Lepszy jakikolwiek ruch, niż gdybyśmy mieli tkwić w miejscu jak kaczka na wodzie. Stella, zostaniesz ze mną. Załatw reflektory, a potem ostrzelasz pokład, szczególnie załogę na stanowiskach ogniowych.

— Piekielnie dużo żądasz, Mac — rzekł Higgins.

— A co mamy do stracenia? — odparł McIndoe. — Mogą odpalić torpedę, jak tylko otworzymy ogień. Wtedy przynajmniej pójdziemy na dno walcząc. A co do tego jesteśmy chyba zgodni?

— Co mam robić? — zapytał Ravallo, patrząc na szalupę, która właśnie opadła na wodę. Nie otrzymawszy odpowiedzi, spojrział na McIndoe. — Do licha, przecież mogę wam pomóc. Powiedz, gdzie mam stanąć.

— Ze Stellą. Oboje możecie...

Reszta zdania utonęła w ogłuszającej eksplozji, która rozdarła *Schnellboote* z tak potworną siłą, że łódź w ułamku sekundy zmieniła się w rozżarzoną do białości kulę ognia. Podmuchał zbił z nóg Stellę i Johnsona, stojących najbliżej relingu. Pozostali przypadli do pokładu, osłaniając głowy rękami, gdy deszcz płonących szczątków spadł na MTB.

Ravallo poczuł przeszywający ból w nodze. Długi na palec odłamek dymiącego metalu przeciął mu spodnie i wbił się głęboko w ciało. Instynktownie sięgnął ręką, żeby go wyrwać, ale gwałtownie cofnął ją, gdy natrafił palcami na rozżarzony metal. Oderwał rękaw swojego swetra i owinał nim dłoń, po czym ponownie sięgnął i zaciskając z bólu zęby, złapał odłamek dwoma palcami i delikatnie wyjął go z nogi. Podniósł się jako pierwszy i spojrział tam, gdzie przed chwilą stała *Schnellboote*. Nie pozostało z niej nic prócz kilku zwęglonych desek, pływających na powierzchni oblanego księżycowym blaskiem morza. Nic nie poruszało się w wodzie; nigdzie nie było śladu rozbitków. To go nie zdziwiło. Wiedział iż tylko cudem ktoś mógłby przeżyć taką eksplozję.

Doszedł do wniosku, że *Schnellboote* została zniszczona przez torpedę wystrzeloną z jakiegoś okrętu podwodnego. Tylko tak to można było wytłumaczyć. Nigdzie nie widział śladu żadnej łodzi podwodnej, ale nie było w tym nic dziwnego, skoro w górze wciąż kręciły się messerschmitty. Czy pod wpływem tej myśli, czy podświadomie spojrział w niebo i jego najgorsze obawy potwierdziły się: właśnie oba nurkowały w kierunku MTB.

— Nadlatują myśliwce! Na stanowiska! — wrzasnął i rzucił się do oerlikona, przy każdym kroku czując przeszywający ból w łydce.

Higgins pobiegł do sterówki, żeby ponownie włączyć silniki. Zanim Ravallo dotarł do oerlikona, McIndoe i Hillyard już biegli do karabinów maszynowych. Jeden z messerschmittów odleciał w bok, aby zaatakować z innego kierunku. Ravallo zignorował go, chwytając w celownik drugi.

— Podejdz bliżej, ty draniu! — krzyknął do nadlatującego wroga. — Bliżej... jeszcze bliżej.

Dwudziestomilimetrowe działka zamocowane na skrzydłach myśliwca plunęły ogniem, wzbijając fontanny wody coraz bliżej łodzi. Ravallo nie schował się za osłoną. Za plecami słyszał strzelającego vickersa, ale nie spuszczał z oka nadlatującej maszyny; myślał tylko o tym, żeby

utrzymać ją w celowniku, jakby była muchą nieuchronnie ściaganą w środek pajęczej sieci. Ryk silników przeszył mu uszy. Szeroko rozwarł usta, wydając przeciągły krzyk — dziki okrzyk wojenny wywołany nadmiarem adrenaliny — po czym wreszcie otworzył ogień, celując do sylwetki majaczącej za osłoną kabiny. Pilot właśnie usiłował wyprowadzić maszynę z lotu nurkowego, kiedy seria kul uderzyła w okienko. Kilkakrotnie trafiony podskoczył groteskowo w fotelu, po czym osunął się na pulpit. Ravallo w euforii machnął pięścią w powietrzu, kiedy messerschmitt skręcił i runął do morza. Nagle, gdy już miał uderzyć o powierzchnię wody, wyrównał lot. Przez jedną okropną chwilę Ravallo myślał, że pilot zdołał jakoś odzyskać kontrolę nad maszyną, ale myśliwiec gwałtownie zawirował w agonalnych podrygach i stracił koniec skrzydła, którym zawadził o wodę. Siła uderzenia zmieniła kierunek jego lotu: widowiskowo przetoczył się po powierzchni morza, sypiąc resztkami skrzydeł i ogona. Wreszcie wylądował na brzuchu, wyrzucając fontannę wody strzaskanym kadłubem. Woda wdarła się do środka wszystkimi otworami i po kilku sekundach samolot zniknął w głębinach.

Przedwczesną radość Ravalla zmącił atak drugiego myśliwca. Jego kule nieszkodliwie rozorały pokład. Oba vickersy bezlitośnie obłożyły go ogniem, zdążył jednak uciec przed pociskami oerlikona. Ravallo usłyszał w oddali basowy huk następnych maszyn i przeszył go przejmujący dreszcz rozpacz. Nie poradzą sobie z większą liczbą maszyn. Zaczął wpatrywać się w niebo, a potem spojrzął na McIndoe. Po jego ponurej minie poznał, że Szkot też słyszy nadlatujące samoloty.

Johnson wyjrzał z ukrycia. Włożył palec do lewego ucha, zagłuszając warkot messerschmitta i wsłuchiwał się w dźwięk nadlatujących samolotów. Ravallo zdumiał się, widząc słaby uśmiech na jego ustach.

— Co jest? — zawołał do niego.

Johnson spojrzął na Ravalla i uśmiezek przeszedł w szeroki uśmiech.

— Jak to się mówi w pańskim kraju, panie majorze, nadciąga kawaleria.

— O czym ty mówisz? — Ravallo zdumiał się jeszcze bardziej, bo McIndoe również uśmiechał się pod nosem.

— To nie są niemieckie myśliwce, panie majorze; to nasze ptaszki — krzyknął Johnson.

— Hurricane'y RAF-u — dodał McIndoe.

— Skąd wiesz?

— Ton silników, panie majorze. Zupełnie inny od silników szkopskich maszyn. Prawdę mówiąc, jest inny u spitfire'ów czy...

— Myślę, że major Ravallo już wie, o co chodzi, Neville — przerwał mu McIndoe.

— Nadlatują cztery hurricane'y — zawołał ze sterówki podniecony Higgins.

Dwa brytyjskie myśliwce złamały szyk i pognały do samotnego messerschmitta, który właśnie zamierzał kolejny raz zaatakować. Oba zasypały go seriami z karabinów maszynowych, zmuszając do ucieczki, i rzuciły się w pościg za nim. Wśród zebranych na pokładzie widzów rozległy się okrzyki radości, gdy z kadłuba messerschmitta buchnęła gęsta chmura dymu. Uszkodzona maszyna runęła korkociągiem w morze, a jeden z hurricane'ów towarzyszył jej niemal do końca i wyszedł z lotu nurkowego dopiero wtedy, kiedy messer wbił się w morskie fale. Zatoczył zwycięski krąg nad łodzią i powrócił do szyku po ich prawej burcie.

Stella pospieszyła do Ravalla, który osunął się na reling i z grymasem bólu ścisnął rękami zranioną nogę.

— Nicky jest ranny! — zawołała, klękając przy nim.

— Nic mi nie jest — syknął z irytacją. — To tylko skaleczenie.

McIndoe dotarł do nich jako pierwszy; miał zatroskaną minę.

— Co się stało?

— Czuję się świetnie, dziękuję, panie poruczniku — odparł Ravallo, wypływając ostatnie słowo z jadowitym sarkazmem.

— Wiem, jak się teraz czujesz, Nicky — rzekł McIndoe, usiłując rozładować napięcie. — Jednak nadal uważam, że moja decyzja odebrania ci dowodzenia była uzasadniona.

— Skąd, do diabła, możesz wiedzieć, jak ja się teraz czuję? — wycedził ze złością Ravallo.

— Moim pierwszym zadaniem jako dowódcy zespołu było wysadzenie mostu kolejowego na przedmieściach Rzymu — powiedział McIndoe. — Właśnie skończyłem szkołę oficerską i oczywiście myślałem, że mogę sobie pójść i samodzielnie wygrać tę wojnę. W rzeczywistości byłem naiwnym żółtodziobem bez żadnego doświadczenia bojowego. Dlatego przydzielono mi doświadczonego zastępcę. Sierżanta Taffy'ego Evansa. Po zniszczeniu mostu mieliśmy spotkać się z partyzantami. Mogliśmy udać się na miejsce spotkania dwoma drogami. Wybrałem tę, którą uznałem za bezpieczniejszą. Taffy był innego zdania. Wskazał kilka ciasnych przejść, gdzie Niemcy mogli zastawić na nas pułapkę. Nie byłem przekonany, lecz Taffy nalegał, żeby wybrać inną trasę. Kiedy próbowałem wykorzystać mój stopień, żeby zmusić go do wykonania rozkazu, okazało się, że w interesie całego oddziału odbiera mi dowodzenie do czasu dotarcia na miejsce spotkania. Ludzie bezgranicznie ufali jego doświadczeniu, więc oczywiście poparli go. Bez żadnych kłopotów dotarliśmy na miejsce spotkania, gdzie Taffy oddał mi dowodzenie. Aż za dobrze pamiętam, co wtedy czułem. Gniew. Złość. Upokorzenie. Gdy wróciliśmy do Blighty, poszedłem prosto do Starra i zażądałem głowy Taffy'ego na tacy.

— I co ci powiedział? — zapytała Stella, która rozrywała spodnie Ravalla, żeby opatrzeć mu ranę.

— Powiedział, że miałem dużo szczęścia, mając w moim oddziale takiego mądrego gościa jak Taffy. Dopiero później dowiedziałem się, że w jednym z tych wąskich przejść Niemcy czekali na nas w zasadzce. Gdyby nie Taffy, nie opowiadałbym ci tego teraz. Wtedy zrozumiałem, ile muszę się jeszcze nauczyć o pracy w terenie.

— Ta ostatnia uwaga jest skierowana do mnie? — Ravallo skrzywił się, gdy Stella delikatnie wytarła krew pokrywającą ranę.

— Jak powiadają: uderz w stół... — rzekł McIndoe.

— To nogi odpadną — dokończył Amerykanin. Zamilkł i z sykiem wciągnął powietrze przez zaciśnięte zęby, bo Stella akurat zdezynfekowała mu ranę. — Rany boskie, nie możesz uważać z tym świństwem?

— Wolisz, żebym to zostawiła jak jest i żeby wdało się zakażenie?

Na schodach pojawił się Passiere.

— *Patron*, mam na linii pilota. Chce mówić z którymś z oficerów.

— Pogadaj z nim — rzekł Ravallo i zgrzytnął zębami, gdy Stella znów połała ranę środkiem dezynfekcyjnym. Tym razem nic nie powiedział.

McIndoe poszedł za Francuzem do kabiny łączności, założył na głowę słuchawki i przedstawił się pilotowi dowodzącemu eskadrą myśliwców.

— Dziękujemy za wyciągnięcie nas z opałów, kapitanie.

— Miło nam, że przydaliśmy się na coś, poruczniku, chociaż wygląda na to, że wy, chłopcy, panowaliście nad sytuacją, sądząc po tym, jak załatwiliście tego messera — usłyszał w odpowiedzi. — Cholernie dobra robota. Czy to pańskie dzieło?

— Nie, to major Ravallo — odparł McIndoe, częstując się papierosem z paczki leżącej na stole.

— Ten jankes? Tak, słyszałem o nim. Zdaje się, że to taki barowy kowboj. Chyba kilka dni temu snuł w bazie opowieści o swoim dzieciństwie w Brooklynie. Niestety, w tym czasie byłem w powietrzu, więc nie miałem okazji ich posłuchać.

— A tak, w Luqa — zachichotał McIndoe. — Czy to stamtąd wystartowaliście?

— Owszem, ale byliśmy już w powietrzu, kiedy operacyjny w Valletcie odebrał wasz Mayday. Właśnie odparliśmy kolejny szwabski nalot na Grand Harbour, więc mogliśmy przyjść wam z pomocą. Mamy rozkaz towarzyszyć wam, aż dotrzecie na Maltę. Ale nie sądzę, żeby Niemcy wysłali więcej myśliwców. Dostali po nosie. Jak na jedną noc, starczy.

— Mam nadzieję. Myślę, że na razie mamy dość wrażeń — odparł McIndoe.

Połączenie przerwano i odłożył słuchawki.

— A ta wiadomość przyszła do pana od dowódcy tej łodzi podwodnej, która storpedowała *Schnellboote* — powiedział Passiere, podając mu kartkę papieru. — Mówił, że pan to zrozumie.

McIndoe uśmiechnął się pod nosem, czytając notatkę.

Do wiadomości porucznika Samuela McIndoe: No, stary, wygląda na to, że twoja dobra babunia znów musiała cię ratować. Mam nadzieję, że nie przestraszył was za bardzo ten mały prezencik, który posłaliśmy Niemcom. Wszystko na koszt firmy. Życzę szczęścia wam wszystkim i niech Bóg przyspieszy wasz powrót na przyjazne wody. Komandor-porucznik Reginald Stockton-Jones

— Mam się z nim połączyć, *patron*? — zapytał Passiere.

— Nie. Jak głowa?

— Na oko o wiele lepiej niż pańska, *patron*.

W natłoku wydarzeń McIndoe niemal zapomniał o swojej ranie. Podszedł do lustra zamocowanego na drzwiach i skrzywił się z niesmakiem widząc, że jego bandaż jest czerwony od krwi.

— Mówię ci, Georges, pierwsze co zrobię, kiedy wrócę na Maltę, to wezmę długą gorącą kąpiel i zapomnę o wszystkich zmartwieniach.

— O wszystkich, *patroni* — spytał Passiere, patrząc nań badawczo i siadając na swoim miejscu. Kiedy McIndoe nie odpowiedział, Francuz pochylił się do przodu, opierając łokcie na kolanach. — Wie pan, kim jest zdrajca?

— Tak, domyślam się — odrzekł Szkot.

— Czy on o tym wie? McIndoe przystanął w progu.

— Wątpię. A kto powiedział, że to musi być „on”?

— Po prostu założyłem... — Passiere umilkł, bo McIndoe już wyszedł z kabiny.

— Lotnisko w Gela właśnie potwierdziło, że z tym drugim też stracili kontakt, panie kapitanie — oznajmił radiooperator, powoli zdejmując słuchawki i kładąc je przed sobą. — Ostatnie słowa, jakie powiedział pilot, to że atakują go dwa hurricane'y. Potem nic.

— Poderwijmy te nie 109, które stoją w pogotowiu — powiedział Franke do Riedlera, który stał przy oknie plecami do nich, z rękami splecionymi z tyłu. Nie odezwał się słowem, od kiedy otrzymali z Gela wiadomość o tym, co zaszło. — Panie majorze, czy mam dać rozkaz startu innym nie 109?

— Słyszałem, co powiedziałeś, Franke — rzekł cicho Riedler i znów zamilkł.

— Panie majorze, uważam, że powinniśmy...

— Co powinniśmy? — warknął Riedler. — Już po wszystkim, nie rozumie pan? Czytał pan informacje, które otrzymaliśmy z gestapo, dotyczące osiągnięć tej nieprzyjacielskiej łodzi. Prototyp mogący bez trudu prześcignąć nawet najszybszą *Schnellboote*. Przy tej szybkości jest już teraz niedaleko Malty. A nawet gdybyśmy poderwali nasze nie 109, jest mało prawdopodobne, aby dopadły ją, zanim dopłynie na Maltę. No i mają eskortę z co najmniej

czterech myśliwców RAF-u. Może teraz jest ich już więcej, nie wiem. Nie mam zamiaru poświęcać kolejnych naszych pilotów.

Przysiadł na brzegu najbliższego krzesła, wbijając wzrok w urojony punkt na dywanie. Kiedy znowu przemówił, jego głos był cichszy, spokojniejszy.

— Zawsze wiedziałem, że Brytyjczycy mogą mieć w tym akwenie jakąś łódź podwodną, ale kiedy poprosiłem o U-boota dla osłony *Schnellboote*, usłyszałem, że wszystkie nasze U-booty wysłano na spotkanie konwoju u wybrzeża Tunisu. Rozkaz marszałka Kesselringa. — Spojrzał na Frankego znużonymi, nabiegłymi krwią oczami, w których czała się gorycz osobistej porażki. — Nie wątpię, że wina za całe to fiasko spadnie na moje barki. A wie pan, co to oznacza? Wszyscy zostaniemy odesłani na front wschodni.

— Zamierza pan połączyć się z generałem Studentem i powiedzieć mu, co się stało, panie majorze?

— Trzeba być bardzo odważnym człowiekiem, żeby budzić teraz generała i mówić mu, że nieprzyjacielska jednostka wymknęła nam się z sieci. Nie, zaczekam, aż wrócimy do Palermo, i powiem mu o tym osobiście. — Riedler potarł rękami nie ogoloną twarz i powoli podniósł się z krzesła. — Niech pan powie ludziom, żeby szykowali się do drogi. Już nic nas tu nie trzyma.

— Trudno nazwać to pełnym sukcesem, prawda?

— Tak, panie marszałku, ale najważniejsze, że plany inwazji nie wpadły w ręce wroga — powiedział generał Kurt Student. — To byłaby katastrofa. Plany zawierały niezwykle istotne informacje dotyczące liczebności i uzbrojenia naszych jednostek na Sycylii oraz we Włoszech.

Marszałek polny Kesselring nie wyglądał na przekonanego argumentacją Studenta. Siedzieli w pustej sali restauracyjnej hotelu, gdzie właśnie zjedli skromne śniadanie, podczas którego Student zreferował Kesselringowi wydarzenia poprzedniej nocy. Nie były to wiadomości, jakich marszałek chciałby słuchać z samego rana.

Student nalał sobie drugą filiżankę kawy z dzbanka, który zostawił im kelner, uprzątnąwszy stół.

— Zakładam, że uzgodnione wczoraj plany inwazji będą musiały zostać zmienione?

— To oczywiste — odparł Kesselring. — Będziemy musieli odbyć drugą naradę, prawdopodobnie w Rzymie. Jednak nie wiem kiedy. I tak długo trwało, zanim udało mi się ściągnąć wszystkich szefów sztabów na wczorajsze posiedzenie.

— Jeśli będziemy zbyt długo zwlekać, przejmą inicjatywę — powiedział mu Student.

— Myśli pan, że o tym nie wiem? Już otrzymałem rozkaz, żebym pod koniec tygodnia wrócił do Berlina i złożył *Führerowi* pełny raport o wczorajszych wydarzeniach. Od początku był przeciwny inwazji na Malte. Teraz ma pretekst do odwołania operacji. Będę musiał dołożyć wielu starań, żeby go przekonać. Potrzebuję szczegółowych raportów od pana i od Riedlera, żeby przedstawić *Führerowi* silne argumenty przemawiające za inwazją.

— Otrzyma je pan w ciągu dwudziestu czterech godzin, panie marszałku — zapewnił go Student.

— Przy okazji, gdzie jest Riedler? Nie widziałem go, od kiedy wrócił do hotelu.

— Złożył mi raport i kazałem mu iść spać. Był wyczerpany. Chce się pan z nim zobaczyć, zanim odleci pan do Rzymu, panie marszałku?

— Nie, niech śpi — odparł Kesselring. — Chcę, żeby był w dobrej formie, kiedy będzie pisał dla mnie ten raport.

— Był bardzo przejęty tym, jak zareaguje pan na to wszystko — rzekł Student. — Już się pogodził z myślą, że odeśle pan z powrotem jego i jego ludzi na front wschodni, za karę, że nie zdołał schwytać tych agentów.

Kesselring uśmiechnął się.

— Może mu pan powiedzieć, że nie mam zamiaru odsyłać go do Rosji. Jest dość przeciętnych oficerów, którymi można zapchać ten worek bez dna. Myślałem, żeby zarekomendować go jako ewentualnego kandydata do Sił Specjalnych. Przez kilka ostatnich dni okazał się więcej niż sprawnym oficerem, nawet jeśli ostateczny rezultat był dla nas niepomyślny. Zważywszy na to, z czym musiał walczyć — wliczając w to obstrukcjonizm gestapo — spisał się naprawdę nieźle i był o krok od sukcesu.

— Zgadza się z panem — przytaknął Student.

Kesselring opróżnił filiżankę, podniósł stojącą obok krzesła dyplomatkę i wstał.

— Zakładam, że już pan słyszał o ataku przeprowadzonym dziś rano na aliancki konwój u wybrzeży Afryki Północnej?

— Nie, panie marszałku, nie słyszałem — odparł z wahaniem Student.

— Myślałem, że wieści już zdążyły się rozejść — rzekł Kesselring. — No, nieważne. Wkrótce

się rozejdą. Może przypomina pan sobie, że wczoraj się niepokoiłem, że alianci mogli znaleźć sposób na przechwytywanie naszych transmisji szyfrowanych „Enigmą”. Żeby to sprawdzić, posłałem wszystkie nasze U-booty w okolicę wyspy Cani, aby powstrzymały aliancki konwój, który miał przepłynąć tamtędy dziś, we wczesnych godzinach rannych.

— Tak, panie marszałku, dobrze pamiętam tę rozmowę.

— Dobre wieści. Wilcze stado zatopiło siedem z dziewiętnastu okrętów eskorty: cztery niszczyciele i trzy krążowniki. Jednak, co ważniejsze, zatopiły również pięć z ośmiu łodzi z dostawami tak bardzo potrzebnymi Malcie. Kolejne dwa niszczyciele i jeszcze jeden okręt wojenny zostały poważnie uszkodzone. My straciliśmy jednego U-boota, prawdopodobnie na skutek wybuchu bomby głębinowej. Konwój został rozbity i musiał zawrócić do Gibraltaru. W pobliżu nie było alianckich łodzi podwodnych, które broniłyby konwoju, i według słów oficera Royal Navy, wyłowionego z morza przez jeden z naszych U-bootów, konwój nie otrzymał żadnego ostrzeżenia przed atakiem. Brytyjczycy nigdy nie poświęciliby tyłu statków, gdyby znali z góry dokładny czas i miejsce naszej zasadzki. Teraz jestem całkiem pewny, iż nasz program „Enigma” jest bezpieczny.

Kesselring spojrzął na zegarek.

— No cóż, muszę pana przeprosić. O drugiej po południu mam ważną naradę operacyjną w Berlinie. Mam nadzieję w ciągu dwudziestu czterech godzin zobaczyć pana z tymi raportami.

— Może pan na to liczyć, panie marszałku. — Student zaszutował.

— Sam wyjdę, Kurt. Dokończ swoją kawę — rzekł Kesselring. Ucisnął dłoń Studenta, a potem wymaszerował z pokoju.

— Dzień dobry, panie majorze — sierżant Janet Cross wstała, aby zaszutować Ravallovi, który wszedł do biura.

Ravallo zaszutował w odpowiedzi.

— Mam umówione spotkanie z wiceadmirałem Starrem. Sięgnęła po telefon.

— Dam tylko znać wiceadmirałowi, że pan tu jest.

Odłożyła słuchawkę i wskazała zamknięte drzwi za swoimi plecami.

— Proszę wejść, panie majorze.

— Dziękuję — odparł Ravallo i wszedł do drugiego pomieszczenia.

— Wejdz i zamknij drzwi, Ravallo — poinstruował go Starr, wskazując pogryzionym ustnikiem fajki na krzesło przed biurkiem. — Prosiłem, żeby był pan tu o drugiej — dodał, kiedy Amerykanin już miał usiąść. — Spóźnił się pan osiem minut.

Ravallo powoli wyprostował się. Stojąc przed Starrem poczuł się nagle jak nieznośny uczeń, wezwany przed oblicze surowego nauczyciela.

— Przepraszam, panie admirale. Wiozący mnie tu kierowca kilkakrotnie trafił na objazdy, bo niektóre ulice są jeszcze nieprzejezdne po nocnym nalocie.

— Czemu więc nie przewidział pan tych problemów i nie kazał mu pan podjechać trochę wcześniej? — spytał Starr.

— To z pewnością byłoby rozsądniejsze, panie admirale — szybko zgodził się Ravallo.

Starr otworzył skórzany kapciuch i nabił fajkę świeżym tytoniem.

— Jestem pewien, że na siedząco będzie panu znacznie wygodniej — powiedział, zanim zapalił.

— Tak, panie admirale, oczywiście — mruknął Ravallo siadając.

— Jak noga?

— Tylko trochę dokucza, jeśli zanadto ją obciążam. Lekarz, który oglądał ranę, powiedział, że wszystko będzie dobrze.

— Tak też napisał w raporcie, który przesłał mi dziś rano — rzekł wiceadmirał. Popchnął w kierunku Ravalla drugą popielniczkę. — Niech pan zapali, jeśli pan chce.

— Dziękuję, panie admirale. — Major wyjął z kieszeni munduru paczkę papierosów i zapalił.

— Wie pan, dlaczego pana wezwałem, prawda?

— Zakładałem, że chce pan, abym złożył raport — padła ostrożna odpowiedź.

— Nie, właściwie nie — odparł Starr, wyciągając się wygodnie w skórzanym fotelu. — Mam już dość dobre rozeznanie co do tego, co wydarzyło się na Sycylii. Passiere czasami bywa cholernie irytującym cudzoziemcem, ale jest również najlepszym radiooperatorem, jakiego mamy w SOE. Jego transmisje są zawsze zwarte i rzeczowe. Nie chcę słuchać ani pańskiego raportu, ani raportów innych ludzi z waszej grupy. Już zleciłem to zadanie dwom z moich doradców. Nie, teraz moją jedyną troską jest jak najszybsze zdemaskowanie zdrajcy, zanim wyrządzi dalsze szkody naszej organizacji. Uważam zdradę za najohydniejszą ze zbrodni i już zapewniłem Whitehall, że poruszę niebo i ziemię, żeby wytropić łobuza.

Pan i porucznik McIndoe byliście oficerami dowodzącymi tą operacją. Po południu porozmawiam z McIndoe, lecz najpierw chciałem usłyszeć pańską opinię, jako oficera starszego stopniem. Oczywiście, wszystko, co mi pan powie w tym pokoju, pozostanie między nami, kiedy jednak znajdziemy winnego, będziemy oczekiwali od pana pełnej współpracy przed sądem.

— To oczywiście, panie admirale.

— Czy wie pan, kim jest zdrajca?

— Mam pewne podejrzenia, panie admirale. Zacząłem go podejrzewać dopiero po tym, jak wyskoczyliśmy z pociągu. Uważam, że to Bruce Hillyard.

Twarz Starra pozostała obojętna; zawzięcie pykał swoją fajkę, aż nad ich głowami zebrała się złowroga chmura dymu.

— Proszę mówić dalej — rzekł nie wyjmując fajki z ust.

— Kiedy wsiedliśmy do pociągu, konduktor, który pracował dla ruchu oporu, ostrzegł nas, że jedzie z nami agent gestapo wyposażony w radionadajnik, za pomocą którego utrzymuje kontakt z gestapo. Ruch oporu zainstalował kilka podobnych radiostacji...

— Wiem wszystko o tych radiostacjach, majorze — przerwał mu Starr. — To SOE przemyciła je dla partyzantów. Proszę do rzeczy, dobrze?

— No cóż, panie admirale, konduktor powiedział, że może prowadzić nasłuch tylko wtedy, kiedy jest w wagonie służbowym. A pociąg był pełen pasażerów, nie mógł więc spędzać tam zbyt wiele czasu. Zaproponował, żebyśmy sami podsłuchiwali transmisje wroga. Zgodziliśmy się i Hillyard szybko zgłosił się na pierwszą zmianę. Nie minęło wiele czasu, a wrócił i powiedział nam, że gestapo wie o naszej obecności w pociągu. Z łatwością mógł nawiązać kontakt radiowy ze swoim kontrolerem albo osobiście powiadomić agenta gestapo jadącego pociągiem.

Potem, kiedy wyskakiwaliśmy z pociągu, Hillyard zaproponował, że poniesie worek z naszą radiostacją. Miał dość czasu, żeby ją uszkodzić i wyrzucić zapasowe części, kiedy Mac... porucznik McIndoe był nieprzytomny. Stella i ja popłynęliśmy do niego, a Hillyard został sam na brzegu rzeki. Patrząc wstecz widzę, że to był błąd, lecz szczerze mówiąc, radiostacja była ostatnią rzeczą, o jakiej wtedy myślałem. Wiem, że Evans był jeszcze w wodzie, chociaż gdzieś dalej, ponieważ pamiętam, jak krzyczał do mnie, że nie zdąży dopłynąć do porucznika wcześniej niż Stella i ja. Nie wiem, gdzie był wtedy Johnson, zapewne również w wodzie. Ale nie z Hillyardem.

Porucznik McIndoe ma teorię, że radio mogło zostać uszkodzone przed opuszczeniem Malty — ciągnął Ravallo. — Nie neguję tej teorii, panie admirale, im dłużej jednak o tym myślę, tym bardziej jestem skłonny przypuszczać, iż prawdopodobnie zostało uszkodzone po naszym przybyciu na Sycylię. I nie jest tak, że każdy miał okazję przy nim grzebać, kiedy wysiedliśmy na

ład, ponieważ porucznik McIndoe i ja szczególnie czujnie pilnowaliśmy radiostacji.

— Tylko że Bruce Hillyard miał ją wyskakując z pociągu — rzekł w zadumie Starr. — Dlaczego właśnie on?

— Hillyard uważał, że jako zawodowy akrobata może być dodatkowo obciążony przy skoku z pociągu. Nie spieraliśmy się, ponieważ, szczerze mówiąc, wszyscy byliśmy wtedy zdenerwowani. Jestem pewny, że pan również byłby, panie admirale, gdyby miał pan wyskoczyć z jadącego pociągu.

— Nie mam pojęcia, majorze, nigdy tego nie próbowałem — odparł sucho Starr. — I na tym opierają się pańskie podejrzenia wobec Hillyarda?

— Wiem, że to poszlaki, panie admirale, w głębi duszy jednak czuję, że to on.

— Przekona się pan, że czucia nie mają żadnego znaczenia w brytyjskim systemie prawnym — oświadczył bez ogródek Starr. — Co powiedziawszy, muszę dodać, że jest pan cenionym oficerem wywiadu o znacznych osiągnięciach i mogę pana zapewnić, iż to, co mi pan dziś powiedział, zostanie dokładnie sprawdzone.

— Każdy członek grupy zostanie dokładnie sprawdzony, panie admirale? — zapytał Ravallo.

— A spodziewał się pan, że będzie inaczej?

— Nie, panie admirale, oczywiście, że nie. — Ravallo zgasił papierosa. — Panie admirale, czy mogę o coś zapytać? To nie dotyczy bezpośrednio naszej rozmowy. Chodzi o samą operację.

— Proszę pytać.

— Pańskim zdaniem, na ile się powiodła, zważywszy na to, że nie przebiegła zgodnie z planem?

— Nadal jest zbyt wcześnie, aby oceniać wszystkie skutki tej operacji, ale... czuję, jakby pan powiedział, że osiągnęliśmy nasz cel — odparł Starr po chwili namysłu. — Uważam za nieprawdopodobne, aby tak bystry taktik, jak marszałek Kesselring, brał pod uwagę realizację planów uzgodnionych w hotelu, wiedząc, że zostały ujawnione. Nie. Będzie musiał wrócić do etapu stołów sztabowych i zacząć od nowa, co oznacza zwołanie kolejnej narady w czasie dogodnym dla wszystkich zainteresowanych. To może potrwać całe tygodnie. Może nawet miesiące. A potem musi jeszcze uzyskać aprobatę Hitlera. Do tej pory obrona powietrzna Malty zostanie znacznie wzmocniona, szczególnie po przybyciu tych szesnastu spitfire'ów, które mają pojawić się tu za kilka tygodni. Ministerstwo Wojny uważa, podobnie jak ja, iż te myśliwce znacznie przechyliły szalę na naszą korzyść i zapewnią nam przewagę w powietrzu. A nie mając całkowitego panowania w powietrzu, Niemcy nigdy nie zaryzykują inwazji na Maltę.

— A więc przynajmniej jest z tego jakaś korzyść — rzekł Ravallo.

— To się dopiero okaże — odparł Starr. Zerknął na zegarek. — Czy pański kierowca jeszcze tam jest?

— Tak, panie admirale, kazałem mu zaczekać.

— To dobrze, ponieważ o trzeciej ma pan zdać raport w forcie Campbell. Szofer będzie wiedział, gdzie ma pana zawieźć.

— Tak jest, panie admirale. — Ravallo wstał i zasalutował.

— Och, majorze! — zawołał Starr za wychodzącym. — I niech pan spróbuje się nie spóźnić, dobrze?

Ravallo uśmiechnął się pod nosem i opuścił pokój.

— Cześć, Janet.

Sierżant Janet Cross podniosła wzrok znad maszyny do pisania i uśmiechnęła się na widok stojącego w progu Sama McIndoe. Wstała i zasalutowała mu.

— Dobry wieczór, panie poruczniku.

— Już piąta? Tak, chyba tak. — McIndoe spojrział na ścienny zegar, zdjął czapkę i włożył ją pod pachę.

— Mój Boże, co się stało? — zapytała na widok białego bandaża na jego głowie.

— Próbowałem uderzyć bykiem w podwodny pal. Głupi pomysł — odparł McIndoe z krzywym uśmiechem, a potem wskazał na zamknięte drzwi. — Jest u siebie?

Skinęła głową i podniosła słuchawkę, żeby zawiadomić wiceadmirala o przybyciu McIndoe.

— Ma pan natychmiast wejść, poruczniku. — Odłożyła słuchawkę.

Szkot otworzył drzwi i wszedł do środka. Zakaszłał, gdy spowił go gęsty obłok cuchnącego fajkowego dymu. Kiedy rozgonił go machnięciem ręki, zobaczył Starra siedzącego za biurkiem, obojętnego na kłęby dymu i pykającego fajkę. McIndoe wiedział, że wiceadmiral jest w paskudnym nastroju; tylko wtedy tyle palił.

— Dobry wieczór, panie admirale — powiedział i znów zakaszłał, gdyż dym zaczął drapać go w gardle, ledwie otworzył usta.

— Przeziębiles się trochę na Sycylii, tak, McIndoe? — zapytał Starr nie odrywając oczu od czytanego dokumentu.

— Nie, panie admirale — odparł McIndoe, machając ręką, żeby rozpędzić dym sprzed twarzy.

— To ten dym, panie admirale. Wprost dusi.

— Dym? — Starr ze zdziwieniem spojrział na niego. — A tak. Zostaw otwarte drzwi. Powinno się przewietrzyć. Janet i tak wkrótce wychodzi.

Włączył mały wentylator na stalowej szafce za plecami, a potem wskazał krzesło stojące przed biurkiem.

— Siadaj.

— Dziękuję, panie admirale.

— Według raportu lekarza, masz dość paskudne rozcięcie — rzekł Starr.

— Piętnaście szwów i lekki ból głowy. Mogło być znacznie gorzej, panie admirale.

— Właśnie czytałem sprawozdanie, które złożyłeś dziś po południu — powiedział Starr, postukując w leżący przed nim dokument. — Zauważyłem, że szczególnie krytycznie oceniasz rolę majora Ravalla w tej operacji. Czy nie uważasz, że jesteś dla niego nieco zbyt surowy? W końcu to była jego pierwsza misja w terenie.

— Ja tylko powiedziałem, co zaszło — odparł McIndoe.

— Pamiętam pewnego surowego oficerka, którego wysłałem z misją wysadzenia mostu na przedmieściu Rzymu — rzekł Starr. — Specjalnie przydzieliłem mu dobrego zastępcę, żeby pomógł mu w razie jakichś kłopotów. Gdyby nie doświadczenie sierżanta Evansa, nigdy nie wróciłbyś z tej akcji, prawda?

— Tak jest, panie admirale.

— Pozwól, że powiem ci coś prywatnie, McIndoe. Już wiesz, że ta operacja w znacznym stopniu została wymyślona przez wywiad wojskowy w Waszyngtonie, ale nie wiesz, że oni od początku żądali całkowitego dowodzenia tą operacją i nawet wyznaczyli jednego ze swych doświadczonych oficerów na zastępcę Ravalla. Nie wątpię, że doskonale współpracowałyby z waszym zespołem, nalegałem jednak, że skoro ma być w to zamieszany SOE, chcę, aby zastępcą Ravalla był mój oficer. Moim zdaniem ty byłeś najodpowiedniejszym kandydatem. Nie tylko jako jeden z najlepszych oficerów SOE, lecz, co ważniejsze, jako posiadający niezbędne doświadczenie bojowe, którego brakowało Ravallowi. Wiele się od ciebie nauczył, tak samo jak ty wiele nauczyłeś się od Evansa podczas swojej pierwszej misji. Wszyscy musimy kiedyś zacząć.

— Tak jest, panie admirale — odparł sztywno McIndoe.

— Chcesz coś powiedzieć, McIndoe?

— Chcę znać prawdziwy powód, dla którego mnie pan wezwał, panie admirale — rzekł McIndoe.

Trzymająca fajkę ręka Starra zastygła w pół drogi do ust. Wskazał ustnikiem na otwarte drzwi. McIndoe podszedł do nich i wyjrzał na zewnątrz. Sierżant Janet Cross już poszła. Mimo to zamknął drzwi. Wrócił do biurka i usiadł.

— Czy znasz tożsamość zdrajcy? — zapytał Starr.

— Tak, panie admirale, sądzę, że tak. — McIndoe wyjął z kieszeni paczkę papierosów i zapalił. — Myślę, że to major Ravallo.

— To mnie nie dziwi, zwłaszcza po lekturze twojego raportu. Jestem pewny, że oficer, który odbierał ten raport, uznał to za niechęć wobec majora Ravalla z powodu jego postępowania w niektórych fazach operacji. On jednak nie zna wszystkich faktów. — Starr mocno przygryzł ustnik fajki. — Czy masz jakikolwiek dowód na potwierdzenie zdrady zarzucanej majorowi Ravallowi?

— Nic konkretnego. Nic, co dałoby się wykorzystać w sądzie. Jednak gdyby do skazania go wystarczyły dowody poszlakowe, ten drań już dyndałby na szubienicy.

— Może zachowajmy pewne formy, dobrze? — rzekł stanowczo Starr.

— Z całym szacunkiem, panie admirale, nie widział pan, co się stało z Taffym Evansem — odparł ostro McIndoe.

— Evans wszedł na minę umieszczoną tam przez partyzantów — przypomniał Starr. — Jego śmierć była tragicznym nieporozumieniem.

— Tyle że w ogóle nie powinniśmy znaleźć się w pobliżu tego pola minowego — powiedział McIndoe. — Nigdy by do tego nie doszło, gdyby Niemcy nie spadli nam tak szybko na kark w pociągu.

— I winisz za to majora Ravalla? — zapytał Starr. — Według twego raportu, opuściliście razem kryjówkę, kiedy Massimo załatwił wam bilety na podróż do Katanii. I oprócz Hillyarda wszyscy pozostaliście w przedziale do czasu ucieczki. Jak major Ravallo mógł w tym czasie uprzedzić Niemców? Myślę, że kieruje się pan emocjami, McIndoe. Wiem, że Evans był panu bliższy niż ktokolwiek inny w SOE, a jego śmierć najwidoczniej mocno panem wstrząsnęła, ale, szczerze mówiąc, jeśli to są te dowody poszlakowe przeciw majorowi Ravallowi, to są one co najmniej słabe.

— Z całym szacunkiem, panie admirale, wcale nie twierdziłem, że major Ravallo skontaktował się z Niemcami w czasie między opuszczeniem kryjówki a wejściem do pociągu — bronił się McIndoe. — To pańskie założenie. Wtedy miał tylko jedną okazję ostrzec Niemców: podczas tej sprzeczki z policjantem przed dworcem. Ale gdyby to zrobił, nie sądzę, aby Niemcy pozwolili nam opuścić Palermo. Mogli nas aresztować od razu na stacji. Chciałem jedynie zaznaczyć, że śmierć Evansa, moim zdaniem, była wynikiem szeregu niepomyślnych zdarzeń, zapoczątkowanych przez majora Ravalla, zanim go jeszcze poznaliśmy.

— Uprzejmie proszę, żeby w przyszłości pan nie zaznaczał, lecz mówił dokładnie to, co chce pan powiedzieć — burknął Starr. — A teraz proszę o dowody, świadczące przeciwko majorowi Ravallowi.

— Po pierwsze uważam, że on był tym agentem gestapo, a gestapo ukrywało jego tożsamość przed Wehrmachtem. Przynajmniej do czasu incydentu w hotelu.

— Dlaczego tak pan sądzi?

— Długo rozmawiałem z Johnsonem po zasadzce na niemiecki konwój pod kościołem. Twierdził, że generał Student i ochrona hotelu byli szczerze zdziwieni, kiedy schwytali tam majora Ravalla. Wygląda więc na to, że nie wiedzieli wcześniej o planowanym włamaniu. A skoro Student nie został ostrzeżony, to możemy założyć, iż nie wiedział o tym również marszałek

Kesselring i żaden z jego sztabowców. Ani przez moment nie wierzyłem, aby odegrali tę komedię na użytek Johnsona. Po co? Był już schwytany. Nie. Sądzę, że gestapo miało monopol na te informacje. Gdyby to oni pochwycili nas wszystkich, to byłby ich wspaniały sukces, szczególnie Brauscha.

— To rzeczywiście interesująca teoria — odrzekł Starr. — Powiedział pan wcześniej, że major Ravallo był w to uwikłany jeszcze przed przybyciem na Malte. Co upoważnia pana do takiego stwierdzenia?

— Jak dopiero co sam pan powiedział, panie admirale, prawie cała ta operacja została zaplanowana przez Amerykanów. Wiemy od samego Ravalla, że to on wpadł na pomysł, aby udawać Schenka.

— A więc sądzi pan, że Schenk również był w to zamieszany?

— Wprost przeciwnie, panie admirale, nie sądzę, aby cokolwiek o tym wiedział. Inaczej nie doszłoby do strzelaniny, kiedy schwytali go partyzanci. Dałby się schwycić wiedząc, że później zostanie uwolniony. Może po słabym oporze, aby wyglądało to bardziej autentycznie. Tymczasem, jak opowiedział mi później Venucci, Schenk walczył o życie. Zabiłby ich bez wahania. Tak nie postępuje człowiek, który chce być schwytany, prawda?

— Dlaczego nikt mu nie powiedział?

— Musi pan zapytać o to gestapo, panie admirale, zważywszy jednak na strach i nienawiść, jaką budzą tacy inspektorzy jak Schenk, wcale bym się nie dziwił, gdyby celowo go nie poinformowali. Ale to tylko domysły, nie mające nic wspólnego z meritum sprawy. Chodzi o to, że jeśli major Ravallo pracuje dla gestapo, to być może cała operacja została przez nich zaplanowana, a kontrolowana za jego pośrednictwem. Kto wie, może i pomysł udawania Schenka też wyszedł od nich. Ale i to też tylko domysły. Na pewno wiedzieli, że mamy przybyć, bo zwiększyli liczbę patroli na wybrzeżu, przez co wkrótce po przybyciu na wyspę wpadliśmy w zastawioną przez oddziałek Niemców zasadzkę na farmie.

— Tyle że wtedy major Ravallo was uratował, prawda? Gdyby nie pojawił się w porę, cała operacja zakończyłaby się od razu. Dlaczego miałby to robić, gdyby pracował dla Niemców?

— Ten patrol, który, jak dowiedzieliśmy się wcześniej, odłączył się od swojego oddziału, liczył tylko pięciu żołnierzy. Nie mieli żadnego środka transportu ani radiostacji, przez którą mogliby wezwać posiłki. Zanim major Ravallo miał swoje wejście, kuchnię, w której zostaliśmy zatrzymani, już otaczał z tuzin uzbrojonych partyzantów. Inni kryli się w lesie. Major Ravallo mógł słusznie uznać, iż Niemcy znaleźli się w sytuacji bez wyjścia. Ostatnią rzeczą, jakiej pragnął, była strzelanina między Niemcami a partyzantami w tak ciasnej przestrzeni. My znaleźlibyśmy się pomiędzy obiema strzelającymi stronami. I on też. Działał we własnym interesie, nic więcej. Wiedział, że gestapo będzie miało inne, lepsze okazje, żeby nas schwycić.

Teraz dochodzimy do głównej fazy operacji, w hotelu w Palermo. Z początku, kiedy major Ravallo nalegał, że pójdzie tam sam, uznałem to za dobry pomysł. W razie wpadki zmniejszało to niebezpieczeństwo zagrażające całemu zespołowi. Jednak po dłuższym namyśle doszedłem do wniosku, że przyczyna leżała znacznie dębiej. Myślę, że gestapo zaaprobowало plan, zakładając, iż zdołają uchronić go przed zdemaskowaniem. Pewnie dlatego się zgodzili, żeby udawał Schenka. Doprowadziłby gestapo do kryjówki, w której mieliśmy spotkać się później. Tam skonfiskowaliby aparat i zabrali nas na przesłuchanie. Dopiero wtedy wyjawiliby szczegóły naszej akcji Kesselringowi, twierdząc, że wydobyli je z nas na torturach. Przynajmniej tak ja to widzę.

— To intrygująca teoria, McIndoe, a w dodatku bardzo niepokojąca — rzekł w końcu Starr. — Jednak pozostało jeszcze kilka faktów nie pasujących do całości. Dlaczego Ravallo z zimną krwią zastrzelił Brauscha, jeśli, jak pan twierdzi, byli po tej samej stronie?

— Moim zdaniem, panie admirale, to jeden z najbardziej obciążających go dowodów. Kiedy został złapany w hotelu, wiedział, że mamy rozkaz natychmiast przerwać operację i wracać do kryjówki. Nie mógł wiedzieć, że postanowiliśmy go odbić. Pojął, że Brausch może być bardzo niewygodnym świadkiem. A gdyby, jak początkowo planowano zrobić z Schenkiem, odesłano Brauscha do Anglii, gdzie na przesłuchaniu wskazałby Ravalla jako gestapowskiego szpiega? Tylko w jeden sposób mógł zapewnić sobie bezpieczeństwo. Zabić Brauscha, zanim ten zacznie sypać. Martwi nic nie mówią. Czyż nie?

Dla mnie kolejnym obciążającym dowodem jest to, że Brausch nalegał, żeby porozmawiać w cztery oczy z majorem Ravalem, gdy go schwytano w hotelu. Według słów Johnsona, Brausch wyprosił z pokoju nawet wyższych oficerów ochrony. Pytałem później o to majora Ravalla. Twierdził, że Brausch najpierw próbował nakłonić go do mówienia, a kiedy nie zdołał, zaczął długo i obrazowo opisywać, co czeka jego i Johnsona w siedzibie gestapo. Nie przekonało mnie to wtedy i nie przekonuje teraz. Myślę, że planowali następny ruch, widząc, że ich pierwszy plan zawiódł.

— Jeżeli major Ravallo jest agentem wroga, to dlaczego zestrzelił tego messerschmitta?

— Ponieważ ten messerschmitt strzelał do niego! — odparł McIndoe z uśmiechem rozbawienia, jakby to było całkiem oczywiste. — Jak już pan wie z mojego raportu, bardzo chciał, żebyśmy się poddali Niemcom, lecz po zniszczeniu *Schnellboote* te messery musiały otrzymać rozkaz zatopienia MTB. Dla majora Ravalla było to tak samo jasne jak dla nas. Wracamy do starego, poczciwego instynktu samozachowawczego. Wybór nie był trudny, prawda?

— Rzeczywiście, to wszystko brzmi bardzo przekonująco, tyle że, jak już pan powiedział, nie ma pan nawet cienia dowodu, który ostałby się w sądzie. Podważyłoby to może trochę wiarygodność majora Ravalla jako oficera wywiadu, wątpię jednak, aby Amerykanie zawiesili go w czynnościach. Już rozmawiałem o tej operacji z moim odpowiednikiem w MI, który jest gotów ręczyć głową za lojalność zarówno majora Ravalla, jak i porucznik di Mauro. Myśli pan, że ona też jest w to zamieszana?

— Nie, panie admirale — padła zdecydowana odpowiedź.

— To profesjonalny czy osobisty punkt widzenia?

— Nie wiem, co ma pan na myśli, panie admirale — McIndoe niespokojnie wiercił się na krześle.

— Wiem, że ją pan lubi — rzekł Starr zadziwiająco ojcowskim tonem. — I któż by pana winił? To inteligentna, stanowcza i bardzo ładna młoda dama. Idealne cechy kobiety-szpiega. Kobięcy urok może być naprawdę potężną bronią.

— Protestuję, panie admirale! — McIndoe zerwał się na równe nogi.

— Na Boga, McIndoe, nie mówiłem o tobie. Siadaj.

Starr ponownie pyknął fajkę, a McIndoe powoli usiadł na krześle.

— Wiem, że nic nie zaszło między tobą a tą młodą damą. Może i nie masz nic przeciwko drobnym faulom na boisku, co ze złością stwierdziłem podczas twojego ostatniego występu na Twickenham, ale wiem, że poza boiskiem jesteś prawdziwym dżentelmenem. Chcę tylko powiedzieć, że jeśli major Ravallo jest niemieckim agentem, to zawsze istnieje możliwość, że jego kontroler zwerbował również i ją.

— Nie, panie admirale, nie kupuję tego — odrzekł zdecydowanie Szkot. — Dlaczego miałyby ryzykować swoją karierę, nie wspominając o życiu, zuchwale lekceważąc rozkaz przerwania operacji po wpadce majora Ravalla w hotelu? Gdyby pracowali razem, wiedziałyby, że nic mu nie grozi ze strony gestapo.

— To rzeczywiście przemawia na jej korzyść, przyznaję — zastanawiał się Starr, po czym

postukał w leżącą przed nim kopię raportu. — A dlaczego pan także zaryzykował swoją karierę? Nie wyjaśnił pan tego zadowalająco oficerowi, któremu składał pan raport.

— Myślę, że wyjaśniłem, panie admirale — odparł McIndoe. — Inni też stanęli po jej stronie. Co mogłem zrobić? Nakazać im opuścić kościół, grożąc bronią? Niewykonalne.

— Jasne. Nawiasem mówiąc, zamierzam zapomnieć o pańskiej niesubordynacji ze względu na szczególny charakter tej operacji, nie rozumiem jednak, dlaczego pomógł pan majorowi Ravallowi, jeśli uważał go pan za niemieckiego szpiega?

— Wtedy jeszcze nie byłem przekonany, że to on jest agentem gestapo... — McIndoe urwał i zakrył dłonią usta, jakby nie chcąc powiedzieć czegoś, czego mógłby później żałować.

— Chciał pan powiedzieć coś innego. Powinien pan już wiedzieć, że można ze mną mówić całkiem szczerze. Te rozmowy są zawsze poufne. W przeszłości przeprowadziliśmy ich tyle, że nie powinien pan w to wątpić.

— Chciałem powiedzieć, że zawsze istnieje możliwość, jakkolwiek niewielka, że się mylę co do majora Ravalla i nie jest on nazistowskim szpiegiem. Nigdy nie wybaczyłbym sobie, gdyby tak było, a ja pozwoliłbym mu wpaść w ręce gestapo.

— Przynajmniej jakiś błysk światła w ciemności — rzekł Starr.

— Czy to ma oznaczać, iż uważa pan, że on jest niewinny? — spytał ze zdziwieniem McIndoe.

— Nigdy nie powiedziałem nic takiego — odparł Starr marszcząc brwi. — Twierdzę, że w tym fachu trzeba mieć otwarty umysł. Bardzo łatwo oskarżyć kogoś o zdradę, kiedy okoliczności zdają się potwierdzać jego winę. A co, jeśli się pan myli co do majora Ravalla? Nie mówię, że tak jest, ale jeśli wszczęte śledztwo uwolni go od zarzutów? Miałby pan poważne wyrzuty sumienia, że wątpił pan w jego niewinność.

— Gdyby został oczyszczony z zarzutów, martwiłbym się, że to rodzaj zмовy dla ukrycia błędów alianckiego wywiadu.

— O tym nie ma mowy, McIndoe! — zagrzmiał Starr. — Osobiście pokieruję dochodzeniem i jeżeli stwierdzą winę majora Ravalla lub kogokolwiek innego, na Boga, postaram się, żeby poniósł konsekwencje.

— Przepraszam, panie admirale. Nie wiedziałem, że zamierza pan osobiście poprowadzić śledztwo — rzekł skruszony Szkot. — Wiem, że obiektywnie oceni pan fakty. Martwiłem się tylko, że może jankesi zechcą sami zająć się dochodzeniem, żeby zmieść śmieci pod dywan i oszczędzić sobie wstydu.

— Nie będziemy niczego ukrywać — odparł Starr nieco spokojniejszym głosem. Położył fajkę na biurku. — To na razie wszystko, McIndoe, ale niech się pan tu stawi z podporucznikiem Higginsem dziś wieczór, punktualnie o dwudziestą zero zero. Do tej pory mam nadzieję obmyślić plan, który raz na zawsze wyjaśni, czy major Ravallo pracuje dla Niemców. Zapoznam z nim was obu o ósmej.

McIndoe wstał, zasalutował Starrowi i podszedł do drzwi, ale odwrócił się jeszcze z ręką na kłamce.

— Nie wiedziałem, że interesuje się pan rugby, panie admirale.

— Co? — spytał z roztargnieniem Starr, odrywając wzrok od dokumentu, który zaczął czytać. Zdjął okulary. — Ach tak, kiedy tylko mogę, chodzę na mecze międzynarodowe na Twickenham. Jednak moją największą miłością jest krykiet. Uwielbiam go od dziecka. Nie ma nic bardziej odprężającego niż ciepłe popołudnie na Lords i obserwowanie, jak tacy jak Hutton czy Leyland leją ile wlezie tych paskudnych Australijczyków.

McIndoe uśmiechnął się pod wąsem, wyobrażając sobie pulchnego Starra w panamie i z fajką w łożu na Lords.

— Kiedy oglądał mnie pan na Twickenham, panie admirale?

— W trzydziestym ósmym, kiedy Szkocja zdobyła puchar. Wiesz tak samo dobrze jak ja, że te decydujące punkty, które zdobyłeś w ostatnich sekundach meczu, nie powinny zostać uznane. Miałem doskonale miejsce tuż przy barierce i widziałem, jak włożyłeś ręce w młyn, żeby wyjąć piłkę wypuszczoną przez jednego z waszych napastników który został zbity z nóg. Ale żaden z graczy w młynie nie dotknął nogą piłki, zanim ją wyjąłeś. A to jest foul. Sędzia powinien podyktować rzut wolny dla Anglii. Zwarlibyśmy obronę, odparli atak i wygralibyśmy mecz. Jednak byłeś sprytny. Kiedy wycinałeś ten numer, stanąłeś tak, żeby cię nie widział sędzia liniowy. Musiał być ślepy. Cholerny stary kalosz.

— Inicjatywa, improwizacja i odrobina arogancji zarazem — podsumował McIndoe z uśmiechem.

Uśmiech Starra zniknął równie szybko, jak się pojawił, i wiceadmirał nałożył okulary.

— O ósmej, McIndoe. Nie spóźnij się.

— Po co on chce nas widzieć? — zapytał Higgins, kiedy McIndoe przekazał mu rozkaz Starra.

— Układa jakiś plan zdemaskowania naszego zdrajcy — odparł McIndoe, nalewając sobie whisky z butelki, którą podesłał im Starr. — Chcesz odrobinę?

— Wiesz, że nie przepadam za whisky — odpowiedział Higgins.

— Oczywiście, zapomniałem, że z ciebie okropny dzikus, jeśli idzie o delektowanie się dobrym trunkiem — rzekł dobrodusznie McIndoe.

— Na kwaterkę jasnego mam zawsze ochotę.

— Poddaję się, wysoki sędzie — powiedział McIndoe, pociągając łyczek whisky i odstawiając szklaneczkę na stół. — Przy okazji gdzie są wszyscy?

— Odsypiają — odparł Higgins, tłumiąc ziewnięcie i wstając. — Ja też mam zamiar. Choćby przez godzinę.

— Czy mam cię zbudzić o wpół do ósmej?

— Byłbym wdzięczny, Drugie drzwi po prawej,

McIndoe patrzył, jak Higgins wychodzi z pokoju, a potem sięgnął po drinka i wziął szklaneczkę w obie dłonie. Był wyczerpany, ale godzina snu nic mu nie da. Tylko poczuje się bardziej zmęczony. Odstawił szklanekę na stół — od tego wcale nie robiło mu się lepiej. Potrzebna mu kawa. Czarna i nie słodzona. Jeśli w ogóle była w tym domu. Poszedł do kuchni i zajrzał do szafek. Znalazł tylko herbatę. No cóż, zawsze to coś. Będzie musiała mu wystarczyć. Zapalił gaz, nalał wody do czajnika i postawił go na palniku.

— Jeżeli robisz kawę, z przyjemnością też się napiję — powiedziała Stella od drzwi.

McIndoe obejrzał się. Miała na sobie bawełnianą podomkę ciasno spowijającą jej szczupłe ciało, a niesforne kruczoczarne włosy rozpuszczone na ramiona. Jej wygląd świadczył o tym, że właśnie się zbudziła.

— Przykro mi, nie ma kawy — rzekł. — Może herbaty?

— Ci Brytyjczycy i ich herbaciana mania! — powiedziała, odsuwając krzesło i siadając na kuchennym stole. — Szczerze mówiąc, nie wiem, co wy w tym widzicie.

— Czy to było „tak” czy „nie”?

— Raczej zawoalowany sposób potwierdzenia, skoro nie ma kawy — odparła chichocząc.

— Nie możesz spać? — zapytał, wyjmując z szafki dwie filizanki.

— Złożyłam raport, a potem spałam przez prawie całe popołudnie — odrzekła, wyjmując paczkę papierosów z kieszeni. Zapaliła i położyła pudełko na stole. — Chętnie przespałabym nawet tydzień, lecz kiedy zbudziłam się przed kilkoma minutami, usłyszałam donośne chrapanie dochodzące z sąsiedniego pokoju. Od razu wiedziałam, że już nie zasnę. Nie mogę spać, jak

słyszę chrapanie. Od dziecka. Pamiętam, że ojciec głośno chrapał, a ponieważ pokój rodziców przylegał do mojego, czasem leżałam godzinami, zanim usnęłam po prostu z wyczerpania.

— Mogę? — zapytał, wskazując na papierosy.

— Wiesz, że nie musisz pytać. — Podsunęła mu paczkę.

— Kto jest w tym pokoju obok ciebie? — spytał Szkot, kiedy zapalił papierosa. — Pójdę i zobaczę, czy uda mi się go uspokoić.

— Wydaje mi się, że to Frenchy — skrzywiła się.

— A więc z całym szacunkiem cofam moją propozycję. Jego nic nie obudzi. Kiedyś przespał nalot Luftwaffe. Nawet nie drgnął. Niesamowite.

— Bardzo go lubisz, prawda?

— Przeszliśmy razem niejedno, od kiedy pracuje w firmie. Ma charakterek, ale w kryzysowych sytuacjach można na nim polegać. Trochę tak jak na Taffym. — McIndoe klasnął w dłoń. — Dość wspomnień. Porozmawiajmy o czymś innym, dobrze?

— W porządku. O czym?

— O tobie.

— O mnie? — powtórzyła ze zdziwieniem. — Dlaczego chcesz rozmawiać o mnie?

— Nie tylko o tobie — rzekł McIndoe, siadając naprzeciw niej. — Wiem, że... no, właściwie nie znamy się zbyt długo i chociaż czasem mamy różne zdania... No, myślę, że wiesz, że cię polubiłem... bardzo. A mam wrażenie... i nadzieję, że się nie mylę, że, no... ty chyba też mnie lubisz...

Nie wychodziło mu najlepiej. Prawdę mówiąc, fatalnie. Jak to jest, że potrafił sprawnie zaplanować i przeprowadzić operację wojskową, a kiedy przyszło zadać kobiecie proste pytanie, czy zechce pójść z nim na randkę, natychmiast zmieniał się w niezgułę, zacinającego się przy każdym słowie? Przecież ułożył sobie w głowie, co powinien powiedzieć. Dlaczego więc, do diabła, nie rozpoznawał tego, co z trudem wykrztusił z siebie przed chwilą? I na domiar złego te krople potu na czole. Istny koszmar. Próbuje ratować, co się da, powiedział sobie w duchu.

— Po prostu chcę powiedzieć, że... no...

— W ten zawołowany sposób chcesz umówić się ze mną na randkę, tak? — zapytała z łagodnym uśmiechem. — Pochlebiasz mi, Sam. Naprawdę.

— Ale? — zapytał z wahaniem, już przewidując najgorsze. Sam jesteś sobie winien, skoro tak skopałeś sprawę, wściekał się w duchu.

— Bardzo cię lubię, Sam, ale nie w ten sposób. Dałabym ci fałszywy sygnał, gdybym się z tobą umówiła. Uważam cię za przyjaciela. Dobrego przyjaciela. I mam nadzieję, że pozostaniemy przyjaciółmi przez długie lata.

— Nicky mi mówił, że uważasz mnie za przyjaciela. Ostrzegał mnie, żebym nie mylił przyjaźni z czymś głębszym. Jednak, oczywiście, ja wiedziałem lepiej, no nie? Musiałem wleźć do sklepu z porcelaną. — Odepchnął krzesło, podszedł do kuchenki i próbując ukryć przygnębienie obracał czajnik nad ogniem. — Czemu go nie słuchałem? Boże, czuję się jak głupiec.

— Nie powinieneś — powiedziała, a potem przesunęła krzesło tak, żeby go widzieć. — Uwierz mi, większość kobiet chętnie skorzystałaby z okazji i umówiłaby się z kimś takim jak ty. Na pewno uważają cię za bardzo atrakcyjnego, wiesz?

— Nie jestem tego pewien. Najwyraźniej przyciągam taki rodzaj kobiet, które chętnie obciążają mnie swymi osobistymi problemami, a kiedy już im je rozwiążę, ruszają na poszukiwanie przystojniaka, którego widok zwala je z nóg. To nie w porządku.

— Biedaku — powiedziała z łagodnym sarkazmem.

— Założę się, że Nicky nigdy nie miał takich problemów — rzekł z humorem. — Nie z jego

wyglądem.

— Pewnie, Nicky podoba się kobietom. Jednak uroda przemija. A ty zawsze będziesz miał ten specjalny dar rozwiązywania kobiecych problemów. To naprawdę cenny talent. Nie zamuj go.

— Jeśli to miało mi poprawić samopoczucie, to nie podziałało.

Stella roześmiała się, widząc jego zmarszczoną groźnie brew.

— Teraz wiesz, dlaczego chcę, żebyś był moim przyjacielem. Będę mogła przychodzić do ciebie ze wszystkimi moimi problemami.

— Tak, żeby jakiś przystojniak mógł pojawić się i zwalić cię z nóg? — zapytał McIndoe. — Czy też to już się stało? Uśmiech zniknął z jej warg. Spojrzała na czajnik, który zaczął gwizdać.

— Chyba woda się gotuje.

— Pojąłem — powiedział spokojnie i zdjął czajnik z palnika. Zaparzył herbatę i postawił dzbanek na stole.

— Należę — zaproponowała.

— Poradzę sobie — rzekł krótko.

Patrząc, jak napełnia dwie filiżanki, wyczuwała w nim napięcie. Umieścił dzbanek na podstawce na środku stołu i podał jej filiżankę. Dolała sobie łyżeczkę śmietanki.

— Sam, jeśli chodzi o to, o co przed chwilą pytałeś... No wiesz, czy jest ktoś w moim życiu...

— Nie miałem prawa pytać — uciał.

— Nie, miałeś prawo. Powinam ci to wyjaśnić na początku. To ja się myliłam. W jednej chwili nazywam cię przyjacielem, a w następnej traktuję cię jak kogoś obcego. Tak nie można.

— Tak więc chcesz powiedzieć, że jest ktoś w twoim życiu? — zapytał bez cienia urazy w głosie.

— Tak, jest — odparła cicho.

— Mam nadzieję, że ten skurczybyk zdaje sobie sprawę z tego, jaki z niego farciarz. Wybacz mi mój język — rzekł ze smutnym uśmiechem. Odsunął filiżankę. — Nie wiem, dlaczego ja to piję. Jest upiorna. Smakuje jak odfiltrowane pomyje.

— Nie chciałam nic mówić, bo myślałam, że może taka powinna być — stwierdziła Stella, krzywiąc się okropnie.

— Boże, nie. Pewnie kupiona na czarnym rynku. Przy takim ścisłym racjonowaniu żywności, jakie obowiązuje na Malcie, miejscowym rekinom czarnorynkowym wszystko uchodzi na sucho.

Zdjął pokrywkę dzbanka i powąchał mokrą papkę na sitku.

— Może i są w tym ukryte jakieś listki herbaciane, lecz trzeba by wielkiego Sherlocka Holmesa, żeby je odnalazł.

— Tak więc zachodzi pytanie, z czym zostały zmieszane?

— Zapewne z jakimś tanim bezwonnym zielskiem. Wziął dzbanek i wylał wywar do zlewu.

— Zawrzyjmy umowę. Kiedy przyjedziesz odwiedzić mnie w Szkocji, co, mam nadzieję, kiedyś nastąpi, poczęstuję cię herbatą Earl Grey. Gwarantuję, że ją polubisz.

— Umowa stoi.

McIndoe spojrzał na zegarek.

— Lepiej pójdę się ogolić i włożyć czystą koszulę. O ósmej mam spotkać się ze Starrem.

— O co chodzi? — zapytała.

— A jak myślisz? — odparł, gasząc papierosa w zlewie i wrzucając do śmieci.

— O zdrajcę?

Skinął głową.

— Starr kieruje śledztwem, które ma go wykryć, a na własne oczy się przekonałaś, że przypomina angielskiego buldoga. Jeśli chwyci coś w żęby, już tego nie puści. Mam przeczucie, że niedługo poznamy prawdę.

— A więc myślisz, że on już wie, kto to jest? — zapytała, sięgając po następnego papierosa.

— Och, myślę, że tak — odrzekł ze znaczącym uśmiechem, podchodząc do drzwi. — Nawet jestem pewny.

McIndoe zapukał. Żadnej odpowiedzi. Nacisnął kłamkę. Drzwi nie były zamknięte. Pchnął je i wszedł do środka. W pokoju było ciemno, tylko wąska smuga światła wydobywała się spod drzwi wiodących do gabinetu Starra. McIndoe zachęcił gestem Higginsa, żeby wszedł, i cicho poszedł w kierunku źródła światła.

Higgins złapał go za ramię.

— Dlaczego idziesz na palcach?

— A dlaczego ty szepczesz? — odparł McIndoe. Uśmiechnęli się do siebie, a potem Szkot zapukał do drzwi.

— Wejść! — usłyszeli znajomy basowy pomruk. Weszli do gabinetu i zastali Starra na zwykłym miejscu za zasypanym papierami biurkiem, w gęstej chmurze dymu. — Siadajcie — polecił wiceadmirał i nie patrząc na nich, nadal grzebał w stercie papierów. Przez następną minutę zbierał luźne kartki jakiegoś dokumentu, które wreszcie wrzucił do otwartej teczki. Zamknął ją i umieścił w górnej szufladzie biurka. — O wiele lepiej — oznajmił, po czym spojrzał na nich po raz pierwszy, od kiedy weszli do pokoju. — Właśnie rozmawiałem z dyżurnym oficerem w doku. MTB jest naprawiona i gotowa do wyjścia w morze.

— Czyżbyśmy wracali na morze, panie admirale? — zapytał podejrzliwie Higgins.

— Ściśle mówiąc, wracacie na Sycylię.

— Chyba pan żartuje! — wykrzyknął z niedowierzaniem McIndoe.

— Słucham? — wycedził groźnie Starr.

— Panie admirale, z całym szacunkiem, ale tylko co z trudem zdołaliśmy ująć stamtąd z życiem — rzekł McIndoe nieco spokojniejszym tonem. — Tym razem mamy wszelkie szanse pozostać tam na zawsze.

— Tyle że tym ostatnim razem wasza wizyta została zapowiedziana. Teraz Niemcy nie będą uprzedzeni o waszym przybyciu. To wam da przewagę. — Starr zdjął okulary i przetarł oczy. — Rozumiem, że podejmujecie wykalkulowane ryzyko, wracając tam tak szybko, lecz to jedyny sposób, aby ostatecznie wyjaśnić, czy major Ravallo jest niemieckim szpiegiem.

— Uważacie, że Nicky jest zdrajcą? — zapytał Higgins.

— Porucznik McIndoe zdaje się tak myśleć i rzeczywiście przytacza mocne argumenty na poparcie swoich oskarżeń.

— To ma sens, sądząc po tym, jak zachował się na mostku — Higgins zerknął na McIndoe.

— Poprosiłem was tutaj obu, ponieważ, mówiąc szczerze, tylko wam na pewno mogę ufać. Obaj byliście na mostku, kiedy zaatakowano Passiere'a w kabinie łączności, a chociaż jestem skłonny uznać, że pańskie zarzuty wobec majora Ravalla, McIndoe, są słuszne, to nadal nie mogę ryzykować i zaufać innym, na wypadek gdyby jednak mylił się pan. W końcu żadne z nich nie ma alibi, które eliminowałoby ich z kręgu podejrzanych.

— Passiere chyba też jest poza podejrzeniem? — wtrącił Higgins

— Ranę, którą otrzymał w kabinie radiooperatora, mógł zadać sobie sam, żeby odsunąć od siebie podejrzenia — odparł Starr. Widząc ich sceptyczne miny, dodał: — Zgadzam się, że to mało prawdopodobne, ale nie można wykluczyć takiej możliwości.

— A więc, na czym polega pański plan, panie admirale? — zapytał McIndoe.

— Jest naprawdę bardzo prosty. Powiecie pozostałym, że Giancarlo Massimo skontaktował się ze mną dziś wieczorem i zawiadomił, że wie, kim jest zdrajca. Oczywiście, że względu na wszystkie te stacje nasłuchowe Abwehry na Sycylii byłoby zbyt ryzykowne podawać nazwisko

drogą radiową, tak więc przekaże nam je w zalakowanej kopercie, którą macie odebrać i przywieźć mi.

— Czy to prawda, panie admirale? — zapytał Higgins.

— Jest taka koperta i jest w niej nazwisko. — Starr posłał fajkę, a potem pozwolił sobie na ironiczny uśmiech. — Dokładnie mówiąc, pańskie nazwisko.

— Co takiego? — wykrztusił przerażony Higgins.

— To blef, na Boga — szybko zapewnił go Starr. — Jak już powiedziałem, wiem, że żaden z was nie jest zamieszany w tę zdradę. Dlatego użyłem pańskiego nazwiska. Jesteście poza wszelkimi podejrzeniami.

— Nie rozumiem, co ma pan zamiar przez to osiągnąć, panie admirale — powiedział McIndoe.

— Tylko jedno: kartka papieru w tej kopercie została nasączona specjalnym roztworem, niewidocznym gołym okiem, lecz ukazującym ślady linii papilarnych w ultrafiolecie. Major Ravallo i porucznik di Mauro zostaną wysłani na brzeg, aby odebrać tę kopertę od Massima. On da im wyraźny rozkaz, że jej zawartość jest przeznaczona wyłącznie dla moich oczu. Major Ravallo usłyszy, że ma ją trzymać przy sobie przez całą drogę powrotną i nie otwierać w żadnej sytuacji. Jednak jeśli to major Ravallo jest zdrajcą, nie zdoła oprzeć się pokusie i sprawdzi, czy to jego nazwisko znajduje się w kopercie. Tylko z tego powodu może złamać rozkaz, prawda? Dlatego jeśli znajdzie później odciski jego palców na kartce, będę wiedział, że to on jest zdrajcą.

— Musiałby zamienić kopertę, panie admirale — przypomniał Higgins.

— W jednej z kabin MTB są koperty i papier. Widziałem je, kiedy osobiście przeprowadzałem inspekcję łodzi po waszym powrocie z Sycylii. Wtedy wpadłem na ten pomysł. Musimy ułatwić majorowi Ravalloowi zatarcie śladów, ale tak, aby ani przez chwilę nie podejrzewał, że sam wkłada sobie pętlę na szyję.

— Dlaczego Stella musi iść z nim? — McIndoe wyraził głośno myśl, która męczyła go od chwili, gdy Starr wymienił jej nazwisko.

— Mam powody przypuszczać, że może być w to zamieszana — powiedział Starr.

— To absurd — odparł ostro McIndoe. — Już to omawialiśmy, panie admirale.

— To było, zanim otrzymałem wiadomość od mojego odpowiednika w MI. To zastrzeżona informacja, ale powiedzmy, że nie jest już tak przekonany o ich niewinności jak poprzednio.

— Panie admirale, jeżeli jest coś, o czym powinniśmy wiedzieć...

— Nic, co by was dotyczyło, McIndoe — przerwał mu wiceadmirał, ostrzegawczo podnosząc palec. — Wiesz, że nie należy pytać o zastrzeżone informacje. Skończmy już z tym.

— Nie wierzę w ani jedno słowo — warknął McIndoe. — Nie Stella.

Higgins szybko położył mu dłoń na ramieniu, aż za dobrze wiedząc, co czuje do Stelli.

— Panie admirale, powiedział pan, że tym razem Niemcy nie będą uprzedzeni o naszym przybyciu — rzekł, odwracając uwagę Starra od Szkota. — Skąd może pan mieć pewność, jeśli kabina łączności nie będzie zamknięta?

— Będzie, przynajmniej dopóki nie dopłyniecie do Sycylii. Powiedziano mi, że na mostku jest klucz do kabiny radiooperatora. Zamkniecie drzwi przed opuszczeniem portu, a klucz przez cały czas pozostanie na mostku.

— Gdzie ma nastąpić rendez-vous z partyzantami, panie admirale? — zapytał Higgins.

— W tym samym miejscu co poprzednio. Tylko tym razem zakotwiczycie przy brzegu. Kiedy tych dwoje zejdzie na ląd, będziecie musieli utrzymywać stały kontakt radiowy z partyzantami. To nie byłoby możliwe przy tak silnych zakłóceniach, jakie występują w grotach. Uzgodniłem, że dwie nasze łodzie podwodne zajmą pozycje niedaleko miejsca waszego postoju. To powinno was uspokoić.

— Kiedy powiadomimy pozostałych, panie admirale? — spytał Higgins.

— Gdy wyjdziecie w morze. Nie wcześniej. Odpływacie o północy. — Starr zamknął leżące przed nim akta. — Dziękuję, panowie. To wszystko. Porozmawiam z panami ponownie po waszym powrocie.

— Chodź. Mac, idziemy. — Higgins podniósł się z krzesła.

McIndoe nie wstał i nie odrywał oczu od Starra.

— Coś pan przed nami ukrywa, prawda, panie admirale? Rzykujemy życie. Myślę, że byłoby uczciwie, gdyby powiedział nam pan wszystko.

— Otrzymał pan swoje rozkazy, poruczniku McIndoe.

— Jeśli coś się stanie Stelli...

— Nie będę wysłuchiwał kazań od młodszego oficera! — zagrmiał Starr, zrywając się z fotela, czerwony z wściekłości. — Jak śmiecie kwestionować moje polecenia? Róbcie, co wam każą. Nie będę tolerował takiej niesubordynacji.

McIndoe podskoczył, ale Higgins złapał go za ramię i odciągnął od biurka Starra.

— Zwariowałeś? — syknął. — Wychodź. Już.

McIndoe usiłował wyrwać rękę, lecz Higgins trzymał ją mocno. Otworzył drzwi, wypchnął McIndoe do sekretariatu, wyszedł za nim i zamknął za sobą drzwi. McIndoe obejrzał się na gabinet Starra, a potem zaklął wściekle i wypadł na korytarz. Higgins poszedł za nim.

— Jezu, Mac, co w ciebie wstąpiło, do jasnej cholery?

— Nie kupuję tego, co powiedział o Stelli. Kiedy rozmawiałem z nim po południu, twierdził, że MI jest stuprocentowo pewne niewinności ich obojga. Teraz nagle oboje są podejrzani. To nie ma sensu, Charlie. To po prostu nie ma żadnego sensu.

— Pozwalasz, aby uczucie do Stelli wpływało na twoją profesjonalną ocenę sytuacji.

— Nie! — warknął McIndoe. — Nie, wcale nie — rzekł już spokojniejszym tonem. — Rozmawiałem z nią dzisiaj. Teraz już wiem, na czym stoję. Zawsze będziemy tylko przyjaciółmi. Akceptuję to.

— A zatem co chcesz powiedzieć. Mac? Że Starr nie otrzymał żadnych wiadomości z Waszyngtonu? Że wszystko to wymyślił?

— Nie wiem — odparł z rozpaczą Szkot. — To mi po prostu nie gra, i tyle.

— Co by zyskał narażając życie Stelli?

— Nie wiem. Po prostu nie podoba mi się to wszystko. — McIndoe wskazał na schody na końcu korytarza. — Chodź, musimy jeszcze obudzić, otrzeźwić i przygotować do następnego ekscytującego nocnego rejsu resztę towarzystwa.

— Tobie zostawię Frenchy'ego — rzekł Higgins.

— Jezu, to zdecydowanie nie jest najlepsza noc w moim życiu — jęknął McIndoe, gdy wyszli na dziedziniec, gdzie czekał na nich dżip.

— Dobrze pan spał?

— Tak jest, panie generale, ale już od kilku godzin jestem na nogach. Sporządzałem raport dla marszałka Kesselringa — Riedler podszedł do stołu, przy którym Kurt Student kończył obiad.

— Niech pan siada, Hans — rzekł Student, wskazując krzesło naprzeciw siebie. — Kawa?

— Proszę.

— Dwie kawy — poinstruował Student kelnera sprzątającego ze stołu.

— Czy marszałek Kesselring nadal jest w hotelu, panie generale?

— Nie, opuścił go rano. Około dziesiątej. I wbrew temu, co pan przewidywał, sposób, w jaki pan przeprowadził tę operację, zrobił na nim duże wrażenie. Sam mi to powiedział. Mówił nawet o zarekomendowaniu pana do Sił Specjalnych. Jestem pewien, że to zrobi, a przy jego

rekomendacji pana kandydata zostanie zaakceptowana bez zastrzeżeń.

— Myślałem, że po tym, co zaszło, będzie mnie chciał powiesić — rzekł Riedler z wyraźną ulgą w głosie.

— Musi pan bardziej wierzyć w siebie, Hans.

— Wiarę w siebie rodzi sukces, panie generale.

— A także wyciąganie wniosków z własnych błędów — dodał generał.

Riedler zaczął, aż kelner naleje im kawy i odejdzie.

— Panie generale, czy marszałek Kesselring przed opuszczeniem hotelu zdołał dowiedzieć się czegoś o tym agencie gestapo? Mówił pan, że kiedy mu powiedziano, jak postępują, był siny z wściekłości i zamierzał osobiście zadzwonić do *Reichsführera* Himmlera i żądać wyjaśnień.

Student zerknął na kelnera, upewniając się, że nie może go usłyszeć. Mimo to pochylił się do rozmówcy i ściszył głos.

— *Reichsführer* Himmler był naprawdę wściekły, kiedy dowiedział się, że ani Brausch, ani żaden z jego oficerów nie raczył poinformować marszałka Kesselringa lub mnie o istnieniu ich agenta. A dobrze znając *Reichsführera*, zapewniam pana, że jeszcze przed końcem tygodnia polecą głowy na Piazza Bologni. Odmówił wyjawienia nazwiska ich agenta — co jest całkiem zrozumiałe — ale powiedział, że miejscowe gestapo ma rozkaz przekazywać nam wszelkie informacje, jakie od niego otrzyma. Lecz okazało się, że nie było od niego żadnych wiadomości, od kiedy nieprzyjacielski okręt odpłynął z Malty, a współrzędne miejsca jego kotwiczenia otrzymali dopiero, kiedy łódź odpływała z Sycylii. Nie wiem, czy agent wyjaśnił gestapo powód tak długiego milczenia. *Reichsführer* Himmler nic nie mówił na ten temat marszałkowi Kesselringowi.

— Myśli pan, że *Reichsführer* mówił prawdę? — zapytał Riedler.

— *Reichsführer* Himmler sam stanowi dla siebie prawa, ale nie wiem, co mógłby zyskać, okłamując marszałka Kesselringa. Może są pewne ideologiczne różnice zdań między nami a gestapo, lecz w końcu walczymy ze wspólnym wrogiem. Nie, jestem skłonny mu wierzyć. Wiem, że marszałek Kesselring uwierzył.

— Jednak nadal zamykamy drzwi stajni po tym, jak uciekł z niej koń — rzekł przygnębiony Riedler.

— Niekoniecznie — odparł Student. — A gdybym powiedział panu, że będziecie mieli okazję dokończyć tę robotę?

— Nie rozumiem, panie generale — powiedział zdumiony major.

— Nie wezwałem tu pana, aby dyskutować o rozmowie marszałka Kesselringa z *Reichsführerem*. Godzinę temu dostałem wiadomość, że ta sama grupa pod dowództwem Amerykanina, Ravalla, przyplynie dziś późnym wieczorem na Sycylię. Nie wiem, po co. Jednak to bez znaczenia, gdyż wiemy już, gdzie zakotwiczy ta łódź. Wiem też, kiedy wypłynie z Malty. Tak więc możemy obliczyć przybliżony czas jej przybycia na Sycylię. Nie kontaktowałem się z Luftwaffe ani z Kriegsmarine. Pomyślałem, że osobiście zechce pan pokierować komitetem powitalnym.

— Dziękuję, panie generale — rzekł z uśmiechem Riedler. — Nie zawiodę pana.

— Jeśli tym razem pan zawiedzie, Hans, to nie mnie, lecz siebie. Cokolwiek wydarzy się dzisiaj, z pewnością wywrze wpływ na pana starania o przyjęcie do Sił Specjalnych. — Student upił łyk kawy, a potem odstawił filiżankę, nie odrywając oczu od twarzy Riedlera. — Ja wiem, że pan nie zawiedzie. Mam pełne zaufanie do pana zdolności.

— Jaki jest cel operacji? — zapytał Riedler.

— Taki sam jak poprzednio. Jeśli to możliwe, wziąć żywcem na przesłuchanie. Jeżeli nie, zabić.

— Oni nigdy nie pozwolą wziąć się żywcem, panie generale. Stawią opór i będą walczyć do końca.

— Podziwia ich pan za to, prawda?

— A pan nie, panie generale? — odparował major.

— Tak, istotnie. Chociaż wolałbym, żeby ich schwytano. Ich wiedza na temat brytyjskich i amerykańskich tajnych operacji w rejonie Morza Śródziemnego byłaby dla nas bezcenna.

— Nie liczyłbym na żadnych jeńców — rzekł filozoficznie Riedler. — Czy tym razem będą mieli jakąś osłonę?

— Według naszego źródła, przyplyną bez żadnej eskorty.

— Zakładałbym, że jakaś będzie, tak samo jak poprzednio.

— Jeśli to pana uszczęśliwi, mogę bez trudu posłać w ten akwen jakiegoś U-boota — zaproponował Student. — Jednak pan wie, jak skłonni do strzelania są w takich sytuacjach kapitanowie U-bootów. Okręt na kotwicy. Idealna tarcza strzelnicza. Mogą po prostu ich storpedować i zgarnąć wszystkie laury. Tego nie chcielibyśmy, prawda?

— Zawsze mogę w razie potrzeby wezwać przez radio posiłki, panie generale.

— Oczywiście. — Student wręczył majorowi kartkę papieru. — Oto współrzędne i przewidywany czas przybycia łodzi. Reszta zależy od pana, Hans.

— Widać rozmowa marszałka Kesselringa z *Reichsführerem* dała jednak pożądane rezultaty. Gestapo nie straciło czasu i niezwłocznie przekazało nam tę informację.

— Och, nie otrzymaliśmy tego od gestapo — odrzekł Student.

— Nie? — zdumiał się Riedler. — A więc skąd ją pan ma?

— Została odebrana przez jedną ze stacji nasłuchowych Abwehry na Sycylii. Nadano ją z Valletty. Abwehra nie zdołała dokładnie namierzyć radiostacji, ale są prawie pewni, że znajduje się gdzieś w forcie St. Elmo. Tam mieści się baza brytyjskiego wywiadu. Tak więc, jeśli się pan nie myli i ci tajni agenci będą walczyć do końca, to ktoś w bazie właśnie skazał ich na śmierć.

Student wskazał na pustą filiżankę Riedlera.

— Jeszcze kawy?

Już nigdy nie będzie tak jak przedtem. McIndoe uświadomił to sobie podczas odprawy, którą zwołał, ledwie MTB opuściła Grand Harbour. Na wszystkich twarzach widział podejrzliwość i niepewność. Teraz zrozumiał, że te uczucia tkwiły w nich, od kiedy jego ludzie dowiedzieli się, że oficerowie ukrywali przed nimi prawdę. Wtedy — i wieczna chwała im za to — zdołali przezwyciężyć wzburzenie i nadal działać jako zespół. McIndoe jednak wiedział, że nawet jeśli zdrajca zostanie postawiony przed sądem, zbyt wiele rozgoryczenia i złości nagromadziło się w tej gromadce ludzi, żeby mogli dalej tworzyć skutecznie działający oddział. Hillyard, Johnson i Passiere prawie nie rozmawiali ze sobą, ale było jasne, że ich gniew jest skierowany głównie przeciw niemu — za to, że tak długo ukrywał przed nimi prawdę. Czuł się w pełni usprawiedliwiony, bo nadal uważał, iż działał w najlepszym interesie swoich ludzi, chroniąc ich przed prawdą.

Spojrzał z mostka na Hillyarda, który stał przy vickersie na sterburcie. Zgodnie z przewidywaniami, Hillyard zareagował najgwałtowniej. Jego zdaniem McIndoe nadużył swego stanowiska i oszukał ich. Rzucił mu to w twarz. Mimo dzielącej ich różnicy zdań i zdecydowanie niechętnego stosunku do wszelkich autorytetów, McIndoe wciąż uważał Hillyarda za dobrego agenta. Jeżeli ktoś zechce narobić mu kłopotów po powrocie do Anglii, to właśnie Hillyard.

Spojrzał na rufę i postać stojącą przy oerlikonie. Johnson. Zgodnie ze swym zwyczajem, niewiele powiedział, nie zdradzając się ze swoimi myślami, ale nietrudno było dostrzec w jego oczach urazę. I obojętność. Dla McIndoe to było najgorsze.

Nie widział stojącego na lewej burcie Passiere'a. Nawet ten bardzo się zmienił w ciągu minionych dwudziestu czterech godzin. Zniknął wesoły, gadatliwy Francuz, którego znał od ponad dwóch lat. Teraz Passiere był cichy i zamknięty w sobie, jakkolwiek powstrzymywał się od otwartego krytykowania oficera, którego uważał za przyjaciela. Sytuacji wcale nie poprawiło to, że wkrótce po opuszczeniu Grand Harbour został poinformowany, iż kabina łączności będzie zamknięta, dopóki nie dopłyną do Sycylii. Nie tylko nie pozwalano mu wykonywać jego pracy, ale jeszcze zabraniano wstępu do pomieszczenia, które uważał za swoje królestwo. Nieufność rodziła gorzkie owoce.

McIndoe wiedział, że znaczna część skierowanej przeciw niemu złości była w gruncie rzeczy sposobem na rozładowanie frustracji i niepokoju wywołanego tym, że nie wiedzieli, kto ich zdradził. Widać było wyraźną niechęć do wszelkich rozmów i McIndoe w pewien perwersyjny sposób był niemal zadowolony, że kierują swój gniew przeciw niemu.

Drzwi otworzyły się i do sterówki wszedł Ravallo.

— Musimy porozmawiać, Mac. — Popatrzył na Higginsa. — Sami.

Higgins obrzucił Ravalla wzgardliwym spojrzeniem.

— Wybaczcie mi, ale nie opuszczę mostka. Chyba że chcecie przejąć ster.

— Będę w kabinie, w której przeprowadziłeś ostatnią odprawę — rzekł Ravallo i zniknął z powrotem w mroku.

— Co to było, do diabła? — naskoczył McIndoe na Higginsa. — Uzgodniliśmy, że nie będziemy okazywać, co czujemy do Nicky'ego. Tymczasem jak tylko go widzisz, nie możesz powstrzymać się od uszczypliwych uwag. Przypominam, że to on nadal jest na tej łodzi najwyższy stopniem!

— Jest też cholernym nazistowskim szpiegiem — padła pogardliwa odpowiedź.

— Chcesz, żeby cię ktoś usłyszał? — syknął McIndoe, szybko zamykając drzwi.

— Gdyby to zależało ode mnie, już by wiedzieli.

— Jednak nie zależy, prawda?

— Dlaczego go bronisz, skoro wiesz, że jest winny?

— Ponieważ na razie dysponujemy tylko dowodami poszlakowymi. A gdybyś zapomniał o tej podstawowej zasadzie brytyjskiej sprawiedliwości, on jest niewinny, póki nie dowiedziono mu winy.

— Zacząłeś śpiewać na inną nutę — stwierdził Higgins.

— Nie, zobaczysz, że wcale nie.

Zszedł do kabiny pod pokładem. Drzwi były otwarte. Stella siedziała nieruchomo przy stole w głębi, wbijając wzrok w dymiącego papierosa, którego położyła na brzegu popielniczki. Ravallo stał naprzeciw niej, z rękami założonymi na piersi, najwyraźniej pogrążony w myślach. McIndoe niezdecydowanie stanął w drzwiach.

— On uważa, że to ja jestem zdrajcą, prawda? — spytał spokojnie Ravallo.

— Słucham? — zdziwił się Szkot.

Ravallo odwrócił się i spojrzał na niego.

— Higgins myśli, że ja jestem zdrajcą.

— Charlie? — zapytał McIndoe przerażony, że Amerykanin, wyszedłszy ze sterówki, mógł usłyszeć gwałtowną wypowiedź Higginsa. — Dlaczego tak twierdzisz?

— Przecież to prawda, no nie?

— Nie, oczywiście, że nie — odparł McIndoe wchodząc do środka.

— A zatem kto jest tym „cholernym nazistowskim szpiegiem”? — zapytał Ravallo. — Tyle usłyszałem, zanim zamknąłeś drzwi. Mówił o mnie, prawda?

— Musisz zrozumieć, że Charlie jest zaniepokojony...

— Dobra, nie musisz go bronić — rzekł szybko Ravallo. — Ty też myślisz, że to ja, prawda? Najpierw sądziłem, że tylko ty mnie podejrzewasz. Dlatego chciałem tu z tobą porozmawiać. Z daleka od innych.

McIndoe uznał, że nie ma sensu dalej udawać.

— Skąd wiedziałeś, że cię podejrzewam? — zapytał.

— Ja mu powiedziałam — rzekła Stella, sięgając po papierosa.

— Po dzisiejszej odprawie Stella i ja odbyliśmy długą rozmowę. W ten sposób my, a właściwie Stella, doszliśmy do wniosku, że ty i Starr podejrzewacie mnie, a może nawet nas oboje, o współpracę z Niemcami.

— Nigdy nie uważałem, że Stella może być w to zamieszana — powiedział McIndoe siadając.

— To już coś — mruknął Ravallo. Sięgnął po leżące na stole papierosy, zapalił, a potem cisnął paczkę z powrotem na blat. Zaciągnął się głęboko i powoli wypuścił dym. — Rozumiem, że pewne... powiedzmy, wydarzenia ostatnich dni rzuciły na mnie cień podejrzewania. Jednak mówię ci, McIndoe, to nie ja. Nie jestem zdrajcą, cokolwiek sobie myślisz. Ty czy ktokolwiek inny.

— I to wszystko? — rzekł McIndoe.

— Nie mogę cofnąć tego, co się stało. Pierwszy przyznaję, że podjąłem kilka błędnych decyzji w trakcie tej operacji, na przykład dając rozkaz poddać się, kiedy *Schnellboote* groziła nam zatopieniem.

Ravallo wskazał na Stellę.

— Nawet Stella nie chciała mnie wtedy poprzeć. To mówi samo za siebie. Jednak to był zwyczajny skutek braku doświadczenia. Szczerze wierzyłem, że działałem w najlepszym interesie załogi, tymczasem teraz widzę, że myliłem się. Ale między brakiem doświadczenia a zdradą jest piekielna różnica.

— Jak doszłaś do wniosku, że podejrzewam Nicky'ego? — zapytał McIndoe Stellę.

— W przeciwnym razie po co wysyłano by nas na łód po tę kopertę od Massima? — odparł za nią Ravallo. — To próba, prawda? Żeby sprawdzić, czy spróbuję uciec, bo może w niej być moje nazwisko? Co przewidywał plan? Ruch oporu miał mnie zabić, tak? — Znów zaciągnął się papierosem. — Przykro mi cię rozczarować, Mac. Ja wiem, że jestem niewinny. Tak więc w kopercie nie będzie mojego nazwiska. Aby udowodnić, jaki jestem tego pewny, postanowiliśmy, że zostanę na pokładzie, a Stella sama zejdzie na łód po kopertę. Jeżeli chcesz, mogę nawet oddać ci broń. Wiem, Starr wydał wyraźny rozkaz, że koperta ma pozostać zapieczętowana, lecz w tych okolicznościach jestem gotowy zaryzykować i narazić się na postępowanie dyscyplinarne, łamiąc ten rozkaz po powrocie Stelli na łódź. Nie mam niczego do ukrycia, tak więc im szybciej dojdziemy do sedna tej sprawy, tym szybciej prawdziwy zdrajca stanie przed obliczem sądu. A czyż nie o to chodzi?

W pierwszej chwili McIndoe ogamęło zdziwienie zmieszane z podejrzliwością. Jeżeli Ravallo był zdrajcą, to dlaczego chciał ryzykować i otwierać kopertę? Czyżby blefował? To bez sensu... chyba że mylił się co do Ravalla. Co było nieprawdopodobne, zważywszy na wszystkie obciążające go poszlaki. Już rozważał — i odrzucił — ewentualność, że Stella mogła być jego współniczką. Żadne z nich nie mogło wiedzieć, iż w kopercie nie znajduje się nazwisko Ravalla, niczego więc nie zyskałby, wysyłając Stellę samą na brzeg. Chyba że... nie, McIndoe próbował otrząsnąć się z tej myśli, lecz uparcie powracała. A jeśli to Stella pracowała dla Niemców? Trzeba stawić czoło i takiej możliwości.

Nie chciał w to uwierzyć. A jednak... kiedy odbierali ją na sycylijskim brzegu, Niemcy byli tuż za nią. Czyżby uprzedziła ich o spotkaniu? Dlaczego tak szybko zgodziła się zostać w kościele po tym, jak Ravallo został schwytyany w hotelu i było jasne, że niebawem wokół zarości się od Niemców? Dlaczego tak długo zwlekała z wyskoczeniem z pociągu, wiedząc, że na najbliższej stacji czeka oddział niemieckich żołnierzy? Nie, wciąż nie chciał w to uwierzyć. Nie Stella. Jednak niepokoiło go, że skoro mógł uznać te wydarzenia za zwykły zbieg okoliczności, to czemu nie potrafił zrobić tego samego w przypadku poszlak obciążających Nicky'ego? Nagle zważył we wszystko. Już nie wiedział, w co wierzyć. Wiedział tylko, że nie może wydać Nicky'emu rozkazu, aby zszedł na łód razem ze Stella — chociaż od tego zależało powodzenie całej operacji — i bez uzasadnionego powodu nie mógł zabronić jej iść. A takiego nie miał; przynajmniej nie ujawniając prawdy o spreparowanej zawartości koperty. Dysponował jedynie podejrzeniami, przypuszczeniami i mnóstwem bezwartościowych dowodów poszlakowych...

— Wierzę w Nicky'ego — powiedziała cicho Stella. — W głębi serca wiem, że on nie jest zdrajcą, i jestem gotowa zaryzykować życie, schodząc na brzeg po kopertę. To raz na zawsze dowiedzie jego niewinności.

To nie udowodni niczego i McIndoe wiedział o tym. Miał ochotę odwołać całą operację i kazać Higginsowi zawrócić na Malte, lecz dręczył go podświadomy niepokój, że może jednak ci dwoje pracują razem. Jeśli tak, to mogą się spodziewać, że nazwisko jednego z nich znajdzie się w kopercie. A jeśli zamierzają podmienić kartkę? Ona już mogła mieć ukrytą przy sobie kopertę, do której włoży nową kartkę papieru, zanim wróci na łódź. Jednak instynkt podpowiadał mu, że Stella jest niewinna. Tylko czy może ryzykować?

— No. Mac, co ty na to? — zapytał Ravallo.

— Zrobimy tak, jak mówisz.

— Mam ci oddać broń? — Ravallo sięgnął po automatyczny colta .45.

— Zatrzymaj go — rzucił krótko McIndoe, a potem wstał i opuścił kabinę.

To Franke wpadł na pomysł, żeby użyć *Linse*. Zdalnie sterowana motorówka,

siedemnastostopowa i zaopatrzona w standardowy silnik Ford V8 o mocy dziewięćdziesięciu pięciu koni mechanicznych, którą można było załadować tysiãcfuntowym ładunkiem wybuchowym i z niezwykłą dokładnością naprowadzić na cel dzięki wbudowanemu odbiornikowi UKF. Dla maksymalnego wykorzystania elementu zaskoczenia była używana tylko w nocy i wymagała wykwalifikowanego sternika, który musiał niepostrzeżenie podpłynąć nią w okolicę celu. Wtedy sternik otwierał przepustnicę, aby *Linse* z pełną szybkością ruszyła w kierunku nieprzyjacielskiego statku, włączał radioodbiornik automatycznie przekazujący kontrolę operatorowi na statku-bazie i wyskakiwał za burtę, pozostawiając operatorowi zadanie naprowadzenia motorówki na cel. Przy uderzeniu w nieprzyjacielski statek pierwsza eksplozja przełamywała *Linse* na pół, a zawierająca główny ładunek część rufowa szła na dno i detonowała pod statkiem z siłą miny morskiej.

Jednostki „Brandenburg” i „Flotylla” wykonały już szereg takich nocnych wypadów przeciw Rosjanom w cieśninie Bosfor i Brytyjczykom na północnym Atlantyku, i to z powodzeniem. Stosowano je wszędzie tam, gdzie mogły wyrządzić jak największe szkody alianckiej flocie. Morze Śródziemne nie było wyjątkiem.

Wystarczył jeden telefon do odpowiedniego człowieka i Riedler otrzymał do dyspozycji *Linse*, a także *Schnellboote* z bazy Kriegsmarine w porcie Gela. Wybrał dwunastu swoich najbardziej doświadczonych spadochroniarzy, którzy wsiedli z nim na pokład transportowego junkersa, czekającego na nich w bazie powietrznej Luftwaffe, na przedmieściach Palermo. Przybywszy do portu Gela, Riedler z satysfakcją stwierdził, że przekazane przez niego telefonicznie polecenia zostały wykonane co do joty. Materiał wybuchowy już załadowano na *Schnellboote*, a jedną z szalup usunięto, żeby zrobić miejsce dla *Linse*. Załogę *Schnellboote*, oprócz kapitana i dwóch mechaników, zastąpił swoimi ludźmi, po czym podał współrzędne celu, które już znał na pamięć.

Godzinę pozniej *Schnellboote* z wygaszonymi światłami czekała ukryta w jednej z jaskiń, którymi było usiane to skaliste wybrzeże. Ładunek wybuchowy był już na *Linse*, którą opuszczono na wodę i przycumowano do burty *Schnellboote*. Teraz pozostało tylko czekać na przybycie nieprzyjacielskiego statku.

— Panie majorze, zebrałem ludzi na pokładzie, tak jak pan kazał — oznajmił głos za plecami Riedlera, który stał na dziobie, mocno zaciskając dłonie na relingu i z nieobecny wyrazem twarzy wpatrywał się w ciemne wody przed jaskinią. Riedler drgnął i zmarszczył brwi, wyrwany z zadumy.

— Dziękuję, sierzancie — uśmiechnął się przelotnie do Kuhna. Na widok Riedlera żołnierze stanęli na baczność. Dał im rozkaz „spocznij”.

— Według moich obliczeń nieprzyjacielski okręt powinien pojawić się tutaj za dziesięć do piętnastu minut. Jeśli wszystko pójdzie zgodnie z planem, powinniśmy widzieć z tej jaskini każdego wysiadającego z łodzi lub wsiadającego na nią. Jest niezwykle ważne, żebyśmy pozostali nie zauważeni. Tutaj każdy dźwięk mesie się daleko. Dlatego od chwili pojawienia się nieprzyjacielskiego okrętu zarządzam całkowitą ciszę. Na pokładzie zostaną ze mną tylko kapitan Franke, sierżant Kuhn i dwóch ludzi do obsługi działek. Pozostali mają zejść pod pokład i czekać na dalsze rozkazy. Ostrzegam, że jeśli usłyszę choćby kasznięcie, podam was wszystkich do raportu. Co do jednego. Odmaszerować!

Kuhn wybrał dwóch kaprali i wyznaczył im stanowiska na prawej i lewej burcie, po czym zaczął, aż pozostali zniknę pod pokładem, i zamknął za nimi luk. Potem odwrócił się do Riedlera.

— Panie majorze kto poprowadzi *Linse*?

— Omawiałem to wcześniej z kapitanem Frankem — odparł Riedler. — Zaproponował ciębie.

— O ile wiem, oprócz majora i mnie, jesteś jedynym w tym oddziale, który umie pilotować

Linse. — Franke uśmiechnął się zimno do Kuhna, z wyraźną pogardą w oczach.

— Płynąłem nią raz, panie majorze, podczas szkolenia — rzekł Kuhn, kierując tę odpowiedź bezpośrednio do Riedlera.

— A więc teraz masz szansę wykorzystać to, czego się nauczyłeś, Kuhn — powiedział Franke. — Na mostku znajdziesz gumowy kombinezon. Pospiesz się, nie ma wiele czasu.

— Stać, sierżancie — rozkazał Riedler, gdy Kuhn ruszył w kierunku schodów wiodących na mostek. — Potrzebuję doświadczonego pilota. Kogoś, kto już służył we Flotylli K. A mamy tylko jednego takiego człowieka. — Obrócił się do Frankego. — Czyż nie, kapitanie?

Pogardliwy grymas zniknął z twarzy Frankego.

— Ja, panie majorze? — w jego głosie było wahanie.

— Czy widzi pan jakiś problem?

— Nie, panie majorze — padła natychmiastowa odpowiedź.

— To dobrze. — Riedler oparł się o reling i spojrzał w dół, na sylwetkę lekko podrygującej na wodzie łodzi.

— Kuhn też mógłby naprowadzić ją na cel. Tu nie chodzi o to, że mam doświadczenie w sterowaniu taką motorówką, prawda? — rzekł Frank wpatrzony w plecy Riedlera.

— Istotnie — odparł Riedler. — Chodzi o twoich wielbicieli z nazistowskiej hierarchii w Berlinie, którzy bardzo chcieliby zobaczyć, jak zajmujesz moje miejsce jako dowódca tego oddziału. Jednak wierz mi, do tego nigdy nie dojdzie. Nawet gdybym miał opuścić ten regiment, upewniłbym się, że mój następca jest człowiekiem, którego szanuję; kimś, kogo ludzie uważają nie tylko za dowódcę, ale za przyjaciela. A to nie w twoim stylu, prawda? Za bardzo przejmujesz się nazistowską ideologią, żeby dbać o swoich podwładnych. Dowodziłbyś za pomocą strachu i upokorzeń. To mogło działać w twojej dywizji „Brandenburg”, ale tu na nic się nie zda. Ci ludzie są zawodowymi żołnierzami, którzy gardzą tobą i takimi jak ty. Nie minęłoby kilka dni, a któryś wpakowałby ci kulę w plecy. Ale ja do tego nie dopuszczę. Tak czy inaczej, w tym oddziale jesteś skończony. Teraz masz przynajmniej szansę zginąć z honorem. Jeżeli przeżyjesz, na pewno zostaniesz osobiście odznaczony przez *Führera*. Jeśli nie, umrzesz za swój kraj. Kolejny męczennik, za którego naziści wzniosą toast podczas następnego bankietu w Reichstagu.

— A jeśli odmówię? — zapytał Franke z wyraźną pogardą w głosie.

— Każę cię rozstrzelać za tchórzostwo — powiedział Riedler. — A wtedy odbiorą ci wszystkie medale, a twoja rodzina zostanie wyklęta, odepchnięta od łona twojej ukochanej partii. Będą wyrzutkami. Wyobraź sobie taki wstyd. Naprawdę tego chcesz?

W gwałtownym przypiływie wściekłości i bezsilności Franke sięgnął po pistolet. Zaciśnął dłoń na rękojeści, kiedy usłyszał metaliczne szczęknięcia i zobaczył lufy trzech wycelowanych w siebie automatów.

— Jeżeli wyjmie pan broń na dowódcę, panie kapitanie, zabijemy pana. — Kuhn potrząsnął głową.

Franke powoli zapiął kaburę, a potem sztywno zsalutował Riedlerowi i wbiegł po schodach na mostek. Riedler rozkazał obu kapralom wrócić na posterunki. Kuhn spojrzał na mostek z bronią nadal gotową do strzału.

— Z całym szacunkiem, panie majorze, czy to rozsądne tak go antagonizować? Jeżeli wyjdzie z tego z życiem, a nie ma powodu, żeby było inaczej, co powstrzyma go przed złożeniem raportu o tym, co zaszło? Jego słowo przeciw naszym, ale, jak sam pan mówił, on ma wielu wpływowych przyjaciół w Berlinie.

— On nie przeżyje tego ataku i dobrze o tym wie. Przeniesienie do naszej jednostki było jego ostatnią szansą. Wiem, że nie przyjmą go z powrotem do dywizji „Brandenburg”, bo za długi jest jego rejestr wykroczeń. Byłby skończony, a żaden medal nie zrekompensuje takiego

upokorzenia. Jeśli jednak zginie w trakcie pełnienia swych obowiązków, postaram się, żeby pochowano go ze wszystkimi honorami. W ten sposób dobre imię jego rodziny pozostanie nienaruszone, tak samo jak jego reputacja jako oficera Wehrmachtu. — Riedler w zadumie pokiwał głową. — Ocalić godność. Tylko to mu pozostało.

— Rzucić kotwicę! — zawołał McIndoe z mostka do Hillyarda, kiedy Higgins wyłączył silniki.

— Nie podoba mi się to, że jesteśmy tu widoczni jak na dłoni — powiedział Higgins.

— Mnie też, ale mamy rozkazy — odparł Szkot.

— Łódź siedzi na wodzie jak kaczką, Mac. Jedna torpeda wystarczy, żeby posłać nas do nieba.

— Dlatego mamy tu dwie łodzie podwodne, które pilnują nas przed U-bootami — przypomniał mu McIndoe.

— Czemu jakoś mnie to nie uspokaja?

— Słuchaj, im szybciej z tym skończymy, tym pręcej wyniesiemy się stąd.

— To już inna sprawa — mruknął Higgins. — Dlaczego Stella schodzi na ląd sama? Przecież chodziło o to, żeby Ravallo poszedł z nią.

— Musimy dać mu wolną rękę i czekać, co będzie. — McIndoe wziął z szafki klucz do kabiny łączności. — Zamierzam otworzyć interes.

— A więc nadal uważasz, że on działa samotnie? — zawołał Higgins.

— Tak — odparł z przekonaniem McIndoe. Zszedł z mostka na pokład na prawej burcie, gdzie Hillyard i Johnson ostrożnie opuszczali na linach nadmuchaną dinghy. Ravallo i Stella czekali opodal.

— Masz klucz do kabiny łączności, *patroni* — zapytał Passiere ze szczytu schodów. — Muszę połączyć się z partyzantami, żeby sprawdzić, czy Stella może bezpiecznie zejść na brzeg.

McIndoe podał mu klucz.

— Zamelduj mi natychmiast, gdy powiedzą, że ma wolną drogę.

— *Oui, patron* — rzekł Passiere i zniknął pod pokładem.

— Kto odwiezie Stellę na brzeg? — zapytał Ravallo.

— Może to zrobić Hillyard — odparł McIndoe, a potem obrócił się do Stelli. — Masz broń?

Poklepała colta .44 u pasa.

— Wezmę także stena.

— Wiesz, co robić, kiedy będziesz na brzegu?

— Wiem. Przestań się miotać, dobrze?

Ravallo położył jej dłoń na ramieniu.

— Spokojnie, dziewczyno. Mac po prostu martwi się o ciebie. Tak jak wszyscy.

— Nie ma potrzeby. Umiem dbać o siebie.

McIndoe nie wątpił w to. Już miał sięgnąć po papierosa, ale powstrzymał się w porę. Łódź była pogrążona w zupełnych ciemnościach. I tak powinno pozostać. Zapałkę, nawet zapaloną na moment i osłoniętą dłonią, albo rozżarzony koniec papierosa mógł dostrzec ktoś na brzegu. Mimo wszystko oddałby duszę za dymka.

— Ponton na wodzie, szefie — rzekł Hillyard.

— Dobrze. Gdy tylko Georges da nam zielone światło, możecie ruszać.

— Zaczekam w pontonie — oznajmiła Stella, zarzuciwszy na ramię automat. Zwróciła się do Johnsona. — Zrzuć mi drabinkę sznurową, dobrze?

— Uważaj na siebie — powiedział jej cicho stojący obok Ravallo.

— Jasne — odparła, podchodząc do relingu. McIndoe lekko klepnął ją w ramię, kiedy go

mijała.

— Trzymaj się.

Spojrzała na niego i blade światło księżycy na sekundę rozświetliło jej delikatne rysy. Wydała mu się aniołem oblanym świetlistą poświatą. Dech mu zapało. W tym momencie była najpiękniejszą kobietą, jaką widział w życiu. Potem chwila minęła. Stella zręcznie przeszła przez reling, złapała drabinkę i zaczęła powoli schodzić do pontonu. Na schodach pojawił się Passiere.

— Świeże powietrze, *patron*.

— Co? — zdziwił się McIndoe, a potem zachichotał pod nosem, kiedy pojął, co Francuz zamierzał powiedzieć. — Chcesz powiedzieć, że powietrze czyste.

— Czy to nie to samo? — odparł Passiere marszcząc brwi i spochmurniał jeszcze bardziej, widząc uśmiechy na otaczających go twarzach. Mruknął coś pod nosem, wreszcie machnął ręką i zszedł pod pokład.

— Masz wysadzić Stellę na plaży, a potem wracać na łódź. Połączy się z nami, kiedy będzie gotowa do powrotu.

— Jasne, szefie — rzekł Hillyard. Przeskoczył przez reling, złapał drabinkę sznurową i z małą zręcznością opuścił się do pontonu. Chwycił wiosła i dinghy skierowała się ku pustemu brzegowi.

— Neville, trzymaj wartę na pokładzie — powiedział McIndoe. — Major Ravallo i ja będziemy w kabinie łączności czekać na kontakt z panią porucznik. Wezwij nas, gdybyś zobaczył coś podejrzanego. Cokolwiek.

— Może pan na to liczyć, panie poruczniku — Johnson odszedł w kierunku rufy.

Ravallo zaczął schodzić pod pokład, McIndoe jeszcze przez moment rozglądał się wokół. Pocieszało go to, że na ciemnej tafli wody nie dostrzegali ani śladu ruchu. Co jednak kryło się pod jej powierzchnią? Wiedział, że powinny tam być i strzec ich dwa brytyjskie okręty podwodne, niby ukryci myśliwi czekający na drapieżnika skuszonego widokiem przywiązanego koźlęcia. Tylko jak często koźle ginie, zanim myśliwy zdobędzie swe trofeum? Próbował otrząsnąć się z tej myśli, lecz tkwiła w jego duszy jak kłująca zadra.

Riedler obserwował ponton przez silną lornetkę. Dlaczego tylko dwoje z nich płynie na brzeg? Czyżby rekonesans? Niczego nie znajdują, chociaż w okolicy roilo się od żołnierzy ściągniętych z garnizonu w Gela. Ich dowódca otrzymał wyraźny rozkaz, że jego ludzie mają pozostać w ukryciu, dopóki wszyscy nieprzyjacielscy agenci nie zejdą na brzeg. Riedler zagroził mu natychmiastowym posłaniem na front wschodni, jeśli nie wykona tych poleceń co do joty. Najwyraźniej groźba wywarła pożądany efekt.

Ponton wpłynął na płyciznę. Jedna z ubranych na czarno postaci zręcznie wyskoczyła do wody i pobiegła do brzegu. Kobieta. Riedler znów skierował lornetkę na ponton i zobaczył, że drugi pasażer wiosłuje już z powrotem. Dlaczego? Czemu nie zeszli razem na ląd? Ponownie spojrzał na kobietę. Biegła ku gęstym zaroślom otaczającym plażę i zniknęła, wchłonięta przez mrok.

Powoli opuścił lornetkę i spojrzał na sylwetkę zaciemnionej MTB, łagodnie kołyszącą się na wodzie.

— W co ty grasz, Ravallo? — mruknął do siebie.

— Przepraszam, panie majorze? — spytał cicho stojący za nim Kuhn.

— Tylko głośno myślałem. — Riedler znów przytknął lornetkę do oczu.

— Co robimy, panie majorze?

— Czekamy, sierżancie — powiedział spokojnie Riedler, patrząc, jak ponton kieruje się z powrotem do macierzystej jednostki. — Czekamy.

McIndoe był coraz bardziej zaniepokojony. Minęło już siedemnaście minut, od kiedy Hillyard powrócił na łódź, a Passiere jeszcze nie otrzymał potwierdzenia, że Stella nawiązała kontakt z partyzantami. Radio wciąż milczało. Czyżby coś poszło nie tak? Może złapał ją niemiecki patrol? Wiedział, że chyba przesadza, a mimo to czuł niepokój.

Przechadzał się po korytarzu przed kabiną łączności, ustawicznie uderzając pięścią w dłoń, jak niespokojny ojciec, czekający, aż córka wróci z randki, którą od początku uważał za niewskazaną. Czasem przystawał i sterczał niepewnie w progu, obrzucając spojrzeniami tkwiących w środku Passiere'a i Ravalla. Jak mogli siedzieć tak spokojnie? Passiere miał przynajmniej wymówkę. Nie mógł ruszyć się od radiostacji, żeby nie przegapić jakiegoś sygnału. To Ravallo skupiał uwagę Szkota: skulony na krześle, łokcie wsparte o kolana, mocno splecione ramiona. Trwał w tej pozycji, od kiedy wszedł do kabiny łączności, od czasu do czasu spoglądając na kołyszącego się na krześle Passiere'a. Jednak najbardziej denerwował Szkota widok pozbawionej wyrazu twarzy Amerykanina. Znow skrył swoje prawdziwe uczucia za nieprzeniknioną maską obojętności. Co naprawdę kryło się za nią? Trudno powiedzieć.

Nagle Passiere pochylił się, głośno stukając nogami krzesła o drewnianą podłogę, po czym złapał pióro i notatnik.

— Co jest, Georges? — zapytał niespokojnie McIndoe, ale Francuz, który miał na głowie słuchawki, nie usłyszał go.

Ravallo próbował zwrócić jego uwagę, klepiąc go w ramię, lecz Passiere tylko podniósł rękę, kładąc mu czekać, a potem przycisnął drugą ręką słuchawki, z troską marszcząc brwi. Troska szybko przeszła w niepokój; rzucił pióro i zaczął gwałtownie postukiwać kluczem nadawczym. Z rezygnacją potrząsnął głową, spróbował innego kodu, a potem zdjął słuchawki i zerwał się z krzesła.

— Złapali ją! — wykrztusił drżącym głosem. — Złapali Stellę, *patron*. Zaraz po podaniu swojego kodu, nadała MMR. MMR — spojrzał na Ravalla — to sygnał oznaczający niebezpieczeństwo.

— Co się stało? — zapytał McIndoe.

— Powiedziała coś o zasadzce. Potem cisza.

Passiere bezradnie machnął ręką.

— Pójdę po nią. — McIndoe był już przy drzwiach.

— Idę z tobą — zawołał Ravallo za nim.

— Nie, zostań...

— Nie chcę tego słuchać — przerwał mu gniewnie Amerykanin. — Chodźmy już!

McIndoe nie miał zamiaru się spierać. Tylko tracili cenny czas. Wbiegli po schodach na pokład.

— Co się stało? — Hillyard i Johnson, przejęci, podbiegli do Ravalla, który już opuszczał się po drabince sznurowej.

— Stella wpadła w zasadzkę — rzekł McIndoe. — Schodzimy na brzeg.

— Idę z wami, szefie — zgłosił się Hillyard.

— Nie, wy dwaj zostańcie tutaj i pilnujcie łodzi. To może być podstęp, żeby wywabić nas stąd i zaatakować MTB.

— Chodź, Mac! — zawołał do niego Ravallo.

McIndoe przeszedł przez reling, a potem zatrzymał się i spojrzał na Hillyarda.

— Dajcie nam piętnaście minut. Jeżeli do tego czasu nie nawiążemy z wami łączności, niech Charlie wynosi się stąd. To rozkaz.

Hillyard ponuro kiwnął głową.

Ledwie McIndoe zdążył odwiązać linę, Ravallo potężnymi uderzeniami wiosł skierował ponton do brzegu. McIndoe patrzył mu przez ramię na plażę. Wydawała się pusta. Potem spojrzął Ravallowi w twarz: maska z niej w końcu opadła, ukazując oblicze potwora. Zmrużone oczy nie zdradzały śladu lęku czy niepokoju. Była w nich tylko zimna, obojętna pogarda. McIndoe zadrżał, jakby owiał go nagły podmuch lodowatego wiatru.

Nagle wszystko nabrało sensu. Dlaczego nie pojawił tego wcześniej? Jak mógł być tak ślepy? Prawda leżała przed nim jak na dłoni, od kiedy Ravallo ujawnił swój alternatywny plan odebrania koperty. Amerykanin wysłał Stellę na brzeg wiedząc, że dziewczyna wpadnie prosto w zasadzkę. A jeśli Niemcy pochwycają ją i Massima, nikt w alianckim dowództwie nie dowie się, czyje nazwisko było w kopercie. Nagle zrobiło mu się niedobrze. Jak mógł zgodzić się na ten plan? W tej chwili gardził sobą bardziej niż Ravallem. Najwidoczniej zdrajca i jego chciał wciągnąć w pułapkę. Co za gratka dla gestapo, złapią w sieć tak cenną zdobycz! Ale nie dojdzie do tego...

Dopłynęli do brzegu. McIndoe wysiadł pierwszy. Wyciągali właśnie ponton na brzeg i Amerykanin odwrócił się plecami do niego.

— Nicky? — zawołał cicho, celując w plecy Ravalla.

— Chodź, Mac, nie mamy... — Ravallo urwał w pół słowa, widząc wycelowaną w siebie lufę. — Co jest, do diabła?

— Bardzo powoli wyjmij broń i rzuć mi ją — powiedział McIndoe, wskazując na kaburę przy pasie Amerykanina. Ten wahał się. — Zrób to, Nicky. Ale już!

Ravallo końcami palców wyjął colta z kabury i cisnął na piasek, pod nogi McIndoe.

— Czy naprawdę myślisz, że wysłałbym Stellę samą, gdybym wiedział, co się stanie?

McIndoe nie odrywając od niego oczu podniósł broń i rzucił ją za siebie, w wodę.

— Przecież to należało do planu, prawda? Tylko zdałem sobie z tego sprawę, kiedy było już za późno. Za późno, żeby ratować Stellę. I wierz mi, ta myśl będzie mnie dręczyć do końca życia. Jednak nie dam ci tej satysfakcji i nie wpadnę w zastawioną przez ciebie pułapkę tak łatwo jak ona. Dalej nie idę.

— Rany boskie, Mac, Stella jest w op...

— Nie ruszaj się! — warknął McIndoe, bo Ravallo zrobił krok w jego kierunku. On nawet przyparty do muru nie wypada z roli, pomyślał ze złością. Niepewność, zniecierpliwienie, zaskoczenie, a wszystko wspaniale odegrane.

— Jeżeli uważasz, że jestem zdrajcą, to dlaczego nie pociągniesz za spust, żeby z tym skończyć?

— Nie myśl, że nie mam ochoty — odparł McIndoe. — Wiem, że powinienem zabrać cię z powrotem na Maltę, gdzie stanąłbyś przed sądem i plutonem egzekucyjnym. A może powinienem zastrzelić cię wcześniej i rzucić twoje ciało do morza. Jednak nie jestem takim potworem jak ty. Dlatego dam ci coś, czego ty nie dałeś Stelli. Szansę. Wracaj do Niemiec. Jestem pewny, że powitają cię jak bohatera. Ale kiedy już nasycisz się ich poklaskiem, przyjdzie czas na opamiętanie. Sumienie nigdy nie da ci spokoju.

— Mylisz się, Mac, bardzo się mylisz. — Głos Ravalla był niewiele silniejszy od szeptu.

— Usiłując ratować własną skórę, pozwoliłeś Stelli wpaść w tę zasadzkę. A ja sądziłem, że ją kochasz. I, cholera, jestem pewny, że ona kochała ciebie i ci ufała. Zrobiłaby dla ciebie wszystko. A ty tak odpłaciłeś jej za to zaufanie.

Nie opuszczając lufy pistoletu, McIndoe powoli cofał się do pontonu.

— Tutaj nasze drogi się rozchodzą. Przekaż swoim przyjaciółom z gestapo moje wyrazy żalu, że nie skorzystałem z ich gościnności. A teraz wynoś się.

Ravallo milczał. Przygarbiony, jakby pod ciężarem klęski, powoli poszedł po mokrym piasku w kierunku zarośli. Nie obejrzał się. Po chwili zniknął.

McIndoe zepchnął ponton z mielizny, wsiadł i dopiero wtedy opuścił pistolet i położył go na dnie. Wziął wiosła i zdecydowanie skierował małą łódkę w morze.

Riedler był zdziwiony. Ponton już dwukrotnie przybił do brzegu i za każdym razem jeden pasażer pozostawał na plaży, a drugi wracał na łódź. Już to było wystarczająco dziwne, ale scena rozgrywająca się między tymi dwoma mężczyznami była co najmniej niesamowita. Instynkt podpowiadał mu, iż miało to coś wspólnego z agentem gestapo. Lecz jeśli tak, to dlaczego pozwolono mu odejść? To nie miało sensu. Chociaż nie miało też żadnego znaczenia. Musiał teraz rozwiązać ważniejszy problem: czy rozkazać zniszczyć łódź, dopóki stoi na kotwicy, czy też czekać, aż kolejni członkowie załogi zostaną wysadzeni na brzeg, ujęci i przekazani gestapo? Za jednym i drugim rozwiązaniem przemawiały silne argumenty. Ci tajni agenci wywiadu mogli dostarczyć cennych informacji nie tylko o obecnych i przyszłych operacjach aliantów w rejonie Morza Śródziemnego, ale także o ruchu oporu na Sycylii i we Włoszech. Jednocześnie, znając dane techniczne nieprzyjacielskiej jednostki przekazane mu przez gestapo, wiedział, że ogromna szybkość i zdolności manewrowe pozwolą jej bez trudu uciec przed *Linse*. Kiedy zapuszczą silniki, będzie za późno na wysłanie motorówki z ładunkiem wybuchowym.

Już raz nie udało mu się zniszczyć tej łodzi. Dano mu drugą szansę. Ostatnią. Wiedział, że generał Student naraził się dla niego, namawiając marszałka Kesselringa, żeby mu ją dał. Jeżeli znów zawiedzie, z pewnością wróci do zadań zwiadowczych na froncie wschodnim. A, co ważniejsze, rzuci cień na umiejętności generała Studenta. A do tego nie miał zamiaru dopuścić. Musiał podjąć prawidłową decyzję. I to szybko...

Franke pocił się. Składał to na karb przyciasnego gumowego kombinezonu, którego elastyczne rękawy i nogawki nieprzyjemnie wpijały się w ciało. Wiedział jednak, że sam się oszukuje. Siedział spięty za sterem *Linse* i po raz pierwszy w życiu naprawdę się bał. Prawą ręką lekko trzymał ster, lewą włożył do ciemnej toni. Przez ostatnie piętnaście minut co chwila nabierał dłonią wody i spryskiwał sobie twarz. Woda była orzeźwiająco chłodna, ale przynosiła tylko przejściową ulgę; pot zaraz znowu spływał mu po twarzy.

Zawsze mówił, że śmierć go nie przeraża. Ale te chełpliwe słowa wygłaszał z pogardliwym grymasem, kiedy miał broń i w razie potrzeby mógł jej użyć w swojej obronie. Nawet w najtrudniejszej sytuacji zawsze miał jakąś szansę przeżycia. Teraz nie. Miał umrzeć. I to go przerażało. Miał jeszcze tyle do zrobienia w życiu. Tyle nie spełnionych ambicji. Jednak już było za późno, żeby żałować. Wiedział, w co się pakuje, gdy zgodził się opuścić dywizję „Brandenburg” i przenieść do Trzeciego Regimentu. To była ostatnia szansa, żeby wykazać się przed zwierzchnikami. Dano mu proste rozkazy. Pozbyć się Riedlera w dowolny sposób, chociaż najlepiej gromadząc przeciw niemu wystarczającą liczbę dowodów, żeby wytoczyć mu publiczny proces w Berlinie. W nagrodę miał otrzymać dowództwo nad Trzecim Regimentem. Wkrótce po przybyciu na front wschodni i dołączeniu do jednostki Riedlera zrozumiał, że to zadanie będzie trudniejsze, niż przypuszczał.

Bez trudu zebrał dowody przeciwko Riedlerowi. Major otwarcie krytykował górę partii nazistowskiej w Berlinie, często w obecności swoich ludzi, a szczególnie krytycznie wyrażał się o marszałku Goeringu i jego Luftwaffe, która nie zapewniała osłony powietrznej wojskom lądowym działającym w Rosji. Problemem byli ludzie. Nigdy nie widział, żeby żołnierze darzyli swego dowódcę tak wielkim szacunkiem! Był niemal ich idolem. Jak mógł żywić nadzieję, że zastąpi Riedlera, w dodatku jako Judasz, nasłany, żeby go zdradzić? Żołnierze nigdy by mu tego nie wybaczyli.

Dopiero w ostatnich dniach zaczęły go dręczyć pierwsze wątpliwości co do prawdziwych

powodów jego przeniesienia do oddziałów spadochronowych. Już w szkole stwierdzono u niego odchylenia od normy. Łagodna psychoza, powiedział rodzicom lekarz. Przeoczono ją, kiedy wstąpił do wojska, a potem do jednostki „Brandenburg”. W jego aktach osobowych roiło się od wzmianek o gwałtownym usposobieniu i częstym nadużywaniu siły wobec podległych mu rekrutów, nie podjęto jednak przeciw niemu żadnych kroków. Nie żałował dręczonych rekrutów, ponieważ uważał, że w ten sposób stają się twardszymi żołnierzami. Wiedział też, iż zwierzchnicy przykują oko na jego postępowanie ze względu na odwagę, jaką wykazywał się na polu bitwy. Był przykładem dla każdego poborowego zamierzającego wstąpić do oddziałów „Brandenburg”.

A potem zaatakował oficera, który żartował z przypadków choroby umysłowej występujących w rodzinie Frankego. Incydent wprawdzie został zatuszowany, a wszyscy obecni przy tym w mesie zaprzysięgli milczenie, ale następnego dnia znalazł się w drodze na front wschodni. Przed wyjazdem powiedziano mu, że już nigdy nie otrzyma żadnego stanowiska dowódczego w żadnym oddziale dywizji. Nie ulegało wątpliwości, że uważano go za niebezpiecznego dla otoczenia. A jeśli przeniesiono go do spadochroniarzy nie po to tylko, żeby zdyskredytować Riedlera? Major miał rację mówiąc, że jego ludzie wpakowaliby mu kulę w plecy już po kilku dniach od chwili objęcia dowodzenia. Czyżby dowództwo „Brandenburgu” doskonale zdawało sobie sprawę, że spadochroniarze nigdy go nie zaakceptują? Czyżby celowo rzucili go na pożarcie? Czy chcieli jego śmierci?

Te okropne pytania odbijały się echem w jego mózgu. Franke zacisnął powieki i z rozpaczą ukrył twarz w dłoniach. Trzeba z tym skończyć. Uciszyć je. Powoli otworzył oczy i patrząc na MTB pojął, że już nie boi się śmierci. Nie teraz, kiedy panuje nad swoim przeznaczeniem. Wyciągnął rękę i odwiązał linę mocującą *Linse* do burty *Schnellboote*.

— Panie majorze, proszę spojrzeć! — Kuhn zwrócił uwagę Riedlera na *Linse*, która cicho wypływała z jaskini. — Miał czekać na pańskie rozkazy.

Riedler wycelował lornetkę na motorówkę, kierującą się powoli na otwarte morze.

— Co mam zrobić, panie majorze? — spytał niespokojnie Kuhn.

— Dajcie mu osłonę ogniową, kiedy podejdzie bliżej i włączy silnik. Jednak nie wcześniej.

Riedler podniósł z pokładu postawione tam poprzednio urządzenie zdalnego sterowania, wrócił na dziób i obejrzał MTB przez lornetkę. Dostrzegł jakąś postać za vickersem. Drugi członek załogi stał przy oerlikonie. Żaden nie zauważył *Linse*. Jeszcze kilka sekund i Franke będzie mógł włączyć przycisk przy hełmie i przekazać kontrolę nad łodzią urządzeniu zdalnego sterowania. Nagle przysłała mu do głowy niepokojąca myśl. A co, jeśli Franke w ostatniej chwili nie przekaże mu sterowania? Jeżeli w ostatnim odruchu buntu spróbuje zagarnąć całą chwałę? Wystarczy jedna kula, która go unieruchomi, a utracą kontrolę nad motorówką. Riedler nerwowo obliznął wargi, lecz zanim zdążył zastanowić się nad tym, usłyszał krzyki na pokładzie nieprzyjacielskiego okrętu. W chwilę później odezwał się vickers.

— Otworzyć ogień! — wrzasnął do Kuhna, który już stał za dwudziestodwumilimetrowym karabinem maszynowym na dziobie.

Kuhn pociągnął długą serią po pokładzie MTB i vickers zamilkł, gdy strzelec błyskawicznie schował się za osłoną.

— Strzelać bez przerwy — rozkazał Riedler, nadal obserwując MTB przez lornetkę. — No już, Franke, otwórz przepustnicę i przekaz mi sterowanie — mamrotał pod nosem, mocno ściskając pudełko z układem zdalnego sterowania. — Przełączaj, niech cię diabli! Franke dodał gazu i *Linse* pomknęła w kierunku celu.

— Dobrze, teraz przekaz mi kontrolę! — wrzasnął Riedler wściekle, jakby w nadziei, że

Franke zdoła go usłyszeć.

Ukryty na pokładzie MTB strzelec otworzył ogień ze stena i Riedler z przerażeniem zobaczył, jak ciało Frankego podryguje groteskowo, trafione serią kul. Kapitan osunął się na koło sterowe i motorówka natychmiast zaczęła schodzić z kursu. Riedler spojrzął na pudełko w swojej dłoni. Światelko się nie paliło. Franke nie przekazał mu sterowania. Operacja nie powiodła się. Znowu. Teraz mogli tylko próbować unieruchomić łódź i wezwać przez radio posiłki. Wszystko poszło fatalnie...

— Panie majorze! — powiedział podekscytowany Kuhn. — Lampka. Pali się.

Riedler ponownie spojrzął na pudełko. Gwałtownie zamrugał, żeby się upewnić, czy wzrok go nie zawodzi. Nie. Światelko się paliło. Mógł sterować *Linse*. Natychmiast wyprostował kurs i skierował ją na nieprzyjacielski okręt, podczas gdy Kuhn zasypywał jego pokład gradem pocisków.

Naprowadził *Linse* prosto na MTB. Siła zderzenia zdetonowała pierwszy ładunek umieszczony w dziobie, odrywając go od reszty kadłuba i wybijając niewielką dziurę w burcie. Rufowa część *Linse*, zawierająca główny ładunek, zapadła w wodę. Kuhn przestał strzelać. Na kilka sekund zaległa upiorna cisza, a potem materiał wybuchowy eksplodował tuż pod uszkodzonym kadłubem MTB.

Okręt zniknął w kuli ognia, która rozjaśniła niebo zapierającym dech w piersiach rozbłyskiem — niby na jakimś niesamowitym pokazie sztucznych ogni — wyrzucając szczątki na sto metrów w powietrze. Potem, równie nagle jak się pojawiła, ognista kula zniknęła, jakby jej nigdy nie było. Tylko płonące drzazgi opadały na wodę niczym deszcz meteorytów, podążających bezsilnie ku swemu przeznaczeniu. Kilka sekund później zniknęły nawet te ostatnie ślady życia i znów zapadła ciemność. Nie pozostało nic. Tylko cisza i śmierć.

Riedler zdał sobie sprawę, że reszta załogi wyszła na pokład, zwabiona odgłosem eksplozji. Zebrali się za jego plecami, patrząc tam, gdzie przedtem stała zakotwiczona MTB. Nikt nie powiedział ani słowa.

Odał pudełko Kuhnowi, a potem dał znak stojącemu na mostku kapitanowi. Na jego rozkaz jeden z żołnierzy skoczył na rufę, żeby podnieść kotwicę.

— Czy będziemy szukać rozbitków? — zapytał ktoś.

— Rozbitków? — zdziwił się Riedler. — Jesteś optymistą, łagodnie mówiąc.

— Gdyby ktoś przeżył taką eksplozję, to zasługiwałby na coś lepszego niż oddanie w ręce gestapo — rzekł Kuhn.

Riedler skinął głową.

— Dokąd, majorze? — zawołał kapitan, kiedy ścigacz wypłynął z grotu.

— Z powrotem do Gela — powiedział Riedler.

Spojrzął nad czarną wodą, tam gdzie niedawno kotwiczyła MTB, i przytknął dłoń do czapki, salutując. Wtedy, jakby sam Bóg zawtórował jego myślom, w oddali przetoczył się głuchy łoskot gromu. Riedler uznał, że to właściwy finał. Requiem za zmarłych...

Londyn, 1951

„Nie miałeś prawa przeżyć...”

To były pierwsze słowa, jakie Sam McIndoe usłyszał, odzyskawszy przytomność w brytyjskim Czterdziestym Piątym Szpitalu Polowym na Malcie. Od tego czasu nie było dnia, żeby nie dziękował Bogu za ocalenie życia. Jednak tę radość mącił głęboki smutek. Tylko on ocalał. Charlie Higgins, Bruce Hillyard, Neville Johnson, Georges Passiere — wszyscy zginęli w tę okropną noc przy wybrzeżu Sycylii.

Jak udało mu się przeżyć eksplozję, na zawsze pozostanie dla niego tajemnicą. Pamiętał, jak posłał serię ze stena w kierunku *Linse*, chociaż, tak jak inni, musiał przypaść do pokładu, przyciśnięty salwami z broni maszynowej padającymi z jednej z grot. Pamiętał, jaką poczuł radość widząc, że kule trafiły w cel — była to jednak radość krótkotrwała. Przypominał sobie trzask motorówki uderzającej w burtę MTB oraz pierwszą eksplozję, która zwała go z nóg. Padając, wyrznął głową o reling. Nic więcej nie pamiętał.

Potem mu powiedziano, że wyłowili go marynarze z jakiegoś trawlera i przekazali ruchowi oporu. W ciągu kilku godzin znalazł się na pokładzie brytyjskiej łodzi podwodnej i w drodze na Maltę, gdzie dopiero po pięciu dniach odzyskał przytomność. Miesiąc później został przeniesiony do Ballochmyle Hospital w Glasgow i tam z powodzeniem przeprowadzono szereg operacji plastycznych na jego strzaskanej nodze. Już nigdy żaden stadion nie ujrzy jego śmiałych wypadów i agresywnej gry.

Zakończywszy karierę agenta terenowego, do końca wojny przesiedział za biurkiem w kwaterze głównej SOE w Londynie.

W 1946 roku wrócił do Glasgow i podjął pracę lektora na swojej dawnej uczelni...

Telegram nadszedł poprzedniego dnia i przypawił go o bicie serca.

TYLKO DOBRZY UMIERAJĄ MŁODO STOP ALLELUJA STOP DIABEL NAPRAWDĘ
DBA O SWE DUSZE STOP OBECNIE SPRAWNY HODOWCA SZYBÓW NAFTOWYCH
STOP JESTEM W SAVOYU RAZEM Z INNYMI MILIONERAMI STOP RRR

NICKY

RRR. Sygnał SOE oznaczający: „Gdzie rendez-vous?” Tego samego dnia oddepeszował:

SPOTKAMY SIĘ W SAVOYU O DZIEWIĘTNASTEJ W ŚRODĘ.

Nadal nie wiedział, dlaczego w ogóle wysłał Ravallowi odpowiedź, nie mówiąc już o zgodzie na spotkanie. Po prostu musiał to zrobić. Nie dokończona sprawa, którą trzeba załatwić. Raz na zawsze...

No, już jest na miejscu. Siódma. Foyer hotelu Savoy. Wśród tego przepychu czuł się zdecydowanie nieswojo. To nie dla niego. Zbyt ekskluzywnie. Zbyt wystawnie. Zbyt drogo.

— W czym mogę panu pomóc?

Mężczyzna miał na sobie nienagannie odprasowane spodnie w szare prążki i granatową marynarkę. Szef obsługi. Z wyraźnym obrzydzeniem zmierzył okiem tani, niedzielny garnitur McIndoe. Pewnie wziął mnie za włóczęgę, pomyślał Szkot. Zupełnie zrozumiałe, zważywszy na to, że prawie wszyscy obecni w holu są w strojach wieczorowych.

— Mam spotkać się tutaj z Nickym Ravallem — powiedział. Kierownik zdołał ukryć zdziwienie pod wymuszonym uśmiechem, który lekko nadkruszył jego maskę urzędowej powagi.

— Zechce pan podejść do recepcji? Polecę któremuś z recepcjonistów, żeby zadzwonił do apartamentu pana Ravalla i zawiadomił go, że pan przyszedł. Czy mogę spytać, jak brzmi pańskie nazwisko?

— Sam McIndoe.

Kierownik zaprowadził go do kontuaru, przy którym przeprowadzono rozmowę telefoniczną.

— Pan Ravallo prosi, żeby poszedł pan prosto do jego apartamentu. Pokój numer trzysta. Trzecie piętro.

McIndoe wjechał windą na trzecie piętro. Wsiadł i spojrzął na tablicę informacyjną. Dlaczego Ravallo chce nawiązać z nim kontakt po dziewięciu latach? Rozwazał wszystkie możliwości i nie znalazł żadnego zadowalającego wyjaśnienia. Chełpić się swoim sukcesem? Nie, to nie w jego stylu. Kimkolwiek był Nicky Ravallo, nie był małostkowy. Zemsta? To bardziej prawdopodobne. Jeśli był tak bogaty, jak utrzymywał, to równie łatwo mógł wynająć... Jak nazywali takich na filmach gangsterskich? „Cynгла”, który odwaliłby za niego brudną robotę. To nazbyt wydumane. Chyba oglądałem za dużo filmów z Humphreym Bogartem. Dlaczego po tylu latach miałby ryzykować ujawnienie starych brudów? Tak jak wtedy, teraz też nie znał odpowiedzi. Znał ją tylko Ravallo. Wziąwszy głęboki oddech, McIndoe zastukał do drzwi.

Otworzyły się na oścież. Nicky Ravallo niewiele się zmienił przez te dziewięć lat. Ubrany w elegancki smoking, wciąż wyglądał jak gładki, dobroduszny gwiazdor filmowy z Hollywood. Wyciągnął na powitanie rękę do McIndoe, ukazując białe zęby w szerokim uśmiechu.

— Do licha, miło znów cię widzieć, Mac.

— Chcesz powiedzieć, że straciłeś nadzieję, że mnie dopadniesz? — odparł zimno McIndoe. Zignorował wyciągniętą rękę. Uśmiech zniknął z twarzy Ravalla, który odsunął się i gestem zaprosił gościa, żeby wszedł do środka. McIndoe znalazł się w komfortowym apartamencie. Rozejrzawszy się wokół, dostrzegł rozsuwane drzwi i domyślił się, że prowadzą do sypialni. Zaczekał, aż Ravallo zamknie drzwi prowadzące na korytarz. — Skąd masz mój adres?

— Mam swoje kontakty.

— No, więc jestem. Czego chcesz?

— Na początek odrobinę uprzejmości — rzekł Ravallo podchodząc do barku.

— Masz duże wymagania — odparł z pogardą McIndoe.

— Skoro jesteś taki pewny, że was zdradziłem, to dlaczego przyjechałeś taki kawał drogi, żeby mnie zobaczyć? — zapytał cicho Amerykanin. — Dlaczego po prostu nie podarłeś mojego telegramu?

— Zadawałem sobie to samo pytanie, od kiedy dziś rano wsiadłem do pociągu. Chyba po prostu chciałem poznać prawdę, żeby odzyskać spokój ducha. Oczywiście, o ile jesteś na tyle mężczyzną, żeby ją wyznać.

Ravallo zastygł z ręką wyciągniętą na półkę barku. Potem uśmiechnął się do siebie, wziął dwa kieliszki i postawił je na tacy.

— Nie obrażę cię, proponując whisky? Może Johnnie Walkera?

— Nie, dziękuję — padła chłodna odpowiedź. — Powiedz mi tylko, dlaczego chciałeś się dziś ze mną zobaczyć, i znowu pójdziemy swoimi drogami. Nie chcę przebywać z tobą w tym samym pokoju ani chwili dłużej, niż jest to absolutnie konieczne.

— Widzę, że nadal jestem osądzony — rzekł Ravallo, nalewając do szklaneczki sporą porcję.

— Przeze mnie zawsze będziesz — powiedział McIndoe, wyjmując z kieszeni paczkę papierosów. — Twoja zdrada podczas tamtej operacji kosztowała życie pięciorga ludzi. A najtrudniej mi się pogodzić z tym, że wysłałeś wtedy Stellę na brzeg wiedząc, że idzie na pewną

śmierć.

— Tak uważasz? — spytał Ravallo, siadając na sofie.

— Przecież wiesz, że zastrzelili ją Niemcy — rzekł ze złością McIndoe.

— Tak ci powiedziano?

W tonie głosu Ravalla, w jego oczach było coś, co na krótką chwilę podważyło głębokie przekonanie gościa o jego winie. Potem McIndoe przeklął się w duchu za to, że tak łatwo pozwala się zwieść urokowi Amerykanina. Jednak spoglądając na Ravalla czuł, że powoli budzi się w nim niepewność. Rozzłościło go to, gdyż była nieuzasadniona. Nie mylił się co do Ravalla. Amerykanin był zdrajcą. Nazistowskim szpiegiem. Dlaczego więc coraz trudniej było mu trwać w tym przekonaniu?

— Jeśli zostałem już osadzony, to przynajmniej wyświadczyć mi jedną łaskę — rzekł Ravallo.

— W końcu mam prawo do ostatniego słowa.

— Przecież słucham — rzucił krótko Szkot, teraz bardziej zły na siebie niż na niego.

— Nawet nie musisz słuchać — powiedział Ravallo, a potem wyjął z leżącej na sofie teczki kartkę papieru i podał ją gościowi. — Przeczytaj to.

— Co to jest?

— Przeczytaj — nalegał Ravallo.

McIndoe wziął kartkę z jego ręki. To była kopia ściśle tajnego pisma datowanego dzień po tamtej nieszczęsnej operacji. Wysłał je wiceadmirał Starr do dyrektora amerykańskiego MI w Waszyngtonie.

Szanowny Panie Generale!

Po pierwsze, chciałbym skorzystać z okazji i w imieniu SOE wyrazić szczerą wdzięczność za pańskie moralne poparcie w tej niezwykle poważnej kwestii dotyczącej naszego narodowego bezpieczeństwa, którą omawialiśmy telefonicznie wczoraj. Z przyjemnością informuję pana, że operacja zakończyła się szczęśliwie i mogę teraz wyjaśnić panu dokładniej, co zmusiło nas do natychmiastowego podjęcia tej trudnej decyzji poświęcenia czterech naszych agentów w celu ostatecznego wyeliminowania niemieckiej wtyczki w Sekcji Włoskiej naszej organizacji.

Już od ośmiu miesięcy wiedziałem, że w Sekcji Włoskiej działa niemiecki agent, którego zdrada kosztowała nas utratę trzech agentów, a także spowodowała wpadkę wielu dzielnych partyzantów, przesłuchiowanych potem i zamordowanych przez gestapo. Przez pięć miesięcy prowadziłem intensywne śledztwo, nie zdołałem jednak zidentyfikować zdrajcy. Zdołałem tylko zawęzić krąg podejrzanych do trzech osób: Bruce'a Hillyarda, Neville'a Johnsona i Francuza, Georges'a Passiere'a. Niestety, zdrajca okazał niezwykłą przebiegłość, przekazując Niemcom informacje tylko wtedy, kiedy wszyscy trzej działali w jednym zespole, zabezpieczając się w ten sposób przed zdemaskowaniem. Próbowałem rozdzielać tych trzech mężczyzn, ilekroć było to możliwe, jednak — jak pan wie — mamy niewielu agentów działających w rejonie Morza Śródziemnego, więc nie zawsze mi się to udawało.

Miałem poważne zastrzeżenia co do udziału owej trójki w tej operacji, w tym momencie jednak byli to jedyjni osiągalni agenci, a sytuacja wymagała niezwłocznego działania, jeśli miała mieć jakiegokolwiek szansę powodzenia. Raporty porucznika McIndoe potwierdziły szybko moje najgorsze obawy, że zdrajca znów podjął swą niechlubną działalność. Wiedzieliśmy, że nie zdołamy go zdemaskować, tak więc na najwyższych szczeblach rządu Jej Królewskiej Mości postanowiono, aby podjąć w razie potrzeby nawet najbardziej drastyczne kroki dla zapewnienia bezpieczeństwa innym naszym agentom w rejonie Morza Śródziemnego.

W tym celu opracowałem plan, który wprowadziłem w życie zeszłej nocy. Wiedziałem, że aby nadać mu pozory autentyczności, muszą w nim uczestniczyć zarówno major Ravallo, jak

porucznik di Mauro. Jak słusznie zauważył pan podczas rozmowy, należało ich chronić za wszelką cenę, dlatego postarałem się, żeby zeszli na brzeg zaraz po dotarciu grupy na miejsce spotkania.

Moją jedyną troską był porucznik McIndoe, którego uważam za najlepszego agenta operacyjnego, jakiego mieliśmy we Włoszech, rozumiałem jednak, że nie mogę pozwolić, aby kierowały mną sentymenty, i że konieczność wymaga, aby go poświęcić wraz z innymi niewinnymi członkami zespołu. Postarałem się, żeby Niemcy poznali współrzędne miejsca spotkania, dając rozkaz nadać je na otwartym kanale radiowym. Wiedząc, że moi agenci nigdy nie dadzą się wziąć żywcem, Niemcy nie mieli innego wyjścia, jak zniszczyć łódź. W ten sposób wrogowie wykonali za nas tę brudną robotę, a ponadto udało nam się pomyślnie zakończyć tę nieprzyjemną sprawę bez uszczerbku dla wiarygodności Special Operations Executive.

Oczekuję na dalszą owocną współpracę między SOE a wywiadem wojskowym Stanów Zjednoczonych.

*Z poważaniem
wiceadmirał Edmund Starr, GCB.*

McIndoe powoli usiadł na najbliższym fotelu. Ogarnęła go fala gwałtownych emocji. Bezradność. Niedowierzanie. Obrzydzenie. Złość. Wściekłość. Potem, jak we śnie, wyciągnął rękę i położył dokument na szklanym stoliku stojącym na środku pokoju.

— Myślę, że chyba jednak przyda ci się whisky — powiedział łagodnie Ravallo, a potem podszedł do barku i napełnił szklaneczkę McIndoe. Przykucnął obok fotela i wcisnął mu ją w dłoń.

— Wiedziałaś od początku? — zapytał McIndoe pustym głosem.

— Dowiedziałem się dopiero z tego — odparł Ravallo, wskazując na dokument. — I wierz mi, byłem równie wstrząśnięty jak ty, kiedy odkryłem prawdę. Starr skazał na śmierć twoich kolegów, aby ukryć swoją niekompetencję i nieumiejętność wykrycia zdrajcy w waszych szeregach. Założę się, że nie miałbyś nic przeciwko temu, żeby zostać z nim teraz sam na sam przez kilka minut. Po prostu, żeby wyrównać rachunki.

— To byłoby raczej trudne — stwierdził McIndoe, wbijając wzrok w przeciwległą ścianę. — Umarł.

— Nie wiedziałem.

— W czterdziestym czwartym. Atak serca. Zmarł za swoim biurkiem. Teraz się nie dziwię. Jeśli ktoś ma tyle na sumieniu, prędzej czy później musi za to zapłacić. — McIndoe jednym haustem wypił zawartość szklaneczki.

— Jeszcze jeden? — spytał Ravallo, biorąc szklanekę z jego ręki.

— Wypiłbym całą cholerną butelkę, gdybym myślał, że to mi pomoże. — McIndoe potrząsnął odmownie głową. — Nie, dzięki.

Wstał i podszedł do okna, za którym zobaczył czarne, groźne wody Tamizy, samotną barękę, a na niej brodatego szypra na słabo oświetlonym mostku. Stateczek prześlizgnął się pod mostem Waterloo i zniknął w ciemnościach.

Pomyślał o Charliem Higginsie, stojącym na mostku MTB. Rozwiane na wietrze włosy. Miły uśmiech. I mała Emma, córka, którą tak uwielbiał. Teraz już nie taka mała. Musi mieć szesnaście czy siedemnaście lat. Młoda dama. Jednak dla niego zawsze pozostanie małą Emmą. Myślał o Brusie Hillyardzie, szybko wydającym sądy i nigdy nie bojącym się powiedzieć tego, co myśli. Mimo różnic poglądów uważał Hillyarda za dobrego żołnierza. Jeszcze jedna córka, która musiała dorastać bez ojca. Pomyślał o Neville'u Johnsonie. Ponury Johnson, nauczyciel z Nottingham. Uprzejmy, lecz zachowujący rezerwę. Cichy. Wspomniał Taffy'ego Evansa i na

jego wargach pojawił się smutny uśmiech. Kasiarz o zręcznych palcach, który spędził większość dorosłego życia, odsiadując kolejne wyroki w więzieniach Jej Królewskiej Mości, zanim w końcu wykorzystał znajomość materiałów wybuchowych i założył świetnie prosperującą firmę w Swansea. Wiele zawdzięczał Taffy'emu, lecz przede wszystkim cenił sobie jego lojalność i przyjaźń. Uśmiech poszerzył się, gdy pomyślał o Georgesie Passierze. Francuzik. Sympatyczny łobuz. Rozczochrany. Nie ogolony. Spryciarz, ale w razie potrzeby solidny fachowiec. I — oczywiście — Stella. Piękna Stella o smutnych, tajemniczych oczach. Kochał ją kiedyś. Może beznadziejnie, ale zawsze. Jej twarzy na pewno nigdy nie zapomni. Nigdy...

Teraz ich nie ma. Uśmiech zniknął z jego ust. Czy Starr miał prawo poświęcić cały koszyk, żeby pozbyć się jednego zgniłego jabłka? Czy Nicky miał rację i wiceadmirał posunął się do tak drastycznego kroku, usiłując ukryć swoją niekompetencję? Tyle pytań. Żadnych odpowiedzi. I nie było odpowiedzi na najbardziej nurtujące go pytanie: kto z tej trójki był zdrajcą?

— Czy wiesz, kto był zdrajcą? — zapytał Ravalla, nie odwracając się do niego.

— Nie. Może Brytyjczycy dowiedzieli się później, nie wiem, ale nie przekazali tej informacji naszemu MI. To jest jedyny dokument dotyczący tej operacji na Sycylii, jaki znajduje się w aktach MI.

— Wiesz, że możesz być ścigany sądowo za posiadanie tego dokumentu? To ściśle tajne informacje. Jak ci wpadł w ręce?

— Mam swoje kontakty.

— Znowu wracamy do „kontaktów” — powiedział McIndoe siadając.

— Ponieważ tak już jest. W moim interesie trzeba je mieć. To jedyny sposób, żeby wyprzedzić o krok konkurencję. Nie są tanie. Ten dokument też nie był. Jednak kiedy to się stało możliwe, byłem gotów sporo zapłacić, żeby dostać go w ręce.

— Po co, skoro wiedziałeś, że nie masz nic do ukrycia?

— Ty tak nie uważałeś, kiedy widzieliśmy się ostatnio. To mnie gryzło przez ostatnie dziewięć lat. Nie było dnia, żebym o tym nie myślał. Zналиśmy się tylko przez kilka dni, ale przez ten czas zacząłem cię uważać za dobrego przyjaciela. A przyjaźń znaczy dla mnie więcej niż cokolwiek innego na tym cholernym świecie. Chociaż może to się wydać dziwne, nie mam wielu przyjaciół. Pewnie, jestem ekstrawertykiem i uwielbiam być ośrodkiem zainteresowania, lecz gdy przychodzi co do czego, stwierdzam, że większość otaczających mnie ludzi to po prostu znajomi. Dlatego zadałem sobie tyle trudu, żeby zdobyć ten dokument. Potrzebowałem czegoś, aby ci udowodnić, że nie byłem potworem, za jakiego mnie uważałeś.

— Zrobiłeś to wszystko dla mnie? Ja... nie wiem, co powiedzieć — wyjąkał McIndoe i nagle, przytłaczające poczucie winy przeszło mu serce.

— Nie musisz nic mówić — rzekł Ravallo. — Teraz znasz prawdę. Tylko to ma znaczenie.

McIndoe znowu wyjął z kieszeni papierosa i podsunął je Ravallowi.

— Udało ci się już pozbyć nałogu?

— Wciąż nad tym pracuję — odrzekł Amerykanin z żalnym uśmiechem, wyjmując papierosa z paczki. — Może kiedyś.

McIndoe rzucił paczkę na stół i obracał papierosa w palcach, usiłując uporządkować rozbiegane myśli. Minęła dłuższa chwila, zanim był w stanie cokolwiek powiedzieć. A i wtedy nie wyszło to tak, jak chciał.

— Nicky... widzę, że... no cóż, źle cię oceniałem i... no wiesz... — zamilkł i wzruszył ramionami.

— Wiem — powiedział Ravallo. — I nie obwiniaj się o to, że uznałeś mnie za zdrajcę. Pamiętaj, że nie miałeś listu Starra, który pomógłby ci ocenić sytuację. Pierwszy przyznam, że podczas tej operacji popełniłem kilka fatalnych błędów. Miałeś wszelkie prawo mnie

podejrzewać. Niektóre z tych incydentów mogły zostać uznane za celowe działanie na korzyść Niemców. Jednak, jak ci już wtedy mówiłem, to była naiwność, nie zdrada. — Uśmiechnął się do swoich myśli. — Chyba nic dziwnego, że do końca wojny trzymali mnie za biurkiem. Zdaje się, że jestem jednym z tych ludzi, którzy lepiej komenderują, niż wykonują. Dlatego odniosłem taki sukces w biznesie naftowym. Po prostu przez cały dzień siedzę w biurze i wydaję polecenia przez telefon.

McIndoe pochylił się w fotelu.

— Nicky, czy ty nadal myślisz o Stelli?

— Spróbowałby nie myśleć — powiedział ktoś za jego plecami. Kobięcy głos, łagodny i zmysłowy. I tak bardzo znajomy.

Na moment świat zatrzymał się dla Sama McIndoe. Czas stanął w miejscu. Siedział bez ruchu, jak skamieniały. Najpierw przyszło ogromne, krańcowe niedowierzenie, a potem niepohamowana i szczerza radość. W końcu otrząsnął się z szoku i skoczył na równe nogi, wykonując błyskawiczny piruet, którego nie powstydziliby się wielki Niżyński. Stała przed nim Stella, jeszcze piękniejsza niż przed laty. Śmiała się i płakała jednocześnie. Przycisnął ją do piersi i kiedy stali tak, objęci, poczuł, jak łzy płyną mu po policzkach. Nie wiedział, jak długo to trwało. Wreszcie łagodnie uwolniła się z jego ramion.

— Wiedziałam, że tak będzie — powiedziała, ocierając palcami łzy z policzków. — Dlatego nie nałożyłam makijażu w sypialni. Rozmazałby mi się po całej twarzy.

— Przecież ty żyjesz! — wykrzyknął McIndoe i natychmiast skłął się w duchu. Co za głupia uwaga w takiej wspaniałej chwili.

— Przynajmniej taką mam nadzieję — odparła z uśmiechem, a potem ujęła jego dłonie i ścisnęła je mocno. — Boże, jak dobrze znów cię widzieć. Dziewięć lat. To prawie wieczność. Nic się nie zmieniło!

— Tylko tu — rzekł McIndoe, uwalniając dłoń, żeby poklepać się po rzędziejącej czuprynie.

— Dzięki temu wyglądasz dystyngowanie — odrzekła.

— Wyglądam jak łysy. — Znów chwycił jej dłoń. — Co się stało tamtej nocy? Starr powiedział, że Niemcy zastrzelili cię podczas próby ucieczki.

— To oficjalna wersja podana przez MI — wyjaśniła. — Nawiązałam kontakt bez przeszkód. Czekali na mnie dwaj partyzanci, ale uszliśmy tylko kilkaset metrów i natknęliśmy się na niemiecki patrol. Jeden z partyzantów zginął. Mnie postrzelono w ramię, lecz udało nam się uciec. Miejscowy lekarz mnie opatrzył. Kilka następnych dni spędziłam w partyzanckiej kryjówce opodal Gela, a potem brytyjska łódź podwodna przewiozła mnie na Gibraltar. Tam dowiedziałam się, że zostałam zdemaskowana. Nie mogłam dłużej działać w terenie. Dlatego MI wymyślił tę bajeczkę o mojej śmierci. Najwidoczniej uważali, że to zakończy całą tę sprawę na Sycylii. Jak wiesz, w czterdziestym trzecim powstała nasza wersja SOE, czyli OSS — Organization of Strategic Services. Wkrótce po jej utworzeniu dostałam do niej przydział jako instruktorka. Jednak to nie było to samo. Brakowało mi działania. Zaczekałam do końca wojny, a potem zrezygnowałam.

— A ty jak wyostałeś się z Sycylii? — spytał McIndoe Ravalla.

— Na szczęście wkrótce po tym, jak łódź wyleciała w powietrze, natknąłem się na partyzantów — odparł Ravallo. — Przez jakiś czas ukrywałem się u nich, a potem przekazali mnie na okręt podwodny.

— Kiedy spotkaliśmy się z Nickym, powiedział mi o łodzi. Wtedy nie wiedzieliśmy, że przeżyłeś. Myśleliśmy, że wszyscy zginęli. Płakałam. — Spojrzała na Ravalla. — Prawda, Nicky? Przeplakałam całą noc. Tyle co do twardej agentki wywiadu. Raczej kiepskiej amatorki.

— Sądząc po tym, co widziałem, chyba się nie doceniasz — zapewnił ją McIndoe.

— Dzięki — powiedziała cicho. — Jak udało ci się przeżyć wybuch? Nicky widział, jak łódź eksplodowała. Mówił, że po prostu zniknęła w jednym oślepiającym błysku.

— Diabeł dba o swoje dusze, Stello — rzekł Ravallo uśmiechając się. — Czyż nie, Mac?

— Racja — przyznał McIndoe, a potem położył dłoń Stelli na swojej ręce i wskazał obrączkę na jej serdecznym palcu. — Widzę, że po powrocie do Stanów w końcu połączyliście się węzłem małżeńskim.

— A więc przejrzałeś wtedy nasz mały sekret, co? — zapytał Ravallo.

— W końcu się domyśliłem.

— Nie zdołałbyś, gdybyś nie próbował umówić się ze mną na randkę — powiedziała ze śmiechem, grożąc mu palcem.

— Tak, słyszałem o tym — mruknął Ravallo, krzyżując ramiona na piersiach. — Chciałeś mi ukraść żonę, co, Mac?

— Wtedy jeszcze nie była twoją żoną.

— Była. Pobraliśmy się wkrótce po tym, jak przysłano mnie na Gibraltar. Rozumiesz przecież, dlaczego trzymaliśmy to w tajemnicy. Nie powiedzieliśmy nawet moim rodzicom. Nikt nie wiedział. Czy wyobrażasz sobie, co by było, gdyby nasi zwierzchnicy odkryli, że jesteśmy małżeństwem? Wysłaliby nas na przeciwne krańce świata. Ogłosiliśmy to dopiero pod koniec wojny.

— Musieliście zamartwiać się o siebie przy każdym wystrzale, kiedy byliśmy na Sycylii.

— Nie chcieliśmy działać razem, ale los zdecydował inaczej i nic nie mogliśmy na to poradzić — powiedziała Stella.

— To nie było łatwe, lecz jakoś nam się udało. A teraz już jestem związany — stwierdził żałośnie Ravallo i nie zdążył uskoczyć przed kuksańcem, który trafił go w ramię.

— Nie tylko ze mną — przypomniała.

— Myślałem, że zaczekamy i powiemy mu o tym przy obiedzie — rzekł Ravallo, ale zaraz wzruszył ramionami. — A, co tam! No już, powiedz mu.

— W zeszłym tygodniu stwierdziłam, że jestem w ciąży — wyznała z szerokim uśmiechem.

— To cudowna wiadomość — rzekł McIndoe i pocałował ją. — Gratuluję. Cieszę się.

Ravallo uścisnął mu dłoń.

— Dzięki, Mac. Próbowaliśmy od kilku lat. Już zaczęliśmy podejrzewać, że nic z tego nie będzie.

— A więc miejmy nadzieję, że to pierwsze z wielu.

— Nie tak szybko. — Ravallo podniósł ręce w geście odżegnywania się od nazbyt serdecznych życzeń. — Możemy oboje pochodzić z włoskich rodzin. I wiemy, że Włosi są znani ze swych licznych rodzin. Ale będziemy całkiem szczęśliwi mając jedno dziecko. Wydaje się, że to wystarczy, po tych wszystkich łzach, które wylaliśmy, usiłując je począć.

— Głównie moich — wyznała Stella, kładąc głowę na ramieniu Ravalla. — Nicky był przez ostatnie dwa lata jak opoka. Gdyby nie on... Nie wiem, czy poradziłabym sobie z nieustannymi rozczarowaniami.

— Lepiej idź i umaluj się, Stello — powiedział Ravallo i zwrócił się do McIndoe. — Pozwoliłem sobie zamówić w hotelowej restauracji stolik na trzy osoby na dziś wieczór. Jedzenie jest tu doskonałe.

— Nie jestem odpowiednio ubrany na taką okazję — szybko zastrzegł się McIndoe, wskazując na swój pomięty garnitur. — Wszyscy tu chodzą w smokingach.

— Wyglądasz jak trzeba, Mac — zapewnił go Ravallo. — I co z następnym drinkiem?

Kiedy Stella kilka minut później wyłoniła się z sypialni, zastała obu mężczyzn siedzących na sofie i pograżonych w rozmowie.

— No, zamierzacie siedzieć tu przez całą noc i plotkować czy chcecie zabrać mnie na kolację? Jestem głodna jak wilk.

— Tak zaczyna się ten okropny stan macierzyński — szepnął Ravallo do McIndoe swoją najlepszą imitacją głosu Borisa Karloffa.

— Jesteś niepoprawny, wiesz? — stwierdził McIndoe, chichocząc pod nosem, gdy podchodzili do drzwi. Podał ramię Stelli. — Pozwolisz?

— Z przyjemnością — powiedziała, biorąc go pod rękę. — Mamy tyle do nadrobienia. Chcę wiedzieć o wszystkim, co robiłeś przez te lata. I nie waz się niczego przemilczać.

Ravallo otworzył drzwi i uśmiechnął się do siebie patrząc, jak przyjaźnie gawędzą ze sobą, zmierzając do windy. Udało się odnowić tę przyjaźń. Czuł się wspaniale. Zamknął za sobą pokój i ruszył za nimi.

EPILOG

Glasgow, 1995

James McIndoe zatrzymał samochód na podjeździe. Zgasił silnik, wysiadł i obszedł wóz, żeby otworzyć drzwi po stronie pasażera. Jego żona, Heather, wyszła i wygładziła zmarszczkę na przodzie swej czarnej sukni.

— Widzę, że reszta rodziny też już wróciła z cmentarza — popatrzyła na zaparkowaną na ulicy używaną mazdę, którą niedawno kupili swojej córce Isobel.

— Miejmy nadzieję, że Isobel już nastawiła wodę na herbatę — rzekł McIndoe, zacierając dłonie. — Jest okropnie zimno. Marzę o filiżance dobrej, gorącej herbaty.

— Chyba nie mówisz o naszej córce, co? — Heather łagodnie się uśmiechnęła. — Widziałeś kiedyś, żeby Isobel nastawiła czajnik nie poproszona o to co najmniej dziesięć razy?

— To prawda. Musi być zimniej, niż sądziłem. Mróz najwidoczniej podziałał mi na głowę.

— Ja urobię herbatę. Ty zajmij się naszym gościem — powiedziała Heather, spoglądając na samochód zatrzymujący się po przeciwnej stronie ulicy.

McIndoe zaczekał na Niemca przy furcie.

— Przykro mi z powodu tak okropnej pogody, ale taka jest już od tygodnia. Bóg wie, czy ma zamiar się poprawić.

— To raj w porównaniu z tym, co było w okopach frontu wschodniego w środku zimy — odparł gość.

— Mogę to sobie wyobrazić. Wiele czytałem o tej kampanii — rzekł McIndoe, idąc w stronę domu.

— Nie, nie sądzę, aby mógł pan sobie wyobrazić okropności frontu wschodniego. Nikt nie może, jeśli tam nie był. Nawet ja rzadko o tym mówię.

McIndoe usłyszał w głosie Niemca wrogą nutę i zostawił ten temat. Wprowadził go do domu.

— Mogę dostać pański płaszcz i kapelusz?

Powiesił je w holu i zaprowadził gościa do salonu, gdzie na sofie siedzieli starsi państwo.

— Chciałbym przedstawić panu najbliższych przyjaciół mojego ojca. Zawsze uważaliśmy ich za członków rodziny. Wczoraj przylecieli z Ameryki na pogrzeb. Nicky i Stella Ravallowie. A to pan Hans Riedler — zwrócił się do nich.

Ravallo sięgnął po laskę, której mimo gorących protestów musiał używać od czasu udaru, jakiego doznał kilka lat wcześniej. Odtrącił rękę Stelli, gdy próbowała mu pomóc, i dźwignął się z sofy.

— Nie zna pan mojego nazwiska, ale spotkaliśmy się już, jakkolwiek przelotnie, podczas wojny — rzekł Riedler, kiedy Ravallo szedł do niego przez pokój. — Grand Hotel. W Palermo. W tysiąc dziewięćset czterdziestym drugim. Tylko wtedy był pan w mundurze oficera gestapo.

— Major Hans Riedler z niemieckiego Trzeciego Regimentu Spadochronowego. Później z Sił Specjalnych w Afryce Północnej. Jeden z najczęściej odznaczanych niemieckich oficerów drugiej wojny światowej. Och tak, pańskie nazwisko jest mi znajome — rzekł z pogardą Ravallo, a potem wycelował drżący palec w Riedlera. — Jak śmie pan tu przychodzić? I to jeszcze dzisiaj. Przyszedł pan cieszyć się ze śmierci Maca, tak jak musiał pan cieszyć się ze śmierci jego kolegów, kiedy wysadził pan ich łódź w czterdziestym drugim? Budzi pan we mnie wstręt.

— Nicky, przestań! — powiedziała ostro Stella wstając.

— Masz pan szczęście, że znajdujemy się w domu mojego chrześniaka, inaczej wyrzuciłbym pana na ulicę — syknął Ravallo. — Tam, gdzie miejsce pana i takich nazistów jak pan. Do

rynsztoka.

— Wujku Nicky, proszę — błagał McIndoe. Nigdy nie mógł zrozumieć, dlaczego wciąż mówił do swojego chrzestnego ojca „wujku”. Z szacunku? Czułości? Nie wiedział — po prostu ta forma wydawała się odpowiednia. Chociaż od dawna już nie mówił „ciociu” do Stelli. Nicky jednak był „wujkiem” i tak też mówiła do niego cała rodzina, mimo wysiłków Ravalla, starającego się zmusić ich do zarzucenia tego denerwującego zwyczaju.

— Nicky, myślę, że powinniśmy zostawić Jamesa i pana Riedlera samych — Stella wzięła męża pod rękę.

— Nie martw się, wychodzę — rzekł Ravallo, uwalniając rękę z jej delikatnego uchwytu. Podszedł do drzwi, a potem obrócił się jeszcze do chrześniaka. — I nie jestem twoim cholemnym wujkiem. Przestań mnie tak nazywać.

— Bardzo mi przykro — powiedziała Stella do Riedlera z zatroskanym uśmiechem i wyszła za mężem, który już opuścił pokój.

— Mogę tylko przeprosić za zachowanie wujka Nicky’ego, panie Riedler. Nie jest już sobą, od kiedy cztery lata temu stracił syna w Zatoce Perskiej. Wujek Nicky był zdruzgotany. Wylew zupełnie zmienił jego osobowość. Był miłym, dobrodusznym człowiekiem, który żył pełnią życia. Teraz jest własnym cieniem. Ma się wrażenie, iż nie chce już żyć. To takie smutne.

— Ma szczęście, mając żonę gotową stać przy nim w tak trudnych chwilach — rzekł Riedler.

— Stella nigdy go nie opuści. Bardzo przypomina mi moją matkę. Pewnie dlatego były tak dobrymi przyjaciółkami przez przeszło trzydzieści lat.

— To pańska matka? — zapytał Riedler, podnosząc oprawione zdjęcie stojące na kominku.

— Tak, to ślubna fotografia moich rodziców.

— Niezwykle piękna kobieta — stwierdził Riedler, odstawiając portret na miejsce.

— Pod każdym względem. Umarła dwanaście lat temu.

Do pokoju weszła Heather, niosąc tacę.

— Proszę, może pan usiądzie, panie Riedler? Trochę herbaty? A może kawa?

Riedler opadł w najbliższy fotel.

— Dziękuję, będę bardzo wdzięczny za kawę.

— Z której części Niemiec pan pochodzi? — zapytała, nalewając mu kawy do filiżanki.

— Moja żona i ja przez większą część naszego małżeńskiego życia mieszkaliśmy w Berlinie, ale przed dwoma laty, po przejściu na emeryturę, przeprowadziliśmy się do Koblencji. Słyszała pani o tym mieście?

— Słyszałam, ale niech mi pan nie każe wskazywać go na mapie — odparła Heather, podając mu filiżankę. — Obawiam się, że geografia nigdy nie była moją najmocniejszą stroną.

— To w Nadrenii, na południe od Kolonii. Mamy tam małą winnicę.

Stella stanęła w progu i przecząco potrząsnęła głową, gdy McIndoe spojrział na nią.

— Wpadł w ten swój ponury nastrój. Pogrzeb przygnębił go bardziej, niż oczekiwałam. Chyba to nie był jednak dobry pomysł, żeby zabierać go na cmentarz po mszy żałobnej w kościele.

Spojrzała na Riedlera.

— Mogę tylko przeprosić za zachowanie mojego męża. Było niewybaczalne.

— Nie ma potrzeby przeproszać — Riedler wstał z szacunkiem. — Pan McIndoe już wyjaśnił mi sytuację. Bardzo mi przykro słyszeć o państwa stracie.

— Dziękuję — powiedziała Stella, biorąc od Heather filiżankę herbaty. Była namiętą wielbicieleką Earl Greya od czterdziestu lat, kiedy razem z Nickym po raz pierwszy odwiedzili Glasgow.

Riedler zaczął czekać, aż usiadła, zanim ponownie zagłębił się w fotel.

— Nie chcę przeszkadzać państwu ani chwili dłużej niż to konieczne, panie McIndoe. Czy

mogę wyjaśnić, dlaczego tu jestem?

— Ależ oczywiście.

— Nie wiem, czy ojciec powiedział panu o tym, ale po raz pierwszy skontaktował się ze mną na początku lat pięćdziesiątych, kiedy pracowałem dla BND, zachodnioniemieckiego wywiadu. Pytał, czy znam tożsamość gestapowskiego agenta działającego w Sekcji Włoskiej SOE.

— Nie pamiętam, żeby kiedykolwiek wymieniał pańskie nazwisko — odparł McIndoe — lecz ojciec kontaktował się z tyloma ludźmi w trakcie swych wieloletnich poszukiwań prawdy, że ich nazwiska po jakimś czasie stawały się zupełnie nieistotne.

— Właściwie nie dziwię się. Próbowałem znaleźć odpowiedź na pytanie pańskiego ojca, ale bez powodzenia. Wkrótce potem straciliśmy ze sobą kontakt i dopiero tydzień temu, szukając materiałów do artykułu, który zamówił u mnie *Der Spiegel*, natrafiłem zupełnie przypadkowo na akta dotyczące operacji SOE na Sycylii. Wtedy przypomniałem sobie o pańskim ojcu i jego pytaniu sprzed lat. Kiedy zadzwoniłem do niego, powiedział mi, że właśnie miał atak serca i nie może przyjechać do mnie do Berlina. Zaproponowałem, że przywiozę mu ten dokument. Umówiliśmy się na spotkanie dzisiaj, w jego domu, ale gdy tam przyjechałem, sąsiadka powiedziała mi, co się stało. Uznałem, że przebywszy taki kawał drogi, powinienem przynajmniej pożegnać zmarłego. Nie chciałem przeszkadzać, dlatego podczas pogrzebu trzymałem się na uboczu. Wtedy mnie pan zauważył.

— Bardzo się cieszę, że pan przyszedł — rzekł McIndoe. — Wiem, że ojciec byłby zadowolony.

Riedler wyjął z kieszeni kopertę i podał mu ją.

— Są tu dwa dokumenty, oba dotyczące tożsamości gestapowskiego agenta.

— Lepiej ty je przeczytaj, Stello. — McIndoe podał jej kopertę.

— Moja niemczyzna zdążyła już chyba zardzewieć — powiedziała, wyjmując z torebki okulary.

Długie lata wraz z mężem posłusznie wysłuchiwali relacji Sama McIndoe o jego ostatnich ustaleniach, choć w jego nie kończącym się poszukiwaniu prawdy żadne z nich nie uczestniczyło. Dla nich ta sprawa nie była aż tak ważna. To nie jeden z ich kolegów był zdrajcą. W gruncie rzeczy był to problem Brytyjczyków i za taki go uważali. A jednak teraz ręce drżały jej z podniecenia, gdy rozcinała kopertę. Wyjęła dwie kartki papieru i rozłożyła je na kolanach. Oba dokumenty zostały przechwycone w siedzibie gestapo przy Piazza Bologni po zdobyciu Sycylii przez aliantów w 1943 roku. Pierwszy dotyczył bezgłowego ciała, które fale wyrzuciły na brzeg trzy dni po zniszczeniu MTB. W pasku od spodni trupa znaleziono sekretną kieszonkę. Wewnątrz znajdowała się wodoszczelna koperta z wykazem trzydziestu różnych częstotliwości fal nadawczych i odbiorczych. Sześć z nich zidentyfikowano jako używane przez gestapo, a na jednej działała tajna radiostacja w kwaterze gestapo w Palermo.

Stella wzięła do ręki drugi dokument. Przebiegła wzrokiem pierwszą linijkę i natrafiła na nazwisko niemieckiego agenta.

— No i kto był zdrajcą? — zapytał McIndoe nagle.

Powoli podniosła głowę.

— Ten Francuz. Georges Passiere.

— Passiere? — powtórzył z niedowierzaniem. — Nie wierzę. Tata zawsze mówił, że z tych trzech on był najmniej podejrzany. Zawsze myślał, że to Bruce Hillyard.

— Nicky też tak myślał — powiedziała Stella. — Ja w zasadzie podejrzewałam Passiere'a, dopóki nie uraczył nas historyjką o tym, jak napadnięto go w kabinie łączności. Był bardzo przekonujący. Mnie w każdym razie nabrał.

— Widocznie sam się zranił, żeby odsunąć od siebie podejrzania, kiedy połączył się z gestapo

i podał im współrzędne łodzi — stwierdził McIndoe. — Bardzo sprytne.

— Tylko dlaczego gestapo go zabiło? — zapytała Heather. — Przecież z żywego mieliby więcej pożytku.

— Na to mogę odpowiedzieć — oznajmił Riedler. — Gestapo podejrzewało, że grozi mu zdemaskowanie. Nie mogli ryzykować, że przesłuchają go Brytyjczycy.

— Gestapo rzeczywiście szczerze odpłacało za lojalność! — rzekła Heather.

— To wyjaśnia również, dlaczego gestapo nie otrzymało od niego żadnych wiadomości, kiedy pani i pani koledzy zesłiście za pierwszym razem na łódź — powiedział Riedler, zwracając się do Stelli. — Wasza łódź była schowana w jaskini, prawda? Tam radiostacja była bezużyteczna. Za duże interferencje.

— A więc wtedy to Charlie Higgins ocalił nam życie — stwierdziła w zadumie Stella. — Gdyby postanowił rzucić kotwicę w osłoniętej zatoczce, a nie w grocie, Passiere mógłby nawiązać swobodny kontakt z gestapo.

— Czy tu napisano, w jaki sposób został zwerbowany? — spytał McIndoe, wskazując na dokument w ręce Stelli.

— Zobaczmy... — odparła, przeglądając kartkę. — Zwerbowany jako aktywny żołnierz Wolnych Francuzów w grudniu czterdziestego roku. To ciekawe... — powiedziała do siebie, kiwając głową.

— Co takiego? — niecierpliwił się McIndoe, kiedy umilkła.

— Hmm? — Spojrzała na niego. — Ach, przepraszam. Pewnie nie słyszałaś o incydencie w Mers-el-Kebir w Oranie, w czterdziestym roku?

— Nie, raczej nie — odparł McIndoe.

— Nie dziwię się. Nie jest to coś, z czego Brytyjczycy mogliby być szczególnie dumni. Kiedy Francja poddała się Niemcom, Churchill zażądał, aby Francuzi oddali swoje pozostałe niszczyciele. Żeby nie wpadły w ręce Niemców. Francuzi odmówili i cztery niszczyciele schroniły się w Mers-el-Kebir w Algierii. Churchill wysłał do Mers-el-Kebir silnie uzbrojony konwój, ponownie żądając oddania statków. Francuzi znowu odmówili. Wtedy brytyjski konwój otrzymał rozkaz zatopienia tych niszczycieli. Z czterech okrętów tylko „Strasbourg” zdołał uciec. Trzy pozostałe zatopiono, a wraz z nimi poszło na dno ponad tysiąc trzystu francuskich marynarzy. Najlepszy przyjaciel Passiere’a był wśród tych, którzy utonęli, gdy „Bretagne” wyrzucił się na płyciznie. To dlatego Passiere został zdrajcą. Nie pieniądze czy ideologia. Zemsta.

— Przecież SOE musiała wiedzieć o przyjacielu Passiere’a, zanim go zwerbowała? — zdziwiła się Heather.

— Ile razy tata powtarzał, że system rekrutacji SOE, szczególnie na początku wojny, był zdecydowanie nieszczelny? Sekcja holenderska została zinfiltrowana przez Abwehrę. Wcale się nie dziwię, że Passiere tak łatwo dostał się do SOE. W końcu miał *Croix de Guerre*. Już samo to wystarczyło, żeby go przyjęli. — McIndoe zwrócił się do gościa: — Nie rozumiem tylko, dlaczego podwójna gra Passiere’a wyszła na jaw dopiero teraz? Gdyby ta informacja była dostępna wcześniej, ojciec dotarłby do niej. Niech mi pan wierzy, znalazłby ją.

— Te dokumenty były trzymane w Niemczech w ścisłej tajemnicy na polecenie brytyjskiego rządu. Zostały odtajnione zaledwie pół roku temu.

— Dlaczego? — spytał McIndoe.

— Georges Passiere miał brata.

— Pamiętam, że wspominał o nim — odparła Stella. — Był wyższym oficerem u Wolnych Francuzów, prawda?

— Zgadza się — rzekł Riedler. — Jacques Passiere. Po wojnie został zastępcą dyrektora

Service de Reseignements, francuskiego wywiadu wojskowego. Po trzech latach awansował na dyrektora i wszedł w skład rządu de Gaulle'a, w którym przez siedem lat kierował Ministerstwem Obrony. Tylko że w czterdziestym szóstym Jacques Passiere został zwerbowany przez brytyjski wywiad. Brytyjczycy wiedzieli, że będzie skończony, jeśli zdrada jego brata wyjdzie na jaw. Ponieważ powojenne Niemcy były zrujnowane, bez trudu — w zamian za taką czy inną grzeczność — zapewnili sobie milczenie Niemiec na temat zdrady Georges'a Passiere'a aż do śmierci jego brata. Jacques zmarł na początku tego roku. Wtedy ujawniono te dokumenty.

— Skąd pan wiedział, że brat Passiere'a był agentem brytyjskiego wywiadu? — zapytała podejrzliwie Stella.

— Jako wyższy oficer BND wiedziałem o takich rzeczach — odparł Riedler z obojętnym wzruszeniem ramion, jakby to nie było ważne. — To wyjaśnia również, dlaczego moje próby odkrycia tożsamości gestapowskiego agenta, a podjąłem je w latach pięćdziesiątych, zostały zablokowane.

— Szkoda, że ojciec nie doczekał tej chwili — powiedział z żalem McIndoe i uśmiechnął się smutnie do Heather. — Wie pan równie dobrze jak ja, jakie to miało dla niego znaczenie. W końcu poznałby prawdę.

— Pański ojciec poznał prawdę przed śmiercią — rzekł Riedler. — Kiedy zadzwoniłem do niego w zeszłym tygodniu, zażądał, abym przeczytał mu oba dokumenty przez telefon. Powiedział, że czekał na tę chwilę pięćdziesiąt lat i nie ma zamiaru czekać ani minuty dłużej. A ja przyjechałem tutaj tylko po to, żeby oddać mu kopie tych dokumentów i wspominać dawne czasy. W końcu nigdy się nie spotkaliśmy. Zawsze będę tego żałował.

— Jestem pewna, że i on żałował. — Heather zerknęła na męża. — Prawda, James?

James McIndoe tylko się uśmiechnął. Z zadowoleniem. Teraz wiedział, że ojciec naprawdę spoczywa w spokoju.

Alistair MacLean

Nieżyjący autor szkocki niezwykle popularnych powieści przygodowych i wojennych, które weszły do kanonu literatury tego gatunku Urodził się w 1923 roku, w wieku osiemnastu lat wstąpił do Marynarki Królewskiej, ponad dwa lata służył na pokładzie krążownika Po wojnie, po ukończeniu z wyróżnieniem Glasgow University, pracował jako nauczyciel w gimnazjum dla chłopców. Powieść wojenna „H.M.S. Ulysses” (1955) ukazująca bardzo realistycznie przejścia załogi krążownika uczestniczącego w konwoju przewożącym broń i wyposażenie do radzieckiego Murmańska przyniosła pisarzowi uznanie krytyków, niezależność finansową oraz popularność w Wielkiej Brytanii. Druga książka „Działa Nawarony” (1959) uczyniła z MacLeana autora światowej sławy, doczekała się też nie mniej sławnej ekranizacji z aktorami tej miary co Gregory Peck i David Niven. W latach sześćdziesiątych i siedemdziesiątych MacLean wyspecjalizował się w pisaniu książek przygodowych i thrillerów, stając się szybko najchętniej czytany autorem tego gatunku na świecie. Jego utwory przetłumaczono na kilkadziesiąt języków, a wiele z wydanych przez niego dwudziestu ośmiu powieści zostało sfilmowanych. Oprócz „Dział Nawarony” do najgłośniejszych ekranizacji należały „Tylko dla orłów” z Richardem Burtonem i Clintem Eastwoodem, „Komandosi z Nawarony” z Harrisonem Fordem, „Stacja arktyczna Zebra” z Rockiem Hudsonem, „Czterdzieści osiem godzin” z Anthonym Hopkinsem, „Przełęcz Złamanego Serca” z Charlesem Bronsonem.

Przez kilkanaście lat MacLean mieszkał w jugosłowiańskim Dubrowniku Tam powstały jego późniejsze, słabsze powieści, m.in. „Partyzanci” (1982), „San Andreas” (1984) i ostatnia, „Santorini” (1986)

Pisarz zmarł w Szwajcarii na atak serca w lutym 1989 roku

Alastair MacNeill

Alastair MacNeill urodził się w Szkocji w 1960 roku. Mając sześć lat wyjechał wraz z rodziną do Afryki Południowej, powrócił do Wielkiej Brytanii w 1985 roku. Od najmłodszych lat interesował się pisaniem, uczestniczył w konkursach literackich. W 1988 roku nawiązał współpracę z wydawnictwem Collins (obecnie HarperCollins), tam zaproponowano mu rozbudowanie pozostawionych przez Alastaira MacLeana scenariuszy filmowych o przygodach agentów fikcyjnej organizacji antyterrorystycznej UNACO do rozmiarów pełnych powieści (dwie pierwsze książki z tego cyklu, „Wieżę zakładników” i *Air Force One Is Down*, napisał wcześniej John Dennis). MacNeill podjął się zadania. W 1989 roku ukazał się „Pociąg śmierci”, a potem jeszcze pięć książek, m.in. „Czas zabójców” (1991), „Śmiertelna pułapka” (1992), „Łamacz kodów” (1993). MacNeill wydał także dwie własne powieści sensacyjne — „Diabelskie wrota” (1994) i *Moonblood* (1995). *Alastair MacLean's Rendezvous* („Szpiegowskie rendez-vous”) opublikowane w 1995 roku powstało na podstawie opowiadania Alastaira MacLeana ze zbioru „Bezkresne morze”.